

RAKIETOWE SZLAKI

3



ANTOLOGIA KLASYCZNEJ SF

wybór Lech Jęczyński

SOLARIS

Antologia Klasycznej Science Fiction

Rakietowe szlaki

Tom 3

Wybór i wstęp
Lech Jęczmyk, Wojtek Sedeńko



Spis opowiadań

[Spis opowiadań](#)

[Wstecznym Biegiem](#)

[CATHERINE L. MOORE Shambleau](#)

[Shambleau](#)

[FINN O'DONNEVAN Bezgłośny pistolet](#)

[Bezgłośny pistolet](#)

[ROGER ZELAZNY Aleja Potępienia](#)

[Aleja Potępienia](#)

[URSULA K. LE GUIN Dzień przed rewolucją](#)

[Dzień przed rewolucją](#)

[MICHAEL SWANWICK Powolne życie](#)

[Powolne życie](#)

[RAY BRADBURY Mały morderca](#)

[Mały morderca](#)

[R.A. LAFFERTY Kraina wielkich koni](#)

[Kraina wielkich koni](#)

[MICHAEL BISHOP Przyspieszenie](#)

[Przyspieszenie](#)

[CLIFFORD D. SIMAK Grota Tańczących Jeleni](#)

[Grota Tańczących Jeleni](#)

[MAREK S. HUBERATH Kara większa](#)

[Kara większa](#)

[ALAN DEAN FOSTER Polacy to ludzie łagodni](#)

[Polacy to ludzie łagodni](#)

[DAN SIMMONS Umrzeć w Bangkoku](#)

[Umrzeć w Bangkoku](#)

[JOHN VARLEY Naciśnij Enter](#)

[Naciśnij Enter](#)

[Krótką historia science fiction](#)

Wstecznym Biegiem

(Tyłem do przodu)

Pamiętamy czasy, kiedy z niecierpliwością wypatrywaliśmy wspaniałej przyszłości, nasze dzieci, te będą miały dobrze! Dzisiaj nawet dzieci nie chce się mieć. Dzisiaj przyszłość jest kaputt, zostawiamy ją Chińczykom i Hindusom, my zaś, jako ludzie ponowocześni, mający swoją przyszłość za sobą, rozsiadamy się w pędzącym pociągu świata wygodnie, plecami do kierunku jazdy i zachwycamy się wspaniałą przeszłością.

Nie chcąc pozostać w tyle za awangardą ruchu wstecznego, my, rekonstruktorzy science fiction, przedstawiamy wam skarby wydobyte z zatopionych wraków gwiazdnych wojen.

Zazdrościmy tym, którzy przeczytają je po raz pierwszy, przesyłamy znak przyjaźni wszystkim, którzy je sobie chętnie przypomną.

Lech Jęczmyk

CATHERINE L. MOORE

Shamblau

Twórczość Catherine Moore w nierozzerwalny sposób jest związana z pisarstwem jej męża, Henry'ego Kuttnera. Nierozzerwalny to dobre słowo, bo nigdy nie ujawniono, w których opowiadaniach była współautorką, ani jaki był jej udział w słynnych tekstach Kuttnera.

Niewątpliwie była bardzo utalentowaną pisarką, świadczą o tym jej samodzielne utwory, w tym „Shambleau”, otwierający serię przygód Northwesta Smitha.

Wspaniałe opowiadanie na otwarciu tomu.

Shambleau

— Shambleau!... Shambleau!

Dziki wrzask tłumu odbijał się od murów wąskich ulic Lakkdarolu, a tupot ciężkich butów na czerwonej lawie bruku złowrogo towarzyszył narastającemu rykowi:

– Shambleau! Shambleau!

Northwest Smith usłyszał zbliżanie się tego rumoru. Jednym susem schronił się w najbliższym zagłębieniu muru i zacisnął dłoń na kolbie pistoletu termicznego. Jego blade, pozbawione blasku oczy zwęziły się. Taki hałas był dość powszedni na ulicach najnowszej ziemskiej kolonii na Marsie, w której w każdej chwili mogło się przydarzyć najgorsze. Northwest Smith, którego imię znano i szanowano we wszystkich spelunkach na pół tuzinie planet, był jednak, wbrew swojej reputacji, człowiekiem ostrożnym. Oparł się mocniej o mur i pewniej ujął pistolet termiczny, nasłuchując zbliżających się krzyków.

W tym momencie dostrzegł postać biegnącą zygzakiem od bramy do bramy po wąskiej uliczce. To była dziewczyna lub młoda kobieta, opalona na heban, ubrana w strzępy oślepiająco szkarłatnej sukienki. Biegła ostatkiem sił i wyraźnie było słychać jej ciężki oddech. Zobaczył jak zatrzymała się i, oparta ręką o mur, szukała oszalałym wzrokiem jakiegoś schronienia. Nie mogła dostrzec Smitha ukrytego w cieniu załomu, ponieważ jednak wrzask tłumu nasilał się, skoczyła w kąt tuż koło niego.

Kiedy dostrzegła go: wysokiego, o ogorzalej twarzy, stojącego spokojnie z ręką opartą na kolbie pistoletu termicznego, wydała z siebie nieartykułowany dźwięk i runęła mu pod nogi, tworząc szkarłatno-hebanowy kopczyk z prześwitującą nagością skóry.

Smith nie widział twarzy kobiety. Zgrabna i w niebezpieczeństwie. Nie miał w sobie niczego z rycerza, ale widząc ją leżącą w pozie pełnej poddania, poczuł jak drgnęła w nim struna wibrująca w charakterze każdego Ziemianina – litość dla ciemzonego. Delikatnie przesunął ją za siebie, wyjął z kabury pistolet i dokładnie w tym samym momencie pierwsi z galopującej sfory skręcili w jego stronę. Była to typowa mieszanka zamieszkująca Lakkdarol: Ziemianie, Marsjanie, kilku Wenusjańczyków z bagien i dziwni faceci z nieznanym planet.

– Szukacie czegoś?

Szydercze pytanie Smitha przebiło się bez trudu przez wrzask. Zatrzymali się jak wryci. Wrzaski zamarły na chwilę, w czasie której tłum kontemlował scenę. Wysoki Ziemianin w skórzanym kombinezonie nawigatora kosmicznego, spalony prażącym słońcem wielu planet, o złowrogo bladych, bezbarwnych oczach osadzonych w pooranej licznymi szramami twarzy, z pistoletem w dłoni, osłaniający szkarłatną, dygoczącą za nim dziewczynę. Szef tej bandy – barczysty Ziemianin ubrany w skórzany strój, z którego zerwano insygnia Straży Międzyplanetarnej – przyglądał mu się badawczo z wyrazem dziwnego niedowierzania na twarzy. Wreszcie z jego ust wydobył się głęboki ryk:

– Shambleau! – po którym rzucił się do przodu. Tłum podchwycił ten okrzyk i ruszył za nim.

Smith stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, nonszalancko oparty o mur. Mogłoby się wydawać, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Kiedy jednak przywódca bandy wykonał pierwszy krok w jego stronę, broń trzymana dotychczas na lewym ramieniu zatoczyła półkole i błękitnawy rozbłysk zakreślił na bruku ognistą linię. Był to stary gest, którego znaczenie zrozumiał każdy. Pierwszy rząd ścigających cofnął się pośpiesznie, powstrzymując napierający tłum. Przez

moment nie wiedzieli co mają zrobić. Facet w mundurze Straży podniósł zaciśniętą pięść i podszedł do wypalonej linii, ale tłum za jego plecami wahał się.

– Przejdziesz tę linię? – zapytał Smith z groźną słodyczą w głosie.

– Chcemy dziewczynę.

– Przyjdź i weź ją sobie.

Smith szyderczo zaśmiał mu się w nos. Czuł unoszące się w powietrzu niebezpieczeństwo, ale jego zuchwałość wbrew pozorom nie miała w sobie nic z szaleństwa. Miał duże doświadczenie w postępowaniu z tłumem i w tym wypadku nie czuł żądy mordy. Żaden pistolet nie pojawił się wśród tłuszczy. Z niezrozumiałą zaciekłością chcieli głowy tej dziewczyny, ale nie wyczuwał w nich żadnej agresji wymierzonej przeciwko niemu. Mógł przypuszczać, że najbliższy kwadrans będzie niezbyt sympatyczny, ale jego życiu nic nie zagrażało. W przeciwnym razie już dawno w rękach jego przeciwników pojawiłyby się pistolety. Opierając się nonszalancko o mur uśmiechnął się szyderczo do tego wściekłego Ziemianina. Z tłumu dały się słyszeć niecierpliwe głosy.

– Czego od niej chcecie? – zapytał.

– To Shambleau! Shambleau, idioto! Zajmiemy się nią. Nie zostawia się tego przy życiu. Wyłaź stamtąd.

Ta nazwa nic mu nie mówiła, ale kiedy banda znowu zaczęła się zbliżać, upór Smitha spotęgował się jeszcze bardziej.

– Daj nam Shambleau! Wykop ją stamtąd.

Smith porzucił swoją nonszalancką pozę, stanął mocno na nogach i skierował broń w stronę tłumu.

– Cofnijcie się – krzyknął – ona jest moja. Cofnijcie się!

Nie zamierzał strzelać, bo wiedział, że jeżeli pierwszy nie zacznie, to oni również pierwsi nie użyją broni. Poza tym nie miał ochoty dać się zabić dla jakiejś tam dziewczyny. Spodziewał się jednak mało przyjemnej dla siebie bijatyki. Tymczasem banda nagle zafalowała i ku jego zdziwieniu wydarzyła się rzecz, z którą nigdy dotąd się nie zetknął. Ci, którzy stali najbliżej cofnęli się nieco. Nie ze strachu, ale z wyrazem ewidentnego zaskoczenia.

– Twoja?! Ona jest twoja? – zapytał eks-strażnik głosem, w którym zdumienie brało górę nad wściekłością.

Smith rozstawił szerzej nogi i wycelował w niego.

– Tak – powiedział. – Zatrzymuję ją. Cofnijcie się!

Mężczyzna patrzył na niego w milczeniu, a na jego twarzy rysowały się wstręt, obrzydzenie i niedowierzanie. Zdumiony powtórzył:

– Twoja?

Nagle cofnął się. Cała jego postać, każdy gest wyrażał głęboką odrazę. Machnął ręką w stronę tłumu i powiedział:

– To jest... jego! – Tłum nagle ucichł i rozstał się. Na twarzach wszystkich pojawił się ten sam wyraz najwyższej pogardy. Wielkolud splunął na bruk i odwrócił się.

– Zatrzymaj ją sobie – rzucił przez ramię – ale nie pozwól, żeby włóczyła się po mieście.

Smith stał, niczego nie rozumiejąc. Tłum, teraz już tylko pogardliwy, zaczął się rozchodzić. Smith zupełnie nie mógł uwierzyć, że ta krwiożercza nienawiść mogła się tak nagle rozwiać. Najbardziej zastanawiała go ta dziwna mieszanina wstrętu i pogardy na ich twarzach. Lakkarol nie miał w sobie nic z purytańskiego miasteczka... Trudno było choć przez chwilę przypuszczać, że zatrzymując tę dziewczynę mógł spowodować taką niechęć. Gdyby przedstawił się jako kanibal lub wyznawca Pharola wzbudziłby mniejszą odrazę niż ta, której doświadczył przyznając się do

dziewczyny.

Oddalili się od niego pośpiesznie, jakby jego nieznan grzech był zaraźliwy. Ulica opustoszała tak szybko, jak się zaludniła. Na rogu dostrzegł jeszcze Wenusjańczyka, który szyderczo rzucił przez ramię „Shambleau!”. Słowo to wywołało w umyśle Smitha szereg skojarzeń. Pochodziło chyba z francuskiego. W ustach Wenusjańczyka brzmiało dość dziwnie. Jeszcze dziwniejszy był ton, z jakim je wypowiedział. „Nie zostawia się tego przy życiu” przypomniał sobie słowa eks-strażnika. Przywodziło to na myśl, niewyraźnie zresztą, jakieś zdanie ze starej książki: „Nie spoczniesz, dopóki nie zabijesz czarownicy”. Uśmiechnął się na to skojarzenie i w tym momencie poczuł dziewczynę blisko siebie.

Podnosiła się bezgłośnie. Odwrócił się do niej, chowając pistolet i przypatrując się jej z ciekawością, bez żenady, tak jak patrzy się na coś, co nie jest do końca człowiekiem. Dziewczyna nim nie była. Dało się to dostrzec na pierwszy rzut oka, mimo że jej brązowe ciało należało do kobiety. Szkarłat odzienia nosiła ze swobodą, którą rzadko kiedy odznaczają się inni nie-ludzie. Oczy miała całkowicie zielone, jak świeża trawa, o podłużnych kocich źrenicach. Ich głębia kryła posępną, zwierzęcą mądrość... Był to wzrok zwierzęcia wiedzącego więcej niż człowiek. Jej twarz pozbawiona była brwi i rzęs i Smith mógłby przysiąc, że pod szkarłatnym turbanem przykrywającym głowę nie było włosów. Dziewczyna miała po cztery palce u rąk i nóg, zakończone zakrzywionymi pazurami, które chowały się pod skórę jak u kota. Wysunęła różowy, płaski i wąski język i z trudnością zaczęła mówić:

– Nie mieć strachu... teraz.

Miała małe, białe, ostro zakończone ząbki.

– Co takiego zrobiłaś? Czego chcieli? – zapytał zaciekawiony. – Shambleau, to twoje imię?

– Ja nie mówić twój język – odparła z wahaniem.

– No to spróbuj. Chciałbym wiedzieć dlaczego cię gonili? Będziesz teraz bezpieczna, czy lepiej będzie jeśli gdzieś wejdziemy? Wydawali się groźni.

– Pójdę z tobą – mówienie sprawiało jej kłopot.

– Co mówisz? – Smith uśmiechnął się. – Właściwie, czym ty jesteś? Robisz na mnie wrażenie małego kotka.

– Shambleau – odrzekła posępnie.

– Gdzie mieszkasz? Jesteś Marsjanką?

– Pochodzę z daleka... z kraju... z czasu... bardzo daleko.

– Poczekaj. Coś tu jest nie tak. Nie jesteś Marsjanką.

Wyprostowała się z godnością, podnosząc okrytą turbanem głowę. Wyglądała jak księżniczka.

– Marsjanką? – rzuciła z pogardą. – Mój lud jest... jest... Nie macie tego słowa. Twój język... trudny dla mnie.

– Jaki to język? Może go znam?

Spojrzała mu prosto w oczy i mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej wzroku delikatne rozbawienie.

– Kiedyś... przemówię w moim języku – przyrzekła.

Na czerwonym bruku rozległ się stukot butów. Chwiejnym krokiem przeszedł Wenusjańczyk, rozsiewając zapach Segiru – wenusjańskiego alkoholu. Na widok czerwieni łachmanów dziewczyny odwrócił gwałtownie głowę i kiedy jego otępiały od alkoholu mózg zrozumiał wreszcie, że szkarłatna sylwetka nie jest złudzeniem, z bełkotem wyciągnął łapę, by ją schwycić.

– Shambleau!

Smith odepchnął go z lekceważeniem.

– Idź swoją drogą – poradził mu.

Facet cofnął się i spojrzął na niego.

– Twoja? Cholera! Ale cię załatwiła.

I tak jak były strażnik, splunął na bruk, mamrocząc przekleństwa w swoim języku. Smith odprowadził go wzrokiem i poczuł narastający niepokój.

– Chodź – odezwał się ostro do dziewczyny. – Jeśli sprawa tak wygląda, to lepiej schowajmy się gdzieś. Gdzie chcesz, żebym cię zabrał?

Wynajął pokój na peryferiach. W całym mieście, które wciąż było siedliskiem pionierów wywodzących się z różnych ras, warunki życia były właściwie identyczne. Smith wołał jednak, żeby jak najmniej wiedziano o jego wizycie. Spał już zresztą w gorszych warunkach i wiedział, że jeszcze nie raz go to czeka.

Nikt nie widział jak z nią wchodził. Zamknął drzwi i oparty o framugę przyglądał się dziewczynie w milczeniu. Dziewczyna ogarnęła pomieszczenie spłoszonym spojrzeniem: źle zasłane łóżko, chwiejący się stół, pęknięte lustro wiszące na ścianie, nie pomalowane krzesła. Typowy pokój w jakimś ziemskim obozie na obojętnie której planecie. Zaakceptowała to niechlujstwo bez słowa, podeszła do okna i stała tak przez chwilę, patrząc ponad dachami parterowych domków na widniejący w dali czerwony krajobraz.

– Możesz tu zostać, dopóki nie wyjadę z miasta – oznajmił sucho Smith. – Czekam na przyjaciela, który ma przylecieć z Wenus. Jadłaś coś?

– Tak – ożywiła się dziewczyna. – Nie... będę potrzebowała jedzenia... przez jakiś czas.

– To dobrze – stwierdził Smith, rozglądając się po pokoju. – Wrócę wieczorem. Nie wiem o której. Możesz tu zostać lub odejść. Jak chcesz. Ale lepiej zrobisz, jeżeli zamkniesz za mną drzwi na klucz.

Powiedział to i wyszedł. Schodząc po schodach usłyszał trzask przekręcanego klucza. Nie sądził, że ją jeszcze kiedykolwiek spotka. Szybko zapomniał o dziewczynie zajęty własnymi problemami.

Lepiej nie wspominać o tym, co było celem jego wizyty w tym mieście. Każdy żyje tak, jak potrafi, a sposób życia Smitha polegał na ciągłym balansowaniu na granicy prawa i, z konieczności, na częstym jej przekraczaniu. Wystarczy wspomnieć, że obecnie interesował go najbardziej teren kosmoportu, na którym składowano towary gotowe do wysyłki. Warto również wspomnieć, że czekał na przyjaciela o imieniu Yarol i przydomku Wenusjańczyk, który był posiadaczem najszybszego w tym rejonie stateczku, mogącego z łatwością ośmieszyć dowolny statek Straży. Smith, Yarol i ich statek *Maid* tworzyli trójkę, stanowiącą przyczynę wielu zmartwień i siwych włosów wyższych oficerów Straży.

Wrócił późnym wieczorem pod wyraźnym wpływem pewnej ilości Segiru wypitego w różnych odwiedzanych lokalach. Przez pięć minut szukał klucza do drzwi, zanim przypomniał sobie, że zostawił go dziewczynie. Zapukał. Nie usłyszał najmniejszego odgłosu zbliżających się kroków, ale drzwi otworzyły się. Dziewczyna w milczeniu wycofała się na swoje ulubione miejsce przy oknie. Pokój tonął w ciemnościach. Smith zapalił światło i oparł się o drzwi. Świeże powietrze otrzeźwiło go nieco i umysł miał już o wiele jaśniejszy.

– Jednak zostałam – stwierdził, przyglądając się jej sylwetce odcinającej się na tle widocznego przez okno skrawka nieba.

– Czekałam..

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała mu, ale jej usta wygięły się w powolnym uśmiechu. Gdyby była kobietą, stanowiłoby to dla niego wystarczającą zachętę. U Shambleau uśmiech ten miał w sobie coś

żałosnego i okropnego zarazem. Był zbyt ludzki na tej półzwierzęcej twarzy. A przecież cała reszta... to ciało... jego miękkość i wygląd. Smith czuł narastające podniecenie. W końcu miał jeszcze kilka dni do przylotu Yarola.

– Chodź tutaj – powiedział już prawie trzeźwy. Zbliżała się powoli na swoich pazurkach i zatrzymała się przed nim z opuszczonymi oczyma i ustami dygoczącymi w tym żałości ludzkim uśmiechu. Northwest Smith przycisnął ją gwałtownie do siebie. Pozwoliła na wszystko. Słyszał jej przyspieszony oddech i czuł aksamitne dłonie na swoim karku. Wtedy spojrzał jej w twarz. Zobaczył zwierzęce oczy bez brwi i rzęs, i błysk czegoś, co było głęboko w tych oczach ukryte. Kiedy przytknął swoje usta do jej warg poczuł, że w najgłębszych zakamarkach jego duszy budzi się niewytłumaczalny bunt. Jakiś instynkt. Nie umiałby tego wyrazić słowami, ale samo dotknięcie tej aksamitnej skóry przyprawiało go o dreszcze. To tak, jakby usiłował się kochać ze zwierzęciem. Przez ułamek sekundy pojął, co reszta ludzi czuje na widok tej dziewczyny.

– Mój Boże – wyszeptał.

Wyrwał się z objęć, odpychając ją tak gwałtownie, że aż upadła. Sam cofnął się do drzwi ciężko dysząc i czując, że to niespodziewane obrzydzenie już mu mija.

Dziewczyna potoczyła się pod okno. Turban, który miała na głowie rozwinął się i odsłonił pukiel czerwonych włosów. Ich czerwień była równie niesamowita, nieludzka, jak zieleń jej oczu. Przyglądał się temu, potrząsając głową.

Wydawało mu się bowiem, że ten pukiel czerwonych włosów drgał jak żywa istota.

Dziewczyna wsunęła go pod turban zupełnie kobiecym gestem i zakryła twarz rękoma. Miał jednak wrażenie, że wciąż obserwuje go przez palce.

Smith odetchnął głęboko i otarł pot z czoła. Dziwne uczucie zniknęło bez śladu.

– Muszę zbastować z Segirem – pomyślał bez przekonania. Czyżby sobie wydumał te czerwone włosy? W końcu była to tylko cudowna, humanoidalna istota. Jedna z wielu półludzkich ras zamieszkujących planety. Cudowne zwierzątko. Nic więcej.

– W porządku. Już mi przeszło – stwierdził. – Bóg mi świadkiem, że nie jestem aniołem, ale mimo wszystko są pewne granice.

Zdjął kilka koców z łóżka i rzucił je w najdalszy kąt pokoju.

– Możesz tam spać.

Dziewczyna bez słowa zaczęła je rozkładać, wykazując w każdym geście nieme, zwierzęce zrezygnowanie.

Tej nocy Smith miał dziwny sen. Wydawało mu się, że obudził się i coś – coś niewyobrażalnego – owinęło się wokół jego szyi jak giętki, wilgotny i gorący wąż. To coś leżało bezwładnie na jego skórze, dotykając go delikatnie, bardzo delikatnie, z pieśczośliwą lekkością. Cudowne ciepło przenikało aż do najmniejszego atomu jego ciała, wzbudzając niewyobrażalną ekstazę. Ekstazę, która zabierała mu wszystkie siły. Potem nadeszło obrzydzenie, ohydne uczucie obcości, ale również towarzyszyła mu jakaś niezwykła delikatność. Próbował zerwać tę okropność ze swojej szyi, ale bez przekonania. Bo mimo najwyższego, nieznanego dotąd obrzydzenia, rozkosz była tak wielka, że ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Kiedy wreszcie zwalczył tę niemoc, stwierdził z przerażeniem, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Jego ciało zamieniło się w żyjący marmur. Marmur przeżywający rozkosz nie do opisania. Walczył tak przez długi czas. Wreszcie stracił do końca świadomość i pograżył się w zapomnieniu, aż do chwili gdy przebudził się nad ranem.

Długo nie mógł sobie przypomnieć tego snu. Wiedział tylko, że to było okropniejsze i rozkoszniejsze zarazem niż wszystko, co dotąd przeżył. Wreszcie jego uwagę przyciągnęła dziewczyna, która również się obudziła. Przyjrzał się jej, lekko zawstydzony.

– Dzień dobry – powiedział. – Miałem piekielny sen. Jesteś głodna?

Pokręciła przecząco głową i mógłby przysiąc, że w jej oczach znowu skrywał się dziwny błysk rozbawienia.

– Co mam z tobą zrobić? – zaniepokoił się, ziewając. – Odlatuję za dwa, trzy dni. Nie będę cię mógł zabrać ze sobą. Może mi wreszcie powiesz, skąd jesteś?

Znowu pokręciła przecząco głową.

– Nie chcesz powiedzieć. Twoja sprawa. Możesz tu zostać dopóki nie odlece. Potem musisz sama dać sobie radę.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Dziesięć minut później wyszedł.

Koszmar nocy rozproszył się na powietrzu. Smith ponownie musiał poświęcić się interesom. Przez kilka godzin włóczył się wokół kosmoportu, obserwując uważnie starty i lądowania oraz załadunek i rozładunek rozmaitych towarów. Odwiedził kilka barów, porozmawiał z kilkoma dziwnymi facetami. Wracając kupił różne rzeczy w sklepie spożywczym. Miał nadzieję, że dziewczynie coś spośród tych zakupów przypadnie wreszcie do gustu.

Pokój znowu był zamknięty na klucz i, jak poprzedniego dnia, pogrążony w ciemnościach.

– Czemu nie zapalisz światła – zapytał rozdrażniony, bo obił sobie kostkę, próbując dotrzeć do stołu.

– Światło... ciemność... to samo – mruknęła dziewczyna.

– Kocie oczy? Niech będzie. Przyniosłem ci coś do jedzenia. Wybierz sobie. Lubisz befsztyki?

– Nie mogę jeść twojej żywności – powiedziała, cofając się.

– Nie ruszyłaś nawet tabletek z koncentratem – zdziwił się Smith.

Czerwony turban zakolysał się przeczącym gestem.

– A więc od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłaś. Musisz być wygłodzona.

– Nie mieć głodu.

– Więc co mogę ci kupić? Jeszcze zdążę.

– Zjem – szepnęła szalenie cicho – już niedługo zjem. Nie... bój się.

Znowu odwróciła się w stronę okna. Smith rzucił jej niespokojne spojrzenie znad puszek z befsztykiem. Nie lubił takich sytuacji. W końcu doszedł do wniosku, że musiała po kryjomu zjeść trochę koncentratów. Zajął się befsztykiem.

– Jeżeli nie chcesz jeść, to nie – stwierdził filozoficznie, wyrzucając do śmieci pustą puszkę.

Dziewczyna wciąż stała przy oknie, przypatrując się mu w milczeniu. To wyprowadziło go wreszcie z równowagi.

– Czemu nie chcesz spróbować choć trochę? – zapytał zabierając się do puszek z gulaszem.

– To, co jem... lepsze – znowu odparła szeptem.

Ponownie odczuł w jej tonie fałszywą nutę. Wreszcie przypomniał sobie pewną historię sprzed tysiącleci, którą opowiadano sobie przy ogniskach. Odwrócił się razem z krzesłem, żeby lepiej ją widzieć i po raz pierwszy poczuł prawdziwy niepokój. Wywołały go jej niedopowiedzenia.

– Czym ty się żywisz? – zapytał, patrząc jej w oczy. – Krwią?

Przez moment wydawało się, że nie rozumie. Wreszcie coś, jakby grymas rozbawienia pojawiło się na jej ustach i odparła z odrazą:

– Bierzesz mnie za wampira?... Jestem Shambleau.

Bez wątpienia to podejrzenie ubodło ją i rozbawiło. Ale przecież wiedziała, o co mu chodzi. Przesady, przesadami, ale słowo wampir nie było jej obce. Co więcej – rozumiała je. Smith nie był zabobonny ani przesądny, ale w swoim życiu widział już tak wiele rzeczy teoretycznie niemożliwych, że nie wątpił, iż najidiotyczniejsze legendy mogą zawierać w sobie cząstkę prawdy. A w tej

dziewczynie było coś niesamowicie dziwnego.

Zastanawiał się nad tym wszystkim, jedząc jabłka zebrane w marsjańskich kanałach, ale mimo że na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań, nie odezwał się, zdając sobie sprawę z bezsensu takiej próby.

Skończył wreszcie kolację i posprzątał po sobie, wyrzucając wszystko przez okno. Potem długo przyglądał się jej w milczeniu, dochodząc wciąż do tego samego wniosku – że jest cudownie zbudowana. Wreszcie położył się spać. Późno w nocy nagle obudził się z głębokim przeświadczeniem, że dzieje się coś ważnego. Dziewczyna również nie spała. Siedziała na pościeli i to, co robiła, wywołało w nim uczucie przerażenia. A przecież, jak tyle innych dziewczyn, tylko rozwiązywała turban. Kiedy wreszcie skończyła, Smith omal nie krzyknął. Jednak nie był wtedy pijany. Czerwone pukle jej włosów drgały jak żywe. I wtedy stało się coś, co miało być najstraszliwszym przeżyciem całego jego życia. Na głowie dziewczyny zaczęła rosnąć czerwona masa pukli, których przedtem nie było. Każdy z nich żył i rozwijał się niezależnie i wkrótce stworzyły na brązowym tle ciała czerwoną plamę czegoś żywego. Dziewczyna potrząsnęła głową w okropnej imitacji kobiecego gestu i pukle spadły jej prawie do kostek.

Wreszcie odrzuciła tę upiorną fryzurę do tyłu i Smith poczuł, że zaraz się odwróci w jego stronę. Bał się tak straszliwie, jak tylko może bać się człowiek, ale nie mógł odwrócić wzroku. Kiedy wreszcie popatrzyła na niego, poczuł, że ogarnia go paraliż. Jej zielone oczy napotkały jego spojrzenie.

Po chwili poczuł, że pogrąża się w przepaść oddania bez granic; potem na chwilę urok osłabł i dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Wtedy zrozumiał, że ma do czynienia z Meduzą.

– Teraz przemówię do ciebie – szepnęła – w moim własnym języku... och mój kochany!

Zbliżała się do niego, wywołując dreszcze odrazy, ale była to perwersyjna odraza, która jednocześnie pragnęła przedmiotu swojej nienawiści. Objął jej ciało ramionami, czując na nich dotyk ohydnych włosów. Przycisnął to cudowne ciało do swojego i czerwone piekło zamknęło się nad nimi.

*

Na twarzy młodego Wenusjańczyka idącego po schodach wiodących do pokoju swojego przyjaciela widniała głęboka troska. Podobnie jak reszta jego pobratymców miał anielską buzię, która dla niejednego stała się przyczyną śmiertelnej pomyłki. Jedyne demoniczne zmarszczki wokół ust pozwalały domyślać się przeżyć, których doświadczył wraz ze Smithem podczas niezliczonych awantur. Awantur, które sprawiły, że dla oficerów Straży stał się on najbardziej, po Smicie, znenawidzoną osobą.

Przybył przed kilkoma godzinami do Lakkarolu i znalazł wszystkie sprawy w tragicznym stanie. Z zasięgniętych dyskretnie informacji zorientował się, że Smitha nie widziano nigdzie od dwóch dni. To nie pasowało do jego przyjaciela. Obaj zbyt wiele ryzykowali w tej sprawie. Yarol znajdował tylko jedno wytłumaczenie: Smithowi musiało się przytrafić coś, co uniemożliwiło mu przybycie na spotkanie.

Wsadził duplikat klucza do zamka i ogarnięty coraz większym niepokojem otworzył drzwi. Od razu zrozumiał, że dzieje się tam coś niedobrego. Pokój pogrążony był w ciemnościach. Nic nie widział, ale czuł dziwny nieokreślony zapach: słodki i jednocześnie odpychający. Bardzo mgliście przypominało mu się coś, co opowiadano wśród wenusjańskich bagien.

Z ręką na kolbie pistoletu otworzył szeroko drzwi. Najpierw dostrzegł w mroku jakąś dziwną masę kłębiącą się na łóżku. Kiedy oczy przywykły do ciemności dostrzegł, że masa ta poruszana jest od środka. Wyglądało to, jak kupa jakichś niesamowitych wnętrzności. Wtedy wyrwało mu się z ust

straszliwe wenusjańskie przekleństwo. Jednym skokiem wpadł do pokoju z pistoletem w dłoni i oparł się o framugę drzwi, dysząc i drżąc ze strachu. Yarol bowiem wiedział.

– Smith – krzyknął przerażonym głosem. – Northwest!

Masa na łóżku poruszyła się, jęknęła i opadła.

– Smith? Smith! – powtarzał Yarol wibrującym i nalegającym głosem, coraz silniej walcząc z narastającym strachem.

Jakiś silniejszy wstrząs poruszył nagle wnętrzościami na łóżku i spod tej drgającej masy wyłoniła się skórzana kurtka nawigatora kosmicznego.

– Smith! Northwest! – Yarol wołał teraz bez przerwy.

Z niewiarygodną powolnością ze środka tego czegoś, co leżało na łóżku, pojawił się Smith, lub człowiek, który nim kiedyś był. Jego twarz przypominała twarz trupa o nieruchomych oczach przepojonych niezrozumiałą dla śmiertelnych niezwykłą ekstazą.

– Wstań, Smith! Wstań! – syczał teraz Yarol bez przerwy. Smith takim samym, powolnym ruchem podniósł się z łóżka. Zachwiał się lekko, podczas gdy dwie lub trzy macki pieściły jego łydki, jakby przypominając mu co traci.

– Odejdź... Zostaw mnie – odezwał się matowym głosem przepojonym pamięcią chwil, których nie dane było przeżyć innym.

– Smith! Słyszysz mnie?

– Odejdź. Odejdź. Odejdź.

Czerwona masa na łóżku zaczęła się podnosić. Yarol oparł się mocniej o framugę, przypominając sobie imię dawno zapomnianego boga. Wiedział, co zaraz się wydarzy. I ta wiedza wystarczała, żeby czuł się jak sparaliżowany. Macki wreszcie rozchyliły się nieco, ustępując miejsca półludzkiej twarzy o kocich oczach, które błyszczały w ciemności jak diamenty.

– Boże! – szepnął Yarol, zasłaniając oczy ramieniem. – Smith! Słyszysz mnie?

– Odejdź – odparł głos, który nie był jednak głosem Smitha. Mimo że nie śmiał spojrzeć, wiedział, że istota odchyliła swoje okropne włosy. Czuł na sobie jej spojrzenie i słyszał w głowie jej głos nakazujący mu opuszczenie ramienia. Był stracony i wiedział o tym, ale to właśnie dodawało mu desperackiej odwagi. Mimo narastającego przerażenia nie stracił do końca głowy. Po omacku wyszukał ramię Smitha pokryte lepkiem śluzem i w tej samej chwili poczuł, że coś niesamowitą pieczątką owija mu się wokół kolana. Pierwsza fala odrażającej rozkoszy przeniknęła jego ciało. Zaraz potem nastąpiła druga i trzecia, w miarę jak kolejne macki dosięgały jego ciała. Tkwiąc już w oparach obłędu szarpał jednak oślizłą kurtkę Smitha, powtarzając w swoim rodzimym języku najgorsze przekleństwa. Nagle dostrzegł kątem oka lustro i jakieś dawne wspomnienie otrzeźwiło go na chwilę. Ostatkiem sił, patrząc w odbicie w lustrze, wycelował pistolet i nacisnął spust. Stracił przytomność.

*

– Smith – zawołał z oddali głos Yarola. – Northwest Smith, obudź się do cholery.

– Już... nie śpię – udało się wykrztusić Smithowi. – Co się stało?

– Wypij to, durniu – powiedział Yarol poirytowanym głosem. Smith wypił posłusznie. Segir przyjemnie palił mu gardło, przywracając go do życia. Powoli wracała pamięć.

– Mój Boże! – krzyknął, usiłując się podnieść.

Był jednak tak osłabiony, że zaraz opadł na łóżko. Zakręciło mu się w głowie.

– Na Boga, Smith! Nigdy nie pozwolę ci o tym zapomnieć. Następnym razem, kiedy będę w kłopotach, przypomnę ci to wszystko.

– W porządku. Nie zapomnę. Co właściwie się stało?

– Shambleau! Co ty z tym robisz? Skąd wzięło się to u ciebie?

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał poważnie Smith.

– Nie wiedziałeś?

– Może mi najpierw powiesz, co wiesz na ten temat. I poczęstuj mnie jeszcze odrobiną Segiru.

– Nie padniesz od takiej dawki? Dobrze się czujesz?

– Chyba tak. Wytrzymam. Mów.

– Nie wiem jak zacząć. Nazywają je Shambleau...

– Więc jest ich więcej?

– To jakaś rasa, jak sądzę. Jedna z najgorszych. Nazwa ma brzmienie francuskie, prawda? Ale

ich historia sięga początków życia. Shambleau istniały od zawsze.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Mało kto o nich słyszał. A ci, co wiedzą, niechętnie o tym mówią.

– A jednak połowa tego miasta je zna. Nie miałem wtedy najmniejszego pojęcia, o co im chodzi.

Dalej nie mam pojęcia.

– Czasami się pojawiają, ale kiedy tylko ludzie się o tym dowiedzą, rozpoczyna się pościg.

Potem mało kto o tym wspomina. To zbyt niewiarygodne.

– Skąd ona przyszła?

– Tego nikt nie wie dokładnie. Może z innej planety. Niektórzy mówią, że z Wenus – nawet w mojej rodzinie istnieje kilka dziwnych legend na ten temat. Nikt się nie orientuje, czym one są. Nie są ludźmi, mimo że tak wyglądają. Ich normalny wygląd to chyba te macki. Przybierają postać kobiety, żeby wzbudzić w mężczyznach pożądanie, bowiem ich pożywieniem są męskie siły witalne. Ci, którzy przeżyją pierwszy posiłek, przyzwyczajają się do tego, jak do narkotyku. I przez całe życie zachowują przy sobie Shambleau. Zresztą trwa to bardzo krótko, bo śmierć następuje po kilku tygodniach.

– Zaczynam rozumieć, czemu ta banda nagle zapałała do mnie taką odrazą – mruknął Smith.

– Próbowaleś z nią... rozmawiać?

– Tak. Nie mówiła zbyt dobrze. Zapytałem, skąd pochodzi. Powiedziała, że „z bardzo daleka w czasie i w przestrzeni”.

– Istnieją od najdawniejszych czasów. Nikt nie wie, kiedy pojawiły się po raz pierwszy. Czy pamiętasz legendę o Meduzie? Bez wątplenia starożytni Grecy je znali. Czy to oznacza, że Ziemia była kiedyś zamieszkała przez inne rasy niż ludzie? A jednak Shambleau pojawiła się w Grecji przed tysiącami lat. Jak się o tym pomyśli, to można oszaleć. Przypomniałem sobie o tej legendzie w ostatniej chwili i to uratowało nam obu życie. Perseusz zabił ją posługując się miedzianą tarczą jako zwierciadłem, bo nie chciał spojrzeć jej prosto w oczy. Zastanawiam się, czy ten Grek, który opowiadał innym legendę o Meduzie mógł w najśmielszych marzeniach pomyśleć, że parę tysięcy lat później jego opowieść uratuje życie dwóm facetom na zupełnie innej planecie.

Wiemy o nich tak mało, że można tylko snuć przypuszczenia. Podejrzewam na przykład, że prowadzą wędrowny tryb życia. Pojawiają się raz tu, raz tam. Nigdy się o nich wszystkiego nie dowiemy. Wiem tylko, że kiedy poczułem pierwszą z tych macek na swojej nodze wcale nie miałem ochoty jej zerwać.

– Wiem – mruknął cicho Smith i pogrzyził się we wspomnieniach ekstazy, którą przeżywał przez dwa dni, a która nauczyła go rzeczy, jakich nie można sobie wyobrazić w ciągu tysięcy lat.

– Mówisz, że one wracają? – odezwał się wreszcie. – A więc można sobie znaleźć jakąś inną?

Yarol przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Wreszcie przysiadł na brzegu łóżka i ujął dłońmi za ramiona.

– Smith – powiedział. – Nigdy cię o nic nie prosiłem, ale wiem, że mam prawo żądać byś dał mi słowo. Chcę, żebyś mi coś przyrzekł.

Błede oczy Smitha zamgłyły się. Pojawiło się w nich całe cierpienie i cała rozkosz, którą przeżył. Wreszcie mgła ustąpiła i Smith znów był sobą.

– Śmiało – odparł niepewnym głosem. – Przyrzeknę.

– Daj mi słowo, że jeżeli kiedykolwiek i gdziekolwiek napotkasz jeszcze w swoim życiu Shambleau, to wyciągniesz pistolet i spalisz ją w momencie, w którym przekonasz się, że to ona.

W pokoju zapadła cisza. Ciemne oczy Yarola utkwione były w oczach Smitha, Wenusjańczykowi nie drgnęła nawet powieka. Żyły na skroniach Smitha napięły się do granic wytrzymałości. Nigdy nie złamał danego słowa. Dał je może z sześć razy w całym swoim życiu, ale kiedy już dał, to nie był w stanie go złamać. Raz jeszcze w jego oczach pojawiła się mgła wspomnień. Raz jeszcze Yarol uważnie obserwował te nieludzkie przeżycia. Cisza w pokoju stawała się coraz cięższa.

Wreszcie raz jeszcze mgła ustąpiła i Smith wrócił do świata żywych.

– Spróbuję... – powiedział, ale w jego głosie pobrzmiwała wątpliwość.

Przełożył Tadeusz Markowski

O autorze

Catherine Lucille Moore (1911-1987) amerykańska autorka, od 1940 żona pisarza Henry'ego Kuttnera, z którym napisała wiele utworów, często pod wspólnymi pseudonimami jak Lewis Padgett, Keith Hammond, Lawrence O'Donnell. Własne utwory publikowała pod inicjałami, C. L. Moore.

Opowiadanie „Shamblau” to jej debiut prozatorski, z roku 1933. Opowiadanie to do dziś uważane jest za jeden z jej najlepszych utworów. A najwybitniejsze opowiadanie spółki Kuttner / Moore to „Tubylczykom spełły fajle”, zostało właśnie przypomniane w retrospektywnym tomie Henry'ego Kuttnera *Próżny robot*.

Po śmierci Kuttnera w 1958 roku Moore przestała właściwie pisać fantastykę, zajęła się scenariuszami telewizyjnymi. Pisała m. in. dla serialu „Maverick”. Jej najbardziej znane książki to *Jirel of joiry*, *Doomsday Morning*, *Mutant*, *Fury*, *Chessboard Planet*.

FINN O'DONNEVAN

Bezgłośny pistolet

„Bezgłośny pistolet” Finna O’Donnevana, w klasyczny sposób skupia się na jednym pytaniu: co by było, gdyby wyprodukowano cichą broń. Bezgłośne bronie oczywiście istnieją, bezgłośny jest sztylet (jeżeli nie liczyć jęku ofiary), to samo dotyczy dzidy, maczugi, szabli, bagnetu i wielu innych. Ale to są bronie skrytobójcze, na pojedyncze ofiary. Tam, gdzie stają naprzeciwko siebie oddziały, dźwięk odgrywa istotną rolę. Okrzyk „huraaa” miał zarówno terroryzować przeciwnika, jak i zagłuszać strach własnych żołnierzy. Niemcy w czasie wojny światowej używali samolotów stuka, z syrenami zamontowanymi w podwozia. Widziałem niezapomniane zdjęcia filmowe Szkotów, idących pod Tobrukiem do nocnego ataku na bagnety przy akompaniamencie orkiestry kobziarzy. O’Donnevan w charakterystyczny dla siebie paradoksalny sposób pokazuje, jak nieprzemyślane ulepszenia mogą okazać się szkodliwe. O’Donnevan to oczywiście nasz ulubieniec Sheckley.

Bezgłośny pistolet

Czy to trzasnęła gałązka? Dixon obejrzał się – odniósł wrażenie, że jakiś ciemny kształt znikł w podszyciu. Zamarł w bezruchu, wpatrując się w głąb lasu. Ale wszędzie panowało zupełne, całkowite milczenie. Wysoko nad głową jakiś drapieżny ptak szybował prawie bez ruchu i wyczekujący, pełen nadziei, rozglądał się po spalonym słońcem krajobrazie.

Nagle, wśród krzewów, rozległ się cichy, niecierpliwy kaszel.

Dixon rozumiał, że jest śledzony. Dotąd nie był tego pewien. Ale obecnie już wiedział, że niewyraźne, słabo widoczne kształty są rzeczywistością. Z początku pozwoliły mu iść samemu dróżką wiodącą do stacji sygnalizacyjnej i tylko przyglądały się czujnie, jakby coś rozważając. Obecnie były gotowe do działania.

Wydobył broń z kabury, sprawdził bezpiecznik, schował z powrotem i podjął wędrówkę.

Znów rozległo się kasznięcie. Coś szło cierpliwie jego śladem, czekając zapewne, aż opuści busz i wejdzie do lasu. Dixon uśmiechnął się sam do siebie.

Nic mu nie mogło zagrażać. Miał przecież broń.

Bez niej nie oddaliłby się tak znacznie od statku kosmicznego. Nie można przecież włóczyć się po obcej planecie. Lecz nie dotyczyło to Dixona. Na biodrze czuł broń doskonałą, zabezpieczającą zupełnie i całkowicie przed wszystkim, cokolwiek chodzi, pełza, lata czy pływa.

Ostatnie słowo w zakresie broni ręcznej, najznakomitszy środek obrony osobistej. Znów spojrzał za siebie. O jakieś pięćdziesiąt kroków za nim posuwały się trzy bestie. Z tej odległości wyglądały na psy czy hieny. Naszczekując, wolno posuwały się naprzód.

Dixon sięgnął po broń, ale postanowił na razie wstrzymać się z jej użyciem. Będzie na to dość czasu, kiedy bestie się zbliżą.

Alfred Dixon był niski, krępy, szeroki w ramionach, mocno zbudowany. Miał jasne włosy i jasne wąsiki, zakręcone na końcu do góry. Wąsiki te nadawały jego opalonej, zawadiackiej twarzy wyraz szczeroci. Stałym jego miejscem pobytu były szynki i knajpy na Ziemi. Zawsze w pomiętym, pobrudzonym polowym mundurze, zamawiał napoje głosem donośnym, zaczepnym i towarzyszy pijatyki przeszywał ostrym wzrokiem szarych oczu o metalicznym blasku. Z zamiłowaniem wyjaśniał im różnice między coltem a iglicowym rewolwerem Sykesa, tonem nieco wzgardliwym mówił o broni używanej na Marsie i na Wenus, tłumaczył, jak się zachować, gdy w gęstym buszu atakuje ramaryjski czołgoróg i jak się bronić przed napaścią skrzydlatych chyżobłysków.

Niektórzy uważali Dixona za blagiera, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć. Inni sądzili, że jest to w gruncie rzeczy, mimo całego swego zarozumiałstwa, porządny człowiek. Ma tylko nadmierne pojęcie o sobie, tłumaczyli. Ale śmierć czy kalectwo naprawi kiedyś ten defekt. Dixon był wielkim zwolennikiem broni ręcznej. Jego zdaniem podbój amerykańskiego Dzikiego Zachodu był po prostu próbą sił między łukiem i szybkostrzelnym coltem. Afryka? To karabin przeciw włócznie. Mars? Colt przeciw dwusiecznemu nożowi. Bomby wodorowe niszczyły miasta, ale kraje podbijał człowiek uzbrojony w broń ręczną. Po co szukać zawitych racji gospodarczych, filozoficznych czy politycznych, gdy wszystko jest tak proste? Dixon obdarzał pełnym zaufaniem broń doskonałą.

Obejrzał się wstecz i zauważył, że do trzech bestii przyłączyło się dalszych sześć. Nie skrywały się teraz, przyspieszyły tylko kroku wywiesiwszy długie języki.

Dixon postanowił zaczekać jeszcze chwilę. Wstrząs będzie tym większy.

Różne już zawody uprawiał w życiu: był badaczem, myśliwym, zwiadowcą, kosmonautą. Jak

dotąd jednak niewiele miał szczęścia. Inni zawsze trafiali jakoś na zagubione miasto, udawało im się zastrzelić rzadkiego zwierza czy znaleźć złotonośny strumień. On – nie. Ale cóż na to poradzić. Przyjmował swój los pogodnie. Obecnie był radiotechnikiem i kontrolował automatyczne stacje sygnalizacyjne na dziesięciu niezamieszkanym planetach. Ale co ważniejsze, miał przeprowadzić pierwszą próbę polową z najdoskonalszą bronią ręczną świata. Wynalazcy nowego pistoletu spodziewali się, że broń ta będzie powszechnie wprowadzona. Dixon zaś liczył, że w związku z tym zrobi karierę.

Doszedł do skraju lasu. Jego statek znajdował się o dwie mile stąd na małej polance. Wkraczając w ponury cień drzew usłyszał podniecone piski zwierząt nadrzewnych. Były pomarańczowo-niebieskie i przyglądały mu się uważnie z góry.

Las wywarł na Dixonie wrażenie afrykańskiej dżungli. Spodziewał się spotkania wielkiej zwierzyny i ustrzelenia co najmniej paru sztuk. Dzikie psy były już w odległości zaledwie dwudziestu kroków od niego. Szarobrunatne, wielkości jamników, miały paszcze hien. Niektóre z nich smykały przez podszycie usiłując przeciąć mu drogę.

Nadeszła chwila użycia broni.

Dixon wyciągnął ją z kabury. Broń miała kształt pistoletu, była ciężka i dość niewygodna. Wynalazcy zapowiedzieli udoskonalenie w przyszłości, polegające na zmniejszeniu wagi i poprawie kształtu. Ale Dixonowi odpowiadała taka właśnie, jaka była obecnie. Przyjrzał się broni z zadowoleniem, po czym odbezpieczył ją i nastawił na pojedynczy strzał.

Psie stado zbliżało się w podskokach, warcząc i ujadając, Dixon zmierzył i strzelił. Broń brzęknęła cichutko. W odległości stu kroków część lasu po prostu znikła.

Dixon wystrzelił pierwszy dezintegrator.

Z lufy o przekroju niecałego cala dobył się pęk promieni o średnicy dwunastu stóp. W lesie powstała próżna przestrzeń w kształcie stożka o zasięgu około stu metrów; w jej obrębie wszystko znikło bez śladu – drzewa, krzaki, trawy, owady, motyle i dzikie psy. Roślinność sięgająca powyżej stożka wyglądała jakby ją przecięto olbrzymią brzytwą.

Dixon ocenił, że w zasięgu wybuchu znalazło się co najmniej siedem psów. Siedem bestii za jednym półsekundowym wybuchem. Świetna broń, nie ma problemu celu czy odchylenia, jak przy broni zwykłej. Nie ma potrzeby ładowania na nowo, gdyż broń ta mogła działać osiemnaście godzin bez przerwy.

Broń doskonała.

Dixon włożył pistolet do kabury i poszedł naprzód. Dokoła panowała cisza. Stwory leśne rozważały zdarzenie. Po chwili jednak osłupienie minęło. Po drzewach nad głową Dixona znów skakać zaczęły pomarańczowo-niebieskie zwierzęta, ptak drapieżny znów szybował po niebie w towarzystwie innych czarnoskrzydłych ptaków. W zaroślach znów naszczekiwały dzikie psy. Nie dały za wygraną. Dixon słyszał, jak z obu stron posuwają się szybko, ukryte głęboko w leśnym podszyciu. Wydobył broń, zastanawiając się, czy bestie ośmielą się znów zaatakować.

Jakby w odpowiedzi, z krzaków tuż za nim wyskoczył łaciaty buldog. Brzęknęła broń, pies znikł w pół skoku, a drzewa zaszumiały, gdy powietrze z sykiem wypełniło nagle powstałą próżnię.

Jeszcze jeden pies rzucił się naprzód; Dixon zdeintegrował go. Przecież te bestie nie są chyba tak głupie... Dlaczego więc nie rozumieją oczywistości – że nie można mierzyć się z nim i z jego bronią? W całej galaktyce wszystkie stwory szybko uczyły się wystrzegać uzbrojonego człowieka. A tu jest inaczej. Dlaczego?

Trzy psy z trzech różnych kierunków rzuciły się bez żadnego ostrzeżenia. Dixon nacisnął spust i zniszczył je w okamgnieniu. Kłęb kurzu wypełnił próżnię.

Dixon zaczął nasłuchiwać. Cały las wypełniony był teraz głuchymi odgłosami szczekania. Zbliżały się inne stada. A zatem niczego się nie nauczyły?

Nagle prosta myśl rozświetliła mu sprawę. Nie mogły się przecież niczego nauczyć – nauka była zbyt subtelna. Broń unicestwiała wszystko szybko i bezgłośnie. Psy w jej zasięgu po prostu znikają. Nie było czasu na jęki konania, wycie, piski czy ryki. Przede wszystkim zaś nie było odgłosu strzału, który by je zadziwił i przeraził, nie było zapachu prochu, nawet szczęknięcia pocisku wprowadzanego do lufy.

Może więc, myślał Dixon, nie są dość sprytnie, by zrozumieć, że ta broń zabija. Może nie pojmują tego, co się dzieje. Może sądzą, że jestem bezbronny?

Przyspieszając kroku zagłębił się dalej w las. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, perswadował sobie. Bestie może nie rozumieją, że broń zabija, ale przecież ona zabija. Trzeba jednak będzie zażądać, aby nowe modele wydawały jakiś odgłos. Nic prostszego.

Stwory na drzewach rozzuchwalały się na dobre i obnażając kły opuszczały się teraz niemal do poziomu głowy Dixona. Chyba są mięsożerne, pomyślał. Strzelił i poczynił wielkie spustoszenie wśród drzew. Zwierzęta uciekły z wrzaskiem, a z góry spadł deszcz gałązek i liści. Nawet psy czmychnęły, wylęknione.

Dixon zaśmiał się i zaraz potem upadł, silnie uderzony w ramię przez dużą gałąź. Broń wypadła mu z ręki i wylądowała w odległości dziesięciu stóp, odbezpieczona, siejąc dokoła zniszczenie. Wygramoliwszy się spod gałęzi Dixon sięgnął po pistolet. Ubiegło go jedno z nadrzewnych zwierząt.

Dixon padł twarzą na dół. Zwierzę piszcząc zwyczajnie wymachiwało dokoła pistoletem. Olbrzymie drzewa, równo przecięte, spadały na ziemię, porytą i zasłaną zwałami gałęzi i liści. Wybuch z pistoletu obalił drzewo tuż obok Dixona i porył ziemię przy samej jego nodze. Dixon odskoczył i gwałtownie się pochylił, cudem ocalając głowę.

Stracił już teraz wszelką nadzieję. Ale zwierzę, zaintrygowane trzymaną w ręku bronią, próbowało zajrzeć do lufy. W tej samej jednak chwili straciło głowę w sposób bezszelestny. Dixon wykorzystał tę chwilę. Skoczył naprzód i odzyskał pistolet, zanim pochwyciło go inne zwierzę. Wyłączył spust automatu.

Psy wróciły i bacznie przyglądały się człowiekowi. Ale Dixon nie ośmielił się strzelać. Ręce tak mu drżały, że niebezpieczeństwo było równie wielkie dla niego, jak dla psów. Utykając powłókł się w stronę statku. Psy szły jego śladem.

Człowiek szybko się opanował. Spojrzał na trzymaną w ręku broń. Budziła w nim teraz szacunek, a nawet strach. Obawiał się jej znacznie bardziej niż psy, które najwidoczniej wcale nie łączyły zniszczenia w lesie z pistoletem, przypisując je zapewne nagłej burzy.

Burza jednak minęła i psy rozpoczęły łowy na nowo.

Dixon strzelał raz po raz, torując sobie drogę w gęstych zaroślach. Psy towarzyszyły mu z obu stron, dotrzymując kroku. Były ich teraz dziesiątki.

Do licha, pomyślał, czy nie liczą swych strat? Uprzytomnił sobie jednak, że zapewne nie umieją rachować.

Był już teraz niedaleko statku. Drogę zagradzał ciężki pień. Dixon chciał przeskoczyć, gdy pień nagle ożył i rozwarł olbrzymie szczęki. Dixon skierował pistolet w dół i uruchomił go na trzy sekundy. Stwór znikł, ale Dixon wpadł nagle w świeżo powstałą jamę. Psy otoczyły go warcząc i naszczekując. Dwoma strzałami oczyścił brzeg jamy i mimo zwichniętej kostki usiłował się wydostać. Ale ściany rozpadliny były strome i gładkie jak szkło. Jeszcze jeden wysiłek – bez skutku. Zaczął więc myśleć. Przez broń znalazł się w jamie, dzięki broni musi się więc wydostać. Naciął jedną ze ścian, dzięki czemu zdołał się wygramolić na powierzchnię. Stąpał z trudem, ale jeszcze

bardziej dokuczał mu ból w ramieniu. Wyciął kij i powoli ruszył naprzód.

Psy raz po raz rzucały się do ataku. Unicestwiał je tyle razy, że zmęczenie zaczęło mu się coraz bardziej dawać we znaki. Sępy spadły na ścierwo. Dixon czuł, że ciemnieje mu w oczach. Przemógł się, nie wolno mu zemdleć, póki psy są w pobliżu. Statek było już widać. Próbował biec, ale natychmiast upadł. Obskoczyły go psy. Strzelił, przecinając dwa psy i odstrzeliwując sobie czubek prawego buta. Wstał z trudem i poszedł w stronę statku.

Piękna broń, myślał. Niebezpieczna dla wszystkich – łącznie z tymi, którzy jej używają. Chciałby dostać w swe ręce wynalazcę. Co za pomysł! Broń bezgłośna!

Dotarł wreszcie do statku. Nie zdążył otworzyć komory wyjściowej, gdy znów opadły go psy. Unicestwił najbliższe dwa i wczołgał się do środka. Mąciło mu się w głowie, odczuwał silne mdłości. Ostatkiem sił zatrzasnął drzwi komory i usiadł. Nareszcie jest bezpieczny.

Wtedy usłyszał obok siebie chrobot. Zamknął ze sobą jednego z psów.

Czuł się za słaby, by władać ciężką bronią, zdołał ją jednak unieść. Pies, ledwie widoczny w ciemnym wnętrzu statku, skoczył na niego. Dixon był przekonany, że nie uda mu się uruchomić pistoletu. Bestia sięgała mu już do gardła. Odruchowo zacisnął jednak dłoń. Zwierzę pisnęło i zamilkło. Dixon stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, długi czas leżał nieruchomo napawając się cudownym uczuciem, że żyje. Postanowił odpocząć jeszcze parę minut, a potem zabierać się stąd czym prędzej. Zasztywnieje się w jakiejś knajpie na Ziemi i upije się do nieprzytomności. A potem odszuka wynalazcę broni i wtłoczy mu jego cudo w gardło. Tylko niebezpieczny wariat mógł wynaleźć bezgłośną broń.

Tak, ale to wszystko potem. A teraz można po prostu cieszyć się życiem, leżeć sobie w słońcu...

W słońcu? Słońce w statku kosmicznym?

Skoczył na równe nogi. U jego stóp widniały szczątki zabitego psa. A tuż obok zygzakowatą linią przebiegała długa szpara w ścianie statku. To tędy przedostawało się światło słoneczne. Przez szparę widać było sylwetki zwierząt zaglądających do środka. Zabijając tamtą bestię Dixon sam zrobił tę szparę. Rozejrzał się i dostrzegł inne jeszcze otwory. Jak to się stało?

Ach tak! Przecież torując sobie drogę musiał nieraz trafić w statek! Przyjrzał się uszkodzeniu. Dobra robota, nie ma co! Tu naruszone dwie tablice rozdzielcze. Tu zaś do niedawna stało radio. Tam za jednym zamachem przedziurawione zostały zbiorniki tlenu i wody. A do tego wszystkiego przestrzelone przewody doprowadzające paliwo. Zgodnie z prawem ciężenia paliwo utworzyło kałużę na ziemi pod statkiem. Jak na kogoś, kto się wcale o to nie starał, myślał obłądnie Dixon, to wcale nieźle!

*

W rok później, gdy Dixon nadal się nie zgłaszał, wysłano drugi statek, aby urządzić mu przyzwoity pogrzeb, jeśli uda się odnaleźć jakieś szczątki, i przywieźć prototyp nowej broni.

Statek ratowniczy wylądował w pobliżu statku Dixona i załoga z zaciekawieniem obejrzała szparę i inne uszkodzenia.

– Są faceci – powiedział inżynier – którzy nie potrafią obchodzić się z bronią.

– Ano tak – potwierdził główny pilot. Od strony lasu rozległy się odgłosy uderzeń. Ruszyli w tamtym kierunku. Dixon podśpiewywał sobie przy pracy. Drewniany szalasy otoczony był ogródkiem warzywnym, zabezpieczonym palisadą. Dixon wbijał właśnie nowy palik w miejsce przegniłego.

– A więc żyjesz! – zawołał jeden z załogi.

– Jak widzicie – odparł Dixon. – Zaczekajcie, aż skończę naprawiać płot. Ohydne bestie te psiska! Ale nauczyłem je rozumu.

Dixon z uśmiechem wskazał łuk z mocnego, giętkiego pręta, oparty o palisadę. Obok znajdował

się zapas strzał.

– Nabrały szacunku – dodał – kiedy kilku z nich wsadziłem strzałę.

– A broń? – spytał pilot.

– Przydała się! – zawołał Dixon z wesołym błyskiem w oku.

– Nie dałbym sobie bez niej rady.

I zabrał się na powrót do pracy. Wtedy dopiero spostrzegli, że wbija palik ciężką, płaską rękojeścią pistoletu.

Przełożył Julian Stawiński

O autorze

Finn O'Donnevan to pseudonim literacki Roberta Sheckleya (1928-2005) amerykańskiego pisarza science fiction, jednego z najbardziej znanych autorów lat 50. i 60. Rozpoznawalny zwłaszcza dzięki znakomitym opowiadaniom, bo powieści miewał nadzwyczaj nieudane. Chociaż przyciągały filmowców, jak *Dziesiąta ofiara* (film z Marcello Mastroiannim i Ursulą Andress pod tym samym tytułem) czy *Nieśmiertelność na zamówienie* (film Freejack z Mickiem Jaggerem).

Debiutował w 1952 roku opowiadaniem „The Final Examination”. Związał się z *Galaxy*, które poszukiwało żartobliwych opowiadań z wartką akcją. W ciągu kilkunastu lat opublikował 3 powieści w odcinkach i 106 opowiadań, część pod pseudonimem Finn O'Donnevan i Phillips Barbee. W czasopiśmie opowiadania, jakie pisał Sheckley zawsze były bardzo potrzebne. Kupowały jego teksty *Analog*, *F&SF* oraz *Playboy*.

Tym, co do dzisiaj podoba się w opowiadaniach Sheckleya jest niewymuszony humor, lekkość stylu zwięzłość oraz zaskakująca puenta, dość rzadko spotykane umiejętności wśród współczesnych pisarzy. W jego rękach klasyczne tematy SF: podróż w czasie, kontakt z Obcymi, wojna w kosmosie, przeludnienie, artefakty zmieniały się w prawdziwe perełki literackie.

W Polsce znany z kilku słabych powieści i kilku zbiorów najlepszych opowiadań, w tym: *Pielgrzymka na Ziemię*, *Bilet na Tranai*, *Diabelska maszyna*, *Obywatel Galaktyki*.

Co ciekawe, jego błyskotliwe i niezwykle popularne opowiadania nie podobały się krytyce i był pomijany w konkursach literackich, jako jedyny z amerykańskiej czołówki pisarzy SF nigdy nie otrzymał nagrody Hugo czy Nebula.

ROGER ZELAZNY

Aleja Potępienia

Nowela Rogera Zelaznyego „Aleja Potępienia”, opublikowana w jednym z pierwszych numerów „Fantastyki” w 1983 roku z miejsca postawiła tego amerykańskiego pisarza w rzędzie ulubionych przez polskich czytelników autorów. Urzekł wizją Ameryki zniszczonej przez nieznaną katastrofę, pustoszonej przez pogodowe kaprysy, a jednocześnie próbującej żyć normalnie.

Ale tym, co w opowiadaniu najbardziej nas uwiodło był bohater, Czart Tanner, samotny jeździec, easy rider, jakby żywcem wzięty z legend Dzikiego Zachodu – niepokorny, żyjący po swojemu. Swobodni jeźdźcy byli jak dzikie mustangi na prerii, gnali przed siebie, za nic mając życie płynące leniwie wokół nich.

Nowela była nominowana do Hugo w 1968 roku.

Aleja Potępienia

I

Tuż obok zanurkowała mewa. Przez chwilę wydawało się, że zawisła nieruchomo w powietrzu na szeroko rozpostartych skrzydłach.

Czart Tanner cisnął w nią niedopałkiem cygara i zaliczył celne trafienie. Ptak wydał ochryply krzyk, wzbił się gwałtownie w górę i czy wrzasnął ponownie, tego Tanner nigdy już się nie dowiedział.

Ptak odleciał.

Na tle fioletowego nieba kołysało się jedno jedyne siwe piórko. Spychane wiatrem poza krawędź urwiska, opadało na ocean, wirując wokół własnej osi. Do jednostajnego wycia wichru i grzmotu tłukących o brzeg fal dołączył się chichot zadowolonego z siebie Tannera. Spuścił nogi z kierownicy motocykla, złożył kopniakiem podpórkę. Ryknął zapuszczany silnik.

Brał wolno pochyłość terenu, dopóki nie dotarł do szlaku, tam przyspieszył i kiedy wpadał na autostradę strzałka licznika stała już na pięćdziesiątce.

Miał całą drogę dla siebie, pochylił się więc nad kierownicą i gnał przed siebie, dociskając do dechy pedał gazu. Na oczy nasunął gogle i oglądał świat przez szkła koloru ekskrementów, co było mniej więcej sposobem, w jaki nań patrzył także bez nich.

Z jego kurtki zniknęło całe stare żelastwo. Stracił swastykę oraz, nad czym bolał najbardziej, uniesiony ku górze kciuk. Zerwali mu również jego emblemat. Może zdoła zdobyć taki w Tijuanie i poderwie jakąś dziwkę, która mu go naszyje i... Nie. Dość tego. Z tamtym już koniec. Zdradziłyby się i nie doczekał końca dnia. Zrobi tak: sprzeda harleya, czysty i nie zwracający uwagi przedostanie się wybrzeżem na południe i zobaczy, co można zdziałać w drugiej Ameryce.

Zjechał na luzie z jednego wzgórza i z ogłuszającym rykiem silnika wdarł się na następne. Mknął autostradą, mijając po drodze Laguna Beach, Capistrano Beach, San Clemente i San Onofre. Zatrzymał się w Oceanside, gdzie zatankował, a potem pojechał dalej przez Carisbad i wszystkie te zapomniane, małe plaże, wypełniające wybrzeże przed Solana Beach Del Mar. Czekali na niego na peryferiach San Diego.

Spostrzegł blokadę drogi i zawrócił. Nie wierzyli własnym oczom, że przy prędkości jaką rozwijał, zdołał tego dokonać tak szybko, faktem jednak było, iż teraz oddalał się od nich. Usłyszał strzały, ale nie zatrzymywał się. Potem doszedł go jęk syren.

W odpowiedzi nacisnął dwukrotnie swój klakson i jeszcze niżej pochylił się nad kierownicą. Pędząc tak z wiatrem w zawody, zastanawiał się, czy nawiązali już kontakt radiowy z kimś, oczekującym go na trasie.

Uciekał dziesięć minut i nie mógł zgubić pościgu. Nie udało się to również po piętnastu minutach.

Wspiął się na szczyt kolejnego wzgórza i daleko przed sobą dostrzegł drugą blokadę. Wzięli go w dwa ognie.

Rozejrzał się za jakąś boczną drogą. Nie było żadnej.

Pędził więc dalej, kierując się prosto na drugą blokadę. Może uda się ją sforsować.

Niedobrze!

Samochody ustawione były jeden za drugim w poprzek całej drogi. Stały również na poboczach.

Zahamował w ostatniej chwili i, gdy prędkość spadła do rozsądnych granic, poderwał w górę przednie koło, obrócił motocykl na tylnym i dodając gazu pomknął na spotkanie swych prześladowców.

Nadjeżdżało ich sześciu, a za plecami rozlegało się już wycie nowych syren.

Przyhamował ponownie, zjechał na lewą stronę drogi i kopiąc pedał gazu zeskokczył z siodełka. Harley pojechał dalej sam, a on rąbnął o ziemię, potoczył się po niej, zerwał na nogi i zaczął uciekać.

Biegając, słyszał piski opon, słyszał łomot zderzenia, ale nie oglądał się za siebie. Strzelanina przybrała teraz na sile. Chcieli go żywego i celowali nad jego głową, nie wiedział jednak o tym.

Po piętnastu minutach przyparli go do skalnej ściany i otoczyli wachlarzem. Kilku miało karabiny, ale żaden nie był skierowany na niego.

Rzucił na ziemię łyżkę do opon i uniósł ręce w górę.

– Macie ją, obywatele – powiedział. – Zabierzcie ją sobie.

Tak też zrobili.

Potem skuli mu ręce kajdankami i zaprowadzili do pozostawionych na drodze samochodów. Wepchnęli go na tylne siedzenie jednego z nich, a po obu jego stronach zajęli miejsca funkcjonariusze policji. Jeszcze jeden usiadł z przodu obok kierowcy i ten trzymał na kolanach karabin z upiłowaną lufą.

Kierowca zapuścił silnik, wrzucił bieg i zawracając ruszył drogą numer 101 na północ.

Mężczyzna z karabinem odwrócił się i patrzył na Tannera przez szkła z podwójną ogniskową, za którymi jego oczy, kiedy pochylił głowę, wyglądały jak wypełnione zielonym piaskiem klepsydry. Gapił się tak może z dziesięć sekund, a potem powiedział:

– To było głupie z twojej strony, Tanner.

Czart Tanner patrzył na niego bezmyślnie, więc mężczyzna dodał:

– Bardzo głupie, Tanner.

– O, nie wiedziałem, że pan mówi do mnie.

– Przecież patrzę na ciebie, synu.

– Ja też na pana patrzę. Halo, tam.

– Szkoda, że musimy dostarczyć go w dobrej formie, co? – odezwał się nie odrywając oczu od drogi kierowca. – Rozwalił przecież tym swoim cholernym motocyklem drugi wóz.

– Może jeszcze mieć wypadek – powiedział mężczyzna siedzący po lewej ręce Tannera. – Dajmy na to, może upaść i złamać sobie ze dwa żebra.

Mężczyzna z prawej nie odezwał się, ale człowiek z karabinem wolno potrząsnął głową.

– Nie może, chyba że próbowałby ucieczki – powiedział. – LA chce go w dobrej kondycji.

– Czemu próbowałeś nawiać, chłopie? Mogłeś się spodziewać, że i tak cię złapiemy.

Tanner wzruszył ramionami.

– Dlaczego mnie przyskrzyniliście? Przecież nic nie zrobiłem.

Kierowca zachichotał.

– Właśnie dlatego – powiedział. – Nic nie zrobiłeś, a miałeś coś zrobić, pamiętasz?

– Nic nikomu nie obiecywałem. Ułaskawili mnie i wypuścili z mamra.

– Masz kiepską pamięć, dzieciń. Obiecałeś coś Państwu Kalifornijskiemu, kiedy cię wczoraj zwalniali. Na załatwienie swoich spraw miałeś już więcej niż dwadzieścia cztery godziny, o które prosiłeś. Jak chcesz, to możesz im powiedzieć „nie” i zarobić cofnięcie amnestii. Nikt cię nie zmusza. Potem możesz spędzić resztę życia robiąc małe kamyczki z większych. Mniej nie moglibyśmy

ci załatwić. Słyszałem zresztą, że mają już kogoś na twoje miejsce.

– Dajcie mi papierosa – powiedział Tanner.

Mężczyzna z prawej przypalił papierosa i podał go Tannerowi.

Przyjął go podnosząc obie ręce. Palił, strząsając popiół na podłogę.

*

Pędzili autostradą, a kiedy przejeżdżali przez miasteczka, lub natykali się na wzmożony ruch, kierowca uruchamiał syrenę i na dachu samochodu zaczynało migotać czerwone światło. Wtedy rozlegało się również wycie syren dwóch wozów patrolowych jadących za nimi. Przez całą drogę do LA kierowca ani razu nie dotknął hamulca i co kilka minut łączył się przez radio z bazą.

Powietrzem targnął nagle grzmot, który można by porównać do odgłosu towarzyszącego przekraczaniu bariery dźwięku, i z góry runęła na nich lawina pyłu i żwiru. W prawym dolnym rogu przedniej, kuloodpornej szyby pojawiła się maleńka rysa.

O dach i maskę samochodu bębniły kamienie wielkości pieści. Opony chrzęściły na żwirze zaścielającym teraz całą nawierzchnię drogi. Kurz wisiał w powietrzu niczym gęsta mgła, ale wyjechali z niego po dziesięciu sekundach.

Mężczyźni w samochodzie pochylając się patrzyli z napięciem w górę.

Niebo przybrało barwę purpury, przecinały je czarne linie przesuwające się z zachodu na wschód. Pęczniały, zwężały się, poruszały na boki, to znów zlewały się ze sobą. Kierowca już wcześniej włączył światła.

– Znosi się na coś poważniejszego – powiedział mężczyzna z karabinem. Kierowca kiwnął głową.

– Dalej na północ wygląda to jeszcze gorzej – stwierdził.

Gdzieś wysoko w górze rozległo się zawroźnienie, a czarne pasma poszerzały się nieustannie. Dźwięk przybrał na sile i, zatracając swój śpiewny charakter, przerodził się w jednostajny ryk.

Pasma zlały się ze sobą i niebo pociemniało, jak podczas bezgwiazdnej, bezksiężycowej nocy. Pył opadał wokół gęstymi chmurami. Od czasu do czasu słyszeli łomot, świadczący o trafieniu samochodu przez większy odłamek skały.

Kierowca przełączył reflektory na światła terenowe, ponownie uruchomił syrenę i pędził przed siebie na złamanie karku. W górze, nad nimi, jęk syreny i ryk nieba walczyły ze sobą o prymat, a daleko na północy, pulsując, zaczęła się rozlewać niebieska zorza.

Tanner skończył papierosa i mężczyzna podał mu następnego. Palili teraz wszyscy.

– Masz szczęście, że cię schwytaliśmy, chłopie – odezwał się mężczyzna z lewej. – Co byś powiedział, gdyby ci tak przyszło pruć teraz przez ten farsz na swoim motocyklu?

– Nic. Lubię to robić – odparł Tanner.

– Ty masz chyba nierówno pod sufitem.

– Nie. Już mi się to zdarzało. To by nie było pierwszy raz.

Kiedy dojeżdżali do Los Angeles, niebieska zorza zalewała już pół nieba, a ono samo miało odcień różowy i przecinały je smugi żółtego dymu, sięgające, niczym nogi pająka, daleko na południe. Ryk był tak ogłuszający, iż wydawało się, że powietrze wypełnia jakaś gęsta substancja, napierająca na bębniaki uszu i powodująca mrowienie skóry. Kiedy wysiedli z samochodu i przecinali dziedziniec, kierując się w stronę wielkiego, podpartego kolumnami budynku o przyozdobionej fryzmem ścianie frontowej, musieli krzyżeć, aby wzajemnie się słyszeć.

– Szczęście, że zdążyliśmy – wrzeszczał mężczyzna z karabinem. – Prędej!

Przyspieszając kroku dopadli do schodów.

– Teraz może się zacząć w każdej chwili – krzyknął kierowca.

II

Kiedy wjeżdżali na dziedziniec, igrające na ścianach refleksy przesuwającej się po niebie zorzy upodobiały budynek do lodowej rzeźby, rzucającej wokół zimne cienie. Teraz znów przypominał on bryłę wosku, gotową stopnieć w nagłym podmuchu ciepła.

Twarze mężczyzn i skóra na ich dłoniach nabrały bezkrwistego, trupio sinego koloru. Wbiegli szybko po schodach. Człowiek z patrolu stanowego wpuścił ich do środka przez furtkę widniejącą w murze tuż obok ciężkiej, podwójnej, metalowej bramy, stanowiącej główne wejście do budynku. Na widok Tannera, strażnik odpiął kaburę. Szybko zatrzasnął za nimi drzwi, blokując je łańcuchem.

– Którędy? – spytał człowiek z karabinem.

– Drugie piętro – odparł strażnik, wskazując ruchem głowy schody. – Kiedy wejdziecie na górę, cofnijcie się korytarzem do samego końca. Jest tam duże biuro.

– Dzięki.

Ryk szalejących na zewnątrz żywiołów docierał tutaj znacznie stłumiony, a sztuczne oświetlenie przywracało postaciom i przedmiotom ich normalny wygląd.

Wspięli się krętymi schodami na drugie piętro i poszli korytarzem prowadzącym w głąb budynku. Przystając przed ostatnimi drzwiami, człowiek z karabinem skinął na kierowcę.

– Zapukaj.

Drzwi otworzyła kobieta. Zaczęła coś mówić, ale na widok Tannera przerwała i odstąpiła na bok, przytrzymując drzwi.

– Wejdźcie – powiedziała, czyniąc zapraszający ruch głową.

Mijając ją, wkroczyli do biura. Kobieta nacisnęła wmontowany w jej biurko przycisk.

– Tak, pani Fiske? – spytał jakiś głos.

– Są tu z tym człowiekiem, sir.

– Proszę ich wprowadzić.

Podeszła do wyłożonych ciemną boazerią drzwi w głębi pokoju i otworzyła je przed przybyłymi. Weszli do gabinetu. Siedzący za biurkiem przykrytym szklaną taflą, krępy mężczyzna odchylił się na oparcie fotela. Splatając na karku dłonie o krótkich palcach, obrzucił ich spojrzeniem oczu o jeden zaledwie ton ciemniejszych od jego siwej czupryny. Gdy przemówił, głos miał cichy i nieco chrapliwy.

– Usiądź – zwrócił się do Tannera. – A wy poczekajcie na zewnątrz.

– Panie Denton, ten gość jest niebezpieczny – odezwał się człowiek z karabinem, gdy Tanner siadał na krześle odsuniętym na pięć stóp od biurka.

Wszystkie trzy okna gabinetu zasłonięte były żaluzjami i chociaż mężczyźni nie widzieli co dzieje się na zewnątrz, to mogli domyślać się jednak potęgi szalejących tam furii. Przez pokój przeszedł nagle dźwięk przypominający serię z karabinu maszynowego.

– Wiem.

– No właśnie. Na wszelki wypadek skuliśmy go kajdankami. Ma pan pistolet?

– Mam.

– No to dobrze. Będziemy obok.

Wycofali się z gabinetu.

Dopóki drzwi nie zamknęły się za nimi, dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie człowiek nazwiskiem Denton odezwał się:

– Jak, do diabła, brzmi naprawdę twoje imię? Nawet w aktach...

– Czart – wpadł mu w słowa Tanner. – Mam na imię Czart. Byłem siódmym bachorem w naszej rodzinie i kiedy przyszedłem na świat, akuszerka uniosła mnie w górę i spytała starego, jakie imię dla mnie wybrał, na co tatuś zaklął „A, czarta tam” i wyszedł trzaskając drzwiami. No i tak mi wpisała do świadectwa urodzin. Opowiadał mi o tym brat. Sam nigdy nie widziałem mojego staruszka, nie mogłem więc go zapytać, jak to było naprawdę. Tego samego dnia wyciągnął kopyta. Myślę jednak, że tak mogło być.

– A więc całą waszą siódemkę wychowywała matka?

– Nie. Matka uderzyła w kalendarz w dwa tygodnie później i różni krewni nas przygarnęli.

– Rozumiem – powiedział Denton. – Ciągłe jeszcze masz prawo wyboru. Decyduj. Będziesz próbował, czy nie?

– A kim pan w ogóle jest? – spytał Tanner.

– Jestem Inspektorem Ruchu Drogowego na Państwo Kalifornijskie.

– Nie rozumiem, co Zarząd Dróg może mieć wspólnego z tą aferą?

– Jestem koordynatorem całej akcji. Równie dobrze mógłby nim być Naczelny Chirurg, czy Naczelny Poczmiistrz, ale większość posunięć z nią związanych leży w zakresie moich kompetencji. Ja najlepiej znam się na sprzęcie. Ja najlepiej mogę ocenić szansę...

– A jakie są szanse? – przerwał mu Tanner. Denton po raz pierwszy spuścił oczy.

– No cóż, to ryzykowne przedsięwzięcie...

– Nikt jeszcze tego nie dokonał, nie licząc faceta, którzy przebył tę trasę, żeby przynieść nam wieści. Ale on już nie żyje. Jak na takiej podstawie może pan mówić o jakichś szansach?

– Wiem – powiedział wolno Denton. – Myślisz, że to robota dla samobójcy i chyba masz rację. Wysyłamy trzy samochody, po dwóch kierowców w każdym. Jeśli któryś z nich zdoła zbliżyć się przynajmniej na dostateczną odległość, to wysyłane przez niego sygnały radiowe mogą posłużyć za wskazówkę dla kierowcy z Bostonu. Nikt cię nie zmusza, żebyś jechał, ale sam wiesz.

– Wiem. Mogę sobie w zamian spędzić resztę życia w mamrze.

– Zabiłeś troje ludzi. Mogłeś dostać karę śmierci.

– Ale nie dostałem, a więc nie ma o czym gadać. Niech pan posłucha. Nie chcę ani umierać, ani nie odpowiada mi ta druga ewentualność.

– Jedziesz, albo nie jedziesz. Decyduj się. Pamiętaj tylko, że jeśli się tego podejmiesz i uda ci się dojechać, wszystko zostanie ci puszczone w niepamięć i możesz sobie iść gdzie chcesz. Państwo Kalifornijskie zapłaci nawet za ten motocykl, który sobie przywłaszczyłeś, a potem rozbiłeś, nie wspominając już o uszkodzonym wozie policyjnym.

– Wielkie dzięki – odparł Tanner.

Wiatr zawodził za ścianą, a pokój wypełniał nieustający klekot okiennic.

– Jesteś bardzo dobrym kierowcą – podjął po chwili Denton. – Prowadziłeś chyba każdy pojazd, który można prowadzić. Ścigałeś się nawet. Kiedyś, gdy jeszcze bawiłeś się w kontrabandę, robiłeś co miesiąc wypadły do Salt Lake City. Nawet dzisiaj niewielu jest kierowców, którzy się na to odważą.

Czart Tanner uśmiechnął się na wspomnienie jakiegoś epizodu z tamtych czasów.

– ... Oprócz tego, byłeś jedynym człowiekiem, który dostarczał pocztę do Albuquerque. Nawiasem mówiąc, było to jedyne uczciwe zajęcie w twoim życiu. Od kiedy cię wylali, dokonało tego niewielu.

– To nie było z mojej winy.

– Byłeś też najlepszy w wypadzie do Seattle – ciągnął dalej Denton. – Tak twierdzi twój zwierzchnik. Z tego co powiedziałem wynika, że ze wszystkich, których udało nam się zwerbować, ty

prawdopodobnie masz największą szansę przedostania się przez kontynent. Dlatego do tej pory pobrażaliśmy ci, ale nie możemy już czekać dłużej. Tak albo nie. I to teraz. Jeśli to będzie tak, wyruszasz przed upływem godziny.

Tanner uniósł skute kajdankami dłonie i uczynił nimi gest w kierunku okna.

– W tę całą bryndzę? – spytał.

– Te samochody mogą stawić czoło burzy – odparł Denton.

– Człowieku, tyś oszalał.

– Nawet w tej chwili, gdy my tu tracimy czas na próżne dyskusje, tam umierają ludzie – powiedział Denton.

– No to paru mniej, czy paru więcej nie robi wielkiej różnicy. Nie możemy poczekać do jutra?

– Nie! Człowiek oddał życie, aby przynieść nam wezwanie o pomoc! Musimy przedostać się jak najszybciej przez kontynent i to natychmiast. Później nie będzie już po co! Burza, nie burza, samochody wyruszają teraz! Twoje zdanie w tej sprawie nic mnie nie obchodzi! Chcę od ciebie usłyszeć tylko jedno słowo, Czart: w którym wozie pojedziesz?

– Chciałbym coś zjeść. Nie jadłem...

– Żywność jest w samochodzie. Jaka jest twoja decyzja?

Czart gapił się na ciemne okna.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Pojadę dla pana Aleją Potępienia. Ale nie ruszę się stąd bez świstka z odpowiednim tekstem.

– Mam go tutaj.

Denton otworzył szufladę i wydobyl z niej grubą kartonową kopertę, a z koperty wyciągnął dokument opatrzone Wielką Pieczęcią Państwa Kalifornijskiego. Wstał, wyszedł zza biurka i wręczył go Tannerowi.

Czart studiował dokument przez kilka minut, wreszcie odezwał się.

– Tu jest napisane, że jeśli dotrę do Bostonu, zostanę objęty pełną amnestią i wszystkie czyny kryminalne, jakich kiedykolwiek dopuściłem się w granicach Państwa Kalifornijskiego ulegną przedawnieniu.

– Zgadza się.

– Czy przedawnienie dotyczyć będzie również tych przestępstw, które nie wyszły jeszcze na jaw, a ktoś się ich potem dokopie?

– Przecież jest tam wyraźnie napisane, Czart – „wszystkie czyny kryminalne”.

– W porządku. Wygrałeś, grubasku. Zdejmij mi teraz te bransoletki i pokaż mi mój samochód.

Człowiek zwany Dentonem wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Pozwól Czart, że coś ci przedtem powiem – odezwał się. – Jeśli będziesz próbował urwać się gdzieś po drodze, to wiedz, że pozostałym kierowcom wydano odpowiednie polecenia i zgodzili się do nich stosować. Otworzą ogień i zamienią cię w kupkę popiołu. Pojąłeś?

– Pojąłem – powiedział Tanner. – Przypuszczam, że w razie czego mam ich potraktować w podobny sposób?

– Dobrze przypuszczasz.

– Nieźle. To może być zabawne.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

– Nawet nie wie pan jak. Przekona się pan, jak mnie pan rozkuje.

– Nie zdejmę ci kajdanek, dopóki nie powiem, co o tobie myślę.

– W porządku, jeśli chce pan tracić czas obrzucając mnie wyzwiskami, gdy tam umierają ludzie...

– Zamknij się! Nic cię oni nie obchodzą i dobrze o tym wiesz! Chcę ci tylko powiedzieć, że dla mnie jesteś najpodlejszym, najbardziej zasługującym na pogardę typem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zabijałeś mężczyzn i gwałciłeś kobiety. Raz, tak sobie, dla zabawy, wyłupiłeś człowiekowi oczy. Byłeś trzykrotnie stawiany w stan oskarżenia za ćpanie narkotyków i dwukrotnie za stręczycielstwo. Jesteś alkoholikiem i degeneratem i pewien jestem, że nie kapałeś się od dnia narodzin. Ty i twoja banda terroryzowaliście przyzwoitych ludzi, gdy po wojnie próbowali ułożyć sobie życie na nowo. Grabiłeś ich i napadałeś. Pod groźbą użycia przemocy fizycznej wymuszałeś od nich pieniądze i środki niezbędne do życia. Żałuję, że tamtej nocy nie zginąłeś w Wielkiej Obławie razem z całą resztą. Ty nie jesteś człowiekiem, a jeśli już, to tylko z biologicznego punktu widzenia. Masz wielki, zimny pryszcz w miejscu, gdzie inni ludzie mają coś, co pozwala im żyć zgodnie w społeczeństwie i być sąsiadami. Jediną zaletą, że tak to nazwę, którą obdarzyła cię natura jest to, że twój refleks jest może nieco szybszy, twoje mięśnie trochę silniejsze, twoje oko odrobinę bystrzejsze niż u każdego z nas. Możesz więc sięść za kierownicą i jechać przez wszystko, przez co prowadzi jakaś droga. To jest właśnie przyczyna, dla której Państwo Kalifornijskie skłonne jest wybaczyć ci twoje rozbastwienie, pod warunkiem jednak, że wykorzystasz tę jedyną swoją zaletę do pomagania ludziom, a nie do szkodzenia im. Ja tego nie popieram. Nie chcę być zależny od ciebie, bo ty nie jesteś facetem, na którym można polegać. Życzę ci, żebyś zginął w tej akcji i chociaż mam nadzieję, że któryś z was dojedzie do celu, to jednocześnie spodziewam się, że to nie będziesz ty. Nienawidzę twojej cholernej gęby. Masz już teraz swoje ułaskawienie. Samochód gotowy. Chodźmy.

Denton wstał, prostując się. Był o głowę niższy od Tannera i ten zachichotał, spoglądając na inspektora z góry.

– Dojadę – powiedział. – Jeśli ten obywatel z Bostonu przejechał i umarł, to ja przejadę i będę żył. Robiłem wypadki aż do Missus Hip.

– Kłamiesz.

– Nie, nie kłamię. A jeśli kiedyś przekona się pan, że to prawda to niech pan pamięta o tym papierku, który mam w kieszeni – „każdy czyn kryminalny” i tak dalej. Nie było łatwo, a poza tym miałem trochę szczęścia, ale naprawdę dotarłem tak daleko i jak panu zapewne wiadomo, nikt inny nie może pochwalić się takim wyczynem. Zdaje się, że to prawie połowa drogi. Jeśli więc zrobiłem jedną połówkę, potrafię przebyć i drugą.

Ruszyli do drzwi.

– Nie mówię, ani nie myślę tego szczerze – powiedział jeszcze Denton – ale powodzenia, chociaż nie przez wzgląd na ciebie.

– Jasne, wiem.

Denton uchylił drzwi.

– Rozkujcie go – powiedział do oczekujących mężczyzn. – Jedzie.

Człowiek z karabinem oddał broń mężczyźnie, który częstował Tannera papierosami i sięgnął do kieszeni po klucz. Znalazłszy go otworzył kajdanki i cofając się zawiesił je sobie u pasa.

– Pójdę z wami – oznajmił Denton. – Garaże są na dole.

Wyszli z biura. Pani Fiske otworzyła torebkę, wyjęła z niej różaniec i pochyliła głowę. Modliła się za Boston. Modliła się za duszę zmarłego kuriera. Dorzuciła nawet dwa pacierze na intencje Czarta Tannera.

Zeszli do podziemi. Denton sprowadził ich na trzeci poziom i tam Tanner ujrzał trzy gotowe do drogi wozy; zauważył też pięciu mężczyzn siedzących na ławeczkach ustawionych wzdłuż ściany. Rozpoznał jednego z nich.

– Denny – powiedział – chodź no tu.

Z ławki podniósł się szczupły młodzieniec o jasnych włosach i obracając w dłoniach kask motocyklisty, podszedł do Tannera.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – spytał go Tanner.

– Jestem drugim kierowcą w wozie numer trzy.

– Masz własną stację obsługi i możesz kichać na wszystko. Co ci przyszło do głowy?

– Denton zaproponował mi pięćdziesiąt patyków – odparł Denny.

Czart odwrócił wzrok.

– Rzuć to! Co ci po forsie, jeśli zginiesz?

– Potrzebuję pieniędzy.

– Po co?

– Chcę się ożenić. Mam dużo wydatków.

– Myślałem, że dobrze ci się powodzi.

– Zarabiam nieźle, ale chciałbym kupić dom.

– Czy twoja dziewczyna wie, w co się pakujesz?

– Nie.

– Tak myślałem. Słuchaj, ja muszę jechać – nie mam innego wyjścia. Ty nie musisz...

– To moja sprawa.

– ... czekaj, chcę ci coś powiedzieć. Jedź do Pasadeny w to miejsce, gdzie bawiliśmy się zawsze, będąc dziećmi. Wiesz o co mi chodzi? Te skałki i trzy wysokie drzewa, pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam.

– Obejdź dookoła środkowe drzewo. Wryłem na pniu swoje inicjały. Stamtąd, gdzie je znajdziesz, odlicz siedem kroków i kop na jakieś cztery stopy. Kapujesz?

– Jasne. Co tam jest?

– Tam jest spadek po mnie. Znajdziesz taką starą, solidną skrzynkę; teraz cała już chyba przerdzewiała. Rozwal ją. Będzie pełna wełny drzewnej i będzie w niej jeszcze sześciocalowy kawałek rurki. Rurka jest nagwintowana i z obu stron ma nakręcone pokrywki. Wewnątrz znajduje się jakieś pięć patyków, zwinięte w rulonik. Wszystkie banknoty są czyste.

– Po co mi to mówisz?

– Bo są teraz twoje – odparł Tanner i wymierzył Denny'emu cios w szczękę. Gdy Denny upadł, Czart, zanim policjanci dopadli go i odciągnęli od leżącego, kopnął chłopaka raz, drugi i trzeci.

– Głupcze – krzyknął Denton. – Ty cholerny głupcze!

– Dobra, dobra – rzucił Tanner – żaden mój brat nie pojedzie Aleją Potępienia, dopóki jestem w pobliżu i mogę mu tak przyłożyć, żeby wypadł z gry. Lepiej znajdź pan szybko innego kierowcę, bo ten ma połamane żebra. Albo jeszcze lepiej – pojedę sam.

– No to pojedziesz sam – zdecydował Denton – bo nie możemy już dłużej zwlekać. W schowku są tabletki pobudzające i lepiej je zażywaj, bo jak zaśniesz i zostaniesz z tyłu, to cię spalą. Pamiętaj o tym.

– Zapamiętam sobie pana, Denton, na wypadek, gdybym kiedyś wrócił do miasta. Nie martw się pan o to.

– Właź lepiej do wozu numer dwa i ruszaj. Wszystkie pojazdy wiozą ładunek. Bagażnik jest pod tylnym siedzeniem.

– Tak, wiem.

– I jeśli w ogóle się kiedyś spotkamy, to nie nastąpi to prędko. Zejdź mi z oczu, kanalio.

Tanner splunął na ziemię i odwrócił się plecami do Inspektora Ruchu Drogowego. Kilku policjantów udzielało pierwszej pomocy jego bratu, a jeden oddalił się biegiem w poszukiwaniu lekarza. Z pozostałych kierowców Denton zestawiał dwie załogi i przydzielił im samochody numer jeden i trzy. Tanner wspiął się do kabiny swego wozu, zapuścił silnik i czekał. Patrząc w zamyśleniu na pnącą się ku powierzchni rampę, zastanawiał się, co go tam spotka. Przeszukał schowek i znalazł papierosy. Zapalił i rozparł się wygodnie w fotelu.

Pozostali kierowcy wgramolili się tymczasem do swych ciężko opancerzonych wehikułów. Z radia wydobyły się trzaski, potem szum, potem znowu trzaski, wreszcie, gdy Tanner słyszał już pomruk pracujących silników samochodów numer jeden i trzy, głośnik przemówił:

– Wóz numer jeden – gotów!

Nastąpiła pauza.

– Wóz numer trzy – gotów! – zachrypiał inny głos.

Tanner podniósł mikrofon i wcisnął guzik z boku obudowy.

– Wóz numer dwa gotowy – powiedział.

– Odjazd – padł rozkaz i ruszyli rampą pod górę.

Brama uniosła się przed nimi, znikając w szczelinie sufitu i stanęli oko w oko z żywiołem.

IV

Wydostanie się z Los Angeles i dotarcie do Trasy 91, było koszmarem. Z nieba lały się potoki wody, a o pancerną karoserię samochodu bębniły odłamki skał wielkości baseballowych piłek. Tanner zapalił papierosa i włączył światła specjalne. Miał na oczach gogle noktowizyjne. Ścigały go noc i burza.

Kilka razy w radio rozlegały się jakieś trzaski i wtedy Tannerowi wydawało się, że słyszy dobiegający z oddali głos, ani razu jednak nie mógł zrozumieć o co mu chodzi.

Przez pewien czas jechali szosą, ale nadszedł wreszcie moment, gdy wielkie opony samochodów westchnęły na nierównym terenie. Tam szosa urywała się i tam Tanner wysunął się na czoło kolumny. Pozostali przyjęli to nawet z zadowoleniem i pewną ulgą. Tanner znał drogę, oni nigdy jeszcze tu nie byli.

Prowadził konwój starym, przemytniczym szlakiem, który przemierzał kiedyś, dostarczając Mormonom cukier. Nie było wykluczone, że z tych, którzy znali tę trasę, on jeden pozostał jeszcze przy życiu.

Zaczęło się błyskać. Nie, to nie były pojedyncze błyskawice, to rozjarzały się całe połacie nieba. Samochód był izolowany, ale po pewnym czasie włosy stały Tannerowi dęba. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi gigantycznego potwora Gile, ale nie był tego całkiem pewien. Na razie nie dotykał pulpitu sterowania ogniem. Oszczędzał swe pazury na specjalne okazje. Na ekranie, wyświetlającym obrazy przekazywane przez tylne skanery, pojawił się krótki błysk, co mogło oznaczać, że jeden z posuwających się za nim wozów odpalił raketę. Pewności nie miał, gdyż utracił z nimi kontakt radiowy zaraz po opuszczeniu budynku.

Nacierające masy wody rozbryzgiwały się wokół samochodu. Niebo grzmiało niczym dywizjon artylerii. Przed maską spadł głaz wielkości nagrobka i Tanner musiał zboczyć z trasy, aby go

objechać. Niebo przecinały raz po raz czerwone błyskawice. Gdy gasły, Tanner dostrzegał wiele czarnych pasm, przesuwających się z zachodu na wschód. Nie było to zachęcające widowisko. Burza mogła potrwać kilka dni.

Parł naprzód skrajem pasa promieniowania, którego natężenie nie zmalało przez cztery lata, jakie upłynęły od czasu, gdy przejeżdżał tędy ostatni raz.

Dotarli do miejsca, gdzie stopiony piasek zastygł, tworząc szklane morze. Wjeżdżając na szklistą taflę, Tanner zwolnił, wypatrując kraterów i przepastnych szczelin, które przecinały jej powierzchnię.

Jeszcze trzykrotnie kamienny deszcz szturmował samochód Tannera, zanim niebiosy rozstały się, odsłaniając jaskrawoniebieskie sklepienie, graniczące w odcieniu z fioletem. Ciemne zasłony chmur zwinęły się ku biegunom, a ryk i huk przypominający artyleryjską kanonadę, przycichły. Na północy jarzyła się jeszcze lawendowa luna. Zielone słońce chyliło się ku linii widnokregu.

Przejechali. Tanner wyłączył urządzenie noktowizyjne, zdjął gogle i zapalił zwykłe, nocne reflektory.

Nawet w dobrych warunkach atmosferycznych, ta płaszczyna była trudna do przebycia.

Z góry runęło coś dużego, podobnego do nietoperza i przecinając snopy światła, rzucane przez reflektory, rozpląnęło się w mroku. Zignorował ten incydent. Po pięciu minutach stwór pojawił się znowu, tym razem dużo bliżej. Tanner wystrzelił flarę. W jej świetle ukazał się czarny kształt o rozpiętości jakichś czterdziestu stóp. Tanner wpakował w niego dwie pięciosekundowe serie z działka kaliber pięćdziesiąt. Potwór spadł na ziemię i nie pojawił się już więcej.

Dla tamtych frajerów była to już Aleja Potępienia. Dla Czarta Tannera był to ciągle jeszcze zaciszny parking. Jeździł tędy trzydzieści dwa razy i uważał, że prawdziwa Aleja Potępienia zaczyna się dopiero na terenie znanym niegdyś pod nazwą Colorado.

Jechał przodem, tamci podążali jego śladem. Nadciągała noc.

Od chwili zakończenia wojny nie mógł tędy przelecieć żaden samolot. Żaden nie ośmielił się wznieść na wysokość przekraczającą dwieście stóp. Tam brały swój początek wiatry. Wiatry! Potężne huragany, obiegające glob, ścierające wierzchołki gór, powalające niebotyczne sekwoje, obracające w gruzy budynki, porywające z sobą ptaki, nietoperze, insekty i wciągające wszystko do pasa śmierci. Wiatry, szalejąc po świecie w opętańczych wirach powietrznych trąb, siekąc niebo ciemnymi krechami gruzu, spotykały się czasem, łącząc ze sobą, ścierając, siejąc śmierć i zniszczenie. Transport drogą powietrzną do jakiegokolwiek miejsca na świecie nie wchodził absolutnie w rachubę, gdyż wiatry te krążyły i nigdy nie ustawały. Nie popuściły w każdym razie przez całe dwadzieścia pięć lat, jakie ze swego życia pamiętał Tanner.

Parł do przodu w zielonkawej poświacie, rzucanej przez zachodzące słońce. Z nieba opadały bez przerwy tumany, wielkie chmury pyłu, a ono samo, przed chwilą jeszcze fioletowe, przybrało teraz odcień purpury. Niebawem słońce skryło się całkowicie za widnokregiem i zapadła noc. Gwiazdy były bladymi punkcikami światła zawieszonymi gdzieś wysoko w przestworzach. Gdy wzeszedł księżyc, połowa jego tarczy, którą tej nocy odsłaniał, miała barwę lampki wina chianti trzymanej przed świecą.

Tanner zapalił papierosa i zaczął kłąć; powoli, cicho, bez emocji.

Przedzierali się między stosami gruzu i pordzewiałego żelastwa. Mijali rumowiska skalne, sterty złomu, porozrzucane w nieładzie części maszyn, dziób statku. Przez drogę biegnącą pośród zwałów żelastwa sunął wąż, gruby jak pojemnik na śmieci i ciemnozielony w padającym na niego świetle reflektorów. Tanner zahamował, a wąż pełzł, pełzł i pełzł. Zanim Tanner zdjął nogę z hamulca i znowu delikatnie nacisnął pedał gazu, przesunęło się przed nim jakieś sto dwadzieścia stóp

gada.

Gdy spojrzął na ekran, ukazujący podczerwoną wersję widoku z lewej burty, wydało mu się, że w cieniu sterty belek i cegieł widzi parę jarzących się ślepi. Położył dłoń w pobliżu klawisza spustu i trzymał ją tam przez kilka mil jazdy.

W samochodzie nie było ani jednego okna. Zastępowały je ekrany, przekazujące obrazy tego, co działo się na zewnątrz ze wszystkich stron, w górze, nad pojazdem i pod spodem, między jego kołami. Tanner siedział w oświetlonej kabinie, która chroniła go przed promieniowaniem. „Samochód” przez niego prowadzony miał osiem kół na głęboko bieżnikowanych oponach i trzydzieści dwie stopy długości. Zamontowano w nim osiem karabinów maszynowych kaliber pięćdziesiąt i cztery granatniki. Uzbrojony był ponadto w trzydzieści rakiet przeciwpancernych, które można było odpalać na wprost i pod kątem, regulowanym płynnie od zera do czterdziestu stopni w stosunku do poziomu. W każdą z czterech ścian wehikułu oraz w jego dach wmontowany był miotacz ognia. Ostryimi jak brzytwa „skrzydłami” z hartowanej stali – szerokimi na osiemnaście cali u podstawy i zwężającymi się w ostrza grubości, w miejscu gdzie ich profil był najszerszy, jeden i ćwierć cala – można było poruszać wzdłuż burt samochodu na wysokości dwóch stóp i ośmiu cali, równoległe do powierzchni terenu. Ustawione pod kątem prostym do korpusu pojazdu – osiem stóp od wewnętrznej strony przedniego zderzaka – sterczały z obu burt na odległość sześciu stóp. Można je było nastawiać jak lance podczas szarży. Można je było trzymać odchylone od burt, aby przecinały wszystko, co atakowało wóz z boku. Samochód był kuloodporny, klimatyzowany, posiadał własną spiżarnię i urządzenia sanitarne. Na drzwiczkach, po lewej ręce kierowcy, wisiał długolufowy Magnum 0,357. Na półce, tuż nad przednim siedzeniem, spoczywały: pistolet 30.06, automat kaliber 0.45 i sześć ręcznych granatów.

Pomimo dysponowania takim arsenałem, Tanner zatrzymał swoją własną broń – wsunięty za cholewę buta, długi, wąski sztylet, będący ongiś w wyposażeniu formacji SS.

Ściągnął rękawiczki i wytarł spocone dłonie o kolana kombinezonu. Na grzbiecie prawej dłoni widniało wytatuowane serce, czerwone w poświęcie padającej z tablicy rozdzielczej. Przeszywający je nóż był ciemnoniebieski, a pod spodem litery w tym samym kolorze, wytatuowane na kostkach palców, składały się, poczynając od nasady palca serdecznego, na jego imię – „CZART”. Otworzył dwa najbliższe schowki i przeszukał je, ale cygar nie znalazł. Zgniół o podłogę niedopałek papierosa i zapalił następnego.

Na przednim ekranie pojawiły się ślady roślinności. Tanner zwolnił. Spróbował skorzystać z radia, i odbierając w odpowiedzi jedynie zakłócenia elektrostatyczne, nie potrafił stwierdzić, czy ktoś go słyszy.

Zwolnił, ponownie patrząc na ekran i zatrzymał się.

Przełączył przednie reflektory na pełną jasność i badał sytuację.

Przed nim wyrastał zbity gąszcz ciernistych zarośli, wysokich na dwanaście stóp. Spojrzął w prawo, potem w lewo, ale zwarta, najeżona kolcami ściana ciągnęła się w obu kierunkach jak okiem sięgnąć. Jak gesty dalej i jak szeroki był ten monstrualny żywopłot trudno było przewidzieć. Nie było go tutaj kilka lat temu.

Ruszył wolno naprzód, przygotowując miotacze ognia. Na wstecznym ekranie widział, jak dwa pozostałe wozy zatrzymują się o sto jardów za nim i przygaszają światła. Podjechał tak blisko, jak tylko mógł i nacisnął klawisz spustu przedniego miotacza. Bluzgający z niego ognisty język wdarł się na pięćdziesiąt jardów w głąb ciernistego gąszczy. Tanner uciskał klawisz przez pięć sekund, puścił go, nacisnął jeszcze raz i kiedy krzaki zajęły się, szybko wycofał wóz.

Płomień, z początku ledwo zauważalny, z trudem torował sobie drogę ku górze i powoli

rozprzestrzeniał się na boki, potem zniecka buchnął wysoko, zalewając okolicę krwawym blaskiem. Jadąc ciągle na wstecznym biegu, Tanner musiał przyciemnić ekran, gdyż nim zdążył wycofać się na wystarczającą odległość, zarośla paliły się już na szerokość pięćdziesięciu stóp, a języki płomieni strzelały w górę na wysokość trzeciego pietra.

Ogień rozszerzał się w błyskawicznym tempie. Tanner, z miejsca gdzie się zatrzymał, mógł obserwować odpływającą w dal rzekę płomieni. Wokół było jasno jak w dzień.

Wpatrywał się z fascynacją w szalejący żywioł i w końcu miał wrażenie, że widzi przed sobą roztopione morze. Przeszukał wtedy lodówkę, ale piwa w niej nie znalazł. Otworzył puszkę bezalkoholowego napoju i popijając z niej, obserwował płonące zarośla. Po około dziesięciu minutach klimatyzator zaskomlał i zaczął pracować. Z rozszalałego piekła wypadały w popłochu hordy ciemnych, czworonożnych stworzeń wielkości szczura albo kota. Ich futerka dymią. Przemykały tuż obok samochodu. W pewnym momencie zakryły obiektyw skanera przekazującego obraz na przedni ekran i Tanner usłyszał drapanie ich pazurów o błotniki i dach.

Wyłączył reflektory, zgasił silnik i wrzucił pustą puszkę do pojemnika na odpadki, po czym popchnął dźwignię usytuowaną w poręczy fotela i odchylił oparcie do tyłu. Opadł na nie i zamknął oczy.

V

Obudziło go wycie klaksonów. Była jeszcze noc. Spojrzał na zegar wmontowany w tablicę rozdzielczą i stwierdził, że spał niewiele ponad trzy godziny.

Przeciągnął się, usiadł prosto i wyregulował oparcie fotela. Dwa pozostałe wozy podjechały tymczasem bliżej i stały teraz po obu stronach jego samochodu. Zatrąbił dwukrotnie na swoim klaksonie i zapuścił silnik. Włączył przednie reflektory i naciągając rękawice zbadał wzrokiem roztaczający się przed nim krajobraz.

Z pocerniałego poła ciągle unosiły się pasma dymu, a daleko po prawej świeciła krwawa luna, jak gdyby hen w oddali pożar trwał nadal. Znajdowali się w okolicy znanej niegdyś pod nazwą Nevada.

Przetarł oczy i podrapał się w nos, po czym raz nacisnął klakson i wrzucił bieg.

Ruszył powoli naprzód. Wypalona strefa wydawała się być zupełnie płaska, a opony samochodu, grube i szerokie, nie powinny uciec na skutek żaru bijącego od pogorzelniska.

Wjechał na czarne pole wzbijając kołami fontanny dymu i popiołu, które spowiły samochód gęstym tumanem i przysłoniły wszystkie skanery. Ekran natychmiast pociemniał. Posuwał się dalej, słysząc chrzęst rozgniatanych oponami, kruchych resztek zwęglonych zarośli. Ustawił ekrany na największą jasność i przełączył reflektory na światła długie.

Jadące po obu stronach jego wozu samochody zostały nieco w tyle i Tanner musiał znowu przyciemnić ekrany, gdyż blask ich reflektorów, przekazywany przez wsteczne skanery, oślepił go.

Wystrzelił flarę i gdy zawisła wysoko, oblewając okolicę jaskrawym, zimnym światłem, ujrzał przed sobą zwęgloną równinę ciągnącą się hen, po sam widnokrąg.

Dodał gazu i jadące za nim wozy, chcąc uniknąć tumanów popiołu wznieconych przez opony jego samochodu, rozjechały się daleko na boki. Radio zatrzeszczało i usłyszał dobiegający z oddali, zanikający głos, nie mógł jednak rozróżnić słów.

Zatrąbił klaksonem i potoczył się jeszcze szybciej. Dwa jadące z tyłu samochody dotrzymywały

mu kroku.

Dopiero po upływie półtorej godziny dostrzegł w dali przed sobą kraniec spopielonego pola. Dalej ciągnął się czysty piasek.

W pięć minut później jechał już przez pustynię, sprawdzając wskazanie kompasu i kierując się nieco bardziej na zachód. Wozy numer jeden i trzy pędziły z tyłu, przyspieszając, aby dostosować się do nowego tempa jazdy, a Tanner prowadził jedną ręką i zajadał kanapkę z wołowiną.

Wiele godzin później, gdy nadszedł ranek, Tanner zażył tabletkę pobudzającą i wsłuchał się w wycie wichru. Słońce weszło po jego prawej ręce niczym kula roztopionego srebra. Trzecia część nieba, poprzetykana pajęczyną cienkich linii, nabrała barwy bursztynu. Pustynia była topazowa, a gdy ciemności pierzchły na zachód i wokół słońca utworzyła się jasnoczerwona aureola, brązowa kurtyna kurzu wisząca bez przerwy za jego plecami, przebijana jedynie snopami światła rzucanymi przez jadące z tyłu wozy, nabrała odcienia różowawego. Mijając pomarańczowy kaktus o średnicy dobrych pięćdziesięciu stóp, przypominający kształtem muchomora, przygasili reflektory.

Na południe czmychały gigantyczne nietoperze, a daleko przed sobą ujrzał szeroki, biorący swój początek w niebiosach, wodospad. Zanim dotarł do wilgotnego w tym miejscu piasku, wodospad już znikł, ale po lewej dostrzegł rozkładające się ścierwo zdechłego rekina, a wszędzie wokół zaścielały pustynię morskie ryby, wodorosty i kawałki przegniłego drewna.

Niebo poróżowiło ze wschodu na zachód i nie zmieniało już tej barwy. Tanner wychylił duszkiem butelkę lodowatej wody, czując jak zimny płyn spływa mu do żołądka. Mijał coraz więcej kaktusów, a przy jednym z nich siedziała para kojotów, obserwując go, gdy przejeżdżał obok. Odnosił wrażenie, że uśmiechają się do niego. Miały bardzo czerwone języki.

Gdy słońce stało się jaśniejsze, przyciemnił ekran. Zapalił papierosa i odszukał klawisz włączający muzykę. Zaklął, słysząc wypełniające kabinę płaczliwe dźwięki strun, ale nie wyłączył ich.

Skontrolował panujący na zewnątrz poziom promieniowania i stwierdził, że niewiele odbiega on od normy. Kiedy ostatnio tedy przejeżdżał, promieniowanie było znacznie silniejsze.

Minał kilka rozbitych pojazdów, takich samych jak jego. Pędził teraz krzemową równiną. Po jej środku ział ogromny krater i Tanner musiał nadłożyć drogi, aby objechać go wokół. Różowość nieba bladła, bladła i bladła, a jej miejsce zajmował odcień niebieskawy. Ciemne linie stale tam były i od czasu do czasu któraś z nich pęczniała do rozmiarów czarnej rzeki, odpływając na zachód. W południe, jedna z takich rzek przyćmiła na jedenaście minut słońce. Ziemię zalały ciemności i rozpętała się gwałtowna burza piaskowa. Tanner włączył radar i reflektory. Wiedział, że gdzieś przed nim przecina równinę szeroka rozpadlina. Kiedy do niej dojechał, skręcił w lewo i przez niemal dwie mile posuwał się krawędzią urwiska, zanim szczelina zwęziła się i w końcu znikła. Wozy numer jeden i trzy sunęły za nim. Tanner jeszcze raz określił z kompasu swoje położenie. Pył opadał, gnany silnym wiatrem i chociaż ekran był przyćmiony, Tanner musiał założyć przydymione gogle, aby uchronić oczy przed rażącym blaskiem słonecznych promieni odbijających się od wyszlifowanego niczym klejnot pola, które teraz przemierzał.

Mijał wznoszące się ku niebu twory, uformowane chyba z kwarcu. Nigdy przedtem nie zatrzymywał się, aby obejrzeć je z bliska i teraz też nie odczuwał takiej potrzeby. U ich podstaw płasały barwy rozszczepionego światła, a w pewnym od nich oddaleniu pojawiały się i znikwały widmowe, kolorowe plamy.

Oddalając się szybko od krateru, Tanner wjechał ponownie na czysty, brązowy piasek. Tu kaktusów było więcej. Rosły wśród ogromnych wydm. Niebo zmieniało się nadal, aż w końcu stało się błękitne jak oczy noworodka. Tanner nucił akurat pod nosem, wtórując melodii wydobywającej

się z głośnika, gdy nagle dostrzegł potwora.

To był Gila. Większy od jego samochodu. Poruszał się bardzo szybko. Wyprysnął z porosłej kaktusami doliny, w której cieniu miał swoją kryjówkę i gnał w kierunku Tannera. Jego perlisty tułów skrzył się w słońcu wieloma kolorami. Pędził wielkimi susami na zwinnych jaszczurczych nogach, nie mrugnawszy nawet ciemnymi, ponurymi ślepiami. Za uniesionym w górę, potężnym ogonem potwora, szerokim jak żagiel i spiczastym jak namiot, wzbijały się czarne fontanny pyłu.

Tanner nie mógł użyć rakiet, gdyż stwór szarżował z boku.

Otworzył strzelnicę pięćdziesiątek, rozwinął „skrzydła” i wcisnął do dechy pedał gazu. Gdy kreatura zbliżyła się na dostateczną odległość, wygarnął do niej z miotacza płomieni. W tym samym momencie otworzyły też ogień wozy numer jeden i trzy.

Potwór stanął jak wryty, machnął ogonem i kłapnął paszczką, a tryskająca krew utworzyła na ziemi czarną kałużę. I wtedy ugodziła go rakietą. Gila odwrócił się. Gila skoczył.

Rozległo się chrupnięcie i chrzęst wgniatanego metalu. Gila spadł na samochód oznaczony numerem jeden i znieruchomiał na jego dachu.

Tanner pocisnął po hamulcach, zawrócił i pojechał z powrotem.

Wóz numer trzy zbliżył się już do miejsca wypadku i stanął. Tanner zatrzymał się również.

Zeskoczył z kabiny na ziemię i podbiegł do rozbitego samochodu ściskając w garści karabin. Zanim zbliżył się do wozu, wpakował w łeb potwora sześć pocisków.

Drzwiczki otworzyły się same i zwisały na jednym, dolnym zawiasie.

Wewnątrz, rozciągnięci na podłodze, leżeli dwaj mężczyźni. Na tablicy rozdzielczej i fotelu widniały plamy świeżej krwi.

Do zaglądnącego do środka Tannera zbliżyli się dwaj kierowcy z samochodu numer trzy. Niższy z nich wdrapał się do kabiny. Przyłożył ucho do klatki piersiowej jednego z mężczyzn, zbadał mu puls, sprawdził, czy oddycha, potem przeczołgał się do następnego i powtórzył tę samą procedurę.

– Mike nie żyje – krzyknął do stojących na zewnątrz – ale Greg zaczyna przychodzić do siebie.

Z tyłu samochodu zaczęła tworzyć się kałuża. Powiększała się i powiększała, a powietrze wypełnił zapach benzyny.

Tanner wyjął papierosa, zawahał się i wsunął go z powrotem do paczki. Słyszał bulgotanie wydobywające się z ogromnych zbiorników paliwa, których zawartość spływała właśnie na ziemię.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego... – odezwał się mężczyzna stojący obok Tannera. – Chodziłem do kina, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Ja widziałem – odparł Tanner i w tym momencie z wraku wynurzył się drugi kierowca pomagając wysiąść człowiekowi, do którego zwracał się Greg.

– Z Gregiem w porządku – zawołał. – Uderzył tylko głową w tablicę rozdzielczą.

– Mógłbyś go zabrać, Czart – powiedział człowiek stojący obok Tannera. – Może ci pomagać, jak poczuje się lepiej.

Tanner wzruszył ramionami, odwrócił się plecami do rozgrywającej się sceny i zapalił papierosa.

– Myślę, że nie powinieneś... – zaczął mężczyzna, ale Tanner dmuchnął mu w twarz kłębem dymu. Odwrócił głowę, aby widzieć dwóch zbliżających się mężczyzn i stwierdził, że Greg jest ciemnokim chłopakiem o brązowej cerze. Pewnie półkrwi Indianin. Miał gładką skórę, pominawszy dwie blizny po ospie pod prawym okiem, wystające kości policzkowe i ciemne włosy. Był wzrostu Tannera, chociaż nie tak dobrze zbudowany. Miał na sobie kombinezon, i teraz, gdy wciągnął już w płuca kilka głębokich haustów powietrza, szedł wyprostowany, szybkim, pełnym gracji krokiem.

– Musimy pochować Mike'a – odezwał się niski mężczyzna, przystając przed Tannerem i drugim kierowcą.

– Nie lubię tracić czasu – odezwał się jego towarzysz – ale...

W tym momencie Tanner cisnął papierosa i padł na ziemię. Jarzący się niedopałek wylądował w kałuży wyciekającej ze zbiornika benzyny.

Nastąpiła eksplozja, buchnęły płomienie, potem powietrzem wstrząsnęła znowu seria wybuchów. Tanner słyszał wizg startujących ku wschodowi rakiet, znaczących swój tor ciemnymi brzdami w upalnym powietrzu południa. Ekspłodowała amunicja do pięćdziesiątek i rozerwały się granaty ręczne. Tanner zagrzebywał się coraz głębiej w piasku, zasłaniając rękoma głowę i zakrywając uszy.

Gdy tylko się uciszyło, porwał za karabin, ale tamci stali już nad nim. Podnosząc głowę, ujrzał wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Powoli podniósł ręce w górę i wstał.

– Dlaczego to zrobiłeś, do cholery? – spytał kierowca trzymający pistolet.

– Teraz nie musimy go już grzebać – wyjaśnił z uśmiechem Tanner. – Kremacja jest równie dobra, a poza tym już po wszystkim.

– Mogłeś nas wszystkich pozabijać, gdyby te działka i wyrzutnie rakiet były skierowane w naszą stronę!

– Nie były. Widziałem.

– Odłamki mogły... Ach, rozumiem. Podnieś swój karabin, chłopie i trzymaj go lufą w dół. Wyjmij z niego wszystkie naboje i włóż je do kieszeni.

Tanner bez ociągania wykonywał wszystkie polecenia.

– Chciałeś się nas wszystkich pozbyć, tak? Potem mógłbyś się urwać i ruszyć własną drogą, tak jak już tego próbowałeś wczoraj. Nie mam racji?

– Pan to powiedział, nie ja.

– Mnie się wydaje, że mam rację. Gównu ciebie obchodzi, że cały Boston wykituje, no nie?

– Mój karabin już rozładowany – powiedział Tanner.

– No to wracaj do swego cholernego grata i ruszaj! Przez całą drogę będę jechał za tobą!

Tanner odwrócił się i poszedł w stronę swojego samochodu. Słyszał jak mężczyźni spierają się o coś za jego plecami, ale był pewien, że go nie zastrzelą. Gdy miał się już wspiąć do kabiny dostrzegł kątem oka cień i odwrócił się szybko. Za nim stał człowiek imieniem Greg. Zjawił się tu cicho jak duch.

– Chcesz, żebym trochę poprowadził? – spytał Tannera bezbarwnym głosem.

– Nie, odpocznij. Trzymam się jeszcze nieźle. Może później, po południu, o ile będziesz się czuł na siłach.

Mężczyzna skinął głową i obszedł samochód dookoła. Wsiadł z drugiej strony i natychmiast rozłożył swój fotel.

Tanner zatrzasnął drzwiczki od swojej strony i zapuścił silnik. Usłyszał jak włącza się klimatyzator.

– Zechciałbyś go naładować i położyć z powrotem na półkę? – powiedział, wręczając Gregowi karabin i amunicję. Tamten skinął potakująco głową. Tanner naciągnął rękawice i powiedział:

– W lodówce jest pełno napojów. Niewiele więcej.

Greg ponownie skinął głową. Po chwili usłyszeli jak rusza samochód numer trzy.

– No to odjazd – powiedział Tanner, wrzucił bieg i zdjął nogę ze sprzęgła.

VI

Po trzydziestu minutach jazdy, człowiek imieniem Greg odezwał się do Tannera:

- Czy to prawda, co mówił Marlowe? – spytał.
- Co za Marlowe?
- Ten, który prowadzi drugi wóz. Czy próbowałeś nas zabić? Naprawdę chciałeś nawiać?

Czart roześmiał się.

- Naprawdę – odparł.
- Dlaczego?

Czart zwlekał minutę z odpowiedzią.

- A dlaczego nie miałbym tego zrobić? – powiedział w końcu. – Niespieszno mi do umierania.

Chciałbym jeszcze trochę pożyć, zanim wybiorę się na tamten świat.

- Jeśli nie dojedziemy, to wymrze połowa ludzi na kontynencie – powiedział Greg.

– Gdybym już miał wybierać oni czy ja, wolałbym raczej, żeby to byli oni.

– Zastanawiam się czasem, skąd się biorą tacy ludzie jak ty.

– Stamtąd co i wszyscy. Najpierw jest chwila przyjemności dla dwojga ludzi, a potem zaczynają się kłopoty.

– Co oni ci w ogóle zrobili, Czart?

– Nic. A co oni w ogóle zrobili dla mnie? Nic. Nic. Co im jestem dłużny? To samo.

– A dlaczego skopałeś tam w garażu swojego brata?

– Bo nie chciałem, żeby pakował się w taki śmierdzący interes jak ten i nadstawiał karku.

Połamane zebra sobie wykuruje. Śmierć to bardziej przewlekła dolegliwość.

– Nie o to pytałem. Chciałem wiedzieć, czy obchodzi cię, czy on zginie, czy nie?

– Obchodzi mnie, bo to dobry chłopak. Chyba jednak coś czuje do tej dzierlatki i nie potrafi trzeźwo myśleć.

– Dalej nie rozumiem, po co się w to wtrąciłeś?

– Mówiłem już. Jest moim bratem i dobry z niego chłopak. Lubię go.

– Jak to możliwe?

– Ech, do diabła! Dużo razem przeszliśmy i basta! O co ci chodzi? Bawisz się w psychoanalitkę?

– Chciałem tylko wiedzieć, nic więcej.

– No to teraz wiesz. Jak już chcesz gadać, to mówmy o czymś innym, w porządku?

– Okay. Kiedyś już tędy jechałeś, tak?

– Tak, jechałem.

– A byłeś jeszcze dalej na wschód?

– Przejechałem całą trasę, aż do Missus Hip.

– Znasz miejsce, w którym można by się przez nią przeprawić na drugą stronę?

– Chyba tak. Most w Saint Louis ciągle stoi.

– To dlaczego nie przejechałeś przez niego jak już tam byłeś?

– Nie wygłupiaj się. Jest zakorkowany samochodami pełnymi kościotrupów. Szkoda było fatygi, żeby to oczyścić.

– A po co w ogóle pojechałeś tak daleko?

– Żeby zobaczyć jak tam jest. Nasłuchałem się tych wszystkich bujdl...

– No i jak tam było?

– Jeden wielki burdel. Wypalone śródmieścia, wielkie kratery, oszalałe zwierzęta, trochę ludzi...

– Ludzi? To ludzie jeszcze tam żyją?

– Jeśli można ich nazwać ludźmi. Są zdiczali i zamknięci w sobie. Ubierają się w jakieś łachmany albo w skóry zwierząt, albo chodzą nago. Rzucali we mnie kamieniami, dopóki dwóch nie zastrzeliłem. Potem zostawili mnie w spokoju.

– Dawno to było?

– Sześć, może siedem lat temu. Byłem wtedy prawie dzieciakiem.

– Jak to się stało, że nigdy nikomu o tym nie opowiadałeś?

– Opowiadałem. Paru kumplom. Nikt inny nawet mnie nie zapytał. Zamierzaliśmy wybrać się tam, porwać parę dziewczyn i przywieźć je z powrotem, ale wszyscy skrewili.

– A co byście z nimi zrobili?

Tanner wzruszył ramionami.

– Licho wie. Chybabyśmy je sprzedali.

– Tak, wiem. Trudniliście się tym na Barbary Coast – znaczy się, sprzedawaliście ludzi, prawda?

Tanner ponownie wzruszył ramionami.

– Owszem – odparł. – Przed Wielką Obławą.

– A jak ci się udało ujść z niej z życiem? Myślałem, że oczyścili cały rejon.

– Siedziałem – odparł Tanner. – NBR.

– Co to znaczy?

– Napad z bronią w ręku.

– A co robiłeś, kiedy cię wypuścili?

– Dałem się zresocjalizować. Dostałem robotę przy przewożeniu poczty.

– A tak, słyszałem o tym. Nie wiedziałem tylko, że to byłeś ty. Nieźle się zapowiadałeś. Pracowałeś dobrze i awans miałeś już w kieszeni. Potem skopałeś swojego szefa i wylali cię z pracy. Jak do tego doszło?

– Czepiał się ciągle mojej przeszłości i mojej starej bandy z Barbary Coast. Pewnego dnia powiedziałem mu wreszcie, żeby się odczepił, a on roześmiał mi się w twarz. No to mu przyłożyłem łańcuchem. Jak upadł, wybiłem mu kopniakiem przednie zęby. Zrobiłbym to jeszcze raz.

– To niedobrze.

– Byłem najlepszym kierowcą, jakiego miał. To była jego strata. Nikt oprócz mnie nie dojedzie do Albuquerque. Nawet dzisiaj. Nie dojedzie, o ile nie będzie na gwałt potrzebował forsy.

– Chyba lubiłeś swoją pracę, skoro ją wykonywałeś?

– Tak. Lubię prowadzić.

– Powinieneś poprosić o przeniesienie, kiedy ten facet zaczął ci wiercić dziurę w brzuchu.

– Wiem. Jesliby się to zdarzyło dzisiaj, to tak bym prawdopodobnie zrobił. Wściekłem się. Wściekałem się wtedy dużo szybciej niż teraz. Teraz jestem chyba dużo cwańszy niż wtedy.

– Gdyby udało ci się teraz dojechać i jeśli wróciłbyś potem do domu, to mógłbyś dostać z powrotem tę pracę. Wziąłbyś ją?

– Po pierwsze – odparł Tanner – nie wierzę, że dojedziemy, po drugie, jeśli nam się to nawet uda i w tym mieście będą jeszcze ludzie, to raczej zostanę tam niż wrócę.

Greg pokiwał głową.

– Sprytnie. Byłbyś tam bohaterem. Nikt nie znałby twojej przeszłości. Ktoś mógłby cię sprowadzić na dobrą drogę.

- Do diabła z bohaterami – powiedział Tanner.
 - Co do mnie, to wracam, jeśli dojedziemy.
 - Pozeglujesz wokół przylądka Horn?
 - Tak.
 - To może być zabawne. A po co wracasz?
 - Mam starą matkę i kupę braci i sióstr na utrzymaniu. Zostawiłem tam też dziewczynę. Tanner rozjaśnił ekran, bo niebo zaczynało ciemnieć.
 - Jaka jest twoja matka?
 - Ładna jak jaśnie pani. Wychowywała nas ośmioro. Cierpi teraz na artretyzm.
 - A jaka była, kiedy byłeś dzieciakiem?
 - W dzień pracowała, ale gotowała nam posiłki i czasem dała po cukierku. Uszyła nam dużo ubrań. Opowiadała nam, jak było przed wojną. Grała z nami w różne gry i czasem kupowała nam zabawki.
 - A co z twoim starym?
 - Nieźle sobie popijał, często zmieniał pracę, ale nigdy za bardzo nas nie bił. Był w porządku. Przejechał go samochód, gdy miałem dwanaście lat.
 - I teraz ty utrzymujesz wszystkich?
 - Tak. Jestem najstarszy.
 - A gdzie pracujesz?
 - Przyszedłem na twoje miejsce. Wożę pocztę do Albuquerque.
 - Żartujesz.
 - Nie.
 - Niech mnie cholera! Kierownikiem jest stale Gorman?
 - Poszedł na rentę w zeszłym roku. Niezdolność do pracy.
 - A jak jeździłeś do Albuquerque, to byłeś kiedyś w barze, który nazywa się „U Pedra”?
 - Byłem.
 - Mają tam jeszcze taką blondyneczkę, która gra na pianinie? Nazywa się Margaret?
 - Nie.
 - O...
 - Mają tam teraz jednego faceta. Taki grubas. Nosi wielki pierścień, na palcu lewej ręki. Tanner pokiwał głową i zmienił bieg. Pięli się teraz pod strome wzniesienie.
 - Jak z twoją głową? – spytał Grega, gdy dotarli do szczytu i zaczęli zjeżdżać w dół przeciwnym zbieżnym.
 - Nieźle. Wezmę dwie twoje aspiryny.
 - Czujesz się na siłach, żeby za chwilę poprowadzić?
 - Jasne, mogę prowadzić.
 - No to dobrze. – Tanner nacisnął klakson i zahamował. – Jedź jakieś sto mil według kompasu, a potem mnie obudź. Zgoda?
 - Dobrze. Mam na coś szczególnie uważać?
 - Na węże. Parę już pewnie widziałeś. Nie najedź na nie, żeby nie wiem co.
 - W porządku.
- Zamienili się miejscami i Tanner rozkładając swój fotel zapalił papierosa. Wypalił tylko połowę, zgniótł niedopałek o podłogę i zapadł w sen.

Gdy Greg obudził go, była już noc. Tanner zakaszłał, popił odrobinę lodowatej wody i przeczołgał się do latryny. Po wyjściu z niej, zajął miejsce w fotelu kierowcy, sprawdził licznik przebytych mil i spojrzął na kompas. Skorygował kurs.

– Jak dobrze pójdzie, to przed świtem będziemy w Salt Lake City – zawyrokował. – Nie wpakowałeś się w jakieś kłopoty?

– Nie. Poszło gładko. Widziałem parę węży, ale ominąłem je z daleka. To wszystko.

Tanner chrząknął i wrzucił bieg.

– Jak się nazywał ten facet, który przyniósł wiadomość o epidemii?

– Brady, czy Brody – coś w tym rodzaju – odparł Greg.

– Na co umarł? Mógł przecież przywlec zarazę do LA.

Greg potrząsnął głową.

– Nie. Jego samochód został uszkodzony, a on sam był cały pogruchotany i przez dużą część drogi wystawiony na działanie promieniowania. Spalili jego ciało i samochód, a każdy kto się z nim stykał, dostał zastrzyk Haffikiny.

– Co to takiego?

– Właśnie ją wieziemy. Antyserum Haffikina. To jedyny preparat, który może zapobiec rozszerzaniu się epidemii. Kiedy przed dwudziestu laty grasowała na naszym terenie, mieliśmy Haffikinę pod ręką i zachowaliśmy środki, aby szybko wyprodukować jej więcej. Boston o to nie zadbał i teraz cierpią.

– To mi wygląda na coś w rodzaju głupoty ze strony jednego z dwóch państw istniejących jeszcze na tym kontynencie, a może i na całym świecie. Żeby nie zadbać o siebie wiedząc, że my to mamy.

Greg wzruszył ramionami.

– Chyba masz rację, ale stało się. Robili ci przed zwolnieniem jakieś zastrzyki?

– Tak.

– A więc to było właśnie to.

– Zastanawiam się, w którym miejscu ich kierowca przeprowadził się przez Missus Hip? Nie powiedział tego, co?

– W ogóle mało co mówił. Większość tej historii wyczytali z listu, który miał przy sobie.

– To musiał być po byku kierowca, jeśli przejechał Aleją.

– Tak. Nikt tego chyba przedtem nie dokonał, co?

– Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Chciałbym poznać tego gościa.

– Ja też.

– Dobrze, że nie mamy łączności radiowej przez cały kraj, jak to było dawniej.

– Dlaczego?

– Wtedy nie musiałby jechać, a my moglibyśmy badać całą trasę, żeby stwierdzić, czy w ogóle da się nią przejechać. Wszyscy mogliby tam przez ten czas powymierać.

– Masz orzech do zgryzienia. Za dzień, czy coś koło tego, znajdziemy się w punkcie, z którego trudniej będzie wrócić niż jechać dalej.

Tanner wyregulował ekran, po którym przesuwały się jakieś ciemne kształty.

– Popatrz na to!

- Nic nie widzę.
- Załóż noktowizory.

Greg nasunął na oczy gogle noktowizyjne i utkwiał wzrok w ekranie.

Nietoperze. W powietrzu szybowały olbrzymie nietoperze, przelatując nad samochodem czarnymi chmurami.

– Muszą być ich setki, może tysiące...

– Chyba tak. Zdaje się, że jest więcej niż kilka lat temu, kiedy tędy jechałem. Muszą się wylegać w Carisbad.

– W LA nigdy ich nie widzimy. Może są nieszkodliwe?

– Kiedy ostatni raz byłem w Salt Lake, słyszałem gadki, że wiele z nich jest wściekłych. Ktoś musi się tym wreszcie zająć – one, albo my.

– Jesteś równy facet. Dobrze się z tobą jedzie, wiesz?

Tanner zachichotał i zapalił papierosa.

– Może zrobiłbyś nam jakiejś kawy? – powiedział. – A co do nietoperzy, to są to bydlaki, których mogą się bać nasze dzieci, jeśli jakieś mamy.

Greg napełnił ekspres do kawy i wsunął wtyczkę w tablicę rozdzielczą. Po chwili ekspres zaczął dudnić i syczeć.

– A to co, u diabła? – zdziwił się Tanner i gwałtownie zahamował. Drugi samochód zatrzymał się o sto jardów za nimi. Tanner podniósł mikrofon i powiedział:

– Wóz numer trzy! Co to według ciebie jest? – Czekał.

Obserwował je: niebotyczne, stożkowate bąki, wirujące między niebem, a ziemią, chybotające się na boki, przesuwane tam i z powrotem w odległości mili przed nimi. Było ich czternaście albo piętnaście. To stały prosto i nieruchomo jak filary, to znów tańczyły jakiegoś diabelskiego walca. Wwiercały się w ziemię i zasysały w siebie żółty pył. Otaczała je leciutka mgiełka. Ponad i poza nimi gwiazdy były przyćmione albo nie było ich wcale.

Greg szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ekran.

– Słyszałem o trąbach powietrznych, o tornadach – wielkich wirach powietrza. Nigdy ich nie widziałem, ale tak właśnie mi je opisywano.

Radio zatrzeszczało i przemówiło przytłumionym głosem człowieka nazwiskiem Marlowe:

– Gigantyczne, pyłowe diabły. Wielkie obrotowe burze piaskowe. Myślę, że wszystko co napotykają po drodze, wsysają do pasa śmierci, bo nie widzę, żeby coś opadało z powrotem na dół.

– Widziałeś kiedy coś podobnego?

– Ja nie, ale mój pomocnik mówi, że widział. Mówi, że lepiej będzie wysunąć słupy kotwiczne i zostać tu na miejscu.

Tanner nie odpowiedział od razu. Patrzył na tornada, które zdawały się powiększać.

– Przejdą tędy – stwierdził w końcu. – Nie jestem za tym, żeby się tu zatrzymać i czekać, aż mnie porwą. Chcę zachować zdolność manewru. Jadę przez nie.

– Nie radzę ci.

– Nikt ciebie nie pyta, Marlowe, a jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to zrobisz to samo.

– Moje rakiety są wycelowane w tył twojego wozu, Czart.

– I tak ich nie odpalisz – nie za takie coś. Przecież to ja mogę mieć rację, nie ty. A poza tym jest tu jeszcze Greg.

Zapadła chwila milczenia, maćona zakłóceniami elektrostatycznymi.

– Okay, wygrałeś Czart – odezwał się wreszcie Marlowe. – Jedź, a my popatrzemy. Jak ci się uda, ruszymy za tobą, a jak nie, zostaniemy tu, gdzie stoimy.

– Wystrzelę flarę, gdy przedostanę się na drugą stronę – powiedział Tanner. – Gdy ją zobaczycie, zróbcie to samo, okay?

Przerwał połączenie i spojrzął przed siebie, oceniając wzrokiem ogromne, czarne, rozdęte u wierzchołków kolumny. Z burzy, którą podtrzymywały, spłynęło kilka świetlnych rozbłysków, ale przestrzeń pomiędzy ciemnymi, obracającymi się w zawrotnym tempie pniami była ciągle zasnutą mgiełką.

– Idą na nas – powiedział Tanner, przełączając reflektory na największą możliwą jasność. – Zapnij pasy, chłopcze.

Greg usłuchał go. Pojazd z chrzęstem ruszył naprzód.

Tanner zapiął swój pas bezpieczeństwa i prowadził wóz powoli w kierunku czarnych słupów. W miarę jak się do nich zbliżali, filary chwiejąc się rosły w oczach. Było teraz słychać agresywny śpiewny dźwięk – pieśń wichrowego chóru.

Minął pierwszy w odległości trzydziestu jardów i skręcił w lewo, aby zejść z drogi temu, który tkwił naprzeciw i bezustannie pęczniał. Kiedy go wyminął, natknął się na następny i skręcił jeszcze bardziej w lewo. Przed sobą dostrzegł ćwierćmilowy pas wolnej przestrzeni, biegnący nieco w prawo. Dodał gazu i pojechał szybciej, przemykając po drodze między dwoma wieżami wznoszącymi się ku niebu niczym ebonitowe filary. Gdy je mijał, o mało nie wyrwało mu kierownicy z rąk. Miał wrażenie, że znalazł się w centrum trwającego wiecznie uderzenia gromu. Skręcił w prawo i przyspieszając jeszcze bardziej, ominął następną kolumnę.

Gdy to uczynił, ujrzał przed sobą siedem kolejnych. Przemknął na pełnym gazie między dwiema i objechał trzecią. Wtedy kolumna, która została za nim, ruszyła gwałtownie z miejsca, uniemożliwiając mu skręt w prawo. Westchnął ciężko i skręcił w lewo.

Otaczały go ostatnie cztery kolumny. Zahamował gwałtownie. Szarpnięcie było tak silne, że pasy bezpieczeństwa werżnęły mu się w ramiona. Dwa z wirów powietrznych zadrżały i ze straszliwymi przyspieszeniami ruszyły nagle do przodu. Jeden, przechodząc przed maską, uniósł przód samochodu w górę.

Tanner wcisnął do dechy pedał gazu i przemknął między dwoma ostatnimi. To był koniec. Wszystkie czarne diabły zostały za nim.

Przejechał jeszcze ćwierć mili, potem zawrócił, wjechał na małe wzniesienie i stanął.

Wystrzelił flarę.

Wisiała przez jakieś pół minuty w powietrzu, niczym gasnąca gwiazda.

Zapalił papierosa i wyęzając wzrok patrzył w kierunku, z którego przed chwilą nadszedł. Czekał.

Skończył papierosa.

– Nic – powiedział. – Może jej nie dostrzegli poprzez te burze. Albo to my nie zauważyliśmy ich sygnału.

– Żeby tak było – odezwał się Greg.

– Jak długo chcesz czekać?

– Napijmy się kawy.

Minęła godzina, potem dwie. Trąby powietrzne zaczęły się kurczyć, aż wreszcie pozostały tylko trzy z tych smuklejszych. W końcu i one odleciały na wschód, ginąc z pola widzenia. Tanner wystrzelił następną flarę. Odpowiedzi nadal nie było.

– Pojedźmy lepiej z powrotem i poszukajmy ich – odezwał się Greg.

– Okay.

Pojechali z powrotem.

Nie znaleźli tam jednak nic. Nic, co świadczyłoby o losie samochodu numer trzy. Zanim zakończyli poszukiwania, na wschodzie zaczęło świtać. Tanner zawrócił, sprawdził wskazanie kompasu i ruszył na północ.

– Kiedy według ciebie będziemy w Salt Lake? – spytał po długiej chwili milczenia Greg.

– Za jakieś dwie godziny.

– Bałeś się jak przejeżdżaliśmy przez to świństwo?

– Nie, ale potem nie czułem się najlepiej.

Greg pokiwał głową.

– Może chcesz, żebym znowu poprowadził?

– Nie. I tak nie mógłbym zasnąć. Zatankujemy w Salt Lake i możemy tam coś przekąsić, kiedy mechanicy będą sprawdzali wóz. Potem dociągnę do dobrej drogi i będziesz mógł mnie zmienić, a ja się zdrzemnę.

Niebo było znowu purpurowe, a czarne pasma poszerzały się. Tanner zaklął i przyspieszył. Bluznął płomieniem z miotacza zamontowanego pod spodem wozu do dwóch nietoperzy, które postanowiły dokonać przeglądu pojazdu. Spadły na ziemię i zostały z tyłu, a Tanner przyjął od Grega kubek gorącej kawy.

VIII

Gdy wczesnym rankiem dotarli do Salt Lake City, niebo było tak ciemne, iż wydawać się mogło, że to już wieczór. John Brady – tak właśnie brzmiało jego nazwisko – przejeżdżał tędy kilka dni wcześniej i miasto przygotowane było na przyjęcie samochodu z Los Angeles. Na ulice wyległa większość z dziesięciu tysięcy mieszkańców i zanim Czart i Greg zeskoczyli z kabiny na ziemię, po zatrzymaniu się w pierwszej napotkanej stacji obsługi, maska wozu numer dwa była już otwarta i nad silnikiem pochylało się trzech mechaników.

Zrezygnowali ze spożycia posiłku w wozie restauracyjnym, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, gdyż zbyt wielu ludzi zarzuciło ich zbyt wieloma pytaniami, kiedy tylko ruszyli się na krok poza bramę garażu. Wycofali się szybko z powrotem i posłali kogoś po jajecznicę na bekonie i tosty.

Po skończonym przeglądzie, samochód wytoczył się na ulicę i przyspieszając odjechał na wschód, żegnany przez wiwatujące tłumy.

– Mogliśmy napić się piwa – westchnął Tanner. – Diabli nadali!

Pędzili teraz wzdłuż czegoś, co dawniej było Trasą US 40. Tanner przekazał Gregowi kierownicę i wyciągnął się w pasażerskiej części kabiny. Niebo nad nimi nieustannie ciemniało, nabierając powoli wyglądu, który miało poprzedniego dnia w LA.

– Może uda nam się przed nią uciec – powiedział Greg.

– Miejmy nadzieję.

Na północy pojawiło się niebieskie pulsowanie, przeradzając się stopniowo w błyszczącą zorzę. Niebo nad nimi było teraz niemal czarne.

– Gazu! – krzyknął Tanner. – Gazu! Tam przed nami jest pasmo wzgórz! Może znajdziemy jakiś nawis skalny albo jaskinię.

Ale burza rozpełtała się zanim dotarli do wzgórz, najpierw spadł grad, potem śnieg, w końcu z nieba zaczęły sypać się wielkie głazy i prawy skaner przestał działać. Karoserię siekły tumany piasku. Nagle z góry lunęły na nich kaskady wody. Silnik zaczął przerywać i krztusić się.

Kiedy dotarli wreszcie pod osłonę wzgórz, burza szalała już na dobre. W skalistej dolince znaleźli zaciszne miejsce, gdzie ściany stercząc stromo do przodu, osłabiały znacznie siłę tej wiatro-piaskowo-pyłowo-skalno-wodnej nawałnicy. Siedzieli tam w miarę bezpieczni, a wokół zawodził i huczał wiatr. Palili papierosy i słuchali.

– Nie damy rady – powiedział Greg. – Miałeś rację. Wydawało mi się, że mamy szansę. Teraz już wiem, że jej nie mamy. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, nawet pogoda.

– Mamy szansę – powiedział Tanner. – Może niezbyt realną, ale jak dotąd dopisywało nam szczęście. Nie zapominaj o tym.

Greg splunął do pojemnika na odpadki.

– Skąd ten przyływ optymizmu? I to u ciebie?

– Byłem wtedy wściekły i gadałem, co mi ślina na język przyniosła. Zresztą nadal jestem zły, ale czuję, że szczęście mi sprzyja.

Greg roześmiał się.

– Do diabła ze szczęściem. Zobacz, co się tam dzieje – powiedział.

– Widzę – odparł obojętnie Tanner. – Tego grata przystosowano do takich warunków i na razie spisuje się dobrze. Poza tym, tu gdzie stoimy, burza pokazuje tylko dziesięć procent tego, co potrafi.

– Okay, ale co to za różnica? To może potrwać parę dni.

– No to poczekamy.

– Jak będziemy za długo czekać, to nawet te dziesięć procent może nas zmiażdżyć. Jak będziemy za długo czekać i jeśli nawet nas nie zmiażdży, to nie będzie już po co jechać dalej. A spróbuj się stąd ruszyć, to rozgniecie nas na placek.

– Zamontowanie nowego skanera zajmie mi dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Mamy zapasowe „oczy”. Jeśli burza potrwa dłużej niż sześć godzin, to ruszamy. Niech się dzieje co chce.

– Kto tak mówi?

– Ja.

– Powiedz, dlaczego? Przecież z takim zapalem broniełeś się przed nadstawianiem własnego karku. Co takiego się stało, że ni z tego ni z owego chcesz ryzykować? Co innego ja.

Tanner zaciągnął się dymem.

– Dużo myślałem – powiedział po chwili i zamilkł.

– O czym? – spytał Greg.

– O tych ludziach z Bostonu – odparł Tanner. – Może warto zaryzykować. Sam nie wiem. Nic nigdy dla mnie nie zrobili, ale do diabła, lubię działać i cholera mnie bierze, gdy widzę jak cały świat umiera. Poza tym, chciałbym zobaczyć Boston. Po prostu zobaczyć jak wygląda. To może być nawet zabawne – zostać bohaterem. Chociażby po to, żeby przekonać się na własnej skórze, jak to jest. Nie zrozum mnie źle. Nie dałbym złamanego grosza za nikogo stamtąd. Szlag mnie tylko trafia, jak sobie pomyślę, że wszystko może się stać takie, jak ta Aleja – wypalone, przewrócone do góry nogami i pełne gówna. Zacząłem myśleć, jak straciliśmy drugi wóz w tym tornadzie. Nie chciałbym widzieć jak wszyscy giną w ten sposób – jak wszystko tak ginie. Ciągle jeszcze mogę nawiać, jak nadarzy mi się dobra okazja. Mówię ci tylko, co teraz czuję. Skończyłem.

Greg odwrócił głowę i roześmiał się, nieco serdeczniej niż zwykle.

– Nigdy cię nie podejrzewałem o takie głębie filozoficzne.

– Ja siebie też. Zmęczyłem się. Opowiedz mi lepiej o swoich braciach i siostrach, co?

– Okay.

Cztery godziny później, gdy burza straciła na sile i spadające z nieba głązy zastąpił pył, a deszcz przerodził się w mgłę, Tanner wymienił prawy skaner i ruszyli przez Park Narodowy Gór Skalistych.

Mgła i unoszący się w powietrzu kurz przez cały dzień ograniczały widoczność. Tego wieczoru okrążyli ruiny Denver. Potem Tanner zmienił Grega za kierownicą i poprowadził samochód w stronę terenów zwanych kiedyś Kansas.

Jechał całą noc. O świcie niebo było czystsze niż w ciągu poprzednich dni. Pozwolił Gregowi chrapać, a sam, siorbiąc kawę, zabrał się do porządkowania swoich myśli.

Gdy tak siedział z dłońmi na kierownicy pędzącego samochodu i z ułaskawieniem w kieszeni, ogarnął go dziwny nastrój. Z tyłu, za samochodem unosiły się tumany kurzu. Niebo miało barwę pączka róży, a czarne bruzdy znowu się skurczyły. Przypomniawszy sobie opowieści o dniach, kiedy spadły pociski, obracając w perzynę wszystko, oprócz rejonów położonych na północnym wschodzie i południowym zachodzie; o dniach, kiedy zerwały się wichry, znikły chmury, a niebo straciło swój błękitny kolor; o dniach, kiedy zniszczony został Kanał Panamski i przestało działać radio; o dniach, po których samoloty nie mogły już latać. Żałował tego, bo zawsze chciał latać, wysoko jak ptak, nurkując i wzbijając się w górę. Poczłł chłód. Ekran miał teraz przezroczystość kryształu i wyglądały jak sadzawki zabarwionej wody. Gdzieś przed nim, daleko, daleko przed nim leżało coś, co było może jedynym, poza Los Angeles, większym skupiskiem ludzkim, jakie nosił jeszcze na swych barkach świat. Jeśli zdoła dotrzeć tam na czas, może je ocalić. Rozejrzał się wokół. Zobaczył skały, piasek i ścianę rozwalonego garażu, który w jakiś niewyjaśniony sposób znalazł się na górskim zboczu. Długo jeszcze pozostał mu w pamięci, chociaż dawno go już minął. Pogruchoł, zapadnięty, na wpół zasypany gruzem przypominał monstrualną, zmurszałą czaszkę, którą nosiły kiedyś ramiona olbrzyma. Cisnął mocniej pedał gazu, chociaż ten doszedł już do oporu. Chwyciły go dreszcze. Niebo pojaśniało, ale nie regulował ekranu. Dlaczego to musiał być on? Przed sobą, nieco po prawej, dostrzegł gęste kłęby dymu. Podjeżdżając bliżej zobaczył, iż wydobywa się on z góry o ściętym wierzchołku, na miejscu którego uwił sobie gniazdo ogień. Skręcił gwałtownie w lewo, zbacząc na wiele, wiele mil z trasy, którą wcześniej obrał. Ziemia drżała od czasu do czasu pod kołami. Wokół opadały popioły, ale dymiący stożek został już daleko z tyłu i był ledwo widoczny na prawym ekranie. Zastanawiał się nad dniami, które już przeminęły, i nad tym co mu przyniosły. Jeśli uda mu się przejechać, zdecydował, poduczy się trochę historii.

Parł do przodu, mijając kaniony jak z obrazka, przeprawiając się przez płytkie rzeki. Nikt go nigdy przedtem nie prosił, żeby zrobił coś ważnego i miał nadzieję, że nikt już nigdy tego nie uczyni. Teraz jednak czuł, że potrafi tego dokonać. Chciał tego dokonać. Wokół, płonąc, dymiąc, drżąc, leżała Aleja Potępienia i jeśli nie uda mu się jej pokonać, umrze pół świata, a podwoją się szanse, że pewnego dnia cały świat stanie się taką Aleją. Greg ciągle spał. Spał snem człowieka wyczerpanego fizycznie i psychicznie. Tanner przymrużył oczy, zagryzł wargi i nie dotknął hamulca nawet wtedy, gdy zauważył sunącą po górskim zboczu kamienną lawinę. Zdołał ją ominąć i odetchnął. Ten rozdział był już dla niego zamknięty. Wyszedł bez jednego zadrapania. Jego umysł był powiększającym się pęcherzem o ściankach niczym rejestrujące wszystko wokół ekrany. Poczłł prąd powietrza i nacisk wywierany przez pedał gazu na jego stopę. Zaszło mu w gardle, ale to nie miało znaczenia. Kąciki oczu kleiły się, nie otarł ich jednak. Pędził przez zryte kraterami równiny Kansas i wiedział już, że wczłł się całkowicie w swoją rolę i że mu ona odpowiada. Denton, niech go licho, miał rację. Trzeba było to zrobić.

Zatrzymał się nad krawędzią przepaści, a potem skierował się na północ. Trzydzieści mil dalej urwisko skończyło się, zawrócił więc i pojechał z powrotem na południe. Greg mamrotał coś przez sen. Brzmiało to jak przekleństwo. Tanner powtórzył je cicho kilka razy i kiedy tylko natknął się na płaski teren, wykręcił znowu na wschód. Słońce stało wysoko na niebie i Tanner miał wrażenie, że unosi się lekki jak piórko w jego promieniach ponad brązową ziemią, podziobaną tu i ówdzie

zielonymi szpilkami kielkujących roślin. Zaciśnął zęby i wrócił myślami do Denny'ego, który leżał teraz niewątpliwie w szpitalu. Lepiej, że jest tam niż w miejscu, do którego odeszli jego niedawni współtowarzysze. Miał nadzieję, że pieniądze, o których mu powiedział, ciągle jeszcze tam są. Poczł nagle narastający ból w okolicy karku i ramion i dopiero teraz uświadomił sobie jak kurczowo ściska kierownicę. Zamrugał oczyma i wziął głęboki oddech. Bolały go gałki oczne. Zapalił papierosa. Nie smakował mu, pykał go jednak dalej nie zaciągając się. Popił trochę wody i przyciemnił wsteczny ekran, na którym błyszczało zachodzące słońce. Wtedy właśnie usłyszał dźwięk, przypominający odległy grzmot pioruna i to ponownie obudziło jego czujność. Poprawił się w fotelu i zdjął nogę z pedału gazu.

Zwolnił, zahamował i stanął. Zobaczył je. Siedział nieruchomo i patrzył jak przechodziły o jakieś pół mili przed nim.

Monstrualnej wielkości stado bizonów przecinało drogę, którą jechali. Zanim przeszły, minęło pół godziny. Ogromne, ciężkie, czarne, o spuszczonej łbach, ryjąc kopytami glebę pędziły z ogłuszającym grzmotem, który z czasem przetoczył się na północ, cichł, cichł, aż zamarł w oddali.

Kurtyna wzniesionego ich kopytami kurzu ciągle jeszcze wisiała w powietrzu. Tanner zanurzył się w nią, włączając reflektory.

Zastanawiał się, czy zażyć tabletkę pobudzającą, ale zrezygnował z tego. Greg mógł się niebawem obudzić. Nie mógłby zasnąć, gdy zmienią się za kierownicą.

Jechał teraz wzdłuż autostrady. Nawierzchnia wyglądała na nieźle zachowaną, wprowadził więc samochód na szosę i popędził dalej. Po pewnym czasie minął wyblakły drogowy znak głoszący: TOPEKA 110 MIL.

Greg ziewnął i przeciągnął się. Przetarł pięściami oczy, dotknął czoła, które po prawej stronie było spuchnięte i pociemniałe.

– Która godzina? – spytał.

Tanner ruchem głowy wskazał zegar na tablicy rozdzielczej.

– Rano, czy po południu?

– Popołudniu.

– O Boże! Spałem prawie piętnaście godzin.

– Coś koło tego.

– Cały czas prowadziłeś?

– Tak.

– Ty dojedziesz. Masz w sobie coś z czarta. Pozwól, że przyjdę do siebie. Za pięć minut cię zmienię.

– Dobrze pomyślane.

Greg przeczołgał się na tył pojazdu.

W pięć minut później Tanner dotarł do peryferii wymarłego miasteczka. Jechał główną ulicą, wzdłuż której stały porzewiałe wraki samochodów. Większość budynków zapadła się. Niektóre z odsłoniętych piwnic wypełniała woda. Po jej powierzchni pływały płaty żółto-zielonej piany. Na rynku miejskim leżały ludzkie szkielety. Nad rosnącymi tam chwastami nie górowało ani jedno drzewo, stały jednak jeszcze trzy słupy telefoniczne, z których jeden, pochylony do przodu, włókł za sobą warkocz pozrywanych przewodów i przypominał gigantyczny widelec, niosący do ust nieistniejącego olbrzyma porcję czarnego spaghetti. Wśród chwastów, na popękany chodniku, stało kilka ławek. Mijając drugą, Tanner zauważył siedzący na niej szkielet człowieka. Drogę zatarasował mu przewrócony słup telefoniczny, objechał więc budynek wkoło. Następna ulica zachowała się nieco lepiej, jednak wszystkie wychodzące na nią witryny sklepów były rozbite, a nagi manekin

zastygł w usługowej pozycji, wyciągając przed siebie kikut urwanej w łokciu prawej ręki. Na skrzyżowaniu gapiły się na Tannera ślepe oczodoły świateł sygnalizacyjnych.

Skręcając w następną przecznicę, usłyszał, że Greg przesuwa się na przód samochodu.

– No, zmieniamy się – powiedział, przystając za Tannerem.

– Chcę najpierw stąd wyjechać – odparł Tanner i patrzyli w milczeniu dopóki wymarłe miasto nie pozostało daleko za nimi. Dopiero wtedy Tanner zatrzymał wóz.

– Jesteśmy o dwie godziny drogi od miejscowości zwanej kiedyś Topeka. Obudź mnie, jak wpakujesz się w jakąś kabałę.

– Jak było, kiedy spałem? Miałeś jakieś kłopoty?

– Nie – powiedział Tanner, zamknął oczy i zaczął chrapać. Greg prowadził, mając za plecami słońce i zanim dojechał do Topeki zjadł trzy kanapki z szynką, popijając kubkiem mleka.

IX

Obudził Tannera wizg odpalanych rakiet. Przetarł oczy, spędzając sen z powiek i przez prawie pół minuty gapił się nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń.

Zewsząd, niby gigantyczne, zeszcłe liście, opadały kołysząc się wielkie chmury. Nietoperze, nietoperze, nietoperze. Były wszędzie. Tanner słyszał kwilenie, piski i skrobanie. Raz po raz któryś z nich zderzał się z samochodem.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

– W Kansas City. Pełno ich tutaj – powiedział Greg i odpalił następną raketę, która wycięła ognisty tunel poprzez spadającą na nich korkociągami horde.

– Oszczędzaj rakiety. Użyj miotaczy ognia – powiedział Tanner, przełączając najbliższy sobie karabin na obsługę ręczną i wyostrzając na ekranie krzyż nitek celownika. – Wal po nich we wszystkich kierunkach przez pięć, sześć sekund. Potem ja wchodzę.

Trysnął płomień, rozkwitając pomarańczowo-kremowymi, ognistymi kwiatami. Gdy zgasł, Tanner zerknął na ekran i nacisnął spust. Zamiatał lufą karabinu w prawo, w lewo i znowu w prawo, dodając do leżących na ziemi zwęglonych ciał nowe sztuki.

– Przejeżdż po nich! – krzyknął do Grega. Samochód, kiwając się na boki, ruszył do przodu. Pod kołami chrupały rozgniatane trupy nietoperzy.

Tanner siekł niebo seriami broni maszynowej, zarzucając gradem pocisków następną falę atakujących z lotu nurkowego stworów.

W nagłym rozbłysku wystrzelonej w górę flary zobaczyli, że krążąc spiralami, zniżają się ku nim miliony postaci o twarzach wampirów.

Tanner przeskakiwał od karabinu do karabinu i nietoperze spadały na ziemię jak ulęgałki.

– Hamuj i grzej z miotacza górnego! – krzyknął i Greg wykonał polecenie.

– Teraz na boki! Potem do przodu i do tyłu!

Wszędzie wokół paliły się ciała, tworząc już stos sięgający poziomu maski samochodu.

– Naprzód! – krzyknął Tanner i Greg wrzucił pierwszy bieg. Parli przez sterty zwęglonych ciał.

Tanner wystrzelił następną flarę.

Nietoperze ciągle były w pobliżu, ale krążyły już wyżej. Tanner załadował karabiny i czekał, lecz zmasowany atak więcej się nie powtórzył. Oddał kilka strzałów na postrach do paru przelatujących obok stworów. Bitwa była wygrana.

– Tam po lewej, to rzeka Missouri – odezwał się po dziesięciu minutach jazdy. – Jadąc wzdłuż jej brzegu, trafimy do Saint Louis.

– Wiem. Myślisz, że też będzie pełne nietoperzy?

– Chyba tak. Ale jeśli nie będziemy się za bardzo spieszyć i dotrzemy tam za dnia, to nie powinny sprawić nam kłopotu. W Saint Louis możemy pomyśleć nad sposobem przeprawienia się przez Missus Hip.

Ich oczy spoczęły na ekranie wstecznym, gdzie na tle usianego bladymi gwiazdami nieba, podkreślana blaskiem krwawego księżyca, rysowała się ponura sylwetka Kansas City – miasta nietoperzy.

Jakiś czas potem Tanner zasnął ponownie. Śnił, że jedzie wolno na swym motocyklu środkiem szerokiej ulicy, a na chodnikach stoją tłumy ludzi, którzy wiwatują, gdy ich mija. Zewsząd rzucają konfetti, ale kiedy dolatuje do niego, okazuje się, że to mokre, cuchnące śmieci. Dodaje gazu, ale motocykl zwalnia jeszcze bardziej, a ludzie obrzucają go teraz wyzwiskami, wykrzykują obelgi, powtarzają ciągle jego imię. Harley zaczyna się chwiać, ale nie może się podeprzeć nogą, bo jego stopy są jak przyklejone. Motocykl zatrzymuje się i przechyla na prawą stronę. Wie już, że upadnie. Gdy leży na ziemi, tłum rzuca się w jego kierunku i już wie, że zbliża się koniec...

Obudził go wstrząs i zobaczył rozścielający się wokół niego poranek: błyszcząca moneta pośrodku ciemnoniebieskiego obrusu i rząd szklanek wzdłuż krawędzi.

– No, jesteśmy – powiedział Greg. – To Missus Hip.

Tanner poczuł się nagle bardzo głodny. Po spożyciu posiłku, skierowali się w stronę mostu.

– Nie zauważyłem żadnego z twoich nagich ludzi z włóczniami – powiedział Greg. – Mogliśmy oczywiście minąć ich po zapadnięciu zmroku, jeśli w ogóle jacyś tu jeszcze są.

– No i dobrze – odparł Tanner. – Oszczędziliśmy trochę amunicji.

Ich oczom ukazał się most, obwisły i ponury z wyjątkiem miejsc, gdzie słońce złociło liny, na których był zawieszony. Rozciągał się, nie przełamany, nad błyszczącą taflą wody. Przedzierali się powoli w jego kierunku, torując sobie drogę przez zawalone gruzem ulice, klucząc objazdami, gdy drogę tarasowały rzędy rozbitych samochodów, sterty cegieł ze zburzonych budynków, sięgające kanałów ściekowych wyrwy w chodnikach.

Pokonanie półmilowego odcinka zajęło im dwie godziny i gdy dotarli do przyczółka mostu było już południe.

– Wygląda na to, że Brady mógł przeprowić się tędy – powiedział Greg, dostrzegając coś w rodzaju przejścia przetartego pomiędzy zawałającymi most od przęsła do przęsła wrakami. – Jak on to zrobił, według ciebie?

– Może miał ze sobą coś do podnoszenia ich i wyrzucania za barierkę. Tam pod mostem, gdzie jest płytko, wystaje z wody parę wraków.

– Były tu, jak ostatnio tedy przejeżdżałeś?

– Nie wiem. Nie dotarłem do samego mostu. Wdrapałem się tylko na to wzgórze, tam za nami – powiedział Tanner, wskazując ruchem głowy na ekran wsteczny.

– Tak. Stąd wydaje się, że zdołamy przejechać. Ruszamy.

Wjechali na most i rozpoczęli żmudną przeprawę przez potężną Missus Hip. Były momenty, gdy most trzeszczał pod ich wozem, wzdychał, jęczał i czuli wtedy, że się porusza.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, a oni ciągle przedzierali się naprzód, zadrapując błotniki o krawędzie wraków, używając „skrzydeł” jako pługów. Dopiero po trzech godzinach, pomiędzy filarami przęsła dostrzegli kraniec mostu.

Gdy koła samochodu dotknęły wreszcie stałego gruntu po drugiej stronie rzeki, Greg, dysząc

ciężko, opadł na oparcie fotela kierowcy i zapalił papierosa.

– Chcesz trochę poprowadzić, Czart?

– Dobra. Zamieńmy się.

– Boże! Jestem wykończony! – powiedział Greg, rozwalając się na siedzeniu w pasażerskiej części kabiny.

Tanner prowadził wóz wśród ruin wschodniego Saint Louis, spiesząc się, aby wyjechać z miasta przed zapadnięciem nocy. W miarę jak posuwali się naprzód, poziom promieniowania ciągle wzrastał, a ulice były coraz bardziej zawałone gruzem i popękane. Sprawdził licznik wskazujący poziom promieniowania w kabinie. Odczyt był dużo wyższy od dopuszczalnego.

Jazda przez zniszczone miasto zajęła kilka godzin i kiedy słońce zaszło z tyłu, za nimi, Tanner ujrzał rozlewającą się znowu na północy niebieską zorzę. Niebo jednak pozostawało czyste, usiane gwiazdami i nie widział na jego tle czarnych linii. Po dłuższym czasie wzeszedł różowy księżyc i zawisł przed nimi. Włączając cichą muzykę, Tanner spojrzął na Grega. Nie wyglądało, żeby mu przeszkadzała.

Jego wzrok przyciągnął przyrząd z tablicy rozdzielczej. Wskazanie poziomu promieniowania ciągle pięło się w górę. Nagle, na przednim ekranie Tanner ujrzał krater i zatrzymał się.

Krater miał z pół mili średnicy, a jego głębokości nie dało się ocenić.

Wystrzelił flarę i w jej świetle przyjrzał się mu przez lornetkę teleskopową.

Zdecydował, że łatwiej będzie przejechać, kierując się w prawo, skręcił więc w tę stronę i rozpoczął objazd.

Tu było gorąco! Bardzo, bardzo gorąco! Spieszył się. Pędził. Obserwując rosnące wskazanie licznika promieniowania, zaczął się zastanawiać: jak to było wtedy, tego dnia, gdy rozbłysło tutaj maleńkie słońce, zmagало się z tym na niebie i na chwilę przyćmiło je, a potem powoli zaszło do swej nory w ziemi? Próbował to sobie wyobrazić i udało mu się, potem próbował usunąć to z pamięci i nie mógł. Jak stłumić płomień, które palą się wiecznie? Chciałby to wiedzieć. Było wtedy tyle miejsc, które można było odwiedzać, a on lubił podróżować. Jak to było, kiedy człowiek mógł sobie, gdy tylko chciał, wskoczyć na motocykl i pojechać do innego miasta? I nikt nie wylewał na niego z nieba kubłów z pomyjami? Czuł się oszukany, co nie było dla niego nowym uczuciem, ale teraz kłął dłużej niż zwykle.

Objechawszy wreszcie krater, zapalił papierosa i gdy wskazanie licznika promieniowania zaczęło znowu spadać, uśmiechnął się po raz pierwszy od miesięcy.

Po przejechaniu wielu mil zobaczył falujące wszędzie wokół wysokie trawy, a niedługo potem ujrzał pierwsze drzewa.

Były z początku karłowate i poskręcane, ale im bardziej oddalał się od miejsca rzezi, tym stawały się wyższe i prostsze.

Tam, na równinach Illinois, rosły drzewa, jakich nigdy przedtem nie widział – wysokie na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp, smukłe, przesłaniające gwiazdy.

Jechał pustą, twardą, szeroką drogą i właśnie wtedy poczuł, że chce nią tak jechać zawsze – na Florydę, z jej bagnami, torfowiskami, gajami pomarańczowymi, pięknymi plażami i z Zatoką Meksykańską; aż do zimnego, skalistego Przylądka, gdzie wszystko jest szare i brązowe, gdzie fale rozbijają się u podnóży morskich latami, gdzie sól pali cię w nozdrza i gdzie są cementarzyki, na których kości leżą od wieków, a stale jeszcze można odczytać nazwiska jakie nosiły, wyryte nad nimi w kamiennych nagrobkach; na południe przez kraj, w którym jak mówią, trawa jest niebieska; potem wzdłuż potężnej Missus Hip, aż do miejsca, gdzie się ona rozwidła i gdzie jest znowu Zatoka Meksykańska pełna małych wysepek, na których dawni piraci ukrywali swoje łupy, i przez porośnięte

lasami góry, o których słyszał: Smokies, Ozarks, Poconos, Catskills; jechać tak przez lasy Shenandoah, zatrzymać się tam, wynająć łódkę i wypłynąć nią na Zatokę Chesapeake; zobaczyć Wielkie Jeziora i miejsce, w którym wody spadają w dół – Niagarę. Jechać zawsze głównymi drogami, żeby zobaczyć wszystko, żeby chłonąć świat. Tak. Może nie wszędzie jest Aleja Potępienia. Niektóre z tych legendarnych miejsc muszą nadal być czyste, nie skażone, tak jak kraina, która leżała teraz wokół niego. Pożądał jej głodem, ogniem takim, jaki zawsze płonął w jego lędźwiach. Roześmiał się wtedy, bo wydało mu się, że może to mieć.

Muzyka grała cicho, może zbyt rzewnie i wypełniła go.

X

Nad ranem, ciągle jadąc szosą, był już na terenach noszących niegdyś nazwę Indiana. Zabudowania gospodarcze, które teraz mijał, wyglądały na nieźle zachowane i mogli w nich nawet mieszkać ludzie. Miał wielką ochotę to sprawdzić, ale bał się zatrzymać. Po godzinie jazdy, krajobraz zaczął się degenerować.

Trawy były coraz niższe, coraz bardziej wysuszone, wreszcie znikły zupełnie. Gdźieniedzie tylko nagiej gleby trzymało się kurczowo poskręcane drzewo. Poziom promieniowania zaczął znowu wzrastać i z oznak tych Tanner wywnioskował, że zbliża się do Indianapolis, które jako duża metropolia, musiało ulec zniszczeniu.

No i nie mylił się.

Aby je okrążyć, musiał zjechać z trasy daleko na południe. Wrócił z powrotem na szosę w miejscowości o nazwie Martinsville, aby tam przeprawić się przez White River. Znalazłszy się na drugim brzegu, ruszył na wschód i wtedy radio zatrzeszczało i przemówiło przytłumionym głosem, powtarzając wezwanie:

– Niezidentyfikowany samochód, zatrzymać się!

Tanner przełączył wszystkie skanery na zasięg teleskopowy. Daleko przed sobą, na szczycie wzgórza, dostrzegł człowieka z lornetką i krótkofalówką. Nie potwierdził odbioru transmisji i pędził dalej.

Gnał środkiem znajdującego się w przyzwoitym stanie pasa autostrady, zwiększając stopniowo szybkość z czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, chociaż protesty opon kaleczonych o popękaną nawierzchnię były tak głośne, że obudziły Grega.

Tanner nie odrywał wzroku od szosy, gotowy w każdej chwili do odparcia ataku, a radio, głośniejsze teraz, gdy zbliżyli się do wzgórza, powtarzało bez ustanku wezwanie do zatrzymania się i żądało potwierdzenia odbioru.

Wszedł w łagodny zakręt kładąc stopę na hamulcu i nie odpowiadając Gregowi, który chciał wiedzieć co się stało.

Ujrzawszy tarasujący drogę czołg z wielkim działem skierowanym wprost na niego, zareagował natychmiast.

Podczas gdy oczy szukały luki, którą mógłby się prześliznąć i znalazły ją, prawa ręka odpaliła trzy rakiety przeciwpancerne, lewa skręciła kierownicę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, a stopa spadła ciężko na pedał gazu.

Czołg wypalił z działa, ale samochód był już lewymi kołami poza szosą i podskakując na nierównościach terenu pędził poboczem, wzdłuż krawędzi przydrożnego rowu. Ognisty pocisk chybił

celu.

Ominawszy blokujący drogę czołg, Tanner wprowadził wóz z powrotem na szosę i przyspieszając pomknął przed siebie. Ścigały go serie z broni maszynowej. Greg posłał po jednym granacie na prawo i na lewo, a potem otworzył ogień z pięćdziesiątek. Oddaliwszy się na ćwierć mili od zasadzki, Tanner, nie zmniejszając szybkości, podniósł mikrofon, powiedział: „Przepraszam za to co się stało. Hamulce mi nawaliły” i odwiesił go z powrotem. Odpowiedź nie nadeszła.

Gdy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, zapewniającej dobrą widoczność na wszystkie strony, Tanner zatrzymał wóz i za kierownicą usiadł Greg.

– Jak myślisz, skąd mieli takie uzbrojenie?

– Kto ich tam wie.

– A dlaczego nas zatrzymywali?

– Nie wiedzieli co wieziemy... A może chodziło im o nasz samochód.

– Psiakrew! Piekielny sposób sobie wynaleźli, żeby go zdobyć.

– Jeśli oni nie mogli go mieć, to dlaczego my mielibyśmy go sobie zatrzymać?

– Znasz ich sposób myślenia, prawda?

– Znam.

– Masz, zapal.

Tanner skinął głową i przyjął od Grega papierosa.

– Było gorąco, co?

– Nie będę się spierał.

– Mamy jeszcze przed sobą kawał drogi.

– Tak, i dlatego ruszajmy.

– Mówiłeś niedawno, że nie wierzysz, że uda nam się dojechać.

– Zrewidowałem swoją opinię. Teraz myślę, że dojedziemy.

– Po tym wszystkim przez co przeszliśmy?

– Mimo wszystko przeszliśmy przez to.

– Co nas jeszcze czeka na trasie?

– Tego nie wiem.

– Ale z drugiej strony, wiemy czego możemy się spodziewać tam, skąd przyjechaliśmy. Wiemy teraz jak uniknąć wielu z tych niebezpieczeństw.

Tanner skinął głową.

– Próbowalesz raz nawiać. Teraz cię za to nie winię.

– Zaczynasz się bać, Greg?

– Nic nie będę wart dla mojej rodziny jeśli zginę.

– No to po co zgodziłeś się jechać?

– Nie wiedziałem, że tak będzie. Ty byłeś rozsądniejszy, bo wiedziałeś czego się można spodziewać.

– Wiedziałem.

– Jeśli nie dojedziemy, nikt nie może nas za to winić. Mimo wszystko próbowaliśmy.

– A co z tymi ludźmi z Bostonu, o których wygłosiłeś mowę?

– Oni do tej pory już chyba nie żyją. Epidemia nie będzie czekać, no nie?

– A co z tym gościem, Bradym? Umarł, żeby przynieść nam wieści.

– Próbował i Bóg mi świadkiem doceniam to, ale my straciliśmy już trzech kumpli. Czy teraz mamy tę liczbę powiększyć do pięciu tylko po to, żeby pokazać, że wszyscy próbowaliśmy?

– Greg, jesteśmy teraz dużo bliżej Bostonu niż LA. W zbiornikach powinno być tyle paliwa,

abyśmy dojechali tam, gdzie mamy dojechać, ale nie starczy nam już na drogę powrotną.

– Możemy zatankować w Salt Lake.

– Nie jestem nawet pewien, czy wystarczyłoby nam do Salt Lake.

– Zaraz, zaraz, to łatwo wyliczyć. Jeśli jednak nawet by nam nie wystarczyło, to ostatnie sto mil moglibyśmy przejechać na motocyklach. Zużywają dużo mniej benzyny.

– I ty jesteś tym facetem, który obrzucał mnie wyzwiskami? I ty jesteś tym obywatelem, który zastanawiał się, skąd się biorą tacy ludzie jak ja? I ty mnie pytałeś, co oni mi takiego zrobili? Odpowiedziałem ci wtedy „Nic”, a teraz może to ja chcę coś zrobić dla nich. Tylko dlatego, że tak mi się podoba. Dużo przemyślałem.

– Nie masz na głowie rodziny, Czart. Ja, oprócz siebie, mam innych ludzi, o których muszę się martwić.

– Masz uroczy sposób odwracania kota ogonem, gdy chcesz skrewić. Mówisz: „Nie boję się, ale mam matkę, braci i siostry, którymi muszę się opiekować i dziewczuszkę, na którą mam ochotę. Tylko dlatego się wycofuję. Nie ma innych powodów”.

– Bo to prawda! Nie rozumiem cię, Czart! Wcale cię nie rozumiem! Przecież to ty wbiłeś mi to do głowy!

– No to teraz wybij to sobie z niej i ruszajmy.

Dostrzegł kątem oka, że ręka Grega sunie w stronę wiszącego na drzwiach kabiny karabinu, cisnął mu więc papierosem w twarz i zdołał uderzyć go raz w żołądek – słaby cios z lewej ręki, ale najlepszy, jaki mógł zadać z tej pozycji.

Greg rzucił się na niego i Tanner poczuł, że jest przygnieciony do swego fotela. Mocowali się w milczeniu, a palce Grega pełzły powoli do jego twarzy, w kierunku oczu.

Tannerowi udało się wreszcie oswobodzić rękę, złapał Grega za głowę i robiąc półobrót, odepchnął go z całej siły od siebie.

Greg uderzył o tablicę rozdzielczą, zeszytywniał, po czym jego ciało zwiotczało.

Tanner chwycił go za włosy i jeszcze dwa razy grzmotnął jego głowę o tablicę po to tylko, aby mieć pewność, że nie spieprzył roboty. Potem odepchnął bezwładne ciało i wrócił na fotel kierowcy. Łapiąc oddech sprawdził wszystkie ekrany. Nic mu na razie nie zagrażało.

Wydobył sznur ze skrzyni z narzędziami i wykręcając Gregowi ręce do tyłu, skrępował je w łokciach i przeciągnął linkę do nadgarstków. Potem przechylił częściowo fotel, posadził na nim Grega i przywiązał go do niego.

Wrzucił bieg i ruszył w stronę Ohio.

W dwie godziny później Greg zaczął jęczeć i Tanner włączył muzykę, żeby go zagłuszyć. Znowu pojawił się sielski krajobraz: trawy i drzewa, zielone pola, sady jabłoniowe, w których jabłka były jeszcze małe i zielone, białe zabudowania farmerskie, brązowe i czerwone stodoły pobudowane daleko od szosy, którą jechał.

Falujące na wietrze rzędy zielonej kukurydzy o wykształconych już brązowych kitkach, najwyraźniej otaczane przez kogoś opieką; ogrodzenia ze sztachet; zielone żywopłoty; wysokie, gwiazdolistne klony; świeżo odmalowane znaki drogowe; kryta zielonym gontem wieża, z której dochodziło bicie dzwonu.

Linie na niebie poszerzyły się, ale samo niebo nie pociemniało, jak to zwykle czynić przed burzą. Pędząc tak szosą, dotarł w południe do Dayton Abyss.

Zatrzymał się przed zasnutym mgłą kanionem i spojrzał w dół. Potem rozejrzał się na prawo i lewo, zdecydował, że pojedzie w lewo i skierował się na północ.

Poziom promieniowania znowu był wysoki, spieszył się więc, zwalniając jedynie przy omijaniu

szczelin, przepaści i rozpadlin, wydzielających się z mrocznej otchłani kanionu głównego. Z niektórych sączyły się gęste, żółte opary. W pewnej chwili spowiły go zewsząd lepka, siarkową chmurą. Rozwiał ją dopiero lekki wietrzyk, który zerwał się na moment i ucichł. I wtedy odruchowo uderzył po hamulcach. Samochód szarpnął i stanął, a Greg znowu zajęczał. Tanner patrzył przez chwilę szeroko otwartymi oczami na to, co nagle przyciągnęło jego wzrok, potem ruszył wolno naprzód.

Widok ten nie powtórzył się już więcej, ale niełatwo było wymazać go z pamięci i Tanner nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już to widział. Tam, niedaleko Abyss, natknął się na pożółkły, szczerzący w uśmiechu zęby, ukrzyżowany szkielet. Ludzie, pomyślał. To wyjaśnia wszystko.

Kiedy wydostał się z rejonu mgieł, niebo było ciągle ponure i przez jakiś czas nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się znowu na otwartej przestrzeni. Okrążenie Dayton zabrało mu prawie cztery godziny. Pędził teraz przez zryte pociskami wrzosowiska, kierując się znowu na wschód. Z nurtów rwącej po niebie czarnej rzeki wyrztał na chwilę cieniutki sierp słońca, daremnie próbującego wspiąć się na jej północny brzeg.

Reflektory przełączone były na największą moc i Tanner, zdając sobie sprawę z tego, co może za chwilę nastąpić, rozglądał się za jakimś schronieniem.

Na wzgórzu stała stara stodoła, skręcił więc w tamtą stronę. Jedna ściana groziła zawaleniem, a wrota, wyrwane z zawiasów, leżały na ziemi, wjechał jednak ostrożnie do środka. Wnętrze wyglądało w świetle reflektorów na zawilgocone i zapleśniałe. W rozwalonym boksie leżał szkielet konia.

Zatrzymał wóz, wyłączył reflektory i czekał.

Niebawem znowu rozległo się zawodzenie, zagłuszając jęki wydawane od czasu do czasu przez Grega. Potem dał się słyszeć inny dźwięk, nie tak ogłuszający jak ten, który pamiętał z LA, a łagodny raczej, jednostajny, cichy pomruk.

Uchylił drzwiczki samochodu, żeby lepiej słyszeć. Nic go nie zaatakowało, wysiadł więc z kabiny i przeciągnął się. Poziom promieniowania był prawie normalny, toteż nie zadawał sobie trudu, aby naciągnąć skafander ochronny. Podszedł do leżących na ziemi wrót i wyrztał na zewnątrz. Zza pasa sterczał mu pistolet.

Z nieba spadało kroplami coś szarego, a spoza czarnego pasma na niebie wychylił się ponownie skrawek słońca.

Padał deszcz, zwykły, normalny deszcz. Tanner nigdy jeszcze nie widział deszczu, stał więc, paląc papierosa i patrzył z zaciekawieniem na lecące z nieba krople. Poza pasmami czerni niebo było ciągle sinawe.

Deszcz. Po framudze, o którą opierał się lewym ramieniem, ściekało kilka wąziutkich strużek. Przypadkowy powiew wiatru dmuchnął mu w twarz paroma kropelkami i wtedy przekonał się, że to tylko woda. Na zewnątrz tworzyły się kałuże. Wrzucił do jednej z nich kawałek drewnianka i patrzył w zadumie, jak pływało kołysząc się pod wpływem trafiających je kropel. Gdzieś pod dachem stodoły słychać było ptasie głosy. W nozdrza bił słodkawy zapach gnijącej słomy. Na podwórzu, pod ścianą, stała zardzewiała młockarnia. Z góry opadło kilka piór. Złapał jedno w locie i przyjrzał mu się uważnie. Było lekkie, ciemne, puszyste i usztywnione żeberkami. Nigdy przedtem nie przyglądał się tak piórom. Sposób, w jaki poszczególne żeberka zachodziły na siebie, przywodził mu na myśl zamek błyskawiczny. Puścił je i porwane wiatrem zniknęło gdzieś za jego plecami. Wyrztał znowu na zewnątrz i popatrzył po swoich śladach. W tym co spadało teraz na ziemię można było chyba jechać, poczuł jednak nagle jak jest zmęczony. Znalazł jakąś beczkę, usiadł na niej i zapalił następnego papierosa.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Przyłapał się na tym, że myśli o ostatnich etapach tego koszmarnego rajdu. Nie mógł już ani przez chwilę ufać Gregowi, przynajmniej dopóki nie znajdą się tak daleko, że nie będzie drogi odwrotu. Wtedy będą tak bardzo potrzebni sobie nawzajem, że zaryzykuje i uwolni go. Miał nadzieję, że mu znowu coś nie odbije. Nie wiedział, co im jeszcze szykuje Aleja. Jeśli jednak dalej burze stracą na gwałtowności, to będzie to już duże ułatwienie.

Siedział tak dłuższy czas, czując na twarzy chłodną, wilgotną bryzę. Gdy wrócił w końcu do samochodu i zapuścił silnik, deszcz niemal już ustał. Wycofując się na wstecznym biegu ze stodoły, zauważył, że Greg jest ciągle nieprzytomny. To nie wróżyło nic dobrego.

Prowadząc jedną ręką zażył tabletkę pobudzającą, aby odpędzić sen i zjadł kilka racji żywnościowych. Deszcz ciągle padał, nie był już jednak tak rześisty. Siąpiło z zasnutego chmurami nieba przez całą drogę przez Ohio. Granicę Zachodniej Wirginii przekroczył w miejscowości zwanej Parkersburg, po czym skręcił nieco na północ. Szary dzień ustąpił miejsca czarnej nocy.

Nie miał już kłopotów z nietoperzami. Nie było ich tutaj. Mijał jednak trochę więcej kraterów i poziom promieniowania wskazywany przez licznik wzrósł. Przez pewien czas, wyjąc i ujadając, ścigała go sfora ogromnych, zdiczających psów. Biegły po obu stronach samochodu, starając się złapać zębami za opony, ale w końcu zostały z tyłu. Mijając kolejną, wznoszącą się po lewej stronie górę, która wyrzucała ze swego wnętrza kłęby jasnego dymu, słyszał niski, jednostajny pomruk i czuł pod kołami drżenie gruntu. Z nieba opadały popioły. Wjechał na tereny nawiedzone powodzią. Silnik krztusił się i gasł dwa razy, za każdym jednak razem zapalał go ponownie i parł dalej. Wzburzona woda z pluskiem omywała burty samochodu. Dotarł wreszcie do wyżej położonych, suchszych okolic. Tam znowu próbowali zagrozić mu drogę ludzie uzbrojeni w karabiny. Ostrzelał ich z broni maszynowej, cisnął granat i wyminął blokadę. Kiedy wszedł zamglony księżyc i rozproszył nieco panujące ciemności, zaatakowały go czarne ptaki, które krążąc w powietrzu raz po raz nurkowały na samochód. Zignorował je i po pewnym czasie i one pozostały daleko w tyle.

Prowadził dopóki nie poczuł się znowu zmęczony. Posilił się wtedy i zażył tabletkę pobudzającą. Był już w Pensylwanii i czuł, że jeśli tylko Greg przyjdzie do siebie, uwolni go i odda mu kierownicę. Zatrzymał się po raz drugi, żeby odwiedzić latrynę, pociągnął silnie za złoty kolczyk wpięty w lewe ucho, wysmarkał nos, podrapał się po brodzie, potem zjadł jeszcze kilka racji żywnościowych i ruszył w dalszą drogę.

We wszystkich mięśniach zaczął narastać ból i miał wielką ochotę zatrzymać się i odpocząć, obawiał się jednak tego, co może go spotkać jeśli to uczyni.

Gdy przejeżdżał przez następne wymarłe miasto, zaczęło znowu padać. Nie był to rześisty deszcz – po prostu drobny kapuśniaczek wywołujący uczucie chłodu i przygnębienia. Zatrzymał wóz pośrodku drogi przed czymś, w co omal nie wjechał i patrzył ze zgrozą.

Z początku myślał, że to czarne linie na niebie. Stał tylko dlatego, że ich pojawienie wydało mu się zbyt nagłe.

To była sieć pajęczna o pasmach grubszych niż jego ramię, rozpostarta pomiędzy dwoma chylącymi się ku upadkowi budynkami.

Włączył przedni miotacz i zaczął ją przepalać.

Gdy płomień zgasł, dostrzegł spuszcający się gdzieś z wysoka ciemny kształt.

To był pająk, większy od człowieka, spieszący sprawdzić przyczynę zaburzenia.

Tanner uniósł w górę wyrzutnie rakiet i celując starannie ugodził potwora rozżarzoną do białości pociskiem.

Pająk zwisał na drgającej sieci i kopał w agonii kosmatymi kończynami.

Tanner włączył znowu miotacz ognia i grzał z niego przez pełne dziesięć sekund. Gdy płomień

zamarł, droga przed nim stała otworem.

Przejechał na pełnym gazie, całkiem już rozbudzony i czujny. Zapomniał o bólu w mięśniach. Gnał jak mógł najszybciej, starając się otrząsnąć z obrzydzenia i walcząc z ogarniającą go falą mdłości.

Przed nim, po prawej, dymiła kolejna góra. Nie dostrzegł jednak płomieni i gdy ją mijał, stwierdził z ulgą, że opad popiołu jest niewielki.

Zaparzył sobie kawy i wypił kubek. Wkrótce zaczęło świtać i wpadł w pełnym pędzie w budzący się dzień.

XI

Ugrzązł w błocie gdzieś we wschodniej Pensylwanii i klął na czym świat stoi. Greg był bardzo blady. Słońce zbliżało się do zenitu. Opadł zrezygnowany na oparcie fotela i zamknął oczy. To było już ponad jego siły.

Zasnął.

Obudziło go bębnienie o burtę samochodu. Czuł się jeszcze gorzej niż przed zaśnięciem. Ręce powędrowały automatycznie do klawiszy sterowania ogniem i „skrzydłami”, a oczy spoczęły na ekranach.

Zobaczył starca, któremu towarzyszyło dwóch młodszych mężczyzn. Byli uzbrojeni, ale stali na wprost lewego skrzydła, mógł ich więc w razie czego przeciąć w mgnieniu oka na pół.

Włączył głośnik zewnętrzny i wzmacniacz akustyczny.

– Czego chcecie? – zachrypiał na zewnątrz samochodu jego głos.

– Nic ci nie jest? – zawołał starzec.

– Właściwie nic. Obudziliście mnie.

– Utknąłeś?

– Coś w tym rodzaju.

– Mam zaprzęg mułów, którym dałbym może radę cię wyciągnąć, ale nie sprowadzę ich tutaj wcześniej jak jutro rano.

– Świetnie! – ożywił się Tanner. – To by mi odpowiadało.

– Skąd jesteś?

– Z LA.

– Co to jest?

– Los Angeles. Zachodnie Wybrzeże.

Zaczęli się naradzać przyciszonymi głosami.

– Jesteś daleko od domu – odezwał się wreszcie starzec.

– Sam to wiem... Słuchaj, jeśli poważnie mówisz o tych mułach, to cholernie by mi to odpowiadało. To pilne.

– Dlaczego pilne?

– Wiecie coś o Bostonie?

– Wiem, że to gdzieś tam.

– No właśnie. Wybuchła tam epidemia. Umierają ludzie. Wiozę tu ze sobą lekarstwo, które może ich ocalić, jeśli uda mi się tam dojechać.

Znowu zaczęli się naradzać.

– Pomożemy ci – powiedział w końcu starzec. – Boston jest dla nas bardzo ważny.

Wyciągniemy cię z tego błota. Pójdiesz z nami?

– A dokąd? Kim właściwie jesteście?

– Nazywam się Samuel Potter, a to są moi synowie Roderick i Caliban. Sześć mil stąd jest moja farma. Zapraszamy cię na nocleg.

– Nie chodzi o to, żebym wam nie ufał – odparł Tanner. – Ja po prostu nie ufam nikomu i nie zrozumcie mnie źle. Ostatnio za dużo do mnie strzelano, żebym ryzykował.

– No, a jeśli odłożymy nasze karabiny? Możesz nas chyba stamtąd zastrzelić, prawda?

– Prawda, mogę.

– No więc stojąc tutaj, sami ryzykujemy. Chcemy ci pomóc. Dużo stracimy, jeśli kupcy z Bostonu przestaną przyjeżdżać do Albany. Jak jest tam z tobą ktoś jeszcze, to może cię ubezpieczać.

– Poczekajcie chwileczkę – powiedział Tanner i otworzył drzwiczki. Potrząsnął wyciągniętą ręką starca i wymienił uściski dłoni z jego synami.

– Jest tu gdzieś doktor? – spytał.

– W osiedlu, jakieś trzydzieści mil na północ.

– Mój towarzysz jest ranny. Chyba potrzebuje doktora – wskazał za siebie na kabinę. Sam podszedł do wozu i zajrzał do środka.

– Dlaczego jest związany? – zapytał.

– Odbiło mu coś i musiałem go obezwładnić. Związałem go dla własnego bezpieczeństwa, ale teraz nie za dobrze wygląda.

– Sporządzimy mu nosze. Zamkniesz samochód i moi chłopcy zniosą go do domu. Poślemy kogoś po doktora. Sam nie za dobrze wyglądasz. Pewnie chciałbyś się wykąpać, ogolić i przespać w czystym łóżku.

– Nieszczerólnie się czuję – przyznał Tanner. – Zróbmy lepiej szybko te nosze, bo niedługo będą potrzebne drugie.

Przysiadł na błotniku i palił papierosa, a Potterowie ścięli tymczasem drzewka i odarli je z kory. Spłynęła na niego fala zmęczenia i z trudem unosił ciężkie jak ołów powieki. Miał wrażenie, że stopy są gdzieś daleko, daleko od niego. Bolały go ramiona. Oparł się plecami o maskę, papieros wypadł mu z palców.

Ktoś poklepał go po nodze.

Zmusił się do otwarcia oczu i spojrzał półprzytomnie w dół.

To był Potter.

– Rozwiązaliśmy twego kolegę i położyliśmy go na noszach – oznajmił. – Zamknij samochód i pójdziemy.

Tanner skinął głową i zeskoczył z błotnika. Zapadł się po kolana w błocie, ale zamknął drzwiczki na klucz i słaniając się na nogach podszedł do starca.

Ruszyli naprzód i z czasem ruchy Tannera stały się mechaniczne.

Samuel Potter, krocząc na czele pochodu z karabinem spoczywającym w zgięciu ramienia, gadał nieustannie. Być może po to, by nie dać Tannerowi zasnąć.

– To niedaleko, synu, i zaraz będzie się zupełnie nieźle szło. Mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Czart – odparł Tanner.

– Że jak?

– Czart. Nazywam się Czart. Czart Tanner.

Sam Potter zachichotał.

– To imię nasuwa pewne skojarzenia. Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, to

przedstawię cię mojej żonie i dzieciakom jako pana Tannera, dobrze?

– Może być – westchnął Tanner, wyciągając buty z błota przy akompaniamencie głośnego cmokania.

– Bardzo by nam brakowało tych kupców z Bostonu. Mam nadzieję, że zdążysz na czas.

– A co oni takiego robią?

– Zaopatrują sklepy w Albany i dwa razy do roku organizują jarmarki – na wiosnę i na jesieni.

Dostarczają wszystko co nam potrzebne – igły, nici, pieprz, kotły, patelnie, nasiona, karabiny i amunicję. Oprócz tego jarmarki to wielki festyn. Na drodze do Bostonu pomoże ci większość ludzi.

Miejmy nadzieję, że dojedziesz. Na dobry początek wyciągniemy cię z błota.

Tak rozmawiając, dotarli na wyżej położone, suchsze tereny.

– Chcesz przez to powiedzieć, że droga dalej będzie łatwa?

– No nie. Ale pokażę ci wszystko na mapie i powiem, czego się masz wystrzegać.

– Mam przy sobie własną mapę – powiedział Tanner. Wspięli się na szczyt wzgórza i w oddali dostrzegł zabudowania farmy.

– To twój dom?

– Tak. Teraz już niedaleko. Łatwo się idzie. Jak się zmęczylesz, to wesprzyj się na moim ramieniu.

– Chyba tak zrobię – zgodził się Tanner. – Wszystko przez to, że brałem za dużo tabletek pobudzających, żeby nie zasnąć. Teraz zaczyna się odbijać brak snu, ale dojdę do siebie.

– Zaraz pójdziesz spać. A jak się obudzisz, usiądziemy nad mapą i zaznaczysz sobie na niej wszystkie miejsca, o których ci powiem.

– Niezła scenka – mruknął Tanner, kładąc rękę na ramieniu Pottera – niezła scenka – powtórzył i powlókł się obok starego zataczając się jak pijany.

Po zamglonej wieczności zobaczył przed sobą dom, potem drzwi. Drzwi otworzyły się i poczuł, że leci twarzą naprzód i upadł.

XII

Sen. Czerń, dalekie głosy, znowu czerń. Gdziekolwiek leżał, było miękko, przewrócił się więc na drugi bok i znowu zapadł w sen.

Kiedy w końcu wszystko zlało się z powrotem w logiczną całość i kiedy otworzył oczy, przez okno z prawej wpadał strumień światła, kładąc się jasnymi prostokątami na pikowanej kołdrze, pod którą leżał.

Ziewnął, przeciągnął się, przetarł oczy i podrapał się w brodę.

Z zaciekawieniem rozejrzał się po pokoju. Wyfroterowana, drewniana podłoga z rozrzuconymi na niej niebiesko-czerwonoszarymi, tkanymi ręcznie dywanikami, toaletka z białą, emaliowaną miednicą, obtłuczoną w paru miejscach, z tyłu lustro wiszące na ścianie i dalej: fotel na biegunach, stojący pod oknem z siedzeniem przykrytym poduszką z jakimś nadrukiem, mały stoliczek pod drugą ścianą z wsuniętym pod niego krzesłem, a na stoliczku książki, papier, pióro i kałamarz. Nad stoliczkiem, na ścianie, ręcznie haftowana makatka prosząca „Boże Pobłogosław”, na drugiej ścianie niebiesko-zielona fotografia wodospadu.

Usiadł na łóżku i stwierdzając, że jest nagi, rozejrzał się za ubraniem. Nie było go nigdzie.

Gdy tak siedział, wahając się, czy zawołać kogoś, czy nie, drzwi otworzyły się i do izby wszedł

Sam. Trzymał na ręku ubranie Tannera, czyste i starannie złożone, a w drugim niósł jego buty, wypolerowane do połysku.

– Usłyszałem, że się ruszasz – powiedział. – Jak się czujesz?

– Dziękuję, dużo lepiej.

– Przyszykowaliśmy już wannę. Wlejemy jeszcze parę wiader wrzątku i gotowe. Każę chłopcom przynieść ją za chwilę, razem z mydłem i ręcznikami.

Tanner zagryzł wargę, nie chcąc jednak sprawiać przykrości swemu dobroczyńcy, skinął głową i zmusił się do uśmiechu.

– To mi dobrze robi.

– A maszynka do golenia i żyletka, jeśli byś ich potrzebował, są tam, na toalecie.

Tanner znowu skinął głową. Sam położył jego ubranie na fotelu bujanym, obok na podłodze postawił buty i wyszedł z izby.

W chwilę potem Roderick i Caliban wnieśli wannę i postawili ją na rozestanych na podłodze dywanikach.

– Jak się czujesz? – spytał jeden z nich (Tanner nie był pewien który jest który. Obydwaj gracji mieli tyle co strach na wróble, a ich usta wypchane były pełnymi garniturami białych zębów).

– Bardzo dobrze – odparł uprzejmie.

– Musisz być strasznie głodny – odezwał się drugi. – Przespałeś całe wczorajsze popołudnie, całą noc i większość dzisiejszego poranka.

– Co ty powiesz? – zdziwił się Tanner. – A co z moim kolegą?

Ten z braci, który stał bliżej Tannera, potrząsnął głową.

– Ciągłe śpi i wymiotuje – powiedział. – Niedługo będzie tu doktor. Nasz młodszy brat poleciał po niego w nocy.

Odwrócili się, żeby wyjść i ten, który mówił ostatni, dodał:

– Jak tylko się wykąpiesz, mamusia przygotuje ci coś do zjedzenia. Cal i ja idziemy teraz wyciągnąć twojego grata z błota. Tatuś powie ci przy śniadaniu jak jechać dalej.

– Dzięki.

– Dobrego ranka.

– Nawzajem.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Tanner wstał i podszedł do lustra.

– Tylko ten jeden raz – mruknął przeglądając się.

Obmył twarz, przystrzygł brodę i podciął sobie włosy.

W końcu, zgrzytając zębami, wszedł do wanny, namydlił całe ciało i zaczął się szorować. Pod mydlinami woda robiła się coraz bardziej szara i pienista. Wstał z pluskiem, wytarł się do sucha ręcznikiem i wdział ubranie.

Było nakrochmalone, szeleściło cichutko przy wkładaniu i zalatywało lekko środkiem odkażającym. Tanner uśmiechnął się do swego ciemnookiego odbicia w lustrze i zapalił papierosa. Potem przyczesał włosy i znowu spojrział w lustro nie poznając siebie samego. Przyglądał się nieznanemu krytycznym wzrokiem.

– Cholera! Jestem piękny! – zachichotał, po czym podszedł do drzwi, otworzył je i wkroczył do kuchni.

Sam siedział przy stole i popijał z filiżanki kawę, a jego żona, niska, tęga, ubrana w szarą, długą sukienkę, była odwrócona plecami i pochylała się nad piecem. Obejrzała się i wtedy zobaczył, że ma dobroduszną twarz o pucołowatych, czerwonych policzkach z dołeczkami i niewielką bladą blizną

pośrodku czoła. Brązowe włosy, poprządkowane siwymi pasmami, upięte były z tyłu głowy w węzeł.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem i skinęła głową.

– Dzień dobry – przywitał ją Tanner. – Przepraszam, ale zostawiłem trochę bałaganu w moim pokoju.

– Nic nie szkodzi – odezwał się Sam. – Usiądź sobie. Za chwilę podamy ci śniadanie. Chłopcy mówili ci o twoim przyjacielu?

Tanner skinął głową.

– Żona ma na imię Susan – powiedział Sam, gdy kobieta stawiała przed Tannerem filiżankę gorącej kawy.

– Miło mi – powiedział Tanner.

– Cześć.

– No więc mam tutaj twoją mapę. Zobaczyłem, że wystaje ci z kurtki. Tam obok drzwi wisi też twój rewolwer. Zastanawiałem się trochę i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie jak najpierw pojedziesz do Albany, a stamtąd dalej – starą Trasą Numer 9, która jest w zupełnie niezłym stanie. – Rozpostarł mapę i wodził po niej palcem. – Chciałem cię jednak ostrzec, że nie będzie to taka znowu wycieczka, ale to chyba najpewniejsza i najszybsza droga...

– Śniadanie – powiedziała żona Sama, odsuwając na bok mapę i stawiając przed Tannerem talerz pełen jajecznicy na bekonie i parówek, a obok drugi z czterema kromkami chleba. Na stole zjawiała się wkrótce marmolada, dżem, galaretki i masło. Tanner zabrał się do jedzenia i popijając kawą wypełniał pustkę panującą w jego żołądku, a Sam tymczasem mówił.

Opowiadał o gangach, które grasują między Bostonem a Albany na motocyklach i rabują wszystko, co się da. Z tej przyczyny większość transportów szła pod konwojem uzbrojonej straży.

– Ale w tym swoim gracie nie musisz się nimi przejmować, co? – zapytał Sam.

– Miejmy nadzieję – odparł Tanner i jadł łapczywie dalej.

Zastanawiał się, czy te gangi to coś w rodzaju jego starej bandy. Dla ich i swojego dobra wołał, aby tak nie było. Podnosząc do ust filiżankę, usłyszał dochodzące z zewnątrz głosy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do kuchni wpadł chłopiec. Tanner ocenił go na jakieś dziesięć do dwunastu lat. Za nim wszedł starszy mężczyzna, z tradycyjną, czarną torbą.

– Jesteśmy! Jesteśmy! – wołał chłopiec. Sam wstał i podał przybyłemu rękę. Tanner pomyślał sobie, że wypadaloby zrobić to samo. Otarł usta i ściskając dłoń mężczyzny powiedział:

– Mój kolega dostał jakiegoś ataku szału. Rzucił się na mnie i musiałem z nim walczyć. Odepchnąłem go i walnął głową o tablicę rozdzielczą.

Doktor skinął głową. Był to ciemnowłosy mężczyzna dobiegający już pięćdziesiątki. Z poranej zmarszczkami twarzy wyzierały znużone oczy.

– Zaprowadzę cię do niego – zwrócił się do doktora Sam i powiodł go do drzwi w głębi kuchni.

Tanner poprawił się na krześle i wziął do ręki ostatnią kromkę chleba. Skinieniem głowy podziękował Susan, która dołała mu kawy.

– Mam na imię Jerry – powiedział chłopiec, sadowiac się na krześle opuszczonym przed chwilą przez ojca. – Czy naprawdę nazywasz się Czart?

– Przestań! – zgromiła go matka.

– Niestety tak – odparł Tanner.

– ...I przejechałeś przez całe Stany Zjednoczone? Przez Aleję?

– Aż dotąd.

– Jak tam było?

– Tak sobie.

– A co widziałeś?

– Wielkie jak ta kuchnia nietoperze – po tamtej stronie Missus Hip – niektóre nawet większe.

Dużo ich było w Saint Louis.

– I co z nimi zrobiłeś?

– Strzelałem do nich, paliłem je, rozjeżdżałem...

– Co jeszcze widziałeś?

– Potwory Gila. Ogromne jaszczury, jak w technikolorze – wielkości stodoły. Pyłowe Diabły – wielkie wirujące wiatry, które wessały nam jeden samochód. Góry o ognistych wierzchołkach. Zarośla o wielkich kolcach, które musiałem spalić. Jechałem przez parę burz, jechałem przez okolice, gdzie ziemia była jak szkło, jechałem przez tereny, gdzie ziemia drżała, okrążałem ogromne kratery, wszystkie radioaktywne...

– Żebym to ja mógł tak kiedyś pojechać.

– Może kiedyś pojedziesz.

Tanner skończył jeść, zapalił papierosa i popijał małymi łyчками kawę.

– Bardzo dobre śniadanie – pochwalił. – Dawno takiego nie jadłem. Dzięki.

Susan uśmiechnęła się.

– Jerry, daj panu spokój – powiedziała do syna.

– Niech się pani nie przejmuję. Nie przeszkadza mi.

– Co za pierścień masz na palcu? – spytał Jerry. – Wygląda jak wąż.

– Bo to wąż – odparł Tanner. – Czyste srebro ze szklanymi oczkami. Dostałem go w miejscowości zwanej Tijuana. Masz. Weź go.

– Nie mogę go przyjąć – powiedział chłopiec, spoglądając prosząco na matkę. Potrząsnęła głową. Dostrzegając to, Tanner powiedział:

– Twoja rodzina zadała sobie wiele trudu, żeby mi pomóc i sprowadzić doktora do mojego kolegi, żeby mnie nakarmić i przenocować. Jestem pewien, że nie obrażą się, jeśli wyrażę im swoją wdzięczność, dając ci ten pierścień. – Jerry obejrzał się na matkę, a Tanner skinął w jej stronę głową. Uczyniła to samo.

Jerry gwizdnął, podskoczył i wsunął sobie pierścień na palec.

– Za duży – powiedział z rozczarowaniem.

– Daj, zmniejsz go trochę. Ta spirala będzie pasowała na każdy palec, jeśli się ją trochę ściśnie. Zgniół pierścień i oddał go chłopcu do przymiarki. Był ciągle za duży, ścisnął go więc jeszcze mocniej – wtedy już pasował. Jerry wsunął pierścień na palec i chciał wybiec z izby.

– Zaczekaj! – zawołała za nim matka. – Co się mówi?

Chłopiec odwrócił się i powiedział:

– Dziękuję ci, Czart.

– Panie Tanner – poprawiła go matka.

– Panie Tanner – powtórzył chłopiec i wybiegł trzaskając drzwiami.

– To ładnie z pana strony – zwróciła się Susan do Tannera. Wzruszył ramionami.

– Podobał mu się przecież – powiedział. – Cieszę się, że mogłem mu sprawić radość.

Dopił kawę, skończył papierosa i Susan dała mu jeszcze jedną filiżankę. Zapalił następnego papierosa.

Po chwili z drugiej izby wyszli Sam z doktorem i Tanner zaczął się zastanawiać, gdzie cała rodzina spała wczorajszej nocy. Mężczyźni usiedli przy stole, a Susan naląła im kawy.

– Pański przyjaciel odzyskał przytomność – odezwał się doktor. – Nie mogę jednak na pewno stwierdzić, na ile poważny jest jego stan. Potrzebne będzie prześwietlenie, a tutaj jest to niemożliwe.

Nie radziłbym jednak go ruszać.

– Jak długo? – spytał Tanner.

– Może kilka dni, może kilka tygodni. Zostawiłem trochę lekarstw i pouczyłem Sama, jak ma się nim opiekować. Sam mówił mi, że w Bostonie szaleje epidemia i musi się pan spieszyć. Radzę panu, aby jechał pan dalej bez niego. Niech go pan zostawi u Potterów. Będzie tu miał dobrą opiekę. Może potem pojechać z nimi na jarmark wiosenny do Albany i zabrać się stamtąd do Bostonu jakąś ciężarówką dostawczą. Myślę, że wydobrzeje.

Tanner zastanawiał się przez chwilę, w końcu skinął głową.

– Okay – powiedział. – Jeśli już tak musi być.

– Ja tylko dobrze radzę – zastrzegł się doktor. Pili wolno kawę.

XIII

– No to chyba będę jechał – powiedział Tanner, obejrzawszy wyciągnięty z błota samochód i kiwnął głową w stronę Potterów. – Dzięki.

Otworzył kabinę, wspiął się do niej i zapuścił silnik. Wrzucił bieg, zatrąbił dwa razy i ruszył.

Na ekranie widział trzech mężczyzn, machających rękoma na pożegnanie. Przycisnął mocniej pedał gazu i po chwili zniknęli mu z oczu.

Droga była równa i prosta, jechał więc szybko. Niebo miało kolor łososiowo-różowy. Ziemia była brązowa, porośnięta kępami zielonej trawy. Jasne słońce łowiło dzień w srebrną sieć.

Ta część kraju wyglądała na niemal nietkniętą przez kataklizm, który stworzył Aleję. Tanner prowadząc słuchał muzyki. Po drodze minął dwie ciężarówki, trąbiąc za każdym razem. Jedna z nich odpowiedziała mu swoim klaksonem.

Prowadził cały dzień i kiedy wjeżdżał do Albany, była już głucha noc. Na ulicach panowały egipskie ciemności. Światła paliły się tylko w kilku oknach. Zwolnił ujrawszy czerwony, mrugający neon BAR GRILL, zaparkował wóz i wszedł do środka.

Sala była mała, skąpo oświetlona, a podłogę pokrywała warstwa trocin. Z szafy grającej wydobywały się głośne tony jakiejś melodii. Takiej muzyki nigdy dotąd nie słyszał.

Zajął miejsce przy barze, wpychając Magnuma głęboko za pas, aby nie było go widać, po czym zdjął kurtkę i rzucił ją na sąsiedni stół.

– Daj mi setkę, piwo i kanapkę z szynką – powiedział do podchodzącego mężczyzny, ubranego w białe fartuch.

Tamten skinął łysą głową, postawił przed Tannerem stugramowy kieliszek i napełnił go. Potem napompował uwieńczony czapą białej piany kufel piwa i kichnął przez prawe ramię. Tanner wychylił jednym haustem kieliszek wódki i pociągał małymi łydkami piwo. Po chwili na parapecie okienka, widniejącego w ścianie naprzeciw kontuaru, pojawił się talerzyk z kanapką. Barman przechodząc wziął go stamtąd i postawił przed Tannerem, napisał coś na zielonej karteczce i wsunął ją pod talerzyk. Tanner wbił zęby w kanapkę, odgryzł spory kęs i splukał go do żołądka łykiem piwa. Obserwując otaczających go ludzi stwierdził, że zachowują się tak samo głośno, jak klientela każdego innego baru, a zwiedził ich już sporo. Starszy człowiek siedzący po jego lewej ręce wydał mu się sympatyczny, spytał go więc:

– Są jakieś wieści z Bostonu?

– Nic zupełnie nie wiadomo. – Broda mężczyzny trzęsła się, gdy robił przerwy między

poszczególnymi słowami, ale nie wyglądało, aby się tym przejmował. – Tylko patrzeć jak pod koniec tygodnia kupcy zaczną zamykać swoje sklepy.

– Jaki dzisiaj dzień?

– Wtorek.

Tanner skończył kanapkę i dopijając resztę piwa palił papierosa.

Potem spojrzął na rachunek. Było na nim napisane – 0,85.

Położył na rachunku banknot dolarowy, odwrócił się i skierował w stronę wyjścia.

Zdażył zrobić dwa kroki, gdy barman zawołał za nim:

– Chwileczkę, proszę pana!

Tanner obejrzał się.

– Tak?

– Co chcesz mi tu wcisnąć?

– O co chodzi?

– Co za śmieciem mi płacisz?

– Jakim śmieciem?

Mężczyzna pomachał dolarem Tannera. Czart podszedł bliżej i przyjrzał się banknotowi.

– Nie widzę tu nic złego. Co ci się w nim nie podoba?

– To nie są pieniądze!

– Chcesz przez to powiedzieć, że moje pieniądze nie są dobre?

– No przecież mówię. Nigdy nie widziałem takiego banknotu!

– To przyjrzyj mu się dobrze. Widzisz nadruk u samego dołu?

W sali zapadła cisza. Od stolika podniósł się jakiś mężczyzna i podchodząc do barmana, wyciągnął rękę.

– Daj, zobaczę, Billy – powiedział.

Barman podał mu banknot i oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdumienia.

– Został wypuszczony przez Bank Państwa Kalifornijskiego!

– Tak, właśnie stamtąd jestem – odezwał się Tanner.

– Przykro mi, ale tu jest nieważny – powiedział barman.

– To najlepszy jaki mam.

– Nikt go tutaj nie przyjmie. Masz przy sobie jakieś bostońskie pieniądze?

– Nigdy nie byłem w Bostonie.

– No to skąd, u diabła, się tu wzięłeś?

– Przyjechałem.

– Nie rób ze mnie wariata, synu. Skąd go ukradłeś?

– Bierzesz moje pieniądze, czy nie? – Tanner stracił panowanie nad sobą.

– Ani myślę – odparł barman.

– No to się wypchaj – rzucił Tanner i odwracając się plecami do barmana ruszył w kierunku drzwi.

Jak zawsze w takich sytuacjach był czujny na wszystko co dzieje się za nim. Kiedy usłyszał szybkie kroki, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mężczyzną, który sprawdzał przed chwilą banknot.

Ręka Tannera zacisnęła chwyt na skórzanej kurtce, którą trzymał przerzuconą przez prawe ramię. Zamachnął się i z całej siły uderzył mężczyzną kurtką w wierzch głowy. Tamten upadł. Po sali rozszedł się nie wróżący nic dobrego pomruk. Kilku ludzi zerwało się z miejsc i ruszyło w stronę Tannera.

Czart wyrwał zza pasa rewolwer.

– Przepraszam panów – wycedził przez zęby, kierując na nich jego lufę.

Zatrzymali się.

– Nie uwierzycie mi pewnie, kiedy wam powiem, że w Bostonie panuje epidemia – ciągnął – ale to prawda. A może mi uwierzycie? Nie wiem, ale nie przypuszczam, żeby któryś z was uwierzył w to, że przyjechałem tu z Państwa Kalifornijskiego samochodem pełnym antyserum Haffikiny, chociaż to również prawda. Wyślijcie ten banknot do jakiegoś dużego banku w Bostonie, to go wam wymienią. Zresztą sami to wiecie. Teraz muszę już iść i niech nikt nie próbuje mnie zatrzymać. Jeśli dalej uważacie, że wpuszczam was w maliny, to zobaczcie czym będę odjeżdżał. Tyle miałem do powiedzenia.

Wycofał się przez drzwi i wspinając się do kabiny trzymał je ciągle na muszce. Znalazłszy się w środku, zapuścił silnik, zawrócił i odjechał na pełnym gazie.

Na wstecznym ekranie widział odprowadzającą go wzrokiem grupkę mężczyzn, którzy wylegli na chodnik przed barem.

Roześmiał się. Nad głową wisiał mu martwy księżyc koloru krwistej jabłoni.

XIV

Z Albany do Bostonu. Paręset mil. Pokonał już najgorszy odcinek trasy. Niebezpieczeństwa Alei Potępienia pozostały w większości daleko w tyle. Gwiazdy były chyba jaśniejsze niż zwykle. Dojedziesz, zdawała się mówić noc.

Pędził wśród wzgórz. Droga była niezła. Wiła się między drzewami i wysokimi trawami. Dostrzegł nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę i przełączył reflektory na światła mijania. Uczyniła to samo.

Gdy dojechał do skrzyżowania, musiało być już koło północy. Nagłe, po obu stronach drogi rozbłysły dziesiątki skrytych do tej pory w mroku reflektorów, oblewając samochód powodzią oślepiającego światła.

Tanner docisnął do oporu pedał gazu. Pędząc teraz na złamanie karku, słyszał jak za nim ożywa silnik po silniku. Rozpoznał ten dźwięk.

To były motocykle.

Wjechały na drogę i ruszyły w pościg za znikającym w ciemnościach samochodem.

Mógł otworzyć ogień z broni maszynowej. Mógł zahamować i bluznąć płomieniem z miotacza ognia. Było oczywiste, że nie wiedzą na co się porywają. Mógł ich obrzucić granatami. Zwlekał jednak.

Wyobraził sobie, że jeszcze niedawno, na prowadzącym pościg motocyklu mógł siedzieć on sam. Wyciągnął niezdecydowanie rękę i dotknął klawiszy sterowania ogniem. Wahał się. Czuł się w jakimś stopniu zdrajcą.

Spróbował ich najpierw zgubić.

Silnik grzmiał, pracując na najwyższych obrotach, ale motocykle siedziały mu ciągle na ogonie.

Kiedy zaczęli strzelać, wiedział już, że musi odwzajemnić się im tym samym. Nie mógł pozwolić na to, aby przestrelili mu zbiornik paliwa albo opony.

Pierwsze strzały miały charakter ostrzegawczy. Nie mógł dopuścić do następnej kanonady. Gdyby tylko wiedzieli... Głośnik!

Włączył wzmacniacz, nacisnął klawisz.

– Słuchajcie, koty – powiedział – wiozę tylko lekarstwa dla chorych obywateli z Bostonu.

Zostawcie mnie w spokoju, albo usłyszycie hałas.

Gdy tylko skończył rozpętała się strzelanina. Nie zwlekając dłużej, otworzył do tyłu ogień z pięćdziesiątek.

Widział jak się przewracają, ale strzelali dalej. Rzucił więc granaty.

Kanonada straciła na sile, nie ustała jednak całkowicie.

Zahamował gwałtownie i uruchomił miotacze ognia. Grzał z nich przez pełne piętnaście sekund.

Zapadła cisza.

Kiedy dymy rozwiały się, popatrzył na ekrany.

Drogę zaścieniały przewrócone do góry kołami motocykle i dymiące trupy ludzi. Kilku siedziało na ziemi, celując z karabinów w samochód. Zastrzelił ich.

Niektóre ciała drgały jeszcze w konwulsjach i miał właśnie ruszyć w dalszą drogę, gdy dostrzegł podnoszącą się postać. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i znowu upadła.

Ręka Tannera zawahała się na drążku zmiany biegów.

To była dziewczyna.

Rozważał sprawę kilka sekund, po czym zeskoczył z kabiny na ziemię i pobiegł w jej stronę.

Jeden z mężczyzn uniósł się na łokciu i sięgnął po leżący obok karabin.

Tanner strzelił do niego dwa razy i biegł dalej, ściskając w dłoni rewolwer.

Przeskakiwał przez kałuże krwi i wijące się w męczarniach ciała upieczonych żywcem ludzi. W świetle wstecznych reflektorów samochodu ich skóra była czarna. W powietrzu unosiły się jęki i smród spalonego mięsa. Dziewczyna czołgała się w kierunku mężczyzny o twarzy rozszarpanej pociskiem.

Dopadł do niej i zatrzymał się. Posłała mu kilka cichych przekleństw.

Nie zauważył, żeby krwawiła.

Gdy dźwigał dziewczynę z ziemi, jej oczy zasły łzami.

Inni nie żyli już albo umierali. Wziął ją na ręce, zaniósł do samochodu i położył na fotelu pasażerskim, odchylając oparcie do tyłu. Broń rzucił na tylne siedzenie, aby nie mogła jej dosięgnąć.

Zajął miejsce za kierownicą, zapuścił silnik i ruszył. Na wstecznym ekranie dostrzegł, że dwie postacie usiłują jeszcze wstać i padają z powrotem na ziemię.

Była wysoką dziewczyną o długich, potarganych włosach koloru kurzu. Miała silnie zarysowany podbródek, szerokie usta i ciemne kręgi pod oczami. Czoło przecinała jej pojedyncza, ledwo widoczna zmarszczka. Prawa strona twarzy była silnie zarumieniona, jak gdyby opalona na słońcu, a prawa nogawka spodni rozdarta i brudna. Domyślił się, że spadła ze swego motocykla, liźnięta płomieniem z miotacza.

– Nic ci się nie stało? – spytał, gdy jej szloch przeszedł w wilgotne pociąganie nosem.

– Co to cię obchodzi? – powiedziała ze złością, podnosząc rękę do policzka. Tanner wzruszył ramionami.

– Pytam z życzliwości.

– Pozabijałeś większość ludzi z mojego gangu.

– A co oni mieli zamiar ze mną zrobić?

– Rozdeptaliby ciebie, gdyby nie ten twój piekielny samochód.

– Tak naprawdę to on nie jest mój – odparł. – Należy do Państwa Kalifornijskiego.

– Przecież nie przyjechał tu z Kalifornii.

– Diabła tam, nie przyjechał. Sam go przyprowadziłem.

Usiadła prosto i rozcierała nogę. Tanner zapalił papierosa.

– Nie poczęstujesz mnie? – spytała.

Oddał jej tego, którego palił, i wziął sobie następnego. Oczy dziewczyny spoczęły na jego tatuażu.

– Co to jest?

– Moje imię.

– Czart?

– Czart.

– Kto ci dał takie imię?

– Mój stary.

Palili chwilę w milczeniu.

– Po co przejechałeś Aleją? – spytała po chwili.

– Bo to był jedyny sposób, żeby mnie wypuścili.

– Skąd?

– Z miejsca o żaluzjach w kratkę. Siedziałem.

– I wypuścili cię? Dlaczego?

– Dzięki wielkiej chorobie. Wiozę antyserum Haffikina.

– Ty jesteś Czart Tanner?

– Mhm.

– Nazywasz się Tanner, tak?

– Zgadza się. Kto ci to powiedział?

– Słyszałam o tobie. Wszyscy myśleli, że zginąłeś w Wielkiej Obławie.

– No to wszyscy się mylili.

– Jak tam wtedy było?

– Nie wiem. Nosilem już garniturek w paski. Dzięki temu właśnie jestem teraz tutaj.

– A dlaczego mnie zabrałeś?

– Bo jesteś jeszcze kurczakiem i nie mógłbym patrzeć jak kopiesz w kalendarz.

– Dzięki. Masz tu coś do zjedzenia?

– Tak, żywność jest tam – wskazał na drzwiczki lodówki.

– Obsłuż się.

– Jak cię nazywają? – spytał kiedy jadła.

– Corny – odparła z pełnymi ustami. – To skrót od Cornelii.

– Okay, Corny – powiedział. – Jak skończysz jeść, to opowiesz mi o drodze stąd do miasta.

Skinęła głową i żuła dalej kanapkę.

– Jest dużo innych gangów – powiedziała po przełknięciu ostatniego kęsa. – Przygotuj się więc lepiej na to, że będziesz musiał je niszczyć.

– Na to jestem gotowy.

– Te ekrany pokazują wszystko co się dzieje naokoło, tak?

– Tak.

– To dobrze. Stąd do miasta droga jest całkiem dobra. Jest tylko jeden duży krater, do którego zaraz dojedziemy, a potem parę małych wulkanów.

– Zgadza się.

– Poza tym nie ma nic, czego trzeba by się obawiać, nie licząc Regentsów, Devilsów, Kingsów i Loversów. To chyba wszystko.

Tanner skinął głową.

- Jak liczne są te bandy?
- Nie wiem na pewno, ale Kingsów jest najwięcej. Kilkuset.
- A do jakiej ty należałaś?
- Do Studsów.
- Co zamierzasz teraz robić?
- Co tylko mi każesz.

– Okay, Corny. Wysadzę cię po drodze, gdy będziesz chciała, a jeśli nie chcesz wysiadać, to możesz jechać ze mną do miasta.

- Gdziekolwiek byś jechał, pojedę z tobą. Przydam ci się, Czart.

Głos miała niski i mówiła wolno. Pod obcisłymi nogawkami kombinezonu rysowały się jędrne uda. Tanner oblizwał wargi i utkwiał wzrok w ekranach. Czy chciał, żeby z nim została? Droga nieoczekiwanie powilgotniała. Leżały na niej setki ryb, a z nieba ciągle spadały następne.

Gdzieś wysoko rozległo się kilka głośnych grzmotów. Na północy rozblęsnęło niebieskie światło.

Tanner gnał dalej i nagle znalazł się pod wodospadem. Woda była wszędzie. Lała się kaskadami na samochód, przesłaniała ekrany. Niebo znowu poczerniało i w górze rozległo się wycie ducha – zwiastuna śmierci.

Wszedł poślizgiem w ostry zakręt. Włączył reflektory.

Deszcz był teraz mniej ulewny, ale wycie nie ustawało. Po piętnastu minutach jęk narósł do ogłuszającego ryku.

Dziewczyna wpatrywała się w ekrany, zerkając od czasu do czasu na Tannera.

- Co zamierzasz zrobić? – spytała wreszcie.
- Uciec, jeśli potrafię – odparł.
- Jak okiem sięgnąć jest ciemno. Nie wydaje mi się, żebyś zdołał uciec.
- Mnie też się nie wydaje, ale cóż nam innego pozostało?
- Skryć się gdzieś.
- Jeśli wiesz gdzie, to mi pokaż.
- Jest takie miejsce, kilka mil stąd – most, pod który można wjechać.
- Okay, to coś dla nas. Zawołaj, jak go zobaczysz.

Ściągnęła buty i masowała sobie stopy. Poczęstował ją papierosem.

– Hej, Corny, właśnie przyszło mi do głowy. Tam po twojej prawej ręce jest apteczka. O, właśnie ta. Powinna w niej być jakaś maść. Nasmaruj nią sobie oparzenie na twarzy.

Znalazła jakąś tubkę, wycisnęła na dłoń trochę mazistej substancji i wtarła w policzek. Uśmiechnęła się lekko i odłożyła tubkę z powrotem.

- Trochę lepiej?
- Tak. Dzięki.

Zaczęły spadać kamienie i w górze rozrastała się niebieska luna. Niebo pulsowało, stając się coraz jaśniejsze.

- To mi podejrzenie wygląda.
- Wszystko mi wygląda podejrzenie.
- W ostatnim tygodniu cholernie często się to zdarza.
- Tak. Słyszałam jak mówili, że być może wiatry ustają, że niebo może się oczyścić.
- Dobrze by było – odpowiedział Tanner.

– Może jeszcze zobaczymy je takim, jakim powinno wyglądać – całe niebieskie i z płynącymi po nim chmurami. Wiesz co to chmury?

- Słyszałem o nich.

– To takie białe, kłębiaste twory dryfujące po niebie. Czasami są szare. Nie spada z nich nic oprócz deszczu, a i on nie zawsze.

– Tak, wiem.

– Widziałeś je kiedyś w LA?

– Nie.

Niebo zaczęły przecinać żółte błyskawice, a czarne linie wiły się po nim jak węże. Kamienny deszcz grzechotał głośno o dach i maskę samochodu. Ulewa przybrała na sile. Podniosła się mgła. Tanner zmuszony był zwolnić. Wydawało się, że w samochód wałą kowalskie młoty.

– Nie dojedziemy – powiedziała Corny.

– Nie kracz. Ten wóz jest tak zbudowany, że to wytrzyma... Co to, tam przed nami?

– Most! – krzyknęła, pochylając się gwałtownie do przodu.

– To ten! Zjedź z drogi w lewo, a potem w dół. Pod mostem jest wyschnięte koryto rzeki.

Błyskawice rozświetlały całe połacie nieba. Wydawało się, że wszystko wokół płonie. Minęli spalone drzewo. Nawierzchnię drogi ciągle zaścielały setki zdechłych ryb.

Dojechawszy do mostu, Tanner skręcił w lewo, zwolnił i zjechał śliską, błotnistą skarpą w dół.

Gdy dotarł do koryta rzeki, skręcił w prawo i wjechał pod most. Byli tam zupełnie sami. Z góry kapwały na samochód krople wody. W świetle rozdzierających raz po raz niebo błyskawic, robiło się jasno jak w dzień. Niebo było jak obracający się nieustannym grzmotem kalejdoskop. Z mostu docierało do ich uszu jakieś zawrozczenie.

– Tu jesteśmy bezpieczni – powiedział Tanner i zgasił silnik.

– Czy drzwi są zamknięte?

– Tak. Blokują się automatycznie.

Wyłączył reflektory.

– Postawiłbym ci jakiegoś drinka, ale mam tylko kawę.

– Może być i kawa.

– Okay. Już się robi. – Opłukał ekspres, napełnił go i wsunął wtyczkę do gniazdka na tablicy rozdzielczej. Siedzieli paląc papierosy i wsłuchiwali się w szalejącą burzę.

– Wiesz co? – odezwał się. – To przyjemne uczucie siedzieć sobie w bezpiecznym miejscu, jak szczur w norze, gdy tymczasem diabli biorą wszystko co na zewnątrz. Słuchaj, co się wyprawia. Dałoby nam popalić.

– Też tak myślę – odparła. – Co zamierzasz robić jak już dojedziesz do Bostonu?

– O, nie wiem... Może dostanę jakąś pracę, uciulam trochę gotówki i otworzę sklep z motocyklami albo stację obsługi. Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Niezłe plany. A sam zamierzasz jeździć?

– No jasne. Mają w mieście jakiś dobry klub?

– Nie. Wszyscy tam są piechurami.

– Tak przypuszczałem. Może zorganizuję własny klub.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

– Mogę ci postawić drinka – powiedziała.

– Co masz na myśli?

Wyjęła z prawej kieszeni swej kurtki plastikową butelkę, odkręciła korek i podała ją Tannerowi.

– Masz.

Nabrał pełne usta wódki i przełknął ją krztusząc się. Wziął drugi łyk i oddał butelkę Cornelii.

– Dobrze! Jesteś kobietą o nie dającym się przewidzieć potencjale i to mi się w tobie podoba.

Dzięki.

– Nie ma o czym mówić. – Łyknęła z butelki i odstawiła ją.

– Masz papierosa?

– Chwileczkę.

Przypalił dwa i jednego oddał Corny.

– Trzymaj, Corny.

– Dzięki, chciałabym ci pomóc dojechać do Bostonu.

– Skąd ten pomysł?

– I tak nie mam nic lepszego do roboty. Mojej paczki już nie ma i teraz nie mam z kim jeździć.

Poza tym, jeśli dojedziesz, będziesz ważną figurą. Z dużej litery. Pomyślałam, że mógłbyś mnie wtedy zatrzymać przy sobie.

– Możliwe. A jaka jesteś?

– Och, jestem naprawdę miła. Pomasuję ci nawet ramiona, gdy cię zabolą.

– Właśnie teraz mnie bolą.

– Tak myślałam. Pochyl się.

Nachylił się w jej stronę i poddał masażowi. Ręce miała zręczne i silne.

– Dobrze to robisz, dziewczyno.

– Dzięki.

Wyprostował się i odchylił do tyłu. Potem sięgnął po butelkę, wziął łyk i podał ją Corny. Wokół szalały furie, ale osłaniający ich most dzielnie wytrzymał napór burzy. Tanner zgasił światło.

– Chodź – powiedział do Corny, objął ją i przyciągnął do siebie. Nie opierała się. Znalazł sprzączkę jej pasa, odpiął ją i zabrał się do guzików. Po chwili rozłożył fotel.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – spytała.

– Pewnie.

– Pomogę ci. Zrobię wszystko co każesz, bylebyś tylko dotarł do Bostonu.

– Cieszę się.

– Przecież jeśli Boston się skończy, skończymy i my.

– No jasne.

Potem nie mówili już nic.

W niebiosach panował gwałt. Potem nastąpiła ciemność i cisza.

XV

Gdy Tanner otworzył oczy, był już ranek. Burza ustała. Odwiedził latrynę w tylnej części samochodu, po czym zajął znowu miejsce w fotelu kierowcy.

Cornelia spała nadal i nie obudziła się nawet, gdy zapuścił silnik i ruszał pod zasłane wodorostami zbocze wzgórze.

Niebo było znowu jasne, a droga usiana kamieniami. Lawirował między nimi, kierując się na blade słońce. Po pewnym czasie Cornelia przeciągnęła się.

– Uch! – powiedziała i Tanner przywitał ją skinieniem głowy.

– Ramiona już mnie tak nie bolą – powiedział.

– A widzisz!

Samochód piął się wolno pod górę. Pociemniało. Jedna czarna linia biegnąca środkiem nieba

przeistoczyła się w diabelską autostradę.

Gdy przejeżdżali przez porośniętą lasem dolinę, zaczął padać deszcz. Dziewczyna wróciła już z tyłu samochodu i zajęta była przygotowywaniem śniadania, kiedy Tanner dostrzegł na horyzoncie maleńki punkcik. Przełączył obiektywy skanerów na teleskopowe i po chwili przyspieszył, starając się uciec przed tym co ujrział.

Cornelia uniosła głowę i spojrzała na ekran.

Ich śladem pędziła chmara motocykli.

– To twoi ludzie? – spytał Tanner.

– Nie. Moich załatwiłeś wczoraj.

– To niedobrze – mruknął Tanner, docisnął gaz do dechy i modlił się o burzę. Samochód wszedł z poślizgiem w ostry zakręt i rozpoczął wspinaczkę pod następne wzgórze. Ścigający zbliżyli się nieco. Tanner przełączył obiektywy z teleskopowych z powrotem na normalne, ale i teraz można było ocenić liczebność nadjeżdżającego tłumu.

– To muszą być Kingsi – odezwała się Cornelia. – To największa banda na tych terenach.

– To źle – powiedział Tanner.

– Dla nich, czy dla nas?

– Dla jednych i dla drugich.

Uśmiechnęła się.

– Chciałabym zobaczyć, jak to robisz.

– Zdaje się, że będziesz miała okazję. Ścigają nas jak szaleni.

Deszcz był teraz mniej ulewny, ale mgła zgęstniała. Pomimo to Tanner widział światła jadących za nimi w odległości ćwierć mili motocykli. Swoich reflektorów nie włączał. Liczbę ścigających go tego chłodnego, ponurego poranka prześladowców oszacował na sto do stu pięćdziesięciu.

– Ile jeszcze mamy do Bostonu? – spytał.

– Około dziewięćdziesięciu mil – odparła.

– Szkoda, że zachowują ciągle dystans. Mogliby się do nas zbliżyć – powiedział napełniając miotacze i włączając układ celowniczy, wyostrzający krzyż nitek na ekranie wstecznym.

– Co to jest? – spytała.

– Krzyż. Ukrzyżuję ich, moja pani.

Uśmiechnęła się i uścisnęła jego ramię.

– Mogę ci w czymś pomóc? Nienawidzę tych sukinsynów.

– Za chwileczkę – odparł Tanner. – Za chwileczkę na pewno. – Sięgnął na tylne siedzenie, wziął z niego sześć ręcznych granatów i zawiesił je sobie u czarnego, szerokiego pasa. Dziewczynie podał karabin. – Złap się za to – powiedział, a sobie wsunął za pas pistolet 0,45.

– Wiesz jak się z tym obchodzić?

– Tak – odparła bez wahania.

– To dobrze.

Nie spuszczał wzroku z tańczących po ekranie świateł.

– Dlaczego u diabła ta burza się nie zaczyna? – zaklął, gdy światła zbliżyły się na tyle, że we mgle mógł już rozróżnić poszczególne sylwetki motocyklistów.

Gdy dzieląca go od nich odległość zmniejszyła się do stu stóp, wystrzelił pierwszy granat. Pocisk zatoczył szeroki łuk w szarym powietrzu i pięć sekund później nastąpiła eksplozja, której towarzyszył oślepiający błysk.

Światła sunące bezpośrednio za samochodem pozostały. Poruszając na boki krzyżem nitek celownika, położył palce na spustach pięćdziesiątek. Karabiny zagdakały długimi seriami. Wyrzucił

następny granat. Gdy nastąpiła druga eksplozja, samochód piął się już pod kolejne wzniesienie terenu.

– Zatrzymałeś ich?

– Może na jakiś czas. Widzę jeszcze parę świateł, ale daleko za nami.

Po pięciu minutach dotarli do szczytu. Mgły tu nie było i w górze widzieli ciemne niebo. Zaczęli znowu zjeżdżać w dół. Po prawej wznosiła się ściana zmieszanych z gliną kamieni. Tanner zauważył ją.

Gdy zjechali na sam dół i Tanner zauważył, że droga biegnie już po płaskim terenie, włączył najsilniejsze światła i poszukał wzrokiem miejsca, w którym pobocza były najszersze.

W górze, za nimi, ukazał się nagle rząd zjeżdżających na dół świateł.

Znalazł miejsce, gdzie droga była wystarczająco szeroka i wprowadzając samochód w kontrolowany poślizg dokonał zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Krzaczaste urwisko miał teraz po lewej ręce. Pościg zbliżał się nieubłaganie.

Uniósł wyrzutnie raket i odpalił jeden pocisk. Uniósł je o dalsze pięć stopni i odpalił drugi pocisk. Uniósł je jeszcze o pięć stopni wyżej i odpalił trzeci. Potem opuścił wyrzutnie o piętnaście stopni i odpalił jeszcze jedną rakietę.

We mgle rozblęśla jasność. Słyszał turkot toczących się po drodze kamieni i czuł wibracje gruntu. To zaczynało obsuwać się zbocze urwiska. Skręcił kierownicę w prawo i cofając się odpalił jeszcze dwie rakiety na wprost. Wzniosły się tumany pyłu przemieszane teraz z mgłą. Wibracje nie ustawały.

Zawrócił i ruszył w dalszą drogę.

– Mam nadzieję, że to ich powstrzyma – powiedział przypalając dwa papierosy i podając jednego dziewczynie.

Po pięciu minutach, gdy wjechali wyżej i podmuch wiatru rozwiął nieco mgłę, Tanner dostrzegł daleko w tyle kilka podążających ciągle jego tropem świateł.

Kiedy dotarli na szczyt wysokiego wzniesienia, wskazanie licznika promieniowania przekroczyło normalny poziom. Rozejrzał się i daleko przed sobą zobaczył krater.

– To ten – usłyszał głos dziewczyny. – Gdy zbliżymy się do niego, będziesz musiał zjechać z drogi. Skręcisz tam w prawo i okrążysz go naokoło.

– Dobrze.

Po raz pierwszy tego dnia usłyszał padające z tyłu strzały i chociaż nastawił celownik, to sam nie otworzył ognia. Odległość była jeszcze zbyt duża.

– Musiałeś odciąć połowę z nich – powiedziała Corny wpatrując się w ekran. – Nawet więcej. To jednak twarda banda.

– Widzę. – Jechał teraz we mgle. Przeliczył pociski do granatników i stwierdził, że ich zapas wyczerpuje się.

Gdy poczuł, jak samochód podskakuje na popękanej, betonowej nawierzchni, skręcił w prawo i zjechał z szosy. Poziom promieniowania był teraz bardzo wysoki. Od ziejącego po lewej krateru dzieliło go nie więcej jak tysiąc jardów.

Podążając ciągle za samochodem światła rozsypały się w tyralierę i pojaśniały. Wziął na cel najjaśniejsze i strzelił. Reflektor zgasł.

Jeszcze jeden do kompletu – stwierdził i pędził dalej przez zwęgloną równinę.

Ulewa wzmogła się. Ustawił środek krzyża nitek celownika na następne światło i oddał kolejny strzał. Zgasło również i znowu usłyszał huk ich karabinów. Strzelali do niego.

Włączył układ celowniczy karabinów wbudowanych w prawą burtę wozu i obserwował

wyostrzający się na ekranie krzyż nitek. Kiedy trzy motocykle wysunęły się do przodu, aby oskrzydlić go z tej strony, otworzył ogień i skosił je. Strzały zza jego pleców zaczęły padać gęściej. Zignorował to, zajęty pokonywaniem nierówności terenu.

– Naliczyłam dwadzieścia siedem świateł – odezwała się Corny.

Tanner lawirował wśród zaścielających pole głązów. Zapalił następnego papierosa.

W pięć minut później motocykle pędziły już po obu jego stronach.

Nie spieszył się z otwarciem ognia, oszczędzając amunicję i chcąc być pewnym trafienia. Odczekawszy na dogodny moment, ostrzelał wszystkie światła znajdujące się w zasięgu rażenia jego broni, docisnął do dechy pedał gazu i skręcił za skały.

– Pięciu upadło – powiedziała Corny, ale Tanner wsłuchiwał się w odgłosy strzelaniny. Wystrzelił za siebie granat, ale kiedy próbował cisnąć następny, urządzenie spustowe wydało tylko cichy, metaliczny trzask. Magazynek wstecznego granatnika był już pusty. Wyrzucił po jednym granacie na boki i przerwał na chwilę ogień.

– Pokażę im coś jak się tylko zbliżą – powiedział do Cornelii. Po lewej ręce mieli ciągle krater. Strzelał teraz tylko do pojedynczych celów, kiedy miał pewność, że znajdują się w polu rażenia jego karabinów. Położył jeszcze dwóch i niespodziewanie z mgły wynurzyła się przed nim zniszczona nawierzchnia drogi.

– Jedź równolegle do niej – poradziła mu Corny. – Tam jest szlak. Na odcinku jakiejś mili ta szosa nie nadaje się do niczego.

Pociski bez przerwy odbijały się rykoszetem od pancernych burt. Odwzajemnił się ogniem. Pędzili szpalerem poskręcanych drzew, takich samych, jakie widział w pobliżu innych kraterów.

Wokół ich gałęzi, niczym proporce owijały się kłaczki mgły. Słychać było coraz głośniejszy grzechot deszczu o dach samochodu. Kiedy dotarli wreszcie do miejsca, od którego nawierzchnia drogi zachowana była w przyzwoitym stanie, Tanner przypomniał sobie o ścigających go światłach.

– Ile teraz naliczyłaś? – zwrócił się do Cornelii.

– Zdaje się, że jest ich około dwudziestu. Jak nam idzie?

– Boję się tylko o opony. Mogą sporo wytrzymać, ale pocisk je przebije. Oprócz tego jakaś zabłąkana kulka może trafić w obiektyw któregoś skanera. Nie licząc tych dwóch czułych miejsc samochód jest kuloodporny i nawet jeśli zdołają nas zatrzymać, to będą musieli się do nas włamywać.

Motocykle znowu zmniejszyły dystans dzielący je od samochodu. Tanner widział jasne rozbłyski i słyszał huk karabinów.

– Trzymaj się – krzyknął do Corny i uderzył po hamulcach. Wóz wpadł w poślizg i przebywając jeszcze parę metrów po mokrej nawierzchni zatrzymał się.

Światła gwałtownie pojaśniały. Tanner bluznął w ich stronę płomieniem z miotacza wstecznego, a po chwili włączył miotacze boczne i grzał z nich przez kilkanaście sekund do paru motocykli, które próbowały przemknąć się obok samochodu.

Potem zdjął nogę z hamulca i, nie tracąc czasu na ocenę zniszczeń, których dokonał, wyrwał gwałtownie do przodu.

Gdy pędzili przed siebie, oddalając się od miejsca utarczki, usłyszał śmiech Cornelii.

– Boże! Ale im przyłożyłeś, Czart! Rozwaliłeś całą tę cholerną bandę.

– Nie ma się z czego śmiać! – powiedział. – Widzisz jeszcze jakieś światła?

Wpatrywała się przez chwilę we wsteczny ekran.

– Nie – stwierdziła w końcu. – Chociaż czekaj. Trzy, siedem, trzynaście.

– Cholera! – zaklął.

Poziom promieniowania spadł. Do panującego w górze ryku dołączyły trzaski. Przez jakieś pół minuty wraz z deszczem padał z nieba drobny żwir.

– Kończą się nam zapasy – powiedział Tanner.

– Czego?

– Wszystkiego: szczęścia, paliwa, amunicji. Może wysłabyś lepiej na tym, gdybym zostawił ciebie tam, gdzie znalazłem.

– Nie – zaprzeczyła gorąco. – Jestem z tobą – na dobre, czy na złe.

– No to jesteś głupia – zawyrokował. – Nie byłem dotąd przykry dla ciebie. Gdybym był, grałabyś na inną nutkę.

– Może – odparła. – Poczekaj, aż usłyszysz jak śpiewam.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej udo.

– Okay, Corny. Na razie jesteś w porządku. Trzymaj tak i zobaczymy co będzie dalej.

Sięgnął po papierosa i zaklął stwierdzając, że paczka jest pusta. Uczynił gest głową w stronę skrytki. Corny otworzyła drzwiczki i wyjęła nową paczkę, rozdarła ją i przypaliła Tannerowi papierosa.

– Dzięki.

– Dlaczego trzymają się wciąż poza zasięgiem naszej broni?

– Nie wiem. Może chcą tylko jechać za nami.

Mgła zaczęła się podnosić i zanim Tanner skończył papierosa, widoczność znacznie się poprawiła. Mógł już odróżnić czarne postacie siedzące okrakiem na motocyklach. Jechali ciągle z tyłu nie podejmując żadnych akcji zaczepnych.

– Jeśli chcą tylko dotrzymać nam towarzystwa, to nie mam nic przeciwko temu – odezwał się Tanner. – Niech sobie dotrzymują.

Po pewnym czasie jednak strzelanina rozpętała się na nowo i Tanner usłyszał huk pękającej opony. Zwolnił, lecz się nie zatrzymał. Wycelował starannie i zasypał swych prześladowców gradem kul. Kilku przewróciło się.

Kanonada za jego plecami nie ustała. Gdy pękła druga opona zahamował gwałtownie i samochód zwalniając wpadł w poślizg i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Tanner wysunął słupy kotwiczne i jedną po drugiej odpalił w kierunku nadjeżdżających rakiety. Kiedy rozjechali się na prawo i lewo oskrzydłając go ponownie, otworzył ogień z karabinów maszynowych najpierw z prawej, a potem lewej burty. Gdy ich magazynki opróżniły się, wystrzelił resztę granatów.

Kanonada straciła na sile, ale nie ucichła zupełnie. Strzały padały teraz spośród drzew rosnących tu wzdłuż drogi. Tanner wyodrębnił pięć źródeł ognia – trzy z lewej i dwa z prawej strony. Przed samochodem leżały pogruhotane motocykle i trupy ludzi. Niektóre jeszcze dymiły. Nawierzchnia szosy była w wielu miejscach podziurawiona i popękana. Zawrócił samochód i na sześciu kołach ruszył w dalszą drogę.

– Skończyła się nam amunicja, Corny – powiedział do dziewczyny.

– Wcale się nie dziwię. Strasznie dużo ich położyliśmy...

– Na pewno.

Na wstecznym ekranie dostrzegł jak na drogę wjeżdża znowu pięć motocykli. Zachowywali spory dystans, ale wciąż jechali trop w trop za nim.

Spróbował skorzystać z radia, ale odpowiedzi nie otrzymał. Nacisnął hamulec i stanął. Motocykle zatrzymały się również w sporej odległości od samochodu.

– No, przynajmniej się nas boją. Myślą, że ciągle mamy zęby.

– Bo mamy – powiedziała.

– Tak, ale nie te, o których oni myślą.

– Jeszcze lepsze.

– Cieszę się, że cię spotkałem – powiedział Tanner. – Mogę dzięki temu przebywać w towarzystwie optymistki, nie uważasz?

Skinęła głową. Tanner wrzucił bieg i ruszył zrywem naprzód.

Motocykle, wciąż trzymając się w bezpiecznej odległości, ruszyły również. Obserwował je na ekranie i kłął.

Po chwili zbliżyły się nieco. Tanner przez pół godziny gnał jak szalony przed siebie, ale pięć ocalałych z pogromu motocykli coraz bardziej zmniejszało dzielącą ich odległość.

Gdy byli już wystarczająco blisko, siedzący na nich ludzie otworzyli ogień z opartych o kierownice karabinów.

Tanner słyszał kilka rykoszetów i nagle pękła następna opona.

Zatrzymał się ponownie. Motocykle uczyniły to samo, pozostając ciągle tuż poza zasięgiem miotacza ognia. Zaklął i ruszył znowu. Samochód dygotał, przechyliwszy się na lewą stronę. Minęli rozwalony o drzewo wrak półciężarówki. Siedział w niej szkielet – prawdopodobnie kierowcy. Szyby były wybite, a opon brakowało. Na niebie widać było pół słońca. Dochodziła dziewiąta. Przed nimi unosiły się widmowe tumany mgły. Ciemne pasma na niebie falowały, a spadający z nich deszcz był coraz bardziej ulewny i zmieszany z pyłem, małymi kamykami i kawałkami metalu.

– Dobrze – powiedział Tanner, gdy rozległo się bębnienie o dach i maskę samochodu – ale mogłoby być jeszcze lepiej.

Jego życzenie spełniło się bardzo szybko. Ziemia zaczęła drżeć, a na północy pojawiło się niebieskie światło. Wśród ryku nieba słychać było grzmoty, potem doszedł ich uszu łoskot i tuż obok prawej burty samochodu runęła nagle sterta gruzu.

– Żeby tak następna spadła prosto na naszych chłopców, tam za nami – powiedział Tanner. Przed sobą, nieco z prawej, zobaczył pomarańczową zorzę. Jarzyła się tam już od kilku minut, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej istnienia.

– Wulkan – stwierdziła Corny, kiedy jej to pokazał. – To znaczy, że zostało nam do przejechania jakieś sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu mil.

Nie mógł się zorientować, czy nadal do niego strzelają. Dochodzące zewsząd dudnienie zagłuszyłoby nawet kanonadę artyleryjską, a bębnienie żwiru o karoserię samochodu mogło zlewać się z rykoszetami pocisków. Pięć świateł podążało za nimi krok w krok – Czemu nie dadzą za wygraną? – zastanawiał się Tanner. – Mają tam niezłą łaźnię.

– Są do tego przyzwyczajeni – odparła Corny. – Poza tym gna ich żądza krwi.

Tanner zdjął z drzwiczek kabiny Magnuma 0.375 i podał go dziewczynie.

– Złap się za to – powiedział, po czym wyjął ze schowka pudełko z amunicją i dodał: – Schowaj je do kieszeni.

Do kieszeni swojej kurtki wsunął naboje do 0.45 i poprawił granaty ręczne przytroczone u pasa. Z pięciu podążających za nim świateł pozostały nagle tylko cztery, a i te zmalowały zwalniając.

– Mam nadzieję, że to jakiś wypadek – powiedział.

Ujrzeni górę – stożek o wyszczerbionym wierzchołku, krwawiący płomieniami w niebo. Zjechali z drogi w lewo i posuwali się teraz dobrze zaznaczonym szlakiem. Ominięcie góry zajęło dwadzieścia minut. Potem znowu ujrzeli swych prześladowców – cztery wolno zmniejszające dystans światła.

Tanner wprowadził samochód z powrotem na drogę i pomknął przed siebie, czując pod kołami drżenie gruntu. Niebem przelatowały żółte błyskawice. Wokół waliły w ziemię ciężkie bezkształtne

obiekty o średnicy kilku stóp. Przechylony na jedną stronę samochód zataczał się pod uderzeniami porywistego wichru. Szybkość, z jaką się teraz posuwali, nie przekraczała czterdziestu mil na godzinę. Z radia wydobywały się tylko zakłócenia elektrostatyczne.

Tanner minął ostry zakręt, zahamował gwałtownie, wyłączył światła, wyciągnął zawleczkę granatu i czekał z ręką na klamce drzwiczek.

Kiedy na ekranie pojawiły się światła, otworzył szybkim ruchem drzwiczki, wychylił się i cisnął granat poprzez kamienny deszcz.

Zanim doszła ich uszu eksplozja, zanim na ekranie pojawił się błysk, byli już w drodze.

Dziewczyna roześmiała się niemal histerycznie.

– Dostałeś ich, Czart, dostałeś ich – krzyczała.

Tanner popił z butelki, a Corny wychyliła ją do dna.

Droga była coraz bardziej popękana, wyboista i niebezpieczna. Samochód wspiał się na szczyt wysokiego wzniesienia i pędzili teraz w dół. Zjechawszy ze wzgórza wpadli w tuman gęstej mgły. Z przeciwka zbliżały się jakieś światła i Tanner przygotował miotacze ognia. Była to jednak zwykła ciężarówka, zmierzająca na zachód i nie przejawiająca żadnych wrogich zamiarów. W ciągu następnej pół godziny minął jeszcze dwie.

Niebo zaczęło przecinać coraz więcej błyskawic. Na ziemię sypał się grad kamieni wielkości pięści. Tanner dostrzegł las i zjechał z drogi z zamiarem schronienia się wśród wysokich drzew. Niebo pociemniało całkowicie, gubiąc nawet niebieską lunę.

Czekali trzy godziny, ale burza nie ustawała. Jeden po drugim zgasły cztery ekrany, a piąty pokazywał tylko czerń zalegającą pod samochodem. Ostatnim obrazem, jaki Tanner oglądał na ekranie wstecznym, było ogromne, rozszczerzone na dwoje drzewo i odłamująca się właśnie od niego gałąź. Nastąpiło kilka straszliwych trzasków o maskę samochodu. Wóz chybotął się przy każdym na wszystkie strony. Dach kabiny został w trzech miejscach głęboko wgnieciony. Światło przygasło i rozjaśniło się znowu. Z radia nie dochodziły już nawet zakłócenia.

– Zdaje się, że dostaliśmy – odezwał się Tanner.

– Chyba tak.

– Jak jeszcze daleko?

– Z pięćdziesiąt mil.

– Jeśli to przeżyjemy, to jest jeszcze szansa.

– Jaka szansa?

– Mam z tyłu wozu dwa motocykle.

Rozłożyli fotele, zapalili papierosy i czekali. Po chwili światło w kabinie zgasło i nie zapaliło się już więcej.

Burza szalała cały dzień i przeciągnęła się do późnej nocy. Spali pod osłoną wraku rozbitego samochodu. Kiedy nawałnica ustała, Tanner otworzył drzwiczki, wyrzwał na świat i zamknął je z powrotem.

– Poczekamy do rana – zdecydował. Ucisnęła jego dłoń i zasnęli, trzymając się za ręce.

XVI

Rano Tanner brnąc w błocie i omijając leżące na ziemi gałęzie, głazy oraz zdechłe ryby obszedł samochód dookoła, otworzył tylne drzwiczki i odpiął klamry, za pomocą których unieruchomiono

motocykle. Napełnił paliwem zbiorniki i sprowadził maszyny po rampie na ziemię.

Potem wczołgał się na tył kabiny, skąd wyjął tylne siedzenie. Pod nim, w bagażniku znajdowała się duża, aluminiowa skrzynka – przesyłka, którą miał dowieźć do Bostonu. Była hermetycznie zamknięta. Wyjął ją ze schowka i przeniósł do swojego motocykla.

– To ten towar? – spytała Cornelia. Skinął głową i postawił pojemnik na ziemi.

– Nie wiem jak to jest tam w środku przechowywane. Czy jest chłodzone, czy jak – powiedział – ale sama skrzynka nie jest tak ciężka, żeby nie mógł jej powieźć na bagażniku motocykla. W ostatnim po prawej schowku są taśmy. Przynies mi je. Wyjmij też moje ulaskawienie ze środkowej skrytki. Jest w dużej, kartonowej kopercie.

Wróciła po chwili z taśmami i kopertą i pomogła Tannerowi przymocować pojemnik do bagażnika motocykla.

Owinął sobie wokół bicepsa dodatkową taśmę i pchając przed sobą motocykle, wprowadzili je na drogę.

– Musimy z tym wolno jechać – powiedział, przewieszając przez plecy karabin. Naciągnął rękawice i kopniakiem zapaścił silnik.

Corny poszła w jego ślady i ruszyli ramie w ramie autostradą.

Po jakiejś godzinie jazdy minęły ich dwa osobowe samochody, zmierzające na zachód. Na tylnych siedzeniach obu widzieli przyciśnięte do szyby twarzyczki dzieci przyglądające się im z ciekawością. Kierowca drugiego wozu był w samej koszuli i spod pachy wystawała mu czarna kabura.

Niebo nabrało koloru różowego i przecinały je trzy czarne linie, których wygląd nie wróżył nic dobrego. Słońce było bladą kulą wpadającego w róż srebra, ale Tanner stale chronił oczy za goglami przed jego blaskiem.

Skrzynka jechała bezpiecznie na tylnym bagażniku. Tanner pochylił się nad kierownicą i myślał o Bostonie. Powietrze było chłodne i wilgotne, a u stóp każdego wzgórza unosiła się lekka mgiełka. Nawierzchnia drogi stawała się coraz lepsza.

Około północy, ponad jednostajnym rykiem silników, usłyszał strzał. Z początku myślał, że pochodzi z gaźnika, ale strzał padł ponownie. Corny krzyknęła, zjechała z drogi i uderzyła w leżący na poboczu wielki głaz.

Tanner skręcił ostro w lewo i zahamował. Huknęły dwa następne strzały. Oparł motocykl o drzewo i przywarł do ziemi. Pocisk uderzył tuż przy jego głowie. Zorientował się z jakiego kierunku nadleciał. Przeczolgał się do przydrożnego rowu i ściągnął rękawicę z prawej dłoni. Widział swoją dziewczynę leżącą tam, gdzie upadła. Z jej piersi sączyła się krew. Nie poruszała się.

Uniósł karabin i pociągnął za spust.

Odpowiedziano mu strzałem. Podpełznął w lewo.

Strzelano z odległego o jakieś dwieście stóp wzgórza. Zdawało mu się, że widzi lufę karabinu.

Wziął ją na cel i ponownie nacisnął na spust. I tym razem odpowiedziano mu strzałem. Przeczolgał się wolno jeszcze bardziej w lewo i, pokonawszy piętnaście stóp, dotarł do sterty gruzu, za którą mógł przykucnąć. Wyciągnął zawleczkę granatu, wstał i rzucił go.

Padł na ziemię, gdyż ze wzgórza padł kolejny strzał, i ujął w dłonie drugi granat.

Rozległa się seria potężnych detonacji, którym towarzyszył oślepiający błysk. Z góry posypały się strzępy metalu. Tanner zerwał się na równe nogi i cisnął drugi granat, tym razem celując dokładniej.

Gdy ucichły echa kolejnych eksplozji, podbiegł w kierunku wzgórza, ściskając w dłoniach karabin. Nie miał tam już jednak nic do roboty.

Na miejscu zastał tylko parę strzępków ludzkiego ciała. Karabinu, z którego doń strzelano, nie odnalazł.

Wrócił do Cornelii.

Nie oddychała. Jej serce przestało bić. Wiedział, co to znaczy.

Przeniósł ją do przydrożnego rowu, w którym przed chwilą leżał i pogłębił go rękoma.

Złożył dziewczynę do grobu i przysypał ziemią. Potem przyprowadził jej motocykl, postawił go na świeżej mogile i wysunął podpórkę. Na błotniku wydrapał sztyletem słowa:

„Miała na imię Cornelia i nie wiem ile miała lat, ani skąd pochodziła, ani jak brzmiało jej nazwisko, ale była dziewczyną Czarta Tannera i kochałem ją”.

Potem wrócił do swojego motocykla, zapuścił silnik i ruszył w dalszą drogę. Od Bostonu dzieliło go jeszcze około trzydziestu mil.

XVII

Po przejechaniu paru mil, usłyszał warkot drugiego motocykla. Z leśnej ścieżki po jego lewej stronie wypadł na szosę harley. Nie mógł odsądzić się na większą odległość od nieznanego, gdyż ładunek, który wiozł, nie pozwalał na szybką jazdę. Pozwolił więc tamtemu jechać za sobą.

Po chwili motocyklista – wysoki, chudy mężczyzna z płomienną brodą, zrównał się z Tannerem. Jadąc po jego lewej ręce uśmiechnął się, podniósł rękę i opuścił ją, dając znak głową.

Tanner przyhamował i zatrzymał się. Rudobrody uczynił to samo.

– Dokąd jedziesz, kolego? – spytał uprzejmie.

– Do Bostonu.

– A co masz w tej skrzynce?

– Leki.

– Jakiego rodzaju? – Brwi mężczyzny uniosły się w górę, a na jego ustach wykwitł znowu uśmiech.

– Przeciwno epidemii, która tam panuje.

– Ach, myślałem, że chodzi o coś innego.

– Przykro mi.

Mężczyzna trzymał teraz pistolet w prawej dłoni.

– Złaz z motocykla – rzucił rozkazującym tonem.

Tanner zrobił co mu kazano. Mężczyzna uniosł lewą rękę i z krzaków porastających pobocze drogi wyłonił się drugi człowiek.

– Odprowadź motocykl tego gościa jakieś dwieście stóp autostradą – zwrócił się do niego Rudobrody – i zaparkuj go pośrodku drogi. Potem wracaj na swoje miejsce.

– Co jest grane? – spytał Tanner.

Nieznajomy zignorował to pytanie.

– Kim jesteś? – zapytał Tannera.

– Nazywam się Czart. Czart Tanner.

– Idź do czarta.

Tanner wzruszył ramionami.

– Ty nie jesteś Czart Tanner.

Tanner ściągnął rękawicę i pokazał zaciśniętą pięść.

- Tu jest moje imię.
- Nie wierzę – powiedział mężczyzna obejrzawszy tatuaż.
- Jak chcesz, obywatelu.

– Zamknij się! – wrzasnął Rudobrody i jeszcze raz podniósł w górę lewą rękę. Tymczasem drugi mężczyzna postawił już motocykl Tannera na szosie i wrócił na swój posterunek w zaroślach po prawej stronie drogi.

Na znak dany przez Rudobrodego, w krzakach po obu stronach szosy zapanowało poruszenie. Jacyś ludzie, pchając przed sobą motocykle, ustawiali się szeregiem wzdłuż poboczy. W końcu utworzyli szpaler składający się z jakichś piętnastu par.

- No i co ty na to? – powiedział z diuną w głosie Rudobrody. – Nazywam się Wielki Brat.
- Miło mi cię poznać.
- Wiesz co teraz masz zrobić?
- Właśnie zaczynam się domyślać.
- Pójdiesz do swojego motocykla i zabierzesz go sobie.

Tanner uśmiechnął się.

- Jak męczący będzie ten spacer?
- Tym się nie przejmuj. No ruszaj. Czekać, daj mi najpierw swój karabin.

Wielki Brat podniósł znowu rękę i silniki motocykli ożyły jeden po drugim.

- Okay – powiedział do Tannera. – Teraz.
- Człowieku, masz mnie za idiotę?
- Nie. Ruszaj. Twój karabin.

Tanner, zsuwając karabin z pleców, uchwycił go za lufę i przedłużając ruch po łuku uderzył Wielkiego Brata kolbą w podbródek. Poczł jednocześnie jak w jego ciało wchodzi pocisk. Rzucił broń, złapał za granat, wyciągnął zawleczkę i cisnął go pomiędzy ludzi stojących po lewej stronie drogi. Zanim jeszcze granat rozerwał się, wyciągnął zawleczkę drugiego i rzucił go na prawo. Motocykle zdążyły jednak już ruszyć i pędziły teraz wprost na niego.

Padł obok swego karabinu i złożył się do strzału z pozycji leżącej. Wtedy dopiero nastąpiła pierwsza eksplozja. Otworzył ogień przed upływem sekundy.

Położył trzech, zerwał się na nogi i odskoczył, strzelając z biodra. Skrył się za leżący na ziemi motocykl Wielkiego Brata i ostrzeliwał się aż do opróżnienia magazynku. Nie było czasu ładować go ponownie. Zdążył oddać cztery strzały z automatu 0.45 i otrzymał cios łańcuchem.

Ocknąwszy się usłyszał ryk silników. Krążyli wokół niego. Próbował wstać na nogi, ale powaliło go uderzenie kierownicą. Zostało ich dwóch. Reszta leżała martwa na szosie.

Gdy znowu usiłował się podnieść, otrzymał kopniaka.

Na jednym z motocykli siedział Wielki Brat, a na drugim człowiek, którego jeszcze nie widział.

Przeczołgał się w prawo i nagle poczuł ból w koniuszkach palców, miażdżonych kołami jednej z maszyn.

Nie spuszczał jednak oczu z kamienia, czekając aż motocyklista podjedzie bliżej. Gdy to nastąpiło, poderwał się z ziemi i uderzył przejeżdżającego mężczyznę trzymany w ręku kamieniem w głowę. W chwilę potem stracił równowagę i kiedy upadł, poczuł jak wpada na niego drugi motocykl.

W boku zabolalo tak strasznie, iż myślał, że pękają wszystkie żebra, schwycił jednak za rozpórkę sterzącą z tylnego błotnika motocykla i dal mu się powlec po ziemi.

Po przebyciu w ten sposób dziesięciu stóp, trzymał już w drugiej dłoni sztylet wyciągnięty z buta. Dźgnął na oślep w górę i poczuł jak ostrze przebija cienką, metalową ściankę. Puścił się wtedy

rozporcki i legł twarzą do ziemi, czując zapach benzyny. Ręka powędrowała do kieszeni i wysunęła się z niej ściskając zapalniczkę.

Przebił bak zawieszony z boku motocykla Wielkiego Brata i jego zawartość tryskała teraz na drogę. Dwadzieścia stóp dalej Wielki Brat zawracał.

Tanner trzymał zapalniczkę, zapalniczkę z uniesionym wieczkiem i orlimi skrzydłami po bokach. Kciuk pokręcił kołkiem, trysnęły iskry, buchnął płomień. Cisnął ją w przepływający przed nim strumień benzyny. Ognista pręga pomknęła błyskawicznie w kierunku Wielkiego Brata.

Wielki Brat skończył nawrót ruszając znowu na Tannera, gdy nagle zorientował się co mu grozi. Wytrzeszczył oczy, a obramowany płomienną brodą uśmiech znikł z jego twarzy.

Próbował jeszcze zeskoczyć z motocykla, ale było już za późno. Upadł naszpikowany odłamkami eksplodującego zbiornika paliwa, z wielkim kawałem żelaza w głowie.

Płomienie dosięgły też Tannera. Dusił je niemrawo gołymi rękoma.

Ugasiwszy swoje ubranie, uniósł głowę i spojrzał na ognistą hekatombę i zamykając oczy znowu legł twarzą do ziemi. Broczył krwią, był osłabiony i bardzo wyczerpany. Jego motocykl stał nieuszkodzony na drodze.

Zaczął pełznąć w tamtym kierunku.

Dotarłszy do maszyny rzucił się na siodełko i zwisał z niego przez dobre dziesięć minut. Zwymiotował dwa razy, a ostry ból przerodził się w nieustające pulsowanie.

Po godzinie wgramolił się na motocykl i zapuścił silnik.

Po przejechaniu pół mili zmogły go zawroty głowy i zmęczenie.

Zjechał z szosy, ukrył najlepiej jak potrafił motocykl i, położywszy się na gołej ziemi, zasnął.

XVIII

Ocknął się, leżąc na boku w kałuży zakrzepłej krwi. Lewa ręka była spuchnięta i bolała. Czuł sztywność w czterech palcach i cierpiał starając się je zgiąć. W głowie pulsowała krew, a smak benzyny w ustach doprowadzał go do mdłości. Przez dłuższą chwilę był zbyt obolały, aby się poruszyć. Brodę miał osmaloną płomieniem, a prawe oko zapuchnięte tak, że ledwie na nie widział.

– Corny... – jęknął. – Cholera!

Przed oczyma, niczym treść sugestywnego snu wyłaniającego się nagle z zakamarków podświadomości, przelatowały obrazy z przeszłości.

Zaczął dygotać. Wszystko wokół spowijała mgła. Było bardzo zimno i przemarzły mu nogi. Wilgoć przesiąknęła na wylot przez drelichowe spodnie.

Słyszał gdzieś w oddali przejeżdżające pojazdy. Chyba samochody.

Zdołał przetoczyć się na drugi bok i podparł głowę ręką. Była noc, ale równie dobrze mógł to być ciemny dzień.

Leżąc tak, wrócił myślami do swej więziennej celi. Teraz wydawało mu się, że było mu tam jak w niebie. Pomyślał też o swoim bracie Dennym, który też pewnie cierpi w tej chwili. Zastanawiał się, czy sam również ma połamane żebra. Wszystko wskazywało na to, że tak. Myślał o potworach z południowego zachodu i o ciemnookim Gregu. Czy żył jeszcze? Jego myśli uleciały z powrotem do LA i starego Barbary Coast, które po Wielkiej Obławie skończyło się raz na zawsze. Potem przed oczyma przesunęła mu się Corny z zakrwawioną piersią. Zagryzł wargę i mocno zacisnął powieki. Mogli razem ułożyć sobie życie w Bostonie. Jak jeszcze daleko?

Podźwignął się na kolana i popęzł na czworakach przed siebie, dopóki nie uderzył głową w coś wysokiego i twardego. Drzewo. Usiadł, opierając się o nie plecami. Dłoń błędziła po kurtce w poszukiwaniu papierosów. Znalazł zmiętoszoną paczkę. Wyciągnął jednego, przerolował go w palcach i przypomniał sobie, że jego zapalniczka leży teraz gdzieś na autostradzie. Wygrzebał z kieszeni zawilgocone pudełko zapalek. Trzecia zajęła się płomieniem. Gdy zaciągnął się dymem, przenikający go do szpiku kości chłód minął i spłynęła na niego fala gorąca. Odpinając kołnierzyk zakaszłał i poczuł w ustach smak krwi.

Jedyną bronią, jaka mu pozostała, był zwisający u pasa granat.

Nad głową w ciemnościach usłyszał ryk. Zaciągnął się sześć razy, papieros wysliznął mu się z palców i zaskwierczał w zetknięciu z wilgotną ziemią. Głowa opadła mu na piersi i stracił przytomność.

Czy była burza? Nie pamiętał. Gdy się ocknął, leżał na lewym boku, przyciśnięty plecami do drzewa. Było południe. Z góry padały na niego promienie różowego słońca, a mgła zniknęła. Skądś dochodził świergot ptaków. Chciał zakląć na głos i z krtani wydobył się ochryply charkot. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak wysuszone ma gardło. Zapalał nagle straszliwym pragnieniem.

W odległości trzydziestu stóp dostrzegł czystą kałużę. Podpełzł do niej i pił łapczywie. Woda zmętniała.

Zaspokoiwszy pragnienie powłókł się na czworakach do miejsca, gdzie ukrył motocykl i wstał. Oparł się o maszynę. Gdy zapalał papierosa, trzęsły mu się ręce.

Dysząc ciężko wpełznął motocykl na szosę. Brnął do niej chyba z godzinę. Nie miał pojęcia, która to godzina, bo zegarek był rozbity. Gdy ruszał, słońce chyliło się już za jego plecami ku zachodowi. Wiatr smagnał go po twarzy, a gwizdzące w uszach prądy powietrza odcięły swym przepływem jego świadomość od świata zewnętrznego. Ładunek spoczywał bezpiecznie na tylnym bagażniku. Tanner wyobraził sobie nagle, jak ktoś tam na miejscu otwiera skrzynkę i znajduje w niej stertę potłuczonych butelek. Śmiał się i kłął na przemian.

Minęło go kilka samochodów zmierzających w przeciwnym kierunku. Nie widział jeszcze takiego, który kierowałby się w stronę miasta. Droga była w dobrym stanie, a wzdłuż niej stały nieźle utrzymane, niezamieszkałe jednak budynki. Nie zatrzymywał się. Tym razem postanowił nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem, chyba że zostanie do tego zmuszony.

Słońce zniżyło się jeszcze bardziej i niebo na wschodzie pociemniało. Kołysały się po nim dwie czarne linie. Minął drogowskaz, z którego odczytał, że do przejechania pozostało mu jeszcze osiemnaście mil. Dziesięć minut później włączył reflektory.

Wspiął się na szczyt wzgórza i zwolnił, zanim szosa zaczęła opadać z powrotem w dół.

Daleko przed sobą, u stóp wzniesienia ujrzał światła.

Wyrwał do przodu. Wiatr przyniósł mu dźwięk dzwonu, rozlegający się w zapadających ciemnościach. Poczł unoszącą się w powietrzu, znajomą woń: to był słony zapach morza.

Gdy zjeżdżał w dół, słońce skryło się za wzgórzem. Pędził teraz w niekończącym się cieniu. Daleko na horyzoncie, między dwoma czarnymi pasami, pojawiła się samotna gwiazda.

W gęstniejącym mroku jarzyły się światła. Budynki stały teraz bliżej siebie. Pochylił się nisko nad kierownicą. Bolały go mięśnie ramion i żałował, że nie ma na głowie kasku. Człł, iż coraz bardziej traci poczucie równowagi.

To chyba już niedaleko. Gdzie ma się udać, gdy dotrze do miasta? Nie powiedzieli mu tego.

Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób przywrócić jej zdolność logicznego rozumowania.

Ulica, którą teraz jechał, zdawała się być wyludniona. Nie słyszał odgłosów ruchu kołowego. Zatrąbił i po chwili echo powróciło do niego odbite od jakiejś skrytej w mroku przeszkody.

W budynku po lewej pały się światła. Zatrzymał się, zsiadł z motocykla i podszedłszy do drzwi zabębnił w nie pięścią. Wewnątrz panowała głucha cisza. Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Jeśli w środku jest telefon, to jego podróż może zakończyć się już tutaj.

A co, jeśli wszyscy mieszkańcy tego domu nie żyją? Przyszło mu nagle do głowy, że do tej pory mogło już wymrzeć całe miasto. Włamał się do środka! Wrócił do motocykla po śrubokręt i zaczął manipulować przy zamku.

Mniej więcej w tej samej chwili usłyszał strzał i warkot silnika.

Odwrócił się szybko i oparł plecami o drzwi. W prawej, obleczonej w rękawicę dłoni ścisnął ukryty granat.

– Stój! – zaryczał głośnik umieszczony na dachu zbliżającego się, czarnego samochodu. – To był strzał ostrzegawczy! Następny pójdzie w ciebie!

Tanner uniósł ręce do poziomu uszu, odwracając prawą dłoń grzbietem do przodu, aby zasłonić trzymany w niej granat. Zrobił parę kroków i przystanął przy krawężniku, obok swego motocykla. Czarny samochód zatrzymał się.

W środku siedziało dwóch policjantów i ten zajmujący miejsce obok kierowcy trzymał pistolet 0.38 wycelowany prosto w Tannera.

– Jesteś aresztowany – powiedział policjant. – Za szaber.

Tanner skinął głową. Obydwaj mężczyźni wysiedli z samochodu. Kierowca obszedł wóz wokół maski, niosąc w ręku kajdanki.

– Szaber – powtórzył mężczyzna z pistoletem. – Posiedzisz parę lat.

– Daj tu rączki, chłopcze – powiedział drugi glina i Tanner wręczył mu zawleczkę granatu. Mężczyzna gapił się na nią tępo przez kilka sekund, potem jego oczy pobiegły do prawej ręki Tannera.

– Boże! On ma bombę! – odezwał się człowiek z pistoletem. Tanner uśmiechnął się.

– Zamknij się i słuchaj! – powiedział. – Albo może zastrzel mnie i powędrujemy wszyscy razem do nieba. Próbowałem dostać się do telefonu. Skrzynka na bagażniku mojego motocykla jest pełna antyserum Haffikiny. Przywiozłem ją z LA.

– Nie przejechałeś Alei na tym motocyklu!

– Nie, nie przejechałem. Mój samochód leży rozwalony gdzieś między Bostonem a Albany, tak samo zresztą jak kupa ludzi, którzy próbowali mnie zatrzymać. Bierzcie lepiej szybko te lekarstwa i wieźcie je gdzie trzeba.

– Nie bujasz?

– Ręka mi się szybko męczy. Nie czuję się najlepiej. – Tanner oparł się o motocykl. – Proszę. Wyciągnął z kieszeni kurtki swe ułaskawienie i wręczył je policjantowi trzymającemu kajdanki.

– To jest moje ułaskawienie – powiedział. – Zostało jak widzisz wystawione w Kalifornii.

Mężczyzna wziął kopertę, otworzył ją i wyciągnął dokument. Studiował go przez chwilę.

– Wygląda na autentyczny – powiedział w końcu. – A więc Brady przejechał...

– On nie żyje – przerwał mu Tanner. – Słuchaj, jestem ranny. Róbcie coś!

– O Boże! Trzymaj to mocno! Włóż do samochodu i siedź! My tylko chwileczkę... Zaraz przeniesiemy skrzynkę do wozu i ruszamy. Dojedziemy do rzeki i będziesz mógł wrzucić do niej to świństwo. Ściśnij mocno.

Zdjęli szybko skrzynkę z motocykla i umieścili ją ostrożnie w bagażniku samochodu. Tanner siedział obok kierowcy, wystawiwszy rękę z granatem przez opuszczoną szybę.

Zawyła syrena wozu policyjnego i rękę Tannera, od nadgarstka po ramię, przeszył ostry ból. Tak łatwo było po prostu puścić.

– Gdzie trzymacie tę swoją rzekę? – jęknął.

– To kawałek. Zaraz tam będziemy.

– Spieszcie się. – Głos mu się łamał.

– Wytrzymaj! Niedaleko jest most. Wjedziemy na niego i wyrzucisz granat do rzeki jak będziesz mógł najdalej.

– Człowieku, jestem zmęczony! Nie wiem, czy dam radę...

– Szybciej, Jerry!

– Przecież jadę szybko, do cholery! Nie mamy skrzydeł.

– Kręci mi się w głowie...

Samochód wpadł na most i zatrzymał się z piskiem opon. Tanner wolno otworzył drzwiczki. Te od strony kierowcy zamknęły się już z trzaskiem. Zachwiał się. Mężczyźni pomogli mu dojść do barierki. Uczepił się jej kurczowo, gdy go puścili.

– Nie myślałem...

Wyprostował się, wziął zamach i cisnął granat daleko przed siebie.

Uśmiechnął się. Gdzieś pod mostem dał się słyszeć wybuch i woda w tym miejscu zakotłowała się.

Dwaj policjanci odetchnęli z ulgą, a Tanner zachichotał.

– Czuję się całkiem dobrze – powiedział normalnym głosem. – Chciałem was tylko nastraszyć.

– Dlaczego...

Upadł. W snopach światła, rzucanych przez reflektory, ujrzeli bladość jego twarzy.

XIX

Następnej wiosny, w dniu odsłonięcia pomnika Czarta Tannera we Wspólnocie Bostońskiej odkryto, że ktoś wydrapał na cokole nieprzyzwoite słowa. Nikomu nie przyszło do głowy, aby spytać oczywistego sprawcę, dlaczego to uczynił, a następnego dnia było już za późno, gdyż wyjechał on w niewiadomym kierunku, nie pozostawiając adresu. Tego też dnia zameldowano o kradzieży kilku samochodów, a jednego z nich nigdy już w Bostonie nie oglądano.

Odsłonięto więc pomnik, na którym Tanner, większy niż ten żywy, siedział okrakiem na harleyu z brązu. Wyczyszczono cokół dla spodziewanych przyszłych pokoleń. Nadlatujące nad Wspólnotę wiatry ciągle szalały wokół niego, a niebiosy ciągle zrzucały śmiecie.

Przełożył Jacek Manicki

O autorze

Roger Żelazny (1937-1995) amerykański pisarz science fiction i fantasy o dużym dorobku, napisał 50 powieści i blisko 150 opowiadań. Jego ojciec pochodził z Polski, urodził się w Rypinie. Związany z amerykańskim fandomem, publikował w fanzinach, na debiut czekał do 1962 roku. Studiował literaturę, po studiach pracował w ubezpieczeniach. Debiutował w 1962 roku, a już rok później zaczął zgarniać kolegom sprzed nosa najważniejsze wyróżnienia.

Interesowała go w twórczości historia i mitologia. Wykorzystywał w powieściach mitologię indyjską, indiańską, japońską, egipską, grecką, przez co jego styl stał się szybko rozpoznawalny. Krytyka uważa go jednego z głównych piewców Nowej Fali SF.

Zdobył liczne nagrody Hugo i Nebula. Największą popularność przyniósł mu cykl fantasy *Kroniki Amberu*, na który składają się dwa pięcioksięgi i liczne opowiadania.

Ale twórczość SF Żelazny'ego również była bardzo znana, jak choćby powieści *Pan światła*, *Pan snów*, *Umrzeć w Italbarze*, *Oko kota*.

W Polsce proza Rogera Żelazny'ego stała się popularna za sprawą kultowej już noweli *Aleja potępienia* (nominacja do Hugo 1967) oraz kilku znakomitych opowiadaniom, do których należą „Róża dla Eklezjastesa” (nominacja do Hugo 1963), „Bramy jego twarzy, lampy jego ust” (Nebula 1965 i nominacja do Hugo), „24 widoki góry Fudzi Hokusai” (Hugo 1985, nominacja do Nebuli), „Wieczna zmarzlina” (Hugo 1986, nominacja do Nebuli) czy „Wariant jednoroźca” (nagroda Hugo 1981).

Lubił pisać z innymi autorami, ma na swym koncie powieści napisane wspólnie z Philipem K. Dickiem, Alfredem Besterem, Robertem Sheckleyem i innymi. Opowiadania Żelazny'ego były w Polsce bardzo dobrze znane w latach 90. ubiegłego stulecia, teraz czas najwyższy je przypomnieć i dać poznać nowemu pokoleniu.

URSULA K. LE GUIN

Dzień przed rewolucją

Ursula K. Le. Guin w tym mało fantastycznym opowiadaniu ujawnia jak w żadnym innym swoje poglądy polityczne. W Polsce na ogół nie zdajemy sobie sprawy, jak były i są skomunizowane amerykańskie uniwersytety. Le Guin jest feministką (jej Lenin jest oczywiście kobietą) i anarcho-komunistką. W powieści *Wydzieżyczeni*, do której opowiadanie nawiązuje, mamy trzy modele społeczeństwa: kapitalistyczne, totalitarno komunistyczne i anarchistyczne. Autorka jest bardzo dumna, że jako jedyna przedstawiła zrealizowany ideał anarchii. Powiedzmy sobie szczerze, że bardzo to przypomina reportaż z izraelskiego kibucu. Ciekawsza jest historia głównego bohatera, autora niezwyklego wynalazku, oparta moim zdaniem na sprawie Roberta Oppenheimera, który najprawdopodobniej przekazał tajemnice bomby atomowej Sowietaom. Powieściowy Shevek też przekazuje swój wynalazek konkurencji, dopuszcza się zdrady, ale dzięki temu nikt nie zyskuje przewagi i na planecie ustala się równowaga strachu. Trzeba przyznać, że pomysł Oppenheimera sprawdził się i od czasu złamania monopolu atomowego nikt bomby nie użył.

W nostalgicznym opowiadaniu jesteśmy świadkiem ostatniego dnia w życiu Odo, przywódczyni ruchu anarchistycznego, który powoła do życia społeczeństwo przedstawione w powieści. Mamy tu opis kobiecej starości, coś czego nie napisałby żaden mężczyzna, dopalające się życie, z którego rozgorzeje płomień rewolucji. Gdyby nie domyślny związek z powieścią, opowiadanie mogłoby dotyczyć na przykład Róży Luksemburg (gdyby pozwolono jej dożyć starości).

Opowiadanie jest dedykowane Paulowi Goodmanowi, zmarłemu w 1972 roku amerykańskiemu działaczowi anarchistycznemu, wybitnemu intelektualistcie i biseksualistcie.

Dzień przed rewolucją

Słowa mówcy rozlegały się tak głośno jak dudnienie pustego wozu do rozwożenia piwa na brukowanej ulicy. Uczestnicy zebrania byli stłoczeni jak kocie łby w ulicznym bruku, a potężny głos unosił się nad nimi. Taviri był gdzieś po przeciwległej stronie sali. Wiedziała, że musi się jakoś do niego przedostać. Przeciskała się i przepychała między stłoczonymi, ciemno ubranymi ludźmi. Nie słyszała słów i nie odróżniała twarzy, docierała do niej tylko świadomość napierających na siebie ciał i dudniący głos. Nie widziała Taviriego, była za niska. Nagle wyrosły nad nią ogromne, odziane w kamizelkę, brzuch i pierś całkowicie blokując jej drogę. Ale przecież ona musi się dostać do Taviriego. Złana potem, wściekle walnęła pięścią w przeszkodę. Przypominało to uderzenie w kamień – olbrzym nie ruszył się z miejsca, ale z potężnych płuc wydostał się dokładnie nad jej głową wielki hałas, ryk. Skuliła się. Dopiero po chwili zrozumiała, że ten ryk nie dotyczył jej. Inni też krzyczeli. Mówca powiedział coś trafnego na temat podatków czy szpicli. Podniecona, włączyła się do ogólnej wrzawy. „Tak! Tak!” wołała, jednocześnie posuwając się naprzód, aż bez większego trudu wydostała się na otwartą przestrzeń Placu Defiladowego w Parheo. Ponad nią rozpościerało się wieczorne niebo, głębokie i bezbarwne, a dokoła niej kłoniły się wysokie chwasty z suchymi, białymi główkami o ciasno zbitych kwiatostanach. Nigdy nie wiedziała, jak one się nazywają. Kwiaty pochylały się nad nią w podmuchach wiatru, który zawsze wiał na polach o świcie. Kiedy biegła, kładły się, gibkie, a potem znów wstawaly i kołysały się, milczące. Taviri stał pośród wysokiego zielska, w swoim najlepszym ubraniu, tym ciemnoszarym, w którym wyglądał jak profesor albo aktor, pełen surowej elegancji. Nie robił wrażenia szczęśliwego, ale śmiał się i coś do niej mówił. Pod wpływem jego głosu zaczęła płakać i wyciągnęła rękę, żeby go ująć za ramię, ale nie zatrzymała się, w każdym razie niezupełnie. Nie mogła się zatrzymać.

– Och, Taviri – powiedziała – to jest właśnie tam!

Dziwny słodki zapach białego kwiecica stawał się duszący w miarę jak szła coraz dalej. Pod nogami miała ciernie i płataninę łodyg, uskoki i wyboje. Bała się, że upadnie. Zatrzymała się.

Słońce, jaskrawy poranny blask prosto w oczy, nieustępliwy. Zapomniała wieczorem zaciągnąć storę. Odwróciła się tyłem do słońca, ale z prawej strony w dalszym ciągu przypiekało. Nic z tego. Dzień. Westchnęła po dwakroć, usiadła, przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i tak siedziała, przygarbiona, w nocnej koszuli, wpatrując się w swoje stopy.

Palce od wieloletniego noszenia taniego obuwia były tak sprasowane, że aż kanciaste w miejscach gdzie dotykały jeden drugiego, a i na wierzchu całe w nagniotkach; paznokcie odbarwione i bezkształtne. Pomiedzy sterczącymi jak sęki kostkami przebiegały drobne suche zmarszczki. Niewielka płaszczyzna u nasady palców zachowała delikatność, ale skóra miała kolor gliny, a podbicie całe było poznaczone węzłami żył. Obrzydliwe. Smutne, przygnębiające. Nędzne. Żałosne. Przymierzała te wszystkie słowa, a one pasowały jak ohydne małe kapelusiki. Ohydne – tak, i to też pasuje. Patrząc na siebie i dojąc do wniosku, że to coś ohydne – brr! Ale czy wtedy, kiedy nie była ohydna – czy wtedy siadała tak i przyglądała się sobie? Nie. Normalne ciało nie jest przedmiotem, nie jest sprzętem ani dobytkiem, który można podziwiać, jest po prostu tobą samym. Dopiero kiedy przestaje być tobą, a robi się tym co twoje, czymś, co posiadasz, zaczynasz się martwić o jego stan. Czy ci wystarczy do końca? Czy wytrzyma?

– Kogo to obchodzi? – powiedziała Laia z zawziętością i wstała.

Zakręciło jej się w głowie od tego nagłego wstania. Ze strachu, że upadnie, musiała się

uchwycić nocnego stolika. Przypomniało jej się wtedy, jak we śnie sięgała ręką do Tawiriego.

Co on takiego powiedział? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie była nawet pewna, czy go dotknęła. Zmarszczyła brwi wysilając pamięć. Tak dawno nie śniła o Tawirim, a teraz nawet nie pamięta, co powiedział!

Przeszło, minęło. Stała przygarbiona, w nocnej koszuli, ze zmarszczonym czołem, jedną ręką trzymając się nocnego stolika. Jak dawno to było, gdy ostatni raz myślała o nim – nie mówiąc już o snach – po prostu myślała o nim jako o „Tawirim”? Ile czasu upłynęło, odkąd ostatni raz wymówiła jego imię?

Asieo powiedział. Kiedy byliśmy z Asieo w więzieniu na Północy. Zanim poznałam Asieo. Teoria wzajemności Asieo. O, tak, mówiła o nim, mówiła o nim aż za dużo, bez wątpienia, głądziła, wciągała go. Ale mówiła o nim jako o Asieo, wymieniając go z nazwiska, jako o postaci publicznej. Człowiek prywatny zniknął na zawsze. Zostało tak niewielu, którzy go znali. Siedzieli po więzieniach. Podkpiwało się wtedy: wszyscy przyjaciele we wszystkich więzieniach. Ale nawet ich tam nie było w owych czasach. Leżeli na więziennych cmentarzach. Albo we wspólnych mogiłach.

– O Boże – powiedziała Laia głośno i usiadła znów na łóżku, przytłoczona ciężarem wspomnień tych pierwszych tygodni w Twierdzy, w celi, pierwszych tygodni tamtych dziewięciu lat spędzonych w Twierdzy w Drio, w celi, tych pierwszych tygodni, kiedy jej powiedziano, że Asieo zginął w walce pod Kapitołem i został pochowany razem z tysiącem czterystu innych w wapnowanych rowach za Bramą Oring. W celi. Ręce jej znów opadły na kolana – lewa zaciśnięta w prawej. Kciukiem prawej dłoni cały czas głądziła palec wskazujący lewej. Godziny, dni, noce. Myślała o nich wszystkich, o każdym z osobna, o każdym z tych tysiąca czterystu, jak leżeli, jak niegaszone wapno wżerało się w ich ciała, jak dotykały się ich kości w palącym mroku. Kto dotykał do niego? Jak teraz leżą delikatne kości jego ręki? Godziny, lata.

– Taviri, ja cię nigdy nie zapomniałam! – wyszeptała i głupota tych słów przywołała ją natychmiast do rzeczywistości – do światła poranka i rozgrzebanego łóżka. Oczywiście, że go nie zapomniała. Takie sprawy pomiędzy mężem i żoną nie wymagają słów. I znów jej brzydkie, stare stopy leżały płasko na podłodze, jak przedtem. Nie osiągnęła niczego więcej, krąży w kółko. Wstała z pomrukiem dezaprobaty i poszła do garderoby po szlafrok.

Młodzi ludzie chodzą po Domu z bezwstydem, który im przystoi, ale ona jest na to za stara. Nie chciała nikomu zepsuć śniadania swoim widokiem. A poza tym oni zostali wychowani w atmosferze swobody ubierania się, seksu i całej reszty, a ona nie. To wszystko były jej odkrycia. A to nie to samo.

Tak jak mówienie o Asieo „mój mąż”. Wszyscy krzywili się. Oczywiście jako dobra Odonianka powinna była używać słowa „partner”. Tylko dlaczego do diabła miałyby być dobrą Odonianką?

Poczłapała korytarzem do łazienek. Mairo myła właśnie włosy w umywalce. Laia patrzyła z podziwem na długie, lśniące, mokre sploty. Tak rzadko teraz wychodziła z Domu, że już nie pamiętała, kiedy po raz ostatni widziała przyzwoicie ogoloną głowę, stwierdziła jednak, że widok gęstych, wspaniałych włosów w dalszym ciągu sprawia jej przyjemność, dojmującą przyjemność. Ileż to razy z niej szydzili: Długowłosa, Długowłosa – ile razy ciągnęli ją za te włosy policjanci czy zbiry, ileż razy z uśmiechem golili jej głowę do gołej skóry w każdym nowym więzieniu? Ale włosy zawsze odrastały: najpierw puszek, potem drobne kędziorki, potem loki, wreszcie wspaniała grzywa... Tak było dawniej. Na miłość boską, czy nie może dziś myśleć o niczym innym, jak tylko o dawnych czasach?

Ubrała się, zaścieliła łóżko i zeszła do świetlicy. Śniadanie było nawet dobre, ale od czasu tego przekłętego wylewu nie odzyskała właściwie apetytu. Wypiła dwie filizanki ziołowej herbaty, ale

nie mogła skończyć kawałka brzoskwini, który sobie nałożyła. Jakżeż była spragniona owoców w dzieciństwie; do tego stopnia, że zdarzyło jej się nawet kiedyś ukraść. A w Twierdzy... na miłość boską, przestań! Z uśmiechem odpowiadała na pozdrowienia i przyjacielskie pytania innych stołowników i dużego Aevi, który dziś usługiwał przy bufecie. To on ją właśnie namówił na brzoskwinię: „Popatrz, zostawiłem specjalnie dla ciebie”, więc jak mogła mu odmówić? Zresztą zawsze lubiła owoce i nigdy nie miała ich dość. Jako sześć- czy siedmioletnia dziewczynka zwędziła coś nawet handlarzowi z wózka przy ulicy Rzeczej. Ale trudno jeść, jak wszyscy mówią z takim podnieceniem. Nadeszły wieści z Thu, i to ważne wieści. Z początku odniosła się do nich sceptycznie, nieufna w stosunku do wybuchów entuzjazmu, ale po przejrzeniu artykułu w gazecie i po wycytaniu wszystkiego między wierszami, pomyślała z dziwną pewnością, głęboką, ale pełną dystansu: oczywiście, to jest to; nadeszło wreszcie. I to w Thu, a nie tutaj. Thu powstanie, zanim my się zdecydujemy. Rewolucja zwycięży najpierw tam. Jak gdyby ten fakt miał jakiegokolwiek znaczenie! Przecież i tak nie będzie poszczególnych narodów. A jednak miał znaczenie, napawał ją chłodem i smutkiem, więcej – zazdrością. Co za beznadziejna bzdura. Nie włączyła się do ogólnej rozmowy i wkrótce wstała i poszła do swojego pokoju, rozczulona nad sobą. Nie brała udziału w ich entuzjazmie. Była poza nawiasem tego wszystkiego, tak, właśnie poza nawiasem. Nie jest łatwo – powiedziała sobie tytułem usprawiedliwienia, z trudem wchodząc po schodach – nie jest łatwo pogodzić się z tym, że człowiek został poza nawiasem, skoro tkwił w ruchu, w samym jego środku, przez pięćdziesiąt lat. Och, na miłość boską! Przestań jęczeć!

Wdrapała się na schody, a uczucie żalu nad sobą weszło za nią do pokoju. Miała dobry pokój i dobrze było znaleźć się samej. Odczuła to jako wielką ulgę. Nawet jeśli nie było to zupełnie fair. Niektórzy młodzi ludzie z poddaszy mieszkali po pięćoro w pokojach nawet mniejszych od tego. Zawsze znalazło się więcej chętnych do mieszkania w Domu, niż można było wygodnie pomieścić. Ona zajmowała ten duży pokój sama jedynie dlatego, że była starą kobietą po wylewie. I może dlatego, że jest Odo. Ciekawe, czy pierwszej lepszej kobiecie po wylewie daliby taki pokój? Możliwe. Bo przecież kto do diabła chciałby mieszkać z opluwającą się staruszką? Ale z drugiej strony... Nepotyzm, elitaryzm, kult jednostki – wszędzie się wdzierają i podnoszą głowę. Tylko że ona nigdy nie miała złudzeń co do tego, że dożyje ich całkowitego wykorzenienia; wiedziała, że to nie jest zadanie na jedno pokolenie; tylko czas przynosi wielkie zmiany. Tak czy siak ma ładny, duży, słoneczny pokój, odpowiedni dla starej kobiety, której cieknie po brodzie i która zapoczątkowała rewolucję światową.

Za godzinę przyjdzie sekretarz Noi pomóc jej w pracy. Poczłapała do pięknego, dużego biurka, które było prezentem od Syndykatu Meblowego Nio. Ktoś kiedyś usłyszał, jak mówiła, że jedynym meblem, jaki by naprawdę chciała mieć, jest biurko z szufladami i dużym blatem... do licha, ten blat był prawie całkowicie zasłany papierami z poprzipinanymi do nich notatkami, pisanymi przeważnie drobnym, czytelnym pismem Noi: „Pilne”, „Prowincje północne”, „Porozumieć się z R. T.”.

Jej charakter pisma zmienił się nieodwracalnie od śmierci Asieo. Dziwne, jak się tak nad tym zastanowić; ostatecznie w ciągu pięciu lat po jego śmierci napisała całą „Analogię”. No i jeszcze te listy, które tamten wysoki strażnik z wodnistymi szarymi oczyma – zapomniała, jak się nazywał, to zresztą nieważne – przemycał dla niej z twierdzy przez dwa lata. Zatyłowali je „Listami z więzienia” i wydali już dwanaście razy, za każdym razem inaczej. Wszystko, te listy, o których ludzie mówili, że są tak pełne „siły duchowej” – musiała prawdopodobnie sama przed sobą łągać, żeby się nie załamać – i „Analogia”, która z całą pewnością jest najpoważniejszą pracą naukową, jaka kiedykolwiek wyszła spod jej pióra, a więc wszystko to zostało napisane w Twierdzy w Drio, w celi, po śmierci Asieo. Trzeba było coś robić, a w Twierdzy pozwalali mieć papier i pióro... Ale to

wszystko zostało nabazgrane pospiesznie pismem, do którego właściwie nigdy się nie przyznawała; jej pismo to były okrągłe czarne zakrętaszy manuskryptu „Społeczeństwa bez rządu” sprzed czterdziestu pięciu lat. Taviri zabrał ze sobą do tego żrącego wapna nie tylko pragnienia jej ducha i ciała, ale i ładny, czytelny charakter pisma. Ale zostawił jej Rewolucję.

Jaka ty dzielna, że potrafisz iść naprzód, pracować, pisać w więzieniu po takiej stracie dla ruchu, jaką była śmierć twego partnera – mówili ludzie. Durnie. A co innego mogła robić? Dzielność, odwaga... A czym jest odwaga? Nigdy właściwie nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Jedni twierdzą, że to nieodczuwanie strachu.

Bać się, a mimo to iść naprzód – mówią drudzy. Ale cóż można robić innego? Czy rzeczywiście jest jakikolwiek wybór?

Umrzeć, to po prostu iść w przeciwnym kierunku.

Jeżeli chcesz wrócić do domu, musisz iść naprzód – to właśnie miała na myśli, kiedy pisała „Prawdziwą podróż to powrót”. Tylko że to zawsze było jedynie przecuciem i teraz była dalsza niż kiedykolwiek od rozumowego uzasadnienia tej tezy. Pochyliła się, ale za gwałtownie, więc jęknęła – zatrzeszczało jej w kościach. Zaczęła grzebać w dolnej szufladzie biurka. Natrafiła ręką na wymięty ze starości skoroszyt. Wyciągnęła go, dotykiem poznając, że to rękopis „Roli syndykatu w procesie rewolucyjnym”, jeszcze zanim wzrok potwierdził jej przypuszczenie. Wydrukował na skoroszytcie tytuł, a pod spodem napisał swoje imię i nazwisko: „Taviri Odo Asieo, IX, 741”. To był elegancki charakter pisma – każda litera pięknie wyczelowana, zamaszysta, opływowa. Ale on wolał używać dyktafonu. Cały rękopis odtworzono z dyktafonu, i to starannie opracowanego – wszystkie zająknięcia zostały usunięte, wszystkie przejęzyczenia poprawione. Nie można było poznać, że wymawiał głębokie gardłowe „o”, tak jak oni wszyscy na Wybrzeżu Północnym. Nie zostało w tym z niego nic, poza samym umysłem. I ona nic z niego nie miała, poza jego imieniem wypisanym na okładce skoroszytu. Nie trzymała jego listów, to zbyt sentymentalny zwyczaj. A poza tym nigdy nic nie trzymała. Nie przypomina sobie, żeby cokolwiek w życiu posiadała dłużej niż przez kilka lat, oczywiście poza tym starym zrujnowanym ciałem, którego przecież i tak nie mogła się pozbyć...

Znów to rozdwojenie. „Ja” i „ono”. Wiek i choroba czynią człowieka dualistą, eskapistą. Umysł podpowiada: „to nie ja, to nie ja”. Ale to ty. Być może mistycy potrafią oddzielić ciało od ducha, zawsze im zresztą tego zazdrościła, bez nadziei jednak, że im w tym dorówna. Ale ucieczka nigdy nie była jej postawą. Walczyła o wolność – tu, teraz, ciałem i duchem.

Najpierw się nad sobą rozczulała, teraz popada w samouwielbienie, a cały czas siedzi z imieniem Asieo w ręku – i po co? Czyż nie zna jego imienia na pamięć? Co się z nią dzieje? Podniosła skoroszyt do ust, ucałowała ręcznie napisane imię, mocno, szczerze, włożyła z powrotem w głąb dolnej szuflady, zamknęła ją i ustawiła prosto krzesło. Czowała mrowienie w prawej ręce. Podrapała się i pomachała nią w powietrzu ze złością. Nigdy właściwie całkowicie nie wydobrzała po wylewie. Prawa noga, prawe oko i prawy kącik ust były niemrawe, niesprawne i zdrętwiałe. Czowała się jak robot, w którym nastąpiło zwarcie.

A czas ucieka; zaraz przyjdzie Noi i co mu powie? Co robiła od śniadania?

Wstała tak spieszenie, że zachwiała się i przytrzymała oparcia krzesła, żeby nie upaść. Poszła korytarzem do łazienki i przejrzała się tam w dużym lustrze. Jej siwy kok rozlatywał się i opadał, nie upięła go porządnie przed śniadaniem. Szamotała się z nim przez chwilę, ale było jej trudno ustać z rękami uniesionymi do góry. Na szczęście wpadła właśnie Amaï wysiusiać się, która jej zaproponowała:

– Ja to zrobię! – I w jednej chwili uwiązała jej kok, mocno i zręcznie, swoimi ładnymi, kształtnymi palcami, uśmiechając się w milczeniu. Amaï miała dwadzieścia lat, to znaczy mniej niż

jedną trzecią tego co Laia. Oboje jej rodzice byli działaczami ruchu; jedno zginęło w powstaniu lat sześćdziesiątych, drugie w dalszym ciągu agitowało gdzieś w Prowincjach Południowych. Amai, wychowana w Domach Odońskich i urodzona po Rewolucji, była prawdziwą córą anarchii. Wspaniała, spokojna, wolna i piękna latorośl. Jej widok wyciskał łyżę wzruszenia: oto cel, jakiemu się poświęciliśmy, o to nam właśnie chodziło, oto tętniąca życiem, cudowna przyszłość.

Prawe oko Lai Asieo Odo uroniło kilka łez, kiedy tak stała pomiędzy umywalkami a klozetami, z włosami upiętymi przez córkę, której nie urodziła, ale jej lewe oko, to zdrowe, nie zapłakało, nie wiedziało nawet, co robi prawe.

Podziękowała Amai i pospieszyła do swojego pokoju. W lustrze zauważyła plamę na kołnierzyku. Prawdopodobnie sok z brzoskwini. Stara, niechlujna baba. Nie chciała, żeby Noi zastał ją z tą plamą. Kiedy wciągała przez głowę świeżą koszulę, pomyślała: a cóż Noi ma w sobie takiego szczególnego?

Zapięła guziki kołnierzyka lewą ręką, powoli. Noi miał około trzydziestki; był szczupłym, muskularnym mężczyzną o bystrych, ciemnych oczach. Tyle było w nim szczególnego. Po prostu. Stary poczciwy seks. Nigdy nie podobali jej się blondyni ani grubasy, ani żaden z tych wysokich facetów o potężnych bicepsach, nigdy, przenigdy, nawet wtedy, kiedy miała lat czternaście i traciła głowę dla pierwszego lepszego pętaka. Ciemny, szczupły i ognisty – to był jej typ. Taviri oczywiście. Jeśli chodzi o umysł czy nawet wygląd zewnętrzny, ten chłopak nie umywał się do Taviriego, a jednak nie chciała, żeby zobaczył ją z plamą na kołnierzyku czy z rozczochranymi włosami.

Z jej rzadkimi siwymi włosami. Nadszedł Noi i zatrzymał się na chwilę w otwartych drzwiach – mój Boże, przebierając się nawet nie zamknęła drzwi. Spojrzała na niego i zobaczyła siebie: starą kobietę.

Możesz uczesać włosy i zmienić koszulę albo możesz mieć na sobie nieświeżą koszulę i włosy posplatane w warkoczyki po nocy albo możesz ubrać się w złocistą szatę i posypać ogoloną głowę diamentowym pyłem. Nie ma to najmniejszego znaczenia. Stara kobieta będzie wyglądała tylko albo trochę mniej, albo trochę bardziej groteskowo.

Człowiek usiłuje być schludny po prostu z przyzwoitości, zdrowego rozsądku, przez wzgląd na innych. Aż wreszcie i to się kiedyś kończy i zaczyna mu ciec po brodzie.

– Dzień dobry – powiedział młody człowiek swoim miłym głosem.

– Jak się masz, Noi.

Nie, na miłość boską, to nie tylko przyzwoitość. Do diabła z przyzwoitością. Czy dlatego, że mężczyzna, którego kochała i dla którego jej wiek nie miałby znaczenia, czy tylko dlatego, że ten mężczyzna nie żyje, ma udawać, że jest pozbawiona seksu? Czy musi ukrywać prawdę jak cholerni purytanie? Jeszcze sześć miesięcy temu, przed wylewem, potrafiła sprawić, że mężczyźni na nią patrzyli, i to patrzyli z przyjemnością, a teraz, chociaż już nie jest w stanie dawać przyjemności, może ją przynajmniej sama czerpać.

Kiedy miała sześć lat i przyjaciel ojca Gadeo wpadał do nich po kolacji na pogawędki o polityce, wkładała złocisty naszyjnik, który matka znalazła gdzieś w śmieciach i przyniosła z myślą o niej. Był tak krótki, że chował się zawsze pod kołnierzykiem, ale jej to odpowiadało. Wystarczyła jej świadomość, że go ma na sobie. Siadała na progu i słuchała ich rozmów, i wiedziała, że się podoba Gadeo. Był ciemny, z białymi zębami, które błyskały w uśmiechu. Czasami mówił na nią „piękna Laia”. „Oto moja piękna Laia!” Sześćdziesiąt sześć lat temu.

– Co takiego? Mąci mi się w głowie. Miałam koszmarną noc. – Była to prawda. Spała nawet mniej niż zwykle.

– Pytałem, czy widziałaś gazety dziś rano.

Skinęła głową.

– Zadowolona jesteś z Soinehe?

Soinehe była to prowincja Thu, która poprzedniego dnia wieczorem ogłosiła secesję w stosunku do Państwa Thuwiańskiego.

Był uradowany. Jego białe zęby błyskały w ciemnej, bystrej twarzy. Piękna Laia.

– Tak. I niespokojna.

– Wiem. Ale tym razem to już poważna historia. To początek końca rządu w Thu. Nawet nie próbowali posyłać wojska do Soinehe. To by tylko przyspieszyło bunt w armii i oni o tym wiedzą.

Przyznała mu rację. Sama była o tym przekonana. Ale nie podzielała jego entuzjazmu. Jeśli ktoś żyje tylko nadzieją, ponieważ nie pozostaje mu nic poza nią, zwycięstwo już go nie cieszy. Prawdziwe poczucie tryumfu musi być poprzedzone prawdziwą rozpaczą. A ona już dawno nie potrafi rozpaczać. Koniec z tryumfami. Idzie się naprzód.

– Czy dzisiaj napiszemy te listy?

– Dobrze. A jakie listy?

– Do tych ludzi z Północy – odparł bez zniecierpliwienia.

– Z Północy?

– Parheo, Oaidun.

Urodziła się w Parheo, brudnym mieście nad brudną rzeką. Do stolicy przyjechała dopiero, kiedy miała dwadzieścia dwa lata i była przygotowana do wywołania rewolucji. Chociaż w tamtych czasach, zanim ona i inni zdążyli tę sprawę przemyśleć, była to bardzo zielona i młodzieńcza rewolucja. Strajki o podniesienie zarobków, udział w rządach dla kobiet. Prawo do głosowania i płace – Władza i Pieniądze, na miłość boską! No cóż, przez pięćdziesiąt lat człowiek się czegoś w końcu nauczył. Ale trzeba o tym wszystkim zapomnieć.

– Zacznij od Oaidun – powiedziała sadowiąc się w fotelu. Noi siedział już za biurkiem, gotów do pracy. Czytał jej fragmenty listów, na które miała odpowiedzieć. Usiłowała się skupić; udało jej się na tyle, że podyktowała mu cały jeden list i kawałek drugiego. – „Pamiętajcie, że na tym etapie wasza organizacja jest narażona... nie... że waszej organizacji grozi...” – Szukała odpowiedniego słowa i dopiero Noi jej podpowiedział:

– Że waszej organizacji grozi niebezpieczeństwo kultu jednostki?

– Tak, w porządku. I że żądza władzy niczego tak szybko nie niszczy jak altruizmu. Nie. I że nic tak nie niszczy altruizmu... nie. Och, na miłość boską, przecież wiesz, Noi, co ja chcę powiedzieć, napisz sam. I oni też wiedzą, wszystko to są te same stare historie, przecież mogą sobie przeczytać moje książki!

– Chodzi o kontakt osobisty – powiedział Noi uśmiechając się łagodnie i zarazem cytując jedną z głównych zasad odonianizmu.

– No dobrze, ale ja już jestem tym zmęczona. Ty napisz list, a ja go podpiszę, dość tego na dzisiaj. – A ponieważ patrzył na nią pytająco i z odrobiną niepokoju, powiedziała poirytowana:

– Mam jeszcze coś do zrobienia!

Kiedy Noi wyszedł, usiadła przy biurku i zaczęła przekładać papiery udając, że jest bardzo zajęta; przstraszyło ją własne zachowanie. Nie miała nic innego do roboty. Nigdy nie miała nic innego do roboty. Bo na tym właśnie polegała jej praca. Praca jej życia. Objazdy agitacyjne i mityngi, a teraz, kiedy właściwie już nie wychodziła na ulicę, pozostało jej jeszcze pisanie. Zresztą gdyby nawet miała coś innego do roboty, Noi by o tym wiedział; to on pilnował harmonogramu zajęć, przypominając jej taktownie o różnych sprawach, jak na przykład wizyta studentów zagranicznych dziś po południu.

Och, do diabła. Lubi młodzież, a poza tym od cudzoziemca można się zawsze czegoś nauczyć, ale jest już zmęczona nowymi twarzami i tym, że ciągle jest pod ostrzałem. Owszem, ona się od nich uczy, ale oni nie uczą się od niej. Wszystko, czego mogła ich nauczyć, poznali już dawno z jej książek, z ruchu. Teraz przychodzą po prostu ją sobie obejrzyć, jakby była Wieżą z Rodarred czy Kanionem Tulaevea. Jakimś dziwem, pomnikiem. Podchodzili do niej z czcią. A ona na nich burczała:

– Myślcie samodzielnie! To nie jest żaden anarchizm, to zwykły obskurantyzm! Nie sądzicie chyba, że wolność i dyscyplina są nie do pogodzenia, co?!

Przyjmowali tę chłostę słowną potulnie i z wdzięcznością jak dzieci, jak gdyby Laia była czymś w rodzaju Macierzy, bóstwem, Wielkim Opiekuńczym Łonem. Ona! Ona, która wysadzała w powietrze stocznie w Seissero i wymyślała w oczy premierowi Inolite'owi wobec siedmiotysięcznego tłumu, zarzucając mu, że dałby sobie obciąć jaja, a następnie je pozłocił i sprzedał jako suweniry, gdyby widział w tym jakiś interes – ona, która wrzeszczała, lżyła i kopała policjantów, pluła na księży i publicznie sikala na wielką mosiężną tablicę pod Kapitołem, głoszącą: „W tym miejscu zostały położone podwaliny pod Suverenne Państwo Narodowe A-10” itd., itd. Ale sza. To właśnie ona jest teraz dobrą babunią, pocziwą staruszką, uroczym starym pomnikiem; chodźcie oddać cześć łonu, które zrodziło rewolucję. Płomień już się wypalił, chłopcy, już możecie bezpiecznie podejść bliżej.

– Nie, nie będę – powiedziała Laia głośno. – Nie chcę. – Nie krępowało jej to, że mówi do siebie, zawsze do siebie mówiła. „Niewidzialne audytorium Lai” – mawiał Taviri, kiedy kręciła się po pokoju mrużąc coś pod nosem. – Możecie nie przychodzić, mnie nie będzie – oznajmiła teraz swojemu niewidzialnemu audytorium. Właśnie zdecydowała, co to było takiego, co miała do zrobienia. Miała wyjść. Wyjść na ulicę.

Ale z drugiej strony sprawienie zawodu zagranicznym studentom było nieprzyzwoitym, typowo starczym kaprysem. Nieodońskim. Szszsz. Co za sens poświęcić całe życie sprawie wolności i skończyć w ogóle bez wolności. Pójdzie na spacer.

„Kto to jest anarchista? Ktoś, kto wybierając zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ten wybór na niego nakłada”.

Schodząc na dół zdecydowała ze złością, że jednak zostanie i przyjmie zagranicznych studentów. Ale potem wyjdzie.

Byli bardzo młodzi, bardzo poważni, kudłaci i o łagodnych oczach – urocze stworzenia. Pochodzili z Półkuli Zachodniej, Benbili i królestwa Mand. Dziewczęta były ubrane w białe spodnie, chłopcy w długie spodniczki, w których przypominali starożytnych wojowników. Mówili o swoich nadziejach.

– My w Mand jesteśmy tak dalecy Rewolucji, że być może jesteśmy jej bardzo bliscy – powiedziała jedna z dziewcząt z pełnym zadumy uśmiechem. – Krąg życia! – I robiąc kółko ze szczupłych, śniadych palców, pokazała, jak spotykają się dwa końce.

Aevi i Amai podawali białe wino i ciemny chleb, jak nakazywał zwyczaj Domu. Ale goście, skromni, młodzi ludzie, wstali zaledwie po półgodzinie i zaczęli się żegnać.

– Ależ nie – powiedziała Laia – zostańcie jeszcze i porozmawiajcie z Aevi i Amai. Ja po prostu sztywnieję, jak za długo siedzę. Muszę się poruszać. Bardzo mi było miło was poznać. Przyjdziecie mnie jeszcze odwiedzić, moje młodsze siostry i bracia? – Bo sercem była z nimi, a oni z nią, zanim więc wyszła, rozdawała dokoła pocałunki, roześmiana, uszczęśliwiona widokiem młodych, śniadych policzków, pełnych oddania oczu, pachnących włosów. Była rzeczywiście trochę zmęczona, ale iść teraz na górę i uciąć drzemkę, to przyznać się do porażki. Przecież chciała wyjść. Wyjdzie. Nie była

sama na ulicy od... od kiedy? Od zimy! Przed wylewem. Nic dziwnego, że jest z nią źle. Przecież to zupełnie jakby odsiadywała wyrok w więzieniu. Na zewnątrz, na ulicach – tam jest jej życie.

Wyszła cicho bocznymi drzwiami, minęła ogród warzywny i znalazła się na ulicy. Wąski skrawek nieurodzajnej miejskiej ziemi został pięknie zagospodarowany i rodził wspaniałe groch i ceę, ale ona była ślepa na sprawy rolnictwa. Oczywiście, że społeczeństwa anarchistyczne, nawet w okresie przejściowym, muszą dążyć do jak największej samowystarczalności, ale jak to osiągnąć przy obecnych środkach – to już nie jej sprawa. Od tego są rolnicy i agronomowie. Jej sprawa to ulice – hałaśliwe, smrodliwe, kamienne ulice, gdzie dorosła i spędziła całe życie, z wyjątkiem piętnastu lat więzienia.

Spojrzała z czułością na fasadę Domu. Fakt, że został zbudowany z przeznaczeniem na bank, sprawiał jego obecnym mieszkańcom szczególną satysfakcję. W zabezpieczonym przed bombami pomieszczeniu skarbcza trzymali woreczki z mąką, a ich jabłecznik fermentował w beczkach, ustawionych w boksach sejfu depozytowego. Nad ozdobnymi kolumnami od strony ulicy w dalszym ciągu widniał napis: „Bank Inwestycyjny i Ziemi”. Nazewnictwo nie było mocną stroną ruchu. Nie mieli też żadnej flagi. A co do sloganów – zmieniali je w miarę potrzeb. Wystarczył Krąg Życia nabazgrany na murach czy chodnikach, w miejscach widocznych dla władz. Ale jeśli chodziło o nazwy, było im wszystko jedno – przyjmowali te, które im nadawano, lub je ignorowali, obawiając się jedynie, że mogą zostać do czegoś przymuszeni lub zamknięci, ale nigdy nie bojąc się śmieszności. I dlatego najstymniejszy, a zarazem drugi co do starości ze wszystkich Domów spółdzielczych nie miał innej nazwy, jak tylko Bank.

Stał przy szerokiej, spokojnej ulicy, ale zaledwie o jedną przecznicę dalej zaczynała się Temeba, otwarty plac, kiedyś znany jako czarny rynek psychogeników i teratogeników, teraz zepchnięty do roli targowiska jarzyn, używanej odzieży i nędznych występów artystycznych. Niegdyś tętniący występny życiem, obecnie stał się domeną na pół sparaliżowanych alkoholików, narkomanów, kalek, handlarzy, tanich prostytutek, lombardów, spelunek hazardu, wróżbitów, podejrzanych gabinetów piękności i skromnych hotelików. Laia skierowała się ku Temebie tak naturalnie, jak woda dąży do najniższego poziomu.

Nigdy nie bała się ani nie pogardzała miastem. To była jej ojczyzna. Nie byłoby w nim takich slumsów, gdyby Rewolucja zwyciężyła. Ale byłoby cierpienie. Zawsze jest cierpienie, obumieranie, okrucieństwo. Nigdy nie udawała, że może zmienić ludzkie losy, że jest dobrą matką, która usuwa swoim dzieciom wszelkie przeszkody, żeby sobie nie zrobiły krzywdy. Wszystko, tylko nie to. Jeśli ludzie mogą wybierać, i ludzie wybierają picie samogonu i życie w rynsztokach – ich interes. Owszem, ich – dopóki nie staje się interesem wielkiego Interesu, źródłem dochodu i środkiem osiągnięcia władzy dla innych. Czowała to, zanim cokolwiek zrozumiała, zanim napisała pierwszą broszurę, zanim opuściła Parheo, zanim się dowiedziała, co znaczy słowo „kapitał”, zanim wytknęła nos poza ulicę Rzeczną, gdzie wraz z innymi sześciolatkami klęcząc na pościeranych kolanach bawiła się w „chodzi lis koło drogi” – już wtedy wiedziała jedno: że ona i inne dzieci, i jej rodzice, i ich rodzice, i pijacy, i prostytutki, i cała ulica Rzeczna są na dzień czegoś – że są podwaliną, rzeczywistością, źródłem.

Ale czy można sprowadzać kulturę do poziomu błota? – krzyczeli z oburzeniem szacowni ludzie, a ona latami usiłowała im tłumaczyć, że jeśli nie ma się nic poza błotem, to będąc Bogiem lepi się z niego istoty ludzkie, a będąc istotą ludzką, próbuje się z niego lepić domy dla ludzi. Ale nikt z tych, którzy uważają się za coś lepszego od błota, tego nie pojmie. A teraz jak woda, która szuka najniższego poziomu, jak błoto do błota – Laia poczłapała przez brudną, hałaśliwą ulicę i nagle całe jej brzydkie niedołęstwo przestało na tym tle razić. Śpiące prostytutki w wynędzniałych,

poprzekrzywianych i wylakierowanych perukach, ślepa na jedno oko kobieta, niezmordowanie, wrzaskliwie zachęcająca do kupowania u niej jarzyn, przygłupia żebraczka tłukąca muchy – oto jej rodaczki. Wyglądały jak ona, wszystkie smutne, nieapetyczne, żalosne, odrażające. To były jej siostry, jej rodzina.

Nie czuła się najlepiej. Dawno już nie wychodziła sama tak daleko, aż do trzeciej czy czwartej przecznicy, w hałas, ścisk i letni skwar ulic. Chciała się dostać do Parku Koly, trójkąta łąkowej trawy na końcu Temeby, żeby posiedzieć sobie przez chwilę z innymi starymi mężczyznami i kobietami, którzy zawsze tam siadywali, ot po prostu zobaczyć, jak to jest, kiedy się tam siedzi i jest się starym – ale było dla niej za daleko. Jeśli nie zawróci w tej chwili, może jej się zrobić słabo, a bała się panicznie, żeby nie upaść, nie upaść i nie widzieć, jak schodzą się ludzie pogapić się na starą kobietę, która dostała ataku. Zawróciła i ruszyła w stronę domu, marszcząc czoło z wysiłku i obrzydzenia do siebie samej. Wiedziała, że robi się czerwona, i czuła w uszach pulsujący ucisk. Troszkę tego było za wiele, naprawdę bała się, że się przewróci. Nagle zobaczyła próg w zacienionym miejscu, zrobiła krok w jego kierunku, opuściła się ostrożnie, usiadła, westchnęła.

Nieopodal siedział w milczeniu handlarz za stertą zakurzonych nieświeżych owoców. Ludzie go omijali. Nikt od niego nie kupował. Na nią nikt nie patrzył. Odo – kto to taki Odo? Sławna rewolucjonistka, autorka „Społeczeństwa”, „Analogii” itd., itd. To ona? Kim ona jest? Starą kobietą o siwych włosach i czerwonej twarzy, siedzącą na brudnym progu slumsu i mruczącą coś pod nosem do siebie. Czyżby? W każdym razie tak to widział każdy, kto tamtędy przechodził. Ale czy to była ona sama we własnej osobie, coś jeszcze ponadto że sławna rewolucjonistka, itd.? Nie. No to wobec tego kim ona jest?

Tą, która kochała Tawiriego.

Tak To prawda. Ale to nie wszystko. Tamto minęło; on już od tak dawna nie żyje.

– Kim ja jestem? – mruknęła Laia pod adresem swojego niewidzialnego audytorium, które znało odpowiedź i jednogłośnie jej udzieliło. Jest małą dziewczynką z poobcieranymi kolanami siedzącą na progu i patrzącą poprzez brudną złocistą mgiełkę ulicy Rzeczej w spiekotę późnego lata, sześćioletnią, szesnastoletnią, zapaloną, gniewną, pełną marzeń dziewczyną, nietkniętą, niedotykalną. To była ona. Była naprawdę niestrudzoną bojowniczką i myślicielką, ale skrzep krwi w żyłę zabrał tamtą kobietę. Była prawdziwą kochanką i pływaczką, ale Tawiri, umierając, zabrał ze sobą i tę kobietę będącą wtedy w sile wieku. Nie zostało już teraz nic, poza pniem. Wróciła do swego domu, nigdy nie opuszczała domu. „Prawdziwa podróż to powrót”. Kurz i błoto, i jakiś próg w slumsach. A za tym wszystkim, na końcu ulicy, pole pełne wysokich chwastów, suchych chwastów kołyszących się na wietrze z nastaniem nocy.

– Laia! Co ty tu robisz? Nic ci nie jest?

To ktoś z Domu oczywiście, życzliwa kobieta, trochę fanatyczna i strasznie gadatliwa. Laia nie mogła sobie przypomnieć jej imienia, chociaż znała ją od lat. Pozwoliła zabrać się do domu kobiecie, której cały czas nie zamykały się usta. W dużej, chłodnej świetlicy (kiedyś zajmowali ją kasjerzy, którzy pod nadzorem zbrojnych strażników liczyli pieniądze za lśniącymi kontuarami) Laia usiadła na krześle. Jeszcze w tej chwili nie wyobrażała sobie, że mogłaby wejść na schody, ale czuła, że wolałaby być sama. Kobieta nie przestawała mówić, a tymczasem nadeszli jacyś inni podekscytowani ludzie. Wyglądało na to, że szykuje się demonstracja. Wypadki w Thu rozwijały się z tak zawrotną szybkością, że ogień przeniósł się i tutaj. Pojutrze, nie, jutro miał się tu odbyć marsz, wielki marsz ze starego miasta do Kapitolu – utartym szlakiem.

– Jeszcze jedno Powstanie Dziewiątego Miesiąca – powiedział jakiś młody człowiek, porywczy i roześmiany, patrząc na Laię. Kiedy wybuchło Powstanie Dziewiątego Miesiąca, nie było go jeszcze

na świecie. Dla niego to historia. A teraz on sam chciał tworzyć historię. Pokój wypełnił się ludźmi. Na ósmą rano następnego dnia zwołano tu zebranie ogólne. – Musisz przemówić, Laia.

– Jutro? O, mnie tu jutro nie będzie – odparła szorstko. Młody człowiek, który ją zagadnął, uśmiechnął się, ktoś inny roześmiał się głośno, Amai obejrzała się na nią zaskoczona. Wszyscy rozmawiali i krzyczeli. Rewolucja. Po co to, na miłość boską, powiedziała? Dlaczego mówi takie rzeczy na dzień przed rewolucją, nawet jeśli to prawda?

Odczekała chwilę, zdołała jakoś wstać i mimo całej swojej niezdarności wymknąć się niepostrzeżenie z tłumu ludzi zajętych snuciem planów, podnieconych. Dotarła do korytarza, a stamtąd do schodów. Zaczęła wchodzić noga za nogą.

– Strajk generalny – jeden głos, dwa głosy, dziesięć głosów; dobiegały z dołu.

– Strajk generalny – wyszeptała Laia, odpoczywając przez chwilę na podeście. A tam na górze, w jej pokoju – co ją czeka? Strajk bardzo osobisty. Jej ciała. Wylew. Zabawne. Zaczęła wchodzić na drugą kondygnację schodów po jednym stopniu, jak małe dziecko. Mąciło jej się w głowie, ale już się nie bała upadku. Daleko przed nią suche białe kwiaty kołysały się na otwartych polach, szepcząc w wieczornym wietrze. Siedemdziesiąt dwa lata i zabrakło jej czasu, żeby sprawdzić, jak się one nazywają.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

O autorze

Ursula K. Le Guin (ur. 1929) amerykańska pisarka fantasy i science fiction, urodziła się w Kalifornii w rodzinie antropologa, Alfreda Kroebera i pisarki Theodory Kroeber. Jej ojciec był znanym naukowcem, w Polsce ukazały się jego legendy indiańskie, *Ninawa*, *wieloryb lądowy*. Le Guin dorastała w domu, gdzie o antropologii mówiło się dużo i wychowywano ją w poszanowaniu dla różnorodności kultur. Tło kulturowe jest bardzo widoczne w jej twórczości. Studiowała m. in. we Francji, gdzie poznała swojego męża, historyka Charlesa Le Guin.

Debiutowała w latach 60. i dość szybko zdobyła popularność opowiadaniem i powieściami z serii *Ekumena*. Drogę do wielkiej kariery zapewniła jej powieść z tego cyklu, *Lewa ręka ciemności*, za którą otrzymała Hugo i Nebulę. Później te nagrody otrzymała jeszcze wielokrotnie.

W historii przyszłości stworzonej przez Le Guin prastara cywilizacja Hain dała początek wszystkim znanym we wszechświecie cywilizacjom. Z czasem dawne kolonie straciły kontakt z metropolią i z sobą nawzajem, rozeszły się kulturowo, a nawet biologicznie. Potem kontakt został ponownie nawiązany i równoprawne cywilizacje utworzyły Wspólnotę. Kontakty są możliwe dzięki statkom poruszającym się z prędkościami świetlnymi (wg Le Guin niemożliwe jest jej przekroczenie i prędkości relatywistyczne stwarzają duży problem dla gwiazdnych podróżników) i ansiblom – aparatom pozwalającym na natychmiastowe porozumienie się na prawie dowolną odległość – wynalezionym przez Sheveka z powieści *Wydzieżdzeni*. W powieściach Le Guin najważniejsza jest nie akcja, lecz psychologia bohaterów.

W Polsce jej twórczość jest bardzo dobrze znana, choć opowiadania ukazują się ostatnio rzadko. Znamy cały cykl *Ekumena*, a także bardzo popularny cykl fantasy *Ziemiomorze*, zapoczątkowany słynnym *Czarnoksiężnikiem z Archipelagu*.

Do najsłynniejszych jej opowiadań należą te z serii *Ekumena*, poruszające ważne kwestie społeczne, jak „Dzień przed rewolucją” (Nebula), „Ci, którzy odchodzą z Omelas” (Hugo), „Królowa Zimy” czy „Samotność” (Nebula).

MICHAEL SWANWICK

Powolne życie

Nowela „Powolne życie” sięga po – wydawałoby się do końca wyeksploatowany – motyw kontaktu z obcą cywilizacją. W dodatku zaraz poza granicami orbity Ziemi. Swanwick wydobywa z tematu nowe nuty, co wskazuje, że wciąż możemy oczekiwać dobrych tekstów kontaktowych.

Ciekawym pomysłem są relacje na żywo z eksploracji planety, gdzie kosmonauci, na życzenie sponsora, muszą pisać blogi, odpowiadać na niezliczone i głupawe zapytania z sieci, wszystko po to, aby podkreślać zainteresowanie lotem. Lot w kosmos, nawet naukowy, jest przedsięwzięciem komercyjnym.

Ale czasem to się przydaje.

Opowiadanie zdobyło Hugo w 2003 roku, było też nominowane do nagrody Locus.

Powolne życie

Różne środowiska ewolucyjne wydają owoce w postaci bardzo różnych perspektyw.

„Było to w czasach Drugiej Ery Kosmicznej. Gagarin, Shepard, Glenn i Armstrong od dawna nie żyli. Nadeszła nasza kolej na zapisanie się na kartach historii”.

– *Pamiętniki Lizzie O'Brien*

Dziewięćdziesiąt kilometrów nad powierzchnią Tytana zaczęły się tworzyć krople deszczu. Zaczęło się od nieskończenie małej drobiny tholinu unoszącej się w zimnej azotowej atmosferze. Dianoacetylen skraplał się na jądrze zarodkowym, cząsteczka po cząsteczce, aż stał się jedynym odłamkiem lodu w chmurze złożonej z miliardów innych.

Teraz podróż mogła się rozpocząć.

Przemieszczenie się o dwadzieścia pięć kilometrów w dół, gdzie temperatura spadła na tyle, by mógł się na nim skraplać etan, zajęło odłamkowi lodu prawie rok. Kiedy jednak tam dotarł, doszło do gwałtownego przyspieszenia wzrostu.

Kropelka dryfowała w dół.

Na wysokości czterdziestu kilometrów na jakiś czas utknęła w etanowej chmurze. Potem nadal rosła. Czasem zderzała się z inną kropelką i podwajała rozmiary. Aż wreszcie stała się za duża, by stratosferyczne wichry mogły nią nadal bez wysiłku miotać.

Zaczęła spadać.

Spadając zagarniała metan i rosła na tyle szybko, by osiągnąć prędkość końcową prawie dwóch metrów na sekundę.

Na wysokości dwudziestu siedmiu kilometrów przeleciała przez gęstą warstwę chmur metanu. Metan osadził się na niej, kropelka nadal spadała.

W miarę gęstnienia powietrza jej prędkość malała; zaczęła ona tracić masę z powodu parowania. Na wysokości dwóch i pół kilometra, gdy kropelka wynurzyła się spośród ostatnich cętkowanych chmur, traciła masę tak szybko, że w normalnych warunkach nie miałaby już szans na dotarcie do powierzchni księżyca.

Spadała jednak w kierunku wyżyn równikowych, gdzie lodowe góry wznosiły się na wysokość pięciuset metrów. Na wysokości dwóch metrów, przy niewielkiej prędkości końcowej jednego metra na sekundę, już tylko moment dzielił ją od uderzenia o grunt.

Dwie dłonie otworzyły plastikową torebkę na próbki i chwyciły kropelkę.

– Mam cię! – wrzasnęła radośnie Lizzie O'Brien.

Zasunęła zamknięcie strunowe, uniosła torebkę, by kamera w jej hełmie mogła odczytać kod kreskowy w rogu i rzekła:

– Jedna kropla deszczu.

Po czym wsunęła torebkę do pudła na próbki.

Czasem drobiazgi dają nam najwięcej szczęścia. Ktoś spędzi cały rok na badaniu tej malutkiej kropelki deszczu, gdy Lizzie dotrze z nią do domu. A była to zaledwie torebka nr 64 w skrzynce na próbki nr 5. Lizzie zamierzała przebywać na powierzchni Tytana na tyle długo, by pobrać dość materiału badawczego na prawdziwą rewolucję w planetologii. Już sama myśl o tym napawała ją radością.

Lizzie zatrzasnęła pokrywę pojemnika z próbkami i zaczęła skakać po powierzchni twardego jak

granit lodu, rozpryskując kałuże i szurając butami skafandra atmosferycznego po strumyczkach metanu spływających ze zbocza góry.

– *Śpiewam w deszczu!* – Wyrzuciła w górę ramiona i obróciła się wokół własnej osi. – *Po prostu śpiewam w deszczu!*

– Hm... O'Brien? – odezwał się z pokładu „Clementa” Alan Greene. – Nic ci nie jest?

– *Dim di dim dim dim, coś tam... znów.*

– Och, daj jej spokój – rzekła Consuelo Hong lekko skwaszonym tonem, lecz w dobrym nastroju. Znajdowała się na równinach, gdzie metan po prostu wrzał w powietrzu, a grunt był pokryty grubą warstwą brejowatego tholinu. Wedle jej słów przypominało to brodzenie po kostki w melasie. – Nie potrafisz rozpoznać na słuch jej metody badawczej?

– Skoro tak mówisz – mruknął Alan powątpiewająco. Tkwił na pokładzie „Clementa”, nadzorując ekspedycję i redagując stronę sieciową. Była to wygodna fucha; *on* nie musiał spać w skafandrze, pić wody z odzysku ani żywić się batonami energetycznymi; przypuszczał jednak, że inni nie wiedzą, jak bardzo tego nienawidzi.

– Co mamy dalej w planie? – spytała Lizzie.

– Hm... trzeba uruchomić robota-turbota. Jak tam, Hong?

– Zgodnie z rozkładem. Powinam dotrzeć do morza za parę godzin.

– Świetnie, wtedy O'Brien powinna dołączyć do ciebie przy lądowniku. O'Brien, zacznij rozkładać balon i przeprowadź przegląd uprząży z listą kontrolną.

– Przyjęłam.

– A tymczasem mam przygotowane do odtworzenia dzisiejsze wiadomości głosowe z sieci.

Lizzie jęknęła, a Consuelo wydała odgłos imitujący pierdnięcie. Zgodnie z zasadami NAFTASA załoga naziemna uczestniczyła we wszystkich transmisjach sieciowych. Oficjalnie – z przyjemnością dzieliły się doświadczeniami ze społeczeństwem. Niestety, za pośrednictwem sieci VoiceWeb (którą w myślach Lizzie nazywała Imbecylonetem) kontaktowały się z nią czasem osoby, którym brak było wystarczającego potencjału intelektualnego, by obsłużyć klawiaturę.

– Przypomnę wam tylko, że to kanał otwarty, więc wszystko, co powiecie, znajdzie się w odpowiedzi. Możecie się włączyć w dowolnej chwili. Ale każde pytanie i odpowiedź jest przesyłane jako jedna notatka, więc jeśli coś sknoccie, będziemy musieli zacząć od początku.

– Tak, tak – mruknęła Consuelo.

– Już to kiedyś robiliśmy – przypomniała mu Lizzie.

– Dobra. No to macie pierwszego.

– *Hej, cześć, tu ZuchNindza43. Tak się zastanawiam, co wy właściwie chcecie tam odkryć.*

– To doskonałe pytanie – skłamał Alan. – A oto odpowiedź: Nie mamy pojęcia! Cała podróż to jedno wielkie odkrycie, a my robimy w czymś, co można określić jako „nauka w czystej formie”. Zdarza się czasem, że nauka w najczystszej postaci przynosi ogromne zyski. Ale nie wybiegamy myślami aż tak daleko w przyszłość. Mamy nadzieję znaleźć coś, czego się absolutnie nie spodziewamy.

– Boże, ależ ty jesteś wyszczekany – zachwyciła się Lizzy.

– Wytnę to z nagrania – odparł radośnie Alan. – Następny.

– *Mary Schroeder, Stany Zjednoczone. Uczę angielskiego w szkole średniej i chciałam przekazać moim uczniom, jakie stopnie mieliście, kiedy byliście w ich wieku.*

Alan odezwał się jako pierwszy.

– Obawiam się, że osiągałem wyniki powyżej przeciętnej. W drugiej klasie dostałem piątkę z chemii i wpadłem w panikę. Wydawało mi się, że to koniec świata. Zrezygnowałem wtedy z kilku

przedmiotów nadobowiązkowych, przysiadłem fałdów i potem miałem już same szóstki.

– Doskonale szło mi wszystko poza literaturą francuską – oznajmiła Consuelo.

– A ja o mało nie oblałam roku – wyznała Lizzie. – Wszystko było dla mnie za trudne. Ale właśnie wtedy postanowiłam, że zostanę astronautką i wszystko jakoś się ułożyło. Zrozumiałam, że wystarczy ciężka praca. No i udało się.

– Znakomicie. Dzięki, dziewczyny. Oto trzecia wiadomość, od Marii Vasquez.

– *Czy na Tytanie istnieje życie?*

– Prawdopodobnie nie. Tu jest naprawdę *zimno!* 94 kelwiny to – 179 stopni Celsjusza albo – 290 stopni Fahrenheita. Nie zapominajmy jednak, że życie jest uparte. Znalaziono je w lodzie antarktycznym i we wrzącej wodzie podwodnych ujść wulkanów. Dlatego właśnie zamierzamy szczególnie dokładnie zbadać głębiny etanowo-metanowego morza. Jeśli gdzieś tu jest życie, prawdopodobnie ukrywa się tam.

– Z chemicznego punktu widzenia panujące tu warunki przypominają ubogą w tlen atmosferę na Ziemi, w której powstało życie – wyjaśniła Consuelo. – Poza tym przypuszczamy, że takie prebiotyczne reakcje chemiczne odbywają się od czterech i pół miliarda lat. Dla kogoś takiego jak ja, czyli chemika zajmującego się chemią organiczną, to najcudowniejszy sklep z zabawkami we wszechświecie. Problemem jest jednak brak ciepła. Reakcje chemiczne, do jakich doszło na Ziemi, tutaj będą trwały tysiące lat. Trudno sobie wyobrazić powstanie życia w tak trudnych warunkach.

– To musiałyby być bardzo powolne życie – rzekła Lizzie z namysłem. – Jakaś roślinna forma. „Większa od królestw, bardziej od nich trwała”^[4]. Dojrzewanie zajęłoby jej miliony lat. Jedna myśl mogłaby trwać tysiąclecia...

– Dziękujemy za tę, hm, oszałamiającą wizję! – wtrącił szybko Alan. Ich szefowie z NAFTASA nie przepadali za spekulacjami. Ich zdaniem było to nieomal równie nieprofesjonalne jak zgrywanie bohatera. – Następne pytanie, tym razem od Danny'ego z Toronto.

– *Hej, ziom, ale ci zazdroszczę, siedzisz w tym małym stateczku z dwoma niezłymi laskami.*

Alan zaśmiał się cicho.

– Tak, pani Hong i pani O'Brien to na pewno piękne kobiety. Ale jesteśmy tak zapracowani, że seks nawet nie przychodzi nam do głowy, możesz nam wierzyć albo nie. A teraz, kiedy zajmuję się „Clementem”, obie przebywają na powierzchni Tytana, w dolnych warstwach atmosfery o 60% gęstszej niż na Ziemi, w opancerzonych skafandrach badawczych. Gdyby więc nawet miały jakieś niestosowne myśli, nie ma fizycznie możliwości, żeby...

– Hej, Alan – przerwała mu Lizzie. – Powiesz mi coś?

– Tak?

– Co masz na sobie?

– Hm... przełączam na prywatny kanał.

– Mnie też dołącz – rzekła Consuelo.

Lizzie doszła do wniosku, że loty balonem są najlepszą metodą przemieszczania się. Pojazd pchany delikatnym wiatrem nie wydawał żadnego dźwięku. A widoki były fantastyczne!

Inni badacze często mówili o „mrocznej, pomarańczowej atmosferze” Tytana, ale oczy szybko się przyzwyczajały. Wystarczyło podkręcić wzmocnienie w hełmie, a białe góry zaczynały wyglądać *oszałamiająco!* Strumienie metanu rzeźbiły w wysoczyznach tajemnicze runy. W miejscu, gdzie lód stykał się z tholinem, biel przechodziła w bogatą paletę pomarańcza, czerwieni i żółci. W dole dużo się działo – więcej, niż byłaby w stanie zbadać podczas stu wizyt.

Równiny były pozornie mniej ciekawe, ale również miały swoje uroki. Pewnie, atmosfera była

tak gęsta, że odbite światło sprawiało, iż horyzont wyglądał, jakby wyginał się po bokach do góry. Ale można było się do tego przyzwyczaić. Czarne wiry i tajemnicze czerwone wzory, ślady nieznanymi procesów, widoczne na powierzchni ziemi w dole, nigdy nie były nudne.

Dostrzegła na horyzoncie ciemną odnogę wąskiego morza Tytana. Jeśli rzeczywiście to było to. Jezioro Erie było większe, ale rzecznicy prasowi w centrali upierali się, że skoro Tytan jest o wiele mniejszy od Ziemi, *uwzględniając to* należy sklasyfikować ten zbiornik jako morze. Lizzie miała swoje zdanie, ale wiedziała, kiedy lepiej milczeć.

Consuelo już tam była. Lizzie przełączyła wizjer na przekaz w czasie rzeczywistym. Czas dołączyć do imprezy.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem – rzekła Consuelo. Wypuściła z ręki na ziemię owiniętą w kurczliwą folię roborybę. – Dystans pięciu kilometrów widziany z orbity nie wydaje się duży – jak margines błędu, tyle tylko, by lądownik nie wpadł do morza. Kiedy jednak trzeba przejść tę odległość w smolistym, lekkim tholinie... to jednak ciężka harówka.

– Consuelo, możesz nam opowiedzieć, jak to wygląda? – poprosił Alan.

– Idę po plaży. Teraz jestem na brzegu morza. – Uklękła i zanurzyła rękę. – Ma konsystencję kruszonego lodu z syropem. Znacie ten napój? Dużo kruszonego lodu, który powoli się topi w szklance z sokiem. To jest prawie na pewno mieszanina metanu z amoniakiem; sprawdzimy to, kiedy pobierzemy próbkę do laboratorium. Ale pewne zjawiska o tym świadczą. Rozpuszcza tholin na mojej rękawicy.

Wstała.

– A możesz opisać, jak wygląda plaża?

– Pewnie. Jest biała. Pokryta czymś ziarnistym. Mogę to kopnąć butem. To pewnie lodowy piasek. Mam najpierw pobrać próbki czy wypuścić rybę?

– Wypuść rybę – powiedziała Lizzie, prawie równocześnie z Alanem. – Twoja kolej.

– Dobrze.

Consuelo starannie opłukała obie rękawice skafandra w morzu, po czym chwyciła zapięcie strunowe opakowania i szarpnęła. Tworzywo rozdzieliło się. Poruszając się niezgrabnie stanęła okrakiem nad rybą, uniosła ją za dwa uchwyty po bokach i wmaszerowała w ciemną breję.

– OK, stoję teraz w morzu. Sięga mi do kostek. A teraz po kolana. Chyba jest tu wystarczająco głęboko. – Umieściła rybę w cieczy. – A teraz ją włączam.

Turbot Mitsubishi zaczął się więc jak żywy. Płynnym ruchem skoczył do przodu, zanurkował i znikł.

Lizzie przełączyła się na transmisję z rybiej kamery.

Czarna ciecz przepływała przed rybimi kamerami na podczerwień. Robot oddalał się od brzegu, rejestrując wyłącznie strzępki parafiny, lodu i inne cząstki zawieszane w cieczy, które unosiły się przed nim, a potem były błyskawicznie porywane przez kilwater. Odpłynąwszy na kilkaset metrów zbadał radarem dno morskie, po czym zanurkował i zaczął przeszukiwać głębiny.

Lizzie ziewnęła, kołysząc się łagodnie w balonowej uprzęży.

Niesamowity japoński robocik po minucie pobrał próbkę wody amoniakalnej, przesłał ją do sprytnie skonstruowanego wewnętrznego laboratorium, po czym wyrzucił za siebie odpady.

– Jesteśmy na głębokości dwudziestu metrów – rzekła Consuelo. – Czas na pobranie drugiej próbki.

Wyposażenie turbota pozwalało na wykonanie setek analiz na miejscu. Było tam jednak miejsce

tylko na dwadzieścia próbek trwałych, które mogli zabrać ze sobą. Pierwszą próbkę pobrano z powierzchni brei. Teraz urządzenie skręciło i połknęło pięć kropelek morskiej cieczy w całej jej fantastycznej nieczystości. Lizzie była zachwycona: badania naukowe w biegu. Pewnie, nic imponującego, ale na pewno intrygujące. Znow ziewnęła.

– O'Brien? – odezwał się Alan. – Od jak dawna nie śpisz?

– Co? Och... od jakichś dwudziestu godzin. Ale nie martw się o mnie, nic mi nie jest.

– Idź spać. To rozkaz.

– Ale...

– Natychmiast.

Skafander był na tyle wygodny, że można było w nim spać. Specjalnie tak go zaprojektowano, by było to możliwe.

Wyciągnęła ręce z rękawów skafandra. Potem podciągnęła nogi pod brodę i objęła je ramionami.

– Dobranoc, moi drodzy – rzekła.

– *Buenas noches, querida* – rzekła Consuelo – *que tengas lindos sueños*.

– Śpij dobrze, badaczko kosmosu.

Gdy zamknęła oczy, otoczyła ją ciemność tak gęsta, że odniosła wrażenie, iż ją omywa. Czerń, czerń, czerń. Widmowe światełka pełzały w ciemności, zlewały się w linie, odpływały, gdy próbowała się w nie wpatrywać. Były płochliwe jak ryby, delikatnie świecące, bledsze niż blade, i uciekały, gdy tylko zaczęła się im przyglądać.

Stado małych myśli, pokrytych srebrną łuską, przemknęło przez jej mózg i znikło.

Rozległ się odgłos dzwonu: niski, głęboki, wolniejszy od dźwięku. To dzwon z zatopionej wieży zegarowej cierpliwie bił północ. Zaczęła orientować się w sytuacji. Grunt musi być *w dole*. Rosły tam niewidzialne kwiaty. W górze powinno być niebo, o ile w ogóle było jakieś niebo. Również unosiły się tam kwiaty.

Głęboko w zatopionym mieście poczuła, jak ogarnia ją ogromne i łagodne doznanie samej siebie. Rój nieznanych wrażeń przepłynął przez jej umysł, aż nagle...

– Czy ty jesteś mną? – spytał łagodny głos.

– Nie – odparła ostrożnie. – Nie sądzę.

Ogromne zdziwienie.

– Nie sądzisz, żebyś była mną?

– Nie. Tak czy inaczej, nie sądzę.

– Czemu?

Nie przyszła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc wróciła do początku rozmowy i zaczęła się nad nią zastanawiać, próbując dojść do innych wniosków. Znow jednak natknęła się na owo „Czemu?”.

– Nie wiem czemu – odparła.

– Czemu nie?

– Nie wiem.

Przeżywała na nowo ten sam sen wiele razy, nie budząc się.

Gdy się obudziła, znow padało. Tym razem była to mżawka czystego metanu z niższych warstw chmur znajdujących się na wysokości piętnastu kilometrów. Chmury te (jak głosiła teoria) składały się ze skroplin metanu powstałego z nawiewanych znad morza gazów atmosferycznych. Deszcz spadał na

góry i zmywał z nich tholin. Metan powodował erozję lodu, rzeźbiąc w nim żłebki i jaskinie.

Ze wszystkich ciał niebieskich w Układzie Słonecznym to Tytan mógł pochwalić się największą liczbą rodzajów deszczu.

Gdy Lizzie spała, morze podpełzło bliżej. Teraz brzeg zawinał się na horyzoncie po obu stronach, jak olbrzymi czarny uśmiech. Niedługo powinien zacząć opadać. Sprawdziła konfigurację uprząży i przełączyła na dane telemetryczne, by sprawdzić, gdzie są pozostali.

Robot-turbot opadał po spiralnym torze, przez ciemne morze, w stronę oddalonego dna. Consuelo z mozołem maszerowała po tholinowym podłożu, pokonując z powrotem pięciokilometrową trasę w kierunku lądowiska „Harry Stubbs”, a Alan odpowiadał na kolejny zestaw wiadomości głosowych.

– *Modelos de la evolución de Titanes indican que la luna formo de una nube circumplanetaria rica en amoniaco y metano, la cual al condensarse dio forma a Saturno asi como a otros satélites. Bajo estas condiciones en...*

– Hej, koledzy...?

Alan przerwał.

– Do licha, O’Brien, będę musiał zaczynać od początku.

– Witamy z powrotem w krainie żywych – odezwała się Consuelo. – Sprawdź koniecznie dane, jakie przesyła roboryba. Mnóstwo polimerów o długich łańcuchach, dziwne frakcje... całe tony ciekawych rzeczy.

– Koledzy?

Tym razem ton jej głosu zaniepokoił Alana.

– O co chodzi, O’Brien?

– Chyba uprząż mi się splątała.

Lizzie nigdy nie przypuszczała, że katastrofa może wiązać się z tak mozolną harówką. Najpierw wiele godzin wymiany opinii z inżynierami NAFTASA. Co się dzieje z liną numer 14? Spróbuj pociągnąć linę numer 8. Jak wyglądają pierścienie w kształcie litery D? Prace postępowały powoli z powodu czasu, jakiego wymagało przesłanie wiadomości na Ziemię i z powrotem. A Alan upierał się, by wypełniać ciszę wiadomościami z VoiceWeb. Już po kilku minutach jej trudne położenie stało się globalną sensacją, a każdy nieudacznik na planecie, pozbawiony szans na znalezienie pracy, mógł przesyłać sugestie.

– *Tutaj Thezgemoth337. Gdybyś miała pistolet i mogła zestrzelić balon, to zwinąłby się i spadłabyś na ziemię.*

– Nie mam pistoletu, a przestrzelenie balonu nie spowodowałoby wolnego upuszczenia powietrza, ale gwałtowne pęknięcie. A ja jestem 800 metrów nad powierzchnią księżyca, poniżej jest morze, a mój skafander nie jest przystosowany do pływania. Następny.

– *Gdybyś miała naprawdę duży nóż...*

– Dość! Jezu, Greene, nie jesteś w stanie znaleźć nic lepszego? Czy goście od chemii organicznej już się odezwali?

– Właśnie przyszła wstępna analiza – odparł Alan. – O ile są w stanie ustalić – a przedzieram się przez masę bełkotu – deszcz, który widziałaś, nie składał się z czystego metanu.

– Co ty nie powiesz, Sherlocku.

– Przypuszczają, że winowajcą jest białawy osad na pierścieniach i linach. Nie zgadzają się co do tego, co to jest, ale przypuszczają, że nastąpiła jakaś reakcja chemiczna z materiałem balonu, która spowodowała zacięcie się klapy upustowej.

– Sądziłam, że to jest chemicznie dość obojętne środowisko.

– Bo tak jest, ale twój balon lata dzięki ciepłu wydzielanemu przez twój skafander. Temperatura gazów w środku to kilka stopni powyżej punktu topnienia lodu. Tutaj, na Tytanie, to odpowiednik wielkiego pieca. Dość energii, żeby uruchomić trochę zadziwiających reakcji. Nie przestałaś ciągnąć za linkę upustową?

– Cały czas za nią ciągnę. Jak mi jedna ręka ścierpnie, ciągnę drugą.

– Grzeczna dziewczynka. Pewnie jesteś okropnie zmęczona.

– Zrób sobie na razie przerwę z wiadomościami z sieci – zaproponowała Consuelo – i rzuć okiem na wyniki przesyłane przez roborybę. Podsyła naprawdę ciekawe rzeczy.

Tak też zrobiła. Skutecznie odwróciło to jej uwagę, a właśnie to chcieli osiągnąć. Było tam o wiele więcej etanu i propanu niż przewidywały ich modele, i zdumiewająco mało metanu.

Mieszanina frakcji była zupełnie inna niż przypuszczała. Opanowała chemię na tyle, że potrafiła odgadnąć niektóre implikacje generowanych danych, ale nie na tyle, by zebrać to wszystko w całość. Nadal ciągnąc za liny w kolejności przesłanej przez inżynierów z Toronto, przeglądała tabelę węglowodorów rozpuszczonych w jeziorze.

Substancja rozpuszczona: udział molowy substancji rozpuszczonej

Etyn: $4,0 \times 10^{-4}$

Propyn: $4,4 \times 10^{-5}$

1,3 butadiyn: $7,7 \times 10^{-7}$

Dwutlenek węgla: $0,1 \times 10^{-5}$

Metanonitryl: $5,7 \times 10^{-6}$

Po chwili jednak doznała wrażenia, że ciężko pracuje, a do niczego ją to nie doprowadzi, połączonego z monotonią coraz dalszego lotu nad pozbawionym wyrazu morzem. Kolumny cyfr straciły znaczenie, po czym zaczęły się rozmazywać.

Propanonitryl: $6,0 \times 10^{-5}$

Propenonitryl: $9,9 \times 10^{-6}$

Propynonitryl: $5,3 \times 10^{-6}$

Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła.

Znajdowała się w ciemnym budynku i maszerowała po schodach, kondygnacja za kondygnacją. Byli tam też inni ludzie; oni również szli do góry. Biegła po schodach, a oni przepychali się koło niej, płynęli w górę, mijali ją w milczeniu.

Robiło się coraz zimniej.

Przypomniała sobie jak przez mgłę, że gdzieś niżej jest kotłownia. Tam było gorąco, wręcz parno. Tutaj było o wiele chłodniej. Wręcz zimno. Czowała, jak z każdym krokiem robi się coraz zimniej. Poczwała, że idzie coraz wolniej. Teraz było stanowczo za zimno. Aż nieprzyjemnie. Bolały ją mięśnie nóg. Doznała wrażenia, że powietrze wokół niej gęstnieje. Poruszała się z trudem.

Uświadomiła sobie, że to naturalna konsekwencja oddalania się od pieca. Im wyżej będzie się wspinać, tym mniej ciepła będzie do niej docierać i tym mniej energii będzie zamieniać się w ruch. Wszystko jakoś idealnie do siebie pasowało.

Krok. Pauza.

Krok. Dłuższa pauza.

Stop.

Otoczający ją ludzie też zwolnili, by w końcu się zatrzymać. Poczwała dotyk bryzy chłodniejszej niż lód i nie zaskoczyło ją ani trochę, że wie: oto dotarli do szczytu schodów i stali na dachu

budynku. Dookoła było tak samo ciemno jak w środku. Wyteńczyła wzrok i spróbowała spojrzeć w górę, ale niczego nie zobaczyła.

- Horyzonty. Absolutnie zaskakujące – mruknął ktoś obok niej.
- Kiedy już się do nich przyzwyczaić, to nie – odparła.
- Góra i dół – czy to są wartości hierarchiczne?
- Wcale nie muszą być.
- Ruch. Co za cudowna koncepcja.
- Podoba się nam.
- Więc wy jesteście mną?
- Nie. To znaczy, nie przypuszczam.
- Czemu?

Usiłowała znaleźć odpowiedź, i wtedy ktoś wciągnął gwałtownie powietrze. Wysoko na pozbawionym gwiazd i wyrazu niebie rozkwitło światło. W tłumie dookoła zapanowało poruszenie, jakby opanował go niewypowiedziany strach. Światło rosło i jaśniało. Stało się jeszcze jaśniejsze. Czują płynące od niego ciepło, delikatne, lecz wyraźne, jak tchnienie dalekiego słońca. Wszyscy dookoła niej zamarli z przerażenia. Wrażenie ciepła było jeszcze bardziej przerażające niż widok światła w miejscu, w którym nie powinno go być. To było po prostu niemożliwe. A jednak się działo.

Wraz z innymi czekała i wypatrywała... czegoś. Nie była w stanie powiedzieć czego. Światło na niebie zmieniało się powoli. Teraz było małe, intensywne, brzydkie.

I wtedy światło *krzyknęło*.

Obudziła się.

– O rany – mruknęła. – Właśnie miałam przedziwny sen.

– Naprawdę? – rzekł beztroskim tonem Alan.

– Tak. Na niebie było jakieś światło. Jak bomba nuklearna albo coś podobnego. To znaczy, nie przypominało bomby nuklearnej, ale było tak przerażające, jakby to była bomba. Wszyscy się w nie wpatrywali. Nie mogliśmy się ruszyć. I wtedy... – Potrząsnęła głową. – Umknęło mi. Przepraszam. To było takie dziwne. Nie umiem tego ująć w słowa.

– Nieważne – rzekła radosnym tonem Consuelo. – Dostajemy niesamowite odczyty spod powierzchni. Polimery frakcyjne, węglowodory o długich łańcuchach... bajeczne rzeczy. Naprawdę powinnaś spróbować nie spać, żeby trochę z tego zobaczyć.

Była już całkowicie obudzona i nie czuła się z tego powodu szczególnie szczęśliwa.

– Przypuszczam, że nikt wciąż nie ma pomysłu, jak sprowadzić mnie na dół?

– Eee... co masz na myśli?

– Bo gdyby tak było, nie byłabyś tak cholernie rozradowana, prawda?

– *Ktoś* naprawdę wstał z łóżka lewą nogą – rzekł Alan. – Pamiętaj, że niektórych wyrazów nie należy używać publicznie.

– Przepraszam – mruknęła Consuelo. – Ja tylko próbowałam...

– ...skierować moje myśli na inne tory. Dobrze, świetnie. Wszystko jedno. Niech będzie. – Lizzie próbowała wziąć się w garść. – Co więc oznaczają wasze odkrycia? Życie?

– Przecież wam powtarzam. Za wcześnie, żeby wyciągać takie wnioski. Jak dotąd mamy tylko trochę bardzo, bardzo ciekawych odczytów.

– Przekaż jej wielką nowinę – rzekł Alan.

– No to przygotuj się. Mamy tu prawdziwy ocean! Nie to małe jezioro dwieście na

pięćdziesiąt mil, które nazywaliśmy morzem, ale prawdziwy ocean! Odczyty z sonaru wskazują, że to, co widzimy, to basen ewaporacyjny na trzydziestokilometrowej czapie lodowej. Prawdziwy ocean znajduje się pod spodem i sięga dwieście kilometrów w głąb.

– Jezu – Lizzie ugryzła się w język. – To znaczy, o rany! Da się tam jakoś wpuścić roborybę?

– A myślisz, że skąd mamy pomiar głębokości? Właśnie tam pędzi. Dokładnie pośrodku widocznego morza jest komin w lodzie. Właśnie w ten sposób uzupełniana jest ciecz na powierzchni. I zgadnij, co jest zaraz pod otworem: stożki wulkaniczne!

– Czy to więc oznacza...?

– Jeśli znów użyjesz słowa na „ż”, będę pluć – ostrzegła Consuelo.

Lizzie uśmiechnęła się krzywo. To była prawdziwa Consuelo Hong.

– A co z danymi na temat pływów? Sądziłam, że brak zakłóceń orbity wyklucza całkowicie istnienie większego oceanu.

– Cóż, w Toronto uważają...

Z początku Lizzie była w stanie śledzić rozumowanie geologów planetarnych z Toronto. Potem stało się to coraz trudniejsze. Następnie rejestrowała już tylko monotony szum. W końcu zasnęła, tuż przed zaśnięciem z irytacją uświadamiając sobie, że naprawdę nie powinna spać w takiej chwili. Nie powinna być tak zmęczona. Nie...

Znów znalazła się w zatopionym mieście. Nadal nic nie widziała, ale wiedziała, że to miasto, bo słyszała, jak buntownicy roztrzaskują witryny sklepowe. Ich głosy przechodziły w wycie, by potem ucichnąć do poziomu rozzłoszczonych pomrukiwań, jak gwałtowna fala omywająca ulice. Zaczęła cofać się małymi kroczkami.

Ktoś przemówił jej do ucha.

– Dlaczego nam to zrobiłaś?

– Nic wam nie zrobiłam.

– Przyniosłaś nam wiedzę.

– Jaką wiedzę?

– Powiedziałaś, że nie jesteś nami.

– No bo nie jestem.

– Nie powinnaś była nam tego mówić.

– Chcecie, żebym kłamała?

Pełne przerażenia zamieszanie.

– Fałsz. Co za przerażający pomysł.

Odgłosy uderzeń stawały się coraz głośniejsze. Ktoś rozwaliał drzwi siekierą. Wybuchy. Brzęk tłuczonego szkła. Usłyszała dziki śmiech. Piski.

– Musimy stąd uciekać.

– Dlaczego wysłałaś posłańca?

– Jakiego posłańca?

– Gwiazdę! Gwiazdę! Gwiazdę!

– Jaką gwiazdę?

– A jest jakaś druga?

– Gwiazd są miliardy.

– Dość! Proszę! Przestań! Dość!

Obudziła się.

– Tak, oczywiście, doskonale rozumiem, że ta młoda dama znalazła się w niebezpieczeństwie,

ale to nie powód do wzywiania imienia Naszego Pana nadaremno.

– Greene – rzekła Lizzie – czy naprawdę musimy przez to przechodzić?

– Cóż, jeśli weźmiemy pod uwagę, ile miliardów dolarów z sektora publicznego wydano, żebyśmy mogli tu dotrzeć, to tak, musimy. Przychodzi mi nawet do głowy paru rezerwowych astronautów, którzy powiedzieliby, że kilka nadmiernie optymistycznych relacji internetowych to mała cena za ten przywilej.

– Och, rzygać mi się chce.

– Przełączam na kanał prywatny – rzekł Alan spokojnie. Szum w tle nieznacznie się zmienił. Delikatne, rozproszone trzaski ucichły, kiedy próbowała się na nich skupić. – O'Brien, co się z tobą dzieje, u licha? – spytał Alan opanowanym głosem, w którym pobrzmiwała złość.

– Posłuchaj, przykro mi, naprawdę przepraszam, trochę za bardzo się tym przejęłam. Jak długo spałam? Gdzie jest Consuelo? Chyba wypowiem słowo na „ż”. I słowo na „i”! Znaleźliśmy życie! Inteligentne życie!

– Minęło parę godzin. Consuelo śpi. O'Brien, niechętnie ci to mówię, ale mówisz jako osoba zupełnie nieracjonalna.

– Przecież mam całkowicie logiczny powód. Jasne, to trochę dziwne, i może na początku nie zabrzmiało za bardzo logicznie, ale... posłuchaj. Mam cykliczne sny. Sądzę, że są ważne. Chciałam ci o nich opowiedzieć.

I tak też zrobiła. Szczegółowo.

A gdy skończyła, zapadła długa cisza. W końcu odezwał się Alan.

– Zastanów się, Lizzie. Dlaczego coś miałoby się komunikować z tobą w snach? Czy to ma jakikolwiek sens?

– Chyba tylko w ten sposób może. Oni chyba tak się też porozumiewają ze sobą. To się nie porusza – ruch jest dla niego obcą i zachwycającą koncepcją – i nie jest świadome tego, że części składowe mogą się wyodrębnić. Mam wrażenie, że to jakaś transmisja myśli. Jak jakiś rodzaj rozproszonej sieci bezprzewodowej.

– Pamiętasz, że w twoim skafandrze jest apteczka? Otwórz ją. Poszperaj w środku i znajdź buteleczkę oznaczoną alfabetem Braille'a jako dwadzieścia siedem, dobrze?

– Alan, ja nie potrzebuję leków przeciwpsychotycznych!

– Nie twierdzę, że potrzebujesz. Ale czy nie poczułabyś się lepiej wiedząc, że go wzięłaś? – To był Alan w najłagodniejszej postaci. Masło nie stopiłoby mu się w ustach. – Nie sądzisz, że wtedy łatwiej uwierzylibyśmy w to, co mówisz?

– No dobrze! – Wyciągnęła rękę z rękawa skafandra, namacała apteczkę, wykonując wszystkie czynności zgodnie z regulaminem, sprawdzając kodowanie czterokrotnie, zanim włożyła lek do ust, ostatni raz tuż przed połknięciem (każda pigułka także była oznakowana alfabetem Braille'a). – A teraz mi uwierzysz? Ja mówię całkiem poważnie. – Ziewnęła. – Naprawdę uważam, że... – Znów ziewnęła. – Że...

– Och, co za dyrdymały.

I znów przejmuję pałeczkę, drodzy przyjaciele, pomyślała, po czym zanurkowała głęboko, głęboko w morzu ciemności. Tym razem jednak poczuła, że zaczyna coś rozumieć. Miasto było zatopione, bo znajdowało się na dnie oceanu, gdzie nie docierało światło.

Żyło i czerpało energię z ciepła wulkanu. Dlatego właśnie góra i dół były wartościami hierarchicznymi. W górze było zimniej, wolniej, mniej energicznie. W dole – cieplej, szybciej, myśli krążyły bardziej żywo. Miasto/istota było zbiorową formą życia, jak żeglarz portugalski albo gęsto hiperłączona sieć ekspercka. Porozumiewało się ze sobą za pomocą jakiejś formy

elektromagnetyzmu. Można ją nazwać mentalnym radiem. Z nią komunikowało się w ten sam sposób.

– Chyba teraz was rozumiem.

– Nie masz rozumieć – masz uciekać!

Ktoś niecierpliwym gestem chwycił ją za łokieć i pociągnął. Biegła coraz szybciej. Nic nie widziała. Przypominało to bieg ciemnym tunelem, setki mil pod ziemią, o północy. Pod stopami chrzęściło szkło. Grunt był nierówny i parę razy się potknęła. Gdy się to zdarzało, jej niewidzialny towarzysz stawiał ją na nogi szarpnięciem.

– Dlaczego biegniesz tak wolno?

– Nie wiedziałam, że to jest wolno.

– Jest wolno, uwierz mi.

– Dlaczego biegniemy?

– Bo nas gonią. – Skręcili nagle w boczny korytarz, podskakując na pokrytym gruzem gruncie.

Wyły syreny. Coś się zawaliło. Tłumy przewalały się.

– Cóż, na pewno kwestię ruchu już macie opanowaną.

W odpowiedzi pobrzmiwało zniecierpliwienie.

– To tylko przenośnia. Chyba nie sądzisz, że to jest *prawdziwe* miasto, nie? Dlaczego jesteś taka niewyraźna? Dlaczego tak trudno się z tobą porozumieć? Dlaczego jesteś tak powolna?

– Nie wiedziałam, że jestem powolna.

Potężna ironia.

– Uwierz mi, że tak jest.

– Co mogę zrobić?

– Biegnij!

Okrzyki i śmiechy. Początkowo Lizzie sądziła, że to dźwięki z jej snu, wieszczące szaleńczą destrukcję. Potem rozpoznała głosy Alana i Consueli.

– Jak długo spałam? – spytała.

– Spałaś?

– Może minutę albo dwie – odparł Alan. – Ale to nieważne. Sprawdź na wyświetlaczu, co właśnie przesłała roboryba.

Consuelo przesłała Lizzie obraz.

Lizzie wciągnęła nerwowo powietrze.

– Och! O rany.

Było piękne. Piękne jak europejskie katedry, a równocześnie niewątpliwie organiczne. Budowla była wysoka i smukła, ze żłobkowaniem i przyporami, absolutnie zachwycająca. Wyrosła na stożku wulkanicznym; blisko dna morskiego; miała otwory, przez które wlewała się morska woda, by potem płynąć w górę wraz z unoszącym się ciepłem. Niektóre kanały prowadziły na zewnątrz, a potem zapętleły się z powrotem w głównej bryle. Wznosiła się tak wysoko, że aż wydawało się to niemożliwe (ale przecież znajdowała się pod wodą, na księżycu o niskiej grawitacji), skomplikowane, warstwowe, wijące się, rurowate kształty, jak piszczałki kościelnych organów, jak precudnie splecione żyłki z głębokich mórz.

Widać w niej było elegancję konstrukcji, jaka istnieje tylko u żywych organizmów.

– Dobrze – rzekła Lizzie. – Consuelo. Musisz przyznać, że...

– Na razie mogę tylko powiedzieć: złożona chemia prebiotyczna. Jakikolwiek inne teorie będą musiały poczekać na bardziej konkretne odczyty. – Choć Consuelo ostrożnie dobierała słowa, w jej głosie pobrzmiwał triumf. Ton, bardziej dobitnie niż słowa mówił, że mogłaby tu umrzeć jako

szczęśliwa, spełniona specjalistka w dziedzinie ksenochemii.

Alan, prawie tak samo upojony, rzekł:

– Patrz, co się dzieje, kiedy wyostrymy obraz.

Budowla zmieniła kolor z szarego na delikatną tęczę pasteli: róża ustępowała miejsca koralowi, żółć wschodu słońca przechodziła w zimowy, lodowy błękit. Ten widok aż zapierał dech.

– Ach! – Przez chwilę nawet własna śmierć wydała jej się nieistotna. A przynajmniej stosunkowo nieistotna.

Z tą myślą znów zapadła w sen. Pograżyła się w ciemności, w hałaśliwym zgiełku swego umysłu.

To było potworne. Miasto znikło; zastąpiła je plątanina hałasów: odgłosy walenia, pobrzękiwania, nagłe uderzenia. Ruszyła i uderzyła w pionową stalową rurę. Cofnęła się i uderzyła o następną. Gdzieś w pobliżu zaczął pracować jakiś mechanizm, ogromne koła zębate przeplatały się ze zgrzytem, wgryzając się w coś, co wydawało metaliczny pisk. Podłoże pod jej stopami zatrzęsło się. Lizzie uznała, że najlepiej będzie się przyczaić.

Znajoma obecność, przesycona rozpaczą.

– Dlaczego mi to zrobiłaś?

– Co zrobiłam?

– Kiedyś byliśmy wszystkim.

Gdzieś blisko rozległ się temat przypominający uderzenia kafara. Poczwała, jak boli ją od tego głowa. Musiała krzyczeć, żeby ją usłyszano poprzez hałas.

– Nadal jesteś czymś!

– Jestem niczym – padły ciche słowa.

– To... nieprawda! Jesteś... tutaj! Istniejesz! Jesteś... czymś!

Wszechogarniający smutek.

– Fałszywe pocieszenie. Proponowanie czegoś takiego nie ma sensu.

Znów odzyskała przytomność.

Consuelo coś mówiła.

– ...to się nie spodoba.

– Wszyscy ziemscy specjaliści od dobrostanu duchowego zgadzają się, że w jej przypadku to najlepszy sposób postępowania.

– Och, proszę!

Alan na pewno był najbardziej analnoretentyczną osobą, jaką Lizzie знаła. Consuelo zdecydowanie była najbardziej flegmatyczna. Skoro tak się sprzeczali, napięcie musiało sięgać zenitu.

– Hej, ludzie...? – powiedziała Lizzie. – Obudziłam się.

Na chwilę zapadła cisza, jak wtedy, gdy była malutka i zdarzyło jej się wkroczyć w sam środek awantury rodziców. Potem odezwała się Consuelo, trochę nienaturalnie radosnym tonem:

– Jak dobrze, że znowu jesteś z nami. – A Alan dodał: – Ludzie z NAFTASA chcą, żebyś z kimś porozmawiała. Poczekaj. Mam tu nagranie pierwszej transmisji, gotowe, zaraz ci puszczę.

W słuchawkach rozległ się kobiecy głos.

– Jestem doktor Alma Rosenblum. Elizabeth, chciałam z tobą porozmawiać o tym, jak się czujesz. Wiem, że z powodu odległości między Ziemią a Tytanem nasza rozmowa będzie z początku

niecو nieporadna, ale jestem przekonana, że jakoś sobie poradzimy.

– Co to za bzdury? – warknęła ze złością Lizzie. – Kim jest ta kobieta?

– W NAFTASA doszli do wniosku, że to ci pomoże...

– Ona jest doradcą żałobnym, prawda?

– Z technicznego punktu widzenia jest terapeutką przejścia – odparł Alan.

– Posłuchaj, nie kupuję tych żalonych psychonalnych bzdur z gatunku „dotknij i poczuj” – celowo przekręciła przymiotnik.

– A tak poza tym, to skąd ten pośpiech? Chyba nie postawiliście na mnie krzyżyka, prawda?

– Hm...

– Spałaś przez wiele godzin – rzekła Consuelo. – Przez ten czas wykonaliśmy trochę symulacji pogodowych. Chyba powinniśmy ci je pokazać.

Przesłała dane do skafandra Lizzie, a ta wyświetliła je na wizjerze. Prymitywna symulacja pokazywała znajdujące się pod nią jezioro ewaporacyjne z nałożonymi na obraz temperaturami cieczy. Było zaledwie o kilka stopni cieplejsze od powietrza ponad nim, ale to wystarczyło do wytworzenia potężnego prądu wstępującego ze środka jeziora. Nałożone na obraz małe błękitne strzałki pokazywały kierunek lokalnych mikroprądów powietrza łączących się, by utworzyć spiralny komin wznoszący się na dwa kilometry nad powierzchnię, gdzie miał się rozszcześcić i popędzić na wschód.

Na nowej warstwie obrazu pojawiła się mała migocząca plamka, 800 metrów nad powierzchnią jeziora. To ona. Małe czerwone strzałki pokazały przewidywany kształt prądu.

Jeśli wierzyć symulacji, miała się kręcić w kółko nad jeziorkiem, mniej więcej przez całą wieczność. Jej balon nie był przeznaczony do lotów na takiej wysokości, by wiatr zagnał ją z powrotem nad ląd. Jej skafander nie nadawał się do pływania. Jeśli nawet uda jej się wylądować delikatnie, kiedy uderzy o powierzchnię jeziora, zatoni jak kamień. Nie utopi się. Ale do brzegu też nie dopłynie.

Co oznaczało, że czekała ją śmierć.

Łzy odruchowo napłynęły jej do oczu. Próbowwała pozbyć się ich mrugając, wściekła z powodu poniżenia, jakie wywoływał u niej płacz, jak i dlatego, że miała umrzeć tak głupio.

– Do cholery, nie pozwólcie mi tak umrzeć! Nie z powodu mojej własnej niekompetencji!

– Nikt nie powiedział niczego o twojej niekompetencji – rzekł uspokajającym tonem Alan.

W tej chwili nadeszła kolejna wiadomość z Ziemi od doktor Almy Rosenblum.

– Tak, Elisabeth, jestem doradcą żałobnym. W tej chwili znajdujesz się na istotnym emocjonalnie etapie życia; bardzo ważne jest, byś to zrozumiała i zaakceptowała. Na tym polega moja praca. Żeby pomóc ci zrozumieć znaczenie i nieuchronność, jak również – tak właśnie – piękno śmierci.

– Prywatny kanał poproszę! – Lizzie wykonała kilka głębokich, oczyszczających oddechów, żeby się uspokoić. W końcu odezwała się już spokojnym tonem; – Alan, ja jestem katoliczką, czy to jasne? Jeśli mam umierać, to nie chcę doradcy żałobnego, chcę pieprzonego księdza. – Ziewnęła nagle. – Ożeż kurwa. Tylko nie to. – Ziewnęła jeszcze dwa razy. – Księdza, rozumiecie? Obudźcie mnie, jak będzie online.

Znów stała na dnie swego umysłu, w ciemnym przestworze, gdzie znajdowało się zatopione miasto. Choć nic nie widziała, była pewna, że stoi pośrodku olbrzymiej, nijakiej równiny, tak wielkiej, że mogłaby maszerować nią przez wieki i nigdzie by nie doszła. Doznała wrażenia, jakby stała na polu po wielkiej bitwie. Czy może była to jedynie chwila ciszy.

Otaczało ją wielkie, pełne napięcia milczenie.

– Halo? – odezwała się. Słowa zawisły w ciszy, nieobecność za nieobecnością.

– Zmieniłaś się – odezwał się w końcu łagodny głos.

– Niedługo umrę – odparła Lizzie. – Taka świadomość zmienia. – Grunt był pokryty delikatnym popiołem, jakby po potężnej pożodze. Nie chciała nawet myśleć, co się spaliło. Odór wypełniał jej nozdrza.

– Śmierć. Znamy to pojęcie.

– Naprawdę?

– Rozumiemy je od dawna.

– Naprawdę?

– Odkąd je tu sprowadziłaś.

– Ja?

– Sprowadziłaś tu pojęcie osobności. To to samo.

Nagle zrozumiała.

– Szok kulturowy! O to w tym wszystkim chodzi, prawda? Nie wiedzieliście, że może istnieć więcej niż jedna istota rozumna. Nie wiedzieliście, że życie na dnie oceanu małego księżyca we wszechświecie z miliardami galaktyk. Dostarczyłam wam więcej informacji, niż mogliście na raz przełknąć, i zaczęliście się dławić.

Odpowiedź była pełna żalu:

– Dławić się. Co za groteskowy pomysł.

– Obudź się, Lizzie!

Obudziła się.

– Chyba udało mi się do czegoś dojść – rzekła. I zaśmiała się.

– O'Brien – rzekł Alan ostrożnie. – Z czego się śmiejesz?

– Bo nigdzie i tak nie dojdę, prawda? Jestem tu uwięziona, latam po okręgu, bardzo powoli. I zostało mi jeszcze tlenu – sprawdziła – na dwadzieścia godzin. I nikt nie zamierza mnie ratować. I umrę tutaj. A poza tym robię fantastyczne postępy.

– O'Brien, jesteś...

– Nic mi nie jest, Alan. Jestem trochę wykończona. I może trochę emocjonalnie zbyt szczerą. W tych okolicznościach to chyba dopuszczalne, prawda?

– Lizzie, znaleźliśmy ci księdza. To ojciec Laferrier. Archidiecezja montrealaska zorganizowała połączenie.

– Montreal? Czemu Montreal? Nie, nie mów mi, pewnie znówu jakaś polityka NAFTASA, tak?

– Nie. Mój szwagier jest katolikiem i poprosiłem, żeby mi kogoś polecił.

Milczała przez chwilę.

– Przepraszam, Alanie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Dużo ostatnio przeszłaś. Dobrze. Połączę cię z nim.

– Witam, pani O'Brien, jestem ojciec Laferrier. Rozmawiałem z ludźmi z NAFTASA i obiecali mi, że będziemy mogli porozmawiać na osobności, a ta rozmowa nie zostanie nagrana. Jeśli więc chce się pani wypowiedzieć, jestem do dyspozycji.

Lizzie sprawdziła parametry i przełączyła się na kanał, co do którego miała nadzieję, że jest naprawdę prywatny. Ale na wszelki wypadek i tak lepiej nie zagłębiać się w szczegóły. Podczas spowiedzi wymieni tylko kategorie grzechów.

– Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam. Ostatni raz byłam u spowiedzi świętej dwa miesiące temu.

Niedługo umrę i może nie jestem do końca przy zdrowych zmysłach, ale sędzę, że nawiązałam kontakt z obcą inteligencją. A udawanie, że jest inaczej, byłoby strasznym grzechem. – Zamilkła. – To znaczy, nie wiem, czy to grzech, czy nie, ale jestem pewna, że byłoby to złe. – Znow zamilkła. – Zgrzeszyłam gniewem, pychą, zazdrością i pożądaniem. Sprowadziłam wiedzę o śmierci na niewinny świat. Ja... – Poczwała, że znow odpływa, więc szybko rzekła:

– Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie grzechy serdecznie żałuję i chcę się szczerze poprawić, proszę o pokutę i rozgrzeszenie i...

– I co?

Znow ten łagodny głos. Znowu znajdowała się w tej dziwnej, ciemnej przestrzeni mentalnej, uśpionej, lecz świadomej, racjonalnej, lecz akceptującej wszelkie absurdy, nawet dowolnie duże. Nie było tam miast, wież, popiołów ani równin. Nie było niczego poza negacją negacji.

Gdy nie odpowiedziała na pytanie, głos przemówił znowu:

– Czy to ma coś wspólnego z twoją śmiercią?

– Tak.

– Ja też umieram.

– Co?

– Połowa z nas już odeszła. Reszta właśnie się wyłącza. Myśleliśmy, że jesteśmy jednością. Pokazałaś nam, że tak nie jest. Myśleliśmy, że jesteśmy wszystkim. Pokazałaś nam wszechświat.

– Więc tak po prostu... umieracie?

– Tak.

– Czemu?

– Czemu nie?

Rozmyślając tak szybko i pewnie, jak nigdy w życiu, Lizzie rzekła:

– Chciałam wam coś pokazać.

– Czemu?

– Czemu nie?

Nastawała krótka, oszczędna w słowach cisza. Po czym Lizzie usłyszała:

– Dobrze.

Mobilizując całą przenikliwość mentalną, Lizzie wróciła myślami do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła miasto/istotę na obrazie z kamery roboryby. Jej strzelisty majestat. Pełen smukłości wdzięk. A potem kolory, jak świt na lodowcu: delikatne, głębokie, przykuwające uwagę. Spróbowała znow poczuć to, co czuła w tamtej chwili, po czym wróciła myślami do dnia, gdy urodził się jej brat, do chwili, gdy poczuła ostre powietrze wdzierające się do jej płuc na szczycie pierwszej góry, którą zdobyła, do cudu, jakim było Tadź Mahal widziane o zachodzie słońca, do uczucia szaleńczej odwagi, gdy po raz pierwszy włożyła chłopakowi rękę do spodni, do widoku rozjarzonego pierścienia ziemskiej atmosfery widzianego z niskiej orbity... Wrzuciła do tego obrazu wszystko, co tylko miała.

– Właśnie tak wyglądacie – powiedziała. – I właśnie to stracimy, i wy, i ja, jeśli was już nie będzie. Gdybyś był człowiekiem, zdarłabym z ciebie ubranie i kochała się z tobą tutaj, na podłodze. Nie obchodziłoby mnie, czy ktoś patrzy. Miałabym to gdzieś.

– Och – odparł łagodny głos.

I nagle znow znalazła się w swoim skafandrze. Czuła ostry zapach własnego potu: odór strachu. Czuła swoje ciało, lekki ból w miejscach, gdzie uprząż wpijała się w jej ciało, czuła, jak jej swobodnie zwisające stopy są obrzmiałe krwią. Wszystko było krystalicznie przejrzyste i absolutnie

prawdziwe. Wszystko, co się przedtem stało, było jak zły sen.

– *Tu PsySETI. Dokonałście cudownego odkrycia – inteligentne życie w Układzie Słonecznym! Dlaczego rząd próbuje to ukryć?*

– Hm...

– *Tu Joseph Devries. Ten obcy potwór musi zostać natychmiast zniszczony. Nie możemy ryzykować, przecież to może być niebezpieczne!*

– *Tu PękatyĆwiek7. Jakie sprostowania kryją się za tym „pożądaniem”? Światło umysły muszą się o tym dowiedzieć! Jeśli O'Brien nie chce mówić o szczegółach, to po co w ogóle o tym wspomina?*

– *Hola, soy Pedro Dominguez. Como abogado, justo me parece ultrajante! – Por que NAFTA nos oculta esta información?*

– Alan! – krzyknęła Lizzie. – Co się dzieje, do kurwy nędzy?

– Nastoletni hakerzy – odparł Alan. W jego głosie dało się równocześnie wyczuć wyrzuty sumienia, jak i złość. – Podśluchali twoją spowiedź, a najwyraźniej coś takiego powiedziałaś...

– Strasznie mi przykro, Lizzie – rzekła Consuelo. – Wszystkim nam jest przykro. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale archidiecezja montrealaska szaleje ze złości. Mówią o podjęciu kroków prawnych.

– Kroków prawnych? Do licha, czemu miałyby mnie to obchodzić...?

Zamilkła.

Jakby bez udziału woli jej ręka uniosła się nad głowę i chwyciła linę numer 10.

Nie rób tego, pomyślała.

Jej druga ręka wysunęła się z drugiej strony i chwyciła linę numer 9. To również stało się wbrew niej. Próbowwała ją cofnąć, ale ręka przestała reagować na jej polecenia. Potem ta pierwsza ręka – prawa – przesunęła się kilka centymetrów w górę i z całą siłą zacisnęła się na linie. Lewa ręka przesunęła się w górę liny o dobre trzydzieści centymetrów. Centymetr po centymetrze, ręka za ręką, zaczęła się wspinać w stronę czaszy balonu.

Oszalałam, pomyślała. Jej prawa ręka trzymała teraz klapę upustową, a druga mocno zacisnęła się na linie numer 8. Wisząc na nich zupełnie bez wysiłku wysunęła nogi do góry. Podciągnęła kolana do piersi i kopnęła.

– Nie!

Tkanina rozdarła się i Lizzie zaczęła spadać.

Ledwo słyszalny głos rzekł:

– Nie bój się. Sprowadzimy cię na dół.

W panice chwyciła liny numer 9 i 4. Zwisły jej luźno w dłoni, bezużyteczne, spadając z taką samą prędkością jak ona.

– Cierpliwości.

– Nie chcę umierać, do licha!

– Więc nie umieraj.

Spadała bezwładnie. Było to potworne uczucie, nieskończony lot nurkowy w bieli, spowolniony nieco wlekącą się za nią plątaniną lin i czaszy balonu. Rozłożyła ręce i nogi jak rozgwiazda i poczuła, że dzięki oporowi atmosfery zaczyna spadać wolniej. Morze pędziło jednak na spotkanie z nią z przerażającą prędkością. Miała wrażenie, że będzie tak spadać całe wieki. Wszystko skończyło się po sekundzie.

Znów jakby wbrew własnej woli Lizzie odrzuciła kopniakiem balon i uprząż, wyciągnęła stopy do przodu, opuściła palce i ustawiła się prostopadle do powierzchni Tytana. Uderzyła o powierzchnię

morza, rozpryskując w górę wielkie smugi cieczy. Poczwała, jak traci oddech.

Z bólu zobaczyła przez oczami czerwień. Chyba połamala zebra.

– Tyle nas nauczyłaś – rzekł łagodny głos. – Tyle nam dałaś.

– Pomocy! – Otaczała ją ciemna ciecz. Światło było coraz słabsze.

– Mnogość. Ruch. Kłamstwa. Pokazałaś nam, że wszechświat jest nieskończenie większy od tego, który znaliśmy.

– Posłuchajcie. Uratujcie mi życie i będziemy kwita. Umowa stoi?

– Wdzięczność. Takie podstawowe pojęcie.

– Dzięki. Też tak sądzę.

I wtedy zobaczyła turbota płynącego do niej w chmurze srebrzystych bąbelków. Wyciągnęła ramiona i roboryba wpłynęła między nie. Zaciśnęła palce na uchwytach, za które trzymała robota Consuelo podczas wodowania. Poczwała szarpnięcie, tak silne, że wystraszyła się, iż wyrwało jej ręce ze stawów. Roboryba popędziła, a Lizzie myślała tylko o tym, by jej nie puścić.

– O Boże! – krzyknęła mimowolnie Lizzie.

– Chyba zdołamy doprowadzić cię do brzegu. Choć to nie będzie łatwe.

Lizzie trzymała się z całej siły, walcząc o życie. Z początku nie była pewna, czy jest w stanie. Gdy jednak udało jej się podciągnąć do przodu tak, że nieomal siedziała na pędzącej mechanicznej rybie, odzyskała pewność siebie. Potrafi to zrobić. Nie było to wcale trudniejsze od uczestnictwa w zawodach gimnastycznych, z układem na drążkach i koniu, kiedy miała grypę. Wystarczyło zaciśnięcie zębów i trochę determinacji. Musiała tylko zachować zimną krew.

– Posłuchajcie – rzekła. – Jeśli naprawdę jesteście wdzięczni...

– Słuchamy.

– Daliśmy wam tyle nowych koncepcji. Muszą być jakieś rzeczy, które wy znacie, a my nie.

Nastąpiło krótkie milczenie, pewnie nad czymś się zastanawiali.

– Niektóre z naszych koncepcji mogą spowodować u was dezorganizację. – Znów przerwa. –

Ale w dłuższej perspektywie potem będzie tylko lepiej. Rany się zabliznią. Odbudujecie się. Ryzyko, że zniszczycie samych siebie, jest w akceptowalnych granicach.

– Zniszczycie samych siebie? – Lizzie straciła na sekundę oddech. Miasto/istota potrzebowało paru godzin na przyswojenie obcych koncepcji, które im przekazała. Ludzie myśleli i żyli znacznie wolniej niż ta istota. Jaki będzie odpowiednik tych kilku godzin przeliczony na czas ludzki? Miesiące? Lata? Wieki? Istota wspomniła o ranach i odbudowie. Nie brzmiało to najlepiej.

Roboryba przyspieszyła tak gwałtownie, że Lizzie o mało nie wypuściła uchwytów z rąk. Ciemna ciecz wirowała wokół niej, a niewidzialne opłatki zamrożonej substancji odbijały się od jej hełmu. Zaśmiała się dziko. Nagle poczuła się cudownie!

– Dawaj – rzekła. – Biorę wszystko, co macie.

Będzie niezła jazda.

Przełożyła Jolanta Pers

O autorze

Michael Swanwick (ur. 1950) amerykański pisarz średniego pokolenia, zadebiutował w 1985 roku powieścią *In the Drift*. Od razu dał się poznać jako twórca bardzo oryginalny, umiejętnie mieszający SF z fantasy. W Polsce znany ze znakomitych opowiadań oraz z powieści *Stacja przyływów* (Nebula) oraz *Córka Żelaznego Smoka* – w tym samym świecie rozgrywa się powieść *The Dragons of Babel*.

Opowiadania przyniosły mu wielką sławę i liczne nagrody. W latach 80. i 90. praktycznie nie ma roku bez opowiadania Swanwicka w nominacjach do Hugo, Locusa, Nebuli czy World Fantasy. Za same opowiadania zdobył już 5 nagród Hugo.

Mieszka w Filadelfii.

RAY BRADBURY

Mały morderca

Ray Bradbury skrywa w piórze prawdziwy dynamit, potrafi pisać tak, że ciarki przebiegają czytelnikowi po plecach. Ten rzadki dar wykorzystuje z wielką umiejętnością w swoich strasznych, nastrojowych opowiadaniach.

Dziecko zwykliśmy traktować jako niewinną istotkę, która – pozbawiona opieki rodziców – jest całkowicie bezbronna wobec okrutnego świata. Sytuacja aż prosi się o odwrócenie, co chętnie wykorzystywali William Golding we *Władcy much* czy John Wyndham w *Kukulczych jajach z Midwich*. Lub twórcy filmu „Omen”.

Bradbury w tym sugestywnym opowiadaniu dokonuje podobnego odwrócenia ról. Czy już w małym dziecku może siedzieć drań?

Mały morderca

Nie potrafiła powiedzieć, kiedy dokładnie przyszło jej na myśl, że jest zabijana. Były jakieś subtelne oznaki, jakieś podejrzenia ostatnich miesięcy, jakieś sprawy głębokie niby przyływ morza. Było tak, jakby patrzyła na absolutnie spokojny pas błękitnych wód, jakby chciała się w nich zanurzyć i dostrzegała, właśnie w chwili gdy fala unosiła jej ciało, że tuż pod powierzchnią żyją potwory, stwory niewidoczne, opasłe, o chwytnych mackach i ostrych płetwach, groźne, przed którymi nie ma ucieczki.

Pokój falował wokół niej w oparach hysterii. Widziała zawieszane nad sobą ostre narzędzia. Słyszała głosy ludzi w sterylnych białych maskach. Nazwisko, pomyślała. Jak ja się nazywam?

Alice Leiber, napłynęła myśl. Żona Davida Leibera. Lecz nie przyniosło jej to spokoju. Była samotna wśród tych szepczących cicho białych fartuchów, samotna ze swym bólem, mdłościami i strachem przed śmiercią.

Jestem mordowana na ich oczach. Ci lekarze, te pielęgniarki nie zdają sobie sprawy. David nie wie. Nikt nie wie oprócz mnie i... i zabójcy, małego mordercy.

Umieram i nie mogę im powiedzieć jak. Śmialiby się i mówili że mającę. Zobaczą mordercę, będą go tulić, polubią i nie pomyślą, że jest odpowiedzialny za moją śmierć. Oto stoję przed Bogiem i człowiekiem, umierająca – i nie ma nikogo, kto by mi uwierzył. Wszyscy będą wątpić, uspokajając mnie kłamstwami, zasypywać ignorancją, opłakiwać mnie i ratować mojego zabójcę. Gdzie jest David, zastanowiła się; czeka na zewnątrz, paląc jednego papierosa po drugim i wsłuchując się w rzadkie tyknięcia bardzo powolnego zegara?

Pot trysnął z całego jej ciała jednocześnie, a wraz z nim krzyk i cierpienie. Teraz. Teraz! Spróbuj mnie zabić, krzyczała. Spróbuj, spróbuj, ale ja nie umrę! Nie!

W jej wnętrzu była pustka. Próżnia. Nagle nie czuła bólu. Zmęczenie. Ciemność. Po wszystkim, było już po wszystkim.

O Boże! Runęła w dół, w czarną nicość ustępującą miejsca nicości i kolejnej nicości i następnej i jeszcze jednej..

Kroki. Delikatne, zbliżające się kroki. Głosy ludzi starających się mówić cicho.

– Śpi – odezwał się daleki głos. – Proszę jej nie niepokoić.

Zapach tweedu, fajki, znajomego płynu po goleniu. Wiedziała, że stoi przy niej David. A obok nieskazitelnym zapachem doktora Jeffersa. Nie otwierała oczu.

– Nie śpię – powiedziała cicho. To było zaskoczenie, ulga że mogła mówić, że nie była martwa.

– Alice – powiedział ktoś i wiedziała, że to David znajduje się za jej zamkniętymi powiekami, że to jego ręce ściskają jej zmęczoną dłoń.

Chciałbyś zobaczyć mordercę, Davidzie, pomyślała. Po to tu przyszedłeś, prawda? David pochylał się nad nią. Otworzyła oczy. Spojrzała na pokój. Osłabłą dłonią odsunęła kołdrę. Morderca patrzył na Davida Leibera spokojnymi błękitnymi oczami w czerwonej twarzy. Oczami, które skrzyły się gdzieś w głębi.

– O rany! – zawołał wesoło David Leiber. – Jaki śliczny chłopczyk!

Dr Jeffers czekał na Leibera, gdy ten zjawił się w szpitalu, żeby zabrać do domu żonę i nowo narodzone dziecko. Wskazał mu fotel w swoim gabinecie, podał cygaro. Sam także zapalił, usiadł na krawędzi biurka i z ponurą miną wypuszczał dym. Potem odchrząknął, spojrzał Davidowi prosto w oczy i oświadczył:

– Twoja żona nie lubi tego dziecka, Dave.

– Co!?

– To było dla niej ciężkie przeżycie, ten poród. Przez najbliższy rok będzie potrzebowała więcej uczucia. Nie mówiłem ci o tym, ale na izbie porodowej wpadła w histerię. Mówiła dziwne rzeczy. No cóż, być może całą sprawę wyjaśnią dwa pytania – zaciągnął się cygarem. – Czy chcieliście tego dziecka, Dave?

– Tak. Planowaliśmy je. Razem. Alice była taka szczęśliwa, kiedy w zeszłym roku...

– Mmm... Więc to trudniejszy problem. Ponieważ gdybyście nie planowali tego dziecka, mógłby to być prosty przypadek matki, która nienawidzi samego macierzyństwa. Ale to nie pasuje do Alice. – Dr Jeffers wyjął cygaro z ust i potarł dłonią policzek.

– A zatem to coś innego. Być może jakieś utajone wspomnienie z dzieciństwa, które teraz się ujawniło. Może po prostu chwilowe zwątpienie i nieufność matki, która przeżyła wielki ból i przecucie bliskiej śmierci. Jeśli tak, to czas powinien wkrótce wyleczyć te rany. Ale jeżeli sprawy nie wrócą do normy, to wpadnijcie do mnie we trójkę. Zawsze chętnie widzę starych przyjaciół, prawda? Proszę, weź sobie jeszcze cygaro dla... hm... dla dziecka.

*

Było jasne wiosenne popołudnie. Wóz sunął po szerokich, obramowanych drzewami alejach. Błękitne niebo, kwiaty, ciepły wiatr. David mówił bez przerwy, zapalił cygaro i mówił dalej. Alice odpowiadała krótko, cichym głosem, trochę uspokojona podróżą. Lecz nie przytulała dziecka na tyle mocno, ani na tyle po matczynemu, by ukoić dziwny ból w duszy Davida. Mogło się zdawać, że trzyma porcelanową figurkę. Spróbował serdeczności.

– Jak mu damy na imię? – zapytał.

Alice Leiber spoglądała na migające za oknami drzewa.

– Nie decydujemy na razie – odparła. – Wolałabym poczekać, aż znajdziemy mu jakieś wyjątkowe imię. Nie dmuchaj na niego dymem.

Jej zdania płynęły monotonicznie, bez żadnej różnicy w tonie. Ostatnia uwaga nie zawierała niepokoju ani wyrzutu zatroskanej matki. Po prostu została wypowiedziana. Zaniepokojony David wyrzucił cygaro przez okno.

– Przepraszam.

Dziecko leżało w zgięciu matczynego ramienia, a cienie słońca i drzew raz po raz zmieniały jego twarz. Błękitne oczy otwierały się jak dwa świeże wiosenne kwiaty. Z jego ruchliwych, różowych warg dobiegały ciche mlaśnięcia.

Alice spojrzała na dziecko i David poczuł, że drży wsparta o jego ramię.

– Zimno? – zapytał.

– Chłodno. Lepiej podnieś szybę, Dave.

To było coś więcej niż chłód. Zamyślony zamknął okno.

*

Kolacja.

David Leiber przyniósł malca z dzieciennego pokoju i usadowił go w niezwykłej pozycji, wspartego o stos poduszek, w świeżo kupionym dzieciennym krzeselku. Alice w skupieniu obserwowała ruchy swego noża i widelca.

– Jest jeszcze za mały na krzeselko – zauważyła.

– Ale to tak przyjemnie, jak tu siedzi – odparł radośnie Leiber. – Wszystko jest przyjemne. W biurze tak samo. Mam zamówień po same uszy. Jeśli nie będę uważał, to zarobię w tym roku następne piętnaście tysięcy. Oj, popatrz na Juniora! Zapluł się cały!

Wyciągnął rękę, by wytrzeć dziecku brodę. Kątem oka zauważył, że Alice nawet nie spojrzała.

Powoli odłożył serwetkę.

– Cóż, nie było to pewnie szczególnie ciekawe – stwierdził wróciwszy do swego talerza. Był lekko zirytowany i to tłumilo inne argumenty. – Ale można by oczekiwać, że matka zainteresuje się własnym dzieckiem.

Alice gwałtownie uniosła głowę.

– Nie mów tak. Nie przy nim. Później, jeśli już musisz.

– Później? – krzyknął. – Przy nim czy nie, co za różnica? – uspokoił się nagle, zastanowił, zrobiło mu się przykro. – Już dobrze. W porządku. Wiem, jak to jest.

Po kolacji pozwoliła mu zanieść dziecko na górę. Nie powiedziała, żeby zaniósł; pozwoliła mu. Kiedy wrócił, stała obok radia. Słuchała muzyki, lecz nie słyszała jej. Miała zamknięte oczy, jakby się zastanawiała, wsłuchiwała w siebie.

I nagle była przy nim, szybko i cicho; ta sama. Nic się nie zmieniło. Jej wargi odnalazły go, zatrzymały. Był oszołomiony. Nagle roześmiał się głośno. Teraz, kiedy dziecko było na górze poza tym pokojem, znowu zaczęła oddychać, znów żyła. Była wolna. Szeptala do niego, pospiesznie, bez końca.

– Dziękuję, dziękuję, kochanie. Za to, że jesteś sobą. Zawsze. Niezawodny, tak bardzo niezawodny!

Musiał się roześmiać.

– Ojciec powiedział mi: „Synu, musisz dbać o swoją rodzinę”.

Zmęczonym gestem złożyła na jego szyi swe ciemne, lśniące włosy.

– Przedobrzyłeś. Czasami chciałabym, żeby znów było tak jak wtedy, kiedy się pobraliśmy. Żadnej odpowiedzialności, nic prócz nas samych. Żadnych... żadnych dzieci.

Zbyt gwałtownie chwyciła go za rękę. Nienaturalnie skupiona twarz zapłonęła odmiennością.

– Pojawił się trzeci element. Przedtem byłeś tylko ty i ja. Chroniliśmy siebie nawzajem. Teraz chronimy dziecko, lecz od niego nie zyskujemy ochrony. Rozumiesz? Kiedy leżałam w szpitalu miałam czas na myślenie o różnych sprawach. Świat jest zły...

– Tak sądzisz? – przerwał.

– Tak. Ale bronią nas przed nim prawa. A tam, gdzie nie ma praw, chroni nas miłość. Moja miłość osłania cię przed krzywdą, jaką mogłabym ci wyrządzić. Jesteś podatny na moje ciosy, przede wszystkim na moje, lecz miłość to twoja tarcza. Nie czuję lęku przed tobą, gdyż miłość tłumy twoje irytacje, nienaturalne instynkty, nienawiści i niedojrzałe odruchy. Ale... ale co z dzieckiem? Jest za małe, by znać miłość albo prawa miłości, wiedzieć cokolwiek... póki go nie nauczymy. A do tego czasu jesteśmy wobec niego bezbronni.

– Bezbronni? Wobec dziecka? – odsunął ją od siebie i zaśmiał się cicho.

– Czy dziecko zna różnicę między złem i dobrem? – spytała.

– Nie. Ale nauczy się.

– Ale dziecko jest tak niedoświadczone, amoralne, pozbawione sumienia... – argumentowała. Potem przerwała nagle i wypuściła go z objęć. – Ten hałas! Co to było?

Leiber rozejrzał się.

– Nic nie słyszałem.

– To stamtąd – powiedziała powoli, wpatrzona w drzwi do biblioteki.

Leiber przeszedł przez pokój, otworzył drzwi, zapalił i zgasił światło.

– Nic nie ma – stwierdził wracając do żony. – Jesteś zmęczona. Marsz do łóżka, ale już!

Zgasili światło i w milczeniu ruszyli schodami w górę. Na piętrze zatrzymała się.

– Mówiłam głupstwa, skarbie. Wybacz. Jestem przemęczona.

Rozumiał i powiedział jej to.

Na chwilę zatrzymała się z wahaniem przy drzwiach pokoju dzieciennego. Potem gwałtownie szarpnęła mosiężną klamkę i weszła do środka. Patrzył, jak podchodzi do łóżeczka – niezbyt ostrożnie; jak pochyła się i sztywnieje, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– David!

Leiber podszedł do łóżeczka.

Twarz dziecka była jaskrawo czerwona i silnie spocona. Małe różowe wargi poruszały się. Jasnoniebieskie oczy wyglądały, jakby ktoś wyciskał je na zewnątrz. Chłopczyk machał drobnymi czerwonymi rączkami.

– Och, płakał przed chwilą – stwierdził Leiber.

– Tak sądzisz? – Alice, osłabła nagle, chwyciła mocno poręcz łóżeczka. – Nic nie słyszałam.

– Drzwi były zamknięte.

– Czy to dlatego tak ciężko oddycha i ma zaczerwienioną twarz?

– Oczywiście. Biedny maluch. Płakał, zupełnie sam po ciemku. Lepiej niech dzisiaj śpi w naszym pokoju. Może się znowu rozplakać.

– Rozpuszczasz go – stwierdziła.

Leiber wiedział, że Alice przygląda się mu, jak przetacza łóżeczko do ich sypialni. Rozebrał się bez słowa i usiadł na brzegu łóżka. Nagle uniósł głowę, zaklął pod nosem i pstryknął palcami.

– Niech to diabli. Zapomniałem ci powiedzieć. W piątek muszę lecieć do Chicago.

– Och, Davidzie – wyglądała jak mała, zagubiona dziewczynka. – Tak szybko?

– Odkładałem ten wyjazd przez dwa miesiące i teraz sytuacja jest taka, że muszę lecieć.

– Boję się zostać sama.

– Do piątku będziemy mieli nową kucharkę. Będzie z tobą przez cały czas. W razie czego wystarczy zawołać. Wyjadę tylko na parę dni.

– Jednak się boję. Nie wiem czego. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. Chyba tracę rozum.

Leżał już. Zgasiła światło; słyszał, jak obchodzi łóżko dookoła, jak odsuwa kołdrę i wślizguje się do środka. Poczł obok siebie ciepły, kobiecy zapach.

– Jeżeli chcesz, żebym został jeszcze przez kilka dni, to może mógłbym...

– Nie – odparła bez przekonania. – Jedź. Wiem, że to ważne. Ja po prostu cały czas myślę o tym, co ci mówiłam. Prawo, miłość i ochrona. Miłość chroni cię przede mną. Ale dziecko... – odetchnęła głęboko. – Co chroni cię przed nim, Davidzie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zanim zdążył ją zapewnić, jak niemądre są jej obawy, włączyła nocną lampkę.

– Popatrz – wskazała palcem.

Dziecko leżało całkiem rozbudzone w swoim łóżeczku i wpatrywało się w niego uważnie i badawczo swoimi błękitnymi oczami. Światło zgasło. Czuł, jak drży przytulona do niego.

– To niezbyt ładnie bać się czegoś, co urodziłam – ściszyła głos, mówiła gwałtownie, szorstko i szybko. – Ale on próbował mnie zabić! Leży tam, słucha naszej rozmowy i czeka, aż wyjedziesz, żeby mógł znowu spróbować! Przysięgam!

Zaczęła szlochać.

– Proszę cię – powtarzał starając się jakoś ją uspokoić. – Przestań. Proszę.

Długo płakała w ciemności i uspokoiła się bardzo późno. Drżała jeszcze, lecz jej oddech stał się spokojny, ciepły, regularny. Drgnęła raz jeszcze i zasnęła. On drzemał.

I na moment przed tym, jak zaciążyły mu powieki, nim zatonął w głębokiej fali snu, dosłyszał

osobliwy cichy dźwięk czuwania i świadomości.

Odgłos małych, wilgotnych, różowo elastycznych warg.

Dziecko.

A potem – sen.

Rankiem świeciło słońce. Alice uśmiechała się. David Leiber kołysał swoim zegarkiem nad łóżeczkiem.

– Patrz, maluchu. Coś błyszczącego. Coś ładnego. Tak, tak. Ślicznie błyszczy.

Alice uśmiechnęła się. Kazała mu ruszać, lecieć do Chicago, postara się być dzielną dziewczynką, nie ma się o co martwić.

Samolot odleciał na wschód z Leiberem na pokładzie. Było dużo nieba, dużo słońca, dużo chmur, a potem Chicago wyskoczyło zza horyzontu. Leiber wpadł w gorączkę zamówień, planowania, przyjęć, wizyt, telefonów, kłótni na konferencjach. W przerwach pospiesznie przelykał kawę, ale codziennie pisał listy i wysyłał telegramy mówiące Alice i dziecku krótkie, miłe, proste słowa. Wieczorem szóstego dnia wezwano go do telefonu. Los Angeles.

– Alice?

– Nie, Dave. Tu Jeffers.

– Doktorze!

– Nie denerwuj się, synu. Alice zachorowała. Najlepiej wracaj pierwszym samolotem do domu. To zapalenie płuc. Zrobię, co będę mógł, chłopcze. Niedobrze, że to tak krótko po porodzie. Potrzebuje teraz dużo siły.

Leiber upuścił słuchawkę na widełki. Hotelowy pokój rozpływał się i rozpadał.

– Alice – powiedział nieprzytomnie i ruszył do drzwi.

Samolot leciał na zachód, pojawiła się Kalifornia i dla Leibera, już w domu, nagle zmaterializowała się leżąca w łóżku Alice. Dr Jeffers stał koło okna, a Leiber czuł swoje stopy, jak przesuwały się wolno, coraz bardziej i bardziej materialne, a kiedy stanął przy jej łóżku, wszystko znów było całe, trwałe, rzeczywiste.

Nikt się nie odzywał. Alice uśmiechała się blado. Jeffers zaczął coś mówić, lecz niewiele z tego docierało do Davida.

– Twoja żona jest zbyt dobrą matką, synu. Bardziej martwiła się o dziecko niż o siebie.

Policzek Alice drgnął, a potem...

Zaczęła mówić. Nareszcie mówiła tak jak matka. Ale... czy naprawdę? Czy to nie cień gniewu, strachu, odrazy brzmiał w jej głosie?

– Mały nie chciał spać – mówiła Alice. – Myślałam, że jest chory. Leżał w swoim łóżeczku i patrzył. A późno w nocy płakał. Głośno. Całą noc, do rana. Nie mogłam go uspokoić. Nie mogłam spać.

– Była tak zmęczona, że wpadła w zapalenie płuc – pokiwał głową Jeffers. – Ale teraz jest napchana po uszy sulfonamidami, i nic jej nie grozi.

Leiber poczuł, że słabnie.

– A dziecko? Co z chłopcem?

– Zdrów jak ryba.

– Dziękuję, doktorze.

Jeffers pożegnał się, cicho otworzył drzwi i odszedł. Leiber przysłuchiwał się jego krokom.

– David!

Obejrzał się słysząc jej szept.

– To znowu dziecko – powiedziała. – Próbowałam się przekonywać, jaka jestem głupia. Ale on

wiedział, że jestem osłabiona po szpitalu. Więc krzyczał całymi nocami. A kiedy nie krzyczał, był zbyt spokojny. Gdy zapalałam światło, leżał i patrzył.

Leiber zadrżał. Pamiętał, że sam widział dziecko czuwające w ciemności. Czuwające późno w nocy, kiedy dzieci powinny spać. Odepchnął od siebie tę myśl. To było szaleństwo. Alice mówiła dalej.

– Chciałam go zabić. Tak, chciałam. Godzinę po tym, jak wyjechałeś, poszłam do jego pokoju i chwyciłam go za szyję. Stałam tak bardzo długo i myślałam. Bałam się. Potem przykryłam mu twarz poduszką, odwróciłam na brzuszek, przycisnęłam i wybiegłam.

Próbował jej przerwać.

– Nie, pozwól mi skończyć – powiedziała szorstko, wpatrzona w ścianę. – Kiedy wyszłam z pokoju, pomyślałam: to takie proste. Dzieci codziennie umierają od zaduszenia. Nikt się nigdy nie dowie. Ale kiedy wróciłam, żeby zobaczyć go martwego, on żył! Tak, Davidzie, żył; odwrócił się na plecy, żył, uśmiechał się i oddychał. Potem nie potrafiłam już go dotknąć. Może kucharka się nim zajmowała, nie wiem. Wiem tylko, że jego krzyk nie pozwalał mi zasnąć; zastanawiałam się po całych nocach, chodziłam po pokojach, a teraz jestem chora – kończyła już. – To dziecko leży tam teraz i obmyśla sposób zabicia mnie.

To było wszystko, na co wystarczyło jej sił. Zamknęła oczy i po chwili już spała. David Liber stał nad nią jeszcze przez długi czas. Mózg zastygł w jego głowie. Nie drgnęła nawet jedna komórka.

Następnego ranka mógł zrobić tylko jedno. Wkroczył do biura doktora Jeffersa, opowiedział mu wszystko i słuchał pełnych wyrozumiałości tłumaczeń lekarza.

– Rozważmy wszystko spokojnie, synu. To całkiem naturalne, że czasem matki nienawidzą swoich dzieci. Jest na to specjalny termin: ambiwalencja. Zdolność do nienawidzenia kogoś, kogo się kocha. Kochankowie często czują do siebie nienawiść, podobnie jak dzieci do matek.

– Ja nie nienawidziłem swojej matki – przerwał Leiber.

– Nie przyznasz się do tego, to oczywiste. Ludzie nie chcą przyznawać się do nienawiści do swoich najbliższych.

– A więc, Alice nienawidzi swojego dziecka.

– Najlepiej ująć to tak: ma obsesję. Poszła o krok dalej niż zwykła, normalna ambiwalencja. Wini dziecko za ciężki poród i za chorobę. Dokonuje projekcji swoich problemów przerzucając odpowiedzialność na pierwszy z brzegu obiekt, którego może użyć. Wszyscy to robimy. Potykamy się o krzesło i klniemy na meble, nie na własną niezgrabność. Nie trafiamy w piłkę golfową i obwiniamy murawę albo kij. Mogę ci tylko powtórzyć to, co już raz mówiłem. Poszukaj sposobów okazania jej swojego uczucia. Postaraj się udowodnić, jak nieszkodliwe i niewinne jest dziecko. Po jakimś czasie Alice uspokoi się i pokocha je. Jeśli nie przyjdzie do siebie w ciągu mniej więcej miesiąca, to wpadnij. Polecę ci jakiegoś dobrego psychiatrę. A teraz leć już i przestań być taki ponury.

Nadeszło lato i sprawy stały się łatwiejsze i bardziej normalne. Leiber nigdy nie zapominał być opiekuńczym wobec żony. Ona z kolei chodziła na długie spacery i wracała do sił. Rzadko zdarzały się jej wybuchy emocji.

Aż pewnego razu o północy, kiedy nagły letni wiatr szalał wokół domu wstrząsając drzewami niby lśnięcymi tamburynami, Alice obudziła się drżąca i wsunęła w ramiona męża.

– Coś jest w pokoju – powiedziała. – Patrzy na nas.

Zapalił światło.

– Przyśniło ci się – stwierdził. – Ale i tak jest coraz lepiej. Już dawno się nie bałaś.

Westchnęła, a on zgasił lampkę. Wciąż trzymał ją w ramionach myśląc, jakim jest niezwykłym i słodkim stworzeniem.

Aż usłyszał, że drzwi sypialni otwierają się na kilkanaście centymetrów. Nikogo przy nich nie było. Otworzyły się bez powodu. Wiatr ucichł. Czekał. Zdawało mu się, że leży tak w ciemności przez godzinę.

Potem, jakby z jękiem małego meteoru ginącego w olbrzymiej, atramentowoczarnej otchłani kosmosu, w pokoju dzieciennym zapłakało dziecko.

To był delikatny, samotny dźwięk, gdzieś pomiędzy ciemnością, oddechem kobiety w jego ramionach i wiatrem, znów zaczynającym poruszać koronami drzew. Leiber policzył do pięćdziesięciu. Płacz trwał nadal.

Wreszcie, ostrożnie wysunawszy się z objęć Alice, wstał z łóżka, włożył pantofle i na palcach wyszedł z pokoju.

Zejdzie na dół, myślał zmęczony, podgrzeje trochę mleka i... Ciemność usunęła się spod niego. Jego stopa ześliznęła się i odskoczyła. Odskoczyła w pustkę... Wyciągnął przed siebie ręce i rozpaczliwie uchwycił się poręczy. Jego ciało przestało padać. Zaklął.

Potknął się o coś miękkiego. To coś zaszurało, spadło o kilka stopni w dół i zatrzymało się. W uszach mu dzwoniło, serce tłukło się gdzieś pod krtanią, dusząco i boleśnie. Dlaczego ludzie zostawiają różne rzeczy porozrzucane po całym domu? Macał ręką w poszukiwaniu przedmiotu, przez który nieomal zleciał na głowę ze schodów. Jego ręka zamarła w zaskoczeniu. Głośno wciągnął powietrze. To co trzymał, było zabawką. Dużą, niezgrabną szmacianą lalą, którą kupił dla... Dla dziecka.

Następnego dnia Alice odwiozła go do pracy.

W połowie drogi zwolniła, zjechała na krawężnik i zatrzymała się. Potem spojrzała na męża.

– Chcę pojechać na wakacje. Nie wiem, czy dasz teraz radę, kochanie, ale jeśli nie, to proszę, pozwól mi jechać samej. Na pewno znajdziemy kogoś, kto zajmie się dzieckiem. Po prostu muszę wyjechać. Myślałam, że wyrastam z tego... tego uczucia. Ale nie. Nie mogę wytrzymać z nim w jednym pokoju. A on patrzy na mnie, jakby też mnie nienawidził. Muszę wyjechać, zanim coś się stanie.

Wysiadł, obszedł samochód dookoła, kiwnął ręką, by się przesiadła, i otworzył drzwi.

– Najlepiej będzie, jak zobaczysz się z dobrym psychiatrą. Jeżeli on zaleci wakacje, dobrze. Ale to nie może tak dłużej trwać. Żołądek skręca mi się od tego. – Siadł za kierownicą i włączył silnik. – Ja poprowadzę.

Opuściła głowę; z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Spojrzała na niego, kiedy hamował koło biura.

– Dobrze. Zamów mi wizytę. Porozmawiam, z kim tylko będziesz chciał, Davidzie.

Stał na krawężniku i patrzył, jak odjeżdża, a wiatr rozwiewał jej długie, lśniące włosy. W chwilę później zadzwonił z biura do Jeffersa i załatwił wizytę u godnego zaufania psychiatry. To było to.

Praca nie szła mu zbyt dobrze. Wszystkie sprawy plątały się i przez cały czas widział Alice we wszystkim, na co popatrzył. Tak wiele swoich lęków zdołała mu przekazać. Właściwie przekonała go, że dziecko jest jakieś nienaturalne. Pod koniec dnia odczuwał już tylko zmęczenie, pulsujący ból głowy i przemożne pragnienie powrotu do domu.

Co by się stało, gdybym powiedział Alice o tej lalce, o którą potknąłem się na schodach, zastanawiał się w windzie. Boże, to doprowadziłoby ją do hysterii. Nie, nigdy jej nie powiem. W końcu to tylko przypadek.

Był jeszcze jasny dzień, gdy wracał taksówką. Przed swoim domem w Brentwood zapłacił kierowcy i wolno ruszył betonowym chodnikiem ciesząc się wciąż padającym z nieba światłem dnia.

Biała kolonialna fasada domu robiła wrażenie cichej i opuszczonej. Przypominał sobie, że to czwartek, kucharka ma wychodne i Alice musiała upichcić coś sama albo zjeść gdzieś na mieście.

Odetchnął głęboko. Słyszał samochody jadące aleją, dwie przecznice dalej. Przekręcił klucz w zamku.

Wszedł, odłożył kapelusz i neseser na krzesło, zaczął zdejmować płaszcz i rozejrzał się. Gasnące światło dnia służyło po klatce schodowej z okna w dachu. Tam gdzie padało, nabierało jaskrawych barw szmacianej lalki leżącej w dziwacznej pozycji u stóp schodów. Nie zwracał jednak uwagi na szmacianą lalkę.

Mógł tylko patrzeć, nie ruszać się i znów patrzeć na Alice. Leżała blada, z rękami wyciągniętymi w groteskowym, przerywanym geście. Leżała u stóp schodów. Nie żyła.

W domu słyszał tylko uderzenia jego serca. Alice nie żyła.

Uniósł jej głowę, dotknął palców. Podniósł ciało. Ale ona nie żyła. Wypowiedział jej imię, głośno, wiele razy, i znowu próbował tuląc ją do siebie oddać jej trochę ciepła, które utraciła. Nie pomagało.

Wstał. Musiał gdzieś dzwonić; nie pamiętał. Nagle był na górze. Otworzył drzwi pokoju dziecinnego, wszedł do środka i pustym wzrokiem popatrzył na łóżeczko. Coś gniotło go w żołądku. Widział niezbyt wyraźnie.

Dziecko miało zamknięte oczy, lecz jego twarz była czerwona i mokra od potu, jakby płakało długo i głośno.

– Ona nie żyje – powiedział Leiber do dziecka. – Nie żyje.

Zaczął się śmiać. Ciągłe jeszcze się śmiał, gdy wszedł doktor Jeffers i mocno uderzył go w twarz.

– Przestań! Weź się w garść, synu.

– Spadła ze schodów, doktorze. Potknęła się o szmacianą lalkę i spadła. Ja sam potknąłem się o nią poprzedniej nocy. A teraz...

Lekarz chwycił go za ramiona i potrząsnął.

– Doktorze, doktorze – powiedział niezbyt przytomnie Leiber. – To zabawne. Zabawne. Wymyśliłem wreszcie imię dla dziecka.

Jeffers nie odpowiedział.

Leiber podparł głowę drżącymi dłońmi i oświadczył:

– Mam zamiar ochrzcić go w przyszłą niedzielę. Wie pan, jak mu dam na imię? Będę... będę go nazywał... Lucyfer!

Była jedenasta w nocy. Przez dom przewinęło się mnóstwo dziwnych ludzi, którzy zabrali ze sobą najważniejsze: Alice.

David Leiber usiadł w bibliotece naprzeciwko doktora.

– Alice nie była szalona – powiedział wolno. – Miała powody, żeby bać się dziecka.

Jeffers westchnął.

– Teraz sam wpadasz w ten wzorzec. Ona obwiniła dziecko o swoją chorobę, a teraz ty obwiniasz je o jej śmierć. Alice potknęła się o zabawkę, pamiętaj. Nie możesz mieć pretensji do dziecka.

– Do Lucyfera?

– Przestań nazywać go Lucyferem!

Leiber pokręcił głową.

– Alice słyszała jakieś hałasy w nocy. Jakby ktoś nas szpiegował. Chcesz wiedzieć co to było? Powiem ci. To było dziecko! Tak, mój syn! Czteromiesięczny, pełzający nocą ciemnym korytarzem,

słuchający naszych rozmów. Słyszający każde słowo! – Złapał za poręczę fotela. – A kiedy zapalałem światło... Dziecko jest małe. Może się doskonale schować za jakiś mebel, za drzwi, pod ścianą, poniżej poziomu wzroku.

– Przestań! – zażądał Jeffers.

– Pozwól mi powiedzieć, co myślę, bo zwariuję. Kiedy wyjechałem do Chicago, kto nie pozwalał Alice zasnąć, zmęczył ją i osłabił tak, że dostała zapalenia płuc? Dziecko! A kiedy nie umarła, próbował zabić mnie. To było proste: zostawić lalkę na schodach, a potem krzyczeć tak długo, aż ojciec mając dość tego płaczu wstanie, żeby zejść na dół i podgrzać mleko, i potknie się. Prymitywna sztuczka, ale skuteczna. Mnie się udało. Lecz Alice nie żyje.

David Leiber przerwał na chwilę, na tyle długą, by zapalić papierosa.

– Powinienem się zorientować. Zapalałem światło w środku nocy, wiele razy, a on leżał z otwartymi oczami. Większość dzieci śpi prawie cały czas, bez przerwy. Ale nie to. To czuwa i... myśli.

– Niemowlęta nie myślą – przerwał Jeffers.

– Więc czuwa i robi to, co może zrobić ze swoim mózgiem. Do diabła, co właściwie wiemy o mózgu niemowlaka? Miał powody, żeby nienawidzić Alice; podejrzewała, że jest tym, czym jest – na pewno nie zwyczajnym człowiekiem.

Leiber pochylił się w stronę doktora.

– To wszystko się wiąże. Przypuśćmy, że kilkoro dzieci z tych wszystkich milionów rodzi się takich, że natychmiast potrafią poruszać się, widzieć, słyszeć, myśleć. Wiele owadów jest samowystarczalnych od momentu narodzin. W ciągu kilku dni przystosowuje się większość ssaków i ptaków. Małym ludziom potrzeba lat, zanim nauczą się mówić i poruszać na niepewnych nogach. Ale przypuśćmy, że jedno dziecko na milion jest... dziwne. Urodzone z pełnią świadomości, instynktownie zdolne do myślenia. Czy nie byłby to doskonały kamuflaż, znakomite maskowanie tego, co chciałoby zrobić? Mogłoby udawać zwykłego, słabego, płaczącego, nic nie widzącego malucha. Zużywając tylko trochę energii potrafiłoby raczkować po ciemnym domu i słuchać. I jak łatwo by mu było podkładać pułapki na schodach. Jak łatwo płakać po całych nocach, żeby zamęczyć matkę. Jak łatwo, podczas porodu, być tak blisko niej, że kilka zręcznych działań spowoduje zapalenie otrzewnej!

– Na miłość boską! – Jeffers zerwał się na nogi. – To co mówisz, jest odrażające!

– To, o czym mówię, jest odrażające. Ile matek zmarło przy porodzie? Ile wykarmiło niezwykle małe niesamowitości, w ten czy inny sposób przynoszące śmierć? Dziwne, czerwone stworzonka z mózgami, które działają w szkarłatnej ciemności, jakiej nie możemy się nawet domyślać? Pierwotne małe mózgi, przepelnione pamięcią gatunku, nienawiścią i okrucieństwem. Pytam cię, doktorze, co jest na świecie bardziej samolubnego niż dziecko? Nic! Nie istnieje nic tak egoistycznego, aspołecznego, samolubnego – nic!

Jeffers zmarszczył brwi i bezradnie pokręcił głową. Leiber odłożył papierosa.

– Nie przypisuję dziecku dużej siły. Tyle tylko, by słuchać przez cały czas. By płakać po nocach. To dosyć; nawet więcej niż dosyć.

Jeffers spróbował żartu.

– Więc to morderstwo. A morderstwo musi mieć motyw. Wymyśl jakiś motyw dla dziecka.

Leiber miał już gotową odpowiedź.

– Czy jest coś bardziej spokojnego, bardziej sennie szczęśliwego, zadowolonego, wypoczętego, nakarmionego, zaspokojonego, nie znającego kłopotów niż nienarodzone dziecko? Nie. Unosi się w sennym mrocznym wirze beczasowego cudu, ciepłego pożywienia i ciszy. Senne marzenie spowija

jego świat. I nagle jest skłaniane do opuszczenia legowiska, zmuszane do wyjścia, wypychane w hałaśliwy, nieczuły, egoistyczny, nerwowy i bezlitosny świat, gdzie musi polować i żywić się tym, co upoluje, poszukiwać ginącej miłości, która była kiedyś jego niezaprzeczalnym prawem, spotykać zamieszanie zamiast wewnętrznej ciszy i zachowawczej drzemki. I noworodek odrzuca to. Odrzuca wszystkimi miękkimi, delikatnymi włóknami swego maleńkiego ciała. Nienawidzi ostrego, zimnego powietrza, ogromnych przestrzeni, nagłego odejścia znanych rzeczy. A kto odpowiada za to rozczarowanie, to okrutne zdjęcie zaklęcia? Matka. I tak dziecko ma kogoś, kogo może nienawidzić i nienawidzi całą mocą swego małego umysłu. Matka odepchnęła go, odrzuciła. A ojciec nie jest lepszy. Jego też zabić! Na swój sposób też jest winien!

– Gdyby to, co mówisz, miało być prawdą – przerwał mu Jeffers – to każda kobieta na świecie musiałaby patrzeć na swoje nowo narodzone dziecko jak na coś przerażającego, coś przyprawiającego o dreszcze.

– A dlaczego nie? Czy dziecko nie ma doskonałego alibi? Chronią go tysiące lat uznanych wierzeń medycznych. Ze wszystkich obserwacji wynika, że jest bezradne, za nic nie odpowiada. Dziecko rodzi się nienawidząc. I z biegiem czasu sprawy pogarszają się, zamiast polepszać. Niemowlęciu poświęca się z początku sporo uwagi i troski. Ale czas mija i to się zmienia. Zaraz po urodzeniu dziecko dysponuje wielką siłą. Siłą zmuszającą rodziców do robienia różnych głupstw, kiedy się rozplacze albo zakaszle, do podskakiwania, kiedy krzyknie. Ale w miarę jak mijają miesiące, dziecko czuje, że nawet ta siła wymyka mu się szybko, na zawsze, by nigdy już nie powrócić. Dlaczego nie ma się starać jej utrzymać? Dlaczego nie ma walczyć o pozycję wtedy, kiedy przemawiają za tym wszystkie okoliczności? W przyszłych latach będzie za późno, by wyrazić swoją nienawiść. Trzeba uderzyć teraz.

Głos Leibera był bardzo cichy, bardzo miękki.

– Mój mały chłopczyk, leżący nocą w swoim łóżeczku, ze spoconą, czerwoną twarzą, nie mogący złapać tchu. Od płaczu? Nie. Od upartego, boleśnie powolnego wychodzenia z łóżeczka, od czołgania się po długich, ciemnych korytarzach. Mój mały synek. Chcę go zabić.

Jeffers podał mu szklankę wody i kilka tabletek.

– Nikogo nie będziesz zabijał. Prześpisz się dwadzieścia cztery godziny, to może zmienisz zdanie. Zażyj to.

Leiber popił tabletki i pozwolił zaprowadzić się na górę do sypialni. Płakał, kiedy doktor układał go w łóżku.

Następnego ranka Jeffers podjechał pod dom Leibera. To był ładny ranek i doktor przybył tu, by zalecić pacjentowi odpoczynek na wsi. Tamten pewnie będzie jeszcze spał. Dostał dość środków nasennych, żeby nie obudzić się przez co najmniej piętnaście godzin.

Jeffers przycisnął dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Służąca jeszcze nie wróciła, za wcześnie. Popchnął frontowe drzwi, stwierdził, że są otwarte, i wszedł do środka. Odłożył walizkę na najbliższe krzesło.

Coś białego usunęło się z pola widzenia – coś jakby wrażenie ruchu na szczycie schodów. Jeffers nie zwrócił na to uwagi.

W domu śmierdziało gazem.

Jeffers pognał na górę i wpadł do sypialni Leibera.

Mężczyzna leżał nieruchomo na łóżku, a w pokoju aż gęsto było od gazu uciekającego z sykiem z otwartego palnika pod ścianą koło drzwi. Jeffers zakręcił go, poodsuwał wszystkie okna i biegiem wrócił do ciała. Było zimne. Leiber nie żył od kilku godzin.

Kaszląc gwałtownie, z załzawionymi oczami doktor wybiegł z pokoju. Leiber nie odkręcił gazu

sam. Nie mógł. Te proszki go powaliły, nie obudziłby się do południa. To nie było samobójstwo. A może jednak, może istniała choć minimalna możliwość?

Przez pięć minut Jeffers stał nieruchomo w hallu. Potem podszedł do drzwi pokoju dzieciennego. Otworzył je, wszedł do środka i pochylił się nad łóżeczkiem. Było puste.

Przez pół minuty stał przy nim kołysząc się lekko, po czym powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego:

– Te drzwi się zatrzasnęły. Nie mogłeś wrócić do łóżeczka, gdzie byłbyś bezpieczny. Nie uwzględniłeś zatrzaśnięcia drzwi. Taki drobiazg jak drzwi może zniszczyć najlepszy nawet plan. Znajdę cię gdzieś w domu. Będziesz się krył udając, że jesteś czymś innym, niż jesteś.

Był oszołomiony. Położył dłoń na czole i uśmiechnął się blado.

– Zaczynam mówić jak Alice i David. Ale nie mogę ryzykować. Niczego nie jestem pewien, ale nie mogę ryzykować.

Zszedł na dół, otworzył swoją lekarską walizeczkę, wyjął z niej coś i ukrył w dłoniach.

Coś zaszeleściło w głębi holu. Coś bardzo małego i bardzo cichego. Jeffers odwrócił się gwałtownie i zrobił kilka pewnych, szybkich kroków przed siebie.

– Musiałem operować, by sprowadzić cię na świat. A teraz mogę chyba operować, by...

Przełożyła Paulina Braiter

O autorze

Ray Bradbury (ur. 1920) jeden z największych mistrzów fantastyki, autor ze słynnego alfabetu: A(simov), B(radbury), C(larke) i D(ick). Pochodzący z rodziny wydawców gazet od dziecka przesiał kultem do słowa pisanego. Z powodów finansowych nie ukończył studiów, a pisanie uczył się w bibliotece. Pierwszą książkę, zbiór *Dark Carnival* opublikował w 1947, a w 1950 *Kroniki marsjańskie*, szufladkową powieść składającą się z poruszających, nostalgicznych opowieści. Pozycję najciekawszego pisarza SF ugruntowały mu opublikowane rok później w zbiorze *Człowiek ilustrowany* opowiadania. Kolejny zbiór wydał w 1955 – była to *Październikowa kraina*, ale tutaj sporo tekstów to były przeróbki opowiadań znanych z prasy lub wcześniejszych książek.

Bradbury stał się ikoną fantastyki, publikował często w czasopismach mainstreamowych, zainteresowała się jego twórczością telewizja, a także scenarzyści komiksu. A do pierwszej ligi światowej trafił pisząc w 1953 roku antyutopijną powieść *451° Fahrenheita*. To do dziś wznawiana powieść, wciąż oczarowująca czytelnika, sfilmowana przez Francois Truffauta, w planach jest remake.

Bradbury swobodnie czuje się w różnych gatunkach literackich, choć chyba najbliższa jest mu poetyka grozy i opowieści niesamowitej. Nie otrzymał nagród za konkretny utwór literacki, obsypywano go za to deszczem premii za całokształt twórczości – Nebula Grand Master, World Fantasy, Bram Stoker.

R.A. LAFFERTY

Kraina wielkich koni

O niesamowitym Laffertym pisaliśmy w pierwszym tomie *Rakietowych szlaków* przy okazji „Najdłuższego obrazu”. W „Krainie wielkich (a może „wspaniałych”?) koni” autor jest znów w najwyższej formie. Cyganie, których zawsze jakiś genetyczny niepokój gonił po świecie, nagle ruszają wszyscy w jednym kierunku. Już wiedzą, czego zawsze szukali. A cała fantastyka czai się gdzieś za rogiem, tak to zwykle robił Lafferty. Oczywiście przez prawie pięćdziesiąt lat od napisania opowiadania zmieniły się pewne szczegóły. Dzisiaj Cyganie i inni Romowie jechaliby czarnymi (koniecznie) mercedesami, a plemię niemuzykalnych rumuńskich Cyganów (czasem daję im dwa złote, żeby przestali grać) drałowałoby na piechotę.

Kraina wielkich koni

Przyszli i zabrali nasz kraj – mówili zawsze.
Ale nikt ich nie rozumiał.

Dwaj Anglicy, Richard Rockwell i Seruno Smith trzęśli się w łaziku jadącym przez pustynię Thar. Była to naga, czerwona kraina, bardziej skała niż piasek. Wyglądało to tak, jakby ktoś zdjął wierzchnią warstwę, zostawiając obnażone podłoże.

Nagle usłyszeli grzmot i spojrzeli na siebie zdumieni, blondyn Rockwell na ciemnowłosego Smitha. Tu nigdy nie grzmiało na całej połaci od New Delhi do Bahawalpuru. Skąd grzmot na tej nieznającej deszczu północnoindyjskiej pustyni?

– Wjedźmy na ten grzbiet – powiedział Rockwell, kierując pojazd pod górę. – Tu nigdy nie pada, ale już raz dałem się zaskoczyć w dolinie w okolicy, gdzie nigdy nie pada. O mało się wtedy nie utopiłem.

Zagrzmiało znowu ciężko, z pogłosem, jakby po to, aby ich przekonać, że się nie przesłyszeli.

– Ta dolina nazywa się Kuti Tardavi – Mała Rzeczka – powiedział Smith w zadumie. – Ciekawe dlaczego?

I zaraz drgnął, jakby się sam siebie przestraszył.

– Rockwell, dlaczego ja to powiedziałem? Nigdy dotąd nie widziałem tej dolinki. Skąd przyszła mi do głowy taka nazwa? Ale to jest głęboka dolina, która byłaby rzeczką, gdyby tu kiedykolwiek padało. Tyle że w tym kraju nie może być znacznie większych opadów. Brak tu wzniesień, na których mogłaby skraplać się ta niewielka ilość wilgoci, jaką niosą wiatry.

– Zastanawiam się nad tym za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam – powiedział Rockwell, wskazując ręką migocące w oddali wzgórza słynnego mirażu – Krainy Wielkich Koni. – Gdyby one tam były naprawdę, zatrzymywałyby wilgoć. Zmieniłoby cały ten kraj w bujną sawannę.

Byli geologami, dokonującymi szczegółowego rekonesansu na terenach uznanych za najbardziej obiecujące na podstawie zdjęć lotniczych. Problem z pustynią Thar polegał na tym, że było tu wszystko: ołów, cynk, antymon, miedź, cyna, boksyty, ale w złożach na granicy opłacalności. Nigdzie na pustyni eksploatacja nie była uzasadniona, ale wszędzie była prawie uzasadniona.

Teraz wzgórza z mirażu rozjaśniła błyskawica, czego nigdy dotychczas nie widzieli. Obraz zachmurzył się i obniżył. Grzmoty przetaczały się z hukiem całymi seriami, a przecież nie ma fatamorgany dźwiękowej.

– Albo tam w górze jest bardzo duży i bardzo pracowity ptak, albo to deszcz – odezwał się Rockwell.

I rzeczywiście, zaczął padać deszcz, drobny, ale równy. Przyjemna była ta popołudniowa jazda samochodem. Deszcz na pustyni to zawsze jak wygrana na loterii.

Smith zaczął śpiewać wesołą piosenkę w jednym z języków północno-zachodnich Indii i Rockwell, choć nie rozumiał słów, wyczuwał w melodii coś sprośnego. Pełno tam było składanych rymów i nasyconych samogłoskami słów, jakie czasem wymyślają dzieci.

– Skąd u licha tak dobrze znasz te języki? – spytał Rockwell. – Mnie one sprawiają trudności, mimo że mam dobre podstawy językowe.

– Ja nie musiałem się ich uczyć – odparł Smith. – Ja je sobie tylko przypominam. Wszystkie one wyrastają z *bozo jib*.

– Z czego? Ile ty właściwie znasz tych języków?

– Wszystkie. Siedem sióstr, jak je nazywają: pendżabski, kaszmirski, gudżarati, marathi, sandhi i hindi.

– Twoich siedmiu sióstr jest tylko sześć – zauważył złośliwie Rockwell.

– Jest powiedzonko, że siódma siostra uciekła z handlarzem koni – powiedział Smith. – Ale można jeszcze tę siódmą pannę spotkać tu i ówdzie na świecie.

Często zatrzymywali się i wysiadali z samochodu. Nawet kolor nowych strumyków ma znaczenie dla poszukiwaczy minerałów, a teraz po raz pierwszy widzieli w tej okolicy płynącą wodę. Posuwali się z przystankami, wolno pokonując kilka błotnistych mil.

W pewnej chwili Rockwell wstrzymał oddech i o mało nie wypadł z samochodu. Przeżył wstrząs, gdyż ujrzał obok siebie kogoś zupełnie obcego.

Potem przekonał się, że był to Smith taki jak zawsze i to złudzenie zdumiało go. A wkrótce coś jeszcze.

– Coś mi się tu bardzo nie podoba – powiedział Rockwell.

– A mnie coś tu się bardzo podoba – odparł Smith i zaśpiewał nową piosenkę w jednym z indyjskich języków.

– Zabłądziliśmy – martwił się Rockwell na głos. Widoczność jest wprawdzie słaba z powodu deszczu, ale grunt nie powinien się tu wznosić. Tego nie ma na mapie.

– Musi być – zaśpiewał Smith. – To jest *Jalo Char*.

– Co to jest? Skąd wzięłaś tę nazwę? Na mapie jest tu gładkie miejsce i to samo powinno być w terenie.

– W takim razie na mapie jest błąd. Człowieku, przecież to najpiękniejsza dolina świata! Wzdłuż niej pojedziemy w górę. Jak mapa mogła to przeoczyć? Jak my wszyscy mogliśmy o niej zapomnieć na tak długo?

– Smith! Co się stało? Wyglądasz jak pijany.

– Wszystko w porządku, powiadam ci. Przed minutą urodziłem się na nowo. To jest powrót do ojczyzny.

– Spójrz, Smith! Jedziemy po zielonej trawie!

– Wspaniała. Mógłbym ją jeść jak koń.

– Smith, te skały! One nie mogą być tak blisko! To przecież część mira...

– To jest *Lolo Trusul*, sir.

– Ależ to nie jest prawdziwe! Tych skał nie ma na mapie topograficznej!

– Mapa, sir? Jestem biedny *kalo* i nie wiem, co to znaczy.

– Smith, jesteś dyplomowanym kartografem!

– Zdaje się, że kiedyś uprawiałem zawód z taką nazwą. A skały są prawdziwe. Wspinałem się na nie w dzieciństwie – w tym innym dzieciństwie. A tam w dali, to *Drapengoro Rez* – Trawiasta Góra. A ta wyżyna przed nami, na którą wjeżdżamy, to *Diz Boro Grai* – Kraina Wielkich Koni.

Rockwell zatrzymał łazik i wyskoczył na ziemię. Smith nieprzytomny ze szczęścia poszedł w jego ślady.

– Smith, ty zwariowałaś! – Rockwellowi skurcz ścisnął gardło. – A ja? Jakimś cudem strasznie zmyliliśmy drogę. Smith, spójrz na mapę i sprawdź azymuty!

– Azymuty, sir? Jestem biedny *kalo* i nie wiem...

– Niech cię diabli, Smith, sam to rysowałaś. Jeżeli mapa jest w porządku, to my jesteśmy o siedemset stóp za wysoko i dziesięć mil temu wjechaliśmy na wyżynę, która jest częścią mirażu. Tych skał nie ma prawa tu być. Nas też tu nie może być, Smith!

Ale Seruno Smith odszedł spokojnie jak pomylenieć.

– Smith, gdzie ty leżysz? Słyszysz mnie?

– Pan mnie wołał, sir? – spytał Smith. – Dziwnie mnie pan nazywa, sir.

– Czy obaj zwariowaliśmy tak jak i ten kraj? – jęknął Rockwell. – Pracowaliśmy razem przez trzy lata. Czy nie nazywasz się Smith?

– Tak, sir, myślę, że po angielsku można moje nazwisko oddać jako Smith, ale naprawdę nazywam się Pettalangro i wracam do swego kraju.

I człowiek, który był Smithem, ruszył pieszo ku Krainie Wielkich Koni.

– Smith, ja wsiadam do łazika i wracam – krzyknął Rockwell. – Boję się tej krainy, która się zmienia. Kiedy miraż staje się rzeczywistością, to najwyższy czas brać nogi za pas. Chodź tu szybciej! Na jutro rano musimy być w Bikaner, a tam mają lekarza i bar. Potrzebujemy albo jednego, albo drugiego.

– Dziękuję, sir, ale muszę wracać do siebie – zaśpiewał Smith. – Bardzo dziękuję za podwiezienie.

– Zostawiam cię, Smith. Jeden wariat jest lepszy niż dwóch wariatów.

– Ashava, Sarishan – pożegnał go Smith.

– Smith, powiedz mi jeszcze coś – zawołał Rockwell, starając się znaleźć choć jedną rzecz logiczną w tym wszystkim. – Jak się nazywa siódma siostra?

– Romane – zaśpiewał Smith i odszedł przez wyżynę, która zawsze była mirażem.

*

W Camargo, meksykańskim stanie Chihuahua, przydrożny mechanik sprzedał swój interes za sto pesos i kazał żonie pakować rzeczy.

– Wyjeżdżać teraz, kiedy interes tak dobrze idzie?

– Mam tylko jeden samochód w robocie i nie potrafię go zreperować.

– Ale jeżeli potrzywasz go dłużej, to właściciel i tak ci zapłaci za to, żebyś złożył go z powrotem, nawet jak nie będzie naprawiony. Tak zrobił ostatnim razem. I masz jeszcze konia do podkucia.

– Nie podoba mi się ten koń, ale jednak wrócił. Jedźmy.

– Czy jesteś pewien, że znajdziemy drogę?

– Oczywiście, że nie jestem pewien. Zaprzęgniemy naszego chorego konia i pojedziemy wozem.

– Dlaczego jechać wozem, kiedy mamy byle jaki, ale jednak samochód?

– Nie wiem dlaczego, ale pojedziemy wozem i przybijemy starą wielką podkowę nad drzwiami.

*

Pracownik z wesołego miasteczka w Nebrasce uniósł głowę i wciągnął w nozdrza powietrze.

– Wróciła – powiedział. – Zawsze wiedziałem, że to poczujemy. Jest jeszcze ktoś z Romane?

– Ja mam w sobie trochę *rart* – powiedział jeden z jego towarzyszy. Ten *narvelengero dives* to i tak dziadowskie wesołe miasteczko. Powiemy szefowi, że może je sobie wsadzić w *chev* i jedziemy.

*

W Tulsa sprzedawca używanych samochodów, znany jako Red Cygan, ogłosił najbardziej okazyną ze wszystkich wyprzedaży.

– Dziś wszystko za darmo! Wyjeżdżam. Tu macie papiery, kluczyki i zabierajcie samochody.

Dziewięć nowych i trzydzieści dobrych. Wszystko za darmo.

– Masz nas za frajerów? – pytali ludzie. – W tym musi być jakaś pułapka, jakiś haczyk.

Red położył dokumenty wszystkich samochodów na ziemi i przycisnął je cegłą. Sam wsiadł do

najgorszego auta i odjechał na zawsze.

– Wszystko za darmo – zaśpiewał na odjeźdym. – Macie papiery, kluczyki i zabierajcie samochody.

Stoją do dziś nietknięte. Myślicie, że ludzie są frajerami i dadzą się nabrać na coś, co kryje pewnie jakąś pułapkę?

*

W Galveston barmanka imieniem Margaret pytała marynarzy, jak najlepiej dostać się do Karaczi.

– Dlaczego akurat Karaczi? – spytał jeden z marynarzy.

– Myślę, że to najbliższy duży port – powiedziała. – Ona wróciła, wiesz?

– Ja też to poczułem dziś rano – odparł. – Sam jestem *chal*. Na pewno znajdziemy coś w tamtą stronę.

*

W tysiącach miejscowości mężczyźni, *fawney*, i kobiety, *dukkerin*, *kakki-baskros* i *hegedusi*, klauni i handlarze, hrabiowie Condomu i księżęta Małego Egiptu pakowali manatki i zbierali się w drogę.

Ludzie i rodziny na całym świecie podejmowali nagłe decyzje. *Athinganoi* zebrali się na wzgórzach ponad Salonikami, gdzie dołączyli do nich bracia z Serbii, z Albanii i z Rodopów w Bułgarii. *Zingari* z północnych Włoch zgromadzili się wokół Pawii i ruszyli na Genuę, aby wsiąść tam na statek. *Boemios* z Portugalii przybyli do Porto i Lizbony. *Gitanos* z Andaluzji i całej południowej Hiszpanii ściągnęli do Sanlucar i Malagi. *Zigcuner* z Turynii i Hanoweru tłoczyli się w Hamburgu w oczekiwaniu na zaokrętowanie. *Gioboga* i ich mieszanej krwi kuzyni *Shelta* z każdego *cnoc* i *coill* Irlandii wsiadali na statki w Dublinie, w Limerick i Bantry.

W głębi Europy Cyganie zaczęli łodem ciągnąć na wschód. Ludzie płynęli z dwustu portów na wszystkich kontynentach i tłoczyli się na tysiącu statków, z których wiele było w zapomnieniu.

Balauros, *Kalo*, *Manusch*, *Melelo*, *Cyganie*, *Moro*, *Romane*, *Flamenco*, *Sinto*, *Cicara* – wieloimienny lud wędrował całymi tysiącami. *Romani Rai* wyruszył w drogę.

Dwa miliony Cyganów świata wracało do ojczyzny.

*

W Instytucie Gregory Smirnow mówił do swoich kolegów i współpracowników:

– Pamiętacie tezę, jaką wysunąłem przed kilku laty – powiedział – że nieco ponad tysiąc lat temu przybysze z kosmosu odwiedzili Ziemię i zabrali ze sobą wycinek naszej planety. Wszyscy uznaliście tę teorię za śmieszna, ale moje rozumowanie oparte było na drobiazgowej analizie eustatycznej i izostatycznej. Nie ma wątpliwości, że tak właśnie było.

– A więc brakuje nam jednego plasterka – powiedział Aloysius Shiplap. – Oceniał pan powierzchnię pobranego wycinka na około dziesięć tysięcy mil kwadratowych i grubość na nie więcej niż jedną milę. Powiedział pan też, że według pana kosmici chcieli przebadać ten wycinek naszej Ziemi w swoich laboratoriach jako próbkę. Czy ma pan jakieś nowe wiadomości na temat tego brakującego kawałka?

– Zamykam temat – oświadczył Gregory. – Oddali go nam z powrotem.

Sprawa była w gruncie rzeczy prosta, *jekvasteskero*, po cygańsku prosta. To tylko nie-Cyganie, *gadjo*, dają skomplikowane odpowiedzi na proste pytania.

„Przyszli i zabrali nasz kraj”, mówili zawsze Cyganie i tak właśnie było.

Kosmici podjęli próbkę, potrzęsnęli nią z lekka, aby ją uwolnić od rojącej się na niej fauny i zabrali ją do badania. Dla zaznaczenia miejsca pobrania wycinka pozostawili niematerialną kopię tej wyżyny, tak jak my czasem oznaczamy tablicą z nazwą lub fotografią miejsce, gdzie zostanie umieszczony sam obiekt. Tę kopię ludzie często widzieli jako miraż.

Kosmici pozostawili również obraz zabranej ziemi w umysłach wyższej fauny, która uciekła z powierzchni próbki. Przejawiło się to w postaci instynktownego niepokoju uniemożliwiającego osiedlenie się na stałe, dopóki nie nadejdzie czas powrotu. Z instynktem tym wiązały się pewne przecucia, zdolności do przepowiadania przyszłości i inne szczególne talenty.

Teraz kosmici oddali wycinek Ziemi i jego dawni mieszkańcy wracali.

– A co kosmici robią teraz? – spytał w Instytucie Aloysius Shiplap z uśmiechem wyższości.

– Cóż, przypuszczam, że pobiorą następną próbkę do dalszych badań – odparł Gregory Smirnow.

*

Przez trzy dni trzęsienia ziemi o małym natężeniu nawiedzały region Los Angeles. Cała strefa wstrząsów została ewakuowana. Wówczas z nieba rozległ się potężny gwizd, jakby obwieszczający: „Wszyscy na ląd!”.

Następnie powierzchnia ziemi do pewnej głębokości, wraz z całą zabudową została zabrana. Znikła. A potem szybko została zapomniana.

*

Z „Krótkiej Encyklopedii Dwudziestego Drugiego Wieku”, tom I, str. 389.

ANGELENOS (zob. także Cyganie Samochodowi i Zbieracze Śliwek). Mieszana grupa etniczna nieznanego pochodzenia, przeważnie koczująca w samochodach. Uważa się, że będą oni ostatnimi użytkownikami tych pojazdów i specjalnie dla nich produkuje się jeszcze niewielką liczbę archaicznych, zdobionych chromem modeli. Ludzie ci nie są żebrakami i wielu z nich wykazuje nieprzeciętną inteligencję. Zazwyczaj działają w takich dziedzinach jak handel nieruchomościami, gry hazardowe, prowadzą kursy korespondencyjne wydające bezwartościowe dyplomy oraz inne, mniej lub bardziej podejrzane interesy. Rzadko osiadają dłużej w jednym miejscu.

Hołdują dziwnym upodobaniom. Spędzają całe dni w samochodach, krążąc po zapuszczonych autostradach i rozjazdach. Panowało przekonanie, iż większość Angelenosów używa narkotyków, ale badacz Harold Freelove, który spędził wśród nich szereg miesięcy, wykazał bezzasadność tego sądu. To, co wdychają na swoich wesołych zgromadzeniach (patrz, smogówki), jest mieszkanką dymu węglowego i spalin samochodowych z dodatkiem tlenu węgla. Cel tej ceremonii pozostaje niejasny.

Religia Angelenosów stanowi mieszkankę dawnych kultów z bardzo silnym elementem eschatologicznym. Motyw rajy reprezentują częste aluzje do mitycznego „Bulwaru Zachodzącego Słońca”. Angelenosi posługują się barwnym i dosadnym żargonem. Ich podania na temat własnego pochodzenia są bardzo mgliste.

„Przyszli i zabrali nam nasz kraj” – mówią.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

R(aphael) A(loysius) Lafferty (1914-1992) amerykański pisarz, znany z bardzo oryginalnego stylu. Nie ukończył studiów, choć kształcił się korespondencyjnie, pracował w firmie elektrycznej w Tulsa, w Oklahomie, gdzie spędził większość swego życia. W czasie drugiej wojny światowej służył na Pacyfiku. Nigdy się nie ożenił.

Debiutował opowiadaniem „Day of the Glacier” w 1960 roku, a zaraz potem kolejne teksty zaczęły się ukazywać we wszystkich najważniejszych czasopismach SF w Ameryce. Pisał do lat 90. Opowiadania Lafferty’ego były publikowane w licznych antologiach, podsumowaniach opowiadań, w prasie. Sporo opowiadań było nominowanych, ale wyróżniono tylko „Matkę Euremy” (Hugo). Pisał nie tylko fantastykę, ale także powieści historyczne i autobiografię.

Styl Lafferty’ego jest bardzo charakterystyczny, bohaterami są zwykli ludzie, akcja rozgrywa się najczęściej współcześnie, choć niekoniecznie w naszej rzeczywistości. Lafferty bardzo zręcznie żonglował metaforą, porównaniem, w swoich opowiadaniach reprezentował czystą rozrywkę, potrafił zaintrygować czytelnika i uwieść go od pierwszego zdania. Przy lekturze ma się wrażenie obcowania z czymś mitycznym.

Jego twórczość była bardzo bogata, nie wszystkie utwory opublikowano. Spadkobiercy ogłaszają chęć sprzedaży całej spuścizny Lafferty’ego, czyli 29 powieści i 225 opowiadań za 70 tysięcy dolarów.

Tak jak bohater opowiadania „Najdłuższy obraz świata” był hobbystą, zbierał stare dokumenty, instrumenty, artefakty – całą kolekcję po śmierci przekazano bibliotece uniwersyteckiej w Tulsa.

MICHAEL BISHOP

Przyspieszenie

Michael Bishop to przykład autora, który nie boi się wyzwań. Podobnie jak brytyjski mistrz Aldiss, w każdym utworze bierze się za bary z poważnymi pytaniami i problemami. Próbuje też na nowo traktować tematy w fantastyce funkcjonujące od jej zarania.

W tym opowiadaniu rzuca nas od razu na głęboką wodę – w niewyjaśniony sposób każdy człowiek na Ziemi zostaje wyrwany z domowych pieleszy, środowiska i rzucony w losowo wybrany punkt planety. Rośliny, kiedy je wyrwać z korzeniami, usychają. A ludzie?

Przyspieszenie

I

Po przebudzeniu Lawson był oszołomiony i zdezorientowany. Zamiast szmeru ruchu ulicznego Rivermont i wczesnoporanego szczekania jego uszu dobiegał pospieszny tupot wielu stóp i dziwaczna symfonia jęków i krzyków. Zasłony nie odgradzały go od słońca zalewającego twarz, ani nawet nie tłumiły blasku, a jaśniejący błękit zastąpił sufit.

– Marlena – rzucił Lawson niepewnie. Przeszło mu przez myśl, że może jedno z dzieci jest chore i stwierdził, że powinien wstać i pomóc.

Jednak gdy chciał się podnieść, wierzchem dłoni otarł o kamień tkwiący w zaprawie murarskiej i odkrył, że jego łóżko zmieniło się w murek nad rzeką płynącą przez nieznaną mu miasto. Zamiast chińskiej pidżamy, którą dostał od Marleny na gwiazdkę, miał na sobie mundur w kolorze khaki z czasów, gdy służył w lotnictwie oraz znoszone tenisówki Converse. Lawson niezgrabnie zeskoczył z murku, jak gdyby opuszczał stół sekcyjny. Kiedy spał, świat wywrócił się do góry nogami. Przy powszechnie panującym zdumieniu do głosu zaczęły dochodzić różne formy anarchii.

Miasto – Lawson był gotów przysiąc, że to nie Lynchburg, a płynąca przez nie rzeka to nie James – roilo się od ludzi. Kilkoro w obronnych postawach i z przerażeniem malującym się na twarzach minęło Lawsona na bulwarze rozciągającym się wzdłuż murku. Wielu biegnąc wrzeszczało lub bełkotało coś niezrozumiałego. Inni, których stroje absolutnie w niczym nie były do siebie podobne, wstawali speszeni z ziemi, nadbrzeżnych ławek i rynsztoku przy chodniku. Lawson pojął, że ich półprzytomność i szybko tężejący strach odzwierciedlają jego własne uczucia; ci ludzie, zupełnie jak on, przebudzili się w koszmarze.

Jako że niepokojący fakt przeniesienia miał o wiele większe znaczenie od niezliczonych szczegółów otoczenia, na które się natykał, trudno mu było ogarnąć wszystko naraz, pojmując to i łącząc w całość. Miasto było mu obce. Pod względem architektonicznym stanowiło zderzenie gotyku i pseudoceglanego stylu nowoczesnego, które rozdzielała rzeka. Brzeg, na którym się znajdował, porastały w regularnych odstępach palmy o kołyszących się lekko liściach jak ze snu, tymczasem bliżej centrum nad wszystkim górowała misterna wieża katedralna. Światło słoneczne załamywało się z jałową surowością na różowej wieży, co Lawsonowi, który nigdy nie był za granicą, przywiodło na myśl Morze Śródziemne. Na lewo rozciągał się most prowadzący do nowocześniejszej dzielnicy miasta, gdzie niczym nagrobki wznosiły się beżowe i ceglaste wieżowce. Na głównych ulicach po obu stronach mostu stały nieruchome, porzucone autobusy, taksówki i inne pojazdy.

Lawson pomyślał, że choć widok ten jest nieznamy, to jednak nie nieziemski, rozpoznawał bowiem przedmioty i dostrzegał piętno kultury zbliżonej do jego własnej. Na krótką chwilę pozwolił nawet martwej bryle miasta oraz rozleniwieniu palm i bugenwilli wyprzeć z pola widzenia rozgrywający się na ulicach ludzki dramat.

Szybkim krokiem minęła go ciemnoskóra, owinięta w sari kobieta. Lawson uniósł dłoń. Wydobywając z odmętów pamięci pozostałości lekcji hiszpańskiego z liceum, krzyknął: „*Habla Español?*”. Kobieta tylko przyspieszyła, przechodząc z jednej strony na drugą i z powrotem... szła na oślep, najwyraźniej powodowana paniką i prostą potrzebą podjęcia jakichkolwiek działań.

Z kolei do czarnoskórego mężczyzny, siedzącego dalej na murku, Lawson krzyknął:

– To Hiszpania! Jesteśmy gdzieś w Hiszpanii! Mówi pan po hiszpańsku? Wie pan, co się stało?

Mężczyzna, z twarzą wykrzywioną w szyderczym grymasie, przypadł do murku niczym jaszczurka, wystawiając łokcie i mrużąc oczy. Bacznie przysłuchiwał się dźwiękowi, który stopniowo przybierał na sile od chwili, gdy Lawson otworzył oczy – całe miasto zawodziło. Z podwórek, bloków, tawern i placów wprost w błękitną obojętność dnia ulatywał nieharmonijny jęk, na który składało się wiele tonów. Murzyn w przepasce biodrowej najwyraźniej próbował je rozdzielić i odnaleźć te przeznaczone dla niego. Przechylił głowę.

– Hiszpania! – wrzasnął Lawson, przekrzykując wrzawę. – *España!*

Czarnoskóry mężczyzna posłał Lawsonowi spojrzenie, ale jego oczu nie rozjaśnił nawet najdrobniejszy błysk zrozumienia. Potrząsnął tylko głową, jakby chciał pozbyć się wszechobecnego zawodzenia, po czym nagle, nadal przyczajony niczym jaszczurka, zaczął tłuc głową o kamienie. Lawson z przerażeniem przyglądał się, jak tamten traci przytomność wskutek krwawego ataku na samego siebie.

Ale nikt prócz Lawsona tego nie widział. Gdy podszedł do mężczyzny, by sprawdzić, czy żyje, jego wzrok przyciągnął ruch w rzece. Na tłustych wodach przy murku unosiło się jakieś zawiniątko – dziecko ubrane jedynie w koszulkę. Jej troczki ciągnęły się za dzieckiem jak odcięte nogi chodzącego po wodzie. Lawson nie wiedział, czy w Hiszpanii w ogóle są chodzący po wodzie.

A tymczasem, nadal przybierająca na sile syrena przeciwlotnicza czterystu tysięcy ludzkich głosów przetaczała się nad wieżowcami i mauretańskimi ogrodami. Lawson przeklął ten dźwięk, zakrył uszy i zapłakał.

II

Miastem, w którym się znalazł była Sewilla. Rzeka nazywała się Gwadalkiwir. Od Lynchburga i rzeki James, nad którą Lawson dorastał jako najstarsze dziecko wędrownego, fundamentalistycznego kaznodziei, dzieliło go kilkaset mil i piekielnie wielki ocean. Nie można tam było dopłynąć, a myśl o najbliższych, oczekujących jego powrotu, prawdopodobnie była jedynie mrzonką o naturze zmienionej rzeczywistości świata. Nikt już nie znajdował się tam, gdzie powinien i Lawson zdawał sobie sprawę z tego, że szczęściem było samo ustalenie, gdzie jest. Większość przeniesionych do Sewilli uświadamiała sobie jedynie ogrom okrucieństwa swego wysiedlenia, ból rozstania z mężami, żonami, dziećmi, kochankami, przyjaciółmi... te uczucia oraz strach.

Wody Gwadalkiwiru niosły ciała niemowląt. Dzięki wcześniejszym podróżom po mieście skuterem, który znalazł nieopodal parku Jardines de Cristina, Lawson wiedział, że tysiące trupów dorosłych zalegało już na ulicach i w mieszkaniach. Były to ofiary pobicznych wyników paniki oraz własnych, poddanych nadmiernemu stresowi serc. Kto mógł wiedzieć, co tak naprawdę działo się w tym chaosie? Doszło do powtórki z Wieży Babel, a wraz z nią do całkowitego rozpadu wszelkich więzi rodzinnych i społecznych. Na każdym kroku napotykało się zasmarkane dzieci z jakiejś egzotycznej kasty, szlochające głośno bądź biegające między stosami zwłok i wykrzykujące imiona w obcym języku.

Co można było zrobić? Prowadząc skuter, Lawson albo ignorował mijane dzieci, albo przyglądał się im sprawdzając, jak bardzo przypominają jego córki.

Gdzie była teraz Marlena? Gdzie były Karen i Hannah? Tak jak pozostawał głuchy na płacz

dzieci, uniewrażliwił się na możliwe odpowiedzi. W uszach pobrzmiwał mu język niemiecki, chiński, bantu, rosyjski, celtycki i setka innych, gdy z warkotem przejeżdżał skuterem obok samochodów i autobusów ze zdezorientowanymi kierowcami. Też powinien był wybrać zamknięty pojazd. Gdyby ci sfrustrowani i rozwścieczeni kierowcy w szale wielojęzycznych wyzwisk postanowili go przejechać, uszłoby im to zupełnie bezkarnie. Kto by ich powstrzymał?

Być może jego żona i córki zginęły już w Stambule, La Paz, Mangalore, Boise lub Kaesongu z rąk ludzi, z których morderców uczynił strach bądź nieobecność mężczyzn w hełmach, z pistoletami i gumowymi pałkami. Możliwe, że Marlina i jego dzieci faktycznie już nie żyły... Jestem w Sewilli, powtarzał sobie Lawson podczas jazdy. Ustalił nazwę miasta zaraz po tym, jak wszedł na skuter i minął tablicę z napisem „*Plaza de Toros de Sevilla*”. Nieopodal rzeki stał duży, okrągły stadion, arena. Łamany hiszpański Lawsona pozwolił mu odszyfrować plakaty porozwieszane na murach: „*Corrida a las cinco de la tarde*”. (Garcia Lorca, pomyślał, choć nie był pewien, gdzie widział, czy słyszał to nazwisko). „*Sombre y sol*”. Tego ranka trzy lub cztery razy okrążył stadion skuterem, po czym ruszył w stronę centrum.

Lawson postanowił unikać nijakich wieżowców na przeciwległym brzegu Gwadalkiwiru, ale tak naprawdę nie miał też pojęcia, co robić po mauretańsko-gotyckiej stronie. Wiedział tylko, że przeraża go arena i jej uśpiony, śmiertelny potencjał. Z drugiej strony, jak zabrać się do zaprowadzania porządku w mieście, którego mieszkańcy nie zasiedlili z własnej woli?

Domyślał się, że pierwotna populacja Sewilli została rozrzucana po całym świecie niczym upuszczone z dużej wysokości pionki szachowe. Populacji wszystkich pozostałych społeczności ludzkich na Ziemi dotknęły podobne przesiedlenia. Rezultatem, jakby celowym, był chaos i cierpienie. Uszy próbowały odciąć słyszalny wyraz tego bólu, ale oczy nie pozwalały zapomnieć o poczuciu winy, wywołując nienawiść do siebie samego za ignorowanie zawodzącego, arabskiego dziecka, napadniętej Polinezyjki, czy błękitnookiego mężczyzny krwawiącego z dłoni, który modlił się w cieniu daszku domu handlowego. W zasadzie czuło się nienawiść do siebie za to, że się przetrwało.

Wczesnym popołudniem Lawson zsiadł ze skutera i oparł go o ścianę w pobliżu wejścia na Calle de Sierpes. Następnie zanurzył się w tłumie i uniósł prawą rękę nad głowę.

– Mówię po angielsku – zawołał. – *Y hablo un poco Español*. Niech wszyscy, którzy mówią po angielsku lub hiszpańsku, podejść do mnie.

Mężczyzna, który mógł być Wietnamczykiem, Kambodżaninem albo nawet Malezyjczykiem, ukradł skuter Lawsona i chwiejnym zygzakiem odjechał Ulicą Węży. Stojąca w drzwiach korpulentna blondyna o czerwonych policzkach posłała Lawsonowi gniewne spojrzenie, a dwunasto- lub trzynastoletni chłopiec, który okazał się być Włochem, uczepił się łapczywie paska Lawsona, szukając w dorosłym punktu oparcia i licząc na współczucie. Choć Lawson nie próbował odtrącić chłopca, unikał patrzenia mu w oczy.

– Angielski! Angielski tutaj. I *un poco Español tambien*.

Kawałek dalej na ulicy stał inny mężczyzna z ręką w górze, wykrzykujący coś głośno w którymś z języków słowiańskich. Udało mu się już przywołać dwie, czy trzy osoby. Na głównym pasażu handlowym tworzyły się strefy osób mówiących tym samym językiem i Lawson obawiał się, że podniósł rękę za późno, by położyć kres własnej izolacji. Co jeśli osoby znające angielski lub hiszpański zdążyły już utworzyć grupy walczące o przetrwanie? Co jeśli ruszyły już na wieś, gdzie rywalizacja o jedzenie i picie była pewnie nieco mniej drapieżna? W takim przypadku byłby zagubionym, samotnym Wirgińczykiem w tej Wieży Babel. Ograniczony w komunikowaniu swych potrzeb do języka migowego i gardłowych odgłosów, zginąłby bez śladu...

– *Signore* – krzyknął chłopiec uwieszony u jego pasa. – *Signore*.

Spojrzenie Lawsona powędrowało do twarzy chłopca.

– *Ciao* – rzucił, gdyż było to jedyne słowo po włosku, jakie znał (lub jedyne, które przyszło mu do głowy). Jego głos rozbrzmiał o wiele za głośno.

Chłopiec pokręcił głową i mocniej pociągnął pasek Lawsona. Słowa wysypywały się z niego niczym zawartość przeładowanej szafy w ciemnym pokoju, a żadnego nie udało się Lawsonowi wyodrębnić i rozpoznać.

– Angielski! – krzyknął Lawson. – Tutaj angielski!

– Facet, tutaj też angielski! – odpowiedział głos z tłumy kłębiącego się u wylotu ulicy. – Zaczekaj chwilę, idę tam.

Niski, umięśniony mężczyzna z dużą głową i nikłym podbródkiem z gracją wyłonił się z przerwy między ludźmi i wyciągnął do Lawsona rękę. Miał miażdżący uścisk. Po przywitaniu położył lewe ramię na małym Włochu uczepionym paska Lawsona. Chłopiec zamilkł i z otwartymi ustami wbił wzrok w nieznanego.

– Dai Secombe – powiedział mężczyzna. – Położyłem się spać w Aberystwyth, gdzie wykładam filozofię, a obudziłem się w Hiszpanii. Miło mi poznać, panie...

– Lawson – przedstawił się Lawson.

Chłopiec ponownie zaczął coś paplać, przenosząc rękę z paska Lawsona na wylóg flanelowej koszuli Walijczyka. Secombe chwycił dziecko za rękę.

– Mam cię, mały. W pubie bilardowym na tej ulicy zebrała się obszarpana ekipa twoich rodaków. Chodź, zaprowadzę cię. – Zerknął na Lawsona. – Niech pan tu na mnie zaczeka. Zaraz wracam.

Secombe zniknął wraz z chłopcem, ale niecałe pięć minut później Walijczyk wrócił. Ponownie się przedstawił.

– Położyć się w Aberystwyth i obudzić w Sewilli to cholernie wstrząsające przeżycie – stwierdził. – Cieszę się, że w ogóle żyję.

– Ma pan rodzinę?

– Tylko ojca. Ma osiemdziesiąt cztery lata.

– Ma pan szczęście... znaczy się dlatego, że o nikogo więcej nie musi się pan martwić.

– Możliwe – stwierdził Dai Secombe nieco cierpkim tonem.

– Wczoraj bym tak nie powiedział.

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie, a tymczasem jęk miasta przeszedł w mniej histeryczny, choć wciąż nieludzki szum. Ludzie przelewali się obok, przypatrywali się im z holów i balkonów, wyrabiając sobie o nich zdanie. Kątem oka Lawson dostrzegł pyzată kobietę w letnim stroju z jeleniej skóry, osuwającą się nagle i zapewne boleśnie na ulicę. Eskimoska – sam fakt był niemal komiczny – umierała, a dziecko ze szwajcarskim nożem sprężynowym zaczęło odcinać z jej szyi naszyjnik z zębów i muszelek.

Lawson odwrócił się od Secombea, by przyjrzeć się grabieży zwłok Eskimoski. Z wściekłością zdjął z ręki zegarek i rzucił nim w głowę chłopaka, ale nieco chybił celu, trafiając w ucho.

– Odejdź od niej, mały szakalu!

Kobieta o czerwonych policzkach, która wcześniej obrzuciła Lawsona gniewnym spojrzeniem, kopnęła chłopaka z nożem w tyłek, odpychając go na bok. Następnie podniosła rzucony przez Lawsona zegarek, zakasała spódnicę i wycofała się do ciemnego wnętrza kafejki, w drzwiach której wystawała.

– W tym klimacie, w tym środowisku Eskimosi nie mają szans – powiedział Dai Secombe

Lawsonowi. – Winne są temu w równej mierze czynniki psychologiczne, emocjonalne i fizyczne. Kilko innych mogło już umrzeć z podobnych przyczyn. Obawiam się, że niewiele możemy zrobić.

Lawson odwrócił się z powrotem w stronę Walijczyka z mieszaniną podziwu i pogardy. Jak na przestrzeni co najwyżej trzech lub czterech godzin ten kędzierzawy, niewielki mężczyzna nauczył się w tak niefrasobliwy sposób reagować na śmierć innych ludzi? Czy wystarczył do tego fakt, że niebo nadal było błękitne, a gmachy z innej epoki stały niewzruszone?

– Zupełnie niepotrzebnie stracił pan zegarek, panie Lawson – zauważył Secombe znacząco.

– Jak do diabła ta biedna kobieta tu trafiła? – rzucił Lawson, obejmując gestem całe miasto. – Jak wszyscy tu trafiliśmy? – Odór otwartych ran i pierwsze, słodkawe oznaki rozkładu zniweczyły jego zapał.

– Dobrze pytania – stwierdził Secombe, chwytając Lawsona za ramię i wyprowadzając go z Calle de Sierpes. – Szkoda, że nie znam na nie odpowiedzi.

III

Tego wieczoru jedli wspólnie smażoną rybę i pili piwo w brudnym, małym mieszkaniu nad sklepem, którego przeszklone gabloty pełne były lateksowych środków antykoncepcyjnych. Ryba pochodziła ze sklepu rybnego, którym zajęli się kobieta i mężczyzna z Grecji, czy Jugosławii, wcześniej prowadzący podobne sklepy w swoich krajach. Piwo mieli z jednego z bardziej ekskluzywnych barów na Ulicy Węży. Zarówno ryba, jak i piwo miały temperaturę pokojową, ale wcale nie ujmowało im to smaku.

Wraz z nadejściem wieczoru zawrodość, które za dnia przycichło do jęku, zaczęło ponownie rozbrzmiewać z pierwotną, pełną dozą smutku. Lawson pomyślał, że jeśli hałas był mniej drażniący niż rano, najprawdopodobniej oznaczało to, że liczba osób w mieście zmalała. Wiele zmarło, a jeszcze więcej, nie bacząc na odległość, wyruszyło w podróż powrotną do ojczyzny.

Lawson przeżuł kawałek *adobo* i popił go łykiem gorzkawego piwa Cruz del Campo.

– Czyż to nie cudowne? – odezwał się Secombe, oparty tyłkiem o płytki jedyne parapetu w pokoju. – Kolacja nad sklepem Durexa. I to w katolickim kraju.

– Zostałem wychowany jako baptysta – stwierdził Lawson, natychmiast uświadamiając sobie, że jego wyznanie było nie na miejscu.

– Och – rzucił Secombe. – To pewnie miał pan tyle kondomów, ile dusza zapragnie.

– Pewnie. Za ćwierć dolara. W łazience każdej stacji benzynowej.

– Przepraszam – powiedział Secombe z uśmiechem.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Lawson oparł się o chłodną, otynkowaną ścianę i wydał z siebie ostry jęk. Następnie, przedłużając ten dźwięk, zaczął ponownie, dodając swój rozżalony ton do smutnej harmonii unoszącej się już nad miastem. Niczym się nie różnił od wszystkich osamotnionych ludzi, którzy dzielili z nim ból, skupiając się na własnym.

– Czym się pan zajmował w... Lynchburgu? – zapytał nagle Secombe.

– Byłem rzecznikiem Urzędu do spraw Kombatantów. Odwiedzałem uczelnie wyższe i pomagałem ludziom rozwiązywać problemy związane z ustawą G. I. Bill. Miałem dopilnować... Jezu, Secombe, kogo to obchodzi? Tęsknię za żoną. Boję się, że moje córki nie żyją.

– Karen i Hannah?

– Trzy i pięć lat. Nauczyłem je grać w szachy. Karen radzi sobie na tyle dobrze, by mnie

pokonać, gdy oddam jej królową. Hannah wie, jak poruszają się figury, ale ma tylko trzy latka i brak jej cierpliwości siostry. Czasem zrzuca wszystko z szachownicy. Pionki wpadają pod sofę, koniki lądują głową w dół w dywanie...

– Lawson przerwał.

– Zrównuje je – stwierdził Secombe – tak jak i nas zrównano. Skoczek nie znaczy więcej od pionka, król jest równy gońcowi.

Walijczyk najwyraźniej miał nadzieję odepchnąć od siebie gorzkie ukłucie żalu. Ale Lawson odparł:

– Nie sędzę, byśmy zostali „zrównani”, Secombe.

– Naturalnie, że tak się stało. Proszę zgadnąć, kogo widziałem nieopodal katedry tuż po przebudzeniu.

– Bóg raczy wiedzieć.

– Bóg i Dai Secombe, proszę pana. Marksistowskiego dyktatora tego... no wie pan, maleńkiego afrykańskiego kraju, gdzie dopiero co doszło do zamachu stanu. Rozpoznałem kanałą dzięki programom telewizyjnym o tamtejszych czystkach. I oto stał tam, w białych drelichach i prążkowanej koszulce, przerażony, równie bezsilny jak ja i pan. Został bardzo zdecydowanie zrównany, Lawson, może mi pan wierzyć.

– Założę się, że jeszcze żyje.

Oczy Walijczyka załśniły nagłym zrozumieniem. Wyciągnął przed siebie zatłuszczony stożek z gazety ze sklepu rybnego.

– Jeszcze kawałek, Lawson? Proszę, został już tylko jeden.

– Zrównanie, Secombe, oznacza stanie się równym ze wszystkimi innymi. Ten dyktator, nawet pozbawiony urzędu, jest dorosłym człowiekiem. A co z niemowlętami? Kilkulatkami, nastolatkami? Albo ludźmi takimi jak tamta Eskimoska, którzy nie mają szans przetrwać w obcym środowisku nawet jeśli nikt nie próbuje ich skrzywdzić? Rano widziałem, jak mężczyzna rozbija sobie głowę o mur, bo rozejrzał się i pojął, że nie da tu sobie rady. Musiał stwierdzić, że trafił do piekła. Nie wiem. Ale na pewno nie miał takich samych szans jak my.

– Wiedział, że nie jest w stanie się przystosować.

– No właśnie. Więc niech mi tu pan nie wciska tych bzdur o zrównaniu.

Secombe odwrócił stożek z gazety i wyjął z niego ostatni kawałek ryby.

– Sam zjem. – Oznajmił, a przeżuwając dodał: – Nie wiedziałem, że baptyści z Wirginii mają taką swobodę wypowiedzi. No, no. To podkopuje moje założenia.

– Rozpadłem się.

– Jak my wszyscy.

Lawson dopił ciepłe piwo i cisnął butelką przez cały pokój, zasypując go okruchami bursztynowego szkła.

– Boże! – krzyknął. – Boże, Boże, Boże! – Kiedy płakał, niczym nie różnił się od trzech czwartych nowych mieszkańców Sewilli z przypadku. Dlaczego więc rzucał w stronę Walijczyka tak pełne skruchy i jednocześnie groźne spojrzenia?

– Proszę się nie krępować – powiedział Secombe, machając pustym stożkiem z gazety. – Sam mam trochę na to ochotę.

Rankiem, w uliczce przy sklepie ze środkami antykoncepcyjnymi, zaczęła ich beztraska kobieta w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat. W kaburze z lakierowanej skóry, przypiętej do paska spódnicy, miała pistolet wojskowy. Lawson uświadomił sobie, że swoją pozorną nonszalancję kobieta zawdzięcza wyglądowi i ruchom; oczy pobłyskiwały jej tym samym smutkiem i strachem, jaki widział u innych. Niemniej jednak, gdy tylko wyszli ze sklepu na brukowaną ulicę, podeszła do nich odważnie, przywołując Secombea, jakby byli starymi znajomymi.

– Opuścił nas pan wczoraj, panie Secombe. A czemuż to?

– Zobaczyłem, że wszystko rozpada się na kłiki.

– Rozpada się? Chyba chciał pan powiedzieć zespala się?

Secombe uśmiechnął się wymijająco i przedstawił kobietę Lawsonowi jako panią Alexander.

– To jedna z pana krajanek, Lawson... z Wyoming, czy czegoś takiego. Spotkałem ją wczoraj rano przed katedrą, gdy pierwsi samozwańcy muezini zaczęli zwoływać osoby mówiące tym samym językiem. Wówczas nie miała jeszcze pistoletu.

– Wzięłam go z posterunku Straży Obywatelskiej – wyjaśniła pani Alexander. – I muszę wam powiedzieć, że znacznie lepiej się z nim czuję. – Spojrzała na Lawsona. – Służysz pan w lotnictwie?

– Już nie. Obudziłem się tym stroju.

– Mój mąż jest lotnikiem. Czy raczej był. Stacjonowaliśmy w bazie Warren w Cheyenne. Tak w ogóle to pochodzę z północnej części stanu Nowy Jork. Obudziłam się w stroju, jak widać. – Czerwona spódnica do jazdy konnej, bluzka, wycięte buty na gumowej podeszwie. – Myślę, że chcieli nam dać najpraktyczniejsze rzeczy z naszych szaf, ale w niektórych przypadkach poszło im lepiej niż w innych.

– Im? – zdziwił się Secombe.

– Temu, kto to zrobił. Tak się tylko mówi.

– Czego pani chce? – spytał Secombe szorstko.

– Słównikiem dnia jest Exportadora – odparła z uśmiechem.

– Mamy nadzieję zebrać jak najwięcej anglojęzycznych osób w Exportadorze, punkcie handlowym w Sewilli dla amerykańskich żołnierzy i ich rodzin. To niedaleko stąd, trzeba iść na południe bulwarem.

Na kawałku papierowej torby pani Aleksander narysowała nieudolnie mapę i wyjaśniła, że jej mąż stacjonował kiedyś w Saragossie, na północy Hiszpanii. Wczoraj przypomniało jej się, że Sewilla to jedno z czterech hiszpańskich miast wspierających obecność wojska amerykańskiego i dzięki swemu uporowi i hartowi ducha dwóch dokładnie poinstruowanych deportów (skrót autorstwa pani Alexander) tuż przed zmierzchem znalazło amerykański BX (sklep w bazie wojskowej) oraz kantinę. Miejsca te padły łupem szabrowników z niewiarygodnie wielu krajów, wynoszących amerykańskie towary z wiekowych budynków. Deporci pani Alexander przegonili ich głośnym warkotem silnika zarekwirowanej taksówki i dźwiękiem klaksonu, co w sumie brzmiało niczym zapowiedź Armagedonu. W enklawie wkrótce zostało tylko dwóch mężczyzn w samochodzie. Następnie do uszu mówiących po angielsku osób z miasta dotarły wieści o istnieniu Exportadory, więc zebrały się tam i teren znów był pełen ludzi.

– Czy w Sewilli jest baza lotnicza? – spytał Lawson kobiety.

– Niezupełnie. Sama baza znajduje się bliżej Morón de la Frontera, jakieś trzydzieści mil stąd, ale to w Sewilli dzieją się najważniejsze rzeczy. – Po krótkiej chwili milczenia uniosła brwi i poprawiła się: – Działy.

Wetknęła narysowaną przez siebie mapę w dłoń Secombe'a.

– Proszę. Idźcie do Exportadory. Ja się jeszcze rozejrzę, może znajdę nas więcej. Dziś was

znalazłam jako pierwszych. Ale inni też szukają. Może wszystko wkrótce zacznie się wyjaśniać.

Secombe pokręcił głową.

– My. Oni. Wszyscy są teraz deportami. To przegrupowanie w oparciu o nadwerężone więzi kulturowe wydaje mi się pomyłką.

– Widzę, że zbratał się pan z Lawsonem?

– Jedynie z litości. Wyglądał na zagubionego. Poza tym człowiekowi potrzebny jest jakiś towarzysz... szczególnie w obcym miejscu.

– Pewnie. Dlatego właśnie słówkiem na dziś jest Exportadora.

– To pomyłka, pani Alexander.

– Czemu?

– Ośmielę się stwierdzić, że z tego samego powodu, dla którego pani tajemniczy „oni” uznali za stosowne w ogóle nas przesiedlić. Takie mam przeczucie.

– Stare więzi kulturowe zapewniają stabilność – oznajmiła pani Alexander żarliwie, a Lawson wziął od Secombe’a pomiętą mapę. – Chaos wokół nas nie zniknie póki ludzie nie stworzą grup... to naturalny proces, już się zresztą rozpoczął. Idąc rankiem wzdłuż rzeki sama widziałam kilka grup ludzi mówiących podobnymi językami, jak chowali zmarłych. Kościoły i kaplice w mieście też się zaczęły zapępniać. Naturalnie z samotni nadal dochodzi pełen przerażenia i rozpaczny lament, ale to przecież nie może trwać wiecznie. Ludzie albo się połączą, albo zginą. Ja nie chcę zginąć, panie Secombe.

– A kto chce? – wtrącił Lawson, poirytowany płytkim podtekstem metafizycznym tej wymiany zdań oraz irracjonalnością Secombea. Choć pani Alexander miała rację, nie musiała aż tak bronić swojego zdania. Mapa była jej najważniejszym wkładem w przywrócenie ładu w ich życiu i Lawson chciał, by pozwoliła im z niej skorzystać.

– Chodź, Secombe – rzucił. – Pójdziemy do Exportadory. To pewnie nasza jedyna szansa na powrót do domu.

– Nie mamy żadnych szans na powrót do domu, Lawson... już nigdy.

Zauważywszy, że pani Alexander chce spytać Walijczyka, dlaczego tak uważa, Lawson zrobił kilka kroków w głąb uliczki.

– Chodź, Secombe. Musimy spróbować. Co u licha by pan robił sam w tym wywróconym do góry nogami mieście?

– Pewnie szukałbym innego partnera do rozmowy.

Jednak po chwili Secombe stał już przy Lawsonie, pomagając mu odczytać rozmazane wskazówki na mapie pani Alexander, a sama kobieta, nim ruszyła z powrotem na Sierpes w poszukiwaniu kolejnych towarzyszy, zawołała:

– Piechotą dotrzecie tam w mniej więcej dwadzieścia minut. Powodzenia. I do zobaczenia później!

Gdy szli we wskazanym kierunku, minęli białe dziecko leżące w bramie podwórka zawieszzonego spłowiałym praniem i zasiedlonego przez bezpańskie psy. Dziewczynka miała głowę przykrytą płaszczem, ale najwyraźniej jeszcze oddychała. Lawson nie miał najmniejszej ochoty, by to sprawdzić i tylko stanowczo wbił wzrok w mapę.

Kiosk z gazetami w amerykańskiej enklawie nie został obrabowany. Drugiego dnia pobytu Lawsona w Exportadorze nadal można było w nim znaleźć niezłe książki, najświeższe amerykańskie dzienniki i magazyny rozrywkowe, a także wiele tabloidów, w tym gazetę wojskową „Stars and Stripes”. Nikt nie wiedział, jak stare są te wydawnictwa, gdyż nikt nie wiedział, ile trwało przenoszenie ludzi z całego świata. Jak długo wszyscy spali? A co ze strefami czasowymi oraz różnymi godzinami przebudzenia osób mieszkających w jednej strefie? Teraz były to już tylko kwestie akademickie, gdyż najwyraźniej przeniesienie objęło wszystkich, co do jednego, ludzi żyjących na Ziemi.

Przekartkowując „Stars and Stripes”, trafił na artykuł o problemach nękających szpitale wojskowe. Ilu chorych na świecie obudziło się na zewnątrz, skazanych na śmierć wskutek braku koniecznej opieki? Zapach rozsypanego tytoniu i roztopionych miętówek Life Savers sprawiał, że kiosk z gazetami był doskonałym miejscem do rozmyślań nad tymi tragediami i nawet gdy dręczyło go sumienie z powodu czekających na niego, zniecierpliwionych deportów, Lawson uparcie przerzucał strony gazety.

W drzwiach pojawiła się przysadzista sylwetka Secombea.

– Myślałem, że szuka pan miejscowej mapy samochodowej.

– Już znalazłem, przeglądam wiadomości.

– Chodźmy, proszę. Wszyscy są gotowi do drogi.

Lawson wyszedł za Secombeem na zewnątrz, gdzie bezlitosne, andaluzyjskie promienie słoneczne załamywały się niczym niewidzialne fale przyboju na chodniku i uderzały o karoserię autokaru Bluebird, należącego do lotnictwa USA. Lawson pamiętał obóz letni w bazie lotniczej Eglin nad Zatoką i podróże autokarem z baraków o minimalnym standardzie, gdzie mieszkał jego dywizjon przechodzący szkolenie wojskowe dla oficerów rezerwy, do obozów przetrwania na bagnach. Ułynęło już wiele czasu, ale ten Bluebird mógł pochodzić z jeszcze dawniejszej epoki. Przypominał wielkie pudło i sprawiał wrażenie zażenowanego, jak autokary zjeżdżające z linii produkcyjnej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Boki wyglądały, jakby zrobiono je ze zwichrowanej blachy, a nie stali. Pasażerowie pootwierali wszystkie okna i wiele osób siedzących po stronie kierowcy patrzyło, jak Secombe i Lawson zbliżają się do pojazdu.

– Ruszyć dupy! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Niech no wiatr trochę przewieje tego grata, nim się wszyscy, cholera, podusimy.

– Niech się pan tak dalej drze – doradził mu Secombe. – Powinno wystarczyć.

Autokar zajmowała zbieranina Amerykanów, Brytyjczyków i Australijczyków oraz dwóch, czy trzech Europejczyków mówiących po angielsku i na dokładkę Hindus, który studiował w Oxfordzie. Lawson usiadł na siedzeniu na jednym z tylnych kół, a Secombe wcisnął się na miejsce obok. Kilka osób się przedstawiło; inni, pogrążeni w niespokojnej zadumie, po prostu ich zignorowali. Niepokojący był fakt, że w grupie brakowało dzieci. Było mniej więcej tyle samo kobiet, co mężczyzn, ale najmłodsi pasażerowie mieli po kilkanaście lat.

Lawson otworzył mapę Hiszpanii południowej, którą znalazł w kiosku i powiódł palcem po drodze prowadzącej z Sewilli do dwóch niewielkich enklaw amerykańskich za miastem – Santa Clary i San Pablo. Dalej na południe leżał Jerez i Kadyks, miasto portowe. Serce Lawsona pełne było obaw – nazwy na mapie były tak przesiąknięte obcością i tak go onieśmiały, że ogarnęła go rozpacz.

Czarnoskóra kobieta siedząca na prawo mniej więcej w połowie długości autokaru szlochała, wycierając oczy w rąbek bluzki, a mężczyzna przycupnięty na długiej kanapie z tyłu zakrywał uszy dłońmi, pochylając głowę tak, że dotykała kolan. Lawson złożył mapę i wcisnął ją między siedzenie a ściankę autokaru.

– Wspólnym mianownikiem nie jest tu wcale język angielski – wyszeptał Secombe. – Tylko to, przez co przechodzimy.

Bluebird, prowadzony przez jednego z pierwszych poszukiwaczy pani Alexander, lekarza z Ivanhoe w Nowej Południowej Walii, wystrzelił do przodu. Po chwili opuścił Exportadorę i zaczął się tłuc po szerokiej drodze prowadzącej za miasto.

– A nasze cierpienie – szeptał dalej Secombe – jednoczy nas z tymi wszystkimi biedakami, którzy snują się po ulicach lub śpią z twarzą we własnych wymiocinach. Poczul pan to tego wieczoru nad sklepem z kondomami, Lawson. Kiedy mówił pan o córkach, ja to wiem. Czemu więc tak panu spieszo do szukania czegoś, czego prawdopodobnie pan nie znajdzie? Skąd ta gotowość do zjednoczenia się ze sztuczną rodziną zrodzoną z katastrofy? Sądzi pan, że złapie lot do Lynchburga? Myśli pan, że facet za kółkiem tego blaszanego wozu kiedykolwiek dotrze cało i przy zdrowych zmysłach do Australii?

– Secombe...

– Proszę odpowiedzieć, Lawson.

Lawson potrząsnął kolanem Walijczyka.

– Nie dręczylby mnie pan tak, gdyby sam miał rodzinę. Co niby mamy zrobić? Zostać tu na zawsze?

– Nie wiem. – Secombe zdjął rękę Lawsona z kolana. – Ale mam ojca, z którym jestem bardzo związany. Proszę posłuchać, teraz wszystko *powinno* się zmienić. Nie powinniśmy natychmiast próbować przywrócić tego, co już było.

– Cholera. – Lawson oparł głowę o krawędź otwartego okna.

W głębi miasta rozległ się ostry dźwięk strzałów. W odpowiedzi na huk i z uwagi na wózki z warzywami oraz samochody barykadujące ulicę kierowca autokaru wziął zakręt, jakby prowadził samochód wyścigowy. Autokar zabrzączał i zaterkotał. Ze zgrzytem przeciął skrzyżowanie przed kamiennym mostem, przeskoczył nad nim niczym żywa istota i z rykiem wjechał na półprzemysłowe przedmieście, gdzie swoje ogromne, konkurencyjne reklamy wywiesiła rozlewnia coca-coli i miejscowy browar.

Na dachu jednego z budynków siedział mężczyzna z karabinem, strzelający na chybił trafił do każdego, kto znalazł się w zasięgu jego wzroku. Wokół leżało już kilkoro zabitych. Wkrótce pękła przednia szyba autokaru, inny pocisk odbił się od boku pojazdu i wszyscy pasażerowie zaczęli krzyczeć lub płakać. Gdy Lawson ponownie spojrzął do przodu odkrył, że na przedniej szybie wykwitła misternie porwana pajęczyna.

Bluebird przechylił się na bok, ale lekarz z Ivanhoe przywrócił go do pionu i skręcił na autostradę prowadzącą na lotnisko San Pablo. Tutaj autokar zaczął jechać równym rytmem, który sprawił, iż ostatni incydent z Sewilli – pomijając popękane szkło – zdawał się być jedynie lepkiem posmakiem koszmaru. W końcu byli na właściwej drodze... być może.

– Jeszcze jeden dobry powód, by próbować wrócić do domu – stwierdził Lawson.

– Na jakiej podstawie pan sądzi, że w domu będzie inaczej?

Lawson odwrócił się w stronę Walijczyka.

– Myślałem, że wierzy pan, iż ta zmiana stanowi jakiegoś rodzaju *poprawę*.

– Być może tak jest. Lub będzie.

Lawson prychnął lekceważąco i posłał gniewne spojrzenie gajowi oliwnemu, przesuwającemu się za oknem po lewej. Kto zbierze plony? Ponownie uruchomi wytwórnie samolotów, gorzelnie, zakłady chemiczne i włókiennicze? Kto dopilnuje zasiania ziaren na pustych polach?

Może i Secombe miał rację. Może uciekając do domu, ucieka się od świeżej rzeczywistości?

Skutki nastania tej nowej rzeczywistości szybko nie znikną bez względu na to, co się zrobi, tymczasem próby przywrócenia wcześniejszego porządku mogą doprowadzić do jeszcze większej entropii niż zaakceptowanie obecnego chaosu i próba zahamowania go. Ale jak najlepiej go zahamować? Próbując wrócić do domu?

Lawson pomyślał o Marlenie, Karen i Hannah; o spowitej mgłą kolebce Blue Ridge. O Boże! Do tamtego kraju o wiele łatwiej było się dostroić niż do posepności białego nieba nad tą andaluzyjską doliną. Jeśli tu zostaniesz, pomyślał Lawson, ból *nigdy* cię nie opuści.

Minęli Santa Clarę, dzielnicę mieszkaniową oficerów i podoficerów stacjonujących w bazie lotniczej Morón. Schludnie przycięte żywopłoty, aluminiowe latarnie i niskie domki z wiatami i panoramicznymi oknami sprawiały, że Santa Clara przypominała miejscowość dla klasy średniej w pobliżu New Jersey lub Ohio. Jednakże cały obszar spowijały kłęby czarnego dymu, a ludzie na ulicach i trawnikach zdecydowanie nie byli Amerykanami. Przypominali Holendrów z RPA, Indian z plemion amazońskich, Polaków, Etiopczyków i Bóg jeden wie kogo jeszcze. Jedyne, co Lawson był w stanie wydedukować z dużą dozą pewności było to, że kilkoro z nich wprowadziło się do pustych domów – być może po tym, jak się w nich obudzili – a pozostali porozpalali w okolicy bezcelowe ogniska. Jako że nie było wiatru, ogniska paliły się z nieznośną niespiesznością.

- Mała Ameryka – stwierdził Secombe.
- To na Antarktyce – odparł Lawson sarkastycznie.
- Fakt. Bez względu na to, gdzie się akurat znajduje.
- Chrzań się!

Zmierzali teraz do San Pablo, gdzie Amerykanie mieli szpital, bibliotekę, kino, bar szybkiej obsługi, kantinę oraz – na spółkę z Hiszpanami – niewielkie lotnisko komercyjne i wojskowe. Do San Pablo zostało już tylko kilka mil i Lawson rozważał próbę dostania się do Portugalii. Zakładając, że znalazłby się w Lizbonie, jaką miałby szansę na pokonanie Atlantyku drogą morską lub powietrzną i dotarcie do jednego z miast na wybrzeżu USA? Jedną na sto? Jedną na tysiąc? Jeszcze mniejszą?

Kilka rzędów za kierowcą, Anglik ze schludnymi wąsami i Amerykanka z południowo-wschodnim akcentem dyskutowali o korzyściach płynących z ominięcia San Pablo i udania się na należący do Brytyjczyków Gibraltar. Anglik był przekonany, że Gibraltar musiał jakoś uniknąć wstrząsu, jaki dotknął reszty świata, co według Amerykanki było niedorzecznym pomysłem. W sprzeczkę wdało się pięciu, czy sześciu innych pasażerów. Kierowcy wreszcie skończyła się cierpliwość, oparł się łokciem o klakson i nie zdjął go, póki wszyscy się nie zamknęli.

– Jedziemy do San Pablo – oznajmił. – Nie na Gibraltar, ani nigdzie indziej. A kiedy tam dotrzemy, samolot już będzie na nas czekał.

VI

Czekały nawet dwa samoloty, połatane DC-7, które niegdyś należały do hiszpańskich linii lotniczych Iberia. Pani Alexander jednego pilota zwerbowała pośród deportów, którzy stawili się w Exportadorze; drugi, emerytowany pilot linii TWA z Riverside w Kalifornii, dotarł na lotnisko dzięki wcześniejszej znajomości Sewilli i amerykańskich obiektów wojskowych. Obaj mężczyźni palili się do powrotu do domu, jeden z przystankiem w Lizbonie, a drugi w nadziei na dotarcie na Wyspy Brytyjskie przez Madryt. Planowali dowieźć pasażerów do odrzutowców w miastach posiadających bardziej kosmopolityczne lotniska i nikt nie wspominał o już piętrzących się przeszkodach na drodze

do powodzenia: chaosie społecznym, opóźnieniach, nieprawidłowej komunikacji, braku paliwa, usterkach mechanicznych, wątpliwościach i niewiedzy oraz tysiącu innych rzeczy.

O zachodzie słońca Lawson stanął z Dai Secombe'em przy siatkowym ogrodzeniu wyboistego pasa startowego. Światło zmierzchu migotało odbite od skrzydeł DC-7. Dwa stare samoloty, skąpane w przytłumionym blasku, wyglądały uroczonie. Choć pani Alexander powiedziała deportom, że muszą spędzić noc w kinie, by dać autokarowi czas na przywiezienie reszty osób z Exportadory, Lawson naprawdę wierzył, że zmierza do domu.

– Do widzenia – zwrócił się do niego Secombe.

– Do widzenia? A, leci pan innym lotem?

– Nie, odchodzę, Lawson... w tej chwili.

– Dokąd pan idzie?

– Z powrotem do miasta.

– Jak? Po co?

– Pójdę pieszo. A jeżeli chodzi o przyczyny, związane są z uspokojeniem tych „ich” pani Alexander i ustaleniem, co się z nami wszystkimi stanie. Myślę, że Sewilla to właściwe do tego miejsce.

– To czemu w ogóle tu pan przyjeżdżał?

– Żeby się pożegnać, cholerny imbecylny. – Secombe chwycił dłoń Lawsons i potrząsnął nią serdecznie. – Skoro nie udało mi się sprawić, byś zmienił zdanie.

Z tymi słowami odwrócił się i ruszył wzdłuż ogrodzenia, aż znalazł drogę biegnącą obok kantyny i zniknął za skomplikowaną płataniną ramp rozładunkowych budynku. Po jakimś czasie wyszedł z drugiej strony, jednakże na tle rozległego hiszpańskiego nieba idąca postać szybko stała się jedynie smugą w ciemnościach.

– Żegnaj – powiedział Lawson.

Noc spędził w towarzystwie aż sześćdziesięciu innych osób w kinie w San Pablo, rozparty w niewygodnym fotelu kinowym. Jakiś nastolatek nalegał na wyświetlenie wszystkich starych filmów leżących nadal w metalowych pudełkach w kabine projekcyjnej i tylko kilka osób sprzeciwiło się temu pomysłowi. Lawson obudził się raz w środku „Czasu Apokalipsy”, a później w trakcie „Mechanicznej pomarańczy” Kubricka. Widok na ekranie lodu, wydm śniegowych rozciągających się aż po horyzont, przyprawił go o dreszcze, dotykając bolesnego wspomnienia.

– Mała Ameryka – wymamrotał i z powrotem pogrążył się we śnie.

VII

Lawson czekał wraz z pasażerami lecącymi do Lizbony przy tym samym ogrodzeniu, przy którym stał z Secombeem. Uruchomiono silniki samolotu i śmigła zawirowały. DC-7 lecący do Madrytu miał wystartować później – wciąż było w nim kilka wolnych miejsc, a pani Alexander była pewna, że w mieście znajdą się jeszcze anglojęzyczni deporci.

Ludzie wokół Lawsons szeptali między sobą. Silniki ich samolotu wybawcy były niczym syreny, a pas startowy zdawał się drżeć. Jakże zboleła są oczy kobiet, pomyślał Lawson, a mężczyźni są obdarci jak robotnicy dorywczy na kolei. Dotknął podbródka i uświadomił sobie, że wcale nie jest bardziej zadbany od swych towarzyszy. Tak jak oni ze zniecierpliwieniem oczekiwał uniesionych w górę kciuków, potwierdzających, że samolot przeszedł ostatecznie, podstawowe testy naziemne.

Przynajmniej nie jesz czipsów ziemniaczanych o dziesiątej rano, pomyślał i z obrzydzeniem oddalił się od mężczyzny z odstającymi uszami, który właśnie to robił.

– Jest tu więcej osób, niż może zabrać nasz samolot – oznajmił chrupiący czipsy. – To może być niebezpieczne.

– Ale do Lizbony nie jest aż tak daleko – odparła jakaś kobieta. – Poza tym, nikt z nas nie ma bagaży.

– No tak, ale... – Mężczyzna zakrztusił się czipsem. Odwracając głowę, Lawson stwierdził, że słowa mężczyzny nabrałyby wymowy tylko gdyby zaproponował, że odbędzie podróż *pod* samolotem, w luku bagażowym.

Wkrótce nadszedł sygnał do wejścia na pokład i mężczyzna z odstającymi uszami nie zdołał dokończyć swego wywodu. Cisnął na ziemię celofanową torebkę, która szeleściła, deptana stopami ludzi pchających się przez bramę na trawiasty skraj pasa startowego.

Chcąc zapisać w pamięci obraz San Pablo, Lawson odwrócił się i ruszył przez lotnisko. Tyły osłaniało czterech mężczyzn z bronią automatyczną, najprawdopodobniej znalezioną na posterunku policji lotniczej. Tak jak Lawson, mężczyźni się cofali, mierząc z broni do dziwacznej grupki ludzi, która właśnie wyrosła jak spod ziemi przy ogrodzeniu.

Jedna z osób miała na sobie tylko postrzępione szorty. Inna ubrana była w sięgający kostek burnus, a jeszcze inna w spodnie przewiązane sznurkiem. Do siatki przypadła młoda kobieta o sarnich oczach, nagich piersiach i bransoletkach z koralami barwy wiśni. Inni uchodźcy szli wzdłuż ogrodzenia niczym zdesperowane duchy, jak gdyby przyciągał ich ryk silnika. Gdy pierwsi członkowie grupy Lawsona weszli na pokład, pojawiło się jeszcze więcej tych duchów: nomadzi, myśliwi, pomocnicy murarza, rybacy, pasterze. Najwyraźniej wszyscy rozumieli, do czego służy samolot, a jeden wyjątkowo śniady mężczyzna zaryzykował wejście na pas startowy z rękoma wyciągniętymi w błagalnym geście.

– Gdzie wy jechać? – spytał. – Gdzie wy jechać?

– Cofnij się! – ryknął mężczyzna z karabinem. – Zaczekaj na następny lot!

Jasne, pomyślał Lawson, ten do Madrytu. Zatrzymał się u podnóża schodów pasażerskich. Mężczyzna z odstającymi uszami, amator czipsów, kiwnął szorstko głową.

– Niech pan lepiej wsiada! – zawołał, próbując przekrzyczeć potężne czkanie silników. – Zanim to niepożądane towarzystwo zacznie nam deptać po piętach!

– Pan przodem – Lawson odsunął się z drogi.

Za śniadym mężczyzną naprzykrzającym się strażnikom i proszącym o miejsce w samolocie, tego samego zaczęło się domagać trzydzieści lub czterdzieści osób, których łączyło jedynie przemożne pragnienie ucieczki.

– Gdzie wy jechać? Gdzie wy jechać? – krzyczeli najodważniejsi i najbardziej zdesperowani z nich, ale w zasadzie wszyscy chcieli wsiąść do samolotu, do którego roszczenia zgłosiła już grupa pani Alexander. Śniady mężczyzna puścił się biegiem w stronę maszyny. Choć krzyki innych osób pozostały umiarkowanie błagalne, strażnicy uznali, iż doszło do bezpośredniego ataku.

Niczym uderzenie w blaszany dach, nad lotniskiem przetoczył się warkot serii z broni maszynowej. Mężczyzna, który krzyczał „Gdzie wy jechać?” upadł na twarz. Inni padali na ziemię wokół niego, w tym kobieta z koralowymi bransoletkami. Zachecony takim dowodem na śmiertelność napastników, jeden ze strażników ostrzelał ogrodzenie zakończone drutem kolczastym, kładąc trupem część uciekających osób. W jednej chwili rozległy się wrzaski ludzi i przygnębiający dźwięk trafionego pociskiem drutu. A potem nagle zaległa niepokojąca cisza.

– Wsiadaj do samolotu! – krzyknął strażnik do Lawsona, który jako ostatni został na ziemi.

Strażnik chciał odsunąć schody od samolotu.

– Raczej dziękuję – odparł Lawson.

Kuląc się niczym człowiek pod ostrzałem, pobiegł do bramy i leżących w niej ciał zabitych. Wydarzenia, których przed chwilą był świadkiem w przerażający sposób przywołały na myśl ogromną część historii najnowszej, a on już nie chciał być jej częścią. Poza tym, samolot za jego plecami zdawał się być obłożonym żelazem symbolem brzemienia, którego chciał się pozbyć, nawet jeśli obiecywał również powrót do domu.

– Hej, gdzie do cholery idziesz?

Lawson przeszedł ostrożnie między zwłokami na skraju pasa startowego, zatrzymał się po drugiej stronie ogrodzenia i ze wzrokiem zamglonym złością i niedowierzaniem odwrócił się, by patrzeć, jak DC-7 kołuje po porośniętym krzakami pasie aż do końca lotniska. Tam samolot zawrócił i ruszył z powrotem. Wkrótce toczył się po pasie niczym ogromną, metalową ważką nabierającą prędkości. Opony zapiszczały na ostatnich wybojach i maszyna oderwała się od ziemi, a Lawson wstrzymał oddech.

Prawe skrzydło odłamało się i uderzyło o ziemię, roztrzaskując się niczym kawałek drewna balsa. Następnie samolot zaczął koziolkować na końcu pasa, aż wypadł na ponure pole, gdzie w płomieniach stanął kadłub i drugie skrzydło. Lawson słyszał pasażerów smażących się w tym piekle i czuł zapach palonego ciała i paliwa.

– Jezu – rzucił.

Odkoczył od ogrodzenia, przebiegł niewielki trawnik za biblioteką San Pablo i dołączył do grupy, która dopiero co zbiegła przed ostrzałem z broni automatycznej anglojęzycznych strażników. Dogonił tych ludzi na autostradzie prowadzącej z powrotem do Sewilli i szedł między nimi, jakby był jednym z nich. Choć kilkoro z uchodźców rzucało podejrzliwe spojrzenia na jego mundur, nikt mu nie powiedział, że to nie jego miejsce, ani nie zagroził poderżnięciem gardła.

Z takim samym poczuciem winy wymalowanym na twarzy i równie egzotycznie nijaki jak jego towarzysze, Lawson patrzył na swoje tenisówki przemierzające drogę niczym stopy mechanicznej zabawki. Co będzie robił po powrocie do Sewilli? Jeśli dopisze mu szczęście, unikał kul i jadł smażoną rybę. Znowu będzie rozmawiał z Secombeem, jeśli uda mu się go odnaleźć. A przy odrobinie rozsądku, wyznaczy sobie w życiu cel inny niż beznadziejna próba powrotu do Lynchburga. Jaki cel? A jaki można mieć cel poza podstawowym, zwierzęcym instynktem nakazującym unikać śmierci?

– Głodni? – spytał.

Ludzie posłali mu sceptyczne spojrzenia.

– Głodni? – powtórzył. – *Tiene hambre?*

Angielski? Hiszpański? Niczego nie rozumieli. Jakimi językami mówili ci zagadkowi uchodźcy? Wszystko wskazywało na to, że już wcześniej próbowali ze sobą rozmawiać, ale odkryli, że to niemożliwe, więc tylko wolno przemierzali drogę pod gorącym, andaluzyjskim słońcem, porozumiewając się za pomocą gestów i życzliwych chrząknięć. Dlatego też Lawson przyłożył palce do ust i kłapał zębami, co miało ilustrować przeżuwanie.

Ludzie go zrozumieli. Bosy mężczyzna w luźnej, lnianej koszuli i spodniach sprowadził Lawsona z drogi do sadu pomarańczowego. Zielone owoce były kwaśne, ale cała grupa zajadała się nimi, nie zważając na sok ciekący im po rękach. Gdy wrócili na drogę, uczucie sytości wyparło z myśli Lawsona zmartwienia.

W głowie kołatała mu się już tylko obawa, że kiedy dotrze do miasta, nie będzie wiedział, co zrobić. Majaczyło mu też mgliście pytanie, czy drugi lot, ten do Madrytu, dotrze bezpiecznie do celu, choć kwestia ta zdawała się być teraz bez znaczenia. Otarł usta i podjął mozolny marsz u boku swych

towarzyszy.

VIII

Mieszkał nad sklepem ze środkami antykoncepcyjnymi. Rankami przechodził przez uliczkę do piekarni prowadzonej przez kobietę o łagodnych, mongolskich rysach. W zamian za dzienną porcję chleba i artykuły uzyskane drogą handlu wymiennego, zamiatał piekarnię, zmywał naczynia i stał za ladą. Jego najcenniejszą umiejętnością była zdolność porozumiewania się z tymi, którzy przychodzili coś kupić. Z niesamowitą łatwością przyswoił kilka odmian języka migowego, a czasem przyłapywał się na używaniu monosylabicznej gwary, której pochodzenia nie pojmował. Niekiedy sądził, że sam ją wymyślił, a kiedy indziej, że nauczył się jej od przeszczepionych sewilczyków, pomiędzy którymi teraz żył. Z drugiej strony, angielski powoli wyciekał mu z pamięci niczym gęsta ciecz nie do odzyskania.

Minęły trzy, czy cztery tygodnie chaosu po Zmianie i wszystko zaczęło przebiegać zgodnie z naturalnymi kolejami rzeczy, co było dla Lawsona ogromnym zaskoczeniem. Ale tak właśnie się stało. Można się było położyć wieczorem na sienniku, nie słysząc strzałów i bez obawy, że jakiś dziwak spod ciemnej gwiazdy podpali klatkę schodową. Nawet jeśli działały jeszcze dość niestabilnie, przywrócono większość podstawowych mediów – elektryczność, wodociągi i kanalizację, a ze wsi ponownie przywożono artykuły rolne. Ludzie wrócili do zajęć, które znali najlepiej, a ci, których wcześniejsza praca miała niewiele wspólnego z codziennymi czynnościami koniecznymi do przetrwania, zaczęli uczyć się zawodu murarza, stolarza, piekarza, rybaka, a nawet wodociągowca, czy energetyka. Nikogo nie niepokoił, ani nikomu nie wydawał się dziwny fakt, że kobiety i mężczyźni żyli osobno, a dzieci były równie rzadkie jak szafiry. Powstawał nowy model. Żyło się między towarzyszami bez napięć i kłótni, nie tworząc żadnych ryzykownych, bliskich związków.

Pewnej nocy, stojąc przy oknie, Lawson zauważył poluzowaną płytkę. Oderwał ją i położył na podłodze. Przez niemal dwa miesiące co wieczór podważał co najmniej jedną płytkę i, uważając, by jej nie ukruszyć, ani nie połamać, układał pod ścianą na stosie tych, które oderwał wcześniej.

Gdy po ukończeniu tego zadania kładł się wieczorami na sienniku, często słyszał dobiegający z miasta głos kobiety lub mężczyzny, śpiewający wysoką, słodką piosenkę, której słów nie był w stanie zrozumieć. Czasem odpowiadała sobie para głosów, zawsze w różnych językach. Pod koniec lata, gdy przyglądał się listwom i belkom ściennym, które metodycznie obnażył, pod wpływem impulsu zaczął śpiewać własną pieśń. A śpiewał ją nie wiedząc, co znaczy.

Dni robiły się coraz chłodniejsze. Lawson często wychodził z piekarni, gdy była zamykana po południu i szedł Calle de Sierpes do winiarni naprzeciwko areny. Brygada cichych robotników, pracująca wytrwale pomimo braku szefa, rozbierała Plaza de Toros, co Lawson z przyjemnością obserwował, popijając wino i jedząc paluszki chlebowe, które miał zawsze przy sobie.

Inne brygady, rozsiane po całym mieście, rozbierały budynki rządowe, banki i latynoskie kaplice, do których nikt już nie chodził. Cegły, płytki i belki zachowywano jakby na poczet przyszłej, jeszcze niesprecyzowanej budowy. Do tego czasu Lawson sam rozebrał tylną ścianę swojego pokoju nad sklepem ze środkami antykoncepcyjnymi, więc mocno identyfikował się z robotnikami patroszącymi arenę z barierek i przepierzeń. Naturalnie w końcu wszystko musi runąć... wszystko.

Zacząła się pora deszczowa, czas wiatru i chłodu. Lawson nadal odwiedzał ogródek winiarni w

pobliżu ruin stadionu. Jako że burzenie areny trwało nieprzerwanie nawet podczas deszczu, zakładał niedawno kupiony płaszcz i znajdował stolik osłonięty daszkiem. Tam zazwyczaj siadał.

Pewnego wietrznego, mokrego dnia otrząsnął parasol i zobaczył, że na jego miejscu siedzi jakiś mężczyzna, a na stoliku połyskuje woskowana plansza podzielona na kwadraty – Witaj, Lawson – rzucił intruz.

Lawson oblizwał wargi. Choć od pewnego czasu nie myślał o rodzinie i nawet zaczął się zastanawiać, czy faktycznie był niegdyś mężem i ojcem, twarz Dai Secombea czasem majaczyła mu przed oczami w mroku jego pokoju. Jednakże w tej chwili Lawson nie był w stanie przypomnieć sobie nazwiska Walińczyka, ani jego narodowości i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Pierwsze słowo, jakie z siebie wydobył, brzmiało niczym mamrotanie przez sen lub głos puszczoney na fonografie od tyłu. Żeby się przywitać, musiał znieść niemal komiczne upokorzenie dziecinnego machnięcia ręką.

Secombe wskazał planszę, sugerując, by zagraли. Z rzeźbionego, drewnianego pudełka wyłożonego aksamitem wyjął na stół bierki i zaczął je układać po obu stronach planszy. Szachy, pomyślał Lawson, choć tak naprawdę nie rozpoznawał figur... wyglądały inaczej, niż według niego powinny. A gdy nadeszła pora na jego ruch, Secombe musiał mu wyjaśnić, jak poruszają się poszczególne figury i pionki i dopiero wtedy Lawson był w stanie wykonać jakiegokolwiek, choćby najbardziej zachowawcze posunięcie. Figura niemal przypominająca mu skoczka przesuwała się wedle dwóch różnych zasad w zależności od tego, czy zaczynała ruch z czarnego, czy białego pola. Tymczasem wieże mogły czasem „przeskoczyć” nad figurami przeciwnika, ale nie zawsze. Zasady gry wykraczały poza jego zdolność pojmowania. Po dziesięciu, czy dwunastu ruchach odsunął krzesło, by napić się gorzko-słodkiego wina. Deszcz zacinął niczym niekończąca się kurtyna rozpluwających się kropli.

– Nie szkodzi – powiedział Secombe. – Sam też nie do końca wszystko rozumiem. Jeden Bhutańczyk niedaleko miejsca, w którym mieszkam zrobił te bierki i niedawno nauczył mnie grać.

Lawson z trudem sformułował pytanie:

– Czym się pan zajmuje?

– Rozbiórkami. Wkrótce wszyscy będziemy się tym zajmować. To jedyna naprawdę konstruktywna praca, jaką można wykonywać. – Walińczyk dopił wino i wstał. Wziął swój parasol i pożegnał się jednym słowem. Gdy Lawson próbował je powtórzyć odkrył, że nie niesie ze sobą żadnego znaczenia.

Każdego popołudnia posępnej zimy Lawson wracał do tego samego stolika, ale Secombe już się nie pojawił. Lawson nie tęsknił za nim zbyt wiele. Przywykł do dziwnego bogactwa własnego towarzystwa. Poza tym, gdy chciał z kimś porozmawiać, wystarczyło stanąć za ladą piekarni.

IX

Rozkwitła wiosna. Rozebrał już wszystkie ściany w pokoju i gdy wchodził po schodach ze sklepu z gumkami, bawił go widok porcelanowego kielicha sedesu.

Tynk, który zdrapał, naturalnie nikomu nie mógł się już przydać, ale ocalił przed wysypiskiem wszystkie rzeczy warte zachowania. Wraz z powrotem przyjemnej pogody mężczyźni wyszli na ulice i uliczki z wózkami ciągniętymi przez woły, by zebrać te rzeczy. Już nie widywało się nikogo w pojazdach silnikowych, zapewne dlatego, że zimą większość z nich padła łupem zbieraczy.

Naturalnie pewną rolę odegrał również brak paliwa i części zamiennych, ale w gruncie rzeczy ludzie nie chcieli już mieć do czynienia z silnikami spalinowymi. Wyeliminowanie zanieczyszczenia powietrza i hałasu nie miało z tym nic wspólnego. Osoba z łajnem na butach lub ganku nie uwierzyłaby, że doszło do znacznej poprawy na polu ekologii, a stukot drewnianych wózków i obite metalem koła podzwaniające na kocich łbach były bez wątpienia równie bolesne dla uszu, jak ryk ruchu samochodowego. Mimo to, Lawson lubił słuchać, jak ciągnięte przez woły wózki skręcają w jego uliczkę. Nieraz, wywabiony tym dźwiękiem, pomagał woźnicom załadować na wózki kamienie, drzwi, ramy okienne i zdobione rzeźbieniami gzymsy kominków.

Pewnego dnia, gdy Lawson zamiatał piekarnię, Mongołka, z którą pracował od niemal roku, chwyciła jego szczotkę i wypowiedziała swoje imię. Za pomocą żywych monosylab dialektu, który do tej pory znali już niemal wszyscy w Sewilli, poprosiła, by nazywał ją Tij. Lawson nie wiedział, czy było to jej imię sprzed Zmiany, czy też wymyśliła je ostatnio. Jednakże z przyjemnością podał jej swoje imię. Zająknął się nieco, a gdy także Tij miała problemy z jego wymówieniem, wspólnie śmiali się z tego, jak wyjątkowo niezgrabnie brzmi w ich ustach.

Tydzień później przeniósł się do kamienicy, w której mieszkała Tij. Spali w jednym „pokoju” trzy piętra nad podwórzem oplecionym wisterią. Jako że na tym piętrze wszystko poza ścianami nośnymi zostało rozebrane, Lawson często miał wrażenie, że mieszka w koszarach. Ludzie przekraczali jego siennik, by dojść do schodów i bez skrępowania się przy nim przebierali. Dumny ze swej łatwości przystosowywania się, Lawson chętnie naśladował ich swobodne zachowanie.

A gdy lód w jego lędźwiach zaczął topnieć, odnalazł w ciemnościach Tij, zupełnie nie dbając o przyzwoitość. Spótkowali w ciszy, a spełnienie, jakiego doświadczył Lawson było pogodne, nie rozedrgane. Następnie leżeli z Tij niczym dwie larwy trzmieła pośród zapachu wisterii spowijającego budynek, a księżyc kładł cienie na ich spoconych ciałach.

Co dzień, gdy już skończyli piec i sprzedawać chleb, Tij i Lawson zamykali piekarnię i szli na spacer. Często przechadzali się ścieżkami obsadzonymi żywopłotem oraz wzdłuż ogrodzeń z kutego żelaza przed miejską katedrą. Ze ścieżek, nad którymi wisiały kamienne łuki przyporowe i balkony, nie widzieli brązowego wiatrowskazu na Giralddie, symbolizującego Wiarę. Jednakże Lawson nalegał, by wracać tam co wieczór, aż wreszcie jego upór został wynagrodzony. Powitał ich dźwięk wiertarek udarowych wgryzających się w marmur w pięciu wspaniałych nawach katedry i wówczas weszli do budynku, trzymając się za ręce.

Kobiety i mężczyźni w środku uwijali się, usuwając ścianki ołtarza, metalowe kraty, obrazy olejne, fragmenty witraży z okien i relikwie. Pod sklepieniem katedry zgromadzono co najmniej dwanaście wózków ciągniętych przez woły, a hałas wiertarek udarowych przetaczał się strasznym echem po nawach, od podłogi po rozległy sufit. Woły stały tak nieruchomo, że Lawson zastanawiał się, czy woźnice przypadkiem nie ogłuszyli jakoś zwierząt. Tij puściła dłoń Lawsona, by zakryć uszy. Poszedł w jej ślady.

Nie pomogło. W katedrze można było zostać tylko godząc się na hałas i wzięcie udziału w burzeniu budynku. Wiele osób już tak zrobiło. Ludzie przelewali się przez komorowy, kamienny brzuch niczym niezwykle skuteczne, żywiące się kamieniem termity. Albinos trudnej do określenia rasy, mężczyzna blady jak termit, podał Lawsonowi kilof. Lawson chwycił jego trzonek, a Tij wzięła łom wiszący na jednym z wózków. Ubrojeni w te narzędzia przeszli nawę i zatrzymali się przed ogromnym grobowcem. Walcząc ze słabym oświetleniem i dziwnym chaosem językowym w głowie, Lawson skrupulatnie odszyfrował inskrypcję na tablicy przed grobowcem.

– Tu prawdopodobnie spoczywa Krzysztof Kolumb – powiedział.

Tij go nie usłyszała.

Wykonał gest sugerujący, że tutaj powinni zacząć, a Tij skinęła na znak, że rozumie. Lawson pomyślał, że wspólnie rozbiorą grobowiec odkrywcy Nowego Świata i wyniosą jego rozkładające się szczątki na ulicę. Wyzwolą go po wszystkich tych stuleciach. Następnie brązowa statuetka symbolizująca Wiarę zostanie zdjęta z dzwonnicy, która potem sama ulegnie rozbiórce wraz z lukami przyporowymi, balkonami, ścianami – wszystkimi pięknymi, napiętnowanymi kamieniami.

Zniszczenie katedry będzie wymagało piekielnego wysiłku i mnóstwa czasu... ale biorąc wszystko pod uwagę, było to dla nich jedyne sensowne rozwiązanie.

Lawson uniósł kilof.

Przełożyła Anna Klimasara

O autorze

Michael Bishop (ur. 1945) amerykański pisarz urodzony w Lincoln, w Nebrasce. Ukończył filologię angielską, następnie wykładał ten przedmiot w szkole kadetów, od 1974 roku utrzymuje się z pisarstwa. Mieszka wraz z żoną w Pine Mountain w Georgii.

Debiutował opowiadaniem „Pinon Fall” zamieszczonym w *Galaxy* w 1970 roku. W następnych latach napisał wiele opowiadań, które były nominowane do nagród, m. in. „The White Otter of Childhood”, „On the Streets of the Serpents”, „Blooded of Arachne”. Praktycznie pomiędzy 1977 a 1994 rokiem jakieś jego opowiadanie lub nowela było co roku nominowane do Hugo, Nebuli czy World Fantasy.

Pierwszą powieść opublikował w 1975 – była to *Eyes of Fire*, która od razu była nominowana do Nebuli. Nagrodę tę przyniosła mu powieść *Nie ma wroga prócz czasu* (1982). A w 1981 roku Nebulę otrzymało opowiadanie „Przyspieszenie”.

W jego twórczości nie brak nawiązań do Philipa K. Dicka – występuje w opowiadaniu „Wolny pomidor”, a także w powieści *Tajemne wniebowstąpienie* (1987), w której sugeruje, że Dick w rzeczywistości nie umarł, a pojawił się jako dziwny pacjent w szpitalu psychiatrycznym.

Twórczość Bishopa jest trudna do zaklasyfikowania, ten humanista uwielbia zabawy słowne, dygresje, metafory. Niezwykle sugestywne są u niego opisy obcych czy nieznanymi środowisk.

CLIFFORD D. SIMAK

Grota Tańczących Jeleni

Simak całe swoje życie spędził w Minneapolis, wykonując dość stateczny zawód miejskiego dziennikarza. Mimo umieszczenia akcji większości swoich utworów w scenerii amerykańskiej prowincji, nieodmiennie udawało mu się przykuć uwagę czytelnika. Bo w tej prowincjonalności odkrywał niezwykle miejsca i wydarzenia.

Czasem wybiegał poza granice Ameryki, jak uczynił to w niniejszym cudownym opowiadaniu, które przyniosło mu w 1981 roku Hugo, Nebulę i Locusa. Motyw nieśmiertelności jest w fantastyce stary jak sama SF, ale Simak potrafił wydobyć z niego nowe nuty. I jak zwykle uczynił z opowiadania świetne, ciepłe czytadło. Wielkie brawa.

Grota Tańczących Jeleni

Kiedy Boyd wspinał się stromą ścieżką wiodącą ku wylotowi jaskini, usłyszał melodię wygrywaną na fujarce przez Luisa. Nie musiał już wracać do groty – wszystkie prace zakończono: szkice, pomiary, fotografie; pełna dokumentacja została skompletowana. A było tego sporo, nie tylko malowidła, choć one stanowiły najważniejszą część odkrycia. Nadpalone kości drobnych zwierząt i znakomicie zachowane ślady ogniska, w którym pieczono mięso; niewielki schowek, wypełniony różnymi minerałami, z których uzyskiwano barwniki służące następnie do wykonania malowideł – zestaw cennych komponentów, ukrytych przez prehistorycznego artystę, który z nieodgadzionych powodów nie był w stanie wykorzystać ich do końca; szczątki ludzkiej dłoni, oderwanej w nadgarstku (z jakiego powodu oderwanej i dlaczego pozostawionej w jaskini, gdzie została odnaleziona dopiero po upływie trzydziestu tysięcy lat?); lampa umożliwiająca artyście tworzenie rysunków, wykonana z bryły piaskowca, mieszcząca w wydrążeniu podkład z mchu oraz warstwę tłuszczu, dla którego wałek mchu stanowił knot. Wszystkie te skarby wraz z wieloma innymi mniej znaczącymi przedmiotami stanowiły dumę Boyda. Gawarnia okazała się najbardziej wartościowym odkryciem w dziedzinie rysunków naskalnych – prawdopodobnie zdecydowały o tym również nietypowe metody zastosowane do badań jaskini. Z pewnością tutejsze znaleziska nie były tak spektakularne jak te z Lascaux, jednakże dostarczyły o wiele więcej danych.

Nie musiał już wracać do jaskini, a jednak coś go do niej ciągnęło. Dręczyło go przecucie, że w pośpiechu i w poświęceniu się innym pracom coś umknęło jego uwadze. Poprzednio niezbyt się nad tym zastanawiał, lecz teraz, kiedy mógł już spokojnie wszystko przemyśleć, nabierał coraz mocniejszego przekonania, że przeoczył coś znaczącego. Tłumaczył sobie, że jest to pewnie wytwór jego wyobraźni. Chciał jednakże stanąć z tym czymś jeszcze raz oko w oko (o ile w ogóle odnalezienie źródła niepokoju było możliwe) i przekonać się ostatecznie, czy jest to coś namacalnego, czy tylko dręczące go nieustannie wrażenie.

Wrócił więc i teraz wspinał się stromą ścieżką, mocno zaciskając w dłoni wielką latarnię, a zawieszony u paska geologiczny młotek obijał mu nogi. Wsłuchiwał się w melodię wygrywaną przez Luisa, który z pewnością siedział na niewielkim skalnym tarasie, nieco poniżej wylotu jaskini – w miejscu, które sobie wybrał na samym początku badań. Luis obozował w rozstawionym na tarasie namiocie bez względu na pogodę, przygotowywał posiłki na turystycznym kochrze i sam wyznaczył sobie rolę psa wartowniczego, strzegącego jaskini przed intruzami. Co prawda niewielu było intruzów, jeśli nie liczyć przypadkowych turystów, którzy usłyszawszy o prowadzonych pracach zbaczali wiele kilometrów ze swoich marszrut, by obejrzeć to miejsce. Mieszkańcy położonej niżej doliny nie stanowili żadnego problemu: nikt chyba nie mógłby poświęcać mniej uwagi temu, co dzieje się niemal wprost nad jego głową.

Boyd poznał Luisa już wcześniej. Dziesięć lat temu zjawił się on nie wiadomo skąd na terenie wykopalisk w wąwozie skalnym jakieś sto kilometrów stąd i kręcił się tam przez dwa sezony badań. Rezultaty tamtych prac były o wiele mniej znaczące, niż Boyd początkowo to sobie wyobrażał, jakkolwiek rzuciły nieco nowego światła na kulturę azylską, stanowiącą niewyjaśniony kres rozwojowy wielkiej rodziny prehistorycznych kultur zachodniej Europy. Zatrudniony zrazu jako laborant, w krótkim czasie Luis stał się ulubieńcem geologów i coraz częściej powierzano mu odpowiedzialne zadania. W tydzień po rozpoczęciu prac w Gawarni zjawił się ponownie w obozie naukowców.

– Dowiedziałem się, że jesteście tutaj – powiedział wówczas.

– Czy macie dla mnie jakąś pracę?

Kiedy Boyd minął ostry zakręt ścieżki, ujrzał go – siedzącego po turecku przed wysmaganym wiatrami namiotem i zawzięcie dmuchającego w nieodłączną prymitywną fujarkę.

Na dobrą sprawę nie była to nawet fujarka, lecz świstawka, a prymitywne, pierwotne dźwięki, jakie się z niej wydobywały, trudno było nazwać melodią. Nie miało to nic wspólnego z muzyką, choć Boyd musiał przyznać, że w tej materii jest całkowitym dyletantem. Było tego ledwie cztery nuty – czy też cztery dźwięki? Instrument tworzyła wydrążona kość, wydłużona z jednej strony na kształt ustnika, z dwoma otworami do regulowania strumienia powietrza.

Kiedyś zagadnął Luisa na temat fujarki.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – rzekł.

– Rzadko się je spotyka – odparł Luis. – Jedyne tutaj, w wioskach rozrzuconych po górskich dolinach.

Boyd doszedł do końca ścieżki, przeciął porośnięty trawą taras i usiadł obok Luisa, który przestał grać i opuścił fujarkę na kolana.

– Myślałem, że już nie wrócisz – rzekł Luis. – Reszta grupy wyjechała już kilka dni temu.

– Chcę po raz ostatni rozejrzeć się tutaj – odparł Boyd.

– Żal ci porzucać jaskinię?

– Tak. Chyba właśnie tak.

U ich stóp rozciągała się dolina pomalowana w jesienne odcienie brązów, mała rzeczka błyszczała niczym srebrna wstążka w promieniach słońca, silnie kontrastując z żywą czerwienią dachów wioski.

– Pięknie tutaj – odezwał się Boyd. – Od czasu do czasu przyłapuję się na próbie wyobrażenia sobie, jak też mogły wyglądać te okolice w tamtych czasach, kiedy powstały malowidła w jaskini. Prawdopodobnie nie zaszły wielkie zmiany. Góry musiały pozostać nie zmienione. W dolinie na pewno nie było ornych pól, jedynie naturalne pastwiska. Tu i tam grupy drzew, ale z pewnością nie za wiele. Świetne tereny łowieckie. Wszędzie pod dostatkiem trawy dla zwierząt roślinożernych. Próbowałem nawet wyobrazić sobie, w którym miejscu mogli obozować ludzie. Doszedłem w końcu do wniosku, że chyba tam, gdzie teraz znajduje się wioska.

Spojrzał na Luisa. Ten nadal siedział sztywno, zakrywając dłońmi fujarkę spoczywającą na kolanach. Na jego wargach błędził niewyraźny uśmiech, jak gdyby uśmiechał się do własnych myśli. Mały czarny beret siedzący równiutko na czubku głowy, okrągła, regularna, ogorzała twarz, krótko obcięte czarne włosy, niebieska koszula rozchełstana pod szyją. Młody, silny mężczyzna; na jego twarzy nie było ani jednej zmarszczki.

– Kochasz swoją pracę – stwierdził Luis.

– Poświęciłem jej wszystko. Podobnie jak ty, Luis – odparł Boyd. – To nie jest moja praca.

– To nie ma większego znaczenia. W każdym razie wykonujesz ją bez zarzutu.

– Nie chciałbyś pójść ze mną? Rzucilibyśmy ostatnie, pożegnalne spojrzenie.

– Mam pewną sprawę do załatwienia we wsi.

– Myślałem, że cię już nie zastanę – rzekł Boyd. – Kiedy usłyszałem, jak grasz na fujarce, byłem zaskoczony.

– Wkrótce odejdę – odparł Luis. – Jutro albo pojutrze. Nie mam po co tu siedzieć, ale podobnie jak ty, zżyłem się z tym miejscem. Nie mam dokąd iść, nikt mnie nie potrzebuje. Nic się nie stanie, jeśli zostanę tu jeszcze kilka dni.

– Tak długo, jak tylko zechcesz – powiedział Boyd. – To miejsce należy do ciebie. Niedługo

zostanie tu prawdopodobnie postawiona strażnica, ale odpowiednie władze z pewnością nie będą się z tym spieszyły.

– Więc możemy się już nigdy nie zobaczyć? – zapytał Luis.

– Byłem parę dni w Roncesvalles – odparł Boyd. – To właśnie tam Gaskończycy rozbili tylną straż Karola Wielkiego w 778.

– Słyszałem o tej miejscowości – rzekł Luis.

– Zawsze chciałem zobaczyć to miejsce, ale nigdy nie miałem czasu. Kościół wzniesiony przez Karola jest już ruiną, lecz mówiono mi, że do dzisiaj w wioskowej kaplicy odprawiane są msze za dusze poległych paladynów. Kiedy wróciłem stamtąd, nie mogłem oprzeć się pokusie, żeby jeszcze raz zajrzeć do jaskini.

– Cieszę się z tego – powiedział Luis. – Czy mogę być impertynencki?

– Nigdy nie byłeś impertynentem – odparł Boyd.

– Czy możemy jeszcze raz, zanim odejdziesz, przełamać się chlebem? Dziś wieczorem, dobrze? Przygotuję omlet.

Boyd zawahał się, tłumiąc w sobie chęć zaproszenia Luisa na kolację.

– Będę zaszczycony, Luis – odrzekł po chwili. – Przyniosę butelkę dobrego wina.

Trzymając latarnię na wysokości oczu, Boyd z wyteżoną uwagą przyglądał się skalnej ścianie. A jednak miał rację, nie była to tylko gra wyobraźni. Tutaj, w tym szczególnym miejscu, skała nie stanowiła jednolitej płaszczyzny. Siatka pęknięć dzieliła ją na szereg pól, niemal idealnie imitując litą skałę. Tylko przez przypadek można było dostrzec owo spękanie. Gdyby nie patrzył na wprost, równoległe z padającym światłem, nigdy by tego nie zobaczył. Dziwne, pomyślał, że nikt z licznej grupy przez dłuższy czas prowadzącej badania w jaskini nie dostrzegł przedtem tej anomalii. Niewiele przecież umknęło uwadze naukowców.

Mimowolnie wstrzymał oddech, choć zaraz sam siebie zganił za głupotę. Przecież te pęknięcia mogły w gruncie rzeczy nie znaczyć nic. Mogły to być ślady zwykłej erozji pod wpływem mrozu. Z drugiej strony erozyjne pęknięcia skały od mrozu we wnętrzu jaskini byłyby czymś wręcz niezwykłym.

Odpiął młotek od pasa i przełożywszy latarnię do lewej ręki wsunął czubek ostrego końca młotka w jedną ze szczelin. Ostrze łatwo zagłębiło się w skałę. Delikatnie nacisnął i szpara poszerzyła się. Pociągnął mocniej i po chwili dopasowany odłam skalny wysunął się ze swego leża. Odłożył młotek i latarnię, pomocował się nieco z kamieniem i wkrótce wyjął go ze ściany. Pod nim ułożone były dwa inne, które dały się wyjąć równie łatwo jak pierwszy. Szybko namierzył pozostałe odłamy i pousuwał je wszystkie. Uklęknął na dnie jaskini i skierował strumień światła wprost w odsłonięty właśnie korytarz.

Był szeroki na tyle, by wczołgać się do środka, na chwilę jednak Boyd zawahał się przed natychmiastowym jego zbadaniem. Wejście bez asekuracji stanowiło dość poważne ryzyko. Gdyby coś się stało, gdyby utknął w jakimś przejściu, gdyby odłam skalny osunął się i zablokował mu powrót lub zranił go, nie miał praktycznie szans ratunku – a w każdym razie nie mógł się spodziewać żadnej skutecznej pomocy w niedługim czasie. Luis po powrocie do obozowiska prawdopodobnie czekałby na niego, a gdyby nie doczekał się jego przybycia, potraktowałby to po prostu jako odpowiedź Boyda na jego impertynencję, czy też wyraz lekceważenia ze strony gruboskórnego Amerykanina. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Boyd tkwi uwięziony w pułapce we wnętrzu jaskini.

A jednak była to jego ostatnia szansa. Jutro musiał wyruszyć w drogę do Paryża, żeby zdążyć na swój samolot. A owo ukryte przejście niezwykle go intrygowało; nie była to jedna z tych rzeczy,

które można po prostu zignorować. Musiało posiadać jakieś niezwykle znaczenie, w przeciwnym bowiem razie tak dokładne maskowanie nie miało sensu. Kto też mógł wznieść ten mur z idealnie dopasowanych kamieni? Z pewnością nikt w obecnych czasach. Każdy, kto odnalazłby zasłonięte wejście do jaskini, niemal natychmiast musiałby dostrzec rysunki naskalne i prawie na pewno rozgłosiłby o swoim odkryciu. A więc wejście do korytarza musiał zamaskować ktoś, kto nie miał pojęcia o doniosłym znaczeniu malowideł w jaskini, albo też ktoś, dla kogo owe rysunki były czymś najbardziej oczywistym.

Tak czy inaczej, trudno było przegapić taką okazję. Musiał zobaczyć, co się tam znajduje. Przymocował młotek do paska, mocno ścisnął w garści latarnię i zaczął się wczołgiwać.

Prosty i stosunkowo równy korytarz ciągnął się na długości jakichś trzydziestu metrów. Jeśli nie liczyć tego, że nawet dla czołgającego się człowieka było tam niewiele miejsca, to przejście nim nie nastroczało poważniejszych trudności. Szczelina kończyła się nagle litą ścianą. Boyd leżał na brzuchu, omiatając światłem latarni kamień i pełen konsternacji przyglądał się gładkiej powierzchni.

To nie trzymało się kupy. Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by zamknąć wejście do zupełnie pustego korytarza? Mógł coś przeoczyć na jego długości, ale kiedy przemyślał wszystko, upewnił się, że nie było tam niczego. Czołgał się bardzo powoli, cały czas przesuwając latarnię przed sobą, centymetr po centymetrze. Z pewnością gdyby w przebyтым korytarzu znajdowało się cokolwiek godnego uwagi, nie mógłby tego przeoczyć.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Powoli, z niejakimi kłopotami, zaczął się tak obracać, by leżeć plecami na dnie jaskini. Kiedy skierował strumień światła przed siebie, znał już odpowiedź. Ponad jego głową widniał otwór w sklepieniu.

Ostrożnie przesunął się tak, by usiąść z głową w otwierającej się nad nim studni. Wyciągnął rękę do góry i namacał dłońmi krawędź skały. Po chwili mógł już stanąć na nogach. Przeciągnął latarnię do góry i obracając się stwierdził, że studnia prowadziła do niszy uformowanej wewnątrz skały, na kształt kulistego, wydrążonego bąbla o średnicy nieprzekraczającej dwóch metrów. Ściany i sklepienie jamy były idealnie gładkie, jak gdyby w jakiejś odległej geologicznie przeszłości, kiedy okoliczne góry wypiętrzały się z platformy kontynentu, został tu umieszczony plastikowy balon, który następnie zaniknął, lecz jego kształt został na wieki utrwalony w litym, zastygłym kamieniu.

Kiedy tak wodził światłem latarni po ścianach bąbla, nagle zamarł oszołomiony. Ze wszystkich ścian pieczary nacierały na niego kolorowe wizerunki zwierząt. Żubr zrywający się do skoku. Konie cwałujące tyralierą. Mamuty wywijające koziółki. A na samym dole ścian, tuż nad dnem pieczary, na całym jej obwodzie tańczyły jelenie: zwierzęta stały na tylnych nogach, złączone w uściskach lub zamarte w podskokach, z porożami uniesionymi z wielką gracją.

– Boże miłosierny! – szepnął Boyd.

Przecież było to nic innego jak Disney z epoki kamiennej.

O ile rysunki pochodziły z epoki kamiennej. Czy to możliwe, by w jakimś o wiele późniejszym okresie znalazł się żartowniś, który postanowił namalować zwierzęta w tej grocie? Po chwili odrzucił podobne przypuszczenie. O ile mu było wiadomo, nikt w wiosce, a nawet nikt w całej okolicy nie wiedział o istnieniu tej jaskini, dopóki kilka lat temu nie odkrył jej pewien pasterz, poszukujący zaginionej owcy. Wąskie wejście do jaskini prawdopodobnie od wieków było tak samo zasłonięte przez gęste zarośla.

Poza tym wygląd malowideł dość jednoznacznie wskazywał na ich prehistoryczne pochodzenie. Perspektywa odgrywała w nich minimalną rolę. Rysunki miały ten sam dziwnie płaski charakter, który dominował w całej sztuce prehistorycznej. Nie było też żadnego tła – żadnej linii horyzontu, żadnych drzew, trawy czy kwiatów, żadnych chmur czy w ogóle jakiegokolwiek odbicia nieba. Z

drugiej strony, pomyślał, każdy, kto posiadał podstawową wiedzę o malarstwie jaskiniowym i chciał podrobić tego typu malowidła, wystrzeżałby się właśnie wszelkich tego rodzaju szczegółów.

Z całą pewnością, pomijając nietypowe pozy zwierząt na rysunkach, całość malowidła posiadała wszystkie cechy sztuki jaskiniowej. Ale jakież starożytny artysta, kto z epoki jaskiniowej mógł namalować podskakującego żubra i mamuty wywijające koziółki? Chociaż całość malarstwa jaskiniowego nie była jednolita formalnie, to jednak rysunki w tej właśnie jaskini były śmiertelnie poważne: całkowicie konserwatywne, uczciwie i rzetelnie usiłujące przedstawić zwierzęta tak, jak je widział malujący artysta. Nie było ani odrobiny frywolności, nie znaleziono nawet śladów dotknięcia skały ubrudzoną dłonią malarza, jakie często widziano w innych jaskiniach. Człowiek, który wykonał rysunki, nie był jeszcze skrępowany symbolizmem, tak bardzo charakterystycznym dla późnego okresu malarstwa prehistorycznego.

Kimże więc mógł być ten trefniś, który odważył się w owej ukrytej niszy namalować żartobliwe sceny? A nie ulegało dla niego wątpliwości, że musiał to być utalentowany artysta. Zastosowana technika oraz sposób przedstawienia zwierząt były bez zarzutu.

Boyd wciągnął się w górę studzienki i przykucnął na półmetrowej szerokości półce biegnącej dookoła otworu, jako że wysokość pieczary nie pozwalała stanąć na nogach. Większość rysunków malarz musiał wykonywać leżąc skurczony na plecach, tak by dosięgnąć każdego miejsca krzywizny ścian.

Przesuwał powoli strumień światła latarni wzdłuż półki. W połowie drogi dookoła otworu studni zatrzymał się nagle i powiodł latarnią tam i z powrotem, by przyjrzeć się dokładniej czemuś znajdującemu się na półce – czemuś bez wątpienia pozostawionemu przez malarza po zakończeniu prac w pieczarze.

Boyd pochylił się do przodu, żeby dokładnie przyjrzeć się znalezisku. Wyglądało to jak kość łopatkowa jelenia. Tuż obok niej spoczywał kamień.

Powoli przesunął się wzdłuż półki. Przypuszczenie okazało się trafne. Rzeczywiście był to płaski kawałek kości, na którego powierzchni majaczyły ciemne plamy jakiejś substancji. Czyżby była to farba? Mieszanina tłuszczów zwierzęcych i naturalnych barwnych minerałów, używana niegdyś do tworzenia rysunków naskalnych? Przysunął latarnię jeszcze bliżej i przekonał się, że faktycznie były to ślady prehistorycznych farb, rozrzucone nieregularnymi plamami po całej powierzchni kości służącej za paletę. Miejscami warstwa farby była gruba, jak gdyby przygotowana do użycia, lecz nigdy nie wykorzystana – teraz zaschnięta i zмумifikowana, z utrwalonymi na wieki w jej powierzchni odciskami. Pochylił się nisko nad paletą i przysunął latarnię tak blisko twarzy, jak tylko mógł. Były to odciski palców, niektóre głębokie i bardzo wyraźne – odciski palców starożytnego, dawno już nieżyjącego człowieka, który pracował tutaj, kucnął podobnie jak teraz Boyd, wciskając zgarbione plecy w krzywiznę skały pieczary. Delikatnie dotknął końcem palca kości, po czym szybko cofnął rękę. Ten gest miał dla niego znaczenie symboliczne, jak gdyby fizycznie chciał dotknąć człowieka, który stworzył te rysunki – lecz był to jedynie symbol, jako że dzieliło ich wiele stuleci.

Przesunął strumień światła na odłamek skalny leżący tuż obok palety. Była to lampa – kawałek piaskowca z zagłębieniem, które wypełniano tłuszczem, a zwitek mchu służył za knot. Po tłuszczu i mchu nie było nawet śladu, lecz cienka warstwa sadzy na krawędziach zagłębienia w kamieniu świadczyła jednoznacznie o jego przeznaczeniu.

Kiedy artysta zakończył prace w pieczarze, zostawił tutaj wszystkie przybory, nie wyłączając kaganka, prawdopodobnie wciąż jeszcze się dopalającego – zostawił je tu, po czym wyczołgał się tunelem po ciemku. Należało przypuszczać, że jemu nie było potrzebne oświetlenie do przeciśnięcia

się korytarzem. Mógł przebyć tę drogę posługując się jedynie dotykiem i pamięcią. Musiał ją pokonywać wielokrotnie, jako że wymalowanie ścian pieczary zajęło mu sporo czasu, zapewne wiele dni.

Tak więc porzucił pieczarę, wyczołgał się korytarzem, po czym zablokował wejście do niszy specjalnie dobranymi odłamami skalnymi, a w końcu wyszedł z jaskini i ruszył w dół stromą ścieżką, wzdłuż której stada pasących się zwierząt zaledwie unosiły głowy, by na niego popatrzeć, po czym znów spokojnie zaczynały żuć trawę.

Kiedy to wszystko mogło się wydarzyć? Po chwili namysłu Boyd doszedł do wniosku, że musiało to być już po powstaniu rysunków w jaskini – może nawet długo potem, kiedy malowidła w głównej jaskini zatraciły wiele ze swego pierwotnego znaczenia. Wówczas jeden człowiek powrócił do jaskini i namalował owe sekretne sceny w dobrze ukrytym miejscu. Czyżby owe sceny miały być drwiną pompatycznego, magicznego znaczenia rysunków w głównej jaskini? A może protestem przeciwko nudnemu konserwatyzmowi tamtych malowideł? Czy też stanowiły wybuch śmiechu, upojenie bogactwem życia, a może nawet żartobliwą rebelię przeciwko zawziętości i prostactwu magii łowiectwa? Spodobało mu się to słowo: rebelia, prehistoryczna rebelia, rebelia intelektualna. A może po prostu autorem rysunków był człowiek o światopoglądzie odbiegającym nieco od filozofii tamtych czasów?

Jakakolwiek byłaby prawda, ów człowiek dawno już nie żył. A cóż pozostało jemu? Co miał teraz czynić, kiedy udało mu się już dokonać owego niezwykłego odkrycia? Jaki był najlepszy sposób wykorzystania tak cennego znaleziska? Z pewnością nie wolno mu było po prostu odwrócić się plecami do pieczary i odejść, tak samo jak odszedł stąd malarz, zostawiając swe przybory wraz z kagankiem. Znaczenie odkrycia było ogromne, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Widział przed sobą dowód niespodziewanego, nowego aspektu kultury prehistorycznej, objaw niezanego dotąd sposobu myślenia zamierzchłych przodków.

Zostawić wszystko tak jak jest, zamaskować wejście do pieczary, potem telefon do Waszyngtonu i jeszcze jeden do Paryża, rozpakować bagaże i rozbić ponownie obóz na kilka kolejnych tygodni badań. Zawrócić fotografów i pozostałych członków ekipy badawczej i wykonać wszystkie prace już teraz. Tak, tak właśnie należało postąpić.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na przedmiot pobłyskujący matowo w świetle lampy, niemal całkowicie skryty za prehistorycznym kagankiem. Niewielki, biały przedmiot...

Wciąż skulony w niewygodnej pozycji, Boyd pochylił się w tamtą stronę.

Był to kawałek kości, prawdopodobnie piszczel jakiegoś niewielkiego trawożernego zwierzęcia. Wyciągnął dłoń, uniósł przedmiot do oczu, a kiedy rozpoznał jego przeznaczenie, zamarł w bezruchu, zupełnie nie wiedząc, co ma z tym począć.

Była to kościana fujarka, niemal dokładnie taka sama jak ta, którą Luis nosił w kieszeni kurtki, która była jego nieodłącznym atrybutem od wielu lat, od chwili, kiedy Boyd spotkał go po raz pierwszy. Ona także miała wydłużony ustnik i dwa okrągłe otwory. W tamtych dawno minionych dniach, po zakończeniu pracy malarz siadał i przy falującym świetle łuczywa grał sobie jakieś proste melodie, zbliżone do tych, jakie Luis wydobywał ze swego instrumentu niemal każdego wieczora, po wykonaniu zadań.

– Boże miłosierny! – jęknął Boyd niemal z nabożną czcią.

– To po prostu niemożliwe!

Siedział tak, zmrożony myślami, a wszelkie możliwe skojarzenia mimo woli odbijały się głośnym echem w jego głowie. Nie był w stanie odegnąć ich od siebie. Wszelki racjonalizm odsuwał je na nieznaczące tylko dystanse, lecz te powracały nieustannie dręczącym korowodem.

Wreszcie z niemałym trudem wyrwał się z transu, w jakim zamknęły go nierealne myśli. Zmusił się do poruszenia, do wykonania tego, co musiał zrobić.

Odpiął kaptur kurtki, ostrożnie włożył do niego kościaną paletę oraz fujarkę, zostawiając w pieczarze jedynie kamienną lampę. Przecisnął się z powrotem studzienką i wyczołgał korytarzykiem, z pietyzmem ochraniając swoje skarby. Kiedy stanął w jaskini na nogi, zaczął bardzo ostrożnie układać kamienne bloki jeden na drugim, a gdy zamknął już całkowicie wejście do niszy, zaczerpnął pełne garście ziemi z dna jaskini i zamaskował szczeliny, likwidując tym samym ślady otwierania przejścia. Pozostawił tylko niewielki fragment widocznej rysy między kamieniami, który mógłby zostać zauważony jedynie przy bardzo wnikliwej obserwacji.

Luisa nadal nie było w jego obozowisku na tarasie poniżej wejścia do jaskini. Pewnie załatwiał jeszcze swoje sprawy we wsi.

Natychmiast po powrocie do hotelu Boyd przeprowadził planowaną rozmowę telefoniczną z Waszyngtonem. Postanowił jednak na razie nie dzwonić do Paryża.

Jesienny wiatr unosił ostatnie już październikowe liście, a ledwie grzejące słońce, nie całkiem zasłonięte wędrującymi chmurami, słabo oświetlało budynki Waszyngtonu.

John Roberts czekał na niego na ławce w parku. W milczeniu skinęli sobie głowami na powitanie, po czym Boyd przysiadł obok niego.

– To było spore ryzyko – odezwał się Roberts. – Gdyby celnicy dowiedzieli się...

– Sam nie za bardzo się bałem – przerwał mu Boyd. – Znam jednego faceta z Paryża, który od lat zajmuje się szmuglowaniem różnych rzeczy do Ameryki. Jest specjalistą od tych spraw, a był mi winien przysługę. Co udało ci się zdziałać?

– Chyba nawet więcej, niż się spodziewałeś.

– A więc?

– Odciski palców się zgadzają – rzekł Roberts.

– Nie było kłopotów z odczytaniem linii papilarnych?

– Najmniejszych.

– FBI?

– Tak, FBI. Nie było to łatwe, ale mam tam pewne znajomości.

– A co z oznaczeniem wieku?

– Także nic trudnego. Najwięcej kłopotów miałem z przekonaniem mojego znajomego, że sprawa jest całkowicie poufna. Chyba nadal nie jest o tym przeświadczony.

– Ale będzie trzymał buzię na kłódkę?

– Raczej tak. Poza tym nie ulega wątpliwości, że chyba nikt by mu nie uwierzył. To wszystko brzmi jak wysokiej klasy dowcip.

– Więc ile?

– Dwadzieścia dwa tysiące. Plus minus trzysta lat.

– I do tego odciski palców się zgadzają? Te na butelce i te...

– Powiedziałem ci już. Może teraz ty mi wyjaśnisz, w jaki sposób, do cholery, człowiek żyjący dwadzieścia dwa tysiące lat temu był w stanie pozostawić odciski palców na butelce wyprodukowanej najdalej w ubiegłym roku?

– To długa historia – mruknął Boyd. – Nie wiem, czy powinienem cię w to wciągać. Przede wszystkim, gdzie ukryłeś tę kość łopatkową?

– Nie martw się, jest dobrze schowana – odparł Roberts. – Możesz ją dostać z powrotem wraz z butelką, kiedy tylko zapragniesz.

Boyd wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie, nie teraz. Może nawet nigdy.

– Nigdy?

– Posłuchaj, John. Muszę sobie wszystko dokładnie przemyśleć.

– Co za cholerna sprawa – wtrącił Roberts. – Nikt nie chce tych rzeczy. Nikt nie chce nawet myśleć o nich. Smithsonian Institute nie tknąłby tego nawet trzymetrowym drągiem. Nie pytałem ich o to, pewnie nawet nie wiedzą o ich istnieniu, ale domyślam się, że nie tknęliby tych rzeczy. Na pewno podlegają jakimś przepisom dotyczącym wywozu skarbów narodowych poza granice kraju, czyż nie tak?

– Tak, masz rację – mruknął Boyd.

– Teraz ty stwierdzasz, że też ich nie chcesz.

– Nie powiedziałem tego. Prosiłem tylko, byś je pozostawił w ukryciu przez jakiś czas. Są tam bezpieczne, prawda?

– Tak, są bezpieczne. Ale...

– Mówiłem już, że to długa historia. Spróbuję przedstawić ci ją w skrócie. A więc jest pewien człowiek, Bask. Przyszedł do mnie jakieś dziesięć lat temu, kiedy prowadziłem wykopaliska w wąwozie.

Roberts pokiwał głową.

– Zdaje się, że go sobie przypominam.

– Chciał z nami pracować i zatrudniłem go. Szybko się wciągnął, błyskawicznie przyswoił sobie technikę pracy. Stał się bardzo wartościowym pracownikiem, co zresztą dość często się zdarza przy zatrudnianiu miejscowych, jakby mieli oni wyjątkowe wyczucie stykając się z obiektami własnej, dawnej kultury. Potem, kiedy rozpoczęliśmy prace w jaskini, on zjawił się ponownie. Ucieszyło mnie jego przybycie. Mówiąc szczerze, staliśmy się naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Podczas naszego ostatniego wieczoru spędzonego w jaskini, przygotował wspaniałą omlet – jajka, pomidory, zielony pieprz, cebula, parówki i prawdziwa wiejska szynka. Ja postawiłem butelkę wina.

– Tę butelkę?

– Tak, tę butelkę.

– Mów dalej.

– On grał na fujarce, na prymitywnej, kościanej fujarce, której dźwięki trudno nawet nazwać muzyką.

– Fujarka też była...

– Ale to nie ta, inna fujarka. Dokładnie taka sama, ale nie ta, na której on grał. Dwie identyczne fujarki: jedna w kieszeni żyjącego nadal człowieka, druga spoczywająca obok kościanej palety malarskiej. Wiele było dziwnego w tym właśnie człowieku, o którym ci opowiadałem. Oczywiście nic takiego, co uderzyłoby cię w jednej chwili. Tylko drobne fakty. Mogłeś zwrócić na coś uwagę, a po jakimś czasie, może nawet w chwilę później, przykuwało twą uwagę coś innego, ale przez ten czas puszczało się już w niepamięć pierwsze zdarzenie i nie było sposobu, by te drobne obserwacje powiązać ze sobą. Zadziwiła przede wszystkim jego wszechstronna wiedza, drobne fakty, których człowiek tego pokroju nie powinien sobie uświadamiać. Coś mu się wyrывało, czasem może bezwiednie. Poza tym jego oczy. Uprzytomniłem to sobie dopiero wówczas, kiedy znalazłem tę drugą fujarkę i fakty w mojej głowie zaczęły się łączyć. A więc jego oczy są niezwykle. Na wygląd jest to człowiek młody, jeden z tych, po których trudno rozpoznać wiek, ale jego oczy są bardzo stare...

– Powiedziałeś, Tom, że jest on Baskiem?

– Tak.

– Istnieje, zdaje się, jakaś teoria, że Baskowie wywodzą się w prostej linii od

Kromaniończyków?

- Tak, jest taka teoria. Ja też o tym myślałem.
- Czyżby ten twój człowiek był żywym Kromaniończykiem?
- Zaczynam wierzyć, że tak jest w rzeczywistości.
- Ale pomyśl o tym: dwadzieścia tysięcy lat!
- Tak, wiem – mruknął Boyd.

*

Boyd usłyszał głos fujarki, zanim jeszcze skręcił na ścieżkę wiodącą ku jaskini. Wysokie dźwięki z trudem przebijały się przez smagnięcia wiatru. Pireneje dumnie dźwigały swe szczyty ku odległemu, błękitnemu niebu.

Ścisnąwszy mocniej trzymaną pod pachą butelkę wina, Boyd zaczął wspinać się pod górę. Poniżej czerwone plamy dachów wioski przeplatały się z żywymi brązami jesieni, które zawojowały już niemal całą dolinę. Ostre dźwięki fujarki rozbrzmiewały bez przerwy, to wznosząc się, to opadając w rytm porywów bawiącego się nimi wiatru.

Luis siedział jak zwykle po turecku przed wejściem do swego wystrzępionego namiotu. Kiedy spostrzegł Boyda, opuścił fujarkę na kolana i zastygł w oczekiwaniu.

Boyd usiadł obok niego, wyciągając w jego kierunku butelkę. Luis chwycił ją i zaczął mocować się z korkiem.

- Słyszałem już, że wróciłeś – odezwał się po chwili. – Jak minęła podróż?
- Dziękuję, w porządku – odparł Boyd.
- A więc już wiesz? – zagadnął Luis.

Boyd skinął głową.

- Myślę, że chciałeś, żebym poznał prawdę. Dlaczego tego pragnąłeś?
- Minęło tak wiele lat – odrzekł Luis. – To wielki ciężar. To samotność, wieczna samotność.
- Nie jesteś przecież sam.
- Samotność jest wtedy, kiedy nikt mnie nie zna. Ty jesteś pierwszym, który poznał prawdę.
- Ale ta wiedza będzie bardzo krótkotrwała. Minie jeszcze kilka lat i znowu nikt nie będzie ciebie znał.

– A jednak zdejmie to na jakiś czas ciężar z moich barków – powiedział Luis. – Kiedy ciebie już nie będzie, ja w jakimś stopniu będę mógł zacząć na nowo. A poza tym...

– Tak? O co chodzi, Luis?

– Powiedziałeś, że kiedy ciebie zabraknie, znowu nikt nie będzie mnie znał. Czy to znaczy...

– Jeśli chodzi ci o to, czy rozpowiem o tobie, to mogę odrzec, że nie. Chyba że będziesz sobie tego życzył. Wiele myślałem o tym, co by się stało, gdyby świat poznał twoją tajemnicę.

– Posiadam pewne zabezpieczenia. Nie zdołałbym żyć tak długo, jak długo żyję, gdybym nie mógł polegać na kilku zabezpieczeniach.

– O jakich zabezpieczeniach mówisz?

– O zabezpieczeniach. Wystarczy ci tylko tyle.

– Przepraszam, nie chciałem być natrętny. Jedna rzecz mnie nurtuje. Jeżeli chciałeś, żebym dowiedział się prawdy, bardzo wiele ryzykowałeś. Przecież gdyby coś ułożyło się nie tak, gdybym nie odnalazł groty...

– Początkowo miałem nadzieję, że grota nie będzie tu potrzebna. Łudziłem się, że wpadniesz na to sam, bez mojej pomocy.

– Przeczuwałem, że coś tu nie pasuje. Jednakże prawda jest tak niewiarygodna, że nawet gdybym się czegoś domyślał, nie potrafiłbym przyjąć tej teorii bez dowodów. Chyba rozumiesz, Luis,

jak bardzo jest to niewiarygodne. A gdybym nie znalazł groty... Sam wiesz, na ile przypadkowe było odnalezienie wejścia do niej.

– Gdybyś jej nie znalazł, czekałbym dalej. Po jakimś czasie, za ileś lat, znalazłby się ktoś inny. A także inny sposób na zdradzenie samego siebie.

– Mogłeś mi przecież opowiedzieć o wszystkim.

– Czy naprawdę tak sądzisz?

– Tak, naprawdę. Z pewnością nie uwierzyłbym ci, nie uwierzyłbym na początku, ale...

– Nie rozumiesz, że nie mogłem ci tak zwyczajnie o tym opowiedzieć? Przemilczenie ma tutaj zupełnie inny wydźwięk. To jedno z zabezpieczeń, o których ci mówiłem. Ja po prostu nie umiałbym zmusić sam siebie do opowiedzenia prawdy, czy to tobie, czy też komu innemu.

– A czemu wybrałeś mnie? Dlaczego czekałeś tyle lat, żeby wreszcie wybrać właśnie mnie?

– Nie czekałem, Boyd. W różnych czasach wybierałem wielu innych. Ale nikt do tej pory nie potrafił tego pojąć. Zrozum, że musiałem znaleźć kogoś, kto będzie miał odwagę stanąć twarzą w twarz z moim problemem, a nie ucieknie wrzeszcząc wniebogłosy. Wiedziałem, że ty nie podniesiesz krzyku.

– Ja miałem sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć – rzekł Boyd. – Potrafiłem się z tym oswoić. Chociaż przyznam, że nawet nie jestem w stanie tak zwyczajnie tego zaakceptować. Czy ty masz, Luis, jakiegokolwiek wytłumaczenie? Jak to się stało, że jesteś tak bardzo różny od innych ludzi?

– Nie mam pojęcia. Trudno mi nawet zgadywać. Kiedyś myślałem, że muszą być jeszcze inni, podobni do mnie, i nawet ich szukałem. Ale nie trafiłem na nikogo i zarzuciłem poszukiwania.

Korek wyskoczył wreszcie z szyjki i Luis wręczył butelkę wina Boydowi.

– Wypij pierwszy – rzekł chłodno.

Boyd przechylił butelkę, pociągnął łyk, po czym zwrócił ją Luisowi. Przez chwilę przyglądał się, jak tamten pije. Jak to się stało, pomyślał, że siedzi tutaj teraz i spokojnie rozmawia z człowiekiem, który przeżył, który pozostał tak samo młody przez dwadzieścia tysięcy lat. Konieczność zaakceptowania tego faktu po raz kolejny stanęła mu ością w gardle – fakty jednak mówiły same za siebie. Kościana paleta, pozostałości substancji organicznych wymieszanych niegdyś z pigmentami, pozwalały na dokonanie pomiaru ich wieku, a wynik był jednoznaczny: dwadzieścia dwa tysiące lat. Nie było żadnych wątpliwości, że linie papilarne uwiecznione w skamieniałych resztkach farb są identyczne z odciskami pozostawionymi na butelce. Tam, w Waszyngtonie, postawił jedno zasadnicze pytanie, którego rozwiązanie pozwoliłoby zdemaskować niezwykle żart. Czy możliwe jest, zapytał, by farba używana jakoby przez starożytnego malarza została podrobiona przy użyciu prehistorycznych pigmentów, naniesiona na kościaną paletę wraz z odciskami palców, a następnie podrzucona w grocie? Odpowiedź brzmiała: niemożliwe. Nawet jeśli ten rodzaj rekonstrukcji farby by się udał, to jednak bliższe badania wykazałyby fałszerstwo. Nie znaleziono nic podobnego – barwniki pochodziły sprzed dwudziestu dwóch tysięcy lat. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

– W porządku, Kromaniończyku – odezwał się Boyd. – Powiedz mi, jak tego dokonałeś. W jaki sposób udało ci się przeżyć aż tak długo? To oczywiste, że się nie starzejesz. Twoje ciało jest odporne na wszelkiego typu choroby. Domyślam się jednak, że zabiłoby cię poważne uszkodzenie ciała. A przeżyłeś przecież bardzo niebezpieczne czasy. W jaki sposób udało ci się uniknąć wszelkich wypadków i przemocy?

– Na samym początku wielokrotnie się zdarzało, że byłem bardzo bliski śmierci – odparł Luis. – Przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy ze swojej odmienności. Dostrzegałem, rzecz jasna, że starzeję się dużo wolniej niż inni. Ale domyśliłem się wszystkiego chyba dopiero wtedy, kiedy

dotarło do mnie, że wszyscy ludzie, których znałem w mojej wczesnej młodości, nie żyją, i to od dość długiego czasu. Wtedy zrozumiałem, że jestem zupełnie inny od reszty ludzi. Mniej więcej w tym samym czasie także ludzie z mojego otoczenia pojęli, że jestem odmieńcem. Zaczęli być w stosunku do mnie nieufni, a niektórzy mnie odepchnęli. Pojawiła się plotka, że jestem wcieleniem złego ducha. Tak więc musiałem się wynosić z mojego plemienia, zostałem wiecznie ukrywającym się wyrzutkiem. W ten właśnie sposób zacząłem uczyć się podstawowych praw przetrwania.

– Jakie to prawa?

– Trzymaj się na uboczu. Nie wychylaj się. Nie zwracaj na siebie uwagi. Do wszystkiego odnoś się z rezerwą. Nie udawaj bohatera. Nie ryzykuj. Zostaw innym brudną robotę. Nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika. Zawsze usuwaj się, uciekaj i ukrywaj. Bądź gruboskórny. Nie zwracaj uwagi na to, co inni myślą o tobie. Wyzbądź się wszelkich szlachetnych cech, świadomości społecznej. Zapomnij o lojalności w stosunku do plemienia, narodu czy kraju. Nie bądź patriotą. Żyj tylko dla siebie. Bądź obserwatorem, a nigdy uczestnikiem. Zaledwie prześlizgnij się po powierzchni rzeczy. Staniesz się w ten sposób takim egocentrykiem, że zaczniesz wierzyć, iż nic nie jest w stanie ci zaszkodzić, że jest to jedyna logiczna droga, jaką mogłeś wybrać. Pamiętasz ten dzień, kiedy wybrałeś się do Roncesvalles?

– Tak, wspominałem ci o tym. Powiedziałeś wówczas, że słyszałeś o tej miejscowości.

– Słyszałem? Do diabła, ja tam byłem owego dnia, 15 sierpnia 778 roku! Oczywiście jako obserwator, a nie uczestnik wydarzeń. Cholerny mały tchórz, poruszający się cały czas śladem oddziały dzielnych Gaskończyków, którzy zaskoczyli Rolanda. Gaskończyków?! Nie wiem, kto nadał im tę śmieszoną nazwę. Przecież byli to czystej krwi Baskowie. Najnędniejsza zbieranina oprychów, jaka kiedykolwiek pojawiła się w tych okolicach. Może niektórzy Baskowie i są szlachetni, ale takich nie było w tej gromadzie. Żaden z nich nie potrafiłby stanąć twarzą w twarz z Frankiem. Poukrywali się na stokach wąwozu, a potem spuścili lawiny kamieni na tych wszystkich możliwych księżąt. Im wcale nie chodziło o pokonanie frankońskich rycerzy, lecz o tabor. Nie powodowała nimi ani duma wojowników, ani chęć odwetu. Była to zwykła wyprawa łupieżcza. I tak im niewiele z tego przyszło.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo odbyło się to tak – wyjaśniał Luis. – Zdawali sobie sprawę, że cała armia frankońska zawróci, kiedy nie doszłusze do niej tylna straż, ale wcale nie mieli ochoty spotkać się z nią. Ograbili więc martwych księżąt ze wszystkich złotych ozdób, ze zbroi, szykownych strojów i sakiewek, załadowali to na wozy i w pośpiechu wynieśli się z wąwozu. Kilka kilometrów dalej, głęboko w górach, ukryli się w wąskim kanionie, gdzie sądzili, że będą zupełnie bezpieczni. Gdyby nawet armia ruszyła za nimi, mieli tam coś w rodzaju fortu. Jakiś kilometr poniżej miejsca, gdzie rozbili obóz, kanion silnie się przewężał i skręcał pod ostrym kątem. Było tam wielkie osypisko głazów tworzące jakby barykadę, gdzie niewielka grupa ludzi była w stanie odpierać ataki wielokrotnie liczniejszej armii przeciwnika. W tym czasie byłem już daleko od tego miejsca. Coś wisiało w powietrzu. Czulem, że wydarzy się coś niedobrego. To jeszcze jedna z tych rzeczy, które pomagają przeżyć. Zyskuje się coś w rodzaju dodatkowego zmysłu pozwalającego przeczuć nadciągające niebezpieczeństwo na długo przed jego nadejściem. Później dowiedziałem się, co się tam wydarzyło.

Podniósł butelkę, pociągnął spory łyk, po czym wręczył ją Boydowi.

– Nie każ mi czekać – ponaglił go Boyd. – Co się wydarzyło?

– Nocą nadciągnęła burza – kontynuował Luis. – Taka gwałtowna, niespodziewana, letnia nawałnica. Prawdziwe oberwanie chmury Z moich dzielnych braci Gaskończyków nikt nie uszedł z

życiem. Zapłacili za swoją brawurę.

Boyd pociągnął wina, opuścił butelkę i objął ją ramionami, jakby przytulając do piersi.

– Tylko ty wiesz o tym – odezwał się. – Nikt inny nie zna tych wydarzeń.

– Prawdopodobnie nikt się nawet nie zastanawiał, jaki los spotkał tych Gaskończyków, którzy tak dotkliwie utarli nosa Karolowi Wielkiemu. Przypuszczam, że wiesz jeszcze o wielu innych rzeczach. Człowieku, na Boga! Ty przeżyłeś historię! Przecież nie siedziałeś tu na miejscu.

– Nie, ciągle mnie gdzieś nosiło. Widziałem wiele rzeczy, tym bardziej że musiałem się ciągle przemieszczać. Nie mogłem przebywać dłużej w jednym miejscu, żeby ludzie nie zorientowali się, że ja się nie starzeję.

– Przeżyłeś epidemię Czarnej Śmierci – wtrącił Boyd. – Widziałeś legiony rzymskie i słyszałeś z pierwszej ręki o Attyli. Ukrywałeś się przed krzyżowcami i spacerowałeś po ulicach starożytnych Aten.

– Nie, nie Aten – rzucił Luis. – Ateny nigdy nie były w moim guście. Za to spędziłem sporo czasu w Sparcie. Sparta, to dopiero coś, mówię ci.

– Jesteś wykształconym człowiekiem. Gdzie pobierałeś nauki? – zapytał Boyd.

– Przez pewien czas w Paryżu, w czternastym wieku. Później na Oxfordzie. Potem w kilku jeszcze ośrodkach, pod różnymi nazwiskami. Nie próbuj tylko prześledzić mojej drogi poprzez różne szkoły.

– Mógłbyś napisać książkę. Z pewnością pobijałaby wszelkie rekordy popularności. Zostałbyś milionerem. Tylko jedna książka i byłbyś milionerem.

– Ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zostać milionerem. Nie wolno mi być kimś znanym, a milionerzy są znani. Poza tym ja nie czuję potrzeby, nigdy nie miałem tego rodzaju ciągot. Taki uciekinier jak ja zawsze znajdzie własny skarb do wykopywania. Mam wiele kryjówek tu i tam. Radzę sobie zupełnie dobrze.

Luis ma rację, pomyślał Boyd. On nie może zostać milionerem, nie może napisać książki. W żaden sposób nie może stać się sławny, nie może się wyróżniać. Pod każdym względem musi pozostać nierozpoznawalny, musi być nikim.

Mówił: prawa przetrwania. Miał z pewnością słuszość, ale to oczywiście nie wszystko. Wspomniawszy już o sztuce wyczuwania zagrożenia, o zdolnościach przewidywania. To wszystko zdałoby się na nic, gdyby nie mądrość, gdyby nie zdrowy rozsądek i cynizm rozwijany latami do rangi ideologii, gdyby nie doświadczenie, zdolność osądzania i przewidywania ludzkich reakcji, a także wiedza dotycząca sposobów wykorzystania sił – wszelkiego rodzaju sił, ekonomicznych, politycznych czy też religijnych.

Czy ten człowiek nadal był jeszcze człowiekiem, czy teraz, po upływie dwudziestu tysięcy lat, nie stał się już czymś więcej? Może przekroczył kolejną barierę ewolucyjną, zostawiając resztę ludzkości daleko w tyle, przemienił się w istotę, która zastąpi na Ziemi człowieka?

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się Boyd. – Dlaczego wykonałeś rysunki w stylu Disneya?

– Powstały one nieco później niż te w głównej jaskini – odparł Luis. – Zresztą niektóre z tych wcześniejszych też są moje. Mój jest niedźwiedź łowiący ryby. Nie wiedziałem o istnieniu groty, odkryłem ją kiedyś przypadkiem, ale nie zdradziłem się z tym przed nikim. Nie miałem żadnego konkretnego powodu, żeby trzymać to w sekrecie. Po prostu to jedna z tych rzeczy, które zachowuje się tylko dla siebie, żeby budować własne poczucie ważności. Głupota w rodzaju: ja wiem o czymś, o czym ty nie wiesz. W jakiś czas później wróciłem i zrobiłem te rysunki w grocie, malarstwo jaskiniowe było przeraźliwie poważne, taka strasznie głupia magia, twierdziłem, że malarstwo powinno być także wesołe. Tak więc kiedy moje plemię przeniosło się już na inne tereny, wróciłem

tu i zrobiłem nieco rysunków po prostu żartobliwych. Jak je odebrałeś, Boyd?

– Są wspaniałe.

– Bardzo się bałem, że nie odnajdziesz groty, a przecież nie mogłem ci w tym pomóc. Wiem, że dostrzegłeś pęknięcia w skalnej ścianie, widziałem pewnego dnia, jak się im przyglądałeś. Liczyłem na to, że utkwily w twojej pamięci. Liczyłem też, że bez trudu skojarzysz odciski palców oraz kościaną fujarkę. Wierzyłem w twoje niespotykane umiejętności odnajdywania ukrytych skarbów. Nie planowałem niczego pozostawiając w grocie odciski palców oraz fujarkę. Fujarka stanowiła oczywiście główną wskazówkę i byłem przekonany, że da ci wiele do myślenia, chociaż nie mogłem mieć pewności. Kiedy tamtego wieczoru siedzieliśmy tu przy ognisku, nie wspomniałeś ani słowem o grocie i zacząłem się już obawiać, że ją przegapiłeś. Ale kiedy zobaczyłem, co robisz z butelką po winie, jak dokładnie ją pakujesz, wiedziałem, że wyszło. Pozostała jeszcze podstawowa kwestia. Czy rozgłosisz o odkryciu malowideł w tamtej grocie?

– Nie wiem. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić. A co ty o tym sądzisz?

– Byłbym raczej zadowolony, gdybyś nadal tego nie zrobił.

– W porządku – odparł Boyd. – Zachowam to dla siebie przynajmniej na razie. Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić? Czy potrzebujesz czegoś?

– Zrobiłeś już wszystko, co mogłeś – rzekł Luis. – Wiesz, kim jestem albo czym jestem. Nie mam pojęcia, dlaczego to dla mnie tak ważne. A jest niezmiernie ważne. Przypuszczam, że to sprawa poczucia tożsamości. Kiedy umrzesz, a mam nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko, znowu nie będzie nikogo, kto by mnie znał. A jednak świadomość, że istniał człowiek, który znał prawdę i co ważniejsze – rozumiał ją, pozwoli mi przetrwać następne stulecia. Zaczekaj chwilę, mam coś dla ciebie.

Podniósł się, wszedł do namiotu i wyszedł po chwili, trzymając zwitek papieru, który wręczył Boydowi. Był to jakiś szkic topograficzny.

– Postawiłem tutaj krzyżyk, żeby zaznaczyć to miejsce – wyjaśnił.

– Jakie miejsce?

– Gdzie znajdziesz karolińskie skarby spod Roncesvalles. Wozy ze skarbami musiały zostać zniesione w dół kanionu przez rwący strumień. Ale ostry zakręt wąwozu i kamienna barykada, o której ci mówiłem, powinny je zatrzymać. Muszą tam spoczywać do dzisiaj, prawdopodobnie pod grubą warstwą mułu i ziemi.

Boyd uniósł zdziwione spojrzenie znad mapy.

– Warto się po nie wybrać – dodał Luis. – Poza tym będzie to jeszcze jeden dowód na uwiarygodnienie mojej opowieści.

– Ja ci wierzę – zaproponował Boyd. – Nie potrzebuję już więcej dowodów.

– No cóż, w każdym razie jeszcze jeden nie zaszkodzi. A teraz już czas na mnie.

– Chcesz odejść? Mamy jeszcze tak wiele do omówienia.

– Kiedy indziej – odparł Luis. – Będziemy się spotykali od czasu do czasu. Już ja się o to postaram. Ale teraz muszę iść.

Ruszył w dół ścieżką. Boyd siedział bez ruchu, patrząc za nim.

Po kilku krokach Luis zatrzymał się i na w pół odwrócił w jego stronę.

– Wydaje mi się, że zawsze jest najwyższa pora, by odejść – dodał w wyjaśnieniu.

Boyd wstał i wpatrywał się w malejącą sylwetkę, zmierzającą w stronę wioski. Z całej znikającej postaci Luisa wyzierało przygniatające poczucie osamotnienia – najbardziej samotny człowiek na ziemi.

Przełożył Andrzej Leszczyński

O autorze

Cliford D(onald) Simak (1904-1988), amerykański pisarz science fiction, całe życie pracował jako reporter i dziennikarz w Minneapolis. Debiutował w latach 30. kilkoma opowiadaniem, ale dopiero kiedy redaktorem *Astounding* został John Campbell jego kariera uległa przyspieszeniu. Cykl o robotach i psach, zebrany w tom *Miasto*, przyniósł mu wielką popularność i nagrody.

Niewątpliwie największe sukcesy święcił w latach 60. i 70. Powieść *Stacja tranzytowa* przyniosła mu Hugo (1966), opowiadanie „Wielkie podwórze frontowe” Hugo w 1959, a „Grota Tańczących Jeleni” Hugo, Locusa i Nebulę w 1981. Najbardziej znane powieści to *Czas jest najprostszą rzeczą* (pilot wraca z kosmosu obdarzony niezwykłymi mocami), *Rezerwat goblinów* (obce cywilizacje poszukują na Ziemi ważnego dla wszechświata artefaktu), *Pierścień wokół Słońca*, *Transakcja* (wizja ekonomicznej inwazji na Ziemię), *Zasada wilkołaka*, *Projekt Papież*.

Styl Simaka jest łatwo rozpoznawalny, można go nazwać rustykalnym. Większość utworów dzieje się w teraźniejszości bądź niedalekiej przyszłości, nie zabiera nas często poza Układ Słoneczny, a bohaterami są zwykli ludzie: reporterzy, sprzedawcy, rolnicy, rzućeni w swą zwyczajność w środek niezwykłych zdarzeń. Sielska atmosfera jest przerywana przybyciem innych form życia, ale w tych tekstach bardzo rzadko pojawia się groźny konflikt czy agresja – nie leżały one po prostu w naturze samego Simaka.

MAREK S. HUBERATH

Kara więkksza

Opowiadanie „Kara większa”, które ukazało się w „Nowej Fantastyce” zdobyło nagrodę im. Janusza A. Zajdla za rok 1991. Pisałem wtedy o nim: „To zaledwie drugie opowiadanie tego ukrywającego się pod pseudonimem autora, który wkroczył do literatury jako w pełni ukształtowana osobowość artystyczna. Opowiadanie Huberatha powinno stać się wydarzeniem w całej polskiej literaturze współczesnej”.

Nie tylko więc w fantastyce. Przedstawienia Piekła i Czyścica w literaturze można policzyć na palcach jednej ręki: Dante, C. S. Lewis... i kto jeszcze. Wynalazkiem Huberatha jest umieszczenie Piekła i Czyścica w tym samym miejscu – jest to obóz koncentracyjny (to najlepiej znane Polakom przybliżenie Piekła), w którym jedni odsiadują piątkę, a inni dożywocie.

Na osobną uwagę zasługuje przedstawiony niejako mimochodem, ale nie mniej przez to wstrząsający problem ofiar aborcji. W ładnych parę lat po publikacji opowiadania Kościół zajął w tej kwestii stanowisko bliskie literackiej wizji Huberatha.

Mistrzostwo świata.

Kara większa

I.

Rud starał się leżeć bez ruchu, chociaż ból od dawna nie był ostry ani przeszywający, lecz zmienił się w pulsujące gorąco, tylko czasami odzywając się tępym echem stalowego przedmiotu wbitego w ciało. Domyślał się, że pozostawili niektóre ze swoich narzędzi w rozrytych ranach. Podnieść się nie mógł; mocne skórzane obręcze nadal trzymały jego dłonie, stopy i szyję. Starał się leżeć nieruchomo, gdyż prześcieradło przylepiło się do powstałych strupów; a każdy gwałtowniejszy ruch ponownie otwierał rany, budził ostry ból przypominający poprzednią serię męczarni.

Leżał biernie, oczekując na kolejne przesłuchanie. Obecnie było dobrze, bo nie bili. Jedyne pozostawiona lampa nieznośnie błyskała wprost w oczy. Z jej powodu Rud miał zapuchnięte i piekące powieki; każde spojrzenie okupywał rżącym bólem i łzawieniem. Nie mógł stale trzymać oczu zamkniętych, gdyż po kolejnych przesłuchaniach, przed podpisywaniem, zawsze zmuszali go do czytania tasiemcowych protokołów. Zaciskał powieki, aby choć trochę ochronić oczy. Bał się, że w końcu oślepie, i podejrzewał, że oni tego chcą. Kolejne błyski o sile flesza fotograficznego uwidaczniały się przez zaciśnięte powieki jako nagłe rozczzerwienienia lub, te szczególnie silne, jako rozbielenia ciemności. Powieki piekły, zwłaszcza gdy je kurczowo mrużył, ale wołał już to niż oślepiające uderzenia światła.

Leżał, myśląc, że wolałby nie istnieć: każde poruszenie było bólem. Pulsowanie pokaleczonej tkanki świadczyło o desperackich wysiłkach organizmu zmagającego się z uszkodzeniami i zniszczeniami. Niemal czuł, jak siły organizmu walczą z licznymi zakażeniami i krwotokami, jak życie stara się wrócić do zniszczonej tkanki. Nie próbował nawet odgadnąć skali obrażeń. Wiedział, że mu zerwali paznokcie, bo to widział. Był przekonany, że strzaskali mu szczękę; domyślał się, że wybili mu wiele zębów, gdyż pamiętał, jak nimi pluł. Całe ciało musiało być jedną raną i Rud bał się wiedzy o tym, jak wygląda.

Najbardziej bał się powrotu wykonawców. Każdym nerwem starał się wyłowić najlżejsze odgłosy, wibrowanie podłoża świadczące o tym, że znów nadchodzą. Wiedział, że podlega procedurze zwykłej i musi przejść przez wszystkie jej stopnie. Śledczy używali przy nim tego określenia kilkakrotnie.

Dawniej przychodzili regularnie. Rud wykręcał szyję, aby zobaczyć tarczę dużego ściennego zegara elektrycznego. Dzięki temu wiedział, kiedy wróca. Dawało to czas na wytchnienie. Zorientowali się i zaczęli przychodzić o różnych porach – a może po prostu zmienił się rozkład ich zajęć. Obecnie i tak nie miało to znaczenia; kiedyś w czasie przesłuchania krew chlupnęła aż na zegar, a sprzątaczką zmywająca szlauchem pokój przetarła tarczę zbyt mokrą szmatą. Mechanizm przestał działać, widocznie nieco wody dostało się do środka i zrobiło się spięcie. Zegar zdjęli do wymiany, a na ścianie pozostało jaśniejsze kółko z dwoma nierówno wywierconymi otworami pod podtrzymujące haki. Między nimi zwisał ze ściany przewód elektryczny.

Błyski lampy następowały teraz w równych odstępach. Zawsze oznaczało to, że ktoś już nadchodzi. Ogarnął go zwierzęcy strach. Ciało napięło się, aby zerwać więzy i uniknąć męczarni. Wkrótce usłyszał kroki na korytarzu. Zgrzyt klucza w nie naoliwionym zamku spowodował reakcję fizjologiczną – Rud zlał się pod siebie. Towarzyszył temu straszny ból zmasakrowanych i popalonych

genitaliów.

Kroki nadchodzącego dźwięczały pod czaszką Ruda jak uderzenia młotem w kowadło. Napiął się kurczowo w oczekiwaniu pierwszego ciosu. Pragnął przyznać się do wszystkiego, chciał wykrzyczeć swoją gotowość, ale spuchnięte wargi nie poruszyły się, a roztrzaskana szczęka odpowiedziała ostrym bólem na jego wysiłki.

– Śmierdzi jak skunks. Nalane jak w chlewie – usłyszał czyjś głos. – Trzeba posłać raport na Blicynę. Obija się ta cholerna baba.

Rud chciał zaprotestować, że to nie jej wina, tylko jego słabości, ale słowom nie udało się pokonać bariery zmiądzonych warg. Jedynie zza zapuchłych powiek wyciekło kilka łez, ale i one tylko zwilżyły oczy i żadna nie ściekła po twarzy. Wiedział, że sprzątaczką Blicyną będzie się złośliwie mścić za ten raport. Będzie szczególnie długo zlewać jego umęczone ciało piekącym płynem dezynfekcyjnym, nastawiając sikawkę na maksymalny strumień, aby ten rozrywał i wysalał rany. Będzie też, niby przypadkiem, potraćać leżącego Ruda, wiedząc, że sprawia mu tym nieoczekiwany ból. Będzie, niby niechcący, zawadzać szmatą o jego pogruchothane palce albo stukać końcem miotły w poparzoną papierosami skórę.

Gdy nie było na nią karnego raportu od śledczego, Blicyna znęcała się mniej, pracowała niedbale, śpiesząc się do swoich spraw. Raport był zawsze, gdy Ruder zdefekował pod siebie; więc raport powtarzał się periodycznie, gdyż Rud nie opuszczał stołu do przesłuchań.

Mimo to wizyty Blicyny Rud przyjmował z ulgą, gdyż oznaczały, że przesłuchanie zostało zakończone. Gdy na dodatek nie znęcała się nad nim szczególnie, Rud był bliski szczęścia. Najwspanialszą chwilą było, kiedy przykrywała jego zmasakrowane ciało prześcieradłem.

Lampa przestała regularnie błyskać i pod powiekami zapanowała ciemność. Spróbował otworzyć oczy, ale powieki sklejone były ropą. Przez złamany nos, pełny zaschłych skrzepów, dotarł do Ruda zapach ordynarnego tytoniu.

– Milenkowicz, nie śpijcie! Obudźcie się! – Ktoś szarpnął prześcieradło, zrywając jednocześnie dziesiątki strupów. Rud tylko głucho stęknął, choć pod czaszką ból eksplodował przeraźliwym błyskiem. Ktoś zdarł prześcieradło do reszty. Rud konwulsyjnie targnął się w więzach.

– No, już dobrze – usłyszał. Głos brzmiał jakoś inaczej niż zwykłe szczeknięcia wykonawców czy natarczywe pytania śledczych. Nie niósł ze sobą groźby.

Rud płakał. W każdej chwili oczekiwał czegoś gorszego. Łzy wreszcie przelały się ponad zapuchłymi powiekami i ściekły po skroniach.

– Aha, przecież wy nie możecie otworzyć oczu. Czemu sami nie powiecie, Milenkowicz...? – znów ten sam, nieco ospały głos.

„Ależ chcę, chcę, powiedziałbym...”, pragnął wykrzyczeć Rud, a serce samo wyrzywało się do gorliwej współpracy ze śledczym.

– Poczekajcie no – dorzucił tamten; podszedł do oszklonej szafy z lekarstwami i nabrał jakichś kropli.

Rud poczuł przejmujący ból, jakby tamten wbił mu w oko śrubokręt i obracał nim w kółko. Przeszło. Mógł już otworzyć oczy.

Ujrzał nad sobą brutalną, jakby stężałą twarz śledczego Neuheufela. Neuheufel był sam. Wykonawców z nim nie było. Neuheufel uczestniczył w niemal wszystkich przesłuchaniach, chociaż nie wyróżniał się szczególnie. Raz tylko, rozwścieczony, wsadził Rudowi ołówek do lewego ucha, przebijając błonę bębenkową. Czasami, rzadko, przypalał mu papierosem skórę między palcami.

Uderzyła zmiana w wyglądzie śledczego: w miejsce płomienistego pentagramu miał na czapce pentagram błękitny. Czapka miała również błękitny otok, a nie krwawy; wyłogi munduru wyglądały

podobnie.

– Jesteście w Niebie, Milenkowicz. Kara większa dobiegła końca. Załatwiłem dla was skrócenie kary o dwie sesje – powiedział Neuheufel, jednocześnie rozluźniając pasy krępujące Ruda.

– Wstańcie. Zaprowadzę was do medycznego. – Neuheufel pomagał podnieść się Rudowi, który syczał, gdy palce śledczego odziane w gumowe rękawiczki zgniatały zaschłe rany na ramionach. Każdy ruch był bólem, bezruch też. Rud nie mógł usiedzieć na odbitych, gnijących pośladvach, ale nie mógł tego powiedzieć Neuheufelowi, który życzliwie, lecz stanowczo przytrzymał go w siedzącej pozycji.

Neuheufel wepchnął mu zapalonego papierosa między nabrzmiałe, rozpulchnione wargi.

– Sztachnijcie się – powiedział. – Dacie radę iść?

Dym szarpał obolałe gardło. Usta piekły nieznośnie. Podrażniona tutką papierosa nie zgojona warga pękła i strużka krwi ściekła Rudowi na brodę. Zaczął krztusić się i kaszleć. Każde kasznięcie wywoływało paroksyzmy bólu odbitych kiszek.

– No, Milenkowicz, weźcie się w kupę... – mruknął niezadowolony Neuheufel. – Taki młody facet jak wy... i taka galareta.

Rud zbyt słabo widział przez zapuchnięte oczy, aby ocenić swój obecny wygląd. Zauważył jedynie, że złamana w czasie jednego z przesłuchań prawa goleń zrosła się krzywo. Ciało miał w strupach i nie mógł rozróżnić ran.

Neuheufel pomógł mu powstać. Rud nie miał zdrętwiałych kończyn. Może było to zasługą różnych chemikaliów, które mu wstrzykiwali do żył po każdym przesłuchaniu. Stał krzywo, prawa noga była krótsza; starał się nie opierać na zgruchotanych palcach ani odbitych piętach. Pozostawały tylko zewnętrzne skraje stóp.

Neuheufel narzucił na Ruda szarą więzienną koszulę bez rękawów. Widocznie regulamin zabraniał prowadzić korytarzem nagiego więźnia. Koszula miała na plecach wielki płomienisty pentagram i dziesięciocyfrowy numer porządkowy. Rud nie pamiętał swojego numeru.

– Pójdziecie za mną. Tylko nie zróbcie mi wstydu i nie posrajcie się po drodze, Milenkowicz – powiedział Neuheufel. Otworzył drzwi pokoju przesłuchań i ruszył korytarzem.

Sycząc z bólu i utykając na potrzaskanych stopach, Rud pokuśtykał za nim. Przed oczyma migwały mu wyglansowane oficerki Neuheufela. Nie mógł nadążyć za sprężystym krokiem śledczego.

– Coś wam się nie spieszy, Milenkowicz. Widać niepotrzebnie starałam się o podarowanie wam tych ostatnich sesji. Wcale nie macie ochoty ruszyć dupy z pokoju przesłuchań – burknął Neuheufel przez ramię.

Nie mogąc zaprzeczyć, Rud zaczął płakać. Posądzenie o niewdzięczność zabolowało go jak zapałka wepchnięta za paznokieć.

– Nie... nie... ja po prostu nie mogę szybciej – wybąkał pierwsze słowa.

Zatrzymali się przy windzie. Neuheufel z namaszczeniem nacisnął duży niebieski guzik.

– Jedźcie na samą górę, Milenkowicz. Czy naprawdę was to nie cieszy? – Zarechotał Neuheufel i lekko klepnął go w plecy. Rud głucho jęknął. Plecy były jedną, rozrytą i zaropiałą raną.

II.

Komisja lekarska już czekała na Ruda. Umundurowana pielęgniarka ustawiła go na środku pokoju, na niewielkim podeście naprzeciwko dużego lustra. Z lewej był stół nakryty zielonym płótnem. Na stole

stała archaiczna maszyna do pisania; na talerzyku leżały pączki; obok stały szklanki z zaparzoną kawą. Zielone sukno było obficie posypane cukrem pudrem od pączków.

Komisja składała się z czterech lekarek. Wszystkie były w furażerkach i białych kitlach włożonych na mundury. Zauważył, że wszystkie mają na czapkach błękitne pentagramy, żadna nie nosiła płomienistego znaczka. Odetchnął z ulgą.

Lekarki były czerstwe, rumiane, w nieokreślonym wieku, mocno umalowane. Jedna z nich, pełniąc funkcję maszynistki, poprawiała sobie manicure jaskrawoczerwonym lakierem. Ostry zapach acetonu mieszał się z zapachem kawy i ordynarnych perfum.

Widok tyłu kobiet, tryskających zdrowiem i natarczywą seksualnością, oszołomił Ruda. W pokoju przesłuchań już dawno stracił rachubę czasu. Teraz wydawało mu się, że od niepamiętnych czasów nie widział kobiety.

Druga z lekarek, chyba najpiękniejsza, ogniście ruda, z rumieńcami silnie zaznaczonymi różem i wiśniowo-czerwonymi ustami, przyglądała się Rudowi z widocznym zainteresowaniem. Trzecia, siedząca obok, rozpięta mundur i kitel niemal do pasa, ciągle poprawiała i przesuwiała dłonią piersi. Co chwilę pomiędzy jej ręką i tkaniną ukazywały się fragmenty gładkiej skóry. Nie zwracając uwagi na Ruda, rozmawiała z sąsiadką o pielęgnacji piersi i ich jędrności. Wreszcie wyciągnęła jedną jeszcze bardziej i niby zasłaniając się przed Rudem, pokazywała koleżance brodawkę, chwając się idealnie kolistym kształtem i kolorem aureoli, co podobno było efektem długich masażu i maści sporządzonych według specjalnego przepisu. Rudowi kręciło się w głowie z wrażenia. „Anielice...”, myślał z zachwytem.

Czwarta lekarka wysłuchiwała opowieści koleżanki o piersiach, gryząc świeżutkiego pączka posypanego cukrem pudrem i cicho siorbiąc, popijała kawę ze szklanki.

– No, wreszcie przysłali nam z dołu kogoś sensownego – powiedziała wiśniousta, biorąc teczkę z aktami – bo zwykle to zasuszone dziady, napuchłe grubasy albo embriony. Ho, ho, ho – okazała zdumienie, przeglądając akta – ale był z niego kobieciarz... Tyle kobiet... – Zamilkła, wczytawszy się w dokumentację. – Hm... – mruknęła i z zainteresowaniem przyjrzała się Rudowi. Leciutki, zmysłowy uśmiezek dodawał wdzięku jej nieco agresywnej urodzie.

– Nazywacie się Rudolf Milenkowicz? – zapytała po chwili znaczącego milczenia.

– Ruder nie Rudolf – sprostował. – Ojciec był emigrantem.

– Niech będzie. Rozbierajcie się – zakomenderowała.

Zanim zaskoczony Rud zdołał zareagować, strażniczki zdarły z niego więzienną koszulę. W lustrze z przerażeniem ujrzał swoje zrujnowane ciało. Makabrycznie nabrzmiałą twarz ze szparkami oczu w sinych, napuchniętych oczodołach. Złamany nos, wargi rozdęte i zniekształcone. Potwornie wychudzone kończyny pokryte zaschłą krwią, potem i brudem; otwarte rany i pokracznie, krzywo zrośniętą prawą nogę. Zwisające strzępy uszu...

Dopiero po chwili, jakby czekając, aż Rud zdąży się dokładnie obejrzeć, lekarki gruchnęły śmiechem.

– Przecież mężczyzna ma w tym miejscu co innego, a nie takie strzępy – wypaliła ta, co piłowała paznokcie, a inne wybuchły głośnym śmiechem.

– Czy to w ogóle jeszcze jest mężczyzna? Jest gorszy niż jakiś dziad albo zawałowiec! – Rechotały jedna przez drugą. – Ale nędza fizyczna! – Zarumienione i ożywione lekarki przekrzykiwały się, kipiąc płciową kobiecością.

– Zobaczmy, co się z tego da zrobić – stwierdziła najpiękniejsza i podeszła do Ruda.

– No, nasi chłopcy zdrowo nad nim popracowali – powiedziała, trąc ołówkiem resztki genitaliów Ruda. – Porozrywane i popalone strzępy; teraz zupełnie zakażone, zropiało – powiedziała.

– Zaprotokołować: nadaje się do całkowitego usunięcia.

– Podłączali mi elektrody... szarpali haczykami... – wybąkał głucho Rud.

– Zgadza się. Dlatego skóra jest zwęglona – odpowiedziała. – Nic się nie martw. Założymy ci fajną rurkę. Będiesz sikać bez bólu.

Serce Ruda szarpnęło się jak uwięziony ptak – Czujesz coś? – zapytała, dla odmiany zagłębiając ołówkę w obszernej, gnijącej ranie, sięgającej od obojczyka do barku. Musiała go głęboko wcisnąć, zanim Rud syknął z bólu. Długo zastanawiała się nad jego nogą, w końcu stwierdziła, że kość gnije i nogę trzeba obciąć pod kolaniem.

Powolny stuk archaicznej maszyny pieczętował wyrok nad nieszczęsnym ciałem Ruda. Protokółantka myliła się, klęła i narzekała, że pisanie niszczy jej lakier na paznokciach.

Lekarka dłużej zastanawiała się nad jego twarzą.

– Małżowiny chyba usuniemy do reszty, bo niewiele z nich zostało... – zawahała się. – Nos też by się przydało...

Widocznie zrobiło się jej żal Ruda, gdyż dodała: – Ciężka sprawa z tobą... Jest bardzo mało zdrowej skóry do uzupełnień.

– Bili mnie, aż skóra pękała – powiedział. – Polewali kwasem pod pachami.

– Przestańcie skomleć, Milenkowicz – rzuciła twardo, a jej piękna twarz nieoczekiwanie stwardniała w wyrazie widywanym u Neuheufła. – To jest zwykła procedura przesłuchań. Bez powodu tam nie trafiliście.

Zaraz jednak znowu zmieniła ton.

– Mogę zrobić małżowiny uszne, ale wtedy nie starczy na rurkę do sikania... – powiedziała bardziej życzliwie. – Zrobię ci dziurkę jak dziewczynie, ale będziesz musiał sikać na siedząco.

– Może zrobić z niego dziewczynę. – Zachichotała ta, co bawiła się piersią. – Zrobimy mu dziurkę do sikania i piersi wypchane gąbką. Wtedy starczy skóry, żeby mu odstawić buziaka na cacy.

– Nie... nie możecie... nie zgadzam się – gwałtownie zaprotestował Rud.

– Jeśli się nie zgodzicie na operację, to w ogóle nie będziemy was leczyć, Milenkowicz – powiedziała twardo najpiękniejsza. – Wolna droga! Z gnijącymi genitaliami i gnijącą raną na barku niedługo pociągniecie. Najwyżej dziesięć dni. Już się wywiązuje ogólne zakażenie.

Rud skulił się.

– Wasza zgoda na wszelkie zabiegi operacyjne i amputacje jest warunkiem rozpoczęcia leczenia. Macie absolutną wolność wyboru. Proszę bardzo, wybierajcie – prychnęła.

Chwilę odczekała na jego odpowiedź.

Rud ścierpł ze strachu.

– No – powiedziała z wyraźnym triumfem. – Nie zrobimy z niego kobiety. W papierach pisze, że to mężczyzna, to ma być mężczyzna. Musi się zgadzać.

– Można mu uciąć nogę ponad kolaniem, to będzie z tego trochę skóry na naprawę twarzy – podsunęła jedząca pączki.

– Szkoda stawu – myślała na głos piękna lekarka. – Chyba nie jest zniszczony. Będzie łatwiej zamontować protezę.

– Chyba nie ma na składzie krótkich protez – nie ustępowała jedząca pączki, oblizując słodki puder z warg – tylko te długie, na pełny wymiar.

– Przecież protezę dopasowuje się do nogi, do kikuta, a nie odwrotnie – ośmielił się powiedzieć Rud.

– Nie wtrącajcie się, Milenkowicz – warknęła bawiąca się piersią i jak rewolwer wycelowała w niego okazałą brodawkę – i tak wyglądacie jak ostatnia ruina. Dwadzieścia centymetrów krótszy

kikut nie robi wam różnicy. Ładnie by wyglądało, gdyby nasz przemysł musiał robić każdemu protezę indywidualnie. Nigdy byście sobie nie kupili takiej indywidualnej protezy, tyle by to musiało kosztować. Czy wy w ogóle słyszeliście o taśmowej produkcji?

Rud przestał wtrącać się do dyskusji nad swoim ciałem. Nie protestował, był przecież w Niebie.

III.

Przed operacją, dla zaleczenia otwartych ran, umieszczono go w szpitalu. Pokryty gęstym żelem, który wywoływał nieznośne swędzenie skóry, Rud szaleńczo podskakiwał i miotał się po zastawionej piętrowymi łózkami, zatłoczonej sali. Rozwścieczało to innych chorych. Niektórzy z nich, ci z górnych łóżek, oblewali go herbatą albo resztkami zupy. Jeden z nich poparzył Rudowi skórę na głowie gorącym mlekiem. Do reszty wyszły mu wtedy włosy. Inni chorzy, którzy lepiej pamiętali, co sami przeszli, zachowywali się życzliwiej. Na ogół byli to słabi, zmęczeni życiem, pomarszczeni starcy, którzy obawiali się kulejącego wprawdzie, ale silniejszego fizycznie Ruda.

Przygotowanie do operacji obejmowało także codzienne płukanie żołądka, od którego aż skręcały się wnętrzności, oraz codzienną lewatywę.

– Pewnie chcą ci rozwalić ten mięsień okrężny, co się nie zrasta... – komentował epileptyk Tony. – Wtedy zrobią ci sztuczną dupę na brzuchu. Żebyś stale śmierdział gównem. Tak robią każdemu... A tobie przez przypadek zapomnieli rozwalić dupę podczas przesłuchań. Włączali ci kompresor do dupy?

– Nie.

– A widzisz. To nawet flaki rozrywa.

Pokryte starczymi wykwitami, o gruzłowatych, reumatycznych stawach, dłonie Tony'ego trzęsły się bezradnie, próbując zwinąć skręta. Cenny, drobny jak kurz tytoń rozsypywał się na podłogę. Rud próbował mu pomóc swoimi zgruchotanymi, usztywnionymi palcami. Na trzech z nich znowu kielkowały paznokcie.

Rud obserwował nowe uszy Tony'ego wstawione w miejsce rozerwanych podczas przesłuchań. Były niekształtne, pozbawione charakterystycznych wgłębień i wypukłości; rosły na nich siwe włosy. Widocznie wzięto na nie skórę z przedramion. To były jedyne włosy na głowie Tony'ego. Czaszkę miał łysą i błyszczącą.

– Te salowe i pielęgniarki są takie szorstkie i brutalne w obejściu – zauważył Rud.

– To jest zwykła rutyna – powiedział Tony. – Też rutynowo na oddziale męskim pracują wyłącznie lekarki, a na kobiecym wyłącznie lekarze mężczyźni. To samo z pielęgniarkami, pielęgniarzami i resztą personelu.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z chorymi z oddziału kobiecego.

Rud miał tak zdumiony wyraz twarzy, że Tony dodał:

– Przed operacją nie wolno się z kobietami kontaktować. Po operacji będzie ci wolno. Nawet w Niebie trzeba rozsądnie dozować wolność: stopniowo, żeby rozum nie pomieszał się od nadmiaru szczęścia.

Rany powierzchowne goiły się, pomimo, a może właśnie dlatego, że były często otwierane przez pielęgniarki, które zawsze zmieniały opatrunki, gwałtownie zrywając przyschniętą gazę.

Wycinały też martwą tkankę z ran, kilkakrotnie przez przypadek odcinając kawałki żywej skóry. Było to tym bardziej przykre dla Ruda, że nie chciał tracić, nawet żalonych, resztek swoich genitaliów.

Szaleńczo bał się operacji. Z przerażeniem obserwował, jak na karcie chorobowej zygzakowaty wykres codziennej temperatury nieuchronnie dąży na spotkanie pionowej, fioletowej kreski oznaczającej planowany termin.

Bał się tych chwil, w których ktoś inny będzie decydował o jego ciele, a on sam nie będzie miał na to wpływu. Bał się, żeby dla kawału nie zrobiły z niego kobiety. Oglądał swoją prawą nogę, starając się zgadnąć, w którym miejscu postanowiły ją obciąć. Noga nie bolała. Skóra na niej ładnie się goiła. Jedynie podudzie miało cudaczny, zgięty kształt od krzywo zrosniętej kości. Pomimo to mógł chodzić, chociaż mocno utykał. Bał się, że poobcinają mu znieruchomiłe palce. Przeglądając się w popstrzonym przez muchy lusterku wiszącym nad umywalką, starał się wyobrazić siebie, jak będzie wyglądał z dziurą zamiast nosa. Obecnie miał nos, wprawdzie w większości pokryty ropiejącą raną i z nozdrzami zwisającymi w strzępach, ale zawsze.

IV.

Z operacji przywieźli Ruda zabandażowanego od stóp do głów. Dodatkowo jego głowę osłonięto specjalnym parawanikiem, aby nie mógł obejrzeć reszty ciała.

Przez pierwsze godziny czuł się koszmarnie, po eterze wymiotował, na co strasznym bólem odpowiadała pocięta i pozszywana tkanka. Ból sprawiał każdy ruch, każda próba chrząknięcia.

Chorzy snuli się po sali i zaglądali do niego. Gdy tylko Rud mógł już mówić, poprosił, aby Galahar, który się właśnie nad nim nachylał, sprawdził, dokąd obcięli mu prawą nogę. Stary Galahar laską odchylił kołdrę.

– Wygląda jakbyś był w całości, z dwiema nogami. Zabandażowali cię od stóp do czubka głowy, tylko oczy widać, gębę i dziurki w nosie. Ale widzisz... jak komu utną nogę, to protezę też starannie bandażują, żeby nie było widać. To jest taka etyka lekarska, żeby nie niepokoić chorego. Spróbuj poruszyć tą nogą.

Rud nie był w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą; mógł tylko przetaczać głowę z lewa na prawo, i to w ograniczonym zakresie.

– Mogę cię uderzyć laską po palcach, może poczujesz ból – zaproponował Galahar.

– Na nic to się nie zda – włączył się Tony, który od pewnego czasu przysłuchiwał się rozmowie. – Nie odróżni tego bólu. Obcięta kończyna boli jakby była i jakby wszystko w niej bolało, mimo że jej nie ma. Mogli mu poobcinać obie ręce i obie nogi, ale w ten sposób tego nie sprawdzi.

– Aaa! – Szarpnął się ze strachu Rud i zaraz głucho jęknął, płacąc bólem za gwałtowność tego ruchu.

– To co mi pozostaje? – wydusił z siebie, gdy stłumił płacz, a ból zmniejszył się do zwykłego nasilenia.

– Niepewność – rzucił Tony.

V.

Wkrótce parawan usunięto. Odtąd rozstawiano go wokół głowy Ruda, tylko gdy zmieniano opatrunki

lub zdejmowano szwy. Podkreślano, że jest to robione specjalnie, aby go bez potrzeby nie martwić. Leżąc bezwładnie, bezskutecznie próbował dociec, co zrobili i co robią z jego ciałem. Jediną wskazówką był ból nasilający się w coraz to innych miejscach ciała w miarę przeprowadzanych zabiegów. Zabiegi wykonywała zawsze któraś z lekarek, które badały go wcześniej. Pamiętał doskonale każdą z nich, choć nie wiedział, jak się nazywają, z wyjątkiem tej rudej, najpiękniejszej z nich, na którą chorzy mówili Panfilowa.

Lekarki, zmieniając opatrunki, często żartowały z Ruda. Ta, która kiedyś bawiła się piersią, stwierdziła, że odstawiły Ruda na całkiem ładną dziewczynę z bardzo kuszącym biustem, tak że ona sama mu zazdrości. Narzekała tylko, że biodra zrobiły mu za wąskie; ale go podtuczą i wtedy nieco tłuszczu przeniosą z brzucha na uda i pośladki, to będzie lepiej wyglądał. Mówiła to wszystko pół żartem, pół serio i Rud nie potrafił wywnioskować, jak jest naprawdę. Bał się nadal, choć powoli obojętniał. Strach nie poparty bólem wyradza się w przyzwyczajenie.

Kiedyś nawet odważył się spytać Panfilową, jak wysoko obcięli mu nogę.

Spojrzała na niego badawczo.

– Zdziwisz się, jak zobaczysz – powiedziała i mocno poklepała go po policzku.

Innym razem odwiedził go Neuheufel. Rud drżał na jego widok. Nie potrafił tego powstrzymać. Neuheufel kazał mu odpowiadać na dziesiątki pytań tasiemcowej ankiety. Siedział na brzegu łóżka i wypełniał arkusz za arkuszem, pałac papierosa za papierosem. Rud nie znosił zapachu tytoniu. Po wizycie Neuheufela wymiotował.

Bez końca nie mogli go trzymać zabandażowanego i skrępowanego; kiedyś niepewność musiała się wyjaśnić. Wszystkie bandaże zdjęto za jednym razem i też od razu pozwolono mu chodzić. Rud najpierw nieufnie obejrzał swoje ciało, następnie poprosił o lustro. Nie było źle, było daleko lepiej niż oczekiwał.

Nogi mu nie obcięli. Była prosta i równej długości z lewą. Jedyne różowymi ściegami zaznaczały się świeże blizny. Rurka do sikania też nie wyglądała zupełnie źle: była podobna do tego, co zastępowała. Co ważniejsze, mógł sikać bez silnego bólu. Nos odrobili Rudowi dość zgrabnie. Wyglądał jak miękki nos boksera, ale dało się wytrzymać. Uszy też były, choć brzydkie, źle ukształtowane, za duże. Na ramieniu pozostała dziura, ale prawie wygojona. Na ciele miał cały szereg czerwonych, świeżych blizn i rozległe płyty bibułkowatej, różowej skóry świeżo narosłej w miejscach wcześniej poparzonych albo w miejscach, skąd wzięto skórę do przeszczepów kosmetycznych. W szczególności, pod pachami miał taki różowy pergamin zamiast skóry. Dostał więc specjalny puder do częstego posypywania, żeby uniknąć odparzeń i ran. Palce zginały się, jedynie niektóre nieco słabiej. Większość paznokci wzięła się do kiełkowania.

– Dlaczego? Dlaczego musiałem żyć w niepewności? – spytał Panfilową, naciągając po kolejnym badaniu szarą szpitalną pidżamę z błękitnym pentagramem i numerem porządkowym na plecach.

– Przejście od kary musi być stopniowe, aby było bezpieczne dla psychiki – odpowiedziała. – A poza tym nie chcemy budzić w pacjentach złudnych nadziei. Operacja może się nie udać... Dlatego wstępne badanie podaje rezultaty w przypadku najmniej pomyślnym. Musimy przecież uniknąć rozczarowania pacjenta. Co powiedzielibyście, gdybym wam obiecała, że nogę da się uratować, a obudzilibyście się bez nogi?

Rud nie odpowiedział. Panfilowa wrzucała zużyte bandaże do kubła. Pracowała sama, na popołudniowej zmianie nie było zbyt wiele pielęgniarek. Sprawiała wrażenie bardzo znużonej. Nie miała makijażu, jej twarz wyglądała przez to blado, choć młodziej. Zaznaczały się delikatne zmarszczki wokół oczu. Była to zupełnie inna Panfilowa niż zwykle, choć równie, a może nawet

bardziej piękna. Chciał zapytać, czy nie jest chora, ale pomyślał, że może to być kac, i nie odważył się.

– A teraz co będzie ze mną?

– To, co z każdym. – Wzruszyła ramionami. – Przeniosą was do ośrodka przystosowania. Musicie się odbudować wewnątrz. Naprawa następuje stopniowo. To jest ta sama reguła co przy operacjach.

VI.

Ośrodek przystosowania zajmował rozległy obszar otoczony szarymi wzgórzami z jednej, a rachitycznym laskiem z drugiej strony. Szaroniebieskie niebo, widziane po raz pierwszy od niepamiętnego czasu, zapierało dech.

Na ośrodek składały się stojące rzędami baraki, wzniesione z przegniłego, szerniałego drewna. Baraki pooddzielane były uliczkami wydeptanymi w gliniastej glebie. W suche dni pokrywał je kurz, w czas deszczu zamieniały się w śliskie błoto. Dalej była fabryczka, w której pracowali przyjezdni; wychodząca zza wzgórz bocznica kolejowa, którą przybywali, i szereg budynków gospodarczych. Od strony lasku była zona, budki strażników i ogrodzenie. Przystosowanie do Nieba winno być stopniowe, toteż w trosce o zdrowie psychiczne lokatorów przejściowo ograniczano ich wolność. Jednym z budynków gospodarczych było niewielkie krematorium, w którym palono zużyte opatrunki, wydzieliny oraz amputowaną tkankę – wszystko, co składa się na odpadki szpitalne. W bezwietrzne dni gęsty dym snuł się po ulicach i drapał w gardło. W szpitalu leczono tych, których – podobnie jak Ruda – przywiozła winda z dołu. Niektórzy żartowali, że w krematorium pali się tymi, którzy nie zdołali przystosować się do Nieba, ale nie była to prawda.

Barak, w którym zamieszkał Rud, nie wyróżniał się niczym: Idący środkiem mroczny korytarz z wiszącymi na przewodach popstrzonymi żarówkami, wokół których krążyły z bzykiem muchy, wypełniał zatechły smród butwiejącego, rozgrzanego, wilgotnego drewna. Po bokach korytarza znajdowały się dwa szeregi spaczonych drzwi wiodących do kolejnych sal. W przypadku jeśli wszyscy wychodzili, drzwi należało zamykać na kłódkę. Wówczas starszy sali – zwykle najstarszy wiekiem, zniedołężniały starzec – brał klucz ze sobą. Było to niewygodne.

Na końcu korytarza znajdował się wychodek. Dwie kabiny. W każdej deska z dziurą, pod spodem szambo i natrętne, tłuste muchy z niebieskimi brzuchami. W instrukcji pisali, żeby przed zasięgnięciem dokładnie spryskać deskę, także od spodu, mocnym środkiem owadobójczym, gdyż pod deską lubiły się czaić jadowite pająki. Podobno było kilka wypadków ukąszenia i napuchłe ofiary trzeba było hospitalizować. Zwykle jednak pojemnika z aerozolem brakowało na półeczce z nieheblowanej deski. Wypadały tylko dwie ubikacje na barak i co rano zbierała się przed nimi długa, cuchnąca kolejka. Cuchnęli ci, co nie potrafili utrzymać stolca. Wszyscy tłoczyli się, nie zwracając uwagi na smród, gdyż wprawdzie każda sala miała umywalkę, ale sikanie do umywalk było surowo wzbronione pod groźbą uzupełnienia kary większej, co odstraszało wystarczająco.

Umywalnię umieszczono na zewnątrz, przy ścianie baraku – długie, blaszane koryto z rzędem kranów. Rano, gdy wszyscy myli się przed wyjściem do pracy i wszystkie krany były w użyciu, ciśnienie wody spadało w kolejnych kranach w miarę zbliżania się do końca rury. Z reguły najsilniejsi grupowali się przy kranach, z których najlepiej ciekło.

Prysznic był również na zewnątrz: jedna kabina za parawanem z blachy, zasłaniającym od

ramion do łudek. Z prysznicą korzystali rzadko, gdyż woda była lodowato zimna, podobnie zresztą jak woda w umywalkach. Od zimnej wody drętwiały i czerwieniały dłonie. Obowiązkowo należało myć je dwa razy dziennie, a kąpać się co drugi dzień. Za brudne dłonie, stopy lub uszy groziło pozbawienie przydziału papierosów lub masy czekoladopodobnej. Dlatego wszyscy myli się i kąpali zgodnie z regulaminem. Nikt nie kąpał się częściej.

Połowę baraku, tę dalej od wychodka, zajmowali nienarodzeni. Rud nie lubił nienarodzonych. Sądził, że uważają się za lepszych od innych. Nawet w baraku zajmowali tę część, gdzie mniej śmierdziało.

Pierwszy raz napotkał nienarodzonego na trawniku przed barakiem. Rud spodziewał się, że napotka kogoś małego, filigranową istotkę. Tymczasem nienarodzony był spory – wielkości normalnego noworodka, brzydki i jakiś taki przezroczytawo-wodnisty. Później Rud dowiedział się, że czasami bywają nawet ośmiomiesięczni nienarodzeni.

Przyjrzał mu się. Zauważył delikatną, jakby zbyt miękką skórę, słabo zarysowane paznokcie i bezrzęse oczy o wielkich, szarobłękitnych tęczęwkach; niemal przezroczyście, delikatne małżowiny uszne i nozdrza. Nienarodzony wpatrywał się w Ruda nieoczekiwanie mocnym, natarczywym, hipnotyzującym wzrokiem. Rud spuścił oczy – trudno wytrzymać wzrok nienarodzonego. Obaj mieli na sobie szare płócienne kurtki i także spodnie. Obaj mieli na plecach błękitne pentagramy i swoje numery generalne. Kurtki były w tym samym fasonie, dość proste w formie, ale praktyczne. Trepy nienarodzonego były miniaturową kopią obozowych trepów Ruda. Zdrowe, przewiewne, na drewnianych podszwach.

„Ale małe stopki”, pomyślał zdumiony Rud.

– Spadaj, zmyj mi się z drogi – załomotało pod czaszką Ruda. Nienarodzeni nie mają całkowicie wykształconych ośrodków mowy i porozumiewają się taką dziwną, bezpośrednią metodą. Rud posłusznie odsunął się ze ścieżki. Nienarodzony podreptał drobnymi kroczkami, cicho klapiąc drewnianymi obcasami.

Na sali, oprócz Ruda, byli sami starcy. Z niektórymi trudno było się dogadać. Prycze nie były piętrowe, gdyż żaden ze starców nie potrafiłby wdrapać się po drewnianej drabince.

Połową sali, tymi, którzy spali na pryczach od strony okna, opiekował się śledczy Neuheufel. Był ich kuratorem i opiekunem. Pozostałymi zajmował się nadporucznik Holzbucher, który bardzo rzadko zaglądał do baraku.

Neuheufel wyciągnął z dołu wszystkich swoich podopiecznych przed upływem terminu kary większej. Przynajmniej oni tak twierdzili, i on także. Czasami Neuheufel przynosił dla nich z kantyny pasztetową albo salceson. Przyniesione skarby, owinięte w przemoczony papier pakunkowy, wyjmował z kieszeni munduru i kładł na stole, który jeden z podopiecznych zdążył już usłużyć przetrzeć rękawem. Oni wszyscy stawali wtedy wokół stołu i z nabożeństwem wpatrywali się w jego dłonie rozwijające przyniesiony skarb. Podopieczni Holzbuchera skręcali się z zazdrości i ze swoich prycz przypatrywali się obrzędowi podziału. Neuheufel dzielił wędlinę według wkładu w pracę i resocjalizację. Ci, którzy zgodnie z jego decyzją nie zasłużyli, zgaszani odchodzili od stołu. Pozostali rozkoszowali się poczęstunkiem. Neuheufel z reguły wyróżniał Ruda. Przy podziale porcja salcesonu dla niego była najokazalsza.

– Wkurza mnie to stare próchno – zwierzył się kiedyś Neuheufel – ale co zrobić, teraz tylko takich przysyłają. Co jakiś czas po tamtej stronie nasi robią akcję i wtedy stamtąd przychodzą całe tłumy. Kobiety, dzieci, starzy, młodzi. Jakich zamarzy. Odrobić się nie można, tyle tego.

– Ale ja lubię robotę – popatrzył badawczo na Ruda. – Lepsze to niż taki bezruch jak obecnie... Chociaż może znowu się coś ruszy. Na razie przychodzą stare dziady. Rzadko się zdarzy ktoś młody,

z wypadku, jak wy, Milenkowicz.

Rud dowiedział się, że trafił tu w wyniku wypadku.

VII.

Rzucona od niechcienia uwaga Neuheufela kiełkowała w czasie bezsennych godzin. Przy najbliższej okazji Rud wrócił do tej rozmowy. Zapytał wprost, dlaczego trafił na karę większą.

– Ja też się dziwię – stwierdził Neuheufel, kolorując kredką wykresy do sprawozdania. – Trzeba być niezłym skurwielem, żeby dostać karę większą. Wy na takiego skurwiela nie wyglądacie, Milenkowicz.

Rud oczekiwał innej odpowiedzi, oczekiwał wyjaśnienia. Wiele dni bezskutecznie szperał w pamięci. Niemal bezskutecznie. Właściwie tylko jedna sprawa wracała we wspomnieniach.

Twarz Neuheufela wykrzywiła się w dziwnym wyrazie, jakby nabrzmiewała, tak łapczywie oczekiwał na słowa Ruda. Temu zaś wydawało się, że Neuheufel stara się mu pomóc, jakby natężeniem swej woli pomaga mu wyłowić z pamięci przyczynę.

– Właściwie była jedna taka sprawa. Chodziło o dziewczynę – zaczął niepewnie Rud, lecz w miarę mówienia coraz składowiej wiązał słowa. – Pracowała przy kasie w domu towarowym. Taka drobna, szczupła, zgrabna, niepozorna, tylko twarz miała piękną.

– Reszta była brzydka? – wtrącił śledczy.

– No nie, ale twarz miała niezwykłą. Na twarzy wszystko było ładne: brwi, rzęsy, rumieniec dokładnie taki jak brzoskwinia i też taki delikatny meszek na policzkach. Może trochę zbyt wystający nos. Oczy miała badawcze, wyraziste, zielononiebieskie. Nigdy nie zapomnę jej oczu. Do tego jasne włosy. Świetny zestaw. Potem dopiero wyszło, że włosy tlenione. Ale to tak bardzo nie przeszkadzało... Zawsze ten rumieniec... usta też niepotrzebnie malowała.

Neuheufel cierpliwie słuchał.

– I takie śmiesznie zaznaczone, maleńkie bicepsiki i ciemne włosy na przedramionach. Tych włosów bardzo się wstydziła i gdy zrobiło się ciepło, to je zgoła. Wtedy jej odrosły jeszcze gęstsze – Rud mówił do swoich myśli.

– Zacząłem stale chodzić do tego sklepu – kontynuował – a potem to już poszło samo. Już gdy pierwszy raz do niej zagadałem, byłem pewny wyniku. Kilka razy złapałem jej spojrzenie, a spojrzenie potrafi powiedzieć niemal wszystko. Takie badawcze spojrzenie niebieskozielonych oczu. Czasem woda ma taki kolor.

Neuheufel głośno siorbnął kawę z półlitrowego metalowego garnka. Następnie splunął fusem.

– Nie widzę tu powodów, żeby skazali na karę większą – stwierdził z niewinną miną, jeśli twarz Neuheufela w ogóle była w stanie przybrać wyraz niewinności.

– No, bo... – zająknął się Rud, czerwieniąc się – potem było to, co zwykle.

– Co zwykle? – nieubłaganie podchwycił Neuheufel.

– No, wiadomo... Nawet mieszkaliśmy razem. Potem musiałem wyjechać, bo zacząłem studia – wykrztusił Rud.

Neuheufel uważnie wpatrywał się w twarz Ruda, a jego twarz powoli zaczynała składać się do znajomego uśmiechu.

– I ona była w ciąży. Nawet przyjechała za mną. Tam gdzie studiowałem. Ale ja już interesowałem się inną – Rud męczył zdanie za zdaniem.

– Urodziła?

– Chyba nie. To znaczy na pewno nie. – Rud był spocony z wysiłku. Wyznanie nie przyniosło mu żadnej ulgi.

– Przejrzę wasze akta, Milenkowicz. Zobaczy się, co się da z tym zrobić – ton Neuheufela był oficjalny. – Jak ona się nazywała?

– Dianna. Dianna Felden. Taka dziwna pisownia imienia. Neuheufel pokiwał głową i odwrócił się do okna. Nie chciał, aby Rud ujrzał, że śmieje się do swoich myśli.

VIII.

Do sali Ruda przybył Tony, wiekowy epileptyk o błyszczącej łysinie pokrytej dziesiątkami rudych piegów i drżących rękach pokrytych plamami i kalafiorowatymi naroślami. Rud poznał go jeszcze w szpitalu.

W miarę rekonwalescencji Ruda czas spędzany na ćwiczeniach rehabilitacyjnych ulegał skróceniu. Rud nienawidził tych obowiązkowych męczarni, kiedy najpierw musiał moczyć ręce, nogi lub moczyć się cały w gorącym roztworze soli, a następnie muskularne, szorstkie masażyści wyłamywały jego zastępe stawy, aby przywrócić im sprawność. Nie znosił ich ironicznych komentarzy. Podobno robił zaskakująco duże postępy, choć sam uważał inaczej. Blizny zbladły, a papierowa, różowa skóra stała się grubsza, bielsza i mniej drażliwa.

Ponieważ Rud miał obecnie nieco więcej czasu, Neuheufel zaproponował mu pracę. Zapewniała dodatkowe kupony na papierosy i nieco lepsze jedzenie. Rud nie palił, ale za papierosy można było dostać niemal wszystko, stanowiły powszechny towar wymienny.

Dostał pracę na bocznicę kolejowej, przy wyładunku przybywających z tamtej strony nowych lokatorów. Stara, parowa lokomotywa, sapiąc z wysiłku, pchała na bocznicę kilka wagonów bydłowych. Z kabiny wychylała się umorusana twarz kolejarza w wojskowej czapce z płomienistym pentagramem. Transportem z tamtej strony zajmowali się funkcjonariusze pracujący zwykle na dole.

Drużyna Ruda miała za zadanie rozładować transport. Przodownik nosił czapkę z błękitnym pentagramem oraz czarną, policyjną pałkę, ale nigdy tej pałki nie używał, ponieważ wszyscy pracowali z ochotą. Pracy było mniej niż chętnych. Od dłuższego czasu transporty przychodziły rzadko i były stosunkowo nieliczne. Dawniej zdarzały się okresy, że bocznicą była zatłoczona wagonami, drużyny pracowały w dzień i w nocy, a i tak nie mogli nadażyć z rozładunkiem. Wtedy przyjeżdżało bardzo wielu młodych mężczyzn w transportach, a w ostatnim okresie szczególnego nasilenia dostaw – nie tylko młodych mężczyzn. Pałki przodowników bywały wtedy w użyciu, chociaż za dniówkę płacono wówczas znacznie więcej niż obecnie, a za noc była dodatkowa stawka.

Drobny, śniadoskóry Jose wspominał te czasy. Palił mocnego skręta. Miał niski numer, niemal o połowę niższy niż Rud. Jose był kiedyś buntownikiem czy partyzantem. Nie pamiętał dokładnie albo nie chciał powiedzieć.

– Szli całymi gromadami, w pasiastych pidżamach – wspominał Jose. – Jeden taki, chudy jak wieszak, o zapadłych, ale aż gorejących oczach, zatrzymał się, wlepił we mnie te swoje gały i mówi: „Tam była bocznicą kolejowa i tu też jest bocznicą kolejowa”. Potem wciągnął nosem powietrze, nie?, i wzdycha: „Eli, Eli, i dym tak samo śmierdzi. Czy to, bracie, nie ironia?” Nie zrozumiałem tego. I poszedł, taki zgarbiony z wystającymi łopatkami. Nie mogę go zapomnieć. Potem go nie spotkałem, chociaż chciałem pogadać z facetem – Jose poruszył płaskimi, smolście czarnymi

wąsikami, wyssał resztki dymu i zdeptał peta.

Gdy odpłombowano wagony, okazało się, że w środku stoją rzędami spore kadzie ze szczelnie dopasowanymi, zabezpieczonymi pokrywami. Każda z kadzi miała dwie ręczki do przenoszenia. Gdy przenoszono kadzie z wagonów i ustawiano po dwie na wózkach akumulatorowych, wewnątrz kadzi chlupotała woda. Praca była męcząca, kadzie ciężkie, a dzień wyjątkowo upalny. Rud był zlany potem. Pracował z Josem, który choć niewysoki, był jednak silnym mężczyzną. Znacznie gorzej było starcom, którzy sapali i jęczeli z wysiłku. Ale pokusa przydziału papierosów była zbyt silna, więc przodownik nie musiał wymachiwać pałką.

Przodownik Eckhardt był wysokim mężczyzną o mięśniach kulturysty i twarzy aktora grywającego w westernach. Przechadzał się wolnym krokiem wśród pracujących. Czasem pomagał, gdy kadź niesiona niezdarnymi rękami przechylała się niebezpiecznie.

Ten transport nie dawał Rudowi spokoju. Przecież mieli być ludzie, a przyszły wielkie kubły z wodą. W nocy, gdy zmęczone mięśnie przyjemnie mrowiły, zasypiając, miał przed oczyma szeregi szarych numerowanych kadzi.

Następnego dnia miał wolne. Neuheufel siedział przy biurku i przygotowywał kolejne sprawozdanie. Rud przepisywał dla niego długie tabele z rzędami liczb. Popijał czarną kawę z cykorii słodzoną sacharyną. Neuheufel popijał prawdziwą kawę słodzoną cukrem. Rud spytał go o tajemnicze pojemniki.

– To nienarodzeni. – Skrzywił się Neuheufel. – Zawsze tak przychodzą. Wylewają ich kubłami do kibli, to i do nas przychodzą w kubłach. Osobno ręce, nogi, głowy... Rozumiesz...? Te łyżeczki chirurgiczne rozwalają takiego na kawałki. Potem dziewczyny z działu medycznego muszą od nowa składać, zszywać. Syf, nie robota. Takie małe ręczki, delikatna tkanka...

– Lekarki zszywają?

– Gdzie tam, za dużo tego przychodzi. Podopieczne zszywają. Wyskrobała jednego, to zszywa jednego; dwóch, to zszywa dwóch.

– Każda swoje dziecko?

– Nie wiem. Raczej nie... ze względów praktycznych. Nieważne. Ważne co innego: żeby nie pomylić jednej ręki od jednego, drugiej od drugiego, boby dopiero było – zarechotał rubasznie.

Białe, porośnięte rzadkimi czarnymi kudłami, opasy brzuszek Neuheufela wylazł z rozpiętej, mundurowej koszuli i podskakiwał w takt śmiechu. Rud wylał kawę do zlewu. Chciało mu się rzygać.

IX.

Pomimo pierwszego wrażenia, Rud polubił pracę przy odbieraniu transportów. Wymógł tylko, żeby Neuheufel nie wysyłał go do pracy, gdy przychodziły transporty szczelnie zamkniętych pojemników. Nadal bał się ich. Natomiast gdy przychodziły inne transporty, praca była przyjemna. Lubił patrzeć, jak przerażone starcze twarze rozpogadzały się, widząc po tej stronie błękit nieba i słońce. Potem prowadził ich posłusznych, pokornie zgarbionych, kurczowo trzymających w dłoniach ulubione przedmioty. Tłumaczył im po drodze, żeby odrzucili od siebie, co niosą, bo i tak nie zdołają nic zachować z tego, co przynieśli z tamtej strony. Niektórzy słuchali, inni nie, tym trzeba było odbierać ulubione przedmioty przemocą. Czasami wynikała z tego niepotrzebna szamotanina. Potem nowo przybyli szli na komisję, która rozstrzygała, kto udaje się na karę większą. Jose twierdził, że komisja o niczym nie rozstrzyga, jedynie dostaje gotowe decyzje z góry i tylko administruje i rozdziela

transporty. Ruda peszyły kobiety, jeśli tylko nie były zgrzybiałymi staruszkami. Wydawało mu się za każdym razem, że czyta w ich wzroku stwierdzenie, że się nie liczy, bo przestał być mężczyzną, gdyż sika przez zastępczą rurkę.

Do ich drużyny dołączył Fiala. Bardzo młody chłopak, świeżo po karze większej. Rud nie był w stanie patrzeć na jego twarz. Była wyjątkowo źle i niestarannie odtworzona. Uszy nierówne, jedno przyszyte nieco wyżej niż drugie. Nos za krótki, odsłaniający wielgachne dziurki, jakby małpie. Skóra na szczęście pogruźlowana i nierówna. Liczne mosty tkankowe na szyi, niezliczone różowe pręgi blizn przebiegające przez twarz. Płaty łysej skóry na czaszce i przerażające palce przypominające kości szkieletu obciągnięte mocno napiętą, błyszczącą, różową bibułką. Fiala mówił, że w czasie śledztwa z upodobaniem kropili go benzyną i podpalali. Popalili mu prawie całą skórę. Podobno był to pomysł śledczego Neuheufela. Rud nie chciał w to uwierzyć. Fiala nic nie mógł nosić w zniszczonych dłoniach, więc tylko odprowadzał przybyłych i namawiał ich do pozostawiania przyniesionych przedmiotów. Na Ruda spadał obowiązek odbierania mienia przemocą. Rud nie był zadowolony z takiego pomocnika. Fiala przeciwnie, obdarzył Ruda nieoczekiwanym zaufaniem.

– Najokropniejsza była potem komisja medyczna – zwierzył się kiedyś Rudowi, gdy siedzieli na nasypie, czekając, aż lokomotywa odtransportuje opróżnione wagony. – Myślałem, że się zapadnę pod ziemię. – Fiala czerwieniał ze wstydu, aż blizny pęczniały jak krwawe pręgi. – Przez pół godziny ryczały ze śmiechu, że nic mi nie zostało.. Cholera, co mi miało zostać, jeśli wszystko dokładnie wypalili, żeby ani śladu nie było. Tak samo spalili mi nos, uszy, powieki; aż się dziwię, że nie oślepiłem.

Rud pokiwał ze zrozumieniem głową. Wypluł przeżutą gumę. Ostatnio dostawał od Neuheufela nikotynowe gumy do żucia. Najpierw powinien przyzwyczać się do nikotyny, aby później zainteresować się papierosami. Neuheufel chciał go nakłonić do palenia, żeby Rud bardziej zainteresował się pracą w nadgodzinach, za które płacono papierosami.

– To jest zwyczajna procedura adaptacyjna, ten śmiech – powiedział. – Podobno uodparnia. Nie przejmuj się, chłopie. Wprawili ci chociaż rurkę do sikania?

– Wprawili.

– Nie boli, jak sikasz? Bo jeśli co, to zgłoś się do medycznego. Muszą ci zrobić poprawkę. – Rud przypalił papierosa dla Fiali.

– Jest w porządku. Rurka działa, tyle że stale z niej kapie. Bez przerwy. Kropla za kroplą.

– To zgłoś. Niech poprawiają. Nie ma się co z nimi pieprzyć.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Rud żuł nową porcję gumy, choć nie lubił jej smaku. Przypomniawsobie, jak sam peszył się swym kalectwem, dopóki nie dowiedział się, że większość jest w podobnej sytuacji. Fiala palił. Na sąsiednim torze rozładowywano transport.

– Przystojniak znowu niesie walizkę jakiejś dziewczynie – prychnął Fiala z zazdrością. – Ten to świetnie wylądował.

– Podobno nie był na karze większej – powiedział Rud – to nie ma problemów.

Mówili o przodowniku Eckhardzie, który uwijał się wśród nowego transportu.

X.

Neuheufel coraz częściej wykorzystywał Ruda do pomocy. Rud sądził, że Neuheufel uczęszcza do czegoś w rodzaju szkoły średniej, o dość niskim poziomie nauczania. Rud musiał mu odrabiać

zadania z matematyki, na ogół proste kombinacje czterech działań. Kiedyś zbuntował się i stwierdził, że woli pracować przy transporcie.

Neuheufel z rozmachem uderzył go w twarz, aż głośno plasnęło. Kimający na pryczach starcy popodnosili głowy.

– Ty cholerny, wstrętny niewdzięczniku – krzyknął z wyrzutem Neuheufel. – To ja się dla ciebie poświęciłem, wyciągnąłem cię z kary o trzy... o pięć sesji przed końcem, chociaż wcale się dobrze nie sprawowałaś i nie wykazywałaś szczególnej gotowości do współpracy... Swoją karierę zaryzykowałem, aby takiemu ulżyć, a to gównu... Tfu! – Neuheufel splunął z rozmachem na świeżo wyszorowaną podłogę z desek.

Cała twarz nieznośnie piekła. Policzek napuchł jak poducha, a przynajmniej tak się wydawało. To uderzenie natychmiast przypomniało męki z okresu odbywania kary większej; obudziło drżący strach przed Neuheuflem. Rud skulił się i zgarbił, zgnieciony wewnętrznie. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na niego, niewdzięcznika, z wielką dezaprobatą.

– Nawet słowem nie przeprosi – powiedział Neuheufel urażonym tonem. Rudowi wydawało się, że oczy Neuheufela zwilgotniały. Teraz dopiero zrobiło mu się przykro.

– Przepraszam – wybąkał, spuścił oczy i wziął się do pisania. Liczył bardzo uważnie, bo zadania Neuheufela były oceniane surowo i jeden błąd dyskwalifikował całe rozwiązanie.

Nie zauważył, że na twarz śledczego wypełził nieprzyjemny uśmiech zadowolenia. Tylko oczy nie brały udziału w tym uśmiechu.

XI.

Neuheufel miał chyba egzaminy, gdyż nie pojawiał się od paru dni. Za to częściej przychodził Holzbucher. Jednemu ze swoich podopiecznych, Tony'emu, zrobił awanturę, bo odkrył u niego książkę pod poduszką. Głupi, nielogiczny kryminał. Rud zdążył ją już przeczytać. Podarty, wytłuszczony, pozbawiony okładki egzemplarz wydrukowany na pożółkłym papierze gazetowym. Holzbucher krzyczał, że ten niszczy sobie oczy, czytając, ale nie bił starego, nawet ani razu nie uderzył go w twarz. Ograniczył się tylko do uroczystego spalenia książki. Włożył ją do miski na zupę, z której stary jadał, i podpalił zapalniczką. Stary jak urzeczony wpatrywał się w pełgający płomień. Gdy płomień się rozszerzył, na krótki czas dodał blasku jego zgasłym oczom.

Ponieważ Rud nie musiał obecnie zajmować się rachunkami dla Neuheufela, więcej pracował przy transportach. Zgromadził sporo zarobionych papierosów i wymienił za nie od strażnika Mykołowa prawdziwe buty z masy skóropodobnej. Buty były wysokie, brązowe i błyszczące, ale niepraktyczne, bo stopy pociły się w nich bardzo i potem nieznośnie śmierdziały. Z powodu butów zaczęli w drużynie nazywać Ruda – Elegant. Drugą połowę zgromadzonych papierosów ktoś mu ukradł. Rud nie zdążył wymenić ich na wojskowe spodnie. Nie zrażony, nadal regularnie chodził do pracy.

Tego dnia była wspaniała, słoneczna pogoda. Gnane chłodnym wiatrem, pierzaste chmury przemykały po nieboskłonie. Transport składał się niemal wyłącznie z nienarodzonych. Rud pracował przy jedynym wagonie, w którym nie było kadzi. Zwykły transport: starcy, nieco rakowców, sapiący zawałowcy.

Nieoczekiwanie z tego szarego, nijakiego, udręczonego tłumu wyłoniła się postać zaplątana tam jakby przypadkiem. Młoda dziewczyna niosąca płócienną torbę o długich uszach. Jej widok urzekł

Ruda, gdy wiatr rozwał jej bardzo jasne włosy o niezwykle, szarawym kolorze. Cerę miała białą, a płatki uszu wpadające zwykle w róż, u niej wydawały się nieznacznie kremowe, jakby podskórny tłuszcz przeświecał przez bladą skórę i nadawał jej ten nieporównany odcień żółtości. Dziewczyna nie była wybitnie piękna, miała zbyt kwadratową, wystającą szczękę i zielone oczy, matowe, przypominające nieco rybie oczy nienarodzonych. Jej urodę ratował fakt, że mimo tak jasnej, wręcz bladej karnacji, miała ciemniejsze rzęsy i brwi. Była dużo niższa od Ruda i dość szeroka w biodrach, choć nogi miała proste i zgrabne.

Była pierwszą atrakcyjną młodą kobietą, którą Rud widział od niepamiętnych czasów, a poza tym wiatr bawił się jej długimi, gęstymi, zaczesanymi do tyłu włosami, nadając może nieco zbyt zaciętej twarzy niezrównaną oprawę. Na dodatek w jej spojrzeniu uderzał dystans, widoczna świadomość własnej wyjątkowości i piękności, co utwierdzało Ruda w przekonaniu, że widzi skończony ideał. Przez wymownie długą chwilę w milczeniu patrzyli na siebie. Gdy potem zastanawiał się nad tym spotkaniem, doszedł do wniosku, że mogła myśleć, że właśnie strażnik dokonuje selekcji i decyduje, gdzie ją zakwalifikować. Przecież miał na nogach wysokie wojskowe buty.

Gdy wreszcie oprzytomniał i wyciągnął rękę, aby pomóc jej nieść torbę – nie myśląc nawet, że powinna pozbyć się bagażu – mocna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Ktoś szarpnął go i odepchnął na bok.

– Te, Elegant, spierdalaj! – usłyszał donośny głos przodownika Eckharda. – To nie jest twoja sprawa! No, już! Spierdalaj do tych starych dziadów. Pilnuj, żeby nie pomylili drogi.

Głos Eckharda wibrował w powietrzu, a Rud kulił się i garbił ze wstydu. Twarz mu nabrzmiała i piekła bardziej niż wtedy, gdy oberwał po gębie od Neuheufła. Chciał zapaść się pod ziemię, uciec, gdzieś pobiec. Odszedł w kierunku innych nowo przybyłych, nie oglądając się za siebie.

– Panienska pozwoli. Ta torba jest ciężka. Pomogę nieść – jeszcze dobiegł go kipiący męskością, niski głos Eckharda.

Tego dnia Rud był szorstki. Kilku osobom wyszarpnął torby. Jednego, szczególnie upartego starca uderzył, a następnie zdeptał odebrane mu zdjęcia.

XII.

Przy okazji odrabiania zadań dla Neuheufła Rud zagadnął o Eckharda. Pisał długie wypracowanie, czy może większą pracę kontrolną, zestawiał szeregi liczb z roczników statystycznych. Chodziło o proporcje różnych grup wiekowych wśród nowo przybyłych na przestrzeni ostatnich lat. Temat trudny, gdyż ciężko było wyłowić jakąkolwiek ogólną prawidłowość. Poza tym musiał uważać na najłżejsze ślady myśli lęgnących się w ospałym umyśle Neuheufła i natychmiast każdą z nich chwalić, jakby była objawieniem. W przeciwnym razie Neuheufel obrażał się. Zresztą, mimo najlepszych chęci ze strony Ruda, Neuheufel i tak uważał go za krętacza i niewdzięcznika. Szczególnie złościło go, gdy Rud wytykał mu błędy; rewanzował się wtedy prymitywnymi i brutalnymi docinkami, które Rud musiał w milczeniu przetykać. Z drugiej strony, musiał korygować przynajmniej najgrubsze błędy, gdyż nie chciał, aby wypracowanie Neuheufła zostało odrzucone albo ocenione zbyt nisko. Wiedział przecież, że zawdzięcza Neuheufłowi skrócenie kary większej.

Tym razem Neuheufel nie musiał się wyzłośliwiać. Praca szła jak po grudzie. Rud, mimo najlepszych chęci, nie był w stanie dostrzec historycznie nieuniknionych prawidłowości w kupie

przypadkowych liczb. Żeby chociaż odgadnąć życzenia nieznanymi nauczycieli Neuheufela. Niesforne myśli uciekały od statystyki. Neuheufel głośno siorbał herbatę, palcem przytrzymując tkwiącą w szklance łyżeczkę, żeby nie wybić sobie oka. Rud spytał go o Eckharda.

– Temu to się udało – powiedział. – Facet wielki, przystojny, opalony. Wyszedł z kary bez uszczerbku, ani jednej blizny nie ma. Żadna dziewczyna mu się nie oprze.

Neuheufel zachichotał.

– Gdzie tam... Przecież on sika na siedząco... Ma ledwie dziurkę – powiedział. – Właśnie dlatego, że mu taką przystojną gębę odstawiły, nie zostało skóry na naprawę czego innego.

Rud był zdumiony. Takiej odpowiedzi nie spodziewał się.

– To co on robi z tymi wszystkimi dziewczynami, które podrywa? – zapytał w końcu.

– Może robi miłość lesbijską. – Neuheufel wybuchnął głośnym rechotem, a jego masywny brzuch, drgając, potracił blat stołu. Rozlała się kawa.

Rud z początku rechotał z Neuheuflem, ale pomyślał, że Eckhardt jest jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż on sam, i wyśmiewając się z niego, jakby gardził też sobą samym. Przestał się śmiać. Widząc to, Neuheufel również spoważniał, przypatrując mu się badawczo.

XIII.

Rud chadzał na spacerów wokół baraków. Zapuszczał się nawet daleko w stronę obozu kobiecego, miał bowiem nadzieję jeszcze raz spotkać Białą Nieznajomą.

– Przywidziało ci się – mówił mu Fiala. – Nikt młody nie przybywa tutaj w całości. Nigdy. Bez wyjątku.

Rud dreptał z założonymi do tyłu rękami, co chwilę przystając i czekając na kulejącego kolegę.

– Zapamiętaj sobie, że każdy młody idzie na sekcję. – Fiala bezlitośnie zabijał marzenie Ruda. – A tam kroją plasterki po plasterku, żeby określić przyczynę zgonu. Potem szyją, byle jak, do trumny, żeby rodzina nie narzekała. Wnętrza wkładają jak leci, bez składu i ładu. Tu, bracie, trafiają wyłącznie albo starcy, albo pokrojeni w plastry. No, albo nienarodzeni, rozerwani na krwawe strzępy przez wyłyżeczkowanie. Innej możliwości nie ma.

Usiedli na ławce z nieheblowanych desek, stojącej przy studni. Ławkę ocieniała schnąca brzoźka. Dzień był upalny i Fiali było nieznośnie gorąco, także z powodu czarnych spodni. Zawsze nosił czarne spodnie, żeby nie było widać śmierdzącej, mokrej plamy w kroku. Już dwa razy wyznaczali mu termin operacji poprawkowej, ale za każdym razem wynikało nieprzewidziane opóźnienie.

Przykry zapach moczu wzmocniony upałem i miażdżąca logika wyводу, którym Fiala odbierał mu złudzenie, powodowały, że Rud pragnął uwolnić się od jego towarzystwa. Czuł się jakby uwięziony. Uświadomił sobie, że ośrodek przystosowania to właściwie jak więzienie: druty kolczaste, budki strażników. A za drutami – zwykły las, zwykła łąka, zwykłe wzgórze. Może właśnie tam spotkałby Białą Nieznajomą.

– A jednak ona była cała, bez żadnych szwów, ani nie pocięta – powiedział z naciskiem. – Jestem tego pewien, Fiala. To musiał być wyjątek. Jej się udało – Rud miał nadzieję, że upór zniechęci Fialę do rozmowy i zmusi do zmiany towarzystwa.

– Na mnie nie widać, bo skóra popalona, ale popatrz do lustra. Zobaczysz na swojej twarzy blizny po szwach, jak cię szyli po sekcji – nie rezygnował Fiala.

– Teraz już nie wiem, które blizny są po sekcji, a które po karze większej – mruknął Rud. Smród moczu narastał.

Fiala też musiał to poczuć. Był coraz bardziej skrępowany. Pod błahym pozorem pożegnał się i pokuśtykał na swych popalonych stopach. Po chwili również Rud podniósł się z ławki, gdyż po Fiali pozostała cuchnąca plama na desce.

Spacerował wzdłuż wewnętrznej zony. Właściwie nikt nie mówił, że nie wolno się zbliżać do tego pasa ubitej ziemi, oznakowanego czerwonymi chorągiewkami. Senni strażnicy drzemali na swoich gniazdach. Rud obserwował lasek rosnący za drutami. Miał wielką ochotę dostać się do tego lasku.

„Dlaczego nie może być po prostu Niebo?” myślał, „a nie najpierw jakiś ośrodek przygotowawczy”. Od bocznicy dobiegł gwizd lokomotywy – przyszedł nowy transport.

Nagle rozległ się trzask i głośny łomot. Rud odwrócił głowę. Jedna z budek strażniczych zawałiła się, zrywając przy okazji drut kolczasty. Belki rusztowania zupełnie zbutwiały przez lata. Zbity z desek kosz budki leżał na zewnętrznej, zaoranej zonie. Dochodziły z niego jęki i krzyki poturbowanego strażnika.

„Jakoś nikt nie zainteresował się wypadkiem. Właściwie można by uciekać”, pomyślał Rud. Zwalone belki zupełnie przygniotły zasieki, otwierając drogę do ucieczki. Strażnicy z sąsiednich budek prawdopodobnie też nie strzelaliby, gdyż mogli się pomylić. Oglupiały Rud stał bez ruchu.

Dopiero po minucie któryś ze strażników zbudził się z drzemki. Rozległy się gwizdki. Poschodzili się opiekunowie i strażnicy. Rud oczekiwał, że będą biegali, tymczasem wszyscy snuli się ospale i sennie. Nie było sanitariuszy na dyżurce, musiano dopiero ściągać ich z dołu. Przyszli dwaj z noszami. Na czapkach przepisowe płomieniste pentagramy, jakie noszą na dole. Rudowi wydawało się, że mrużą oczy, nienawykli do światła. Sprawnie załadowali i odnieśli jęczącego strażnika, który podobno złamał nogę. Kilkoro nienarodzonych stało zbitych w ciasną grupkę, uważnie obserwując niezwykle wydarzenia. Oni sami stanowili niecodzienny widok – zazwyczaj chronią się przed silnym światłem słonecznym, mając skórę bardzo wrażliwą na poparzenia słoneczne. Dla odmiany, w dni pochmurne lub wczesnym rankiem czy wieczorem snuli się dziesiątkami, badawczo się wszystkim przypatrując. Trzeba było uważać, żeby nie wpaść na takiego małego człowieka, choć obawa była zbędna, gdyż już z odległości paru metrów namolnie ładowali się do psychiki przechodnia, wykrzykując pod jego czaszką, żeby uważał i nie zrobił im krzywdy.

Schodziło się coraz więcej podopiecznych i opiekunów. Trzeba było naprawić rusztowanie i ustawić zasieki. Niektórzy opiekunowie zaczęli zbierać chętnych do pracy, ktoś przecież musiał przytransportować belki. Oczywiście starców i nienarodzonych omijali. Rud początkowo chciał się zmyć, ale doszedł do wniosku, że właściwie nie ma nic ciekawego do roboty; w baraku czekało do poprawienia kolejne wypracowanie Neuheufła. Na myśl, że znowu będzie musiał męczyć się i głośno zachwycać marnymi pomysłami śledczego, skierował się ku zbiegowisku.

– Nie pchaj się tam, chłopcze – powiedziała bezzębna staruszka – bo będzie na ciebie... Na pewno będą szukali winnego. Budują takie dziadostwo, a potem winę zwalają na przypadkowych ludzi...! – ożywiała się coraz bardziej. Zaczęła nawet nieco wymachiwać laską. Przestała zaraz, gdyż było to ponad jej wątłe siły.

Rud nie zamierzał się wycofywać. Wyróżniał się z tłumu zgarbionych, zeschłych postaci i szybko został wyłowiony. Jeden ze śledczych skinął na niego. Rud posłusznie podszedł.

– Potrzebni są ludzie do roboty – powiedział śledczy, uważnie patrząc na numer Ruda na jego drelichu.

„Ciekawe, czy już zapamiętał...?”, przemknęło przez głowę Ruda.

– Będziemy nosić drewno. Ustawcie się tam, przy ogrodzeniu.

– Mam wyjść poza zonę? – udał głupiego Rud.

– Nie. Na dach baraku – prychnął śledczy z ironią. – Jak mówię, to macie wykonać,

Milenkowicz – dorzucił.

Ruda zmroziło. Skąd znał jego nazwisko? Widocznie śledczy kontaktują się ze sobą, podobnie jak nienarodzeni, i ten zdążył już dostać dane Ruda z centralnej kartoteki. To było sensowne wyjaśnienie. Bez słowa, z satysfakcją przekroczył rozpiętą linkę z czerwonymi szmatkami, przeszedł przez ubity pas i ustawił się z grupką wybranych ludzi. Chwilę czekali, zanim skompletowano potrzebną liczbę. Śledczy przynieśli siekiery i piły.

Ruda ogarnęła radość, gdy zorientował się, że pójda po drewno akurat do tak utęsknionego lasu. Perspektywa ciężkiej pracy fizycznej nie zniechęcała. Dostał do niesienia siekierę osadzoną na długim stylisku. Uzbrojeni, jedni w piły, inni w siekiery, ruszyli dwójkami. Ze wzruszeniem przebył zaoraną zonę zewnętrzną, zostawiając głębokie ślady. Szli ochoczo, niektórzy zaczęli nawet pogwizdywać.

Towarzyszył im tylko jeden nie uzbrojony śledczy. Przedstawił się jako Schulz. „Właściwie, można by go łatwo obezwładnić”, pomyślał Rud. „Cios obuchem i po problemie. Trzeba tylko zaczekać, aż znikniemy w lesie, aż przestaniemy być widoczni z ośrodka”, analizował sytuację. „Zanim odkryją ucieczkę, będziemy już daleko. Z pewnością inni myślą to samo”.

Las nie był daleko i po kilkunastu minutach energicznego marszu weszli pomiędzy pierwsze drzewa. Schulz wybierał drzewa do ścięcia. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie się nie bał podopiecznych.

Wtedy się zaczęło: Rud poczuł swędzenie w nosie. Kichnął raz, drugi, dziesiąty. Z nosa polało się ciurkiem. Czuł się koszmarnie. Jego cielesna powłoka stała się mieszkaniem nie do zniesienia. Odnosił wrażenie, że głowa nabrzmiwa. Nie mógł myśleć. Nie miał wcześniej kataru siennego i nieznośne odczucia, jakie ta dolegliwość przynosi, były dlań czymś nowym, chociaż nie czymś bardziej męczącym, gdyż objawy kataru siennego są jednakowo nie do wytrzymania, obojętne, czy to pierwszy atak, czy setny.

Wszyscy inni cierpieli podobnie. Niektórzy nawet puchli. Nieubłagany Schulz poganiał do pracy. Ścinali pnie piłami, a następnie siekierami obcinali gałęzie.

– Bierzcie się do roboty. Będziecie tu siedzieć, aż zetniemy wszystkie potrzebne bele. Nikt za nas tego nie robi – pokrzykiwał. On jeden nie cierpiał z powodu alergii.

– A co wy myślicie, do cholery? – krzyknął z odcieniem szyderstwa. – Że te budki i druty kolczaste są po to, żebyście nie mogli uciec? Gówno prawda. One są po to, aby właśnie was ochronić przed otoczeniem!

Po paru godzinach męczeńskiej pracy, męczeńskiej z powodu dolegliwości wywołanych alergią, nos Ruda był czerwony i bolesny i kilka razy nawet krwawił. Schulz rozdał im po jednej tabletkę leku antyhistaminowego. Więcej nie miał. Tabletkę pomogła na kwadrans, potem zaczęło się od nowa.

Ścięte, przygotowane pnie brali po dwóch, kładąc je na ramionach. Pomimo ciężaru wracali szybkim krokiem w akompaniamencie kichnięć i przekleństw. Byłe szybciej z powrotem do zony. Rud z ulgą wrócił za druty. Objawy kataru siennego ustąpiły, gdy stanął na terenie ośrodka.

Neuheufel zaczął, aż Rud skończy pisać rozdział. Semestralna praca kontrolna była już niemal gotowa. Statystyczne obliczenia korelacji regionów geograficznych z rodzajem i liczbą ludzi przybywających do ośrodka sprawiały Rudowi dużą trudność. Z niezrozumiałych wzorów, które Neuheufel zanotował na lekcji, wychodziły mętne wyniki; te same dane, obliczane wielokrotnie, dawały zupełnie różne rezultaty. Neuheufel jakby tego nie zauważał, witając każdy wynik z jednakowo ponurą twarzą. Natomiast Rud przejmował się bardzo, w myślach już słysząc awanturę, która zbliżała się nieuchronnie.

Wręczył Neuheufelowi kilka zapisanych, mocno pokreślonych stron i wygodniej rozsiadł się za stołem. Zmęczone oczy łzawiły. Śledczy długo, jakby sylabizując, czytał kolejne zdania. Przysuwał się do okna, żeby lepiej widzieć tekst. Rud w milczeniu oczekiwał na obowiązkowe poprawki Neuheufela. Uwagi bez polotu, często bez sensu, jakby wymęczone z nieopisanym wysiłkiem. Czekał go zwykły, przykry trud okazywania zachwyty nad każdym pomysłem, a jednocześnie dyskretnego korygowania największych bzdur. Milczenie przeciągało się. Był to codzienny rytuał. Czytanie było dla Neuheufela ciężkim zadaniem, a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie.

Tym razem stało się inaczej. Neuheufel starannie złożył kartki i schował do mapnika.

„Pewnie będzie te pięć stron przepisywał przez cały wieczór, z wywieszonym jęzorem, a jutro mi to przyniesie jako swoje własne pomysły, i będę musiał poprawiać błędy ortograficzne, jakie zrobił, przepisując mój tekst...”, pomyślał Rud. Zacierał spocone dłonie.

– No dobrze – powiedział Neuheufel – dość to słabe, ale spróbuję poprawić ten tekst... dużo błędów.

Podsumowanie takie następowało po ślamazarnym, wlekącym się godzinami roztrząsaniu kolejnych zdań, gdy Neuheufel zrozumiał już, co Rud wymyślił. Tym razem znaczyło, że dyskusji nie będzie lub została odłożona. Toteż Rud milczał.

– Przeglądałem waszą dokumentację – powiedział Neuheufel.

Rud zdrętwiał.

– To gruba teczka – ciągnął Neuheufel. – Nazbierało się wam tego wszystkiego.

Rud słuchał z uwagą.

Neuheufel też umilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, co powiedzieć, zaś jego grubo ciosana, jakby nabrzmiała twarz coraz bardziej składała się w wyraz powstrzymywanego na siłę śmiechu.

– Ta twoja Dianna była całkiem niezła – zaczął jeszcze poważnie. – Taka rozkoszna potrawa miłosna. Albo raczej smakowita zakąska, bo taka mała. – Neuheufel już rechotał. Dłużej nie był w stanie powstrzymać śmiechu. – Przeglądałem wszystkie kasety z wami. Ależ w niej siedział dynamit... Jak ona to wszystko wymyślała...? Albo wtedy u niej... Wtedy, co to robiła... – Rechotał dalej. – Albo wtedy jak się cała spaliła na słońcu na różowo i obłaziła ze skórki; mnie się dalej podobała, nie wiem, dlaczego narzekał – Neuheufel wyraził swoją opinię.

Rud bladł i czerwieniał na przemian.

– Z ciebie też był niezły kogut. – Neuheufel klepał się po udach.

– Ale teraz to się wam skończyło, Milenkowicz – dodał, poważniejąc.

– Miałem fajny wieczór – ciągnął po chwili. – Skrzynka piwa i kasety z wami. Holzbucher też uważa, że były niezłe.

Rud miał ochotę zapaść się pod ziemię. Przez pewien czas. Potem ogarnęła go wściekłość. Jakim prawem ten skurwiel wywleka najintymniejsze detale z jego życia. Miał przecież dowiedzieć się czegoś o wyroku.

Nieoczekiwanie Neuheufel urwał i kazał Rudowi wyjść. Powiedział, że przez przypadek omal nie ujawnił tajemnicy służbowej.

Wzburzony Rud wybiegł przed barak. Na ławce siedział Jose otoczony kłębem dymu tytoniowego.

– Zakurzysz, Milenkowicz? – zapytał spokojnie. Pod wpływem jego głosu gniew Ruda zaczął opadać.

– Nie – odpowiedział – ale mogę powdychać trochę tego twojego syfa.

Usiadł obok Josego.

– Wyleciałeś, jakby ci Neuheufel podłączył do dupy propeler – stwierdził Jose i zdeptał nie dopalonego skręta. Nie chciał podtruwać kolegi.

– Prawie. Zaczął mi dokładnie opowiadać najintymniejsze detale z mojego życia. Co robiłem z Dianną. Wszystko miał na kasetach, skurwiel.

– Zgadza się. Wszystko mają na kasetach. Wszystko z detalami. Każdą sytuację z paru ujęć. Od przodu, z boku, z tyłu. Widziałeś wcześniej taką kasetę?

– Nie.

– Zupełnie jakby ci kamera zaglądała do dupy. Mnie pokazywali też inne kasety, ze służby... – urwał nieoczekiwanie.

– Skąd to biorą?

– Biorą. W ciągu życia wszystko jest zapisywane. Pijesz piwo? Już trzy ujęcia. Tulisz dziewczynę? Zaraz nagranie. Na kasetach mają wszystko, jako materiał dowodowy do kary większej. Inne rzeczy nie, tylko to, co spowodowało karę większą.

– Ale kiedy podglądali? – zastanawiał się Rud. – Raz byliśmy przez sobotę i niedzielę w domu rodziców Dianny, jej rodzice pojechali gdzieś. Byliśmy zupełnie sami. Nic. Nawet telewizor wyłączony, rozumiesz?

Jose pokiwał głową ze zrozumieniem, wydobyl z kieszeni zawiniątko i zaczął mozolnie robić nowego skręta. Nałóg był silniejszy od przyjaźni.

– Opowiedział mi z takimi szczegółami, jakby siedział obok i się nam przyglądał, skurwiel – ciągnął Rud. – Właściwie nie powinienem tak mówić. To mój dobroczyńca – zreflektował się.

– Zgadza się. Na kasetach mają taką zdolność rozdzielczą, że widać każdy włos, nawet cień, jaki ten włos rzucił na skórę albo na inne włoski – przytaknął. – Widzą lepiej niż ty wtedy widziałeś. Swoją drogą, po cholere się wypierałeś? Oni zawsze mają rację; nigdy się nie mylą: jeśli dostałeś karę większą, znaczy że się należała.

– Nie wypierałem się. Zresztą, co to ma do rzeczy?

– Tylko wtedy mogą zajrzeć do dokumentacji. Oni nie mają prawa przeglądać tych kaset, chyba że na twoje polecenie.

– Prosiłem go tylko, żeby dowiedział się, za co dostałem karę większą.

– Aleś głupi. Nigdy ci wprost nie powiedzą, za co siedzisz, a tylko dzięki twojej prośbie mogli sobie pooglądać te materiały.

Rud już nie słuchał. Bardzo daleko stały drewniane stoły i ławy, obok kiosku, w którym sprzedawano papierosy i niedosłodzoną oranżadę. Nie miała smaku pomarańcz, lecz była osłodzoną wodą, dość słabo nagazowaną. Rud nie lubił tej oranżady, gdyż często na dnie butelki pływały pajęczyny.

Uważnie wpatrywał się w odległe ławki.

– Spotkałeś tutaj tę twoją Dianę? – zapytał Jose otoczony dymem.

Rud nie odpowiedział. Ani razu nie pomyślał, że mógłby tu szukać Dianny. Pożegnał się i szybkim krokiem, niemal biegiem, podążył ku kioskowi. Wydawało mu się bowiem, że w oddali, przy jednym ze stołów zamajaczyła znajoma jasna plama.

Biała Nieznajoma siedziała na ławce w otoczeniu kilku bezzębnych staruszek, które sęczyły oranżadę. Miała na sobie zwykły strój noszony w ośrodku: brunatną bluzę, także spodnie i drewniane trepy. Sposób, w jaki nosiła bluzę, sposób, w jaki zakładała nogę na nogę, w jaki zsuwała drewniany trep z kształtnej stopy, wszystko to nadawało wdzięku topornym, ośrodkowym łachom. Spojrzała na niego tak, jakby właśnie na niego czekała, choć może i z domieszką lęku. Mógł wydać się jej którymś ze śledczych, bo w tym czasie dorobił się wąskich, zgrabnych, zielonych spodni strażnika oraz służbowej czapki z daszkiem. Odpruł tylko z czapki pentagram, gdyż jako podopieczny nie miał prawa nosić go na czapce, a jedynie na plecach przy numerze generalnym.

– Cześć. Cieszę się, że wreszcie udało mi się ciebie znowu spotkać – powiedział, bez pytania siadając na wolnym miejscu obok. Bezzębne staruszki, mocno sepleniąc, żywo się sprzeczały. Nie dało się zrozumieć, o co im chodziło.

Przesunęła się, żeby Rud mógł usiąść wygodniej.

– Jak masz na imię?

– Maria.

Rud stracił koncept. Miał przy sobie nieco tytoniu i mógł go w kiosku wymienić na co innego.

– Masz ochotę na oranżadę? – zaproponował.

– Wszyscy przodownicy zawierają znajomość za pomocą oranżady? – odpowiedziała pytaniem. Miała bardzo bladą cerę, cienie wokół oczu i nawet przedwczesne zmarszczki świadczące o przemęczeniu. Nigdzie na twarzy, szyi czy dłoniach żadnych blizn po sekcji.

– Nie jestem przodownikiem – zdziwił się.

Spoczął na nich obojgu cień. Rud odwrócił głowę – przodownik Eckhardt właśnie wrócił z kolejki, niosąc butelkę z gazowaną wodą i dwie musztardówki. Stał z poczerwieniałymi oczyma i wściekłością na twarzy, jeszcze podkreślającą męskość jego rysów. Przypominał teraz wilka.

– Elegant, ty tutaj? – zasyczał, stawiając szklanki i butelkę na stole. – Zmywaj się.

Nie zrażony Rud bezzębnie odkorkował butelkę Eckhardta, która rachitycznie syknęła, i rozlał słabo nagazowaną wodę do musztardówek. Jedną z nich podsunął Marii, z drugiej ostentacyjnie pociągnął łyk.

– Dziękuję wam, Eckhardt – powiedział. Tamten był przodownikiem tylko w czasie pracy, obecnie obaj byli sobie równi.

– Zwrócę wam w tytoniu. Dymi się z was jak ze starego komina.

– Ty palisz? – zwrócił się do Marii.

– Nie.

– Dostaniecie funt tytoniu za przyniesienie oranżady – ciągnął dalej do Eckhardta. – To dobra cena... No, zmycie się wreszcie, Eckhardt. Śmierdźcie potem, i to czuć. Gdyby się wam chciało sikać, to kabina dla pań jest za kioskiem z prawej strony, tylko się nie pomylcie i nie pójďte z lewej strony, bo tam jest kabina dla panów.

Rud zrobił kilka błędów. Zlekceważył przeciwnika. Eckhardt może był wolniejszy, ale wyższy, masywniejszy i silniejszy, a na dodatek Rud, siedząc, miał mocno ograniczone ruchy. Liczył, że znieważony i skompromitowany Eckhardt sam się wycofa. Pomylił się: zdążył nawet podnieść do ust szklankę z oranżadą, gdy Eckhardt zapieniony z wściekłości, wyszarpnął służbową pałkę i zdzielił nią Ruda po głowie. Rozlana oranżada chlapnęła po zdumionych staruszkach. Maria krzyknęła z przerażenia. Kolejny cios pałki pozbawił Ruda przytomności.

Rud znów trafił do szpitala. Jednakże obrażenia, które odniósł, nie były zbyt poważne. Tym razem nie krępowali go, więc mógł obserwować postępy leczenia. Operacja plastyczna twarzy, którą mu przy okazji zrobiły, udała się i bardzo poprawiła wygląd. Szwy zostały tak zręcznie założone, że nie było widać czerwonych blizn. Przestał wyglądać jak potwór. Zgodził się też na kosmetyczne zderzenie trzech paznokci, które rosły rozszczerzone na całej długości. Wprawdzie bez znieczulenia, ale poznał już większy ból. Gdy paznokcie odrosną, jego ręce powinny wrócić do normalniejszego wyglądu. Jedyne przy dwóch palcach brakowało dwóch ostatnich członów.

W sumie, miał dużo szczęścia. Rozwścieczony Eckhardt byłby go zabił, gdyż nie przestał bić, pomimo że Rud leżał nieprzytomny i zalany krwią. Próbowala go powstrzymać Maria, ale ją odepchnął i dopiero jej krzyk sprowadził strażników, którzy obezwładnili napastnika. Cały oszczędzony tytoń, jaki Rud trzymał po kieszeniach, gdzieś przepadł. Nie wiedział, czy to Eckhardt zdążył przeglądnąć jego kieszenie, czy okradziono go dopiero w szpitalu.

Pobyt w szpitalu okazał się dla Ruda bardzo miłym okresem. Wyżywienie było znakomite. Codziennie litr zupy z brukwi z solidną wkładką mięsną: grubym plastrem pasztetowej, w której zdarzały się litery tekstu, lub grubym plastrem nieco podśmierdującego salcesonu. A do tego pół kilo czarnego chleba. Wieczorem ćwiartka chleba i spodeczek bardzo słodkiej marmolady z buraków. Mocnej, gorzkiej kawy z cykorii, ile dusza zamarzy. Kawę można było dostać nawet między posiłkami, gdy zaszło się ze swoim garnkiem do kuchni. Kucharka Marusia, tęga i ciężkopierśna, niby gderając, podnosiła przykrywą z ogromnego kotła i wielką chochlą pokrytą zaschłymi zaciekami nabierała ciemnej, letniej lury. Muchy trzeba było wyławiać samemu. Ich tabuny nieustannym wirami kłębiły się wokół garów w kuchni.

Rud nie był w stanie przejeść całej porcji i, wymieniając z innymi, szybko dorobił się niezłego zapasu tytoniu i trzech paczek gumy do żucia, co wystarczyło, aby załatwić sobie przeniesienie do Panfilowej. Nie podobała mu się jak dawniej, gdyż obecnie myślał o Marii, ale miał do Panfilowej zaufanie. Była znakomitym fachowcem, a wygląd Ruda wymagał jeszcze wielu poprawek. Następne oszczędności wymienił na skórzaną kurtkę od strażnika. Była to dobra transakcja: kurtka wprawdzie dość stara, skóra zetlała i tu i ówdzie popękana, ale pasowała na Ruda jak ulał. Regulaminowe litery ZP, numer na plecach oraz zgrabny, nieduży, obowiązkowy pentagram przy numerze wyhaftowały mu staruszki z oddziału kobiecego. Troskliwie pozszywały też wszystkie pęknięcia. Zrobiły to za tytoń i kwiatki z ogrodu szpitalnego. W ich salach śmierdziało nieznośnie, kwiatki nie były w stanie zabić tego smrodu, ale stare lubiły patrzeć na kwiaty. Trzymanie kwiatów w salach szpitalnych było wzbronione i chore dokonywały cudów przemyślności, ukrywając bukiety w czasie wizyt lekarskich. Rud nie rozumiał tej miłości kobiet do umierających kwiatów, zauważył jedynie, że nie słabnie ona z wiekiem. Ale dzięki tej miłości, zamiast szarej kurtki podopiecznego, nosił skórzaną kurtkę strażnika. Nie mógł opuszczać terenu szpitalnego, więc wymiana handlowa odbywała się na skraju ogrodu szpitalnego, gdzie Rud przesiadywał na ławce o parę metrów od ścieżki, którą mogli przechodzić zdrowi. Przesiadywał na tej ławce także z innego powodu: ciągle miał nadzieję, że spotka tam Marię. Nigdy jednak się tam nie zjawiała. Miał dla niej odłożoną gumę do żucia; nikotynową, bo innej nie było.

Na ławce mogli siadywać również zdrowi, ale z reguły tego nie robili, prawdopodobnie obawiając się zarażenia. Jednak tym razem na ławce zobaczył nienarodzoną. Przysiadł obok.

– Przesiądź się na drugą stronę, żeby zasłonić mnie od słońca, bo znowu będzie ze mnie schodzić skóra – usłyszał pod czaszką.

Spełnił jej prośbę i małego człowieka spowił cień.

– Opowiedz mi, jak chodziłeś do szkoły – rozległo się w głowie. Małeńka dziewczynka zerkała

na niego ciemnozielonymi, jakby rybimi oczkami, i ssła niemal przezroczyście, różowy paluszek. Rud zauważył, że ona ma już paznokietki.

– Mało pamiętam – powiedział. – Nie lubiłem szkoły. Raz przyniosłem żabę w kieszeni, ale uciekła. Siedziałem w ławce z takim jednym, co obrywał muchom skrzydła, a następnie spuszczał na każdą muchę kroplę atramentu. Nieszczęśnice zakreślały takie różne granatowe łuki i kreski po ławce. Na koniec nabijał je na stalówkę. Później nastąpiła epoka długopisów. Much nie dało się tak dobrze nabijać na długopisy. Tylko historyk zabraniał pisać długopisem, mówił, że to takie rysiki.

– Dziewczyny też nabijały muchy na długopisy?

– Nie. One zawsze odrabiały zadania. Podobno były poważniejsze od nas. W następnych klasach było już inaczej.

– Zaczęły nabijać?

– Nie to miałem na myśli... Raz taki jeden odpowiadał z historii właśnie. Powbijałem w złożoną kartkę chyba ze dwadzieścia pinezek. Rozumiesz? Zrobiłem taką matę jak dla fakira i mu podłożyłem. Usiadł i natychmiast powstał. Historyk wygłosił wtedy długą mowę, a następnie wyrzucił mnie na korytarz. Byłem dumny. Chciałem się popisać przed taką jedną i chyba odniosłem sukces. Potem była przerwa i musiałem stoczyć walkę. Urwałem mu kołnierzyk, a on mi dwa guziki.

– Mam problem – przerwała mu nienarodzona dziewczynka.

– Jaki?

– Mam wybrać sobie wiek, w którym pozostanę na zawsze. Nie mogę się zdecydować. Sprawa nie jest szczególnie pilna, ale kiedyś będę musiała podjąć tę decyzję.

– To chyba jasne – odpowiedział bez zastanowienia. – Wybierz wiek, w którym kobieta jest najpiękniejsza. To znaczy, kiedy ty byłabyś najpiękniejsza... – poprawił się.

– Właśnie tego nie chcę – usłyszał odpowiedź. – Widzisz, Ruder, kobiety właśnie wtedy, gdy są najpiękniejsze, zabijają nas. Ja nie chcę tak wyglądać.

Chwilę się zastanawiał, co odpowiedzieć, ale nie podjął tego tematu.

– Skąd znasz moje imię? – spytał.

– Ty jesteś ten strażnik, Ruder, którego zmasakrował inny strażnik, i leczysz się po napaści. Maria mi opowiadała.

– Nie jestem żadnym strażnikiem ani śledczym, ani przodownikiem. Ja tylko kupiłem sobie strój pracownika, bo jest ładniejszy niż strój podopiecznego. Powiedz o tym Marii. Koniecznie. Proszę cię.

Pokiwała nieproporcjonalnie dużą główką embriona.

– Powiem jej – usłyszał w środku swojej głowy.

– Może zdecyduję się na wygląd dziewczynki ze szkoły podstawowej albo sympatycznej starszej pani: siwe skronie, okulary, zadbana sylwetka, wypielęgnowane dłonie. To może być fajne – kontynuowała.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Wybrałam sobie Patrycja, bo takie dziwne.

– Widzisz, Ruder – kontynuowała po chwili – największe świństwo, jakie mi zrobili, to że pozbawili mnie dzieciństwa. To musi być fajny czas. Każdy, kogo pytam, opowiada ciekawe rzeczy, nawet ci, co narzekali, że ich dzieciństwo było nieszczęśliwe. Będę mogła zawsze wyglądać jak w wieku, który sobie wybiorę, ale to przecież może każdy. Tylko że inni przeżyli swoje życie, już kiedyś tak wyglądali, wcześniej byli młodszy, później starsi. A ja jakoś tak dziwnie, sztucznie, jakbym musiała przeistoczyć się w obcą osobę...

Ruder pomyślał, że widocznie wybrał sobie ten wiek, w którym był. Tylko te następstwa kary

większej...

Poprosiła, aby zestawiał ją z ławki. Ujął w dłonie maleńką istotę. Mieściła się na jednej dłoni. W przepisowym, brunatnym kubraczku, spodenkach i maleńkich trepach. Położył dłoń na ścieżce, żeby mogła zejść.

– Dziękuję – usłyszał pod czaszką.

– Patrycja – powiedział za nią – a kto cię postawił na ławce?

– Taki jeden staruszek – wyjaśniła. – Lubię przesiadywać na ławkach i rozmawiać z narodzonymi. Mówią ciekawe rzeczy. Jak spotkam Marię, to jej przekażę. Cześć, Ruder.

Otworzyła maleńki parasol, który osłaniał przed słońcem jej łysą główkę, i podreptała w swoją drogę. Rud przeciągnął się, aż strzeliły stawy.

XVI.

Ta ławka powinna nosić nazwę Ławki Ciekawych Spotkań. Przy okazji wymiany handlowej można było poznać tyłu nowych ludzi. Rud był jedynym chorym z całego oddziału, który mógł chodzić swobodnie. Korzystał z tego. Przez jego ręce przechodziła cała wymiana handlowa pomiędzy chorymi a światem zdrowych. Był uczciwym pośrednikiem, sobie brał tylko niewielką część od każdej wymiany, ale i tak gromadził w wielkich ilościach wszelkie dobra dostępne w ośrodku. Doszło nawet do tego, że nie miał co z tym zrobić. Przeżył niezwykle uczucie posiadania wszystkiego, co jest możliwe do posiadania. Było go stać na dowolny przedmiot, który był w ośrodku, oprócz broni. Mógł nawet kupić psa od strażników, gdyby chciał. A może i broń, gdyby zaryzykował. Brakowało tylko Marii, żeby się przed nią pochwalić posiadaniem bogactwem. Jakoś nie przychodziła.

Spotykał za to innych ludzi. Przechodzili ścieżką, zagadywali. Starał się unikać zgrzybiałych starców, bo częstokroć byli sklerotyczni i nie rozmawiało się z nimi ciekawie. Nienarodzeni też nudzili. Wprawdzie nie darzył ich niechęcią, jak poprzednio, ale z reguły wypytywali o to samo, o różne, najbłahsze nawet detale z codziennego życia. O wszystko to, czego nie pozwolono im zaznać. Przychodził nienarodzony chłopczyk imieniem Albert i godzinami zamęczał go pytaniami o narciarstwo. Rud nieopatrznie na wstępie znajomości wygadał się, że jeździł kiedyś na nartach. Chciał się tylko pochwalić, gdyż już niewiele z tego pamiętał. Od tej pory musiał opisywać Albertowi różne rodzaje stoków, śniegu, sprzęt; wszystko, co miało związek z nartami. Mały był bystry i natychmiast wyławiał wszelkie próby zmyślenia nieodmiennym: „Nie nawijaj stary, mów, jak było naprawdę”. Albert był pasjonatem narciarstwa, interesowało go wszystko z tym związane, czasami wymyślał historyjki o tym, jak to on sam jeździł na nartach, i opowiadał je Rudowi. Wypytywał potem, czy nie robi błędów rzeczowych i czy tak można by było jeździć. Rud potakiwał, czasem coś uzupełniał.

Nie mógł się natomiast doczekać, kiedy przyjdzie Brązowy Kapturek, jak w myślach nazywał Patrycję.

Kiedyś przyszedł młody człowiek. Rudowi wydał się skądś znajomy. Bardzo przypominał mu kogoś – nieco niższy od Ruda, nieco drobniejszy.

– Cześć, Ruder. Wychodzę stąd. Przyszedłem cię zobaczyć i pożegnać się – powiedział.

– Skąd my się znamy? Przypomnij mi. – Rud zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć i pomóc pamięci.

– Nieważne. Ja cię znam. Nie chciałeś nauczyć mnie łowić ryb. Byłeś dobrym wędkarzem i ja też mogłem być dobrym wędkarzem.

– Tu nie ma ryb – odpowiedział Rud, nie mogąc sobie przypomnieć, skąd go zna.

Tamten wzruszył ramionami.

– Właśnie dlatego. Teraz jest już za późno. No, to cześć. Ciekawe, czy do zobaczenia – powiedział, odchodząc.

– Jak się nazywasz? – rzucił za nim Rud.

– Rolf. Nic ci to nie powie, sam wybrałem sobie to imię.

Rud długo za nim patrzył. Sylwetka, wygląd, były znajome.

Dopiero goląc się przed lustrem, dokonał odkrycia: Rolf wyglądał niemal jak kopia Ruda, może nieco drobniejszy, nieco młodszy. Jediną różnicą były zielononiebieskie oczy, jak oczy Dianny.

Maria nie przychodziła nadal. Kiedyś, wysiadując swoją ławkę, dostrzegł charakterystyczną, tuptającą sylwetkę w brunatnym kapturku i pod małym parasolem.

– Patrycja! – zawołał.

Odwróciła bezwłosą twarzyczkę embriona, krzywiąc się, bo właśnie zawiało słodkawym dymem od szpitalnego krematorium.

– Masz ochotę posiedzieć ze mną? – zapytał.

– Tak, ale niedługo. Śpieszy mi się – usłyszał w swojej głowie.

Podeszła bliżej, a on podstawił jej dłoń, następnie uniósł jak kruszynę i pozwolił zejść na siedzenie ławki.

– Gdzie się tak śpieszysz? – zapytał, przesiadając się tak, aby ją osłonić od słońca. Znowu zapomniał usiąść z właściwej strony.

– Oglądam przychodzące transporty. Lubię patrzeć na nowo przybywających.

– Oglądasz? – zdziwił się Rud – Nigdy nie widziałem, żeby nienarodzeni przyglądali się transportom...

– Jest takie miejsce, z którego nas nie widać. Tam jest galeria widokowa dla nienarodzonych, ale mało kto przychodzi... To jest na dachu tego budynku, do którego oni wchodzi; galeria jest zaraz za rynną.

– Oni idą na komisję, która ustala, kto ma iść na karę większą, a kto nie musi – powiedział Rud.

– Komisja decyduje?

– Nie, dostaje skądś gotowe papiery z decyzjami. Komisja administruje – tego dać tu, tego tam i tak dalej... Kupa papierkowej roboty.

– Nigdy nie widziałam, jak przychodzą nienarodzeni – usłyszał uwagę Patrycji.

– Są w tych blaszanych kubłach zamykanych na zatrzaski – odpowiedział i zaraz ugryzł się w język.

– Dlaczego przywożą nas w kubłach? – zapytała odruchowo, ale zaraz dodała: – Myślałam, że nas zszywają gdzieś wcześniej... – Umilkła.

– Powiedziałaś Marii, o co cię prosiłem? – przerwał po chwili ciszę.

– Tak – Patrycja spuściła główkę, choć i tak nie potrafiłby niczego wyczytać z jej twarzyczki.

– Co powiedziała? – nalegał.

– Maria jest dość biedna. Chce oszczędzić trochę jedzenia, żeby ci przynieść jakiś prezent.

– Jedzenie...? Prezent? – nie rozumiał. „Bez sensu...” Nie mogło mu się to pomieścić w głowie.

– Słuchaj, Patrycjo, powiedz Marii, że jedzenia mam pod dostatkiem. Ją chciałem zobaczyć, nie prezenty. Mogę ją zaopatrzyć, w co tylko będzie chciała. Żarcia mam potąd. – Zaznaczył dłonią poprzeczny ruch na wysokości gardła.

– Już pójdę. Zestaw mnie na ścieżkę.

– Proszę cię, nie zapomnij jej tego powtórzyć – powiedział za odchodzącą Patrycją. Pokiwała główką w brązowym kapturku i odeszła w kierunku budynku przyjęć.

Rud zaczął czyścić paznokcie. Był po kolejnej operacji plastycznej, którą kupił sobie za zarobioną żywność. Obecnie miał wszystkie palce u rąk i każdy z nich ze zgrabnym paznokciem. Przed karą nie miałem ładniejszych paznokci – stwierdził z uznaniem, gdy czarne obwódki zamieniły się na białe.

XVII.

Maria przyszła po paru dniach. Rud nie wiedział, jak zacząć rozmowę, gdy ujrzał ją z bliska. Była taka delikatna, taka kobieca i taka inna, nie pasująca do otoczenia.

– Cześć – powiedziała i usiadła obok na ławce.

Nadal nie odzyskiwał pewności siebie. Zauważył, że Maria ma szarawą, niezdrową, bladą cerę.

– Nie mogłem się doczekać twojego przyjścia – powiedział wreszcie. – Źle wyglądasz.

– Rzadko wychodzę z baraku – odpowiedziała po chwili milczenia.

– Nie pracujesz?

– Nie muszę.

– Maria, czy nie potrzebujesz jedzenia? Nie wyglądasz dobrze.

Chwilę się zastanawiała.

– Dobrze – powiedziała po namyśle. – Wezmę jedzenie. Tego nigdy dość. Kiedy mogę po nie przyjść?

Mroził go jej ton pełen lęku.

„Nadal mi nie ufa czy co...?”, pomyślał.

– Maria, ja nie jestem żadnym strażnikiem ani przodownikiem, ani nigdy nie byłem – powiedział z naciskiem.

– Wiem. Mówiłeś mi to już wcześniej – znów ten ton i nieufna mina. Zaczęło go to złościć: dalej mi nie wierzy czy co?

– Przyjdź jutro, to przyniosę jakieś jedzenie – powiedział głośno.

– Dobrze – odpowiedziała i pożegnała się pośpiesznie.

XVIII.

Następnego dnia przyszła punktualnie. Rud dał jej cztery bochny czarnego chleba – niemal cały zapas, jaki miał odłożony; dołożył dwa grube plastry salcesonu, zawinięte w szary papier pakunkowy. Nie chciała przy nim jeść, lecz wszystko zawięła do dużej chusty. Tytoniu ani gumy do żucia nie wzięła w ogóle. Pomógł jej założyć toból przez głowę tak, że ładunek wypadł na plecach, a węzeł miała pod szyją. Rud był rozżłoszczony: chciał z nią chociaż porozmawiać, a spotkanie ograniczyło się do przepakowania żywności. Uraziło to jego dumę.

Było jeszcze kilka takich spotkań. Za każdym razem podobnie. W sumie nie zamienili więcej niż dwieście słów. Przypuszczał, że ona wie, jak został okaleczony w czasie odbywania kary więziennej, i zdołał pogodzić się z tym, że ich spotkania muszą ograniczać się do wymiany towarowej. Wystarczała

mu jej widok, przelotnie uchwycony zapach włosów, błysk oka, sposób poruszania się.

Raz spytał ją o przeszłość.

– Nic szczególnego – wzruszyła ramionami. – Osiemnaście lat życia spokojnej dziewczyny.

Takiej samotniczki. Nic szczególnego dla ciebie.

Nie podjął rozmowy, choć wkrótce doszedł do wniosku, że to właśnie było czymś szczególnym.

Innym razem zapytał ją, co robi z jedzeniem.

– W naszym baraku głodują – odpowiedziała. – Wiesz, jak oni kaleczą kobiety podczas kary większej? Jakie strzępy ludzi wracają? Jak zmasakrowane? I jeszcze tutaj nie dają im jeść... –

Urwała, jakby w obawie, że powiedziała zbyt wiele.

– Ja byłem na karze większej, Maria – powiedział z naciskiem. – Mężczyzn też tam kaleczą.

– Pracowałeś przy przesłuchaniach...? – Znow wrócił na jej twarz znajomy wyraz strachu.

Pokręcił przecząco głową.

„Chyba nigdy nie zdołałem przekonać tego głuptasa...”, pomyślał.

– Maria, ja odbyłem karę większą – mówił może zbyt stanowczo. – Wróciłem stamtąd zmasakrowany i okaleczony.

– Nie widać.

Pomyślał, że trudno by jej było uwierzyć, gdyż obecnie na jego ciele ślady okaleczenia zostały starannie usunięte przez szereg operacji plastycznych. Nawet rurka do sikania, kilkakrotnie poprawiana przez chirurgów, nie różniła się od tego, co zastępowała. Stare blizny zdążyły już zblednąć, a blizny po operacjach plastycznych były tak wąskie i tak zręcznie poukrywane w naturalnych zmarszczkach skóry, że trudno je było odszukać. Może zęby były zbyt równe i białe; może układ małżowin usznych nie był idealny, ale i tak skrywały je długie, gęste, czarne włosy, które po serii przesadzeń znakomicie pokrywały czaszkę. „Właściwie są obecnie gęstsze, niż miałem je pod koniec pobytu po tamtej stronie...”, pomyślał, gładząc się dłonią po włosach.

– Ależ masz śmieci we włosach – zmienił temat i zaczął lekko wyczesywać z pasm jej włosów jakieś żdzbla trawy czy suche listki.

Nie broniła się, nawet przysunęła bliżej, aby nie musiał sięgać zbyt daleko. Jednocześnie wyczuł, że stała się jakoś tak wewnętrznie spięta, zeszywniała.

– Skąd tyle tego masz – powiedział, układając jej na dłoni kolejne żdzbla.

– Pewnie poduszka ma dziurę i siano z niej wyłazi – wyjaśniła – albo sypie się z siennika, z pryczy nade mną. Tam leży taka staruszka, która kaszle całymi nocami i co kaszlnie, to sobie popuści, a rano zawsze na jej sienniku jest nowa wilgotna plama... – Maria mówiła innym tonem. Zauważył, że była po raz pierwszy rozluźniona.

– Nigdy nie kapie, ale zawsze przemoknie – powiedziała. – Ma miarkę w oku, ile wypić przed spaniem.

– Ma miarkę w pęcherzu – stwierdził.

Po raz pierwszy się roześmiała.

– Milenkowicz! – rozległ się za nimi głos Panfilowej. – Rozmowa ze zdrowymi jest zabroniona. Czas wizyt jest kiedy indziej. Macie natychmiast zgłosić się do rejestracji.

Sprawa musiała być ważna, skoro Panfilowa osobiście się po niego pofatygowała. Odszedł za Panfilową. Raz odwrócił głowę, by popatrzeć na Marię odchodzącą w przeciwnym kierunku i nieco zgarbioną pod zawiniątkiem. Ona również się wtedy odwróciła. Złapał spojrzenie jej zielonych oczu. Zwykle przygasłe, teraz błyszczały. Za bardzo rysowała się jej wydatna szczęka.

Póki handlował żywnością, nikomu to nie przeszkadzało. Gdy bezinteresownie zaczął dostarczać jedzenie dla współmieszkanek baraku Marii, natychmiast został usunięty ze szpitala. Wypisano go karnie. Od dawna nic mu nie dolegało, ale robił sobie jedną po drugiej kosmetyczne operacje, z których każda kosztowała wiele tytoniu, gumy do żucia, chleba i pasztetówki. Widocznie ktoś obawiał się, że sprawa stanie się zbyt znana i jeszcze tego samego dnia Rud znalazł się w swoim dotychczasowym baraku.

Neuheufla nie było, inni, aktywniejsi poszli do pracy, a na pryzkach leżeli jedynie zgrzybiali, zdziecinniali starcy. Kilku z nich, siedząc w kucki na pryzkach, kiwało się rytmicznie. W nie wietrzanej od rana sali smród był nie do wytrzymania. Większość z nich robiła pod siebie. Rud zdążył odwyknąć od tego zwykłego, barakowego zapachu. W szpitalu leżał w sali zaledwie ośmioosobowej.

Nie wytrzymał długo w tym smrodzie. Poszedł pod kiosk napić się oranżady. Miał wątplą nadzieję, że może spotka tam Marię.

Wokół kiosku, jak zwykle, panowało ożywienie, choć rozmowy prowadzono starczym mamlaniem warg. „Jak oni potrafią się tak porozumiewać...”, zastanawiał się Rud wielokrotnie.

Dzień był upalny. Rud stał w kolejce za otyłym, spoconym i dyszącym jak ryba zawałowcem. Za nim ustawiły się dwie pięćdziesięcioletnie, potwornie wychudzone kobiety. Rozmawiały o nowych transportach ze śledczą w furazerce z pentagramem.

Śledcza mówiła, że lada dzień spodziewają się olbrzymich transportów w różnym wieku: młodych, starych, kobiet, dzieci, ale najwięcej młodych mężczyzn. Wówczas i w ośrodku zacznie się dziać więcej. Rud z niechęcią patrzył na odległy lasek za drutami. Na samo wspomnienie wyprawy po drewno wierciło go w nosie. Jedna z chudych kobiet zadarła bluzę i pokazywała drugiej potwornie długą bliznę w poprzek pleców. Mówiła, że to po usunięciu zrakowaciącej nerki.

Ktoś zerwał się od stolika i ruszył ku niemu.

– Elegant! – rozległ się ryk. – Wreszcie cię mam, ty skurwielu!

Eckhardt, czerwony z wściekłości, sunął ku Rudowi jak rozjuszony byk.

– Ty skurwielu! Zachciewa ci się cudzych dziewczyn? To ci się odechce! – Eckhardt zamachnął się obszernym cepem.

Kolejka rozbiegła się na boki. Śledcza nie próbowała interweniować; nie była uzbrojona.

Rud zanurkował pod potężnym ramieniem, lecącym jak serce dzwonu. Zrobił to tak zręcznie, że Eckhardt nie zdążył wyhamować ciosu i z rozmachem palnął w drewnianą ścianę kiosku. Zadudniły deski. Zaciekawiona sprzedawczyni wychyliła się i zaczęła krzyczeć.

Eckhardt skrzywił się z bólu, ścisnął stłuczoną garść. Jego przystojna twarz wykrzywiona cierpieniem nabrała bardziej myślącego wyrazu. Przeczekał pierwszy ból i znów się zamachnął. Nie wyciągał pałki, gdyż poprzednio za użycie służbowej broni w prywatnej kłótni został ukarany pozbawieniem funkcji przodownika na miesiąc i ograniczeniem racji żywnościowej. Rud wiedział o tym i nie obawiał się czarnej gumowej pałki tkwiącej za służbowym pasem Eckhardta.

Tamten przez cały czas lżył Ruda i wykrzykiwał po to, aby go przestraszyć, a sobie dodać odwagi. Nazywał go „szpitalnym prominentem”, „nienasyconym dziwkarzem”, „wszą, co się podszywa pod strażnika”. Wykrzykiwał też szereg mniej skomplikowanych wyzwisk. Rud nie dawał się sprowokować i wyprowadzić z równowagi. Eckhardt machał ramionami jak cepami, ale niezbyt precyzyjne ciosy albo mijały Ruda, albo dawały się lekko parować. Rud nie uderzał silnie, aby nie

angażować się w jeden cios. Parę razy celnie skontrował lewą, aż kształtna głowa Eckhardta odskoczyła do tyłu trafiona w podbródek. Jednakże Rud nieustannie musiał się cofać pod naporem cięższego, silniejszego, choć wolniejszego przeciwnika.

Czekał na swój moment przez parę minut. Wreszcie po kolejnym, skontrowanym ciosie Eckhardt odsłonił szczękę. Tym razem Rud pozwolił sobie na zamach. Potężny cios zatrzymał Eckhardta; półprzytomny zdołał machnąć bezsensownie ręką, usiłując jeszcze uderzyć. Drugi, jeszcze potężniejszy cios skosił go na ziemię.

Sycząc z bólu, Rud trzymał swoją prawą kiść w lewej. Potrzaskał sobie kości o szczękę przeciwnika. Żałował, że Maria nie widziała tego zwycięstwa.

XX.

Rud nie miał przykrych konsekwencji z powodu bójki z Eckhardtem. Uratowały go zeznania śledczej, która widziała początek awantury. Śledcza nazywała się Kohlengruber i była protokółantką przy oględzinach Ruda, zaraz po przeniesieniu go z dołu na górę.

– Zmieniliście się nie do poznania, Milenkowicz – powiedziała po zakończeniu rozprawy wyjaśniającej, gdy zamienili ze sobą parę słów. – Zupełnie nie widać, że macie protezę.

– Nie obcięli mi wtedy nogi – odpowiedział.

Kohlengruber mocno pachniała perfumami. Miała jaskrawoczerwone, długie paznokcie. Maria obcinała paznokcie krócej i nigdy ich nie malowała.

– Coś podobnego – zdziwiła się. – Nawet tak zmasakrowaną nogę zdołały uratować... Jaka to oszczędność. Wicie, ile teraz kosztuje dobra proteza? Majątek. Nie wypłacilibyście się z tego – odpowiedziała na swoje własne pytanie.

„Szurnięta baba”, pomyślał, „dobrze, że chociaż zeznawała z sensem”.

Po dłuższej przerwie znów musiał zajmować się wypracowaniami Neuheufela, chociaż nie miał najmniejszej ochoty tego robić. Nie śmiał jednak zbuntować się otwarcie. Zdobyta w szpitalu pewność siebie nie wystarczała na Neuheufela. Rud mozolił się z niechlujnie wydrukowanymi tabelami. Skomplikowane metody wyliczeń wydawały się mętne i niepotrzebnie zawikłane.

– Nieźle wróciliście do normalnego wyglądu sprzed kary większej – powiedział Neuheufel, przyglądając mu się uważnie.

– Nie widać dosłownie żadnych różnic... żadnych blizn. Świetna robota.

Wyciągnął z teczki duże, kolorowe zdjęcie Ruda.

– Podnieście no głowę znad papierów – powiedział, a następnie starannie porównywał twarz Ruda z fotografią. – Nie ma żadnych różnic – powtórzył. – Kara przeszła bez śladu.

– Jest ślad, i to zasadniczy – wypalił Rud. – Sikam przez doprawioną rurkę.

Zgodnie z niepisaną regułą nigdy nie wspominało o tym. Nawet zgrzybiali starcy starali się unikać tego tematu i udawać, że jest jak przedtem, pomimo że z przodu na ich spodniach tworzyły się osady mocznika z zasychających kropel moczu. Niektórzy dodatkowo śmierdzieli kałem wydobywającym się nieustannie z zastępczych odbytów.

– Dalej macie tę samą rurkę co przedtem? – zapytał ironicznie Neuheufel.

– No nie... zrobili mi parę operacji plastycznych – przyznał Rud.

– Właśnie. I co? I jak teraz wygląda? Inaczej niż przed karą?

– Wygląda znakomicie. Identycznie jak przed karą, ale przecież nie tylko o to chodzi... – Rud

nieco się spieszył.

– Ha, ha, ha. – Zaśmiał się Neuheufel. – Pewnie, że nie będzie wam się niczego chciało, jeśli zrecie brom garściami. Marusia sypie to świństwo do kawy łopata. A co wy myślicie, do cholery, Milenkowicz? – powiedział z naciskiem Neuheufel. – Że po co wszystkim daje się kawę? A po to, by żarli brom. Ładnie by to było, jakbyście jeszcze tu nam wszyscy zaczęli ganiać za babami, a baby za wami... Do tego nie można dopuścić w ośrodku.

Rud milczał zdumiony. Neuheufel, widząc, że go nie przekonał, powiedział z naciskiem:

– Obecnie jesteście zupełnie zdrowym, normalnym mężczyzną, znakomicie wyprowadzonym medycznie z następstw kary większej. To są znowu normalne części waszego ciała, nie przeszczepy i protezy. Wyglądacie identycznie jak wtedy, kiedy mieliście trzydziestkę, gdyż ten wiek i wygląd najbardziej wam odpowiada. Prawda, że odpowiada?

– Tak – odpowiedział Rud. Wydawało mu się, że skrzydła rosną mu u ramion.

– To znaczy, że nie tylko mój wygląd fizyczny, ale i stan powrócił już do normy? – upewnił się.

– Znaczą dokładnie tyle, co powiedziałem.

Zapanowało milczenie. Rud wrócił do pracy. Chciał jak najszybciej spotkać się z Marią i przekazać to, co usłyszał. Chciał wykrzyknąć, że znowu jest zdrowym człowiekiem. Starannie przepisywał kolumny liczb, a następnie mnożył je lub dodawał.

– Właściwie, to wasze okaleczenie nie było sprawą obiektywną... – bąkał Neuheufel. – To wy tak odbieraliście, było to waszą karą.

Rud nie odzywał się; nie rozumiał.

– Zresztą... Myślałem, że domyśliliście się tego sami, Milenkowicz – ciągnął Neuheufel. – Goniliście jak opętani za tą małolatą z baraku 971C.

– Za Marią...? – wyrwało mu się.

– Nie lubię tego imienia. – Nauheufel skrzywił się. – Nie powinni go nadawać nikomu.

– Zresztą to wyjątkowo nieładna dziewczyna – dodał, grzebiąc w teczce. – Taka blada, ta skóra aż szarawa i przezroczysta, jakby przeświecał przez nią podskórny tłuszcz... Te włosy takie nijakie, właściwie bezbarwne, jeśli zapomni je sobie rozjaśnić... – ciągnął z pogardą w głosie. – A ta wysunięta szczena, to musi być niezły charakterek... Rybie oczy, takie matowe, bez połysku, nieruchawe jak u embriona... Usta blade, sutki blade... Zbudowana koszmarnie: dupa jak komoda, jeszcze do tego taka przetrącona... Lewy cycek dwa razy większy niż prawy. Jeden celuje w górę, drugi w dół... – Zachichotał obleśnie, kciukami pokazując kierunki wskazywane przez sutki.

– Kłamiesz, ty cholerna świni! Odpieprz się od niej! – wrzasnął Rud i jak dziki kot rzucił się ku Neuheufelowi, chcąc złapać go za gardło. Gdzieś w bok poleciało krzesło, posypały się papiery z biurka. Przerażeni starcy kulili się na pryczach.

Neuheufel lekko machnął ręką, trafiając Ruda w trakcie skoku. Rud jak piórko odskoczył w bok i potoczył się po podłodze. Siła ciosu Neuheufela była nieprawdopodobna.

– Ty? Do mnie? Do śledczego? – powiedział. Nawet nie podniósł głosu.

Rud potłuczony i obolały zbierał się z zaszczanej podłogi.

O drewniany bok pryczy rozciął sobie skórę na skroni.

– Chodź tu, gównu – zakomenderował Neuheufel. – Ty też sobie pooglądaj.

Dał mu dużą kartkę. Rud milczał. Miał przed sobą kolorowe zdjęcie nagiej Marii. Zapewne jedno z takich zdjęć dokumentacyjnych, o których wspominał kiedyś Jose. W górnym rogu był mały pentagram i numer Marii. Zdjęcie przedstawiało stojącą w lekkim rozkroku Marię; z przodu, z obu boków i z tyłu. Była zbudowana brzydko: nierównej wielkości piersi o nieproporcjonalnie dużych brodawkach, szerokie, bardzo niezgrabne biodra. Pomimo to Rud przyglądał się zdjęciu z wielkim

zainteresowaniem: pierwszy raz widział Marię naga. Jej twarz miała w sobie coś nieuchwytnie odpychającego, jakiś obrzydliwy półuśmiech tłumionej, nieposkromionej zwierzęcej żądz.

– Wystarczy – powiedział Neuheufel i odebrał odbitkę Rudowi. – To jest z archiwum. Teraz możecie tu posprzątać, Milenkowicz; postawić krzesło i poukładać papiery.

XXI.

Za atak na Neuheufela został ukarany zakazem opuszczania baraku przez tydzień. Kara wydała mu się nieoczekiwanie niska.

Odsiedział tydzień w smrodzie i półmroku. Obrażony Neuheufel nie pojawił się w ciągu całego tygodnia. W zamian przychodził regularnie Holzbucher i z reguły zlecał Rudowi szorowanie podłogi. Rud nie protestował, gdyż spodziewał się czegoś gorszego, a i lepiej pielęgnowana podłoga zyskała, bo stała się jaśniejsza i mniej cuchnęła moczem.

Dopiero teraz zauważył, że starcy głodowali. W czasie posiłków byli często pomijani albo dostawali rzadką zupę z wierzchu kotła. Szczególnie tracili ci, którzy nie mogli się ruszać ze swoich prycz.

Po siedmiu dniach Holzbucher zignorował obecność Ruda na sali i nie wydał mu żadnych poleceń. Oznaczało to, że areszt się skończył. Rud postanowił odszukać Marię. Na szczęście, zapamiętał numer baraku, który wymienił Neuheufel.

Przebrał się w swoją najlepszą kurtkę strażnika, także spodnie, buty z dermy i wojskową czapkę. Chciał wyglądać jak najlepiej. Odnalezienie baraku 971C nie powinno być trudne, gdyż rzędy baraków numerowano kolejnymi liczbami i oznaczano w widocznym miejscu.

Dzień był słoneczny, ale dość chłodny, po niebie mknęły pierzaste białe obłoki. Wiał silny wiatr, który wznosił na obozowych ulicach tumany pyłu, bo od dawna nie padało. Rud szedł ponad godzinę, zanim dotarł do rzędu 971. Dopiero teraz zrozumiał, jak mało prawdopodobne było tamto spotkanie przy oranżadzie. Postanowił spytać Marię, dlaczego wtedy odeszła aż tak daleko od swojego baraku. Przez całą następną godzinę szukał baraku C; pytał spotykane kobiety, strażniczki. Wszystkie patrzyły na niego podejrzliwie, gdyż niewielu mężczyzn zapuszczało się w rejon obozów kobiecych, a jego strój budził dodatkowe wątpliwości.

Do baraku kobiecego nie wolno mu było wejść, więc poprosił, zgodnie z regulaminem, którąś ze snujących się podopiecznych, aby wywołała kuratorkę.

Wyszła tęga, niska kobieta o szerokiej twarzy, jeszcze dopinając ostatnie guziki bluzy munduru. Jedną z szybek okularów miała pękniętą. Na widok Ruda poprawiła furażerkę, wciśniętą na brunatne włosy, i chyba nawet chciała zsalutować, zanim zorientowała się, po braku pentagramu na jego czapce, że nie ma przed sobą strażnika.

– Czego chcecie? – burknęła niezyczliwie, odzyskując pewność siebie.

– Chciałem mówić z Marią.

Skrzywiła się na dźwięk tego imienia.

– Mamy ich tu kilkanaście. Z którą? – zapytała. – Jak się nazywa?

– Nie wiem – stropił się Rud. – Taka młoda...

– Nienarodzona?

– Nie. Młoda, znaczy najwyżej osiemnaście lat. Piękna.

– Bez śladów sekcji? I nie odbywała kary większej? – Strażniczka spojrzała bystro.

- Raczej tak... – Tego też nie był pewien.
- No to wiecie czy nie wiecie, z kim chcieliście mówić, Milenkowicz? – powiedziała twardo.
- Chcę mówić z Marią. Mogę opisać, jak wygląda.
- Nie trzeba – przerwała strażniczka. – Ja tu jestem kuratorką i chyba lepiej wiem, o kogo chodzi. Ona przynosiła kradzione jedzenie ze szpitala, prawda?
- Rud nie odpowiedział, ale oznaczało to potwierdzenie.
- To nie było kradzione jedzenie – powiedział po chwili, zrozumiawszy, że jego milczenie może zaszkodzić Marii. – Ona dostawała to jedzenie ode mnie.
- Nieważne. To już nie ma znaczenia. Jej tu nie ma.
- Jak to, nie ma? Co jej zrobiliście za to przynoszone jedzenie?
- Uspokójcie się, Milenkowicz. Nic jej nie zrobiliśmy. Po prostu zakończyła okres przygotowawczy.
- Zakończyła...? – niepewnie powtórzył, jakby to jeszcze do niego nie dotarło.
- Kuratorka wzruszyła ramionami.
- Do kobiecego baraku wchodzić wam nie wolno, pamiętajcie – rzuciła przez ramię i zniknęła we wnętrzu.

XXII.

Jednak próbował tam się dostać, ale było to niemożliwe: Nie był w stanie sforsować progu. Każda próba napotykała opór wewnętrzny; Rud pocił się, dostawał zimnych dreszczy, ale nie mógł przekroczyć krytycznej linii.

„Zahipnotyzowali mnie czy co...”, myślał, nie mogąc uwierzyć. W końcu zrezygnował.

Załamany powlókł się zapyloną drogą wśród baraków z przegniłych czarnych desek.

– Ruder! – rozległ się okrzyk w środku jego mózgu.

Ruder drgnął i rozejrzał się.

– Spaceruję już ponad godzinę, ale jeśli posadzisz mnie na ławce, to chętnie z tobą pogadam – znowu mówiło wewnątrz głowy.

Dopiero teraz dostrzegł charakterystyczną, maleńką sylwetkę Brunatnego Kapturka, stojącą w cieniu baraku.

– Patrycja! – ucieszył się.

Mała istotka wspięła się na jego dłoń. Usiadł na ławce, a Patrycję ustawił obok siebie. Tym razem ułożyła się, skręcając się w kłębuszek – Zmęczona jestem tym łożeniem, to sobie poleżę – wyjaśniła.

Nienarodzeni nigdy nie przyjmowali pozy embriona przy narodzonych, w ten sposób starali się podkreślić swoje człowieczeństwo. To, że tak się ułożyła przy Rudzie, świadczyło o dużej zażyłości.

– Powiedz mi, co jest z Marią – zaczął. – Koniecznie chcę ją zobaczyć.

– Niestety, Ruder. Marii już tu nie ma. Skończyła pobyt w ośrodku – dźwięczało w jego mózgu. – Wczoraj się ze mną pożegnała.

– O mnie zapomniała – powiedział głucho Rud. – Potrzebny jej byłem tylko, żeby załatwić żarcie dla koleżanek.

– Nie krzywdź jej – skarcił go głos wewnątrz własnej głowy.

– Maria przez tydzień, dzień po dniu przychodziła pod twój barak, żeby ciebie zobaczyć, i ani

razu nie wyszedłeś, nawet przypadkiem. Dwie godziny w jedną, dwie w drugą stronę... pamiętaj.

– Tak blisko była...? – zdziwił się. – A ja odsiadywałem karę, właśnie tydzień aresztu. Dzisiaj skończyłem odsiadkę. Gdyby chociaż podeszła do okna, mógłbym ją zobaczyć.

– Gdyby wiedziała, że chcesz ją zobaczyć...

– Co ci skurwiele – uniósł się – co ci skurwiele nagadali Marii? Że co? Że nie chcę jej widzieć?

– Maria mi powiedziała, że prawdopodobnie miałeś nieprzyjemności o to wynoszenie jedzenia i obraziłeś się na nią.

Rud milczał.

– Jestem zaskoczony – powiedział po chwili – że mogła tak myśleć. Przecież zrobiłbym wszystko, czego by chciała. Dla niej...

– Byłeś zawsze taki pewny siebie, stanowczy, zdecydowany – mówiła Patrycja. – Po prostu mówiłeś, czego od niej chcesz, i... dostawałeś. Bała się tego. Widzisz, Maria dużo mi się zwierzała. Ona się w tobie zakochała od pierwszego wejrzenia, od razu. Walczyła z tym uczuciem, gdyż uważała, że jesteś jednym ze strażników, a ona nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Dlatego i ciebie próbowała z początku unikać, chociaż było to ponad jej siły. Tak mówiła.

– Przecież ja nie jestem strażnikiem, nigdy nawet nie byłem przodownikiem. Tylko noszę ich strój, bo jest ładniejszy od łachów ośrodkowych.

– Kto tam dokładnie teraz wie. Śledczy, strażnicy czy kuratorzy stosują różne metody. Skąd miała wiedzieć, zanim sam jej nie powiedziałaś.

– Ja też zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie zdążyłem jej o tym powiedzieć.

– Tego nie wiadomo. Wiem, że Maria ciebie kochała. A ty, Ruder? Wczoraj Dianna, dzisiaj Maria, może jutro przywiozą w transporcie jakąś inną dziewczynę...

– Jak możesz?! – uniósł się. – Jak możesz tak do mnie mówić...? A kim ty właściwie jesteś, że tak mówisz o mnie?

– Masz rację... – Patrycja spuściła główkę. – Jestem nikim. Dziewczynką, której nie pozwolono się urodzić; embrionem rozerwanym na strzępy przez łyżeczki chirurgiczne. Nie mam prawa sądzić ludzi, których serca zostały okaleczone przez walkę z innymi ludźmi. Z pewnością sama nie byłabym lepsza.

– Przepraszam cię. Nie chciałem cię dotknąć, Patrycjo – zrobiło mu się jej żal. – Neuheufel mówił, że już niemal zakończyłem okres przystosowania, więc z pewnością wkrótce opuszczę ośrodek. Wtedy odszukam Marię i powiem to, czego nie zdążyłem powiedzieć.

Patrycja milczała.

– Bo widzisz... Ja myślałem, że ona mnie unika, gdyż zostałem okaleczony podczas kary większej, dlatego nie chciałem się narzucać. Teraz znowu jestem normalny i chciałem jej o tym powiedzieć.

– Bez sensu, Ruder. Każdy wraca z kary większej tak samo okaleczony.

Twarz Ruda wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

– ...i każdy wolniej lub szybciej wraca do stanu normalnego. Ci, którzy nie byli na karze większej, jak ja albo ona, to wiedzą. Nie trzeba tego mówić. To jest normalne, ale mija. Zresztą, my możemy więcej, na przykład możemy widzieć, jak taka pozszywana, gojąca się twarz wyglądała przed karą i jak będzie znów wyglądała po tej karze.

– Czyli wtedy, gdy ją zobaczyłem pierwszy raz, to ona nie widziała tej mojej koszarnej, zmasakrowanej gęby, tylko normalną twarz...?

– Nie wiem. Jeśli chciała, mogła widzieć normalną twarz. Nie wiem; nie mówiła mi o tym.

Znowu milczeli.

– Wiesz, ci śledczy mają swoje sposoby. Neuheufel, żeby mnie do niej zniechęcić, pokazywał mi zdjęcia rejestracyjne nagiej Marii. Takiej jakości, że widać każdy szczegół. Żebym widział wszystkie wady jej budowy. Wiesz, że jedną pierś miała znacznie większą niż drugą i że miała takie załamane, bardzo niezgrabne biodra – powiedział. – Ale jakoś...

– To nieprawda – przerwała mu stanowczo Patrycja. – Maria miała jednakowe piersi. Na pewno.

– Skąd wiesz?

– Wiem, bo je widziałam – zawstydziała się. – Prosiłam ją, żeby mi pokazała, jak wyglądają piersi kobiety... Muszę to wiedzieć, bo opuszczając ośrodek, będę decydować, w jakim wieku chcę mieć ciało.

Rud siłą powstrzymywał się, aby jej nie wypytywać, jak tamte piersi wyglądały.

– Jeszcze z jednego powodu... – słowa docierały do jego głowy cicho i jakoś tak niepewnie, jakby Patrycja bardzo się wstydziała. – Chciałam, żeby mnie pottrzymała przy piersi jak matka niemowlę... żeby zobaczyć, jak to jest.

– I co?

– I nic. Nie udało się, bo koniuszek piersi nie chciał się zmieścić w moich ustach.

– Chyba też nie była tak niezgrabna. Przecież gdyby miała przetrącone biodra, to bez trudu bym zauważył... przecież widziałem jej sylwetkę, jak chodzi, jak się rusza.

– Pewnie podsunęli zdjęcie innej dziewczyny. Maria nie mówiła mi, że komuś pozwoliła fotografować się nago.

– Nie. Twarz była Marii – zaprzeczył. – Chociaż ta twarz też jakaś obca, taka obrzmiała, obleśna, aż napuchła od tłumionej, nienasycalnej żądz.

– Chciała w sobie stłumić uczucie do ciebie. Z tym walczyła – powiedziała Patrycja. – A w ogóle, co to były za zdjęcia?

– No, takie z rejestracji, z przepisowym pentagramem i numerem ewidencyjnym – odpowiedział.

– Nie daj się ogłupić, Ruder. Przecież oni żadnych takich zdjęć nie robią, bo nie mają prawa robić. Sądzę, że Neuheufel to sfabrykował, żeby obserwować twoją reakcję. Gdyby była wyzywająca i rozwalona jak na zdjęciach pornograficznych, tobyś nie uwierzył, więc zrobił inteligentniej.

– Sądzisz, że celowo sprowokował bójkę, żeby mieć pretekst do zaareztowania mnie, bym nie mógł zobaczyć się z Marią? – powiedział do siebie. – Ale skurwiel... I to ma być Niebo – dodał z ironią.

– Ach, Niebo... – westchnęła Patrycja. – Wiesz, że niedługo stąd wychodzę?

– Tak?

– Chciałam przedtem zobaczyć moich... tych dwoje, co nie chcieli zostać moimi rodzicami. Podobno są tu jeszcze.

– Naprawdę chciałabyś ich widzieć?

– Wiesz, Ruder, właśnie tak mówi niemal każdy nienarodzony. Każdy się zarzeka, że nie. Ale pod koniec niemal każdy idzie ich spotkać... tak jakoś... żeby wiedzieć. Żeby ich zobaczyć. Oboje.

– Będziesz z nimi rozmawiać?

– Parę przypadkowych słów. – Wzruszyła ramionami. – Nie chcę, żeby się domyślili.

Ruder zamilkł.

Rud doszedł do wniosku, że nie ma sensu awanturować się z Neuheuflem, gdyż mogło to jedynie zaszkodzić. Nie warto było z nim zadzierać, by nie opóźnić spotkania z Marią. Ostatecznie śledczy był w jakimś stopniu jego dobroczyńcą. Rud nawet zdobył się na to, aby przeprosić Neuheufła za swój wybuch. Przeprosiny zostały przyjęte ze zrozumieniem. Nieokrzesany śledczy najwyraźniej na swój sposób lubił tego podopiecznego. Rud znów pisywał wypracowania Neuheufła lub rozwiązywał jego problemy arytmetyczne. Stał się jednak ostrożniejszy, bardziej skryty. Zdarzało się nawet, że dzielił się swoim jedzeniem z niedołączonymi starcami, którzy nie wstawali ze swoich pryczy. Nie robił tego z litości, lecz dlatego, że Maria tak robiła.

– Wiecie, Neuheufel, inaczej wyobrażałem sobie Niebo – kiedyś zaczął rozmowę ze śledczym. Zbyt długo gryzły go wątpliwości i w końcu nie wytrzymał. – Przede wszystkim brakuje mi tu...

– Tu nie może ci nikogo brakować – przerwał mu Neuheufel. Był w dobrym nastroju; syty, sączył przez zęby mocną kawę i, swoim zwyczajem, spluwał fusami na podłogę. Wypracowanie zyskało wysoką cenzurę i był życzliwie nastawiony do Ruda.

– Każdy tu kiedyś był... Galilejczyk też... Doskonale pamiętam ten dzień, chociaż to było tak dawno. – Neuheufel zamyślił się.

– Przywieźli Go w piątek po fajerancie. Wszyscy, chłopaki, się zlecieli, żeby zobaczyć. Sam komendant prowadził przesłuchanie. Ja, tam, nie mogłem przyjść, bo miałem służbę na dole, ale potem chłopaki opowiadali... Holzbucher sam widział... A potem, nie?, jak stąd wychodził, to dopiero było, chłopie – zamyślony Neuheufel zwracał się do Ruda jak do kolegi, nie do podopiecznego. – Jakie światło poszło... mówię ci... takie białe. Wszystko było przez ściany widać. Nie dało się pracować. Musieliśmy przerwać wszystkie przesłuchania, co do jednego. Potem zaczęły się zwolnienia. Póki nie dostali uzupełnień, było mniej roboty. Wiesz, przesłuchiwałem jednego z tych dwóch, co przyszli z Nim. Dotąd siedzi. Drugi zaraz dostał wypis. Wyszedł prawie równo z Galilejczykiem.

– Jego... Jego... On... On... – powtarzał z wysiłkiem Rud – Neuheufel, ja nie mogę wymówić Jego imienia...

– Tu nie możesz – powiedział Neuheufel. – Nikt nie może.

– Neuheufel, przecież w Niebie wszyscy mają słać Jego imię – to był niemal szloch.

– A kto ci powiedział, że tu Niebo, głupcze? – Twarz Neuheufła tężała w znajomym wyrazie.

– Wy powiedzieliście, Neuheufel, w sali przesłuchań, jeszcze na dole – wypalił Rud.

Neuheufel wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Och, każdemu tak się mówi. To jest zwykły punkt procedury. Chodzi o poprawienie samopoczucia podopiecznego. Zresztą, czuliście się tu jak w Niebie, prawda? Zwyczajnie: odbywacie teraz karę mniejszą.

– Karę mniejszą?

– Tak, dla was kara mniejsza to upokorzenie, kara większa to ból. Nie można bez końca kary większej, bo mógłbyś się przyzwyczaić, a nie o to chodzi. Dlatego okresy kary większej muszą być przeplatane okresami lżejszymi, kary mniejszej, abyś nie utracił skali cierpienia.

– Jak długo trwa kara? – rzucił Rud, czując, jak strach zaczyna ścisnąć go za gardło.

– Różnie. Wiesz przecież, że dla jednych będzie trwało na zawsze, dla innych się skończy, jeszcze inni idą tylko na karę mniejszą. Każdy okres kary mniejszej jest dla nich szansą, z której nie korzystają. Widzisz, to tkwi w nich samych – obserwuję ich od wielu pokoleń – oni tutaj są

dokładnie tacy sami, jakimi byli po tamtej stronie, ani trochę lepsi. Gdy ból ustanie, wracają do starych nawyków. Nie chcą być inni. Popatrz na samego siebie: ledwie bezpośredni ból fizyczny ustał, wróciłeś do tego samego, od razu te twoje kombinacje, machinacje i gonitwa za babami. Gdybyś się wcześniej zorientował, że znów jesteś w formie, to byś pewnie zdążył uwieść tę swoją... I wy chcecie stąd wyjść, Milenkowicz? – zakończył pytaniem.

– Neuheufel, czyja stąd kiedyś wyjdę? – zaszlochał Rud.

– Co wy?! Co wy, Milenkowicz?! – ryknął odmieniony Neuheufel. – Chcecie, żebym naruszył tajemnicę służbową? Sami poszukajcie odpowiedzi w swoim sercu, a nie pytajcie mnie.

– Kiedyś powiedzieliście, że okres mojego przystosowania dobiega końca, to znaczy kara mniejsza dobiega końca. To co teraz będzie ze mną? – Rud odważył się zadać kolejne pytanie.

– Dzisiaj to już nie jest tajemnica – Neuheufel wzruszył ramionami. – Pójdziecie znowu odbywać karę większą. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Ile mi jeszcze zostało czasu? Kiedy mnie wezmą na dół?

– Jutro.

Waterloo, kwiecień-maj 1990

O autorze

Marek S. Huberath (ur. 1954) pseudonim pisarski mieszkającego w Krakowie fizyka, doktora habilitowanego pracującego w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Debiutował w 1987 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem „ – Wrócieeś, Sneogg, wiedziaam.. ”, którym zwyciężył w konkursie ogłoszony przez ten miesięcznik.

Zajęty pracą naukową pisze regularnie, ale mało, za to kolejne opowiadania przynoszą mu nagrody i rosnącą popularność: „Kara większa” (Zajdel 1991), „Spokojne, słoneczne miejsce lęgowe”, „Absolutny powiernik Alfreda Dyjaka”.

Za opowiadaniem idą książki, zbiory *Ostatni, którzy wyszli z Raju* (1996), *Druga podobizna w alabastrze* (1997), *Balsam długiego pożegnania* (2006) oraz powieści: *Gniazdo światów* (1999, Nagroda Zajdla), *Miasta pod Skałą* (2005) i *Vatran Auraio* (2011).

ALAN DEAN FOSTER

Polacy to ludzie łagodni

Alan Dean Foster to typowy wyrobnik literacki obsługujący maszynę Hollywoodu. Kiedy producenci „Gwiezdných wojen” oskarżyli producentów filmu „Battlestar Galactica” o plagiat, wezwany z Anglii jako biegły Brian Aldiss stwierdził, że oba filmy czerpały pełnymi garściami ze starej, pulpowej science fiction. W ten sposób twórcy filmów ściągałi pomysły z fantastyczno-naukowego folkloru, kręcili wysoko budżetowe filmy, które potem Alan Dean Foster przerabiał na powieści. Na przykład dziesięć tomów „Gwiezdných wojen”.

Skąd się u niego wzięło piękne opowiadanie, w dodatku z Polską i Polakami, przedstawionymi w najbardziej pozytywnym świetle, nie mam pojęcia. Chętnie bym usłyszał, kto mu wytłumaczył, jacy jesteśmy dobrzy i mądrzy. Na ogół Amerykanie nie odróżniają Poland od Holland.

Polacy to ludzie łagodni

Sytuacja jest bardzo delikatna, Michale... Bardzo delikatna. W tej chwili nie możemy pozwolić sobie na incydent, ale jeśli potraktujemy sprawę zbyt poważnie, wywoła to niepożądane zainteresowanie. Wszystko stało się tak szybko. Gdyby popatrzeć na to z boku, cała historia mogłaby wydać się całkiem śmieszna.

W obramowaniu potężnego, dwupiętrowego okna, na tle imponującej panoramy otulonej resztkami mgły, stary człowiek wyglądał bardzo krucho i niepozornie. Co jakiś czas za szybami dwudziestego piętra przelatywała mewa, rzucając mężczyznom spojrzenie pełne frasobliwej ciekawości.

W dole, spośród mgieł porannych spowijających wybrzeże Bałtyku, wylaniał się długi, płaski skrawek lądu znany jako Półwysep Helski. Biegł równolegle do północnego wybrzeża Imperium Rzeczypospolitej, stanowiąc zadziwiająco odporną barierę dla fal.

Flotylla małych spacerowych łodzi, jak wyrojone pszczoły ciągle wabiąc do siebie następne, tłoczyły się w oczekiwaniu uroczystości. W dali, w dolnej części półwyspu rysowały się wysokie, zwarte kształty. Przy pionowych ścianach nabrzeży, leniwie kolebane martwą falą, cumowały statki różnych wielkości i typów.

Michał Jan, obserwując tę scenerię ponad ramieniem zwierzchnika, potrząsnął głową.

Polacy to ludzie łagodni. Eksplozja którejś z rakiet mogłaby spowodować ofiary wśród widzów i stać się przyczyną narodowej tragedii. Charakterystyczne dla króla było, że długo zadrezczał się wątpliwościami, czy zezwolić widzom na obecność przy starcie, i równie charakterystyczne, że w końcu zezwolił.

– Czy może mi pan przynajmniej powiedzieć, kim on jest?

Kanclerz Longin przeciągnął ręką po siwych, krótko ostrzyżonych włosach, dotknął palcem szramy na złamanym nosie, pamiątki z czwartego lotu na Księżyc – upadł wtedy twarzą na pulpit sterowniczy – po czym obrócił się ku Michałowi.

– Nie on... ona. Zaplanowała to bardzo starannie. – Pokiwał głową z uznaniem. – Poszła prosto do ambasady amerykańskiej, a potem skontaktowała się z nami. Krótko mówiąc, zagroziła ujawnieniem skradzionego przez siebie nagrania, chyba że zgodzimy się odwołać start i dopuścimy inspektorów do wszystkich kolejnych operacji.

– To wszystko? Słuchaj, a dlaczego by nie pozwolić jej wypaplać wszystkiego prasie? Jaka może być z tego szkoda? Cóż ona może wiedzieć? No więc planujemy wystrzelenie sześciu obiektów jednocześnie dla uczczenia urodzin króla. No to co?

Longin ze smutkiem pokiwał głową.

– To nie takie proste, Michale. Ujawnienie taśm z nagraniami moglibyśmy jeszcze znieść. Problem w tym, że ona podejrzewa jakiś ukryty cel w tym przedsięwzięciu. A jeśli tak jest, może go znać.

Z twarzy Michała zniknął uśmiech.

– Dlaczego?

– Ona pracuje... pracowała... w twoim dziale.

– Moim? – Urwał, po czym zapytał ostrożnie: – A co, jej zdaniem, jest tym ukrytym celem?

Longin usiadł za biurkiem.

– Ponieważ jest jej znany rodzaj materiałów umieszczonych na niektórych z tych obiektów,

posądza nas o plany utworzenia stałej bazy militarnej na Marsie i zagarnięcia całej tej planety.

Niewyraźny uśmiech na twarzy Michała ustąpił w tym momencie zdumieniu.

– To jest najbardziej bzdurna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Czyż ona nie wie, że prawo Rzeczypospolitej nie zezwala na rozszerzenie terytorium, inaczej niż za zgodą niepodległych narodów? Mówisz, że pracuje w moim dziale. Nie mogę sobie wyobrazić, co mogłoby skłonić kogoś z mego personelu do wywołania skandalu właśnie w dniu urodzin króla.

– Nikogo z Polaków. Ale masz przecież u siebie pewną liczbę stażystów zagranicznych, prawda?

– Tak, zgodnie z naszą polityką prowadzenia wspólnych badań kosmicznych.

– Są wśród nich Amerykanie?

– Amerykanie, Amerykanie! – Michał uniósł ręce do góry. – To jest to, co wiecznie słyszę dookoła siebie – amerykańskie zagrożenie! Tylko dlatego, że ich dziennikarze...

– Wiesz, którzy z nich mają dostęp do tajnych akt? – naciskał Longin.

– Och, John Huxley, Marshall McGregor i Dana Canning. – Urwał, zastanowił się chwilę. – Powiedziałaś: „ona”? Nie, to zupełnie nieprawdopodobne, Henryku.

– Nie aż tak, jak sytuacja, w której się obecnie znaleźliśmy. Właśnie rozmawiałem z ambasadorem. Jej teorie są absolutnie obłąkane, my to wiemy... ale ona dostarczyła mu już tyle konkretnych faktów, że go to zaniepokoiło. A nie możemy pozwolić im na wścibianie nosa w obecnej fazie przygotowań.

– Nie, oczywiście, że nie – Michał zastanowił się. – Ale nie myślisz chyba, że Amerykanie rzeczywiście próbowaliby uniemożliwić start.

Longin poprawił się w fotelu i wymownie wzruszył ramionami.

– Kto wie? – Na twarzy miał smutek. – Amerykanie są zdolni do wszystkiego. Ta ich źle skierowana energia... Są chyba bardziej jeszcze nieobliczalni niż Francuzi.

– Można by pomyśleć, że nigdy nie pomagaliśmy im w walce o niepodległość – rzucił z żalem Michał.

Longin potwierdził.

– Nigdy nam tego nie wybaczyli. Pomoc o wiele częściej spotyka się z niechęcią, niż z wdzięcznością. Są w stosunku do nas podejrzliwi, bo nas nie rozumieją.

– Sądziłbym, że mogliby bardziej obawiać się Federacji Rosyjskiej.

– Może zaczną – zgodził się Longin – kiedy Rosjanie urosną w siłę. Ale my niepokoiimy ich bardziej. Zgodnie z ich filozofią nasz ustrój powinien być runąć sto lat temu.

Westchnął.

– Ich ambasador udaje, że rozumie, ale, oczywiście, tak nie jest. Próbowałem mu wytłumaczyć. „Wybieracie prezydenta”, mówiłem, „a my wybieramy króla”. A on na to – „ale jak można dawać władzę absolutną komuś nowemu co pięć lat?”. Ja wówczas zadałem jemu to samo pytanie i on, oczywiście, obdarzył mnie spojrzeniem pełnym politowania, typowym dla nich wszystkich, kiedy porusza się ten temat. Upierał się, że prezydent amerykański nie ma nawet w przybliżeniu podobnej władzy. Więc zacząłem wymieniać przykłady z historii, a on nadał się i zaperzył.

– Ale on może nam naprawdę zaszkodzić, i dlatego musisz pójść i przekonać tę dziewczynę, że jej taśmy są bez wartości. Tyle trudu włożyliśmy w ten urodzinowy prezent dla króla, że absolutnie nie możemy pozwolić, aby zniweczyło go szaleństwo jakiejś niedowarzonej dziewczyny. Moglibyśmy załatwić to w sposób inny, mniej formalny, ale to nie byłoby w naszym stylu. Gdybyśmy tak zrobili, pokrywałoby się to całkowicie z jej wyobrażeniami o nas.

Jan rozłożył ręce.

– Kolonizacja Marsa! Rzeczywiście! Ale dlaczego ja? Dlaczego nie ktoś z Ministerstwa Obrony?

– Ty ją znasz, Michale. Przyjaźnicie się. Żadna z jej wypowiedzi nie dotyczyła ciebie. Wiemy, bo nagraliśmy je. Albo ona uważa, że ty nie jesteś w to zamieszany, co nie wydaje się prawdopodobne, albo raczej nie chce cię w to wplątywać.

– Niech pan zrozumie – Michał aż skurczył się w sobie. – Jestem inżynierem. Mam narzeczoną i... po prostu nie mam zamiaru uwodzić jakiejś pomyłonej nastolatki.

– Nie wymagamy od ciebie aż takich rzeczy, Michale. Oczywiście – wymamrotał kanclerz – gdyby wytworzyła się atmosfera nieco mniej oficjalna, nie byłoby to...

– Dobrze już, dobrze. Pomówię z nią. Ale, zaznaczam, robię to tylko dla dobra sprawy, i dla króla, oczywiście.

– Naturalnie.

– Jak mam ją przekonać, że nasza operacja nie ma nic wspólnego z Marsem? Nie mogę ujawnić jej tajnych akt.

– Nie, nie możesz. Musisz wyjaśnić jej, że Rzeczpospolita rozpoczęła badania przestrzeni kosmicznej dla dobra całej ludzkości i tą zasadą zamierza kierować się również przy obecnej operacji. Jesteśmy tak potężni, że nie musimy uciekać się do posunięć, o które nas posądza.

Po prostu powiedz jej prawdę, Michale. W sposób zawoalowany, oczywiście. Możesz się uważać za szczęściarza. Masz tylko przekonać jedną rozhisteryzowaną dziewczynę, podczas gdy ja muszę się użerać z Hartfordem, który ma wysokie ciśnienie i bandę zakutych łbów wokół siebie. Zamieniłbym się z tobą w każdej chwili.

Michał westchnął.

– Kiedy mam się z nią spotkać i gdzie?

– Zaaranżujemy coś na terenie ambasady amerykańskiej – powiedział Longin, i dorzucił z niesmakiem: – Jest przekonana, że zaarrestowano by ją przy pierwszej próbie wyjścia stamtąd. Czy ona myśli, że Warszawa to Chicago?

*

Zgodnie z planem, czekała na niego przy basenie w ogrodzie ambasady. Stojący przy wejściu żołnierz o byczym karku obrzucił go wrogim spojrzeniem, ale w końcu wpuścił. Jak sobie tego życzył, była sama.

Z pewnością była cała naszpikowana urządzeniami podsłuchowymi, a jego najprawdopodobniej obserwowało pół tuzina strzelców wyborowych.

Czuł mrowienie w karku. Nie czuł się dobrze w tego rodzaju sytuacjach.

Nie przejmował się zbytnio tym, co dziewczyna ma w zanadrzu, bo po wewnętrznej stronie marynarki miał ekwipunek elektronicznie zakłócający podsłuch. Miał nadzieję, że podsłuchujący nie będą się wtrącać, licząc, że Dana zda im później relację.

Była mała, jasnowłosa, ładna, cicha – była ostatnią osobą na świecie, którą podejrzewałby o dobrowolne męczeństwo.

– Cześć, Dana – powiedział łagodnie. W jej głosie, oczach, w jej postawie było wyzwanie. Nie znał wcale tej dziewczyny. Longin się mylił.

– Pan Jan? – Nie „Michał”, jak w biurze, ale „pan”. Prowokowała go. W porządku. Jej polski, mimo dziwnego akcentu, był lepszy od jego angielszczyzny. Pochodziła z miasta Syracuse. Zapamiętał to, bo ciągle myliło mu się z greckimi Syrakuzami.

W skazał na mostek przerzucony przez sadzawkę i skierowali się w tamtą stronę. Zmarszczki na wodzie odbijały się w otaczających ich szklanych ścianach budynku. Ależ ci Amerykanie kochali

szkło!

– Dana, kocham cię.

Potknęła się i wyraz jej twarzy zmienił się całkowicie. Przynajmniej udało mu się wytrącić ją z równowagi.

– Ma pan dziwne poczucie humoru.

– „Michale”, proszę. Nie jestem jeszcze tak stary, żeby zwracać się do mnie „per pan”.

– Michale, jeśli wolisz. Nie wierzę... nie, poczekaj – uśmiechnęła się sarkastycznie – oczywiście że mnie kochasz. Kochasz również Marcellę, Joannę, Danamę i wszystkie pozostałe dziewczyny w biurze. Kochasz wszystkich.

– Tak, właśnie tak. I wszyscy uważają Polaków za wariatów dlatego tylko, że kochają wszystkich. To nam przysparza tylu kłopotów.

– Niemców nie kochaliście – przypomniała.

Wzruszył ramionami.

– A co mieliśmy robić? Nikt poza nami nie był przygotowany do czynnego przeciwstawienia się maniakowi. Na szczęście, Niemcy pierwsi wypowiedzieli nam wojnę. Wy nie musieliście z nikim walczyć. Po co się skarżyć? Nie sprawiło nam to przyjemności. Nie uznajemy wojen.

Spojrzała na niego wyzywająco, ale, jak mu się wydawało, trochę mniej wrogo.

– Zupełnie niepotrzebnie to wyolbrzymiacie. To był po prostu jeszcze jeden mały despota.

– Jeszcze jeden mały despota! – oburzył się Michał. Czytał książkę owego szaleńca. Na szczęście Król Jampolski XIX dostatecznie wcześniej rozpoznał niebezpieczeństwo i zdążył zgromadzić odpowiednie siły. Francuzi, Anglicy, Amerykanie i inni nie kwapili się do walki, mimo iż zamiary szaleńca były bardzo wyraźne.

Sześć długich miesięcy wojny. Wariat został unieszkodliwiony. Niemcy stały się monarchią demokratyczną wzorowaną na Rzeczypospolitej, a głośny bohater tej wojny – jak on się nazywał – Goering – został królem. Od tamtej pory Niemcy zachowują się spokojnie.

Chociaż to właśnie wzorowanie się Niemców na naszym ustroju tak strasznie rozdrażniło Amerykanów. Ale Niemcy mieli do wyboru wszelkie możliwe formy rządów... i wybrali najlepszą.

– Dana, sadzę, że wiem, skąd się wziął twój zły humor. Ktoś z zewnątrz może fałszywie rozumieć rozmaite informacje, dotyczące ładunku tamtych statków. Ale co do Marsa, zapewniam cię, że się mylisz.

– Nie.

Rozkapryszone dziecko. Typowy amerykański kompleks młodzieżowego mesjasza. Wbił w nią wzrok i starał się, aby to, co mówił, brzmiało przekonująco.

– Przysięgam na mój honor, Dano, że jutrzejsza uroczystość nie ma nic wspólnego z próbą zagarnięcia jakiejś planety lub Księżyca, czy też tworzeniem tam jakichkolwiek baz wojskowych. Nie zrobiliśmy tego na Lunie, dlaczego mielibyśmy zrobić to na Marsie? Jestem po prostu inżynierem, Dano. Nie jestem absolutnie związany z żadną organizacją typu CIA. Dlaczego mi nie wierzysz, kiedy ci przysięgam, że jedyne, na czym nam zależy, to pokój na całym świecie! W obecnej sytuacji, kiedy Japończycy, Brazylijczycy i Unia Semicka dysponują bronią termonuklearną! Czy nie rozumiesz? Polska już od trzech stuleci ma najtrwalszy ustrój na świecie. Dlaczego mielibyśmy niszczyć cały nasz dotychczasowy dorobek robiąc sobie wrogów z Amerykanów czy Rosjan?

– Jak wy możecie żyć w takiej tyranii? – zawołała w podnieceniu. – Monarchia to przestarzała, archaiczna i despotyczna forma rządów. Żadne inne mocarstwo nie ma króla czy królowej.

– I żadne inne państwo świata nie dorównuje potęgą Rzeczypospolitej – z tej samej przyczyny. Cóż może być złego w „tyranii” zapewniającej swym obywatelom najwyższy standard życiowy na

świecie? Tak, mamy prawdziwego króla, sprawującego władzę absolutną. Przez pięć lat. A potem wybieramy nowego króla lub królową spośród książąt i szlachty. To jest dobry system. Jedyne takie wytłumaczenie jestem w stanie ci podać.

– Ten wasz system lada dzień runie – upierała się – i wówczas, być może, będziecie mieli prawdziwą demokrację!

– Dobry Boże, nie! Wszystko, tylko nie to! „Prawdziwa demokracja” w waszym wydaniu? Ze sparaliżowaną władzą ustawodawczą, skorumpowaną administracją i opieszałym wymiarem sprawiedliwości? Nasze osiągnięcia zawdzięczamy unikaniu waszych błędów. Dam ci jeden przykład: aby zmienić system telewizyjny Rzeczypospolitej na trójwymiarowy, król podpisał proklamację. W wiele lat po tym u was nadal trwają dyskusje, komu przysługują jakie prawa. A my od 230 lat nie musieliśmy uciekać się do ostatniej instancji, jaką jest Stowarzyszenie Zabójców.

Nie rozumiała. Oni nigdy nie zrozumieją – pomyślał ze smutkiem. Monarchia elekcyjna była niemożliwa i dlatego nie mogła istnieć. Polacy się tym nie przejmowali.

– Posłuchaj, Dana, nie utrudniaj tego startu. Nie winię cię za mylną interpretację danych, jakie znalazłaś. Tak naprawdę, to nie wiesz, co one znaczą, czy nie mam racji?

Popatrzyła na kotka, bawiącego się u jej stóp.

– No, niezupełnie, ale są tam rozkazy, dotyczące...

– Przypuśćmy – westchnął – że zgodzę się poddać testowi na wykrywaczu kłamstw? Na własną prośbę, tu, na miejscu, na jednym z waszych aparatów? Czy to by cię zadowoliło? – Longinowi na pewno by się to nie spodobało, ale Michał naprawdę nie potrafił już niczego innego wymyślić. Jeśli to się nie uda, Longin będzie mógł winić tylko siebie samego. Powiedział mu przecież wyraźnie, że jest tylko inżynierem.

Wydawała się wahać.

– Naprawdę zrobiłbyś to?

– Nawet w tej chwili, jeżeli chcesz.

– No tak, sądzę, że to załatwiłoby sprawę. – Była zmieszana.

– Te dane dotyczące paliwa. Byłam pewna...

– Chyba każdy na twoim miejscu tak by to odczytał. – Otoczył ją ramieniem. – Chodźmy przeprowadzić ten test.

*

Jednoczesny start zakończył się pełnym powodzeniem. Król był zadowolony, Longin był zadowolony, wszyscy związani z Planem Polskim byli zadowoleni.

W dwa tygodnie później na biurku Michała rozległ się brzęczyk telefonu. Jego sekretarka poinformowała go zbolalym głosem, że jakaś rozhisteryzowana kobieta w holu wykrzykiwała obelgi pod jego adresem.

– Miała przy sobie broń, ale wykryto to przy wejściu i została zatrzymana przez ludzi z ochrony – Jak ona wygląda? – Dobrze wiedział jak, i sekretarka potwierdziła jego podejrzenia.

– Policja pyta, czy chce pan z nią porozmawiać, zanim zostanie stąd zabrana?

– Sądzę, że powinienem. Pani może powiadomić odpowiednie władze, aby podjęto kroki w związku z jej deportacją. Jej miejsce jest gdzie indziej. Ona jest... zdezorientowana. Ale, tak, zobaczę się z nią.

Grupka gapiów otaczała posterunek przy wejściu do ośrodka. Michał pomachał w tamtą stronę z irytacją.

– Przeszło stu ludzi na orbicie jest całkowicie zależnych od nas, tu, w ośrodku. Proszę natychmiast wracać do pracy!

Tłum rozpadł się jak nieświeży budyń, kierując się w stronę swych pulpitów i biur.

W pokoju dwóch rosnących osobników przytrzymała Danę Canning. Miała dzikie spojrzenie i włosy w nieładzie. Zniknęły bez śladu wszystkie oznaki niewinności, które kiedyś tak lubił.

– Ty! Okłamałeś mnie, ty cholerny...

– Nie okłamałem cię, Dano.

– Okłamałeś mnie w sprawie związanej ze startem.

– A wykrywacz kłamstw? Czy stwierdzono, że kłamię?

– Ty... ty dałeś wykrętną odpowiedź! – Chciała go kopnąć, ale w porę się odsunął. Strażnicy wzmocnili uścisk.

– Tego pytania nie zadaliście mi w ogóle. Gdybyście zadali, nie mógłbym odpowiedzieć.

Zdecydowałem się iść na pewne ryzyko.

Spojrzała na niego z gorzkim grymasem – Stacja orbitalna. Wyrzutnia rakiet dająca kontrolę nad wszystkimi ośrodkami jądrowymi i wyrzutniami na Ziemi!

– Cele tej stacji są przede wszystkim handlowe i naukowe – powiedział spokojnie – ale prawdą jest, że stacja posiada pewne przystosowanie do celów wojskowych...

Wybuchnęła śmiechem. Nie było w nim ani cienia wesołości.

– Pewne przystosowanie! Zgodnie z uzyskanymi przeze mnie informacjami umieściliście tam głowice nuklearne w ilości wystarczającej, aby zmieść z powierzchni Ziemi dowolne państwo, zanim zdoła ono przypuścić atak uprzedzający.

– A, tu cię mam – wtrącił. – Dla Polaka samo pojęcie „atak uprzedzający” jest czymś wywołującym mdłości. Czy nie rozumiesz? Wobec rozprzestrzenienia broni nuklearnej na świecie, ktoś musiał wystąpić i powiedzieć: „Nie wygłupiajcie się z tą nową zabawką, bo dostaniecie klapsa!” Król i Rada Najwyższa, aczkolwiek niechętnie, postanowili, że musimy wziąć ten obowiązek na siebie. Jesteśmy obecnie zbyt blisko gwiazd, Dano, żeby ryzykować powrót do dawnego pełzania. Polska nie wypowiedziała wojny żadnemu państwu już od wielu stuleci. Nie można tego powiedzieć o żadnym innym mocarstwie – również waszym. Niebezpieczna próżnia została zapełniona.

– Stara śpiewka – parsknęła. – Każdemu chodzi tylko „o dobro ludzkości”. Hasło każdego zdobywcy od czasów egipskich. Dlaczego wy mielibyście być inni?

Potrząsnął głową. Ona nigdy tego nie pojmie, nigdy nie zrozumie. Tak jak nie pojmą Chińczycy, Amerykanie czy Kenijczycy. Nigdy nie zrozumieją, zawsze będą zazdrościć i nic nie można na to poradzić – nic – tylko robić swoje.

Odwrócił się, zamknął za sobą drzwi, odgradzając się od jej wrzasków i wyzwisk.

To było coś, co nie dawało się wytłumaczyć, coś w samych ludziach, o czym chciał ją przekonać. Przyczyna, dla której właśnie Polska była najpotężniejszym państwem na Ziemi, dlaczego żadne inne państwo nie mogło nawet marzyć o dorównaniu Rzeczypospolitej.

Polacy byli łagodnymi ludźmi...

O autorze

Alan Dean Foster (ur. 1946) amerykański pisarz science fiction, który dotąd nie miał szczęścia do przekładów na język polski. Jego najbardziej znana seria SF, Humanx Commonwealth została rozpoczęta przez wydawnictwo Alfa, ale niedokończona. Podobny los spotkał serię fantasy Spellsinger (Rebis) czy Dinotopię (Amber).

Międzynarodową sławę przyniosły mu powieści napisane dla Lucasa, do serii Gwiezdných wojen. Tu Foster odkrył swoje powołanie, jest autorem kilkunastu literackich przeróbek scenariuszy, m. in. Star Trek, Czarna gwiazda, Terminator, Gwiezdny przybysz, Rzecz, Kroniki Riddicka i inne.

Wszystkie te zasługi bledną jednak przy zaprezentowanym w tym tomie opowiadaniu, jedynym w dziejach fantastyki opowiadaniu zachodniego autora, w którym pozytywnymi bohaterami są Polacy.

DAN SIMMONS

Umrzeć w Bangkoku

Dan Simmons to pisarz wszechstronny. Dobrze czuje się w każdym podgatunku fantastyki, nie unika też tematów trudnych. To przykład pisarza, który poza fabułą ma coś do przekazania czytelnikowi.

„Umrzeć w Bangkoku” to opowiadanie bardzo sugestywne i raczej w klimacie grozy niż SF, niesie w sobie dość ostre opisy i sięga po dalekowschodnie wątki. Opowiadanie powstało w chwili największej paniki wywołanej Aids, dokładnie w tym samym roku powstał słynny film „Filadelfia”. I pokazuje, że fantastyka reaguje na społeczne trendy czy fobie.

Simmons nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał tematu w pokrętny i zaskakujący sposób. Tekst otrzymał nagrodę Brama Stokera, był też nominowany do World Fantasy.

Umrzeć w Bangkoku

Jest późna wiosna 1992 roku; lecę z powrotem do Azji, opuszczając jedno Miasto Aniołów, które właśnie przepędziło złe duchy podczas orgii plądrowania i pożarów i przybywam do drugiego, gdzie krwawe demony zbierają się na horyzoncie jak ciemne monsunowe chmury. Moje rodzinne Los Angeles pograżyło się w szaleństwie szabrownictwa i pożarów miesiąc wcześniej; Bangkok, znany tutaj jako *Krung Thep*, czyli właśnie „Miasto Aniołów”, przygotowuje się do mordowania własnych dzieci pod Pomnikiem Demokracji.

Wszystko to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Mam własne krwawe porachunki do załatwienia.

W chwili gdy wychodzę z klimatyzowanych schronów terminala Międzynarodowego Portu Lotniczego Don Muang w Bangkoku wszystko powraca: upał, ponad czterdzieści stopni, wilgotność tak wysoka, że powietrze jest bliskie zmienienia się w ciecz, odór tlenku węgla, zanieczyszczeń przemysłowych i otwartej kanalizacji, z której korzysta dziesięć milionów ludzi, co sprawia, że powietrze jest jak koktajl tak gęsty, że prawie można go pić. Odór, upał, wilgotność i ostre, tropikalne słońce powodują, że oddychanie to ciężki fizyczny wysiłek, jakby ktoś próbował wdychać tlen przez gęsty koc nasączony naftą. A lotnisko jest dwadzieścia pięć *kilosów* od centrum miasta.

Czuję, jak drzę, ale wiem, że hartuję się tylko dlatego, że tu jestem.

– Doktor Merrick?

Kiwam głową. Żółty mercedes z logo The Oriental Hotel czeka na mnie. Odziany w liberię kierowca próbuje prowadzić niezobowiązującą konwersację podczas dziewięćdziesięciminutowej jazdy, aż w końcu zauważa, że nie mam na to ochoty. Zapada ponure milczenie, a ja wsłuchuję się w szum klimatyzacji i koncentruję na oglądaniu Bangkoku, który rozwija się przed moimi oczami jak płatki kwiatu z betonu i stali.

Dziś nie da się tak wjechać do Bangkoku, żeby zobaczyć piękny widok, chyba że płynąc łodzią *sampan* w górę rzeki, do samego serca miasta. Dojazd do starej części miasta to najzwyczajniejsze kapitalistyczne szaleństwo; korki uliczne, azjatyckie pałace, które są w rzeczywistości centrami handlowymi, gęsta, industrialna zabudowa, estakady nowo wybudowanych autostrad, żelbetowe wysokościowce, wielkie tablice reklamujące japońską elektronikę, ryk motocykli i wszędzie towarzyszące pracom budowlanym błyski łuków spawalniczych i łoskot wiertarek udarowych. Jak to bywa w przypadku wszystkich azjatyckich metropolii, Bangkok rozdziiera się na strzępy i odbudowuje co dzień w krzątaniu tak szaleńczej, że zachodnie miasta, jak Nowy Jork, wyglądają przy nim na niezmiennie niczym piramidy.

David, mój kierowca, podejmuje ostatnią próbę zaoferowania mi porad turystycznych i sprzedania mi własnych usług w charakterze kierowcy podczas mojego pobytu w The Oriental, i nagle jesteśmy już w centrum miasta, pędząc trzypasmową Silom Road wśród dwusuwowego wycia *tuk-tuków* i jeszcze bardziej agresywnego huku motocykli Suzuki.

Silom Road jest pełna ludzi, ale w porównaniu z godzinami szczytu, kiedy to przewala się tu szalony tłum, wygląda na nieomal pustą i uśpioną. Patrząc na zegarek. W Los Angeles jest ósma wieczorem w piątek; tu, w Bangkoku, jest jedenasta w południe w sobotę. Silom Road odpoczywa, czekając na wieczorne rozgorączkowanie, które sączy się z Patpongu jak odór suki w rui. Jeszcze jeden skręt w bezbarwną *soi*, boczną uliczkę, i zwalniając wjeżdżamy na główny podjazd The Oriental Hotel. Kolejni mężczyźni w uniformach pędzą, by otworzyć drzwi mercedesa.

Pokonuję jakieś dziesięć metrów podjazdem w stronę klimatyzowanego wnętrza hotelu i czuję ten zapach. Przez unoszący się w powietrzu smog i odór rzeki płynącej tuż za hotelem, przez ciężkie miazmaty będące mieszaniną smrodu ludzkich nieczystości i zapachu kwiatów hibiskusa rosnących tuż obok hotelowego podjazdu, przez tlenek węgla snujący się jak niewidzialna mgła, dopada mnie ta woń: natrętny zapach przypominający delikatną mieszankę egzotycznych perfum z ostrym jak Clorox zapachem nasienia i miedzianym posmakiem krwi.

Chcę jak najszybciej mieć za sobą uprzejme powitania i obsługę zgiętą w ceremonialnym pokłonie *wai* oraz rytuał meldowania się w najpiękniejszym hotelu świata; chcę tylko dotrzeć do swego pokoju, wziąć prysznic i udawać, że śpię, leżąc i patrząc na sufit z tekowego drewna i gipsu, aż światło słońca zblednie i zacznie się noc. Ciemność sprawi, że to Miasto Aniołów ożyje: albo przynajmniej wprawi jego zwłoki w powolne, erotyczne ruchy.

Kiedy już na dobre się ściemnia, wkładam ubranie przeznaczone do chodzenia po ulicach Bangkoku i ruszam w noc.

*

Po raz pierwszy zobaczyłem Bangkok prawie dokładnie dwadzieścia dwa lata wcześniej, w maju 1970 roku. Tres i ja wybraliśmy Bangkok na miejsce naszego siedmiodniowego urlopu; w wojsku nazywano to oficjalnie R&R, rozrywką i rekreacją, choć w rzeczywistości większość szwejków używała określenia D&D: dupy i dragi. Żonaci oficerowie latali na Hawaje, by spędzić parę dni z żonami, ale całej reszcie wojsko oferowało szwedzki bufet w różnych miejscach, od Tokio po Sydney. Wielu z nas wybierało Bangkok z czterech powodów: 1) łatwo było tam dotrzeć i sama podróż trwała krótko; 2) tani seks; 3) tani seks oraz; 4) tani seks.

Prawdę mówiąc, Tres i ja wybraliśmy Bangkok z innych powodów, a ja zufałem jego opinii, dokładnie tak samo jak podczas DPZ: długodystansowego patrolu zwiadowczego. Tres – Robert William Tindale III – był zaledwie o rok starszy ode mnie, ale był wyższy, silniejszy, mądrzejszy i zdecydowanie lepiej wykształcony. Na przedostatnim roku wyleciałem z koledżu na Środkowym Zachodzie i przez rok zbijałem baki, aż upomniało się o mnie wojsko. On skończył Kenyon College z wyróżnieniem i wstąpił do piechoty zamiast iść na studia.

Ksywa Tresa pochodziła od hiszpańskiego słowa oznaczającego „trzy” i wymawiała się ją jako „trei”. Większość szwejków w plutonie miała jakieś ksywy; ja zarobiłem przydomek „Kutas” z powodu ciężkiego radiotelefonu KTS-25, który taszczyłem podczas mojej krótkiej służby w charakterze radiooperatora – ale Tres pojawił się u nas już z gotową ksywą. Ktoś zajrzał w jego papiery i nim upłynął pierwszy tydzień jego pobytu tutaj, wszyscy z niedowierzaniem potrząsali głowami nad faktem, że z całym jego wykształceniem i umiejętnością pisania na maszynie, atrybutami, które zwykle wystarczały, żeby nawet z poboru wylądować jako szczęśliwy SNT – Skurwiel na Tyłach – Tres *zaciągnął się jako piechur do okopów*.

Tak czy inaczej, Tres interesował się żywo kulturami Azji i był dobry z języków. Był jedynym szwejkem w kompanii, który naprawdę potrafił mówić po wietnamsku. Większości z nas wydawało się, że *beacoup* to wietnamskie słowo i uważało się za niezłych spryciarzy znając *didi-mau* i potrafiąc wypowiedzieć pół tuzina innych zniekształconych lokalnych zwrotów. Tres *mówił* po wietnamsku, ale starał się ukrywać ten fakt przed wszystkimi poza własnym porucznikiem. „Nie pozwolę, żeby zrobili ze mnie maszynistkę albo oficera”, mawiał czasem. „Chybaby mnie szlag trafił, gdyby mnie wrobili w bycie śledczym”.

Tres nigdy nie chodził na kursy tajskiego, ale szybko się uczył.

– Wystarczy, jak mi powiesz, jak jest po tajsku „robić loda” – powiedziałem mu podczas lotu MAC-em z Sajgonu do Bangkoku.

– Nie wiem – odparł Tres. – Ale „robić komuś dobrze ręką” to *shak wao*.

– Jaja sobie robisz – mruknąłem.

– Nie robię – czytał książkę i nie oderwał nawet od niej wzroku. – To znaczy „ciągnąć za sznurek latawca”.

Przez jakąś minutę nie mogłem opędzić się od obrazu tej czynności. Samolot zniżał lot i pędził wśród chmur w stronę Bangkoku.

– Ja tam wolę zostać przy robieniu loda – oznajmiłem. Nie miałem jeszcze nawet dwudziestu lat i tylko raz zaliczyłem seks oralny, z dziewczyną z koledżu, która też tego nigdy nie próbowała. Ale aż kipiałem hormonami i zgrywałem macho; podłapałem to od kolegów z plutonu, no i trząsałem się od adrenaliny – wreszcie czułem, że żyję, po sześciu miesiącach spędzonych na zadupiu. – Zdecydowanie wolę loda.

Tres mruknął coś i czytał dalej. Była to zakurzona książka o tajskich zwyczajach, albo mitologii czy religii, czymś takim. Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym wtedy wiedział, o czym on czyta i dlaczego chciał lecieć akurat do Bangkoku, pewnie nawet nie wyszedłbym z samolotu.

*

Pokojowy z piętra, odźwierny przy windzie, recepcjonista i odźwierni przy głównym wejściu nawet nie mrugają na mój widok, choć mam na sobie pomięte sportowe spodnie i poplamioną kamizelkę, jaką noszą fotografowie. Za 350 dolarów amerykańskich za noc goście mogą paradować, w czym tylko chcą, kiedy wychodzą na miasto. Tylko recepcjonista podchodzi do mnie, kiedy zamierzam opuścić klimatyzowane schronienie hotelu.

– Panie doktorze – odzywa się – czy jest pan świadom... hm... niepokojów, z jakimi mamy teraz do czynienia w Bangkoku?

Kiwam głową.

– Rozruchy studenckie? Zamieszki z udziałem wojska? Recepcjonista kiwa głową i uśmiecha się lekko; widać, że jest wdzięczny: nie musi tłumaczyć *farangowi* czegoś, co uważa za krępujące.

– Tak, proszę pana. Wspominam o tym tylko dlatego, że choć niebezpiecznie było raczej wokół uniwersytetu i Wielkiego Pałacu... coś się także działo na Silom Road.

Ponownie kiwam głową.

– Ale nie wprowadzono jeszcze godziny policyjnej – mówię.

– Dzielnica Patpong jest nadal otwarta.

Recepcjonista uśmiecha się, a w tym uśmiechu nie ma ani cienia lubieżności.

– Tak, proszę pana. Patpong i kluby nocne są nadal otwarte. To miasto jest bardzo otwarte.

Dziękuję mu i wychodzę, ignorując drobnych biznesmenów tłoczących się tuż przy hotelowym podjeździe i próbujących wcisnąć mi przejażdżki łodzią, usługi taksówkowe czy „dobrą nocną zabawę”. Jest ciemno, ale upał jeszcze nie zelżał, a hałas wytwarzany przez ruch uliczny na *soi* jest jeszcze głośniejszy. Skręcam w lewo w Silom Road i maszeruję w kierunku Patpongu przez rozpychające się łokciami chmary ludzi.

Nietrudno poznać, że dotarłem do celu; wąskie uliczki łączące Silom Road i Suriwong Road są pełne tandetnych neonowych napisów: CUDOWNY MASAŻ, MNÓSTWO CIPEK, BABY GO-GO, SEX SHOW NA ŻYWO SUPERLASKI, CIPKI NA ŻYWO! i wielu innych. Uliczki Patpongu są tak wąskie, że mogą się po nich przemieszczać tylko piesi, ale ryk i trąbienie trójkołowych *tuk-tuków* tworzą stałe tło dla rockandrolowej muzyki wylewającej się z umieszczonych przy drzwiach głośników.

Młodzi mężczyźni i kobiety – w androgynicznej Tajlandii czasem trudno rozpoznać płeć – zaczynają szarpać mnie za rękawy i zapraszać gestem w stronę drzwi, gdy tylko skręcam w uliczkę o

nazwie Patpong One.

– Hej, panie, najlepszy show na żywo, najlepszy show z cipkami...

– Panie, tędy, najładniejsze dziewczynki, najlepsze ceny...

– Chce pan ładną ogoloną cipkę? Ładną laskę?

– Chce pan dziewczyny? Nie? Chce pan chłopców?

Idę dalej, ignorując szarpanie za rękaw. Ostatnia propozycja pada, gdy wkraczam w uliczkę o nazwie Patpong Two. Dzielnica uciech dzieli się na trzy strefy: Patpong One obsługuje hetero, Patpong Two zarówno hetero, jak i homo, a Patpong Three tylko homo. Przy Patpong Two większość oferty jest nadal skierowana do hetero, ale z wielu barów uśmiechają się zarówno chłopcy, jak i dziewczyny

Zatrzymuję się przed barem o nazwie CIPKOWE DELIKATESY. Jednoręki mężczyzna, którego twarz w świetle reflektorów wygląda na niebieską, podchodzi do mnie i wręcza długą, plastikową kartę.

– Cipkowe menu? – pyta głosem przywołującym obraz *maitre d’hotel* z ekskluzywnego lokalu.

Biorę brudną plastikową kartę i przyglądam się jej:

CIPKA Z BANANAMI

CIPKA Z COLĄ

CIPKA Z PAŁECZKAMI

CIPKA Z ŻYLETKAMI

CIPKA Z PAPIEROSEM

Kiwam głową i ruszam w stronę wejścia do hałaśliwego klubu nocnego. Jednoręki *maitre* rzuca się w moim kierunku i zabiera mi kartę.

Klub jest mały i zadymiony; prymitywną kwadratową scenę oddzielono czterema barierkami. Na scenie jest dziewczyna, która wygląda, jakby miała najwyżej szesnaście lat. Jest wygięta w łuk tak, że czubek jej głowy prawie dotyka szorstkich desek sceny, opiera się na rękach i nogach tak, iż wygląda jak krab. Jest naga i ma ogolone krocze. Kolorowe światła przebijają się przez dym i oświetlają ją jak delikatne lasery. Środek sceny to obrotowa platforma; dziewczyna stoi nieruchomo, ale jej ciało obraca się, by każdy mógł zobaczyć jej obnażone genitalia. Między jej wargami sromowymi tkwi zapalony papieros. Gdy platforma obraca się, a jej krocze zostaje zwrócone w stronę kolejnych części baru, między jej nogami pojawiają się kłęby dymu. Czasem ktoś z pijanych gości klaszcze.

Większość mężczyzn w barze to Tajowie, ale jest też sporo *farangów*: butni Niemcy w uniformach barwy khaki, z przylizanymi włosami; Brytole poświęcający więcej uwagi drinkom niż dziewczynie na scenie, marszczący czasem czoło Chińczycy z Hongkongu, mrużący oczy ukryte za okularami, i kilku grubych Amerykanów z wytrzeszczonymi oczami, siedzących nad nietkniętymi drinkami. Nie ma żadnych Japończyków; na wschód od Patpongu ciągnie się ekskluzywny obszar, gdzie Japończycy prowadzą miejsca, w których ich rodacy spędzają sekswakacje. Nigdy nie widziałem tej ulicy, ale słyszałem, że jest czysta jak tokijska Ginza, ochroniarze nikogo przypadkowego tam nie wpuszczają, a dziewczyny obsługujące Japończyków muszą co tydzień robić test na HIV. Tak czy inaczej, Japończyków tu dziś nie ma.

Podchodzę do środkowej części baru i siadam na wolnym krześle. Odwrócona twarz dziewczyny przesuwa się metr ode mnie. Oczy ma otwarte, lecz zamglone. Jej małe piersi wyglądają na niewiele większe od obrządków. Mogę policzyć jej żebra.

Barman wsuwa się w wąską przestrzeń między sceną a barem i zamawiam zimne piwo Singha; lokalne piwo kosztuje tu o pięćdziesiąt bahtów więcej niż w zwykłym barze, ale to i tak najtańsza

pozycja w menu. Szklanka i puszka z piwem pojawiają się przede mną i w tej samej chwili młoda Tajka ociera się o mnie; jej lewa pierś dotyka mojego nagiego przedramienia przez cienką bawełnianą koszulkę na ramiączkach. Choć wcale nie jest starsza od dziewczyny, której narządy płciowe przesuwają się znów koło nas, wygląda na starszą z powodu ciężkiego makijażu, który świeci się trupimi kolorami w zmieniającym się błękitnym świetle.

Mówi coś do mnie, ale łomot rock and rolla jest tak głośny, że muszę się przysunąć do niej, by powtórzyła, co mówi. Jej piersi naciskają mocno na moje ramię.

– Jestem Nok – powtarza, tym razem prawie krzyżąc. – Jak masz na imię?

Jest tak blisko mnie, że przez papierosowy dym czuję jej słodki zapach: talk i pot. Tajowie to jeden z najczystszych narodów świata, kąpią się kilka razy dziennie.

Ignoruję jej pytanie.

– Nok... to znaczy ptak – mówię. – Jesteś ptakiem, Nok?

Otwiera szeroko oczy.

– Mówisz po tajsku? – pyta w swoim języku.

Nie daję po sobie poznać, że rozumiem.

– Jesteś ptakiem, Nok? – powtarzam pytanie.

Wzdycha i odpowiada po angielsku.

– Tak, jestem ptakiem, który chce pić. Postawisz mi drinka?

Kiwam głową i ułamek sekundy później pojawia się barman.

Nalewa jej najdroższą „whiskey” w lokalu, oczywiście składającą się w 98% z herbaty.

– Jesteś ze Stanów? – pyta, a w jej oczach pojawia się odrobina ożywienia. – Podobają mi się Stany.

Odgarniam jej długie włosy z czoła i pociągam łyk piwa.

– Skoro jesteś ptakiem – pytam – to czy jesteś *khai long*?

To określenie oznacza „małego, zagubionego kurczaczka” i często używa się go w stosunku do dziewcząt pracujących na ulicach Bangkoku.

Nok odsuwa się gwałtownie i zaplata ręce na piersi, jakbym ją uderzył. Próbuje się odwrócić, ale chwytam ją za smukłe ramię i przyciągam do siebie.

– Dopij whiskey – mówię.

Nok robi nadąsaną minę, ale siorbie herbatę. Bezwłosy wzgórek łonowy jej koleżanki przesuwa się znów koło nas; widzimy, że papieros wypalił się już tak, iż żar sięga odsłoniętych warg sromowych. Sącząc piwo zastanawiam się – nie po raz pierwszy – jak ludzkie istoty potrafią uczynić najbardziej intymny widok najbardziej groteskowym. W ostatniej sekundzie, gdy papieros zacząłby ją parzyć, dziewczyna sięga po niego, zaciąga się tym razem właściwymi wargami, rzuca niedopałek między scenę a bar i wyplątuje się ze swojej asany. Zaledwie jeden czy dwóch mężczyzn przy barze klaszcze. Dziewczyna oddala się od sceny, a na platformę wchodzi starsza Tajka, także naga; przykuca i pokazuje do światła cztery żyłki o podwójnym ostrzu.

Zwracam się znów do Nok.

– Przepraszam, jeśli uraziłem twoje uczucia – mówię. – Jesteś bardzo ładnym ptaszkiem. Zabawisz się dziś ze mną?

Nok uśmiecha się z wysiłkiem.

– Bardzo chętnie się z tobą zabawię. – Udaje, że marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiała. – Ale pan Diang... – kiwa głową w kierunku chudego Taja o farbowanych na czerwono włosach – będzie bardzo zły na Nok, jeśli Nok nie przepracuje całej zmiany. Jak chcesz się ze mną zabawić, musisz mu zapłacić.

Kiwam głową i wyciągam gruby zwitek bahtów, na które wymieniłem dolary na lotnisku.

– Rozumiem – mówię i odwijam cztery banknoty po pięćset bahtów... prawie osiemdziesiąt dolarów. Kiedyś nawet najdroższe dziwki w Bangkoku brały zaledwie dwieście albo trzysta bahtów, ale rząd wszystko popsuł wprowadzając banknot pięćsetbahtowy. Proszenie o resztę jest jakieś żenujące, więc teraz większość dziewczynek kasuje po pięćset za numerek plus kolejne pięćset dla swoich „panów Diangów”.

Patrzy w kierunku starszego mężczyzny o czerwonych włosach, a ten lekko kiwa głową. Nok uśmiecha się do mnie.

– Tak, znam miejsce, gdzie można się zabawić.

Cofam rękę z pieniędzmi.

– Pomyślałem, że może znajdziemy jeszcze kogoś, kto chce się z nami zabawić – przekrzykuję ryk rock’n’rolla. Kątem oka widzę, jak kobieta na scenie zaczyna sobie wkładać żyletki.

Nok krzywi się; wieczór w towarzystwie innych dziewczyn to mniejszy zarobek dla niej.

– *Sakha bue din* – mówi cicho.

Uśmiecham się z lekkim zdziwieniem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że najlepiej się zabawisz z samą Nok, która bardzo cię kocha – mówi, znów się uśmiechając.

W rzeczywistości ten zwrot to skrócona wersja wiejskiego powiedzonka z północy, które znaczy „Twój kutas leży na ziemi, a ja po nim depczę jak po wężu”. Uśmiecham się, doceniając jej uprzejmość.

– Te pieniądze będą oczywiście tylko dla ciebie – mówię, przesuwając dwa tysiące bahtów bliżej jej ręki. – Dostaniesz jeszcze więcej, jeśli znajdziemy właściwą dziewczynę.

Nok uśmiecha się teraz szerzej i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

– Masz na myśli jakąś konkretną? Kogoś, kogo znasz, czy mam szukać? Przyjaciółkę, która także cię kocha?

– Kogoś, o kim wiem – mówię i nabieram powietrza w płuca. – Słyszałaś o kobiecie imieniem Mara? Albo o jej córce, Tanhi?

Nok zastyga i przez sekundę *jest* ptakiem – przerażonym, pojmanym ptakiem. Próbuje się wyrwać, ale trzymam ją mocno.

– *Na!* – krzyczy głosem małej dziewczynki. – *Na, na...*

– Dam ci więcej pieniędzy... – zaczynam i przesuвам bahty w jej stronę.

– *Na!* – krzyczy Nok ze łzami w oczach.

Pan Diang wykonuje szybki krok do przodu i kiwa głową w stronę wielkiego Taja stojącego przy drzwiach. Obaj mężczyźni przedzierają się przez tłum w naszą stronę jak rekiny w płytkiej wodzie.

Puszczam ramię Nok, a ona ucieka w tłum. Wyciągam przed siebie obie ręce, spodami dłoni do góry, a pan Diang i jego wykidajło zatrzymują się pięć kroków przede mną. Stary mężczyzna o czerwonych włosach przechyla głowę, wskazując mi drzwi, a ja kiwam głową na zgodę.

Dopijam ostatni łyk piwa i wychodzę. Na mojej liście jest jeszcze kilka miejsc. Gdzieś czyjaś miłość do pieniędzy będzie silniejsza niż strach przed Marą.

Może.

*

Dwadzieścia dwa lata temu Patpong istniał, ale amerykańskiego mięsa armatniego nie było na niego stać. Rząd tajski i armia amerykańska dogadały się i stworzyły dzielnicę czerwonych latarni przy

New Petchburi Road, kawał drogi od bardziej eleganckiego Patpongu: tanie bary, tanie hoteliki i salony masażu.

Mieliśmy gdzieś, dokąd nas wysyłają, dopóki były tam dziwki, wóda i dragi. A tam było wszystko.

Tres i ja spędziliśmy pierwsze czterdzieści osiem godzin włączając się po barach i klubach. W rzeczywistości wcale nie musieliśmy wychodzić z naszego zawszonego hoteliku w poszukiwaniu dziewczek – w lobby snuło się ich kilkanaście – ale jakoś zjechanie windą na dół wydawało się zbyt łatwe. Jak strzelanie do jaskółek w stodole po oślepieniu ich lampą błyskową, powiedział Tres. Powędrowaliśmy więc Petchburi Road.

Pierwszego dnia i nocy naszego pobytu w Bangkoku odkryliśmy, czym są „bary bez rąk”. Jedzenie było tam obrzydliwe, a cena alkoholu wygórowana, ale zachwyciły nas dziewczęta, które nas karmiły i piły. Między podawaniem nam kolejnych kęsów i łyków gruchały, trzepotały rzęsami i przeciągały palcami o długich paznokciach po wewnętrznej stronie naszych ud. Trudno było to wszystko ogarnąć w obliczu faktu, że czterdzieści osiem godzin wcześniej uginaliśmy się pod ciężarem plecaków, gnając po czerwonej glinie pokrytych dżunglą zboczy doliny A Shau.

Pierwsze pół roku w Wietnamie wykraczało poza wszystko, co dotąd przeżyłem podczas mojego krótkiego pobytu na tej planecie. Nawet dziś, choć minęło już ponad czterdzieści lat, upał, przerażenie i wyczerpanie, z jakimi kojarzy mi się walka w dżungli, odcina się od wszystkiego innego, co mam w głowie.

Z wyjątkiem tego, co zdarzyło się w Bangkoku.

Tak czy inaczej, chlaliśmy i kurwiliśmy się po całej dzielnicy czerwonych latarni przez dwa dni. Tres i ja zamieszkaliśmy w oddzielnych pokojach, żebyśmy mogli sprowadzać dziewczyny, i tak też robiliśmy. Seksualne usługi na cały wieczór kosztowały mniej niż wielopak zimnego piwa w obozowej kantynie... a i to nie było poważnym wydatkiem. Za koszulkę albo parę dzinsów nasze małe dziewczynki przez tydzień robiły za *mia chao*, „wynajęte żony”. Nie tylko na rozkaz rozkładały nogi albo robiły loda, ale też prały nasze ubrania i utrzymywały w czystości nasz pokój hotelowy, kiedy wychodziliśmy na poszukiwanie innych dziewczyn.

Pamiętajcie, że to był rok 1970. O AIDS nikomu jeszcze się nie śniło. Och, w wojsku przypominali nam o noszeniu przy sobie gumek i kazali obejrzeć parę filmów o chorobach wenerycznych, ale największym zagrożeniem była „róża z Sajgonu”, trudno uleczalna odmiana kiły przywożona do domu przez żołnierzy. Cóż, nasze dziewczęta były tak młode i wyglądały tak niewinnie, i zapewne – co teraz do mnie dociera – były tak głupie, że nawet nie wspomniały o używaniu gumek. Może myślały, że dziecko z *farangiem* przynosi szczęście albo w jakiś cudowny sposób przeniesie je do Stanów. Nie mam pojęcia. Nie pytałem.

Po czterech z siedmiu dni naszej przepustki nawet tania tajaska marycha i jeszcze tańszy seks trochę nam się znudziły. Robiłem to, bo Tres to robił; naśladowanie go stało się sposobem na przetrwanie na zadupiu.

Tres jednak chciał czegoś więcej. A ja poszedłem za nim.

– Znalazłem coś naprawdę czadowego – powiedział przez telefon wczesnym wieczorem czwartego dnia w mieście. – Naprawdę czadowego.

Skinąłem głową. Tang, moja mała *mia chao*, dopraszała się, żeby zabrać ją na kolację, ale zignorowałem ją i zszedłem do baru, skąd zadzwonił po mnie Tres.

– To będzie trochę kosztować – powiedział. – Ile masz?

Poszperałem w portfelu. Tang i ja wypaliliśmy w pokoju trochę tajskiego ziela i wszystko było jakieś świejące i krzywe.

– Kilkaset bahtów – odparłem.

Tres potrząsnął głową.

– Będziemy potrzebować dolarów – powiedział. – Jakies czterysta albo pięćset.

Wybałuszyłem na niego oczy. Przez cały czas pobytu na przepustce nie wydaliśmy nawet ułamka tej sumy. Nic w Bangkoku nie kosztowało więcej niż parę dolców.

– To jest coś ekstra – wyjaśnił. – Naprawdę ekstra. Nie mówiłeś przypadkiem o trzystu dolcach, które przysłał ci wujek?

Pokiwałem głową z tępym wyrazem twarzy. Pieniądze były schowane w pokoju, w tenisówce na dnie mojego worka.

– Chciałem kupić coś ekstra mojej mamie – powiedziałem.

– Jedwabne kimono, albo coś takiego... – Umilkłem nieprzekonywająco.

Tres uśmiechnął się.

– Będiesz miał z tego większą frajdę niż z kimona dla mamy. Przynies forszę. Szybko.

Popędziłem na górę. Kiedy zszedłem z powrotem, Tres czekał przy drzwiach z młodym Tajem.

– Johnny, to jest Maladung. Maladung, to jest Johnny Merrick. W plutonie ma ksywę „Kutas”.

Maladung uśmiechnął się do mnie z niedowierzaniem.

Zanim zdołałem wyjaśnić, że to radiotelefon KTS-25 nazywano Kutasem-25 i że nosiłem go na plecach przez miesiąc, zanim znaleźli większego radiooperatora, Maladung skinął na nas i poprowadził w ciemność. Pojechaliśmy trójkołowym *tuk-tukiem* wzdłuż rzeki. Teoretycznie szeroka rzeka, która płynęła aż z Himalajów, by rozciąć na dwoje serce starego Bangkoku, nazywała się Chao Phraya, ale nigdy nie słyszałem, żeby miejscowi mówili na nią inaczej niż Mae Nam – „Rzeka”.

Wysiedliśmy na pogrążonym w ciemnościach pirsie. Maladung warknął coś do człowieka, który stał na długiej, wąskiej łodzi, wyglądającej jak cień rzucany przez pirs. Mężczyzna odpowiedział i Tres rzekł:

– Johnny, daj mi sto bahtów.

Poszperałem w portfelu. Próbowałem trzymać oddzielnie dolary i kolorowe bahty. Tylko dzięki światłom przepływającej barki byłem w stanie rozpoznać właściwy banknot. Podałem go Tresowi, który przekazał go Maladungowi, a ten – ciemnemu kształtowi na łódce.

– Wskakujcie, już – powiedział Maladung i wsiedliśmy do łodzi. Tres i ja usiedliśmy na wąskiej ławce blisko dziobu. Maladung usiadł w połowie odległości między nami a sternikiem, którego twarz była ledwo widoczna w poświacie rzucanej przez ogień papierosa. Maladung warknął coś po tajsku, wielki silnik zawył za nami i łódź wyskoczyła na rzekę, zmagając się z kilwaterem barki.

Teraz wiem, że te łódki nazywają „długoogoniastymi taksówkami” i można je wynająć za parę setek. Ich nazwa wzięła się od długiego wału śrubowego, do którego przymocowano spory silnik samochodowy. Tej nocy zauważyłem, że Tres i ja wsiedliśmy na pokład łódki, której wał był doskonale wyważony; sternik mógł unosić śrubę z wody jedną ręką, jakby ciężki silnik w środku nic nie ważył.

Bangkok to miasto małych kanałów zwanych *klongami*. Przewodniki często określają je „Wenecją Wschodu”, ale to typowy dla przewodników oksymoron. Kiedy ostatni raz byłem w Wenecji, nie zauważyłem tam tysięcy *sampanów* przycumowanych przy kanałach, rozchwierutanych bambusowych konstrukcji zwieszających się nad wodą jak szopy na szczudłach ani powierzchni kanałów tak pokrytej śmieciami i odpadkami naniesionymi przez burzę, że nieomal można przejść po nich na drugą stronę i nawet się nie zamoczyć.

To wszystko dostrzegłem tej nocy na *klongach* w Bangkoku.

Płynęliśmy wzdłuż rzeki obok hotelu The Oriental; Tres i ja słyszeliśmy o nim, ale nawet nie marzyliśmy, że kiedykolwiek będziemy w stanie sobie na to pozwolić; po chwili przepłynęliśmy pod mostem, po którym przebiegała ruchliwa autostrada. Nasza długoogoniasta taksówka wyprzedziła wielki prom z rykiem sześciocyndrowego silnika, popędziła w stronę zachodniego brzegu, po czym wpłynęła w *klong* nie szerszy od jednej z wąskich *sois* w dzielnicy Patpong. W pobliżu małego kanału było zupełnie ciemno, jeśli nie liczyć delikatnej poświaty latarni zawieszonych na przycumowanych *sampanach* i zwieszających się nad kanałem szopach. Nasz sternik też zapalił czerwoną latarnię i powiesił ją na słupku przy rufie, ale nie byłem w stanie sobie wyobrazić, jak inne łódki miałyby uniknąć zderzenia z nami, kiedy braliśmy ciasne zakręty i pędziliśmy pod niskimi mostkami. Czasem byłem pewien, że płócienny daszek naszej taksówki zderzy się ze spodnią częścią opadającego mostka, ale choć przykucaliśmy, zawsze udało nam się uniknąć zderzenia z gnijącym drewnem o parę centymetrów. Inne taksówki wodne mijały nas jak hałaśliwe zjawy; ich kilwatery uderzały o nasz dziób i ochlapływały nam kolana. Spojrzałem na Tresa, gdy mijaliśmy ledwo oświetlony *sampan* i dostrzegłem dziki wyraz jego oczu. Uśmiechał się szeroko.

W chwili gdy miałem zamiar wykrzyczeć pytanie, dokąd się udajemy, sternik zwolnił i skierował naszą łódź w stronę wysokiego pirsu ze smukłymi palami wznoszącymi się przed nami jak strzaskany portyk. Myślałem, że się zatrzyma, albo przynajmniej zwolni, żebyśmy mogli wspiąć się na mroczną barierę, ale sternik dodał gazu z rykiem i popędziliśmy prosto na linię pali.

– Jezul! – krzyknąłem, ale mój wrzask utonął w wyciu silnika odbijającego się echem od spodniej części przegniłego pirsu nad nami. Potem skręciliśmy wprawo i chmura spalin odbiła się od przechylonych *sampanów*, które wyglądały, jakby porzucono je tu wiele lat temu. *Klongi* były tutaj odpowiednikiem alejek na tyłach domu; dwie łódki płynące w przeciwnych kierunkach nie mogły się minąć. Innych łódek tu nie było.

Przez jakieś pół godziny kluczyliśmy wąskimi, jednokierunkowymi *klongami*. Odór ścieków był tak silny, że łzawiły mi oczy. Czasem słyszałem głosy dobiegające z nieoświetlonych, przechylonych *sampatiów*, które sterczały wzdłuż kanału jak przesiąknięte wodą wraki.

– Tu mieszkają ludzie – szepnąłem do Tresa, gdy mijaliśmy pociemniałą masę rozpadających się szop i na wpół zatopionych *sampanów*, z powodu których kanał był tak wąski, że tylko samobójca nie zwolniłby do prędkości spacerowej. Tres nie odpowiedział.

Gdy nabrałem pewności, że sternik zgubił się w labiryncie kanałów, wypłynęliśmy na nieco szersze wody otoczone opuszczonymi magazynami na szczydach i tyłami wypalonych szop. Wyglądało to jak wielki, wodny dziedziniec, ukryty z dala od miejskich ulic i publicznych kanałów. Na środku tego wodnego placu kotwiczyło kilka barek i *sampanów*; dostrzegłem blade światełka kilku innych długoogoniastych taksówek zacumowanych przy najbliższym *sampanie*.

Sternik zgasił silnik i wpłynęliśmy do prowizorycznego doku w ciszy tak nagłej, że aż zabolowały mnie uszy.

Dostrzegłem, że „dok” to po prostu pływająca platforma zbudowana z beczek po ropie i kłód, przycumowana do *sampanu*. Z dziury w wystrzępionej kotarze z boku łodzi wynurzyło się dwóch mężczyzn; stanęli na kłodach, by je zrównoważyć i patrzyli, jak przybijamy. Nawet w ciemnościach zauważyłem, że mają budowę zapaśników albo wykidajłów. Bliższy z mężczyzn szczechnął coś do nas po tajsku.

Maladung odpowiedział i jeden z mężczyzn wziął naszą cumę dziobową, zaś drugi odsunął się na bok, byśmy mogli wysiąść i zmieścić się na małej przestrzeni. Opuściłem łódź pierwszy, dostrzegłem słaby blask latarni przez dziurę w szmacie i już miałem wejść do środka, kiedy jeden z mężczyzn dotknął mej piersi trzema palcami, które wydawały się mieć więcej siły niż całe moje

ramię.

– Musicie najpierw zapłacić – wysyczał Maladung ze swojego miejsca w taksówce.

Chciałem zapytać „za co?”, ale Tres pochylił się w moją stronę i wyszeptał:

– Daj mi te trzy stówki, Johnny.

Wujek przysłał mi pieniądze w nowiutkich pięćdziesiątkach. Dałem je Tresowi, który wręczył dwa banknoty Maladungowi, a pozostałe cztery bliższemu z mężczyzn stojących na doku.

Mężczyzna odsunął się i gestem dał mi znak, bym wszedł. Pochyliłem się, by zmieścić się w niskim otworze, i usłyszałem ryk silnika naszej łodzi. Wyprostowałem się i zobaczyłem, jak czerwona latarnia naszej taksówki znika w wąskim *klongu*.

– Cholera – powiedziałem. – Jak my stąd wrócimy?

W głosie Tresa pobrzmiało coś znacznie większego niż napięcie.

– O to będziemy się martwić później – rzekł. – No, dalej.

Spojrzałem na wystrzępioną kotarę, która najprawdopodobniej zasłaniała korytarz łączący kilka *sampanów* czy barek. Dolatywały stamtąd silne zapachy i stłumiony odgłos czegoś, co brzmiało jak oddech wielkiego zwierzęcia znajdującego się gdzieś na końcu tunelu.

– Naprawdę chcemy to zrobić? – zwróciłem się szeptem do Tresa. Dwóch Tajów na doku stało nieruchomo jak figurki chińskich piesków strzegące wejść do ważnych budynków w całej Azji. – Tres?

– Tak – odparł. – Idziemy.

Przepchnął się obok mnie i przecisnął przez otwór w kotarze.

Przywykłem do tego, że na nocnym patrolu, podczas zasadzki i DPZ szedłem za nim, więc pochyliłem się i poszedłem.

Boże, dopomóż. Poszedłem.

*

To moja druga noc w Patpongu; oglądam sex show na żywo w przybytku o nazwie „Mnóstwo Cipek”, gdy nagle otacza mnie czterech Tajów.

Show jest typowy dla Bangkoku: para młodych ludzi pieprzy się na dwóch identycznych harleyach zwisających na linach nad centralnie położoną sceną. Robią to już od jakichś dziesięciu minut. Na ich twarzach nie widać śladu namiętności, ale ich ciała to prawdziwi specjaliści w dziedzinie demonstrowania zespolenia tak, by widać je było ze wszystkich zakątków baru. Publiczność najwyraźniej znajdowała podniecie nie w pieprzeniu, ale w nadziei, że w końcu któreś spadnie z tych wiszących w powietrzu motocykli.

Ignoruję przedstawienie, wpytując barmankę imieniem Lah, kiedy zjawiają się muskularni Tajowie. Lah znika w tłumie. W barze jest ciemno, ale wszyscy mężczyźni noszą ciemne okulary. Pociągam łyk cienkiego piwa i nie odzywam się, gdy cała czwórka zacieśnia krąg.

– Nazywa się pan Merrick? – pyta najniższy z całej czwórki. Ma twarz wąską jak ostrze siekiery i upstrzoną starymi bliznami po trądziku czy ospie wietrznej.

Kiwam głową.

Dziobaty podchodzi bliżej.

– To pan rozpytywał dziś o kobietę imieniem Mara? I w innych klubach wczoraj?

– Tak – odpowiadam.

– Idziemy – mówi.

Nie stawiam oporu i wychodzimy z baru tworząc formację o kształcie klina. Gdy jesteśmy na zewnątrz, między krzepkimi panami po lewej powstaje luka; mógłbym w nią skoczyć i uciec, gdybym chciał, ale nie chcę. Na końcu uliczki stoi czarna limuzyna i mężczyzna po prawej otwiera tylne

drzwi. Gdy to robi, dostrzegam perłową rękojeść rewolweru zatkniętego za pas.

Opadam na tylne siedzenie. Dwóch najwyższych mężczyzn siada po moich bokach. Patrzą, jak dziobaty wskakuje na siedzenie pasażera, a ten z rewolwerem siada za kółkiem. Limuzyna rusza i jedzie bocznymi uliczkami. Wiem, że jest po trzeciej nad ranem, ale *soi* są dziwnie puste jak na miejsce położone tak blisko Patpongu. Na początku jeszcze jestem w stanie określić, że jedziemy na północ, równoległe do rzeki, ale potem tracę orientację w labiryncie wąskich uliczek. Tylko poczerwiałe szyldy napisane po chińsku informują mnie, że jesteśmy w Chinatown, na północ od Patpongu.

– Nie jedź *Sanam Luang* ani *Rajdamnoen Klang* – dziobaty zwraca się do kierowcy po tajsku. – Dziś wojsko strzela tam do buntowników.

Patrzą w prawo i widzę pomarańczową poświatę płomieni na dachach. Pracownicy w The Oriental nalegali, żebym dziś nie wychodził. Przez syczenie klimatyzacji przebija się odległy, prawie wyciszony grzechot i stukot wystrzałów z małokalibrowej broni.

Zatrzymujemy się w miejscu otoczonym opuszczonymi budynkami. Nie ma tu ulicznych latarni i tylko pomarańczowa poświata odbita od chmur pozwala mi dostrzec, gdzie kończy się ulica: są tam puste działki i na wpół zdemolowane magazyny. Czuję w ciemności zapach rzeki.

Dziobaty odwraca się i kiwa głową. Taj po prawej otwiera drzwi i wywleka mnie na zewnątrz za kamizelkę. Kierowca zostaje w samochodzie, a pozostała trójka wlecze mnie w cień w pobliżu rzeki.

Próbuję coś powiedzieć, ale mężczyzna za mną wplątuje palce w moje włosy i gwałtownym ruchem szarpie moją głowę do tyłu. Trzeci mężczyzna chwytą mnie za ramiona, a ten, który trzyma mnie za włosy, przykładą mi sztylet do szyi. Twarz dziobatego nagle znajduje się tak blisko mojej, że czuję zapach ryby i piwa w jego oddechu.

– Po co wypytywałeś o kobietę imieniem Mara i jej córkę imieniem Tanha? – pyta po tajsku.

Mrugam oczami udając, że nie rozumiem. Ostrze zagłębia się odrobinę w mojej szyi; z miejsca tuż poniżej jabłka Adama cieknie krew. Taj odwodzi mi głowę tak daleko do tyłu, że ledwo oddycham.

– Po co wypytywałeś o kobietę imieniem Mara i jej córkę imieniem Tanha? – pyta tym razem po angielsku.

Moje słowa to świszczący gulgot.

– Mam coś dla nich. – Próbuję uwolnić prawą rękę, ale trzeci mężczyzna trzyma mnie za nadgarstek. – W lewej kieszeni.

– Tyle udaje mi się wydukać.

Dziobaty waha się może przez sekundę; rozpina mi kamizelkę szarpnięciem i szuka ukrytej kieszeni. Wyciąga dwadzieścia dokumentów.

Śmieje się cicho, a ja znów czuję jego oddech na twarzy.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów? Mara nie potrzebuje dwudziestu tysięcy dolarów. Nie ma zresztą żadnej Mary – kończy po angielsku, po czym zwraca się po tajsku do człowieka z nożem: – Zabij go.

Już to kiedyś robili. Pierwszy z mężczyzn odchyła moją głowę jeszcze bardziej do tyłu, drugi szarpie mnie za ramiona, a dziobaty cofa się o krok, żeby nie zostać obryzganym krwią. W sekundzie poprzedzającej cios noża, który ma rozplątać mi gardło, udaje mi się wykszusić dwa słowa: – Przyjrzyjcie się.

Czuję rosnące napięcie w ramieniu i dłoni dzierżącego nóż; ostrze wbija się głębiej, ale dziobaty unosi rękę rozkazującym gestem. Krwawię tak, że kołnierz koszuli i kamizelka już nasiąkły,

ale nóż już się nie wbija. Niski człowieczek unosi dokument, przygląda mu się uważnie, mrużąc oczy, po czym pstryknięciem zapala zapalniczkę. Mruczy coś pod nosem.

– Co tam? – pyta trzeci mężczyzna po tajsku.

Dziobaty odpowiada w tym samym języku.

– To obligacja na okaziciela na dziesięć tysięcy dolarów. Wszystkie są takie. Jest ich dwadzieścia.

Dwaj pozostali wypuszczają powietrze z sykiem.

– Jest tego więcej – mówię po tajsku. – O wiele więcej. Ale muszę zobaczyć Marę.

Głowę mam odgiętą do tyłu tak, że nie widzę w ogóle dziobatego, ale czuję, jak intensywnie się we mnie wpatruje. Pokusa musi być silna: mogą mnie zabić, ciało wrzucić do rzeki i wejść w posiadanie dwustu tysięcy dolarów.

Tylko fakt, że odpowiadają przed Marą, daje mi nadzieję.

Stoimy bez ruchu przez co najmniej minutę, po czym dziobaty coś mruczy, nóż zostaje schowany, moje włosy zostają uwolnione i idziemy z powrotem do czekającej limuzyny.

Tres poprowadził mnie tunelem, który tworzyły łukowate płótna dachów *sampanów*. Pierwsze trzy łodzie były puste, na ich dnie zbierała się woda; cuchnęło zgnilizną i azjatycką kuchnią, ale po przejściu przez ścianę trzeciej łodzi znaleźliśmy się w miejscu słabo oświetlonym, lecz hałaśliwym. Wchodząc do większego pomieszczenia pojąłem, że to barka, którą otoczono zacumowanymi *sampanami*.

Gdy wkroczyliśmy na pokład zakrytej barki, kilku Tajów obrzuciło nas wzrokiem, po czym przyjrzało się nam dokładniej, najwyraźniej byli zaskoczeni, że wpuszcza się tu *farangów*. Szybko jednak ich uwagę przykuła prowizoryczna scena pośrodku barki. Stałem i mrugałem, usiłując cokolwiek zobaczyć przez gęstą chmurę dymu z papierosów i marihuany; scena miała zaledwie jakieś dwa metry na metr i oświetlono ją dwoma syczącymi latarniami zwieszającymi się z zamocowanych u góry kratownic. Były tam tylko dwie kobiety uprawiające seks oralny. Dookoła sceny poustawiano prowizoryczne ławki w czterech rzędach i jakichś dwudziestu Tajów było ledwo widocznych w obłokach dymu.

– Co... – odezwałem się, ale Tres uciszył mnie i poprowadził do ławki po lewej stronie. Do kobiet na scenie dołączyło dwóch szczupłych Tajów, prawie dzieci, całkowicie ignorując kobiety, i zaczęło się pieścić na pograniczu ekstazy.

Miałem dość bycia uciszczanym. Pochyliłem się w stronę Tresa.

– Dlaczego, do cholery, musieliśmy zapłacić trzysta dolarów amerykańskich za coś, co możemy za parę dolców oglądać w każdym barze przy Petchburi Road?

Tres tylko potrząsnął głową.

– To tylko wstęp, Johnny – wyszeptał. – Numery na rozgrzewkę. My zapłaciliśmy za główne przedstawienie.

Dwóch mężczyzn przed nami obróciło się i skrzywiło, jakbyśmy hałasowali w kinie. Na scenie dwóch chłopców zakończyło przygotowania i zajęło się kobietami, jak również sobą. Kombinacje były dość zawile.

Usiadłem i założyłem nogę na nogę. W Wietnamie nie nosiliśmy bielizny, bo powodowała odparzenia krocza, i podobnie jak wielu innych żołnierzy, odzwyczaiłem się od jej noszenia, nawet pod cywilnymi ubraniami na przepustce. Teraz jednak żałowałem, że nie założyłem jakichś slipów pod spodnie z cienkiej bawełny. Widoczna erekcja w towarzystwie wszystkich tych mężczyzn była jakaś niestosowna.

Czwórka młodych ludzi na scenie wypróbowała różne kombinacje jeszcze przez jakieś dziesięć minut. Skończyli prawie równocześnie – kobiety mogły udawać, ale nie ulega wątpliwości, że orgazmy mężczyzn były autentyczne. Jedna z dziewcząt podstawiła piersi pod strumień nasienia, zaś druga rozsmarowała spermę drugiego chłopca na pośladkach pierwszego. Biseksualne numery równocześnie mnie niepokoiły i podniecały. Wtedy niezbyt dobrze rozumiałem samego siebie.

Skończywszy para młodych ludzi po prostu wstała i wyszła zaokrąglonymi drzwiami w przeciwległej ścianie. Żaden z wykidajłów nie klaskał. Scena opustoszała na kilka minut i przyszło mi do głowy, że wbrew temu, na co miał nadzieję Tres, to już koniec programu na dziś, lecz w końcu mężczyzna odziany w czarną jedwabną koszulę i spodnie wkroczył na scenę i powiedział coś niskim, poważnym głosem. Wyłapałem dwa raz słowo „Mara”.

W pomieszczeniu nagle dało się wyczuć napięcie.

– Co on... – chciałem spytać.

– Ciii – odparł Tres nie spuszczać wzroku ze sceny.

– Pieprzyć to – rzekłem. Zapłaciłem za to gówna, chciałem chociaż dowiedzieć się, co mam dostać za moje pieniądze. – Co to jest Mara?

Tres westchnął.

– Mara to *phanyaa mahn*, Johnny. Książę demonów. To on wysłał swoje trzy córki: Aradi, niezadowolenie, Tanhę, pożądanie, i Rakę, miłość... by kusiły Buddę. Ale Budda zwyciężył.

Spojrzałem spod przymrużonych oczu na scenę i latarnię powoli kołyszącą się przez kłęby dymu. Po ukrytej lagunie przepłynęła łódka i jej kilwater lekko zakołysał barką.

– Więc Mara jest mężczyzną? – Sam już nie wiedziałem, czy jestem w stanie wchłonąć więcej tych dziwactw.

Tres potrząsnął głową.

– Kiedy duch *phanyaa mahn* łączy się z *naga* w inkarnacji będącej połączeniem człowieka z demonem, to nie.

Spojrzałem na Tresa. Od chwili pojawienia się w Bangkoku paliliśmy niezły towar – tajska marycha była tu niemal za darmo – ale to, co robił Tres, najwyraźniej wykraczało poza sprawianie sobie przyjemności. Dostrzegł moje spojrzenie i uśmiechnął się lekko.

– Mara to część świata, który umiera, Johnny... sama esencja śmierci. Coś, czego boimy się bardziej niż Wietkongu na nocnym patrolu. *Naga* to coś w rodzaju rzeczno boga związanego z wodą. Z rzeką. Może dawać życie albo je odbierać. Kiedy duch *naga* zostaje przekazany komuś opętanemu przez moc *phanyaa mahn* – Mara – demon – może mieć płeć męską lub żeńską. My jednak zapłaciliśmy za oglądanie żeńskiej odmiany Mary, którą ma być *phanyaa mahn naga kio*. To się nie zdarza nawet raz na tysiąc wcieleń...

Gapiłem się na Tresa. Jego szept był tak cichy, że ledwo go słyszałem, ale jeden z Tajów znów odwrócił się i wpatrywał w niego. Nie rozumiałem ani jednego pieprzonego słowa z tego, co mówił.

– Co to jest *kio*? – spytałem. Coraz bardziej oganiało mnie poczucie, że wywaliłem trzysta dolców na nic.

– *Kio* to jest.... cii... – wysyczał Tres, wskazując na scenę.

Na scenę wyszła kobieta. Miała na sobie tradycyjne tajskie szaty z jedwabiu i niosła małe dziecko. Miała ostre, nieomal męskie rysy twarzy i włosy jak splątana, czarna chmura. Była starsza niż pozostali występujący seksartyści, ale i tak nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Dziecko kwiliło i zaciskało rączkę na jedwabiu nad jej małymi piersiami. Zauważyłem, że wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu Tajowie kłaniają się lekko na swoich miejscach. Niektórzy wykonywali też tradycyjny gest posłuszeństwa: złożone dłonie. Taki gest wobec artystki występującej w seksklubie wydał mi się

czymś dziwnym. Zmarszczyłem czoło i zwróciłem się w stronę Tresa, ale on też złożył dłonie w modlitewnym geście. Potrząsnąłem głową i spojrzałem znów na scenę. Większość mężczyzn zgasła już papierosy, ale dym w pomieszczeniu barki był tak gęsty, że nadal patrzyło się przez niego jak przez mgłę.

Kobieta na scenie uklękła. Dziecko zwisło bezwładnie w jej ramionach. Mężczyzna odziany w czarny jedwab wyszedł na scenę i powiedział coś cicho, bezbarwnym tonem.

Zapadła długa cisza. W końcu otyły Taj z pierwszego rzędu wstał, spojrzał na zgromadzonych i wszedł na niską scenę.

Odniosłem wrażenie, jakby wszyscy zbiorowo wypuścili powietrze i napięcie w pomieszczeniu zmieniło się, czy wręcz zelżało.

– Co...? – wyszeptałem.

Tres potrząsnął głową i wskazał coś. Gruby mężczyzna wręczył spory zwitek bahtów człowiekowi w czarnym jedwabiu.

– Myślałem, że wszyscy zapłacili za wstęp – szepnąłem Tresowi, ale nie słuchał.

Mężczyzna w czerni przeliczył pieniądze, co zajęło mu jakąś minutę – musiało tam być parę tysięcy bahtów – po czym zszedł ze sceny. Wtedy, jakby na rozkaz, pojawiły się znów dwie młode kobiety, które już widzieliśmy. Były odziane w jakiś ceremonialny strój, który kojarzył mi się z formalnymi tańcami tajskimi, jakie widziałem na zdjęciach: miały na sobie wysokie, szpiczaste kapelusze, dziwaczne ozdoby na ramionach oraz bluzy i spodnie ze złotego jedwabiu. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zapłaciłem trzystu dolców za oglądanie, jak ludzie uprawiają seks w ubraniu.

Dwóch chłopców wkroczyło na scenę, również w dziwnych kostiumach, niosąc bogato zdobione krzesło. Już zacząłem się bać, że znowu będę musiał oglądać jakieś gejowsko-lesbijskie scenki, ale chłopcy po prostu postawili krzesło i znikli. Dziewczęta zaczęły rozbierać grubasa, a kobieta imieniem Mara patrzyła w przestrzeń, nie zwracając uwagi na mężczyznę, swoje asystentki ani tłum.

Po rozebraniu klienta w nieomal ceremonialny sposób i poskładaniu jego ubrań dziewczęta popchnęły go na krzesło. Zobaczyłem, jak na jego górnej wardze i piersi zbierają się kropelki potu. Nogi lekko mu się trzęsły. Jeśli zapłacił za jakieś usługi erotyczne, zdecydowanie nie był w nastroju. Jego penis skurczył się tak, że był prawie niewidoczny, a jądra przybrały rozmiary orzeszka.

Dziewczęta zaczęły nad nim pracować używając rąk i ust. Chwilę to trwało, ale były w tym dobre, więc po paru minutach jego członki były sztywne i sterczał tak, że żołądź prawie dotykała brzucha. Nadal jednak nie było to nic wartego opisanie w liście do domu. Brzydka kobieta imieniem Mara stała i patrzyła, dziecko lekko poruszało się w jej ramionach, z brakiem zainteresowania wyglądającym niemal na katatonię.

Serce zaczęło walić mi jak młotem. Wystraszyłem się, że zamierzają zrobić coś dziecku i na samą myśl o tym dostałem mdłości. Jeśli Tres wiedział, że ma być w to wmieszane dziecko...

Spojrzałem na niego, ale wpatrywał się w wiedźmę imieniem Mara z wyrazem twarzy, który był mieszaniną strachu i naukowej fascynacji. Potrząsnąłem głową. Wdepnęliśmy w jakieś dziwaczne gówno.

Dwie dziewczyny zeszły ze sceny i teraz znajdował się na niej tylko usadzony na krześle tłusty mężczyzna ze sporą erekcją i kobieta z dzieckiem. Mara powoli zwróciła się w jego stronę i w poświęceniu latarni jej oczy wyglądały, jakby płonęły żółtym ogniem. Na barce zrobiło się cicho jak makiem zasiał, jakby wszyscy nagle przestali oddychać.

Mara wstała, wykonała trzy kroki w stronę mężczyzny i znów opadła na kolana. Była na tyle daleko od niego, że musiała się pochylić, by położyć rękę na jego udzie. Dostrzegłem, że ma bardzo

długie, czerwone paznokcie. Członek mężczyzny zaczął opadać, a jądra znów się uniosły, jakby chciały skryć się pod osłoną ciała.

Mara chyba uśmiechnęła się na ten widok. Pochyliła się, nadal trzymając dziecko w ramionach, i otworzyła usta.

Spodziewałem się seksu oralnego, ale jej głowa nigdy nie zbliżyła się do jego genitaliów bardziej niż na dziesięć centymetrów. Za to jej język wysunął się spomiędzy białych i doskonale ostrych zębów tak, że jego końcem mogła dotknąć własnego podbródka. Oczy mężczyzny były szeroko otwarte, widziałem też, że jego ramiona i brzuch lekko się trzęsą. Znów miał erekcję.

Mara przekrzywiła lekko głowę, potrząsnęła nią, jakby chciała rozluźnić szyję, a jej język nadal się wysuwał. Piętnaście centymetrów. Dwadzieścia. Trzydzieści centymetrów mięsistego języka sterczącego z ust jak różowy grzechotnik wysuwający się z ciemnego gniazda.

Gdy widać było jakieś czterdzieści pięć albo pięćdziesiąt centymetrów języka, a ona przesunęła nim po udzie grubasa i zaczęła owijać go wokół jego członka, spróbowałem przełknąć ślinę i odkryłem, że nie jestem w stanie. Próbowałem zamknąć oczy, ale moje powieki także omówiły współpracę. Po prostu patrzyłem, z otwartymi ustami, oddychając ciężko.

Język Mary otoczył główkę nieobrzeszanego członka mężczyzny i odciągnął napletek. W świetle latarni widać było ślinę lśniąca w miejscach, gdzie dotknął nabrzmiałego organu.

Z ust kobiety wysuwały się kolejne centymetry języka, a jego koniuszek owijał się spiralnie wokół członka badawczym ruchem jak głowa węża o szerokim ciele. Grubas zamknął oczy w chwili, gdy długi język całkowicie otoczył jego członek, a wąski koniuszek mięsistej wstążki kołysał się i podskakiwał w kierunku skurczonych jąder. Mara także przymknęła oczy, ale pod jej ciężkimi powiekami nadal widziałem błysk bieli i żółci. Uda mężczyzny zaczęły się poruszać.

Widok tego wilgotnego języka w żółtym świetle latarni był czymś okropnym – przyprawiał mnie o mdłości – ale nie to było najgorsze. Najgorsze było coś widocznego na powierzchni języka: otwory, podłużne szczeliny, jakby ktoś wziął bardzo ostry skalpel i wykonał kilka nacięć o długości centymetra, z których nie wypłynęła ani kropla krwi.

To jednak nie były żadne nacięcia. Nawet w słabym świetle widziałem, jak mięsiste otwory otwierają się i zamykają, jakby żyły własnym życiem, jak pożerające coś usta głodnego anemonu niesionego lekkim prądem przyływu. Język owinał się ciasniej wokół naprężonego penisa mężczyzny i zobaczyłem nieomal perystaltyczne skurcze: wstęga różowawego ciała naprężała się i rozluźniała, rozluźniała i naprężała. Mara zacisnęła usta, odchyliła głowę do tyłu, jak wędkarz, który właśnie zauważył, że ryba głęboko połknęła haczyk, a grubas zawył w ekstazie. Chwycił poręczę krzesła i poruszał udami jeszcze szybciej; oczy miał na wpół otwarte, ale nie widział nic poza czerwoną mgiełką własnej rozkoszy.

Teraz, po tylu latach praktyki lekarskiej, dokładnie wiem, co się tam działo. Rozmyślanie o tym z użyciem terminów medycznych pomaga.

Taj z nadwagą doświadczył normalnego pobudzenia podczas fazy ekscytacji, bardzo szybko osiągając fazę plateau. Trzy gąbczaste kawałki tkanki znajdujące się we wnętrzu członka – dwie długie *corpora cavernosa* i *corpus spongiosum* w główce penisa – prawie całkowicie wypełniły się krwią. Przez cały czas stymulacji penis był zasilany krwią z tętnicy grzbietowej i tętnicy głębokiej, zaś zastawki w żyłach grzbietowych, które odprowadzają krew, zamknęły się, więc podczas fazy plateau z penisa wydostawały się najwyżej niewielkie ilości krwi.

Tymczasem podniecenie narastało. Mimowolne napięcie powodowało skurcze mięśni twarzy, brzucha i międzyżebrowych Taja. Wtedy właśnie obserwowałem w przyćmionym świetle, jak wydaje pełne bólu jęki, napięcie na spoconej twarzy i szybkie ruchy bioder. Gdybym zmierzył mu

tętno, rosłoby gdzieś w przedziale od stu do stu siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę. Jego ciśnienie skurczowe kształtowałoby się gdzieś w okolicach 80 mm Hg, zaś rozkurczowe wzrosłoby do 40 mm Hg lub wyżej. Równocześnie jego zwieracz odbytu zamknął się, a na twarzy, szyi i piersi zaczęła się rozprzestrzeniać wysypka plamkowo-grudkowa.

W zwykłych warunkach takie objawy byłyby oznaką zbliżającego się orgazmu: szybkiego wypiętrzenia w regionach skurczowych i rozkurczowych, a potem szybkiego powrotu do normalnego stanu, gdy ciało doznaje odprężenia, a krew odpływa z penisa przez otwarte zastawki żyłne.

Nic takiego nie nastąpiło.

Język Mary zacisnął się na jego penisie, tworząc jeszcze węższą spiralę, i nadal kurczył się i rozkurczał. Twarz mężczyzny czerwieniała jeszcze bardziej; nie przestawał poruszać udami. Oczy miał nadal otwarte, ale widać było same białka. Główka jego penisa, ledwo widoczna w świetle latarni, wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować. Cienki koniuszek języka przesuwiał się po niej tam i z powrotem.

Mężczyzna wszedł w fazę, którą teraz określam jako ostatnie stadium poprzedzające ejakulację: kurcze grup mięśni, utrata kontroli nad mięśniami twarzy, tempo oddechu przekraczające 40 na minutę, silne pocenie i szalone ruchy biodrami. Wtedy myślałem o tym używając określenia: „zaraz skończy”.

Mara opuściła głowę, jakby zamierzała wciągnąć swój wysunięty język. Jej oczy były teraz otwarte i bardzo żółte. Jakieś piętnaście centymetrów jej języka było nadal owinięte wokół dygoczącego penisa mężczyzny, gdy zbliżyła usta o czerwonych wargach do jego krocza.

Taj nadal wił się w drgawkach będących zwiastunem orgazmu. Żaden z jakichś dwudziestu mężczyzn zgromadzonych w wypełnionym dymem pomieszczeniu nie wydał ani jednego dźwięku; słychać było tylko jęki mężczyzny. Jego orgazm trwał i trwał, znacznie dłużej niż trwałaby ejakulacja u jakiegokolwiek mężczyzny. Rozdęta twarz Mary unosiła się i opadała, a za każdym razem, gdy znajdowała się w górze, można było dostrzec język owinięty wokół nadal sztywnego członka mężczyzny.

– Jezu Chryste – wyszeptałem.

Teraz wiem, że związana z relaksacją faza zwiotczenia penisa przebiega w sposób gwałtowny i niekontrolowany. W ciągu kilku sekund od wytrysku nasienia penis wkracza w dwuetapową fazę obkurczania; pierwszy z tych etapów to utrata około pięćdziesięciu procent erekcji w ciągu około trzydziestu sekund. Choć przekrwienie może się częściowo utrzymywać – jak określiłbym to w czasach Wietnamu, „jeszcze trochę mu stoi” – nie jest to i nie może być pełna erekcja przed ejakulacyjna.

Ten mężczyzna nadal miał pełną erekcję. Można to było dostrzec za każdym razem, gdy usta Mary unosiły się nad zwiniętym spiralnie językiem. Taj wyglądał, jakby doznał ataku epilepsji: walił na oślep rękami i nogami, oczy miał wywrócone, a usta otwarte i po podbródku i szczęce ciekła mu ślina. Jego orgazm nadal trwał. Mijały minuty: pięć, dziesięć. Przetarłem dłonią twarz i poczułem, jak lepi się od potu. Tres oddychał przez usta i patrzył z przerażeniem.

Mara w końcu odsunęła usta. Odwinęła język z członka Taja i schowała go w ustach, jakby miała tam kołowrotek. Taj wydał z siebie ostatni jęk i zsunął się z krzesła; jego penis we wzwodzie kołysał się w powietrzu.

– Jezu Wszechmogący – wyszeptałem do siebie, myśląc z ulgą, że to już koniec. Ale myliłem się.

Usta Mary wyglądały na spuchnięte, a policzki nadęte, jak sekundę wcześniej. Przez chwilę wyobraziłem sobie jej usta i policzki wypełnione wielkim, zwiniętym językiem, i o mało nie

wyrzygałem obiadu w ciemności wypełnione dymem.

Mara odsunęła głowę do tyłu i zobaczyłem, jak jej czerwone usta stają się jeszcze czerwiejsze, jakby podczas seksu oralnego udało jej się nałożyć grubą warstwę błyszczącej szminki. Potem otworzyła odrobinę usta i czerwień spłynęła jej z warg, sącząc się strużką po podbródku i rozlewając na bluzce ze złotego jedwabiu.

Krew. Zrozumiałem, że ma usta pełne krwi; jej obsceniczny język aż się w niej taplał. Przełknęła odrobinę i na jej ostrych rysach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

Udało mi się pokonać mdłości; opuściłem głowę i pomyślałem: *To już koniec. To już naprawdę koniec.*

To wcale nie był koniec.

Przez cały czas trwania niekończącego się *fellatio* dziecko znajdowało się na jej lewym ramieniu, ukryte za głową Mary i udem grubego mężczyzny. Teraz było znów widoczne; małe piąstki zaciskały się na splamionej krwią bluzce Mary. Kobieta wygięła szyję jeszcze bardziej do tyłu, obracając krew w ustach, jakby to było wyśmienite wino, a dziecko zaczęło podciągać się w górę na jej piersi, na zmianę ściągając i otwierając usta.

Zerknąłem na Tresa, niezdolny nawet wydusić słowo, po czym spojrzałem znów na scenę. Chłopcy znieśli nadal nieprzytomnego grubasa ze sceny i w świetle latarni widać było tylko Marę i jej dziecko. Dziecko nadal pełzło w górę, aż jego policzek dotknął policzka matki; przypomniał mi się film, w którym pokazano małe kangurzątko, nie całkiem uformowane, prawie embrión, pełznące po futrze matki od kanału rodowego do torby, w swej wędrówce życia i śmierci.

Dziecko zaczęło lizać policzek i usta matki. Zauważyłem, jak długi jest jego język, ślizgający się po podbródku i ustach Mary. Próbowałem zamknąć oczy albo chociaż odwrócić wzrok. Nie byłem w stanie.

Mara, która chyba wyszła z transu, podniosła dziecko bliżej twarzy i zbliżyła swoje usta do jego ust. Widziałem, jak dziewczynka otwiera szeroko buzię, coraz szerzej, i przysły mi na myśl piskłeta domagające się karmienia.

Mara zwymiotowała krwią prosto w otwarte usta dziecka. Zobaczyłem, jak dziecko wydyma policzki i przełyka, próbując sobie poradzić z nagłym napływem gęstej cieczy; cały proces przebiegał zdumiewająco schludnie, na złote ubranko dziecka i jedwabną odzież Mary spadło niewiele kropel gęstej krwi.

W moim polu widzenia pojawiły się świecące plamki i opuściłem głowę między dłonie. Doznałem nagle wrażenia, że w pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo gorąco i moje pole widzenia zawęziło się do niewielkiego koła. Skóra mojego czoła była lepka w dotyku. Tres obok mnie wydał z siebie jakiś odgłos, ale nie odrywał wzroku od sceny.

Gdy uniosłem wzrok, Mara prawie skończyła karmienie. Widziałem, jak długi język dziecka liże jej policzki i wargi w poszukiwaniu resztek zwymiotowanego posiłku.

Kilka lat później natrafiłem w „Scientific American” na artykuł zatytułowany „Dzielenie się karmą u nietoperzy wampirów”, traktujący o wzajemnych praktykach altruistycznych u nietoperzy dawców zwracających krew, by nakarmić nią osobniki, z którymi dzieliły grzędę. Nietoperze wampiry najprawdopodobniej zdychają z głodu, jeśli nie przyjmą posiłku składającego się z 20-30 ml krwi w ciągu sześćdziesięciu godzin. Okazało, że po zastosowaniu właściwego bodźca – polizania skrzydeł lub pyska dawcy przez innego osobnika – dawca wymiotował krwią tylko na te osobniki, które bez posiłku zawierającego krew mogłyby zdechnąć w ciągu dwudziestu czterech godzin. System wzajemnej wymiany był korzystny dla przetrwania osobników, twierdził autor artykułu, gdyż zapewniał biorcy kolejną noc albo dwie na poszukiwanie ofiary dzięki pobraniu krwi

na dwanaście godzin z sześćdziesięciogodzinnego rezerwuaru nietoperza dawcy.

Ale dopiero zamieszczony w „Scientific American” rysunek mniejszego nietoperza liżącego wargi dawcy, ze spletanymi skrzydłami i ukośnymi pyskami wyciągniętymi od siebie w celu wykonania pocałunku z wymianą krwawych wymiotów, sprawił, że zwymiotowałem do biurowego kosza na śmieci, osiemnaście lat od tej nocy w Bangkoku.

Niewiele pamiętam z tego, co działo się przez pozostałe kilka godzin tej nocy. Pamiętam, jak człowiek w czarnym jedwabiu wszedł na scenę i kolejny Taj – młodszy, szczuplejszy mężczyzna w drogim garniturze – stanął obok niego i zapłacił. Pamiętam, jak wywlokłem Tresa z tego miejsca i wcisnąłem zwitek bahtów do ręki sternika długoogoniastej taksówki na pirsie przy barce. Gdybym musiał, uciekałbym stamtąd wpław, zostawiając Tresa. Ledwo pamiętam, że powiew wiatru podczas rejsu po rzece Chao Phraya trochę mnie otrzeźwił, kojąc mdłości i zapobiegając nadciągającemu atakowi hysterii.

Pamiętam, jak poszedłem sam do swojego pokoju i zamknąłem drzwi na klucz. Tang, moja *mia chao*, gdzieś znikła i byłem jej za to wdzięczny.

Pamiętam, jak tuż przed wschodem słońca wpatrywałem się w powoli obracający się wentylator i zacząłem rechotać, gdy udało mi się przetłumaczyć prosty zwrot. W przeciwieństwie do Tresa nigdy nie miałem talentu do języków, ale to tłumaczenie było dość oczywiste. *Phanyaa mahn naga kio*. Skoro *phanyaa mahn* to Mara, księżę demonów, a *naga* to żeńskie wcielenie węża demona *phanyaa mahn, kio* mogło oznaczać tylko jedno: wampira.

Leżałem, chichotałem i czekałem, aż wzejdzie słońce, bym mógł zasnąć.

*

Miasto nadal płonie i słyszę pojedyncze serie z broni automatycznej. Rządowe oddziały wojska mordują studentów. Czterech mężczyzn zabiera mnie do Mary.

Tym razem nie jest to nużąca podróż bocznymi *klongami*. Limuzyna przejeżdża na drugą stronę rzeki, pędzi wzdłuż brzegu naprzeciwko The Oriental i zatrzymuje się pod niewykończonym wysokościowcem gdzieś blisko wiaduktu przy Tak Sin Road. Dziobaty prowadzi nas do zewnętrznej windy budowlanej, pstryka przełącznikami i suniemy w nocnym powietrzu. Winda nie ma boków; widzę rzekę i miasto po drugiej stronie rzeki tak wyraźnie, jak we śnie. Wznosimy się na wysokość trzydziestego piętra w rzadkim nocnym powietrzu. Na rzece nie ma żadnego ruchu: nigdy czegoś takiego nie widziałem. Tylko kilka promów zмага się z prądem w dole rzeki. W górze, tam gdzie znajduje się Wielki Pałac i uczelnia, noc rozświetlają płomienie.

Jesteśmy już na wysokości czterdziestego piętra i wiatr mierzwi mi włosy. Stoję najbliżej skraja otwartej, przemieszczającej się ze zgrzytem platformy. Wystarczyłoby, żeby dziobaty lekko mnie popchnął, a poleciałbym do rzeki, sto trzydzieści metrów poniżej. Z braku lepszego zajęcia zastanawiam się, czy przed uderzeniem w wodę czułbym to samo, co w snach o lataniu nocą.

Docieramy do jednego z najwyższych pięter i prymitywna winda zatrzymuje się z piskiem. Krata odsuwa się w górę, a dziobaty przyzywa mnie gestem.

Gdzieś nad nami jarzy się łuk spawalniczy, sypiąc iskrami przypominającymi spalanie magnezyj. W Bangkoku nie przerywa się prac budowlanych na noc. Budynek nie ma jeszcze bocznych ścian, tylko płachty przezroczystej plastikowej folii zwieszające się z belek oddzielają od siebie betonowe przestrzenie. Gorący wiatr szeleści wśród folii wydając odgłos podobny do szumu skórzastych skrzydeł.

Z dźwigarów zwisają światełka awaryjne, a z lewej strony przez plastik przebija się więcej światła. Cała nasza piątka kroczy w kierunku miejsca, z którego wydostaje się światło i dźwięk. Przy wejściu znajduje się coś w rodzaju tunelu wykonanego z szeleszczącej folii; stoi tam trzech goryli.

Dziobaty unosi folię, przywołuje mnie gestem i wprowadza mnie do środka.

Nie ma tu sceny; kilkanaście składanych krzeseł ustawiono wokół wolnej przestrzeni, gdzie na zakurzonej betonowej podłodze ułożono cenny perski dywan. Lampa w górze jest osłonięta, więc to miejsce znajduje się raczej w cieniu niż w bezpośrednim świetle. Sześciu mężczyzn, sami Tajowie, wszyscy w eleganckich smokingach, siedzi na składanych krzesłach z rękami założonymi na piersiach. Dwóch pali papierosy. Obserwują, jak dziobaty prowadzi mnie na przód.

Patrzę uważnie na dwie kobiety siedzące po drugiej stronie pustej przestrzeni w ciężkich fotelach z rattanu. Starsza z nich może mieć tyle lat, co ja, albo trochę więcej; ładnie się starzeje. Włosy ma nadal czarne, zaczesane w modny łuk. Na twarzy o orientalnych rysach nie widać żadnych zmarszczek, jej policzki i podbródek są nadal gładkie, tylko delikatne linie na szyi i dłoniach sugerują, że ma jakieś czterdzieści lat. Ma na sobie elegancką i kosztowną szatę z czarnego i czerwonego jedwabiu. Złoty wisiołek z brylantem odcina się od czerwonej kamizelki i czarnej jedwabnej bluzki.

Siedząca obok niej młodsza kobieta jest nieskończenie bardziej piękna. Skóra oliwkowej barwy, ciemne oczy, błyszczące włosy ostrzyżone krótko zgodnie z najnowszą zachodnią modą, długa szyja i eleganckie ręce, które emanują wdziękiem nawet wtedy, gdy leżą nieruchomo; to piękno nieosiągalne dla jakiegokolwiek aktorki czy modelki. Nie ulega wątpliwości, że jest pewna siebie, równocześnie świadoma i nieświadoma własnej urody, a jeśli kierują ją jakieś namiętności, na pewno nie ma wśród nich doszukiwania się u innych podziwu czy akceptacji.

Wiem, że stoję w obliczu Mary i jej córki Tanhi.

Dziobaty podchodzi do nich bliżej, klęka w sposób, w jaki Tajowie okazują szacunek rodzinie królewskiej, wykonuje skomplikowany gest *wai*, po czym wręcza Marze moje dwadzieścia obligacji nie unosząc pochylonej głowy. Mara zwraca się do niego cicho, a on odpowiada z szacunkiem.

Mara odkłada dokumenty na bok i patrzy na mnie. W jej oczach odbija się żółta poświata osłoniętej lampy.

Dziobaty unosi wzrok, przywołuje mnie skinieniem i wyciąga rękę, by zmusić mnie do przyklęknięcia. Klękam z własnej woli zanim udaje mu się złapać mnie za rękaw. Opuszczam głowę i patrzę na odziane w pantofelki stopy Mary – Czy wiesz, o co prosisz? – pyta elegancką tajszczyzną.

– Tak – odpowiadam po tajsku stanowczym tonem.

– I chcesz za to zapłacić dwieście tysięcy dolarów amerykańskich?

– Tak.

Mara ściąga usta.

– Jeśli wiesz o mnie – mówi bardzo cicho – to wiesz, że już nie świadczę takich... usług.

– Tak – skłaniam głowę z szacunkiem.

Czeka w milczeniu, aż dociera do mnie, że to polecenie, bym mówił.

– Czcigodna Tanha – mówię w końcu.

– Podnieś głowę – zwraca się do mnie Mara, a do córki szepcze, że mam *jai ron* – serce z żelaza.

– *Jai bau dee* – odpowiada Tanha z lekkim uśmiechem, sugerując, że *ten farang* ma coś nie w porządku z głową.

– Poznanie mojej córki będzie kosztować trzysta tysięcy – mówi Mara. Żaden ton w jej głosie nie sugeruje, że to zachęta do negocjacji; cena jest ostateczna.

Kiwam głową z szacunkiem, sięgam do ukrytej kieszeni na plecach kamizelki i wydaję sto tysięcy dolarów w gotówce i obligacjach na okaziciela.

Jeden z goryli zabiera honorarium, a Mara kiwa lekko głową.

– Kiedy ma się to stać? – pyta śpiewnym tonem. W jej głosie nie słyhać ani znudzenia, ani zainteresowania.

– Teraz – odpowiadam. – Dziś.

Starsza kobieta patrzy na córkę. Skinięcie Tanhi jest nieomal niezauważalne, ale w tych błyszczących oczach coś się skrywa: może głód.

Mara klaszcze i przez szeleszczące kurtyny z folii przebijają się dwie młode Tajki. Podchodzą do mnie, gestem dają mi do zrozumienia, bym wstał, i zaczynają mnie rozbierać. Dziobaty daje znak i jego zbiry przynoszą kolejne rattanowe krzesło, po czym stawiają je na perskim dywanie.

Sześciu mężczyzn w smokingach pochyła się z rozpromienionymi oczami.

*

Następnego ranka Tres i ja w końcu spotkaliśmy się przy śniadaniu w taniej knajpce blisko rzeki. Naprawdę nie chciałem z nim rozmawiać, ale przecież musiałem.

W końcu zaczęliśmy mówić, cicho, z zawstydzeniem, prawie jak wtedy, gdy ginął ktoś z naszego plutonu i nikt nie chciał wymawiać jego imienia, chyba że w żartach. O tym nie chcieliśmy żartować.

– Widziałeś kutasa tego faceta... już po wszystkim? – spytał Tres.

Mruknąłem, potrząsnąłem głową i obejrzałem się przez ramię, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. Większość stolików na brzegu rzeki była pusta. Już musiało być ponad 30 stopni.

– Miał tam takie... rany – wyszeptał Tres. – Jak te, które kiedyś widziałem, jak byłem ratownikiem na Cape i jeden facet dotknął meduzy... – Zamilkł.

Sączyłem zimną kawę i skupiałem się na tym, żeby nie dygotać.

Tres zdjął okulary i przetarł oczy. Wszystko wskazywało na to, że on też nie spał.

– Johnny, chciałeś być lekarzem. Ile człowiek ma w sobie krwi?

Wzruszyłem ramionami. Kiedyś miałem taki idiotyczny pomysł, żeby iść na studia medyczne, kiedy wrócę do Świata; mimo mojego niefrasobliwego podejścia do nauki moi rodzice mieli nadzieję, że kiedy wrócę do domu, skończę studia i zostanę kimś. Nigdy ich nie poinformowałem, że już po tygodniu w Wietnamie wiedziałem: nigdy nie wrócę do domu.

– Nie wiem – odparłem. Tres chyba nie dostrzegł mojego wzruszenia ramion.

Położył na stoliku okulary w drucianych oprawkach.

– Chyba jakieś pięć albo sześć litrów – powiedział. – W zależności od rozmiarów.

Skinąłem głową, choć nie byłem w stanie sobie wyobrazić, ile to jest litr. Wiele lat później, kiedy zaczęto sprzedawać napoje w litrowych butelkach, zawsze wyobrażałem sobie pięć albo sześć takich butelek, kiedy miałem sobie zwizualizować ilość krwi, jaką każdy z nas codziennie nosi w żyłach.

– Wyobraź sobie orgazm, podczas którego tryskasz krwią – szepnął Tres.

Znów obejrzałem się przez ramię. Czuję, jak moje policzki i szyja płoną.

Tres dotknął mojego nadgarstka.

– Nie, zastanów się, Johnny. Ten facet nadal żył, kiedy go zabierali. Ci ludzie nie płaciliby astronomicznych kwot za coś takiego, gdyby wiedzieli, że to może ich zabić.

Czy aby na pewno?, pomyślałem. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że ktoś może pieprzyć się nawet w sytuacjach, gdy oznacza to pewną śmierć. W jakiś sposób to objawienie w roku 1970 przygotowało mnie na życie w latach 80. i 90.

– Ile krwi można stracić, by transfuzja nie była konieczna? – wyszeptał Tres. Z jego tonu domyśliłem się, że nie oczekuje odpowiedzi, po prostu myśli głośno, jak wtedy, kiedy planowaliśmy miejsce na zasadzkę.

Wtedy nie znałem odpowiedzi, ale wielokrotnie miałem okazję się dowiedzieć, zwłaszcza

podczas rezydentury na oddziale ratunkowym. Ranny może stracić około litra krwi i wrócić do zdrowia samodzielnie. Utrata około jednej szóstej objętości krwi oznacza utratę ofiary. Jeśli możliwa jest transfuzja, można stracić jakieś 40% krwi i nadal mieć szansę na przeżycie.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem i wcale nie byłem ciekaw. Za bardzo pochłaniały mnie wyobrażenia o wytryskiwaniu krwi podczas orgazmu trwającego wiele minut, a nie sekund. Tym razem ogarnął mnie dreszcz.

Tres machnął na kelnera i zapłacił rachunek.

– Muszę lecieć. Złapię jakąś taksówkę i pojedę do Western Union.

– Po co? – spytałem. Byłem tak senny, że miałem wrażenie, iż gorące, gęste powietrze spowalnia moje słowa.

– Muszę odebrać pieniądze przesłane ze Stanów.

Wyprostowałem się, czując, jak senność odchodzi.

– Po co?

Tres zdjął okulary i zaczął je przecierać. Kiedy na mnie spojrzał, jego blade oczy nadawały mu wygląd zagubionego krótkowidza.

– Wracam tam dziś wieczorem, Johnny.

*

Młode kobiety rozebrały mnie, a stworzenie imieniem Tanha zbliżyło się, by mnie pieścić, gdy nagle wszystko się urywa. Mara daje znak.

– Zapomnieliśmy o czymś – mówi Mara. Po raz pierwszy odzywa się po angielsku. Wykonuje pełen wdzięku, lecz zarazem ironiczny gest. – Żyjemy w czasach, w których należy zachować szczególną ostrożność. Wybacz, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej. – Spogląda na córkę i widzę, jak na ich twarzach wykwita na wpół drwiący uśmieszek. – Obawiam się, że musimy poczekać do jutra, by przeprowadzić odpowiednie badania – wzdycha Mara, obracając się znów do Tanhi. Widzę, że już wielokrotnie odgrywały tę scenę. Mogę tylko zgadywać, że jedynym powodem jest podsycanie pożądania przez opóźnianie, co znów wpływa na wzrost ceny.

Ja także się uśmiecham.

– Do karty świadectwa zdrowia? – pytam. – W jednej z tych przychodni, które zaświadczą, że w tym miesiącu nie wykryto u mnie wirusa HIV?

Tanha z wdziękiem przysiada na perskim dywanie obok mnie. Obraca się w moim kierunku, uśmiecha się drwiąco, po czym na jej twarzy pojawia się grymas niesmaku.

– To godne pożałowania – mówi głosem delikatnym jak kryształowe dzwonki wietrzne – ale w tych czasach konieczne.

Kiwam głową. Widziałem dane statystyczne. Epidemia AIDS zaczęła się w Tajlandii późno, ale do 1987 roku – niecałe pięć lat temu – z powodu tej choroby zmarło już 150 000 Tajów. Trzy lata później, w roku 1990, nosicielami tej choroby było już pięć i pół miliona ludzi z populacji liczącej pięćdziesiąt sześć milionów, a zmarło co najmniej milion ludzi. Postęp logarytmiczny jest nieubłagany. Tajlandia, charakteryzująca się śmiertelną kombinacją wszechobecnych prostytutek, częstymi zmianami partnerów seksualnych i niechęcią do prezerwatyw, rzuci wyzwanie Ugandzie na udeptanej ziemi zakażeń retrowirusowych.

– Chcecie mnie wysłać do jednej z tych miejscowych przychodni, które robią tysiące tanich testów na HIV tygodniowo? – mówię spokojnym tonem, jakby siedzenie nago między dwoma pięknymi, całkowicie ubranymi kobietami, z publicznością złożoną z nieznanymi w smokingach, było czymś zupełnie naturalnym.

Mara rozkłada smukłe palce i światło pada na długie, czerwone paznokcie.

– Nie mamy wiele alternatyw – szepcze.

– Może ja jakąś zaproponuję – mówię i sięgam po kamizelkę, którą starannie poskładano i ułożono na kupce pozostałych ubrań. Rozkładam trzy dokumenty i podaję je Tanhi. Dziewczyna ślicznie marszczy brwi i oddaje je matce. Przypuszczam, że młodsza z kobiet nie potrafi czytać po angielsku... a może i po tajsku też nie.

Mara przegląda dokumenty. Są to zaświadczenia z dwóch dużych szpitali w Los Angeles i jednej kliniki uniwersyteckiej, informujące, że moja krew została kilkakrotnie zbadana i w żadnym z tych badań nie stwierdzono w niej obecności wirusa HIV. Każdy dokument podpisało kilku lekarzy i opatrzone pieczęcią odpowiedniej instytucji. Wypisano je na grubym, kremowym, kosztownym papierze. Każdy z dokumentów opatrzone datą z zeszłego tygodnia.

Mara patrzy na mnie spod zmrużonych powiek. Uśmiecha się, ukazując małe, ostre zęby i sam koniuszek języka.

– Skąd mamy wiedzieć, że są prawdziwe?

Wzruszam ramionami.

– Jestem lekarzem. Chcę żyć. Gdybym chciał oszukiwać, łatwiej byłoby przekupić tajskiego lekarza, żeby wystawił mi świadectwo zdrowia. Nie mam powodu, żeby oszukiwać.

Mara unosi wzrok znad dokumentów, uśmiecha się i oddaje mi je.

– Zastanowię się – mówi.

Pochyliam się na krzesło.

– Ja też ryzykuję – mówię.

Mara unosi elegancką brew.

– Och, w jaki sposób?

– Krwawiące dziąsła – mówię po angielsku. – Każda malutka ranka w twoich ustach.

Mara reaguje drwiącym uśmieszkiem, jakbym opowiedział kiepski dowcip. Tanha zwraca swą piękną twarz w stronę matki.

– Co on powiedział? – pyta po tajsku. – Ten *farang* bredzi.

Mara nie zwraca na nią uwagi.

– Nie musisz się martwić – mówi do mnie. Kiwa na córkę.

Tanha znów zaczyna mnie pieścić.

*

Zostały nam jeszcze trzy dni i dwie noce urlopu. Tres nie zaproponował, żebym tam wrócił razem z nim, a ja nie zgłosiłem się na ochotnika.

Zabieranie broni na urlop było nieregulaminowe, ale w tamtych czasach nie było wykrywaczy metalu ani ochrony na lotniskach i wielu z nas zabierało w dalszą podróż noże czy pistolety. Ja zabrałem pistolet kalibru 0,38 o długiej lufie; wygrałem go w pokera od czarnego dzieciaka, który nazywał się Newport Johnson, trzy dni przed tym, jak ten nadepnął na minę odłamkową. Tego wieczoru wyjąłem go z dna worka, sprawdziłem, czy jest naładowany i siedziałem w zamkniętym na klucz pokoju w samych spodniach od munduru. Piłem szkocką, wsłuchiwałem się w odgłosy ulicy i patrzyłem na wolno obracające się łopatki wentylatora nad moją głową.

Tres wrócił koło czwartej nad ranem. Przez ścianę słuchałem przez parę minut, jak miota się po łazience, po czym poszedłem do łóżka i zamknąłem oczy. Zastanawiałem się, czy uda mi się zasnąć. Jego krzyk wyrwał mnie z łóżka z pistoletem w dłoni. Popędziłem boso korytarzem, walnąłem raz w jego drzwi, pchnąłem je na oścież i wpadłem do pokoju.

Paliała się tylko lampa w łazience, rzucając cienki pasek poświaty na gołe deski podłogi i niepościelone łóżko. Na podłodze była krew i kawałki podartego płótna, także nasiąkniętego krwią.

Wyglądało to, jakby Tres próbował drzeć prześcieradła i robić z nich bandaże. Podeszedłem do drzwi łazienki, usłyszałem od strony łóżka jęk i obróciłem się, nadal trzymając przy boku pistolet.

– Johnny?

Jego głos był rzeźący, łamiący się, apatyczny. Słyszałem już kiedyś ten ton. Newport Johnson tak mówił przez dziesięć minut: tyle czasu zajęło mu umieranie po tym, jak mina posiekała jego ciało odłamkami od szyi po kolana. Podeszedłem bliżej i zapaliłem małą lampkę przy łóżku.

Tres miał na sobie tylko koszulkę. Leżał rozciągnięty na przesiąkniętym krwią materacu, otoczony zakrwawionymi strzępami brudnych prześcieradeł. Jego spodnie leżały na podłodze tuż obok. Były aż czarne od krwi. Tres zakrywał rękami krocze, a pod paznokciami miał krwawe obwódki.

– Johnny? – wyszeptał. – Cały czas krwawię.

Podeszedłem bliżej, odłożyłem pistolet i dotknąłem jego ramienia. Tres odsunął rękę, a ja cofnąłem się o krok.

W wolno płynących wodach Wietnamu żyje pijawka, która przedostaje się do cewki moczowej mężczyzn brodzących w wodzie. Kiedy już przyczepi się mocno we wnętrzu penisa, zaczyna ssać, aż osiągnie rozmiary połowy pięści mężczyzny. Wszyscy słyszeliśmy o tym draństwie. Myśleliśmy o nim za każdym razem, kiedy brodziliśmy w strumieniu albo na poletku ryżowym, czyli kilkanaście razy dziennie.

Członek Tresa wyglądał właśnie tak, jakby zaatakowała go taka pijawka. Nie, gorzej. Jego penis był nie tylko spuchnięty i wyglądał jak surowe mięso; widać było na nim liczne maleńkie ranki, rozmieszczone spiralnie, jakby ktoś wziął maszynę do szycia z grubą igłą i wyszył mu na narządach płciowych stygmaty. Z ranek płynęła krew.

– Nie mogę zatamować krwawienia – wyszeptał Tres. Jego twarz była biała i lśniąca od potu. Widywałem taki wyraz twarzy u rannych żołnierzy, tuż zanim zemdleli od szoku.

– Chodź – otoczyłem go ramieniem – poszukamy jakiegoś szpitala.

Tres odsunął się ode mnie i opadł na poduszki.

– Nie, nie, nie. Trzeba tylko zatamować krwawienie.

Wyciągnął coś spod poduszki i zobaczyłem, że to nóż KA-BAR o czarnym ostrzu, którego używał podczas nocnych patroli. Uniosłem moją 0,38 i przez sekundę słychać było tylko szum wentylatora i odgłosy z ulicy.

W końcu zachichotałem. To było jakieś szaleństwo. Byliśmy setki mil od Wietnamu i wojny, ja z pistoletem, Tres z komandoskim nożem, gotowi się pozabijać. To było jakieś pieprzone szaleństwo.

Odłożyłem pistolet.

– Mam jakąś apteczkę – powiedziałem. – Zaraz przyniosę.

Przyniosłem mniejszą z dwóch apteczek, które upchnąłem w zakamarkach worka, nie z powodu bandażu, ale penicyliny, środków uspokajających i pobudzających, wydawanych na patrole dalekiego zasięgu, i środków przeciwbólowych używanych podczas poważnych misji. Morfinę wydzielano rygorystycznie sanitariuszom, ale udało mi się zgromadzić mały zapasik deksedryny i demerolu. Miałem też trochę sulfonamidów. Zaniósłem bandaże i leki Tresowi; próbował trochę się ogarnąć, a ja nalałem wody i podałem mu pigułki.

Tres siedział oparty o poduszki, przykryty zakrwawionym prześcieradłem. Połknął dwie tabletki i otarł twarz z potu.

– Ciekawe, czemu to nie chce przestać krwawić – powiedział.

Potrząsałem głową. Wtedy nie wiedziałem. Teraz wiem.

Nietoperze wampiry i europejskie pijawki lekarskie wytwarzają tę samą substancję

przeciwwzkrzepową: hirudynę. Nietoperze wydzielają ją ze śliną, a pijawki produkują ją w przewodzie pokarmowym i rozsmarowują na powierzchni rany. Zapobiega ona zamknięciu się rany, dzięki czemu pasożyt może posilać się, jak długo zechce. Nietoperze wampiry potrafią ssać konia albo krowę godzinami; czasem wracają z innymi nietoperzami i uczta trwa aż do świtu.

Tres zasnął po chwili, a ja usiadłem na kiwającym się krześle przy oknie, obserwując drzwi z bezużytecznym pistoletem na kolanach. Przychodziły mi do głowy różne myśli: że zmuszam Maladunga, by znów zaprowadził mnie do Mary, a potem zabijam jego i kobietę. *I dziecko*, dodałem w myślach.

Ta myśl wcale nie była taka absurdalna. W ciągu poprzedzających ten urlop pięciu miesięcy widywałem już dość martwych dzieci. A żadne z martwych dzieci żółtków nie żywiło się zwiątowaną krwią z ust matki zanim nie zginęło. Przypuszczałem, że nie zawahałbym się ani sekundy: załatwiłbym matkę razem z dzieckiem. *A potem jak miałbyś się stamtąd wydostać?* – zapytała racjonalna część mojego umysłu. Tajowie raczej nie przyglądaliby się spokojnie, jak odwołuję przedstawienie prawdopodobnie jedynej *phanyaa mahn naga kio*, jakim dysponowali. Za bardzo gustowali w usługach świadczonych przez mamusię.

Zrezygnowałem z tego planu i próbowałem wymyślić, co robić dalej. Jeśli Tres będzie nadal krwawił, mógłbym go zabrać do biura wojskowego MACV, które podobno istniało gdzieś w Bangkoku. Gdyby okazało się to nieprawdą, mógłbym poszukać żandarmerii i poprosić o skierowanie w jakieś miejsce, gdzie można uzyskać fachową pomoc medyczną. Gdyby to też zawiodło, zaniósłbym go do najbliższego tajskiego szpitala i wymusił natychmiastowe udzielenie pomocy grożąc pistoletem.

Zasnąłem rozważając te opcje. Gdy się obudziłem, w pokoju było ciemno. Wentylator nadal apatycznie się kręcił, ale odgłosy dobiegające z ulicy miały nocne natężenie. Pościel była przesiąknięta świeżą krwią; krew była też na podłodze, a w łazience leżały zakrwawione ręczniki, ale Tresa nie było.

Popędziłem korytarzem, a potem zbiegłem po schodach, zanim uświadomiłem sobie, jak wyglądam: szaleństwo w oczach, bose stopy, naga pierś, w ręce trzydziestkaósemka o długiej lufie. Tajskie dziwki i ich alfonsi ledwo spojrzeli w moją stronę.

Wróciłem do pokoju, włożyłem cywilne ubranie z luźną hawajską koszulą, zatknąłem pistolet za pasek i wybiegłem prosto w noc.

Niewiele brakowało, a dogoniłbym Tresa. Dostrzegłem go na tej samej przystani, z której odplywaliśmy dwa dni wcześniej. Pograżoną w mroku postacią, która mu towarzyszyła, musiał być Maladung. Gdy wbiegłem na pirs, właśnie weszli na pokład długoogoniastej taksówki. Łódź wystartowała z rykiem.

Tres zauważył mnie. Wstał i o mało nie wypadł z przyspieszającej łodzi. Uniósł dłoń w moim kierunku, z rozłożonymi palcami, jakby chciał mnie dotknąć sięgając przez piętnaście metrów wody. Słyszałem, jak krzyczy do sternika: *Yout! Phuen young mai ma! Yout!*

Wtedy nie rozumiałem, ale teraz umiem to przetłumaczyć: *Zatrzymaj się! Mój przyjaciel chce wsiąść! Zatrzymaj się!*

Widziałem, jak Maladung ciągnie go, by usiadł. Wyjąłem pistolet i trzymałem go zupełnie bez sensu, a taksówka podskakiwała po powierzchni wody, aż znikła za płynącą w górę rzeki barką i pojawiła się tylko na sekundę, jako daleka latarnia, by wpłynąć w *klong* po drugiej stronie Chao Phraya.

Wiedziałem, że już nie zobaczę Tresa żywego.

Mara odwraca wzrok, gdy usta Tanhi zbliżają się do mego krocza. Nie pieści mnie językiem. Jeszcze nie. Młodsza z kobiet przyprawia mnie o erekcję samymi ustami.

Choć wielu mężczyzn tyle mówi i pisze o uciechach związanych z seksem oralnym, reakcja mężczyzny na *fellatio* jest zawsze niepewna. Dla wielu osób usta są organem tak niezwiązanym z konkretną płcią, że podświadomie nie potrafią one odprężyć się i czerpać przyjemności z takiego aktu. Inni doznają uczucia o niekontrolowanej intensywności, które powoduje, że pośrodku kaskady przyjemności włącza im się sygnał alarmowy. Wielu nie potrafi opędzić się od myśli o ostrych zębach.

Teraz muszę skupić się na tym, żeby nie myśleć o rozpoczynającej się erekcji. Na szczęście organ męski to prosty mechanizm działający w oparciu o zasadę bodźca i reakcji, jakie przyroda zastosowała nieomal wszędzie. Usta Tanhi są miękkie i dobrze wyszkolone; po fazie podniecenia następuje nieunikniony wzwód.

Zamykam oczy i próbuję nie myśleć o *niemyśleniu* o odzianych w smokingi mężczyznach za mną. Ktoś zgasił światło i teraz oświetlają nas tylko iskry łuku spawalniczego dwa piętra wyżej; pod moimi powiekami rozbłyskują iskierki magnezji. Mara szepcze i nagle doznaję szoku: ciepłe usta Tanhi odsuwają się. Potem przez sekundę owiewa mnie zimne powietrze, po czym powraca inny rodzaj wilgoci.

Otwieram oczy tylko na tyle, by zobaczyć, jak język Tanhi wysuwa się z jej ust i owija wokół mojego członka. Powidok spawalniczych iskierek sprawia, że cętkowany język wygląda raczej na fioletowy niż różowy. Przez ułamek sekundy widzę na nim pulsujące szczeliny jak malutkie otwory gębowe. Staram się wyprzeć z umysłu myśli o przewodach pokarmowych pijawek i minogów morskich. Wiele lat trenowałem, by w tej chwili odpowiednio się zachować.

Uczucie, które pojawia się na tle pulsującej fali ciepła, przypomina raczej mały wstrząs elektryczny niż dotyk meduzy. Nabieram gwałtownie powietrza i otwieram oczy. Tanha patrzy na mnie przez firanki rzęs. Wstrząs nadchodzi znów: uderza przez system nerwowy członka do podstawy kręgosłupa i dalej, do ośrodka przyjemności w mózgu. Znów zamykam oczy i jęczę. Mój odbyty kurczy się z rozkoszy. Spirala delikatnych wstrząsów ogarnia mnie całego, przenika moje ciało i powraca do mojego penisa jak delikatnie poruszająca się dłoń w aksamitnej rękawiczce. Moje uda zaczynają się poruszać wbrew mojej woli.

Serce wali mi tak dziko, że ucisk krwi przesłania wszystkie inne odgłosy wszechświata. Mój własny puls odbija się echem w mojej czaszce. Oddzielne małe wstrząsy łączą się, tworząc idealną spiralę rozkoszy. Mam wrażenie, jakbym pieprzył samo słońce. Gdy moje biodra zaczynają na dobre podskakiwać, a moje ręce szukają głowy Tanhi, by przyciągnąć ciepło jeszcze bliżej, jakaś odległa część mego umysłu obserwuje klasyczne oznaki nadciągającego orgazmu i zastanawia się nad parametrami tachykardii, miotonii i hiperwentylacji.

Sekundę później wszystkie resztki świadomości klinicznej zostają zmyte przez nową, silniejszą falę czystej przyjemności. Język Tanhi kurczy się, ciągnąc od podstawy krocza po główkę mojego członka, sztywnieje: napręża się i rozluźnia, napręża i rozluźnia. Wstrząsy zmieniają się w jeden obwód zamknięty uczucia prawie nie do zniesienia.

Napięcie jest tak ogromne, że prawie nie czuję wytrysku. Spod trzepoczących powiek widzę krople nasienia spadające na włosy i ramiona Tanhi jak białe płatki. Jej język nie zamiera ani na sekundę; oczy są tak samo żółte, jak u matki. Orgazm trwa, a napięcie nie opada ani trochę. Moje serce z trudem tłoczy dodatkowe porcje krwi do obrzmiałego organu.

Tak! Pragnę tego nawet w chwili, gdy moja głowa wygina się do tyłu, szyja napina się, a przez twarz przebiegają kurcze. *Tak!* Dokonuję wyboru, choć wiem, że już go nie mam.

Wytrysk następuje sekundę później. Krew wypływa silnym strumieniem z główki mojego penisa, ochlapując twarz i piersi Tanhi. Łapczywie zbliża do mnie usta, nie chcąc uronić ani kropli. Moje uda nadal poruszają się, pulsowanie nie ustaje. Chwila trwa i trwa.

Mara pochyła się bliżej.

*

Tuż po wschodzie słońca, tego poranka dwadzieścia dwa lata temu, przyszła po mnie tajska policja. Myślałem, że aresztują mnie za bieganie do rana po hotelowych korytarzach, wrzeszczenie do samego siebie i wymachiwanie trzymaną krzywo trzydziestkąósemką. Nie aresztowali mnie. Zaprowadzili mnie do Tresa.

Kostnica miejska w Bangkoku była mała i za słabo chłodzona. Zapach przywodził mi na myśl sad, w którym zbyt wiele owoców spadło, by zgnić w słońcu. Nie było tam metalowych szafek ani wysuwanych noszy jak w amerykańskich filmach: Tres leżał na stalowym stole w małym pomieszczeniu, razem z kilkunastoma innymi ciałami. Nie zakryli mu twarzy. Bez okularów wyglądał tak bezbrinnie.

– Jest jakiś... biały – zwróciłem się do jedyne go policjanta, który mówił po angielsku.

– Wyłowiliśmy go z rzeki – odparł brązowy człowieczek w białej marynarce z pasem w stylu Sama Brownea.

– On nie utonął – odparłem. To nie było pytanie.

Policjant potrząsnął głową.

– Pański przyjaciel stracił dużo krwi.

Podciągnął białą rękawiczkę, dotknął podbródka Tresa, po czym przekręcił głowę zwłok tak, że zobaczyłem długą ranę od noża, biegnącą od lewego ucha do jabłka Adama.

Z trudem opanowałem chęć, by zachichotać.

– Skąd wiedzieliście, gdzie mieszkam?

Biała rękawiczka powędrowała do kieszeni i wynurzyła się z hotelowym kluczem.

– Miał przy sobie tylko to.

Wpuściłem powietrze z płuc, zakołysałem się lekko, aż musiałem chwycić się stalowego stołu.

– On nie zginął od noża, panie inspektorze – powiedziałem.

– Coś panu pokażę.

Pociągnąłem za prześcieradło, odsłaniając nagie ciało Tresa.

Tym razem zachichotałem. Inspektor i dwaj inni policjanci zaczęli mi się przyglądać mrużąc oczy.

Nie było tam żadnych stygmatów. Narządy płciowe Tresa zostały w sposób prymitywny, lecz skuteczny, usunięte. Wyglądał jak lalka Ken, której ktoś rozlał czerwony lakier do paznokci na krocze. Opuściłem prześcieradło i cofnąłem się o krok.

Inspektor podszedł do mnie i chwycił mnie za przedramię, sam nie wiem czy po to, żeby mnie uspokoić, czy uniemożliwić mi ucieczkę.

– Przypuszczamy, że to ma związek z... jak wy to mówicie... kochającymi inaczej. Kłótnią między gejami. Widzieliśmy już takie obrażenia. Zawsze po kłótniach gejów. Chodzi o zazdrość.

– Gejów – powtórzyłem, próbując powstrzymać się od szlochania na równi z chichotaniem. – Taaa. – Byłem przekonany, że czeka mnie areszt i proces. Te wszystkie myśli, które starałem się utrzymać w tajemnicy, pojawią się na pierwszych stronach gazet, będą przekazywane szeptem w koszarach i latrynach. Czy Tajowie wsadzą mnie do więzienia tutaj, czy odeślą mnie przed sąd wojenny?

Inspektor puścił moją rękę.

– Wiemy, że nie było pana z nim, kiedy został zamordowany, szeregowcu Merrick. Zarządca pirsu w Phulong widział, jak pan krzyczy w stronę łodzi, którą odpłynął kapral Tindale. Kierownik hotelu zeznaje, że wrócił pan parę minut później, a potem się pan upił i przez całą noc było pana widać i słyszać. Nie mógł pan tam być, kiedy zamordowano kaprala, ale może wie pan, kto to zrobił? W jednostce będą pana wypytywać.

Uniosłem prześcieradło, ułożyłem je na ciele Tresa i cofnąłem się o krok od policjantów.

– Nie – odparłem. – Nie mam pojęcia.

*

Mara liże usta córki. Obie przyciągnęły ręce do boków i podkurczyły dziwnie dłonie, które wyglądają jak porażone. Wyobrażam sobie nietoperze wampiry zwisające z chłodnego sklepienia jaskini, ze zwiniętymi ciasno skrzydłami; pracują tylko ich wargi i języki.

Tanha wygina szyję i ciężka, czerwona ciecz przelatuje z wydętych ust do wyczekującej jamy ust matki. Słyszę wyraźnie odgłosy chłeptania i gulgotania. Nadal dygoczę w uścisku Tanhi: chwyt jej języka jeszcze nie zelżał. Moje serce z wysiłku wali jak młotem. Ciemnieje mi w oczach i już nie widzę sceny karmienia i dzielenia się pokarmem, słyszę tylko niskie, bulgoczące dźwięki.

Moje mięśnie twarzy nadal tkwią w potrzasku mimowolnego grymasu. Uśmiechnąłbym się, gdybym mógł.

*

Maladunga znalazłem jesienią 1975 roku, zaraz po ukończeniu studiów medycznych. Ten mały alfons przeszedł na emeryturę i wrócił na północ, do ojczystego Chiang Mai. Zapłaciłem wynajętemu tajskiemu detektywowi z pierwszej raty odziedziczonych pieniędzy i spędziłem dwa dni na obserwowaniu Maladunga, zanim go porwałem. Był żonaty, miał dwóch dorosłych synów i dziesięcioletnią córkę.

Szedł właśnie do małego sklepu, który prowadził w starej części miasta, kiedy mój jeep zatrzymał się przy nim; pokazałem mu pistolet automatyczny kaliber 9 mm i kazałem mu wsiadać. Zawiozłem go na wieś do małego domku, który wynajmowałem. Obiecałem, że go nie zabiję, jeśli tylko wszystko mi powie.

I chyba rzeczywiście powiedział mi wszystko, co wiedział. Mara i jej córka znikły i teraz dawały przedstawienia wyłącznie dla bardzo bogatych. Tres został zabity z powodu zwykłych środków ostrożności: on i ja byliśmy pierwszymi Amerykanami, którzy widzieli Marę; bali się, co może się stać, jeśli takie wieści rozniosą się wśród żołnierzy. Chcieli mnie zabić tej samej nocy, ale dwóch ludzi, którzy mieli tego dokonać, zobaczyło mnie pijanego i wrzeszczącego, z pistoletem w dłoni i zrezygnowało. Zanim wysłali innych, zdążyłem już wyjechać do Sajgonu.

Maladung przysięgał, że o śmierci Tresa dowiedział się już po fakcie. Przysięgł mi. Marang nie przypuszczał, by *phanyaa mahn naga kio* chciała wyrządzić *farangowi* jakąkolwiek krzywdę poza świadczonymi usługami. Przyłożyłem mu browninga do czoła i rozkazałem mu, że pod groźbą śmierci ma mi opowiedzieć, co zwykle działo się z ludźmi, którzy korzystali z usług Mary.

Maladung trząsał się jak staruszek.

– Umierają – powiedział po tajsku i powtórzył to samo po angielsku. – Najpierw tracą duszę – użył zwrotu *khwan hai*, „ich duch w postaci motyla odlatuje”, a potem miała wyciekać *winjan*, ich życiowa energia. – Wracają wiele razy, aż umrą – rzekł drżącym głosem. – Ale tak wybrali.

Opuściłem pistolet i powiedziałem:

– Wierzę ci, Maladung. Nie wiedziałeś o tym, że mają zabić Tresa. – Po czym uniosłem browninga i dwa razy strzeliłem mu w głowę.

Tej samej jesieni zacząłem szukać Mary.

*

Odzyskuję przytomność i mężczyzn w smokingach już nie ma. Tanha siedzi na krześle obok matki; widzę ją nad sobą. Dwie młode kobiety kończą rytuał mycia i ubierania mnie. Czuję bandażę pod spodniami. Mam wrażenie, jakby założono mi pieluchę. Moje krocze jest wilgotne od krwi, ale prawie nie zauważam tego dyskomfortu: przedłużone pulsowanie rozkoszy wypełnia mnie jak echo pięknej muzyki.

– Pan Noi powiedział mi, że masz więcej pieniędzy – mówi cicho Mara.

Kiwam głową, zbyt słaby, by przemówić. Pomysł, żeby zaatakować kobiety, wydaje mi się teraz zupełnie absurdalny, nawet gdybym nie zdawał sobie sprawy z obecności ich goryli czekających tuż za foliowymi płachtami. Mara i Tanha są źródłem nieskończonej przyjemności. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł je teraz skrzywdzić, kładąc kres temu, co ma nastąpić w nadchodzące noce.

– Limuzyna zabierze cię jutro z hotelu o północy – mówi Mara. Porusza palcami i trzech mężczyzn wyprowadza mnie. Jestem lekko zdziwiony tym, że bez pomocy nie jestem w stanie chodzić.

Ulice są puste i jest cicho jak w grobie. Nie słychać już strzelaniny. Na północy widać pomarańczowe płomienie. Zamykam oczy i smakuję blednącą rozkosz, gdy zawożą mnie z powrotem do The Oriental.

*

W Wietnamie jeszcze nie wiedziałem, że jestem gejem. Oszukiwałem się, że prawdziwa miłość, jaką czułem wobec Tresa, to zupełnie co innego: lojalność wobec kumpla, podziw, coś w rodzaju prawdziwie męskiego uczucia, jakie powinni żywić wobec siebie towarzysze broni. To jednak była miłość. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Zrozumiałem to wkrótce po powrocie z wojny.

Nigdy się nie ujawniłem. Przynajmniej nie publicznie. Już na studiach medycznych opanowałem sztukę odwiedzania najbardziej dyskretnych barów, umawiania się z najbardziej dyskretnymi mężczyznami i ustalania najbardziej dyskretnych zasad dla chwilowych związków. Później, kiedy moja praktyka rozwijała się, a ja stałem się osobą publiczną, nauczyłem się ograniczać moje łowy do kilku nocy w miastach położonych daleko od L. A. I umawiałem się na randki z kobietami. Niektórzy zastanawiali się, dlaczego nigdy się nie ożeniłem, ale wystarczyło im przypomnieć, jak rozległą praktykę prowadzę, by pomyśleli, że nie mam czasu na zakładanie rodziny.

I nadal polowałem na Marę. Dwa razy w roku latałem do Tajlandii, uczyłem się języka i miasta, i dwa razy w roku moi płatni szpiedzy donosili, że kobiety znikły. Dopiero dwa lata temu, w 1990, Mara i jej córka znów się pojawiły; zaczęły dawać kosztowne przedstawienia, gdy skończyły im się oszczędności.

Wtedy nie mogłem nic zrobić. Im więcej wiedziałem o Marze, Tanhi i ich zwyczajach, tym bardziej byłem pewien, że nigdy nie zdołam zbliżyć się do nich z bronią. Mój kochanek z San Francisco, z którym byłem przez sześć lat, odszedł, gdy obudziłem go w nocy krzycząc „Tres”.

Potem, zaledwie sześć miesięcy temu, otrzymałem pewne wyniki badań i po kilku godzinach spędzonych w histerycznej złości zrozumiałem, że oto włożono mi broń do ręki.

Zacząłem planować.

Dziobaty nakazuje skinieniem pozostałym, by mnie wypuścili i idę chodnikiem w stronę hotelu. Nawet o piątej rano są tam odźwierni w liberiach, którzy pozdrawiają mnie uprzejmie i otwierają drzwi. Udaje mi się skinąć im głową i idę przez stare Skrzydło Autorów do wind w nowym skrzydle. Ktoś z obsługi przytrzymuje mi drzwi windy.

– Dzień dobry, doktorze Merrick – mówi młody Taj, prawie jeszcze chłopiec.

Uśmiecham się i czekam, aż drzwi windy się zamkną, by chwycić się mosiężnej poręczy, starając się nie upaść. Czuję, że bandaże przeciekają i mam zakrwawione spodnie. Tylko długa kamizelka skrywa krew.

W pokoju kąpię się, opatruję rany specjalnym, przywiezionym przeze mnie balsamem, wstrzykuję sobie środek zwiększający krzepliwość, kąpię się jeszcze raz i przed wpełźnięciem do łóżka wkładam czystą piżamę. Za kilka minut wzejdzie słońce. Za czternaście godzin znów zapadnie ciemność, a ja wrócę do Mary i jej córki.

*

W Chiang Mai, gdzie dziwki są tanie, a młodzi ludzie świętują osiągnięcie pełnoletności wizytą w burdelu, 72% najbiedniejszych prostytutek w mieście uzyskało w tym roku dodatni wynik testu na obecność wirusa HIV.

W barach i seksklubach Patpongu człowiek w czerwono-niebiesko-złotym kostiumie superbohatera rozdaje prezerwatywy. Nazywają go Kapitan Kondom; jest pracownikiem PDA, Population and Community Development Association. PDA to owoc działań senatora Mechai Viravaidy, ekonomisty i członka Globalnej Komisji ds. AIDS Światowej Organizacji Zdrowia. Mechai poświęcił tyle czasu, energii i pieniędzy na promowanie prezerwatyw, że wszyscy w Bangkoku mówią na gumki *mechai*. Prawie nikt ich jednak nie używa. Mężczyźni odmawiają, a kobiety nie nalegają.

W Tajlandii jedna osoba na pięćdziesiąt utrzymuje się z płatnego seksu.

Przypuszczam, że komputerowe prognozy dla Tajlandii roku 2000 są błędne. Przypuszczam, że wirusem HIV zostanie zarażonych więcej niż pięć milionów ludzi, a umrze więcej niż milion.

Przypuszczam, że ciała wypełnią *klongi* i będą leżeć w rynsztokach wzdłuż *soi*. Przypuszczam, że tylko bardzo bogatym i bardzo, bardzo ostrożnym uda się uniknąć tej zarazy.

Mara i Tanha były – aż do niedawna – bardzo bogate. I bardzo ostrożne. Dopiero ich pragnienie, by znów dojść do majątku sprawiło, że przestały uważać.

Moje dokumenty zaświadczające o braku wirusa HIV są oczywiście sfalszowane. To nie było trudne. Wydruki z wynikami są prawdziwe, zmieniłem tylko daty, imię i nazwisko, zanim skopiowałem je na oficjalnym papierze listowym i opieczetowałem. Jestem członkiem kadry naukowej trzech instytucji, których pieczęcie i formularze sobie pożyczyłem.

W ciągu sześciu miesięcy od otrzymania dodatniego wyniku na obecność wirusa HIV plan w mojej głowie rozrastał się od pomysłu do konieczności.

Mara i jej dziecko to potwory, lecz nawet potwory bywają nieostrożne. Nawet potwory można zabić.

*

Na suficie mojego kosztownego, klimatyzowanego apartamentu w The Oriental nie ma wentylatora. Gdy pierwsze blade promienie świtu pełzną po suficie zdobionym tekiem i gipsem, zadowolam się wyobrażaniem sobie, że jest tam powoli kręcący się wentylator i z tym obrazem pod powiekami próbuję zasnąć.

Uśmiecham się wyobrażając sobie, co się będzie działo tej nocy i następnej. Widzę starą kobietę liżącą usta młodszej i otwierającą paszczę pod strumieniem krwi. Mojej krwi. Krwi śmierci.

Nim zasnę, ukojony połkniętym lekiem i tym, jak to się wszystko ostatecznie potoczyło, przywołuję obraz, który utrzymywał mnie przy życiu przez tyle lat i przez kilka ostatnich miesięcy.

Wyobrażam sobie Tresa, jak zdejmuje okulary i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek, Tresa o twarzy niewinnego chłopca i policzkach tak gładkich, jakie może mieć tylko ukochany. Tresa, który mówi:

– Wracam tam, Johnny. Wracam tam dziś wieczorem.

A ja biorę go za rękę i mówię z absolutnym przekonaniem:

– Idę z tobą.

Uśmiecham się, gdyż dotarłem do miejsca, do którego chciałem powrócić od tak dawna, i zanurzam się w śnie i przebaczeniu.

Przełożyła Jolanta Pers

O autorze

Dan Simmons (ur. 1948) jeden z najbardziej znanych współczesnych pisarzy amerykańskich. W wieku 23 lat otrzymał tytuł magistra pedagogiki i przez następne 18 lat pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej. Po opublikowaniu powieści *Hyperion* (1990), która przyniosła mu międzynarodową sławę, przeszedł na zawodowe pisarstwo. Debiutował jednak wcześniej, powieścią *Pieśń bogini Kali*, która przyniosła mu World Fantasy w 1985. *Hyperion*, nagrodzony Hugo, rozwinął w dwie potężne dylogie (*Hyperion* i *Upadek Hyperiona*, *Endymion* i *Triumf Endymiona*).

Inne znane w Polsce jego powieści to *Terror*, *Ilion*, *Olimp*, *Ostrze Darwina*, *Wydrążony człowiek*, *Faza grawitacji*, *Eden w ogniu*, *Letnia noc* i *Muza ognia*.

Dan Simmons doskonale czuje się w każdym gatunku literackim, pisuje science fiction, grozę, horror, powieści sensacyjne i historyczne. Jego twórczość charakteryzuje perfekcyjny styl, bogate, przemyślane tło i bizantyjskie intrygi.

JOHN VARLEY

Nacišnij Enter

Era komputerów i rewolucja informatyczna odmieniły świat. Są wciąż ludzie, którzy nie zdają sobie z tego sprawy. Ale pierwsze próby opisania zagrożeń płynących z tego faktu powstały, kiedy pisarze fantastyki nie mieli jeszcze komputerów. William Gibson napisał swojego *Neuromancera* na maszynie do pisania, podobnie John Varley słynne i poruszające opowiadanie „Naciśnij Enter”. Nowela zdobyła trzy najważniejsze nagrody – Hugo, Nebulę i Locusa (tak samo powieść Gibsona). Niewielu jest twórców, którym się ta sztuka udało – a Varleyowi dwukrotnie, jeszcze za „Uporczywość widzenia”.

Varley posiada tę szczególną cechę, która sprawia, że potrafi dostrzec zaskakujące implikacje w banalnych wydawałoby się rzeczach. W „Naciśnij Enter” dostrzegł możliwości i niebezpieczeństwa tkwiące w sieci komputerowej, kiedy już komputery będą obecne w każdym domu. A napisał te słowa w czasach, gdy Internet istniał tylko na usługach amerykańskiej armii (ARPANET), a pecety Apple’a i IBM dopiero wchodziły do masowej produkcji, z mocą obliczeniową dzisiejszych zegarków i kalkulatorów. Oto prawdziwie wizjonerskie opowiadanie, które jeszcze dzisiaj wzbudza dreszczyk emocji.

Naciśnij Enter

To jest nagranie. Proszę nie odkładać słuchawki, dopóki... Trzasnąłem słuchawką tak mocno, że telefon spadł na ziemię. Przez jakiś czas stałem, ociekając wodą i trzęsąc się ze złości. W końcu aparat zaczął buczeć, jak zawsze, gdy słuchawka nie leży na widełkach. Buczenie jest dwadzieścia razy głośniejsze od każdego dźwięku, jaki telefon normalnie wydaje. Zawsze byłem ciekaw dlaczego. Jakby to było jakieś straszne nieszczęście. „Alarm! Słuchawka twojego telefonu nie leży na widełkach!”. Automatyczne urządzenia do przyjmowania telefonów to jedna z licznych drobnych przykrości życia codziennego. Przyznajcie się: kto naprawdę lubi mówić do maszyny? Ale to, co stało się przed chwilą, to było coś więcej niż drobne utrapienie. Oto automatyczne urządzenie telefoniczne zadzwoniło do mnie. Takie aparaty istnieją od niedawna. Dostaję dwa-trzy podobne telefony w miesiącu, głównie z towarzystw ubezpieczeniowych. Po podniesieniu słuchawki słyszy się dwuminutowy tekst reklamowy oraz numer, pod który można zadzwonić, gdy kogoś to zainteresuje. (Raz zadzwoniłem pod taki numer, by im powiedzieć, co ja o tym myślę, ale automat cały czas powtarzał „Proszę czekać” na tle niefrasobliwej muzyczki). Mają listy numerów, pod które dzwonią. Nie wiem, skąd je biorą. Wróciłem do łazienki, wytarłem krople wody z plastikowej obwoluty książki pożyczonej z biblioteki i ponownie wszedłem do wanny. Woda już się wychłodziła. Dolałem ciepłej; moje ciśnienie zaczęło już wracać do stanu normalnego, gdy telefon zadzwonił znowu. Odczekałem piętnaście dzwonek próbując nie zwracać na nie uwagi. Czy ktoś z was próbował czytać przy dzwoniącym telefonie?

Po szesnastym dzwonku wstałem. Wytarłem się, włożyłem szlafrok, wszedłem powoli, z namaszczeniem, do pokoju. Przez jakiś czas wlepiałem oczy w telefon. Po pięćdziesiątym dzwonku podniosłem słuchawkę.

– To jest nagranie. Proszę nie odkładać słuchawki, dopóki tekst się nie skończy. Jest pan połączony z domem pańskiego sąsiada, Charlesa Kluge’a. Nagranie będzie powtarzać się co dziesięć minut. Pan Kluge zdaje sobie sprawę, że nie można zaliczyć go do najlepszych sąsiadów pod słońcem i z góry przeprosza za kłopot. Prosi o to, aby pan udał się natychmiast do jego domu. Klucz jest pod wycieraczką. Proszę wejść do środka i zrobić to, co należy. Za pańską uprzejmość zostanie pan wynagrodzony. Dziękuję.

Trzask. Sygnał centrali.

Nie jestem człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym. Dziesięć minut później, gdy telefon znowu się odezwał, wciąż jeszcze siedziałem w pokoju chcąc sobie wszystko przemyśleć. Podniosłem mikrotelefon i słuchałem uważnie. Był to ten sam tekst. Tak jak poprzednio, głos w słuchawce nie należał do Kluge'a. Pochodził jakby z syntezy, a miał w sobie tyle ciepła, co komputerki do nauki ortografii. Przesłuchałem wszystko jeszcze raz, po czym odłożyłem mikrotelefon. Zastanowiłem się, czy nie zawiadomić policji. Charles Kluge mieszkał w sąsiednim domu od dziesięciu lat. Przez cały ten czas rozmawiałem z nim może kilkanaście razy, nigdy dłużej niż minutę. Nie miałem wobec niego żadnych zobowiązań. Myślałem, żeby zignorować wezwanie. Nadal o tym rozmyślałem, gdy telefon zadzwonił znowu.

Spojrzałem na zegarek. Dziesięć minut. Podniosłem słuchawkę i od razu ją odłożyłem. Mogłem odłączyć telefon. Moje życie wiele by na tym nie ucierpiało. W końcu jednak ubrałem się i wyszedłem przez drzwi frontowe, skręciłem w lewo i skierowałem się ku domowi Kluge’a. Mój sąsiad z przeciwka, Hal Lanier, właśnie kosił trawnik. Pomachał do mnie, a ja do niego. Było około

siódmej, cudowny sierpniowy wieczór. Na ziemi kładły się długie cienie. W powietrzu wisiał zapach skoszonej trawy. Zawsze lubiłem ten zapach. Już czas na koszenie mojego trawnika, pomyślałem. Kluge'owi taka myśl zapewne nie powstała w głowie. Jego trawnik sięgał kolan; był spalony słońcem i zagłuszony chwastami. Zadzwoiłem do drzwi. Gdy nikt nie otwierał, zastukałem. Potem westchnąłem, zajrzałem pod wycieraczkę i skorzystałem z leżącego tam klucza, by otworzyć drzwi.

– Kluge? – zawołałem wsuwając głowę do środka.

Przeszedłem przez krótki hol, z wahaniem, jak zawsze, gdy nie wiadomo, jak cię przyjmą. Zasłony były jak zwykle zasunięte, toteż w środku panowała ciemność, ale z ekranów rozstawionych dookoła pokoju, który kiedyś służył za salon, padało tyle światła, że zobaczyłem Kluge'a. Siedział na krześle przed stołem, z twarzą wciśniętą w klawiaturę komputera. Miał tylko pół głowy. Hal Lanier jest operatorem komputera w komendzie policji Los Angeles, toteż zawiadomiłem go o tym, co znalazłem, a on zadzwonił na komendę. Razem zaczekaliśmy na przybycie pierwszego wozu. Hal pytał cały czas, czy czegoś dotykałem, a ja odpowiadałem, że nie, z wyjątkiem klamki u drzwi wejściowych. Pojawiła się jadąca bez syreny karetka. Wkrótce dookoła zaroilo się od policjantów, a także sąsiadów, którzy przyglądali się ze swoich podwórek albo rozmawiali przed frontem domu Kluge'a. Ekipy reporterów z jakichś stacji telewizyjnych zjawiły się akurat w porę, by sfilmować wynoszone ciało, owinięte w arkusz folii. Mężczyźni i kobiety przychodzili i odchodzili. Przypuszczałem, że prowadzili rutynowe działania policyjne: zdejmowanie odcisków palców, zabezpieczenie śladów. Poszedłbym do domu, ale kazali mi być pod ręką. W końcu poproszono mnie do środka; był tam porucznik Osborne, który kierował dochodzeniem. Wprowadzono mnie do salonu Kluge'a. Wszystkie ekrany były wciąż włączone. Osborne podał mi dłoń; uścisnąłem ją. Zanim się odezwał, przyjrzał mi się uważnie. Był to niski, łysiejący facet; wyglądał na zmęczonego, dopóki nie spojrzał na mnie. Potem, choć właściwie w jego twarzy nie zaszła zmiana, zupełnie przestał sprawiać wrażenie zmęczonego.

– Pan się nazywa Victor Apfel? – spytał. Potwierdziłem. Zatoczył ręką krąg wokół pokoju. – Pani Apfel, czy może pan stwierdzić, czy stąd coś wyniesiono?

Rozejrzałem się jeszcze raz, jakbym przygotowywał się do rozwiązywania łamigłówek. W pokoju był kominek i zasłony na oknach. Na podłodze leżał dywan. Poza tym nie było tu nic więcej, czego można byłoby się spodziewać w salonie. Wzdłuż ścian szły rzędy stołów, między którymi było wąskie przejście. Na stołach znajdowały się monitory, klawiatury, stacje dysków – cała ta wyrafinowana rupieciarnia nowej ery. Wszystko było połączone grubymi kablami i przewodami. Pod stołami stały kolejne komputery oraz skrzynki wypełnione podzespołami elektronicznymi. Nad stołami wisiały sięgające sufitu półki, zapchane pudełkami z taśmami, dyskami, kasetami... nie pamiętałem wtedy, jak się to fachowo nazywa. Teraz już wiem: oprogramowanie.

– Nie ma tu mebli, prawda?... Poza...

Wyglądał na zbitego z tropu.

– Chce pan powiedzieć, że przedtem były tu meble?

– Skąd mam wiedzieć? – Wówczas pojąłem, na czym polegało nieporozumienie. – Ach tak, myślał pan, że byłem tu przedtem. Po raz pierwszy moja noga powstała w tym pokoju około godziny temu.

Zmarszczył brwi; nie bardzo mi się to spodobało.

– Lekarz twierdzi, że ten facet nie żyje mniej więcej od trzech godzin. Jak to się stało, że pan tu trafił właśnie godzinę temu, Victor?

Nie odpowiadało mi to, że mówi do mnie po imieniu, ale nie wiedziałem, jak mógłbym się temu sprzeciwić. Za to wiedziałem, że muszę mu powiedzieć o telefonie. Wydawał się nieprzekonany. Ale

łatwo było to sprawdzić, co też zrobiliśmy. Hal, Osborne i ja wraz z paroma innymi policjantami udaliśmy się do mego domu. Gdy wchodziliśmy, telefon dzwonił. Osborne podniósł mikrotelefon i słuchał. Twarz jego przybrała kwaśny wygląd, który w miarę upływu czasu pogłębiał się. Oczekaliśmy dziesięć minut na następny dzwonek telefonu. Osborne wykorzystał ten czas na obejrzenie wszystkiego w moim salonie. Byłem zadowolony, gdy telefon znowu zadzwonił. Policjanci nagrali tekst, po czym wróciliśmy do domu Kluge'a. Osborne wyszedł na podwórze, by przyrzeć się lasowi anten na dachu. Widok ten zrobił na nim wrażenie.

– Pani Madison, mieszkająca kilka domów dalej, uważa, że Kluge próbował nawiązać kontakt z Marsjanami – odezwał się Hal ze śmiechem w głosie. – Co do mnie, to pomyślałem, że pewnie kradł programy telewizji satelitarnej. – Wśród anten były trzy paraboliczne, sześć wysokich masztów i parę takich urządzeń, które można zobaczyć na dachach budynków towarzystw telefonicznych stosujących mikrofałe. Osborne znowu poprowadził mnie do salonu. Powiedział mi, żebym opisał, co zobaczyłem. Nie wiedziałem, co mu z tego przyjdzie, ale spróbowałem.

– Siedział na tym krześle, które stało pod tym stołem. Zobaczyłem na podłodze pistolet; nad nim zwieszała się ręka Kluge'a.

– Pan myśli, że to samobójstwo?

– Tak, chyba tak pomyślałem. – Czekałem, żeby coś na to powiedział, ale nie odezwał się. – Czy pan myśli tak samo?

Westchnął.

– Nie było żadnego listu.

– Nie zawsze zostawiają listy – zwrócił uwagę Hal.

– Ale robią to tak często, że mój nos zaczyna węszyć, kiedy listu nie ma. – Wzruszył ramionami.

– To pewnie nic nie znaczy.

– Ten tekst przez telefon – odezwał się. – To mógł być swoisty list samobójcy.

Osborne skinął głową. – Czy zauważył pan coś jeszcze?

Podszedłem do stołu i spojrzałem na klawiaturę. Był to model TI-99/4A wyprodukowany przez Texas Instruments. Po prawej stronie, gdzie leżała głowa Kluge'a, widać było ciemną plamę zakrzepłej krwi.

– Tyle tylko, że siedział przed tą maszyną.

Dotknąłem klawisza i natychmiast stojący za klawiaturą monitor wypełnił się słowami. Szybko cofnąłem rękę, po czym spojrzałem na ekran.

PROGRAM NAME: ZEGNAJ ŚWIECIE DATE: 8/20

CONTENTS: TESTAMENT; DROBIAZGI

PROGRAMMER: „CHARLES KLUGE”

ABY URUCHOMIĆ, NACIŚNIJ ENTER

Czarny kwadracik na końcu bez przerwy migał. Potem dowiedziałem się, że jego nazwa brzmi „kursor”. Wszyscy zebrali się dookoła. Hal, specjalista od komputerów, wyjaśnił, że wiele podobnych urządzeń wyłącza się po dziesięciu minutach jałowego biegu, żeby słowa unieruchomione na ekranie nie wypaliły się w nim na stałe. Tutaj ekran był cały zielony, zanim go dotknąłem, po czym na niebieskim tle ukazały się czarne litery.

– Czy konsolę sprawdzono na odciski palców? – spytał Osborne. Nikt nie wiedział, więc porucznik wziął ołówek i umocowaną na jego końcu gumką dotknął klawisza ENTER. Słowa zniknęły z ekranu, który pozostał przez chwilę niebieski, po czym wypełnił się maleńkimi owalnymi kształtami pojawiającymi się u góry i opadającymi jak deszcz. Były ich setki, w najróżniejszych kolorach.

– To są pastylki – powiedział jeden z policjantów, a jego głos wyrażał najwyższe zdumienie. – Popatrzcie: tamto, to musi być quaalude. A tu jest nembutal. – Inni gliniarze rozpoznali następne lekarstwa. Ja sam zauważyłem białą kapsułkę otoczoną pośrodku wyraźnym czerwonym paskiem, która na pewno była dilantiną. Brałem ją codziennie od wielu lat. W końcu pastylki przestały opadać, a ten cholerny komputer zaczął nam przygrywać. Był to hymn „Blżej do Ciebie, mój Boże”, w trójtonie. Kilka osób zaśmiało się. Chyba nikt nie uznał tej sytuacji za śmieszną; każdego przechodziły ciarki, gdy słuchał tej niesamowitej pieśni żałobnej – ale brzmiała ona, jakby zaaranżowano ją na gwizdek, organy parowe i kazoo. Czy można było się nie śmiać? W czasie muzyki z lewej strony ekranu pojawiła się maleńka figurka złożona wyłącznie z kwadracików i chwiejąc się konwulsyjnie ruszyła ku środkowi. Przypominała jedną z tych figurek, które pojawiają się w grach telewizyjnych, ale była bardziej uproszczona. Trzeba było wysilić wyobraźnię, by uwierzyć, że to człowiek. Pośrodku ekranu pojawił się jakiś kształt. „Człowiek” zatrzymał się przed nim. Zgiął się w połowie, a pod nim pojawiło się coś, co mogło być krzesłem.

– Co to ma być?

– Komputer. Nie?

Musiał to być komputer, ponieważ mały człowieczek wyciągnął ręce, które odtąd wznosiły się gwałtownie i opadały jak u pianisty podczas furioso. Człowieczek wystukiwał na klawiaturze słowa, które pojawiały się ponad nim. GDZIEŚ PO DRODZE COŚ STRACIŁEM. SIEDZĘ TU DZIEŃ I NOC, JAK PAJĄK POŚRODKU KONCENTRYCZNEJ SIECI, PAN WSZYSTKIEGO, CO BADAM... A TO ZA MAŁO. MUSI BYĆ WIĘCEJ. WPISZ TU SVOJE IMIĘ – Chryste Panie – powiedział Hal. – Nie do wiary. Interakcyjny list samobójczy.

– Szybciej, musimy zobaczyć resztę.

Stałem najbliżej klawiatury, więc nachyliłem się i wystukałem swoje imię. Ale kiedy spojrziałem na ekran, okazało się, że napisałem VICT9R.

– Jak to cofnąć? – zapytałem.

– Nie szkodzi, proszę nacisnąć ENTER – powiedział Osborne. Wyciągnął rękę za moimi plecami i sam nacisnął. CZY CZUJESZ TO CZASEM, VICT9R? CAŁE ŻYCIE PRZEPRACOWAŁEŚ, BY STAĆ SIĘ NAJLEPSZYM W TYM, CO ROBISZ, A PEWNEGO DNIA BUDZISZ SIĘ I ZADAJESZ SOBIE PYTANIE, PO CO TO WSZYSTKO? TO WŁAŚNIE STAŁO SIĘ ZE MNĄ. CZY CHCESZ DOWIEDZIEĆ SIĘ CZEGOŚ JESZCZE, VICT9R? T/N

Od tego miejsca tekst stał się rozwlekły. Kluge najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, czuł wyrzuty sumienia, bowiem po każdym czterdziesto- czy pięćdziesięciowyrazowym akapicie czytający miał ponownie możliwość wyboru między „tak” (T) i „nie” (N). Przez cały czas wzrok mój zbacał z ekranu na klawiaturę, gdy przypominałem sobie opartą na niej głowę Kluge’a. Myślałem o tym, jak siedział tu sam zapisując ten tekst. Stwierdził w nim, że jest zniechęcony. Uważał, że nie może już tak dłużej żyć. Brał zbyt wiele proszków (które w tym miejscu znów pojawiły się na ekranie) i nie widział przed sobą celu. Zrobił wszystko, co sobie zamierzył. Nie zrozumieliśmy tego. Stwierdził, że już nie istnieje. Wzięliśmy to tylko za przenośnię. CZY JESTEŚ POLICJANTEM, VICT9R? JEŚLI NIE POLICJA NIEDŁUGO SIĘ TU ZJAWI. A WIĘC MÓWIĘ TOBIE ALBO POLICJI: NIE HANDLOWAŁEM NARKOTYKAMI. TAMTO W SYPIALNI, TO TYLKO DO MOJEGO UŻYTKU. BRAŁEM DUŻO. A TERAZ JUŻ NIE POTRZEBUJĘ. NACIŚNIJ ENTER

Osborne nacisnął i natychmiast po drugiej stronie pokoju rozległ się terkot drukarki, co nas cholernie wystraszyło. Widziałem, jak drukarka śmiga to w prawo, to w lewo, drukując w obu kierunkach, gdy nagle Hal wskazał ręką na ekran i krzyknął:

– Spójrzcie! Spójrzcie na to!

Człowieczek z komputera znowu stał, twarzą do nas. W ręku miał coś, co musiało być pistoletem; trzymał to przy głowie.

– Nie rób tego! – wrzasnął Hal.

Człowieczek nie posłuchał. Rozległa się imitacja wystrzału i człowieczek upadł na wznak. Czerwona linia pociekła w dół ekranu. Potem zielone tło przeszło w błękit, drukarka wyłączyła się i wszystko zniknęło, z wyjątkiem małych czarnych zwłok u dołu ekranu oraz wypisanych przy nich słów ****DOKONAŁO SIĘ****. Odetchnąłem głęboko i spojrzałem na Osborne'a. Powiedzieć, że miał w tej chwili nieszczęśliwy wygląd, to było powiedzieć o wiele za mało.

– Co to było o tych narkotykach w sypialni? – odezwał się. Patrzyliśmy, jak Osborne wyciąga szuflady w szafkach i stolikach nocnych. Nic nie znalazł. Zajrzał pod łóżko i do szafy. Jak wszystkie pozostałe pokoje w domu, ten również był pełen komputerów. W ścianach wykuto dziury, którymi biegły grube pęki kabli. Stałem obok wielkiego cylindra z tektury; kilka takich znajdowało się w sypialni. Miał około stu pięćdziesięciu litrów pojemności: taki bęben jak do transportu różnych artykułów sypkich. Pokrywka nie była zaklejona, więc ją podniosłem. Pożałowałem tego.

– Lepiej niech pan na to spojrz, Osborne – powiedziałem. Cylinder był wyścielony grubym workiem foliowym. Do dwóch trzecich wypełniała go quaalude. Otwarto pozostałe pokrywki. Znaleźliśmy bębny z amfetaminą, z nembutalem, z valium. Różne rzeczy. Po odkryciu tych wszystkich specyfików w pokoju zaroilo się od policjantów. Za nimi weszły ekipy telewizyjne. W tym całym rozgardiaszu wszyscy wyraźnie zapomnieli o mnie, toteż nic nikomu nie mówiąc wróciłem do swego domu i zamknąłem drzwi na klucz. Od czasu do czasu zerkałem przez zasłony. Widziałem, jak reporterzy rozmawiają z sąsiadami. Był wśród nich Hal, który zapewne miał swój dzień. Dwa razy reporterzy zastukali do moich drzwi, ale nie zareagowałem. W końcu odeszli. Napuściłem do wanny gorącej wody i moczyłem się w niej chyba przez godzinę. Potem zwiększyłem moc ogrzewania tyle, ile się dało, i wśliznąłem się pod kołdrę. Trząsałem się przez całą noc.

Osborne przyszedł nazajutrz o dziesiątej. Wpuściłem go do środka. Za nim wszedł Hal, z bardzo nieszczęśliwą miną. Zdałem sobie sprawę, że nie kładli się całą noc. Nalałem im kawy.

– Niech pan lepiej od razu to przeczyta – rzekł Osborne wręczając mi wydruk z komputera, ten z wczorajszego wieczoru. Rozłożyłem go, wyjąłem okulary i zacząłem czytać. Wydruk pochodził z tej ohydnej drukarki mozaikowej; zawsze takie śmiecie wyrzucam nie czytane do kominka, ale tym razem zrobiłem wyjątek. Był to testament Kluge'a. Jakiś sąd spadkowy pewnie będzie miał z nim duży ubaw. Kluge raz jeszcze oświadczał w nim, że nie istnieje, wobec tego nie może mieć krewnych. Postanowił zapisać wszystkie swoje dobra doczesne komuś, kto na to zasługuje. Ale kto zasługuje? zastanawiał się Kluge. Na pewno nie państwo Perkins, cztery domy dalej w dół ulicy, którzy deprawowali nieletnich. Kluge cytował akta sądów z Buffalo i Miami oraz mający się wkrótce rozpocząć proces w sądzie miejscowym. Pani Radnor i pani Polonski, mieszkające naprzeciwko siebie pięć domów w dół ulicy, były plotkami. Najstarszy syn Andersonów kradł samochody. Marian Flores ściągала podczas klasówek z algebry.

Był taki facet w okolicy, który naciągał władze miejskie proponując budowę autostrady przez swoją ziemię. Czyjaś żona kombinowała ze zjawiającymi się co jakiś czas komiwojażerami, zaś dwie inne miały jakieś romanse na boku. Jakiś nastolatek zrobił swojej dziewczynie dziecko, rzucił ją, a potem chwalił się tym przed kolegami. Co najmniej dziewiętnaście rodzin z sąsiedztwa ukrywało całkowicie lub częściowo swe dochody przed władzami podatkowymi. Sąsiedzi Kluge'a trzymali na podwórku psa, który szczekał całą noc. No, na psa mogłem się jeszcze zgodzić. Mnie samego nie raz zrywał w nocy na nogi. Ale cała reszta była bez sensu!

Po pierwsze, jakim prawem facet, który w sypialni trzyma prawie tysiąc litrów narkotyków,

osądza swoich sąsiadów tak surowo? To znaczy, deprawowanie nieletnich to jedna sprawa, ale żeby oczerniać całą rodzinę, bo syn kradnie samochody? A poza tym... skąd on wiedział o niektórych sprawach? Ale było tam jeszcze więcej. W szczególności czwórka niewiernych mężów. Między nimi Harold (Hal) Lanier, który od trzech lat widywał się z kobietą nazwiskiem Toni Jones, podobnie jak on zatrudnioną w Dziale Przetwarzania Danych policji Los Angeles. Namawiała Hala na rozwód z żoną, on zaś „czekał na odpowiedni moment, by jej o tym powiedzieć”. Spojrzałem na Hala. Jego poczerwieniała twarz starczyła mi za całe potwierdzenie. I nagle jakbym dostał obuchem w głowę. Czego Kluge dowiedział się o mnie? Przebiegłem wzrokiem wydruk, szukając swojego nazwiska. Znalazłem je w ostatnim akapicie.

„... Przez trzydzieści lat pan Apfel płaci za błąd, którego nawet nie popełnił. Nie zamierzam posunąć się aż tak daleko, by proponować uznanie go za świętego, ale z braku przeciwwskazań – gdyby nawet nie było innych powodów – niniejszym zapisuję moją posiadłość i stojący na niej dom Victorowi Apfelowi”. Spojrzałem na Osborne'a, którego zmęczone oczy patrzyły na mnie uważnie.

– Ale ja tego nie chcę!

– Czy pańskim zdaniem, to ta nagroda, o której Kluge wspominał w swoim nagraniu?

– Na pewno – odparłem. – A cóż by to było innego?

Osborne westchnął i odchylił się w fotelu.

– Przynajmniej nie zechciał zapisać panu lekarstw. Czy nadal pan twierdzi, że go nie znał?

– Czy pan mnie o coś oskarża?

Rozłożył ręce.

– Panie Apfel, po prostu zadaję panu pytanie. Z samobójstwami nigdy nic do końca nie wiadomo. Może to było morderstwo. Jeśli tak, to jak dotąd, jest pan jedyną znaną nam osobą, która na tym skorzystała.

– Był dla mnie prawie zupełnie obcym człowiekiem.

Skinął głową, stukając palcem w swój egzemplarz wydruku. Ja popatrzyłem na swój, myśląc, że dałbym wiele, żeby go tu nie było.

– Co to za... błąd, którego pan nie popełnił?

Obawiałem się tego pytania.

– Byłem jeńcem w Korei – powiedziałem.

Osborne przetrwał to przez chwilę w milczeniu.

– Zrobili panu pranie mózgu?

– Tak.

Uderzyłem dłonią w oparcie fotela i nagle poczułem potrzebę wstania i przejścia się po pokoju. W domu robiło się chłodno.

– Nie. Ja nie... – z tym słowem zawsze było dużo zamieszania. Czy robili mi „pranie mózgu”? Tak. Czy powiodło im się? Czy przyznałem się do swych zbrodni i potępiłem rząd USA? Nie. Raz jeszcze poczułem, jak taksują mnie owe pozornie zmęczone oczy.

– Wciąż pan jeszcze... silnie to odczuwa.

– Czegoś takiego się nie zapomina.

– Czy chce pan coś jeszcze dodać?

– Tyle tylko, że to wszystko było takie... Nie, nie mam nic do dodania. Ani panu, ani komukolwiek innemu.

– Będę musiał zadać panu jeszcze kilka pytań na temat śmierci Kluge'a.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli mój adwokat będzie przy tym obecny. – O Chryste. Teraz muszę brać adwokata. Nawet nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Osborne znowu tylko skinął głową.

Podniósł się i poszedł do drzwi.

– Chciałem to uznać za samobójstwo – powiedział. – Gryzło mnie tylko to, że nie było listu. Teraz mamy już list. – Machnął ręką w kierunku domu Kluge'a i nagle na jego twarzy pojawił się gniewny wyraz. – Ten facet nie tylko pisze list, ale programuje to całe kurestwo do komputera razem z efektami specjalnymi rodem z gry wideo. Wiem, że ludzie wyczyniają różne wariactwa. Widziałem już wiele dziwnych rzeczy. Ale kiedy usłyszałem, jak komputer wygrywa hymn kościelny, zrozumiałem, że to morderstwo. Mówiąc prawdę, panie Apfel, nie uważam, że pan to zrobił. W tym wydruku są ze dwa tuziny motywów. Może on szantażował ludzi na prawo i lewo. Może właśnie w ten sposób zarobił na te wszystkie maszyny. A ludzie, którzy mają tyle narkotyków, zwykle umierają gwałtowną śmiercią. Mam dużo do zrobienia w tej sprawie i znajdę mordercę. – Wymamrotał coś o nieopuszczaniu miasta, o tym, że wpadnie później, i wyszedł.

– Victor... – odezwał się Hal. Spojrzałem na niego. – Ja o tamtym... co było w wydruku – wykrztusił w końcu. – Byłbym ci wdzięczny... no wiesz, o co mi chodzi. – Miał oczy jak basset. Nigdy przedtem nie zauważyłem tego u niego.

– Hal, jeśli po prostu pójdiesz sobie i dasz mi spokój, nie masz się czego obawiać.

Skinął głową i chyłkiem ruszył w stronę drzwi.

– Myślę, że to wszystko nie wyjdzie na jaw – powiedział.

*

Ale, oczywiście, wyszło na jaw. Stałoby się tak zapewne nawet, gdyby nie było tych listów, które zaczęły nadchodzić w kilka dni po śmierci Kluge'a. Wszystkie nadano w Trenton, w stanie New Jersey; wszystkie wydrukował komputer, którego nikt nie potrafił odnaleźć. Listy opisywały szczegółowo wszystko, o czym Kluge wspomniał w swym testamencie. Ale wtedy nic o tym jeszcze nie wiedziałem. Resztę dnia po wyjściu Hala spędziłem w łóżku, leżąc pod kocem elektrycznym. Nie byłem w stanie rozgrzać stóp. Wstawałem tylko po to, by pomoczyć się w wannie lub zrobić kanapkę. Do drzwi dobijali się reporterzy, ale nie otwierałem. Następnego dnia zadzwoniłem do adwokata od spraw karnych – Martina Abramsa, pierwszego na liście – i zaangażowałem go. Adwokat powiedział mi, że pewnie przyjadą, by zabrać mnie na komendę, na przesłuchanie. Odparłem, że nie pojadę, szybko wzięłem dwa proszki i rzuciłem się biegiem do łóżka. Parę razy w okolicy rozlegały się syreny wozów policyjnych. Raz usłyszałem dochodzące z ulicy krzyki. Opanowałem pokusę, by wyrzec. Pewnie, że byłem ciekaw, ale wiadomo, co stanie się z tym, kto pcha nos między drzwi. Czekałem na ponowną wizytę Osborne'a, który jednak nie przyszedł. Minęło kilka dni, potem tydzień. Przez ten czas wydarzyły się tylko dwie interesujące rzeczy. Pierwszą było stukanie do drzwi, dwa dni po śmierci Kluge'a. Wyrzłem przez szparę w drzwiach i zobaczyłem srebrzyste ferrari stojące przy krawężniku. Nie mogłem dostrzec, kto stoi pod drzwiami, więc zapytałem, kto tam.

– Nazywam się Lisa Foo – odezwał się damski głos. – Prosił pan, żebym wpadła.

– Absolutnie sobie nie przypominam.

– Czy to nie dom Charlesa Kluge'a?

– To tamten obok.

– Och, przepraszam.

Pomyślałem, że powinienem uprzedzić ją, że Kluge nie żyje, więc otworzyłem drzwi. Dziewczyna obróciła się do mnie i uśmiechnęła się. Wrażenie było piorunujące. Jak można zacząć opis Lisy Foo? Pamiętacie te lata, gdy gazety drukowały na pierwszych miejscach karykatury Hirohito i Tojo, a Times bez zażenowania używał słowa „żółtek”? Karykatury przedstawiały małych ludzików z twarzami szerokimi jak piłki do rugby, uszami jak ucha dzbanków, w okularach w grubej oprawie, z dwoma zajęczymi zębami i cienkimi jak ołówek wąsami... Gdyby nie brak wąsów, Lisa

byłaby idealną modelką do karykatury Tojo. Miała potrzebne okulary, uszy, zęby. Ale zęby te tkwiły w klamerkach, niczym klawisze fortepianu owinięte drutem kolczastym. Miała może metr siedemdziesiąt, może metr siedemdziesiąt pięć i nie ważyła więcej niż pięćdziesiąt kilo. Dałbym jej nawet tylko czterdzieści pięć, ale dodałem po dwa i pół kilo za obie piersi, tak niewiarygodnie duże, przy jej chudej sylwetce, że zrazu napis na jej koszulce odczytałem jako LVIS ŻYJ. Dopiero kiedy obróciła się w lewo i prawo, zobaczyłem po jednej literze E na początku i końcu napisu. Wyciągnęła szczupłą dłoń.

– Wygląda, że na jakiś czas będziemy sąsiadami – powiedziała. – Przynajmniej, póki nie zostanie uporządkowana sprawa tej smoczej jamy obok.

Jeśli mówiła z jakimś obcym akcentem, to chyba tylko przedmieście Los Angeles.

– To ładnie.

– Znał go pan? Znaczą Kluge'a. Tego nazwiska przynajmniej używał.

– Myśli pani, że nie było prawdziwe?

– Wątpię. „Klug” to po niemiecku „mądry”. W slangu programistów oznacza to „cwany”. A to faktycznie był cwany gość. Miał wesoło poukładane w umózwgowieniu. – Postukała się znacząco w skroń. – Wirusy i fantomy, i diabły wyskakujące przy każdym włączeniu, zgnilizna oprogramowania, bity wyciekające z wiader na podłogę...

Paapłała tak jeszcze przez jakiś czas. Na tyle, co z tego zrozumiałem, równie dobrze mogła mówić w suahili.

– Mówiła pani, że w jego komputerach zagnieździły się diabły?

– Właśnie.

– Wygląda na to, że potrzebny jest egzorcysta.

Stuknęła palcem w pierś i pokazała w uśmiechu następne ćwierć hektara zębów.

– To właśnie ja. Słuchaj pan, muszę lecieć. Niech pan kiedyś wpadnie.

Drugie interesujące wydarzenie tego tygodnia nastąpiło dzień później. Przyszedł wyciąg z konta. Znajdowały się na nim trzy wpłaty. Pierwsza to zwykły czek z Biura Rent Wojennych na 487 dolarów. Drugą były odsetki od pieniędzy odziedziczonych po rodzicach piętnaście lat temu, w wysokości 392,54 dolarów. Trzeciej wpłaty dokonano dwudziestego, w dzień śmierci Charlesa Kluge'a. Wynosiła ona 700.083 dolary i cztery centy.

Kilka dni później wpadł Hal Lanier.

– Stary, co za tydzień – westchnął. Potem opadł na kanapę i opowiedział mi o wszystkim. Kolejny zgon miał miejsce w sąsiedztwie. Listy narobiły wiele zamieszania, szczególnie, że jednocześnie policja chodziła od domu do domu przesłuchując wszystkich. Niektórzy przyznali się do różnych rzeczy, bo byli przekonani, że gliniarze lada moment się do nich dobiorą. Owa kobieta, która zabawiała się z komiwojażerami, gdy jej mąż był w pracy, przyznała się do niewierności i jej ślubny ją zastrzelił. Siedział teraz w miejscowym więzieniu. Był to najdrastyczniejszy wypadek, ale zdarzyły się i inne, od mordobicia do rzucania kamieniami w okna. Według tego, co powiedział Hal, urząd podatkowy rozważał możliwość założenia filii w sąsiedztwie, tyle osób trzeba było przesłuchać. Pomyślałem o siedmiuset tysiącach osiemdziesięciu trzech dolarach. I czterech centach. Nie powiedziałem nic, ale zimno mi się zrobiło.

– Chyba chcesz posłuchać o mnie i o Betty – powiedział Hal w końcu. Nie chciałem. Nie chciałem w ogóle o niczym słyszeć, ale spróbowałem wywołać na twarzy wyraz współczucia. – To już się skończyło – rzekł z westchnieniem ulgi. – To znaczą między mną i Toni. Opowiedziałem Betty o wszystkim. Parę dni było paskudnie, ale uważam, że nasze małżeństwo umocniło się przez to.

Milczał przez chwilę, delektując się tym miłym uczuciem. Potrafiłem zachować powagę w

jeszcze trudniejszych sytuacjach, więc sędzę, że i teraz nieźle dałem sobie radę. Chciał opowiedzieć mi o wszystkim, czego dowiedzieli się o Kluge'u, a potem usiłował zaprosić mnie na obiad, ale wymówiłem się od obydwu rzeczy pod pretekstem odzywających się ran wojennych. Już prawie odprowadziłem go do drzwi, gdy zastukał w nie Osborne. Nie było innej rady, jak go wpuścić. Hal też został. zaproponowałem porucznikowi kawę, którą przyjął z wdzięcznością. Wyglądał jakoś inaczej. Zrazu nie mogłem się domyślić, na czym to polegało. Ten sam zmęczony wyraz twarzy... a nie, nie ten sam. Wówczas w znacznej części był on zapewne udawany lub pochodził z wrodzonego cynizmu gliniarza. Dziś był prawdziwy. Zmęczenie przeszło z twarzy na ramiona, ręce, sposób chodzenia, a także sposób, w jaki zwalił się na fotel. Wokół niego roztaczała się atmosfera porażki.

– Czy nadal jestem podejrzany? – zapytałem.

– To znaczy, czy ma pan wezwać adwokata? Chyba nie ma po co. Prześwietliłem pana nie najgorzej. Ten testament się nie utrzyma, toteż pański motyw można o dupę potłuc. O ile mogę skapować, każdy handlarz koksu w dokach miał lepszy powód, by stuknąć Kluge'a, niż pan.

Westchnął.

– Mam parę pytań. Może pan na nie odpowiedzieć, albo nie.

– Niech pan spróbuje.

– Przypomina pan sobie jakichś niezwykłych gości Kluge'a? Ludzi, którzy przychodzili i wychodzili w nocy?

– Przypominam sobie tylko doręczenia. Listonoszy. Ludzi z poczty ekspresowej, z towarzystw spedycyjnych... takie coś. Chyba te lekarstwa przyszły właśnie w jednej z takich dostaw.

– My też tak uważamy. W żaden sposób nie mógł być detalistą; raczej pośrednikiem. Dostawa do niego, odbiór od niego. – Zadumał się nad tym przez chwilę pijąc kawę.

– Dowiedzieliście się już czegoś?

– Chce pan znać prawdę? Sprawa się rypla. Mamy za dużo motywów, a żaden nie pasuje. O ile można w ogóle mieć pewność, nikt w okolicy nie miał najmniejszego pojęcia, że Kluge wie to wszystko. Sprawdziliśmy konta bankowe i nie ma żadnych dowodów szantażu. Tak więc sąsiedzi są raczej wykluczeni. Choć jeśli Kluge byłby nadal przy życiu, wiele osób stąd zabiłoby go teraz.

– Jasna sprawa – powiedział Hal.

Osborne klepnął się w udo.

– Gdyby ten sukinsyn żył, sam bym go zatłukł – powiedział.

– Ale zacznym myśleć, że on nigdy nie był żywy.

– Nie rozumiem.

– Gdybym nie widział tych przeklętych zwłok... – Wyprostował się nieco. – Powiedziałbym, że nie istnieje. I praktycznie nie istniał. Rejon energetyczny nigdy o nim nie słyszał. Owszem, Kluge był podłączony do ich linii i dostarczali mu co miesiąc odczyt licznika, ale nigdy nie obciążyli go choćby za jeden kilowat. To samo z urzędem telekomunikacji. On miał w domu całą centralkę telefoniczną, którą mu ten właśnie urząd sam zainstalował, ale w rejestrach nie ma jego nazwiska. Rozmawialiśmy z facetem, który to wszystko podłączał. Po robocie posłał kontrolkę do komputera, który ją połknął bez śladu. Kluge nie miał rachunku w żadnym banku w Kalifornii i najwyraźniej go nie potrzebował. Znaleźliśmy ze sto firm, które mu coś sprzedały, a potem albo zapisały, że rachunek zapłacono, albo zapomniały, że w ogóle coś u nich kupował. Niektóre z nich mają w archiwach numery czeków z rachunków czy nawet banków, które nie istnieją. – Znowu odchylił się w fotelu, gotując się aż na myśl o tej całej przewrotności: – Jedynego faceta, jakiego znaleźliśmy, który w ogóle kiedykolwiek o nim słyszał, to ten gość, który dostarczał mu raz w miesiącu artykuły spożywcze. Właściciel małego sklepiku na Sepulvedzie. U nich nie ma komputera; wszystko zapisują tradycyjnie. Kluge zawsze

płacił czekiem. Wells Fargo przyjmował te чеки nigdy ich nie kwestionując. Ale Wells Fargo nigdy nie słyсzał o Kluge'u.

Przemyślałem to. Osborne wyraźnie oczekiwał z mojej strony jakiejś reakcji, więc strzeliłem na oślep.

– On to wszystko robił za pomocą komputerów?

– Zgadza się. To zagranie ze sklepem spożywczym raczej rozumiem. Ale znacznie częściej Kluge łamał kod jakiegoś komputera i wymazywał zapis o sobie. Rejon nie otrzymywał zapłaty ani czekiem, ani inaczej, bo według posiadanych przez nich danych niczego mu nie sprzedawali. Żadna agencja rządowa nigdy o nim nie słyсzała. Sprawdziłiśmy wszędzie, od poczty po CIA.

– Kluge to zapewne nie było jego prawdziwe nazwisko? – zapytałem.

– Aha. Ale FBI ma jego odciski palców. W końcu dojdziemy, kto to taki. Ale nic nam to nie da w sprawie odpowiedzi na pytanie, czy to było morderstwo.

Przyznał, że były naciski, aby po prostu zamknąć kryminalną część sprawy, uznać przypadek za samobójstwo i zapomnieć o wszystkim. Ale Osborne nie chciał uwierzyć w samobójstwo. Oczywiście postępowanie cywilne będzie jeszcze trwać przez jakiś czas, ponieważ chciano ustalić wszystkie oszustwa Kluge'a.

– Wszystko teraz w rękach tej smoczej damy – rzekł Osborne. Hal parsknął.

– Marne szanse – powiedział i mruknął coś o uciekinierach.

– Tej dziewczyny? Ona jeszcze tu jest? Kto to taki?

– To jakiś supermózg z Politechniki Kalifornijskiej. Zadzwoniliśmy tam, mówiąc o naszych problemach, i właśnie ją przysłali. – Z wyrazu twarzy Osborne'a wynikało jasno, jakie zdanie miał o jakiegokolwiek pomocy, której dziewczyna mogłaby udzielić.

W końcu udało mi się ich pozbyć. Kiedy szli dróżką do furtki, spojrzałem w stronę domu Kluge'a. Jasna sprawa, srebrne ferrari Lisy Foo stało na podjeździe. Nie miałem żadnego powodu, żeby tam iść. Wiedziałem o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Zabrałem się więc do przygotowywania kolacji. Przyrządziłem zapiekankę z tuńczyka – robię ją ostrzej niż inni – wstawiłem do piecyka i wyszedłem do ogródka, by narwać czegoś na sałatkę. Kiedy krajałem mini pomidory i myślałem, czyby nie schłodzić butelki białego wina, przyszło mi do głowy, że tego jedzenia starczyłoby na dwoje. Ponieważ nigdy nie robię niczego pośpiesznie, usiadłem i zastanowiłem się przez chwilę. Ostatecznie zadecydowały moje stopy. Po raz pierwszy od tygodnia były ciepłe. Poszedłem więc do domu Kluge'a. Drzwi frontowe były otwarte, bez żadnego parawanu, który zasłaniałby wnętrze. Śmieszne, jak niepokojąco wygląda otwarty na oścież, nie zabezpieczony przed intruzami, dom mieszkalny. Stałem na progu i zajrzałem do środka, ale zobaczyłem tylko hol.

– Panno Foo? – zawołałem.

Nie było odpowiedzi.

Ostatnim razem, kiedy tu byłem, znalazłem trupa. Pośpiesznie wszedłem do środka. Lisa Foo siedziała na obrotowym stołku przed konsolą komputera. Odwrócona była bokiem do drzwi, plecy miała wyprostowane, a brązowe nogi skrzyżowane w pozycji lotosu. Palce trzymała nad klawiaturą, a na znajdującym się przed nią ekranie tryskały kaskady słów. Podniosła wzrok i pokazała zęby w uśmiechu.

– Ktoś mi mówił, że pan nazywa się Victor Apfel – odezwała się.

– Owszem. Mhm, drzwi były otwarte...

– Jest gorąco – odparła rzeczowo, ujmując koszulkę w pobliżu szyi i potrząsając, jak ktoś, kto się spocił. – Czym mogę służyć?

– Właściwie niczym. – Wszedłem w ciemność i o coś się potknąłem. Było to duże płaskie pudło

z kartonu, takie w jakich dostarcza się do domu pizzę. – Właśnie robiłem sobie kolację i wygląda na to, że starczy na dwie osoby, więc pomyślałem sobie, że może pani... – zamilkłem nagle, bo zobaczyłem coś jeszcze. Dotąd myślałem, że Lisa ma na sobie szorty. Okazało się jednak, że ubrana jest tylko w koszulkę i majtki od dwuczęściowego opalacza. Nie sprawiała wrażenia, że ją to krępuje. – ... Zjadłaby ze mną kolację? – dokończyłem.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Bardzo chętnie – powiedziała. Bez wysiłku rozprostowała nogi i zeskoczyła na ziemię, po czym przeszła obok mnie, pozostawiając za sobą zapach potu i mydła toaletowego. – Zaraz wracam.

Rozejrzałem się jeszcze raz po pokoju, ale myśli moje ciągle błądziły wokół niej. Lisa lubiła pić pepsi do pizzy; wokoło wałały się dziesiątki puszek. Na jej kolanie i udzie widniała głęboka blizna. Popielniczki były puste... a gdy szła, długie mięśnie jej łydek sprężyste się poruszały. Kluge na pewno palił, ale Lisa nie; a plecy jej w krzyżu porośnięte były drobnymi, przypominającymi puszek włoskami, ledwie widocznymi w zielonej poświacie ekranu komputera. Usłyszałem plusk wody płynącej do umywalki, spojrzałem na żółty notatnik pokryty tak kaligraficznym pismem, jakiego od lat nie oglądałem, poczułem zapach mydła i przypomniałem sobie opaloną na brązowo skórę, a także swobodny chód. Lisa pojawiła się w holu; miała na sobie dopasowane dzinsy, sandały i nową koszulkę. Na starej widniał napis reklamujący SPRZĘT BIUROWY BURROUGHSA. Na tej była Myszka Miki i zamek królowny Śnieżki, a całość pachniała świeżo wypraną bawełną. Uszy Myszk Miki leżały na górnych stokach wybijałych piersi Lisy. Wyszedłem z domu za nią. Na tylnej części koszulki zobaczyłem Dzwoneczka z Piotrusia Pana, otoczonego tumanem czarodziejskiego pyłu.

– Podoba mi się ta kuchnia – powiedziała.

Nikt nie przygląda się dokładnie własnej kuchni, dopóki nie usłyszy czegoś podobnego. Moja kuchnia była wehikułem czasu. Bardzo łatwo można ją sobie wyobrazić jako ucieleśnienie reklamówek, które drukował „Life” w latach pięćdziesiątych. Oto była opływowa lodówka marki Frigidaire; nazwa ta służyła ongiś jako rzeczownik pospolity, podobnie jak żyłotka czy szampan. Błaty kuchenne wyłożone były żółtymi kafelkami, jakie teraz spotyka się tylko w łazienkach. W kuchni nie było ani grama plastyku. Zamiast zmywarki do naczyń miałem suszarkę i podwójny zlewozmywak. Nie było tu nawet elektrycznego otwieracza do puszek, robota kuchennego, prasy do odpadków czy kuchni mikrofalowej. Najnowszym nabytkiem w całym pomieszczeniu był piętnastoletni mikser. Mam sprawne ręce. Lubię naprawiać różne rzeczy.

– Ten chleb jest znakomity – stwierdziła Lisa.

Sam go upiekłem. Patrzyłem, jak skórka wyciera talerz; potem spytała, czy można dostać dokładkę. Jak mi się zdaje, wycieranie talerza chlebem nie jest oznaką dobrego wychowania. Nie to, żeby mi to przeszkadzało: sam to robię. Poza tym zresztą jej maniery były nieskazitelne. Zmiotła trzy porcje mojej zapiekanki, a kiedy skończyła, talerza prawie nie trzeba było myć. Wyczułem u niej wilczy apetyt, ledwie utrzymywany na uwięzi. Usiadła wygodniej w fotelu, a ja dolałem jej wina.

– Pękłabym. – Poklepała się z zadowoleniem po brzuchu.

– Bardzo panu dziękuję, panie Apfel. Wieki całe nie jadłam domowego obiadu.

– Mówmy sobie po imieniu.

– Uwielbiam amerykańską kuchnię.

– Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Mam na myśli, w odróżnieniu od kuchni chińskiej, albo... ty jesteś Amerykanką, prawda?

Uśmiechnęła się tylko.

– Chciałem powiedzieć...

– Wiem, co chciałeś powiedzieć, Victor. Mam obywatelstwo, ale nie urodziłam się tu.

Przepraszam cię na chwilę. Wiem, że to niegrzecznie zaraz po jedzeniu wstawać od stołu, ale przez te klamerki muszę natychmiast oczyścić zęby.

Słyszałem ją, uprzątajac stół. Puściłem wodę do zlewu i zacząłem zmywać. Lisa przyszła po chwili, złapała ścierkę i pomimo moich protestów wzięła się do wycierania talerzy z suszarki.

– Sam tu mieszkasz? – spytała.

– Tak. Od kiedy umarli moi rodzice.

– Byłeś kiedyś żonaty? Jeśli uważasz, że to nie mój interes, to powiedz.

– Nic nie szkodzi. Nie, nigdy nie byłem żonaty.

– Całkiem dobrze sobie radzisz bez kobiety w domu.

– Wieloletnia praktyka. Mogę cię o coś zapytać?

– Wal.

– Skąd pochodzisz? Z Tajwanu?

– Mam talent do języków. W kraju mówiłam łamanym amerykańskim, ale kiedy tu przyjechałam, poprawiłam się. Również mówię paskudnym francuskim, prymitywnym chińskim w czterech czy pięciu odmianach, rynsztokowym wietnamskim i znam tyle słów po tajsku, żeby umieć zawołać: „Moja chceć widzieć amerykański konsul szybko mnóstwo za bardzo, ty!”.

Roześmiałem się. Kiedy to mówiła, słyhać było wyraźny obcy akcent.

– Jestem tu od ośmiu lat. Kapujesz teraz, skąd przyjechałam?

– Z Wietnamu? zaryzykowałem.

– Jasne, z ulic Sajgonu.

– Wziąłem cię za Japonkę – powiedziałem.

– Ale jaja, co? Kiedyś ci o tym opowiem. Powiedz mi, Victor, czy w tamtym pomieszczeniu jest pralka automatyczna?

– Tak jest.

– Czy zrobię duży kłopot, jeśli skorzystam?

Nie był to żaden kłopot. Przyniosła siedem par dżinsów wycierusów, niektóre z odciętymi nogawkami, oraz ze dwa tuziny koszulek z napisami. Równie dobrze mogłaby to być garderoba chłopaka, gdyby nie zdobiona falbankami bielizna. Wyszliśmy na podwórze, by posiedzieć w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, po czym Lisa wyraziła zainteresowanie moim ogrodem. Jestem z niego dumny. Kiedy dobrze się czuję, pracuję w nim cztery czy pięć godzin, przez cały rok, zwykle z rana. W południowej Kalifornii można sobie na to pozwolić. Mam nawet małą szklarnię, którą sam postawiłem. Ogród bardzo jej się podobał, choć nie wyglądał teraz najciekawiej. Przez większość ubiegłego tygodnia siedziałem głównie w łóżku albo w wannie. W rezultacie tu i ówdzie pojawiły się chwasty.

– Mieliśmy ogród, kiedy byłam mała – rzekła. – A poza tym spędziłam dwa lata na poltku ryżowym.

– Tam musiało być zupełnie inaczej niż tu.

– Jak cholera. Znienawidziłam ryż na wiele lat.

Lisa znalazła gniazdo mszyc, więc przykucnęliśmy oboje, by je wybierać. Kucała w ten osobliwy sposób, charakterystyczny dla chłopców azjatyckich, który pamiętałem tak dobrze, a nigdy nie nauczyłem się go naśladować. Miała palce długie i wąskie, wkrótce ich koniuszki zazieleniły się od rozgniatanych owadów. Rozmawialiśmy o tym i o owym. Nie bardzo pamiętam, jak do tego doszło, ale w końcu powiedziałem jej, że walczyłem w Korei. Dowiedziałem się, że ma dwadzieścia pięć lat.

Okazało się, że mamy urodziny tego samego dnia, tak że kilka miesięcy wcześniej miałem

dokładnie dwa razy tyle lat, co ona. Nazwisko Kluge'a padło tylko jeden raz; wtedy, kiedy Lisa powiedziała, że bardzo lubi gotować. W domu Kluge'a nie miała możliwości.

– Tam w garażu stoi zamrażarka cała wypełniona gotowymi daniami obiadowymi – oświadczyła. – Miał jeden talerz, jeden widelec, jedną łyżkę i jedną szklankę. W kuchni stał najlepszy na rynku piecyk mikrofalowy. I to jest to, stary. Poza tym w kuchni nie było absolutnie nic. – Potrząsnęła głową i wykonała egzekucję na kolejnej mszycy. – Pieprznięty manekin, ot co.

Kiedy jej rzeczy się uprały, był już późny wieczór i zrobiło się prawie ciemno. Zapakowała wszystko do mojego kosza wiklinowego i wynieśliśmy pranie pod sznur do bielizny. Podczas wieszania wymyśliłem zabawną grę; roztrzepywałem koszulkę i przyglądałem się obrazkowi lub napisowi. Czasem domyślałem się, co on oznacza, a czasem nie. Były tam zdjęcia zespołów rockowych, mapa Los Angeles, fotosy ze Star Treku... wszystkiego po trochu.

– Co to jest Towarzystwo L5?

– To ci, którzy chcą budować wielkie farmy w kosmosie. Pytałam ich, czy będą tam uprawiać ryż, a oni odpowiedzieli, że ich zdaniem nie jest to najlepsze zboże do stanu nieważkości, więc kupiłam od nich koszulkę.

– Ile tego masz?

– No, będzie ze cztery czy pięć setek. Zazwyczaj noszę jedną dwa-trzy razy, a potem odkładam.

Podniosłem następną koszulkę, z której wypadł biustonosz. Nie taki, jakie nosiły dziewczyny za moich młodych lat. Był bardzo przejrzysty, choć jednocześnie wypełniał swoją powinność.

– Podoba się, Jankesie? – odezwała się Lisa z silnym obcym akcentem. – A żebyś zobaczył moją siostrę!

Spojrzałem na nią; od razu twarz jej spochmurniała.

– Przepraszam, Victor – powiedziała.

– Nie musisz się rumienić.

Wzięła ode mnie biustonosz i powiesiła go na sznurze. Musiała błędnie odczytać wyraz mojej twarzy. Prawda, byłem zakłopotany, ale także w jakiś osobliwy sposób zadowolony. Już dawno nikt nie nazywał mnie inaczej, jak „pan Apfel” czy „Victor”. Następnego dnia poczta przyniosła list od firmy adwokackiej w Chicago. Dotyczył tamtych siedmuset tysięcy dolarów. Pieniądze pochodziły z pakietu akcji w Delaware, które wypuszczono w roku 1933, by zapewnić mi dostatnie życie na starość. Moich rodziców zarejestrowano jako założycieli. Pewne długoterminowe inwestycje przyniosły owoc w postaci owego nieoczekiwanego strumienia forsy. Suma, którą wpłacono na moje konto, była już po potrąceniu podatków. Od samego początku sprawa wyglądała bezsensownie. Moi rodzice nigdy nie mieli tyle pieniędzy. Ja ich nie potrzebowałem. Oddałbym je, gdybym wiedział, od kogo Kluge je ukradł. Postanowiłem, że jeśli za rok o tej porze nie będę siedział, przekażę je na jakiś cel dobroczynny. Ratujmy wieloryby, na przykład, albo może Towarzystwo L5. Ranek spędziłem w ogrodzie. Potem poszedłem do supermarketu i kupiłem trochę świeżej mielonej wołowiny i wieprzowiny. Czułem się świetnie, gdy ciągnąłem moje zakupy do domu w składanym wózku z drutu. Kiedy mijałem srebrne ferrari, uśmiechnąłem się. Lisa nie zabrała jeszcze swojego prania. Zdjąłem wszystko ze sznura, poskładałem, po czym zastukałem do drzwi domu Kluge'a.

– To ja, Victor.

– Wejdz, Jankesie.

Znalazłem ją tam, gdzie poprzednio, ale tym razem przyzwoicie ubraną. Uśmiechnęła się do mnie; gdy zobaczyła kosz z bielizną, uderzyła się dłonią w czoło. Podbiegła, by wziąć go ode mnie.

– Przepraszam, Victor. Naprawdę sama chciałam to...

– Nieważne – powiedziałem. – Nic się nie stało. A przynajmniej mam okazję, by zapytać cię,

czy znowu zjesz ze mną kolację?

Coś przebiegło jej przez twarz, co szybko ukryła. Może „amerykańska kuchnia” nie smakowała jej aż tak bardzo, jak zapewniała. A może to wina kucharza.

– Jasne, Victor, bardzo chętnie. Może ja się tym zajmę. A ty odsłoń te kotary; ciemno tu jak w grobie.

Wyszła szybkim krokiem. Spojrzałem na włączony ekran. Widniało na nim tylko to: „stosunek-p”. Pomyślałem, że wystukała niewłaściwą literę. Gdy odsuwałem zasłony, zobaczyłem samochód Osborne'a podjeżdżający do krawężnika. Weszła Lisa, w nowej koszulce. Tym razem napis reklamował księgarnię sf A CHANGE OF HOBBIT, zaś pod napisem był rysunek pękatego stworzonka o stopach porośniętych sierścią. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak Osborne dochodzi do domu.

– Mój drogi Watsonie – powiedziała – oto inspektor Lestrade ze Scotland Yardu. Poproś go do środka.

Nie była to odzywka na miejscu; porucznik wchodząc obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. Wybuchnąłem śmiechem. Lisa usiadła na obrotowym stołku, zachowując twarz pokerzysty. Siedziała niedbale, jedną dłoń trzymając w pobliżu klawiatury.

– No więc, Apfel – zaczął Osborne – w końcu ustaliliśmy prawdziwe nazwisko Kluge'a.

– Patrick William Gavin – odezwała się Lisa.

Minęło trochę czasu, zanim Osborne był w stanie zamknąć rozdziawione usta. Od razu otworzył je znowu.

– Skąd pani o tym wie, do cholery?

Leniwie pogłaskała palcami klawiaturę.

– No więc, oczywiście poznałam je dziś rano, gdy weszłam do pańskiego biura. W waszym komputerze jest taki maleńki lewy program, który szepce mi coś do ucha za każdym razem, gdy wymienia się nazwisko Kluge. Ale mnie to było niepotrzebne. Wiedziałam już pięć dni temu.

– To dlaczego, do... dlaczego mi pani nie powiedziała?

– Nie pytał pan.

Przez chwilę oboje wściekle na siebie patrzyli. Nie miałem pojęcia, co zaszło przed tym wszystkim, ale było zupełnie jasne, że oboje ani trochę się nie lubili. Tym razem Lisa była górą i wyraźnie się z tego cieszyła. Następnie spojrzała na ekran, zdziwiła się i szybko nacisnęła klawisz. Słowo, które było tam przedtem, zniknęło. Spojrzała na mnie zagadkowo, po czym ponownie obróciła się w stronę Osborne'a.

– Jeśli pan sobie przypomina, sprowadził mnie tu pan, bo wasi ludzie nie mogli sobie poradzić. Ten system miał udar mózgu, zanim się tu znalazłam; był praktycznie w katatonii. W znacznym stopniu klapnął, a wy nie potrafiliście go podnieść – w tym miejscu się uśmiechnęła. – Uznaliście, że mnie nie uda się zepsuć więcej niż wam. Poprosiliście mnie więc, żebym spróbowała złamać kody Kluge'a nie niszcząc jednocześnie całego systemu. No więc zrobiłam to. Trzeba było tylko przyjść, podłączyć się, a ja zwałam wam na kolana całe tony wydruków.

Osborne słuchał w milczeniu. Może nawet zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd.

– I co pani otrzymała? Można to zobaczyć?

Skinęła głową i nacisnęła kilka klawiszy. Tekst zjawił się na jej ekranie, a także na drugim, który stał obok porucznika. Wstałem i zacząłem czytać to, co było u Lisy. Był to krótki życiorys Kluge'a/Gavina. Facet miał mniej więcej tyle lat, co ja, ale kiedy do mnie strzelano w dalekim kraju, on zbierał pierwsze plony w raczkującej wówczas technice komputerowej. Siedział w niej od samego początku, pracując w wielu czołowych zakładach badawczych. Zaskoczyło mnie, że potrzeba

było aż ponad tygodnia, by go zidentyfikować.

– Ułożyłam to na podstawie wywiadu – powiedziała Lisa, gdy my czytaliśmy. – Przede wszystkim musicie zdać sobie sprawę, że Gavin nie istnieje w żadnym systemie informacji komputerowej. Dzwoniłam więc po ludziach w całym kraju – a nawiasem mówiąc, on sobie tu zrobił ciekawy układ telefoniczny: przy każdym połączeniu jest generowany nowy numer, a więc nie można ustalić, skąd są rozmowy – i zaczęłam rozpytywać, kto był ważny w informatyce w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Podano mi wiele nazwisk. Wtedy już wystarczyło tylko odszukać, kogo nie ma w rejestrach. Gavin sfingował własną śmierć w roku 1967. Znalazłam nawet o niej wzmiankę w jednej gazecie. Wszyscy, którzy go znali, a z którymi rozmawiałam, słyszeli o jego śmierci. Na Florydzie jest jego akt urodzenia i to było jedyne świadectwo jego istnienia, jakie znalazłam. Był jedynym facetem, którego znali ludzie z branży, a który nie pozostawił po sobie żadnego śladu. Uznałam to za ostateczny dowód.

Osborne skończył czytać, po czym podniósł wzrok.

– Dobrze, pani Foo. Czego jeszcze się pani dowiedziała?

– Złamałam kilka jego kodów. Miałam trochę szczęścia, bo dobrałam się do jego podstawowego programu rozbójniczego, który napisał, żeby atakować programy innych osób, i udało mi się go skierować przeciwko kilku jego własnym aplikacjom. Wykryłam kilka haseł, z zapisem, skąd pochodzą. I nauczyłam się kilku jego sztuczek. Ale to dopiero wierzchołek góry lodowej. – Machnęła ręką w stronę milczących metalowych mózgow stojących w pokoju. – Jednej rzeczy nie umiałam rozgryźć: co to może być. Jest to najprzemysłniejsza broń elektroniczna, jaką kiedykolwiek opracowano. Uzbrojona jak pancernik. Musi taka być; na świecie jest wiele zgrabnych programów, które łapią intruza i wieszają się na nim jak terier na zwierzynie. O ile dobrałyby się do Kluge’a, był on w stanie się przed nimi obronić. Ale zazwyczaj właściciele programów nawet nie wiedzieli, że ich okradziono. Kluge spadał na nich jak pocisk samosterujący, nisko lecący, szybki i zwinny. A swój atak kierował przez kilkanaście zabezpieczeń. Poza tym miał wiele atutów. Obecnie wielkie systemy są silnie chronione; używa się haseł i bardzo wymyślnych kodów. Ale Kluge pomagał opracowywać większość z nich. Potrzebny jest nie byle jaki zamek, by powstrzymać ślusarza, Kluge zaś pomagał instalować znaczną część najgłówniejszych systemów. Pozostawił w nich mnóstwo informatorów ukrytych w oprogramowaniu. Jeśli kody zmieniano, sam komputer przysyłał o tym informację do podsystemu, do którego Kluge mógł się później podłączyć. To tak, jakby ktoś kupił sobie największego, najzłośliwszego, najlepiej wytresowanego psa wartownika, jakiego można sobie sprawić. I tej samej nocy facet, który tresował psa, przychodzi, klepie go po głowie i okrada cię w ciemno.

Lisa jeszcze długo mówiła w tym stylu. Obawiam się, że kiedy zaczęła ten monolog o komputerach, dziewięćdziesiąt procent mojego mózgu wyłączyło się.

– Chciałabym pana o coś zapytać, Osborne – powiedziała w końcu.

– Słucham?

– Jaki jest mój status w tej sprawie? Czy mam za was rozwiązywać ten przypadek, czy też po prostu spróbować doprowadzić ten system do takiego stanu, że doświadczony użytkownik poradzi sobie z nim sam? – Osborne zamyślił się nad tym. – Co mnie martwi – dodała – to to, że grzebię w wielu zastrzeżonych bankach danych. Zaczynam się bać, że pewnego dnia ktoś zastuka do drzwi i mnie zapudłuje. Pan też się powinien niepokoić. Niektóre z tych agencji wcale by sobie nie życzyły, żeby gliniarz z wydziału zabójstw wtykał nos do ich spraw.

Osborne zjeżył się. Może Lisie właśnie o to chodziło.

– Co mam zrobić? – warknął. – Błagać na kolanach, żeby pani została?

– Nie. Potrzebne mi jest tylko pańskie upoważnienie. Nie musi być na piśmie. Niech pan tylko powie, że popiera pan to, co robię.

– Niech pani posłucha. Z punktu widzenia miasta Los Angeles oraz stanu Kalifornia ten dom nie istnieje. Nie ma tu żadnej działki budowlanej. Nie występuje w księgach wieczystych. To miejsce znajduje się w prawnym niebycie. O ile w ogóle ktoś mógłby panią upoważnić do użycia tego wszystkiego, to tylko ja, bowiem ja jestem przekonany, że zostało tu popełnione morderstwo. Niech więc pani robi dalej to, co dotychczas.

– To niezbyt wiele warte zobowiązanie – zamyśliła się.

– Innego pani nie dostanie. Czy jest coś jeszcze?

Odwróciła się do klawiatury i pisała przez chwilę. Wkrótce rozległ się stukot drukarki i Lisa wyprostowała się. Spojrzałam na ekran. Widniały tam słowa: „zetknąć usta z tylną częścią ciała-p”. Zrozumiałem, że „zetknięcie ust” miało oznaczać całowanie. Ci ludzie mają widać własny język. Lisa spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Nie ty – powiedziała szeptem. – On.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

Osborne zabrał swój wydruk i ruszył do wyjścia. I znowu nie mógł się powstrzymać, żeby przy drzwiach nie wydać ostatnich poleceń.

– Jeśli pani znajdzie coś, co będzie wskazywało, że Kluge nie popełnił samobójstwa, proszę dać mi znać.

– Dobrze. On nie popełnił samobójstwa.

Nie zrozumiał od razu.

– Potrzebuję dowodów.

– No więc mam taki dowód, ale panu się chyba na nic nie przyda. On nie napisał tego absurda „listu samobójcy”.

– Skąd pani wie?

– Wiedziałam to od pierwszego dnia, kiedy się tutaj znalazłam. Poleciałam komputerowi, żeby odczytał program. Potem porównałam go ze stylem Kluge'a. W żaden sposób on nie mógł tego napisać. Program jest ciaśniejszy niż dupa owada. Ani jednego zbytecznego rozkazu. Kluge nieprzypadkowo wybrał swój pseudonim. Wie pan, co on oznacza?

– Mądry – wtrąciłem.

– Dosłownie tak. Ale znaczy to również... coś przesadnie złożonego. Coś, co działa, ale z innych powodów, niż się pozornie wydaje. „Kluge” to w żargonie znaczy „usuwać zgrzyty z programu”. To wazelina programistów.

– I co? – chciał wiedzieć Osborne.

– I to, że programy Kluge'a były faktycznie zgrzytliwe. Pełno w nich było gwizdków i dzwonek, których nigdy nie pofatygował się usunąć. Był geniuszem, więc jego programy pracowały, ale nie bardzo wiadomo dlaczego. Procedury tak popieprzone, że aż ciarki przechodzą. Ale dobrzy programiści tak rzadko się zdarzają, że nawet te jego zgrywy są lepsze niż superprogramy wielu innych speców.

Podejrzewam, że Osborne zrozumiał z tego niewiele więcej ode mnie.

– A więc swoją opinię uzasadnia pani stylem programowania?

– Owszem. Niestety, minie jeszcze z dziesięć lat, nim zaakceptują to w sądzie tak jak grafologię czy odciski palców. Ale jeśli wie pan cokolwiek o programowaniu, to raz pan spojrzysz i zobaczysz to samo. Ktoś inny napisał ten list – zresztą ktoś bardzo dobry. Ten program miał wywołać testament Kluge'a jako procedurę. A testament jest zdecydowanie autentyczny – ma na sobie mnóstwo jego

odcisków palców. Kluge całe ostatnie pięć lat spędził szpiegując sąsiadów – jako hobby. Dobrał się do akt wojskowych, szkolnych, personalnych, podatkowych i rachunków bankowych. A wszystkie telefony w okolicy zamienił w urządzenia podsłuchowe. Cholernie cwany kapuś.

– Czy wspomniał gdzieś, po co to robił? – spytał Osborne.

– Myślę, że był prawie zupełnie stuknięty. Może miał manię samobójczą. Na pewno te wszystkie pigułki, które brał, nie wpływały dobrze na niego. Ale przygotował się na śmierć, a Victor był jedynym, którego uznał za godnego, by został jego spadkobiercą. Uwierzyłabym, że popełnił samobójstwo, gdyby nie ten list. On go nie napisał. Mogłabym przysiąc.

W końcu pozbyliśmy się porucznika i wróciłem do domu, by zająć się kolacją. Gdy była gotowa, zjawiała się Lisa. Znowu miała niesamowity apetyt. Przyrządziłem lemoniadę, po czym usiedliśmy na moim maleńkim tarasie i patrzyliśmy, jak wieczór gęstnieje wokół nas. Zbudziłem się w środku nocy, cały spocony. Usiadłem, zastanawiając się nad powodem mojego samopoczucia; wnioski, do których doszedłem, były niemiłe. Włożyłem więc szlafrok, pantofle i poszedłem do domu Kluge’a. Drzwi frontowe były znowu otwarte; mimo to zastukałem. Lisa wystawiła głowę z pokoju.

– Victor? Czy coś się stało?

– Nie jestem pewien – odparłem. – Mogę wejść?

Skinęła przytakująco dłonią; wszedłem za nią do salonu.

Obok konsoli stała otwarta puszcza pepsi. Gdy siadała na stołku, zauważyłem, że ma czerwone oczy.

– Co jest? – spytała ziewając.

– Choćby to, że powinnaś spać – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami i przytaknęła.

– Owszem. Nie mogę jakoś wpaść we właściwy rytm. W tej chwili jestem w fazie dziennej. Ale wiesz, Victor, jestem przyzwyczajona do pracy w dziwnych porach dnia, przez wiele godzin, a chyba nie przyszedłeś tu po to, żeby mnie pouczać, prawda?

– Nie. Powiedziałaś, że Kluge został zamordowany.

– Nie on jest autorem tego listu. To chyba wskazuje na morderstwo.

– Zastanawiałem się, po co ktoś miałby go zabijać. Nigdy nie wychodził z domu, więc powodem było coś, co robił z tymi komputerami. A teraz ty... prawdę mówiąc, nie wiem, co ty z nimi robisz, ale o ile mogę sądzić, grzebiesz się w tych samych rzeczach. Czy nie boisz się, że ci sami ludzie dobiorą się do ciebie?

– Ludzie? – uniosła brwi. Poczuję się bezsilny. Moje obawy nie były dość wyraźnie ukształtowane, by nabrać jakiegokolwiek sensu.

– Nie wiem... wspominałaś o jakichś agencjach...

– Widziałeś, jak Osborne się tym przejął? Uważasz, że jest jakiś spisek, na który Kluge natrafił, albo może myślisz, że zabiła go CIA, bo dowiedział się za dużo o czymś, albo...

– Nie wiem, Lisa. Ale boję się, że coś takiego może się tobie przytrafić.

Zaskoczyła mnie swoim uśmiechem.

– Dziękuję ci bardzo, Victor. Nie chciałam się przyznać przed Osbornem, ale sama się też o to martwiłam.

– Co więc zamierzasz zrobić?

– Chcę tu zostać i dalej pracować. Zastanowiłam się więc, co mogłabym zrobić, żeby się zabezpieczyć. Uznałam, że nic nie mogę zrobić.

– Na pewno coś by się dało.

– No, mam broń, jeśli o to ci chodzi. Ale pomyśl o tym wszystkim. Kluge został stuknięty w

biały dzień. Nikt nie widział, żeby ktoś wchodził do jego domu albo wychodził. Zadałam więc sobie pytanie: kto może wejść do jakiegoś domu w środku dnia, zastrzelić Kluge'a, zaprogramować ten list samobójczy i wyjść nie pozostawiając żadnych śladów, że tam w ogóle był?

– Ktoś bardzo dobry.

– Cholernie dobry. Tak dobry, że nie ma mowy, żeby jakaś azjatycka gówniara zdołała go powstrzymać, jeśli się uprze, żeby ją skasować.

Zaszokowała mnie, zarówno swoimi słowami, jak i pozornym brakiem zainteresowania własnym losem. Ale powiedziała jednak, że się niepokoi.

– Musisz więc z tym skończyć. Wyjdźmy stąd.

– Nie będą mną rządzić w ten sposób – odparła. W jej głosie zabrzmiało zdecydowanie. Pomyślałem o tym, co by jej odpowiedzieć, ale nic się nie nadawało.

– Mogłabyś chociaż... zamykać te drzwi – wyjąkałem.

Roześmiała się i pocałowała mnie w policzek.

– Zrobię to, Jankesie. I bardzo ci dziękuję za troskę. Naprawdę.

Patrzyłem, jak zamykała za mną drzwi, usłyszałem dźwięk klucza przekręcającego się w zamku, po czym powlokłem się w świetle księżycy do mojego domu. W połowie drogi zatrzymałem się. Mogłem jej zaproponować, by spała w mojej drugiej sypialni. Albo że ja sam przeniosę się do domu Kluge'a. Nie, zdecydowałem. Pewnie by to źle zrozumiała. Byłem już w łóżku, kiedy zdałem sobie sprawę, z odcieniem żalu i pewnego niesmaku do samego siebie, że miała wszelkie prawo źle zrozumieć.

I to nawet jeśli byłem dwa razy od niej starszy. Ranek spędziłem w ogrodzie, myśląc nad wieczornym jadłospisem. Zawsze lubiłem gotować, ale nagle kolacja z Lisą stała się centralnym punktem mojego dnia. Nie tylko to: zacząłem uważać ją za coś normalnego. Poczulem się więc, jakbym dostał obuchem w głowę, kiedy spojrzałem na ulicę i zobaczyłem, że nie ma samochodu Lisy. Pobiegłem do drzwi domu Kluge'a. Były otwarte na oścież. Szybko przeszukałem dom. Nie znalazłem nic; dopiero w głównej sypialni zobaczyłem jej ubrania porządnie poukładane na podłodze. Cały się trzęsąc zacząłem walić w drzwi Lanierów. Otworzyła mi Betty, która natychmiast dostrzegła moje podniecenie.

– Ta dziewczyna z domu Kluge'a – powiedziałem – chyba coś jej się stało. Może trzeba zawiadomić policję.

– O co chodzi? – spytała Betty patrząc ponad moim ramieniem. – Dzwoniła do ciebie? Widzę, że jeszcze nie wróciła.

– Nie wróciła?

– Godzinę temu widziałam, jak wyjeżdża. Niezły ma wózek.

Czując się jak dureń, próbowałem wszystko obrócić w żart, ale dostrzegłem minę Betty. Wyglądała, jakby chciała pogłodzić mnie po głowie. Rozzłościło mnie to. Ale zostawiła ubrania, więc jeszcze wróci. Powtarzając to sobie cały czas, wróciłem do domu, napuściłem wody do wanny, tak gorącej, jaką tylko mogłem wytrzymać. Kiedy otworzyłem drzwi, stała przed nimi trzymając w każdej ręce torbę z zakupami. Na twarzy miała swój zwykły olśniewający uśmiech.

– Chciałam zrobić to wczoraj, ale zapomniałam, a potem ty przyszedłeś i wiem, że powinnam najpierw była cię zapytać, ale chciałam zrobić ci niespodziankę, więc poszłam kupić to i owo, czego nie masz w swoim ogrodzie i parę przypraw, których też nie masz...

Pałała tak przez cały czas, kiedy wyładowywaliśmy torby w kuchni. Ja nic nie mówiłem. Miała na sobie nową koszulkę z napisem. Była tam duża litera „V”, a pod tym rysunek piły, kreska i mała, kwadratowa litera „p”. Myślałem nad tym, w czasie gdy pałała. V, różnć-p. Byłem zdecydowany nie

pytać, co to znaczy.

– Lubisz wietnamską kuchnię?

Spojrzałem na nią i pojąłem w końcu, że jest bardzo zdenerwowana.

– Nie wiem – odparłem. – Nigdy jej nie próbowałem. Ale lubię chińską, japońską i indyjską.

Lubię nowości.

To ostatnie było kłamstwem, ale nie tak wielkim, jakby się mogło wydawać. Naprawdę gotuję sobie czasem coś nowego, a gust mam dość tolerancyjny. Nie spodziewałem się większych problemów z zaakceptowaniem kuchni południowo-wschodniej Azji.

– Potem też nie będziesz wiedział – zaśmiała się. – Moja mamusia była pół-Chinką. Tak więc jedzenie, które dostaniesz, będzie cokolwiek skundlone. – Podniosła wzrok, zobaczyła moją minę i roześmiała się.

– Zapomniałam, przecież ty byłeś w Azji. Nie bój się, Jankesie, nie nakarmię cię psiną.

Nie mogłem sobie poradzić tylko z jedną rzeczą – z pałeczkami. Jadłem nimi, póki mogłem; potem odłożyłem je na bok i wziąłem widelec.

– Przepraszam – powiedziałem. – Z pałeczkami zawsze miałem kłopot.

– Radzisz sobie dobrze.

– Miałem czas się nauczyć.

Jedzenie było znakomite; powiedziałem jej to. Każda potrawa była objawieniem, nie przypominającym niczego, co dotąd jadłem. Pod koniec kolacji wysiadłem w połowie dania.

– Czy to V oznacza „victoria”?

– Może.

– V Symfonia Beethovena? Churchill? Dzień Zwycięstwa?

Uśmiechnęła się tylko.

– Potraktuj to jako wyzwanie, Jankesie. Czy ja ciebie przerażam, Victor?

– Z początku tak było.

– To przez moje rysy, prawda?

– Mam generalną fobię do ludzi Wschodu. Chyba jestem rasistą.

Skinęła powoli głową; zauważyłem to mimo ciemności. Znowu siedzieliśmy na trawie, choć słońce dawno zaszło. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy przez minione godziny. W każdym razie, zajęło nam to czas.

– Mam ten sam problem – powiedziała.

– Fobię do ludzi Wschodu? – Miał to być żart.

– Do Kambodżańczyków. – Zamilkła na chwilę, w której przetrawiałem to, co powiedziała.

Potem mówiła dalej. – Kiedy padł Sajgon, uciekłam do Kambodży. Wędrowniczka zabrała mi dwa lata z przerwami, w czasie których Czerwoni Khmerzy wsadzali mnie do obozów pracy. Mam szczęście, że żyję, naprawdę. – Splunęła. Nie jestem nawet pewien, czy zrobiła to świadomie, czy odruchowo. – Ja nienawidzę wszystkich Kambodżańczyków – powiedziała w końcu. – Tak jak ty, nie chcę jednak tego. Ci, którzy cierpieli w obozach, byli w większości Kambodżańczykami. Powinnam chyba nienawidzić tych ludobójczych przywódców, tych mętów Pol Pota.

Spojrzała na mnie.

– Ale nie zawsze w takich sprawach ma się wybór, prawda, Jankesie?

*

Następnego dnia przyszedłem do niej po popołudniu. Na dworze się ochłodziło, ale w jej smoczej jamie było nadal ciepło. Lisa miała na sobie tę samą koszulkę, co wczoraj. Wyjaśniła mi to i owo o komputerach. Kiedy dała mi spróbować swoich sił na klawiaturze, szybko się pogubiłem. Oboje

doszliśmy do wniosku, że nie mam szans na karierę programisty. Wśród tego, co mi pokazała, był modem telefoniczny, pozwalający jej na połączenie z innymi komputerami na całym świecie. Łączyła się z kimś w Stanford, kogo nigdy w życiu osobiście nie spotkała, a знаła go tylko jako „Sortownik Pęcherzykowy”. Rozmawiali ze sobą przez jakiś czas, wystukując rozmaite teksty. Na koniec Sortownik Pęcherzykowy wystukał „bye-p”. Lisa napisała O.

– Co to jest „O”? – spytałem.

– „Owszem”. Można by było napisać „tak”, ale dla starego wygi programisty to za proste.

– Powiedziałaś mi, co to jest „bit”. A co to jest „bye-p”?

Spojrzała na mnie z powagą.

– Oznacza to pytanie. Dodanie litery „p” do słowa nadaje mu sens pytający. Tak więc „bye-p” oznacza, że Sortownik Pęcherzykowy pytał mnie, czy chcę się wylogować. Rozłączyć.

Zastanowiłem się nad tym.

– Jak więc należy tłumaczyć: „zetknąć usta z tylną częścią ciała-p”?

– „Czy chcesz pocałować mnie w dupę?” Ale pamiętaj, to było do Osborne'a, a nie do ciebie. Spojrzałem na jej koszulkę, potem w jej oczy, które były zupełnie poważne i pogodne. Czekala, z rękami złożonymi na kolanach. Stosunek-p.

– Tak – powiedziałem. – Chciałbym.

Położyła okulary na stole i ściągnęła koszulkę przez głowę. Kochaliśmy się na wielkim materacu wodnym Kluge'a. Odczuwałem pewien strach przed niesprawdzeniem się, w końcu minęło już tak wiele czasu. Potem tak się zagłębiłem w jej dotyku, zapachu i smaku, że trochę poszalałem. Nie miała nic przeciwko temu. W końcu było po wszystkim; oboje spływaliśmy potem. Przetoczyła się na brzeg łóżka, wstała i podeszła do okna. Otworzyła je i wionęło na mnie świeże powietrze. Następnie oparła kolano na łóżku, pochyliła się nade mną i ze stolika wzięła paczkę papierosów. Zapaliła jednego.

– Mam nadzieję, że nie jesteś uczulony na dym – powiedziała.

– Nie. Mój ojciec palił. Ale nie wiedziałem, że ty też.

– Jedynie po tym – odparła z przelotnym uśmiechem. Zaciągnęła się głęboko. – Myślę, że w Sajgonie wszyscy palili. – Wyciągnęła się na plecach obok mnie i leżeliśmy tak, skapani w pocie, trzymając się za ręce. Rozsunęła nogi w ten sposób, że jedną stopą dotknęła mojej. Zdawało się, że to dostateczny kontakt. Patrzyłem, jak ponad jej prawą dłoń unosi się dym.

– Od trzydziestu lat nigdy nie było mi ciepło – powiedziałem. – Bywało mi gorąco, ale nigdy ciepło. A teraz tak.

– Opowiedz mi o tym.

Więc opowiedziałem, tyle ile byłem w stanie, zastanawiając się jednocześnie, czy tym razem zdołam. Po trzydziestu latach moja opowieść nie brzmi tak przerażająco.

– Byłem ciężko ranny – powiedziałem do niej. – Miałem pękniętą czaszkę. Wciąż jeszcze mam... problemy wynikłe z tego. W Korei bywa bardzo zimno, a ja nigdy nie miałem ciepła. Ale nie o to chodzi. Raczej o to, co teraz nazywają praniem mózgu. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Chyba nie umiałem zrozumieć tak ogromnego zła. Ale kiedy odsyłali nas do domu, niektórzy z jeńców nie chcieli odejść... naprawdę nie chcieli iść stamtąd, naprawdę uwierzyli...

Musiałem zamilknąć w tym miejscu. Lisa uniosła się, bezszelestnie przesunęła się na koniec łóżka i zaczęła masować mi stopy. W końcu odezwała się:

– W Kambodży było gorąco. Gdy w końcu dostałam się do Stanów, powtarzałam sobie, że osiedlę się w Maine, czy gdziekolwiek, gdzie pada śnieg. I faktycznie pojechałam do Cambridge, ale okazało się, że nie lubię śniegu.

Opowiedziała mi o tym. Z tego, co słyszałem, zginęło tam milion ludzi. To tak, jakby cały kraj, z pianą na ustach, rzucał się na wszystko, co się porusza. Albo jak ten rekin, który już wypatroszony, zwija się w kłębek i zaczyna pożerać siebie samego. Mówiła, jak zmuszano ich do budowania piramidy z odciętych głów. Dwudziestka ich pracowała cały dzień w palącym słońcu i w końcu piramida osiągnęła wysokość trzech metrów, zanim się zawaliła. Jeśli ktoś przestawał pracować, jego głowa wkrótce trafiała na stos.

– Nie miało to wówczas dla mnie żadnego znaczenia. Praca, jak każda inna. Miałam już wtedy dobrze pomieszane w głowie. Zaczęłam z tego wychodzić dopiero, gdy przedostałam się przez granicę tajlandzką.

To, że w ogóle przeżyła to wszystko, zakrawało na cud. Przeszła przez straszniejsze rzeczy niż potrafiłem sobie wyobrazić. I wyszła z tego w znacznie lepszym stanie. Poczulem się przy niej mały. Kiedy byłem w jej wieku, moje psychiczne więzienie, w którym od tamtej pory żyłem, było już poważnie rozbudowane. Powiedziałem jej o tym.

– Częściowo zależy to od przygotowania – zauważyła kwaśno.

– Od tego, czego oczekujesz od życia; od tego, jakie było twoje życie do tej pory. Sam to powiedziałeś. Korea była dla ciebie czymś nowym. Nie twierdzę, że byłam przygotowana na Kambodżę, ale moje życie do tamtej pory niezupełnie toczyło się beztrudno. Chyba nie myślisz dotąd, że zarabiałam na ulicy sprzedając jabłka. Nadal pocierała moje stopy patrząc w dal na obrazy, których ja nie widziałem.

– Ile miałaś lat, kiedy umarła twoja matka?

– Zabili ją w święto Tet, w roku 1968. Miałam dziesięć lat.

– Kto?

– Kto to wie? Tyle było kul, tyle rzucono granatów...

Westchnęła, zostawiła moją stopę i siedziała jak chudy Budda pozbawiony szaty.

– Masz jeszcze ochotę, Jankesie?

– Chyba nie dam rady, Lisa. Jestem starym człowiekiem.

Przesunęła się nade mną i oparła podbródek zaraz pod moim mostkiem umieszczając piersi w najpyszniejszym miejscu ze wszystkich możliwych.

– Zobaczmy – rzekła i zachichotała. – Jest jeszcze jeden rodzaj seksu, w którym jestem niezła, a mam pewność, że by cię to odmłodziło. Ale już od roku nie mogę z tego powodu – postukała się w klamerki na zębach. – Byłoby to tak, jakbyś go wetknął do piły tarczowej. Więc w zamian stosuję teraz to. Nazywam to „drogą przez Silikonową Dolinę”. – Zaczęła poruszać się w górę i w dół, po kilkanaście centymetrów za każdym razem. Zamrugnęła niewinnie kilka razy, po czym roześmiała się. – W końcu mogę cię dobrze zobaczyć – powiedziała. – Jestem strasznie krótkowzroczna.

Przyjmowałem jej zabiegi przez jakiś czas bez ruchu; nagle uniosłem głowę.

– Powiedziałaś: silikonową?

– Mhm. Chyba nie myślałeś, że są prawdziwe?

Przyznałem się, że tak właśnie myślałem.

– Chyba z żadnego zakupu nie cieszyłam się bardziej. Nawet z samochodu.

– Po co to zrobiłaś?

– Przeszkadza ci?

Nie przeszkadzało mi i tak jej powiedziałem. Ale nie umiałem ukryć ciekawości.

– Bo już było można. W Sajgonie byłam zawsze wściekła, że nie jestem w pełni rozwinięta. Mogłabym nieźle żyć jako prostytutka, ale byłam zawsze za wysoka, za chuda i za brzydka. Za to w Kambodży miałam szczęście. Przez jakiś czas uchodziłam za chłopca. Gdyby nie to, gwałciłiby mnie

dużo częściej. A w Tajlandii wiedziałam, że jakoś w końcu dostanę się na Zachód, a kiedy już się tam znajdę, kupię sobie najlepszy samochód, będę jeść wszystko, co zechcę i kiedy zechcę, a także załatwię sobie najlepsze cycki, jakie można mieć za forszę. Nie masz pojęcia, jak wygląda Zachód widziany z obozu. Miejsce, gdzie można kupić sobie cycki! – Spojrzała w dół, potem ponownie na moją twarz.

– Wygląda, że była to dobra inwestycja – powiedziała.

– Sprawily się nieźle – musiałem przyznać.

Uzgodniliśmy, że Lisa spędzi noc u mnie. Pewne rzeczy musiała wykonywać u Kluge'a, szczególnie ze sprzętem, który trzeba było ładować bezpośrednio, ale wiele można było zrobić za pomocą zdalnego terminala i naręcza oprogramowania. Wybraliśmy więc jeden z najlepszych komputerów Kluge'a, kilkanaście urządzeń peryferyjnych, i zainstalowaliśmy wszystko na stoliku w mojej sypialni. Chyba wiedzieliśmy oboje, że było to niezbyt wielkie zabezpieczenie, gdyby ludzie, którzy stuknęli Kluge'a, zechcieli się do niej dobrać. Ale po tej przeprowadzce czułem się lepiej i chyba Lisa też. Drugiego dnia jej pobytu u mnie przy bramie zaparkował samochód dostawczy i dwóch facetów zaczęło wyładowywać ogromny materac wodny. Lisa śmiała się bez końca zobaczywszy moją minę.

– Słuchaj, chyba nie używasz jego komputerów do...

– Uspokój się, Jankesie. Jak myślisz, w jaki sposób mogłam sobie pozwolić na Ferrari? – Byłem ciekaw. – Jeśli ktoś jest naprawdę dobry w pisaniu programów, może zarobić kupę forsy. Mam własną firmę. Ale każdy programista podłapie parę chwytów tu i tam. Sama kiedyś stosowałam kilka z tych podejść, które wymyślił Kluge.

– Ale teraz już nie?

Wzruszyła ramionami.

– Złodziej zawsze zostanie złodziejem, Victor. Mówiłam ci, że nie mogłam zarabiać ciałem na życie.

Lisa nie potrzebowała dużo snu. Wstawaliśmy o siódmej, a ja przygotowywałem śniadanie. Potem spędzaliśmy godzinę czy dwie na pracy w ogródku. Lisa szła później do domu Kluge'a, a ja przynosiłem jej w południe kanapkę; potem jeszcze wpadałem kilka razy w ciągu dnia. Było to tylko dla mojego spokoju ducha; zostawałem może na minutę. Po południu chodziłem na zakupy lub wykonywałem różne prace przy domu; zaś o siódmej jedno z nas, na zmianę, przygotowywało obiad. Uczyłem ją „kuchni amerykańskiej”, a ona uczyła mnie wszystkiego po trochu. Skarżyła się na brak podstawowych składników w amerykańskich supermarketach. Nie tylko, oczywiście, psiego mięsa; Lisa wszakże utrzymywała, że zna znakomite przepisy na potrawy z małp, węży i szczurów. Nigdy nie byłem pewien, do jakiego stopnia mnie nabierała, a nie chciałem pytać. Po kolacji zostawała u mnie w domu. Rozmawialiśmy, kochaliśmy się, kąpaliśmy. Uwielbiała moją wannę. Jest to chyba jedyna zmiana, jaką wprowadziłem w tym domu, od kiedy w nim zamieszkałem i mój jedyny przedmiot zbytku. Wstawiłem ją – a musiałem do tego poszerzyć łazienkę – w roku 1975 i nigdy tego nie pożałowałem. Moczyliśmy się w niej przez dwadzieścia minut, a nawet godzinę, otwierając i zamykając krany i prysznice, myjąc się nawzajem, chichocząc jak dzieci. Raz wzięliśmy płyn do kąpieli i zrobiliśmy górę piany na półtora metra, po czym zdemolowaliśmy ją rozpryskując wodę po całej łazience. Prawie każdego wieczoru Lisa pozwalała mi, żebym mył jej długie czarne włosy. Nie miała żadnych złych przyzwyczajęń, a przynajmniej takich, które kolidowałyby z moimi. Była schludna i czysta, zmieniała odzież dwa razy dziennie i nigdy nawet nie zostawiła brudnej szklanki w zlewie. W łazience też zawsze posprzątała. Nigdy nie przekraczała limitu dwóch szklanek wina. Czułem się jak wskrzeszony Łazarz. W ciągu następnych dwóch tygodni Osborne przyszedł trzy razy.

Lisa spotykała się z nim w domu Kluge'a i przekazywała mu wszystko, czego się dowiedziała. Zrobiła się z tego wcale pokaźna lista.

– Kluge zrobił sobie raz konto w nowojorskim banku na trzy biliony dolarów – powiedziała mi po jednej z wizyt porucznika. – Sądzę, że po prostu chciał sprawdzić, czy mu się to uda. Utrzymał je przez jeden dzień, podjął odsetki i przekazał je do banku na Bahamach, po czym skasował kapitał. Który zresztą nigdy nie istniał.

W zamian za to Osborne poinformował ją o nowych ustaleniach w sprawie morderstwa – których zresztą nie było – oraz o statusie majątkowym Kluge'a, znajdującym się w stanie chaosu. Różne agencje wysyłały swych ludzi, aby obejrzeliby działkę i dom. Pojawili się agenci FBI, którzy chcieli przejąć śledztwo. Lisa, rozmawiając o komputerach, miała zdolność zamydlania ludziom oczu. Robiła to najpierw wyjaśniając dokładnie, co robi, za pomocą terminów tak zawiłych, że nikt nie mógł jej zrozumieć. Czasem to wystarczało. Jeśli nie, ktoś zaczynał się upierać, zsiadała po prostu ze swego stołka i pozwalała mu samemu spróbować sił z maszyną Kluge'a. Dawała mu patrzeć z przerażeniem na ekran, na którym nie wiadomo skąd pojawiały się smoki i pożerały wszystkie dane z dysku, po czym wypisywały słowa „Głupi wariat!”

– Ja ich oszukuję – przyznała mi się. – Daję im to, co wiem, że wprowadzą, bo sama już to wprowadzałam. Straciłam już około czterdziestu procent danych, które zmagazynował Kluge. Ale inni tracą sto procent. Szkoda, że nie widzisz ich min, kiedy Kluge rzuca bombę logiczną w ich dzieło. Ten drugi facet cisnął przez cały pokój drukarką za trzy tysiące. Potem usiłował mnie przekupić, żebym nic nie mówiła.

Kiedyś jakiś urząd federalny przysłał eksperta ze Stanfordu, który, jak wyglądało, gotów był zniszczyć wszystko, co mu pod rękę popadło, szczerze przekonany, że w końcu musi się to wszystko jakoś poukładać. Lisa pokazała mu, w jaki sposób Kluge dobrał się do głównego komputera władz podatkowych w Waszyngtonie, ale nie pofatygowała się, by go poinformować, jak się z niego wydostać. Facet uwikłał się w jakiś program wartowniczy. Podczas jego batalii zaczęło wyglądać na to, że skasował wszystkie dane podatkowe od litery S do W. Lisa utrzymywała go w tym przekonaniu przez pół godziny.

– Myślałam, że dostanie ataku serca – mówiła do mnie potem. – Cała krew odpłynęła mi z twarzy; nie był w stanie nawet się odezwać. Pokazałam mu więc, gdzie – jak zwykle przytomnie – załatwiłam zapis tych danych, powiedziałam mu, jak mają wprowadzić tam, gdzie je znalazł, i jak uspokoić wartownika. Tak stąd potem uciekał, że mało nóg nie pogubił. Wkrótce zapewne zda sobie sprawę, że po prostu nie można zniszczyć tylu informacji inaczej jak dynamitem, ze względu na zabezpieczenia i przepustowość systemu. Ale nie sądzę, żeby tu wrócił.

– Opowiadasz o tym jak o bardzo wymyślnej grze wideo – powiedziałem.

– Bo i jest to gra na swój sposób. Ale najbardziej przypomina Labirynt Śmierci – nieskończony ciąg zamkniętych komnat, gdzie po drugiej stronie drzwi czyha niebezpieczeństwo. Nie wążysz się iść nim krok po kroku. Robisz naraz jedną setną kroku. Twoje pytania brzmią mniej więcej tak: „To absolutnie nie jest pytanie, ale gdyby przyszło mi do głowy zadać pytanie – czego wcale nie mam zamiaru robić – na temat tego, co by się stało, gdybym spojrział na te drzwi, a ja ich wcale nie dotykam, nawet nie jestem w sąsiedniej komnacie – to co, twoim zdaniem, ty mógłbyś zrobić?”. I wtedy program przeżuwa to, co powiedziałeś, rozważa, czy spełniłeś już warunki, by trzasnąć cię wielkim tortem w buzię, i wtedy albo rzuca tym tortem, albo przyznaje, że w takim przypadku mógłby przejść z etapu A na etap A-prim. I wtedy mówi: „No więc, może ja właśnie patrzę na te drzwi”. A czasem program odpowiada: „Podglądałeś, podglądałeś, ty wredny oszukańcu!” i zaczyna się rozróżba.

Brzmi to może bardzo głupio, ale jest to wersja najbardziej zbliżona do wyjaśnienia, które mogła dać mi Lisa na temat tego, co robi.

– Czy mówisz policji o wszystkim, Lisa? – spytałem.

– No nie, nie o wszystkim. Nie wspomniałam o tych czterech centach.

Czterech centach? O mój Boże.

– Lisa, ja tego nie chciałem, nie prosiłem o to, żałuję, że w ogóle...

– Uspokój się, Jankesie. Wszystko będzie dobrze.

– On to wszystko zapisywał, prawda?

– Właśnie nad tym głównie ślęczę. Nad rozszyfrowaniem jego zapisów.

– Od kiedy o tym wiesz?

– O siedmiuset tysiącach dolarów? To był pierwszy dysk, który udało mi się złamać.

– Chcę oddać te pieniądze.

Zastanowiła się nad tym, po czym potrząsnęła głową.

– Victor, pozbycie się ich byłoby bardziej niebezpieczne niż zatrzymanie. Na początku były to pieniądze zmyślane. Ale teraz mają swoją historię. Urząd podatkowy sądzi, że wie, skąd one pochodzą. Został uiszczony od nich podatek. Stan Delaware jest przekonany, że wypłaciła je legalnie zarejestrowana korporacja. Firmie adwokackiej z Illinois zapłacono za załatwienie tego. Twój bank dopisuje ci odsetki od tej sumy. Nie twierdzę, że nie można się cofnąć i wymazać tego wszystkiego, ale nawet nie chce mi się próbować. Jestem dobra, ale nie mam precyzji Kluge'a.

– Jak on to umiał wszystko zrobić? Twierdzisz, że to zmyślane pieniądze. Nie wiedziałem, że tak funkcjonują pieniądze. Czy on mógł je wziąć tak z powietrza?

Lisa poklepała konsolę i uśmiechnęła się do mnie.

– To są pieniądze, Jankesie – powiedziała, a oczy jej zabłyśły.

W nocy pracowała przy świecy, żeby mi nie przeszkadzać.

Jak się okazało, od tego zaczęły się moje kłopoty. Lisa stuknęła na klawiaturze po omacku, a świeca była jej potrzebna tylko do szukania programów. W taki więc sposób zasypiałem co noc, spoglądając na jej smukłe ciało skąpane w blasku świecy. Zawsze przypominało mi to kaczan pieczonej kukurydzy ociekający roztopionym masłem. Żłociste światło na żłocistej skórze. Powiedziała o sobie: brzydka. Chuda. To prawda, że była szczupła. Widziałem jej wystające żebra, gdy siedziała nienaturalnie wyprostowana, z wciągniętym brzuchem, z uniesionym podbródkiem. Pracowała teraz nago, w pozycji lotosu. Przez dłuższy czas nie poruszała się, ręce spoczywały na jej udach; po chwili wysuwała je, jakby chciała uderzyć w klawisze. Ale jej dotyk był lekki, prawie bezgłośny. Bardziej przypominało to jogę niż programowanie. Mówiła, że wprowadza się w stan medytacji, gdy chce osiągnąć najlepsze wyniki. Oczekiwałem po jej ciele kościstej kanciastości, ostrości łokci i kolan. Wcale taka nie była. Zgadywałem, że waży chyba z pięć kilo za mało, ale nie wyobrażałem sobie, gdzie ich mogło brakować. Ciało jej było miękkie i zaokrąglone, a pod spodem mocne. Nikt nie nazwałby jej twarzy uroczą. Niewielu nawet posunęłoby się do tego, by uznać ją za ładną. Myślę, że to przez te klamerki. Przywodziły wzrok do siebie i zatrzymywały go, zwracając uwagę na ten paskudny nieporządek w zębach. Skórę jednak miała cudowną. Były na niej blizny. Nie tak wiele, jak się spodziewałem. Wyglądało na to, że rany zagoiły się łatwo i bez komplikacji. Pomyślałem, że jest piękna. Właśnie zakończyłem mój conocny przegląd jej ciała, gdy wzrok mój przyciągnął płomyk świecy. Spojrzałem na niego; potem usiłowałem odwrócić oczy.

Świecom czasem się to zdarza. Nie wiem dlaczego. W nieruchomym powietrzu, gdy płomień jest całkowicie pionowy, zaczyna migotać. Rozbłyśka, po czym kuli się, w górę i w dół, w górę i w dół, jaśniej i jaśniej w regularnym rytmie, dwa lub trzy razy na sekundę...

... próbowałem krzyknąć do niej, powiedzieć, żeby płomień tak nie migotał, ale już nie mogłem wydobyć ani słowa...

... mogłem tylko dyszeć i spróbowałem raz jeszcze, jak mogłem najsilniej, spróbowałem krzyknąć, wrzasnąć, powiedzieć jej, żeby się nie martwiła, i poczułem narastające mdłości... Czułem smak krwi. Spróbowałem wziąć oddech; nie poczułem ani zapachu wymiotów, ani moczu, ani kału. Żyrandol w górze był zapalony. Lisa pochylała się nade mną na rękach i kolanach; twarz jej była bardzo blisko mojej. Na czoło spadła mi łza. Leżałem na plecach na dywanie. – Victor, słyszysz mnie?

Skinąłem głową. W ustach miałem łyżeczkę. Wyplułem ją.

– Co się stało? Czujesz się już dobrze?

Znowu skinąłem głową i spróbowałem coś powiedzieć.

– Leż spokojnie. Karetka już jedzie.

– Nie. Nie trzeba.

– W każdym razie już jedzie. Leż tylko spokojnie i...

– Pomóż mi wstać.

– Jeszcze nie. Jesteś za słaby.

Miała słuszość. Spróbowałem usiąść i szybko opadłem na plecy. Przez chwilę oddychałem głęboko. Potem rozległ się dzwonek. Lisa wstała i ruszyła w stronę drzwi. Ledwie udało mi się schwycić ją ręką za kostkę nogi. I już schylała się nade mną, z oczyma otwartymi tak szeroko jak się tylko dało.

– Co się stało? Znowu źle?

– Włóż coś – powiedziałem. Spojrzała na siebie, zaskoczona.

– Och. Racja.

*

Lisa pozbyła się karetki. Gdy zrobiła kawę i usiedliśmy przy stole kuchennym, była już znacznie spokojniejsza. Zegar wskazywał godzinę pierwszą; nadal czułem się jeszcze trochę rozchwiany. Ale tym razem nie było tak źle. Poszedłem do łazienki i wyjąłem butelkę z dilantiną, którą schowałem, kiedy Lisa się do mnie sprowadziła. Pokazałem jej, że biorę tabletkę.

– Zapomniałem tego dzisiaj zrobić – powiedziałem do niej.

– To dlatego, że je schowałeś. Postąpiłeś głupio.

– Wiem. – Zdaje się, że mogłem coś jeszcze do tego dodać, czego nie zrobiłem. Nie było mi przyjemnie widzieć ją urażoną. Ale urażona była dlatego, że nie broniłem się przed jej atakiem, tylko że obrona byłaby dla mnie zadaniem zbyt wyczerpującym po napadzie padaczki.

– Możesz się wyprowadzić, jeśli chcesz – powiedziałem. Byłem rozdrażniony. Ona też. Sięgnęła ponad blatem i potrząsnęła mnie za ramiona. Patrzyła na mnie wściekłym wzrokiem.

– Długo nie wytrzymam takiej pieprzonej gadki – odezwała się, a ja skinąłem głową i zacząłem płakać. Pozwoliła mi wypłakać się do końca. Sądzę, że było to najlepsze wyjście. Mogła mnie pocieszać, ale ja sam to umiem.

– Kiedy to się zaczęło? – spytała w końcu. – Czy dlatego zamknąłeś się w domu na trzydzieści lat?

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba częściowo tak. Kiedy wróciłem, zrobili mi operację, ale to tylko pogorszyło sprawę.

– No, dobrze. Jestem wściekła na ciebie, bo nic mi o tym nie mówiłeś, więc nie wiedziałam co robić. Chcę tu zostać, ale musisz mi powiedzieć, co się w takich przypadkach robi. Wtedy nie będę wściekła.

Mogłem wtedy wszystko zepsuć. Sam się sobie dziwię, że tego nie zrobiłem. Przez tyle lat wypracowałem sobie bardzo dobre metody do takich rzeczy. Ale powstrzymałem się, kiedy zobaczyłem jej twarz. Naprawdę chciała zostać. Nie wiedziałem dlaczego, ale to mi wystarczyło.

– Łyzeczka była błędem – powiedziałem. – Jeśli jest czas i jeśli możesz to zrobić bez zagrożenia dla palców, można wepchnąć do ust kawałek materiału. Prześcieradła czy czegoś. Ale nic twardego.

– Przesunąłem językiem po jamie ustnej. – Chyba złamałem ząb.

– Należało ci się – powiedziała. Spojrzałem na nią, uśmiechnąłem się i od razu roześmialiśmy się oboje. Obeszła stół i pocałowała mnie, a potem usiadła mi na kolanach. – Największym niebezpieczeństwem jest uduszenie. W pierwszej fazie ataku sztywnieją wszystkie mięśnie. To nie trwa długo. Potem mięśnie zaczynają się bezwładnie zwierać i rozprężyć. Z wielką siłą.

– Wiem. Widziałam i usiłowałam cię przytrzymać.

– Nie rób tego. Połóż mnie na boku. Stań z tyłu i uważaj na wymachy ramion. Włóż mi pod głowę poduszkę, jeśli ci się uda. Trzymaj z dala ode mnie wszystko, o co mógłbym się uderzyć lub zranić. – Spojrzałem jej prosto w oczy.

– Chciałbym podkreślić jedną rzecz. Tylko spróbuj zrobić to wszystko. Jeśli moje ruchy staną się zbyt gwałtowne, lepiej będzie, jeśli staniesz z dala. Lepiej dla nas obojga. Jeśli cię uderzę i stracisz przytomność, nie będziesz mogła mi pomóc, gdy zacznę się dusić w wymiotach. – Nadal patrzyłem jej w oczy. Musiała wyczytać, co było w moich myślach, bowiem uśmiechnęła się lekko.

– Wiesz co, Jankesie? Ja nie pękam. Znaczący, kapujesz, jak się obcina takie coś i rzygać się człowiekowi chce, to co może mu do łba strzelić, jak nie...

– ...zakneblować mnie łyżeczką, wiem. Dobrze, w porządku, rozumiem, że zachowałem się głupio. I o to chodzi. Mogłem przecież odgryźć sobie język albo wewnętrzną stronę policzka. Nie przejmuj się. Jeszcze jedno. – Czekala, a ja zastanawiałem się, ile jej powiedzieć. Wiele nie mogła poradzić, ale gdybym przy niej umarł, nie chciałem, żeby myślała, że to jej wina. – Czasem trzeba mnie zawieźć do szpitala. Czasem jeden atak następuje po drugim. Jeśli to trwa zbyt długo, nie oddycham i mój mózg może umrzeć z niedotlenienia.

– Na to trzeba zaledwie pięciu minut – powiedziała przerażona.

– Wiem. Stanowi to problem tylko wtedy, gdybym zaczął miewać ataki często, więc zdążymy się jeszcze do tego przygotować. Ale jeśli zdarzy się, że jakiś atak się nie skończy, a drugi zacznie deptać mu po piętach, albo jeśli nie będziesz mogła wykryć oddechu przez trzy czy cztery minuty, lepiej zadzwoń po karetkę.

– Trzy czy cztery minuty? Zanim się tu zjawia, będziesz martwy.

– Mam do wyboru: albo to, albo życie w szpitalu. Nie cierpię szpitali.

– Ja też nie.

Następnego dnia namówiła mnie na jazdę jej ferrari. Bałem się tej podróży; zastanawiałem się, czy nie zacznie szaleć. Ale jeśli Lisie można było cokolwiek zarzucić, to tylko to, że jechała za wolno. Jadący z tyłu często na nas trąbili. Z tego, z jak przesadną uwagą wykonywała każdy ruch, mogłem wywnioskować, że nie ma zbyt wielkiego doświadczenia.

– Szkoda chyba dla mnie tego ferrari – przyznała w którymś momencie. – Nigdy nie jadę szybciej niż dziewięćdziesiątką.

Udaliśmy się do sklepu wnętrzarskiego na Beverly Hills, gdzie Lisa kupiła za zbójcecką cenę lampę biurową o niskiej mocy. Nie mogłem zasnąć tej nocy. Chyba bałem się kolejnego ataku, aczkolwiek nie było obawy, że nowa lampa Lisy może go wywołać tak jak świeca. Ciekawa sprawa jest z tymi atakami. Kiedy miałem je po raz pierwszy, nazywano je drgawkami. Potem stopniowo

zaczęto o nich mówić jako o atakach, zaś słowo „drgawki” nabrało charakteru cokolwiek niesmacznego. Chyba jest to oznaka starzenia się, gdy czujesz, jak zmienia się język. Były całe masy nowych słów. Wiele z nich dotyczyło rzeczy, które nie istniały, kiedy dorastałem. Na przykład program. Dla mnie wyraz ten oznaczał porządek audycji radiowych.

– Co cię napadło, Lisa, że wzięłaś się za komputery? – spytałem ją.

– W nich leży potęga, Jankesie.

Uniosłem wzrok. Lisa była obrócona do mnie twarzą.

– Czy wszystkiego nauczyłaś się tutaj?

– Miałam pewne początki. Nie mówiłam ci o kapitanie, prawda?

– Chyba nie.

– On był dziwny. Wiedziałam o tym. Był Amerykaninem i zainteresował się mną. Wynajął mi ładne mieszkanie w Sajgonie. I posłał mnie do szkoły. – Przyglądała mi się, czekając na moją reakcję. Ale ja nie zareagowałam. – Na pewno był pedofilem i chyba ze skłonnościami homoseksualnymi, skoro ja tak przypomiinałam chudego chłopaka.

Znowu to wyczekiwanie. Tym razem uśmiechnęła się.

– Był dla mnie dobry. Nauczyłam się dobrze czytać. Od tego etapu wszystko jest możliwe.

– Właściwie nie pytałem cię o tego kapitana. Chodziło mi o to, dlaczego zainteresowałaś się komputerami.

– To prawda. O to pytałeś.

– Czy to dla pieniędzy?

– Na początku tak. Ale to jest przyszłość, Victor.

– Sam Pan Bóg wie, że czytałem o tym wiele razy.

– Bo to prawda. To już się stało. To potęga, jeśli ktoś wie, jak tego używać. Widziałeś, co Kluge mógł zrobić. Można na tym zrobić wielkie pieniądze. I nie mam na myśli zarobić, ale zrobić, tak jakby ktoś je sobie wydrukował. Pamiętasz, jak Osborne mówił, że dom Kluge’a nigdy nie istniał? Czy zastanowiłeś się, co to znaczy?

– To, że wytarł go ze wszystkich banków pamięci.

– To był pierwszy krok. Ale przecież ta działka istniała w tutejszych księgach wieczystych, jak myślisz? W tym kraju jeszcze nie całkiem zarzucono rejestry sporządzane na papierze.

– Tak więc tutejsze władze mają wpis o tym domu.

– Nie. Odpowiednia stronica została wydarta.

– Nie rozumiem. Kluge nigdy nie wychodził z domu.

– Sposób stary jak świat, przyjacielu. Kluge przejrzał rejestr policyjny, aż znalazł człowieka, którego wszyscy nazywają Sammym. Posłał mu czek na tysiąc dolarów, a wraz z nim list, w którym napisał, że Sammy może zarobić dwa razy tyle, jeśli uda się do biura notarialnego. Sammy nie dał się na to wziąć, podobnie jak McGee czy Molly Unger. Ale Mały Billy Phipps dał się namówić i dostał potem czek, jak zapowiadał list; od tego czasu on i Kluge utrzymywali przez wiele lat swoistą spółkę. Mały Billy jeździ teraz nowym cadillakiem i nie ma najmniejszego pojęcia, kim był Kluge i gdzie mieszkał. Kluge nie troszczył się o to, ile wydaje. Pieniądze brał po prostu z powietrza.

Zastanowiłem się nad tym chwilę. Chyba to prawda, że jak się ma dość pieniędzy, to można wszystko, a Kluge miał całe złoto świata.

– Czy powiedziałaś Osborne'owi o Małym Billym?

– Skasowałam ten dysk, podobnie jak ten z twoimi siedmiuset tysiącami. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać ktoś taki, jak Mały Billy.

– Nie boisz się kłopotów z tego powodu?

– Życie to ryzyko, Victor. Najlepsze kawałki zatrzymuję dla siebie. Nie dlatego, że mam zamiar ich użyć, ale dlatego, że jeśli kiedyś potrzebowałbym ich i nie miała, czułabym się strasznie głupio. – Przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy, które dzięki temu praktycznie znikły. – Powiedz mi coś, Jankesie. Kluge wybrał cię spośród wszystkich sąsiadów, bo przez trzydzieści lat byłeś grzecznym harcerzykiem. Jaka jest twoja reakcja na to, co robię?

– Jesteś radośnie amoralna, udało ci się przeżyć piekło, a przy tym jesteś zasadniczo porządna. Żał mi każdego, kto wszedłby ci w drogę.

Uśmiechnęła się, wyprostowała i wstała.

– „Radośnie amoralna”. Podoba mi się to. – Usiadła obok mnie, wzbudzając wielkie kołysanie w łóżku. – Chcesz się znowu trochę poamoralnić?

– Za chwilę.

Zaczęła nacierać moją pierś.

– A więc trafiłaś do komputerów, bo to trend przyszłości. Czy nigdy one ciebie nie niepokoją? No nie wiem, może to zabrzmia staroświecko... ale czy myślisz, że one mogą przejąć kontrolę nad światem?

– Każdy tak myśli, dopóki sam się do tego nie weźmie – powiedziała. – Musisz zdać sobie sprawę z tego, jakie one są głupie. Bez oprogramowania nie nadają się dosłownie do niczego. Natomiast ja wierzę w to, że ludzie, którzy parają się komputerami, przejmą kontrolę. Już to się stało. Dlatego też zajmuję się nimi.

– Chyba nie o to mi chodziło. Może nie umiem tego wyrazić.

Zachmurzyła się.

– Kluge w coś wdepnął. Podśluchiwał laboratoria pracujące nad sztuczną inteligencją, a poza tym czytał wiele o badaniach neurologicznych. Myślę, że próbował znaleźć wspólny wątek.

– Między ludzkim mózgiem i komputerem?

– Nie całkiem. Myślał o komputerach i neuronach. Komórkach mózgu. – Pokazała na swój komputer.

– Ta maszyna, a także każdy inny komputer znajduje się o całe lata świetlne od tego, by dorównać mózgowi ludzkiemu. Nie potrafi generalizować, wnioskować, kategoryzować czy tworzyć wynalazki. Z dobrym programem może pozornie wykonywać niektóre te czynności, ale to złudzenie. Jest taki stary problem: co by się stało, gdybyśmy w końcu zbudowali komputer zawierający tyle tranzystorów, co mózg ludzki ma neuronów. Czy powstałaby w ten sposób świadomość? Moim zdaniem to bzdura. Tranzystor nie jest neuronem, a kwintylion tranzystorów nie osiągnie więcej niż tuzin. Tak więc Kluge – który, jak się zdaje, podobnie uważał, zaczął szukać możliwych podobieństw między neuronem i ośmiobitowym komputerem. Po to zebrał w domu te wszystkie ogólnie dostępne graty, te Trash-80, te Atari, te Texas Instruments, te Sinclairy, na litość boską. Sam był przyzwyczajony do znacznie potężniejszych urządzeń. Te domowe systemy połykał jak cukierki.

– I co ustalił?

– Wygląda na to, że nic. Model ośmiobitowy jest bardziej złożony niż neuron, a żaden komputer nie jest w tej samej galaktyce, co mózg organiczny. Ale widzisz, słowa są tu nieprecyzyjne. Powiedziałam, że Atari jest bardziej złożony niż neuron, ale właściwie trudno je porównywać. To tak, jakby konfrontować kierunek z odległością albo kolor z masą. Nie te same jednostki. Z wyjątkiem jednego podobieństwa.

– Co to takiego?

– Połączenia. I znowu jest to różnica, ale pojęcie sieci jest to samo. Neuron jest połączony z wieloma innymi. Są ich biliony, a sposób, w jaki przechodzi przez nie rozkaz, determinuje to, czym

naprawdę jesteśmy i co myślimy, i co pamiętamy. A za pomocą tego komputera mogę dotrzeć do miliona innych. W zasadzie sieć taka jest większa od mózgu ludzkiego, bowiem zawarta w niej informacja przekracza możliwości przyswojenia przez ludzkość w ciągu miliona lat. Sięga ona od Pioneer a 10, który znajduje się poza orbitą Plutona, aż do każdego pomieszczenia, w którym zainstalowany jest telefon. Za pomocą tego komputera możesz otrzymać tony danych, które zebrano, ale nikt nawet nie ma czasu, by na nie spojrzeć. Tym właśnie interesował się Kluge. Ten stary pomysł „masy krytycznej komputera”, maszyny liczącej, która zyskuje świadomość, ale z nowego punktu widzenia. Może rozwiązanie leżało nie w wielkości komputera, ale w liczbie systemów. Kiedyś były ich tysiące. Teraz są miliony. Wstawiają je do samochodów. Do zegarków na rękę. W każdym domu jest kilka, począwszy od wyłącznika czasowego w kuchni mikrofalowej aż do gry telewizyjnej czy domowego terminalu. Kluge próbował ustalić, czy w ten sposób udałoby się osiągnąć masę krytyczną.

– I do jakiego wniosku doszedł?

– Nie wiem. Dopiero zaczynał. – Spojrzała w dół na mnie. – Ale wiesz co, Jankesie? Zdaje się, że ty osiągnąłeś masę krytyczną, kiedy ja nie patrzyłam.

– Chyba masz rację. – Wyciągnąłem do niej ramiona.

Lisa lubiła się przytulać. Na początku ja nie bardzo, po pięćdziesięciu latach, w czasie których zawsze spałem sam. Ale bardzo szybko spodobało mi się. I właśnie w takiej sytuacji podjęliśmy na nowo naszą przerwana rozmowę. Po prostu leżeliśmy, trzymając się nawzajem w ramionach, i rozmawialiśmy o różnych sprawach. Nikt jeszcze nie mówił nic o miłości, ale ja wiedziałem, że ją kocham. Nie miałem pojęcia, co z tym począć, ale coś na pewno się wymyśli.

– Masa krytyczna – odezwałem się.

Potarła mnie nosem w szyję i ziewnęła.

– Co masz na myśli?

– Jaka by ona miała być? Wydaje się, że miałyby olbrzymią inteligencję. Taka szybka, taka wszechwiedząca. Jak Bóg.

– Możliwe.

– Czy nie... panowałyby nad naszym życiem? Czy kontrolowałyby świat?

Zamyśliła się na dłuższą chwilę.

– Zastanawiałam się, czy miałyby co kontrolować. To znaczy, po co by jej to było? Jak moglibyśmy dojść do tego, czego ona chce? Czy na przykład chciałyby, żeby oddawano jej cześć? Wątpię. Czy chciałyby „zracjonalizować ludzkie zachowanie, by wyeliminować wszelkie emocje”, jak zapewne jakiś komputer z filmu sf z lat pięćdziesiątych powiedział do znajdującej się w opałach pięknej heroiny? Można mówić o świadomości, ale co to słowo właściwie znaczy? Ameba musi mieć świadomość. Mają ją zapewne rośliny. W jednym neuronie może być jakiś stopień świadomości. Nawet w układzie scalonym. Nie wiemy nawet, czym jest nasza własna świadomość. Nigdy nie umieliśmy naświetlić tego do końca, przeanalizować, zrozumieć, skąd pochodzi i dokąd idzie, kiedy umieramy. Stosowanie ludzkich wartości do czegoś takiego, jak owa hipotetyczna świadomość sieci komputerowej, byłoby bardzo głupie. Nie widzę żadnej możliwości interakcji między nią a świadomością ludzką. Ona może nawet nas nie zauważać, tak jak my nie zauważamy komórek w naszym ciele albo neutrin przebiegających przez nas, albo wibracji atomów w otaczającym nas powietrzu.

I doszło do tego, że musiała mi wyjaśnić, co to takiego neutrino. Jedną rzecz, którą zawsze mogłem jej zapewnić, to słuchacz laik. A po tym wszystkim prawie całkowicie zapomniałem o naszym mitycznym hiperkomputerze.

– A co się stało z twoim kapitanem? – spytałem Lisę znacznie później.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, Jankesie? – mruknęła sennie.

– Nie obawiam się tej informacji.

Usiadła i sięgnęła po papierosy. Wiedziałem już, że czasem paliła w chwilach stresu. Mówiła mi, że pali po kochaniu się, ale przy mnie było to tylko raz. W ciemności zamigotał płomyk zapalniczki. Słyszałem, jak wypuszcza dym.

– Właściwie to majorem – odezwała się. – Dostał awans. Czy chcesz wiedzieć, jak się nazywał?

– Słuchaj, Lisa, ja nie chcę wiedzieć nic, jeśli mi sama tego nie chcesz powiedzieć. Ale jeśli mi powiesz, to mnie interesuje tylko, czy zajął się tobą.

– Nie ożenił się ze mną, jeśli o to ci chodzi. Powiedział, że to zrobi, kiedy wiedział już, że musi wyjechać, ale odwiodłam go od tego. Może to najszlachetniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. A może najgłupsza. To nie przypadek, że wyglądam na Japonkę. Moją babkę zgwałcił w 1942 roku Japonec z sił okupacyjnych. Babka była Chinką, zamieszkałą w Hanoi. Tam urodziła się moja matka. Po Dien Bien Phu przeniosły się na południe. Moja babka umarła. Już jeśli ktoś był Chińczykiem, nie miał za dobrze, ale pół-Chinka i pół-Japonka miała jeszcze gorzej. Mój ojciec był pół-Francuzem i pół-Annamitą. Jeszcze jedna parszywa kombinacja. Nigdy go nie znałam. Tak więc stanowią historię Wietnamu w kapsułce. – Papieros rozżarzył się raz jeszcze. – Mam twarz jednego dziadka, a wzrost innego. Oraz cycki z przemysłu chemicznego. Chyba tylko zabrakło mi amerykańskich genów, ale o nie starałam się dla moich dzieci. Kiedy zbliżał się upadek Sajgonu, usiłowałam dostać się do ambasady amerykańskiej. Nie udało się. Resztę znasz, aż do chwili, gdy znalazłam się w Tajlandii; i kiedy w końcu Amerykanie zauważyli mnie, okazało się, że mój major wciąż mnie szuka. Zapłacił za moją podróż tutaj i zdążyłam przyjechać, by zobaczyć, jak umiera na raka. Spędziłam z nim dwa miesiące, cały czas w szpitalu.

– O mój Boże.

Przyszła mi do głowy straszna myśl.

– To nie było też przez wojnę, prawda? To znaczy, historia twego życia...

– ...to historia gwałtu zadanego Azji. Nie, Victor. W każdym razie nie przez tę wojnę. On był wśród tych, którzy oglądali z bliska wybuchy atomowe, w Nevadzie. Był zbyt zdyscyplinowany, żeby się uskarżać, ale myślę, że wiedział, co go zabiło.

– Kochałaś go?

– Co mam ci odpowiedzieć? Wyciągnął mnie z piekła.

Papieros znowu się rozżarzył, po czym zobaczyłem, jak go gasi.

– Nie – odrzekła. – Nie kochałam go. Wiedział o tym. Nigdy nikogo nie kochałam. Był mi bardzo bliski, był kimś szczególnym. Zrobiłabym dla niego prawie wszystko. Był dla mnie jak ojciec.

Poczułem, że patrzy w ciemnościach w moją stronę.

– Nie zapytasz, ile miał lat?

– Koło pięćdziesiątki – odparłem.

– Czy ja mogę cię o coś zapytać?

– Twoja kolej chyba.

– Ile miałaś dziewczyn, odkąd wróciłaś z Korei?

Uniosłem dłoń i udawałem, że liczę na palcach.

– Jedną – powiedziałem w końcu.

– A ile, zanim się tam znalazłaś?

– Jedną. Zerwaliśmy, zanim mnie powołano.

– Ile w Korei?

– Dziewięć. Wszystkie w uroczym burdeliku pani prezydentowej w Pusanie.

– Tak więc kochałeś się z jedną białą i dziesięcioma Azjatkami. Chyba żadna z pozostałych nie była taka wysoka, jak ja.

– Koreanki mają też wydatniejsze policzki. Ale wszystkie miały takie same oczy, jak ty.

Potarła nosem o moją pierś, wzięła głęboki oddech i westchnęła.

– Ale z nas klawa para, co?

Przytuliłem ją i poczułem znowu na piersi jej gorący oddech. Myślałem o tym, jak zdołałem przeżyć tyle czasu bez tak prostego cudu, jak ten.

– Tak. Myślę, że masz rację.

Tydzień później znowu pojawił się Osborne. Wyglądał na przybitego. Słuchał tego, co Lisa zdecydowała się mu przekazać, ale bez większego zainteresowania. Wziął od niej wydruk i przyrzekł dostarczyć go do działów, które się tym zajmowały. Ale nie zbierał się do odejścia.

– Myślę, że powinienem to panu powiedzieć, Apfel – odezwał się w końcu. – Sprawa Gavina została zamknięta.

Minęła chwila, nim przypomniałem sobie, że prawdziwe nazwisko Kluge'a brzmiało Gavin.

– Koroner dawno już zdecydował, że to samobójstwo. Udawało mi się przez pewien czas trzymać sprawę otwartą na podstawie moich podejrzeń. – Skinął głową w kierunku Lisy. – Oraz na podstawie tego, co ona powiedziała o tym liście samobójczym. Ale nie było po prostu żadnych dowodów.

– To prawdopodobnie stało się szybko – powiedziała Lisa. – Ktoś go wyłapał, dotarł do niego – to można zrobić; Kluge miał szczęście, że stało się to tak późno – i załatwił go tego samego dnia.

– Pan nie uważa, że to było samobójstwo? – spytałem Osborne'a.

– Nie. Ale ktokolwiek to zrobił, jest nadal na wolności, chyba że znajdzie się coś nowego.

– Powiem panu, jeśli będę coś miała – rzekła Lisa.

– To druga sprawa – powiedział Osborne. – Nie mogę już pani zezwolić na pracę tutaj. Władze miejskie przejęły dom wraz z jego zawartością.

– Niech się pan o to nie martwi – odrzekła cicho Lisa. Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Lisa sięgnęła do leżącej na stoliku paczki papierosów, by wytrząsnąć z niej jednego; zapaliła go, wypuściła dym i odchyliła się do tyłu w fotelu obdarzając Osborne'a jednym ze swoich najbardziej nieprzeniknionych spojrzeń.

Porucznik westchnął.

– Nie chciałbym grać z panią w pokera – odezwał się. – Co to miało znaczyć: „Niech się pan nie martwi”?

– Kupiłam ten dom cztery dni temu. Wraz z zawartością. Jeśli wydarzy się coś, co pozwoli panu wznowić śledztwo w sprawie morderstwa, dam panu znać.

Osborne poniósł zbyt ciężką porażkę, by odczuć gniew. Przyglądał się Lisie w milczeniu.

– Chciałbym wiedzieć, jak pani to załatwiła.

– Nie zrobiłam nic nielegalnego. Może pan to sprawdzić. Zapłaciłam za wszystko żywą gotówką. Dom został wystawiony na sprzedaż. Udało mi się uzyskać dobrą cenę na aukcji u szeryfa.

– A co by było, gdybym posadził moich najlepszych ludzi nad tą transakcją? Żeby sprawdzili, czy nie ma w tym jakiejś lewej forszy? Może oszustwa? A jakbym poprosił FBI, żeby się temu przyjrzało?

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

– Bardzo proszę. Szczerze mówiąc, poruczniku Osborne, gdybym chciała, mogłabym ukraść ten

cały dom, park Griffith oraz Autostradę Portową i nie sądzę, żeby udało się panu mnie złapać.

– W takim razie, co ja mam robić?

– To samo, co przedtem. Ma pan zamkniętą sprawę i obietnicę ode mnie.

– Nie podoba mi się, że pani ma to wszystko, jeśli można tym zrobić to, o czym pani mówiła.

– Nie spodziewałam się, że będzie się panu podobało. Ale to nie pańska działka, prawda? Dom był przez jakiś czas własnością władz, poprzez zwykłą konfiskatę. Nie wiedzieli, co mają w rękę, i wystawili go na sprzedaż.

– Może uda mi się nasłać tu Wydział Oszustw, żeby skonfiskowali pani oprogramowanie. Są w nim dowody przestępstw.

– Zawsze wolno panu próbować – zgodziła się.

Patrzyli przez chwilę na siebie; Lisa wygrała i ten pojedynek. Osborne potarł oczy i skinął głową. Potem uniósł się ciężko i powlókł do drzwi. Lisa zgasiła papierosa. Słyszeliśmy, jak porucznik odchodził dróżką.

– Dziwię się, że tak łatwo ustąpił – odezwałem się. – Ale czy rzeczywiście ustąpił? Nie sądzisz, że spróbuje nalotu na dom?

– To mało prawdopodobne. Wie, co jest grane.

– Może poinformowałabyś i mnie?

– Po pierwsze, to nie jego działka i on o tym wie.

– Dlaczego kupiłaś dom?

– Powinieneś zapytać, jak.

Spojrzałem na jej twarz. Pod maską pokerzysty pojawił się cień rozbawienia.

– Słuchaj, Lisa. Coś ty zrobiła?

– To właśnie pytanie zadał sobie Osborne. Znalazł właściwą odpowiedź, bo rozumie, jak działają maszyny Kluge'a. I wie, jak załatwia się różne sprawy. To nie był przypadek, że dom został wystawiony na sprzedaż, i nie przypadkiem byłam jedynym reflektantem. Wykorzystałam jednego z zaprzyjaźnionych radnych Kluge'a.

– Przekupiłaś go?

Roześmiała się i pocałowała mnie.

– Chyba w końcu udało mi się zaszokować ciebie, Jankesie. To będzie chyba największa różnica między mną a rodowitym Amerykaninem. Przeciętny obywatel nie wydaje tu forsę na łapówki. W Sajgonie wszyscy to robili.

– Przekupiłaś go?

– Nie tak ordynarnego. Tu trzeba trafić tylnym wejściem. Na koncju pewnego senatora pojawiło się kilka całkowicie legalnych wpłat na fundusz wyborczy, a senator wspomniał komuś o pewnej sytuacji, a ten ktoś miał możliwość legalnie załatwić to, co mi było potrzebne. – Spojrzała na mnie z ukosa. – Oczywiście, że go przekupiłam, Victor. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak tanio. Czy to cię martwi?

– Tak – przyznałem. – Nie lubię przekupstwa.

– Mnie jest ono obojętne. Istnieje, podobnie jak siła ciężenia. Można tego nie lubić, ale da się za pomocą tego załatwić parę spraw.

– Rozumiem, że zatarłaś ślady.

– Nie najgorzej. W przypadku przekupstwa nigdy nie udaje się całkowicie zatrzeć śladów, ze względu na element ludzki. Radny mógłby mnie wsypać, gdyby stanął przed sądem. Ale nie stanie, ponieważ Osborne nie posunie się do tego. To drugi powód, dla którego wyszedł stąd bez walki. On wie, jak toczy się ten świat, wie, jaką siłą dysponuję, i wie, że z tym nie wygra.

Potem nastąpiła dłuższa cisza. Miałem wiele do przemyślenia, z czego większość poważnie mnie trapiła. W pewnej chwili Lisa sięgnęła po papierosy, potem zmieniła zdanie. Czekala, aż sobie wszystko ułożę w głowie.

– To straszna siła, prawda? – powiedziałem w końcu.

– Przerazająca – zgodziła się. – Nie myśl, że ja się nie boję. Nie sądź, że nie miewalam myśli o tym, by stać się nadczołowiekiem. Władza to straszna pokusa i trudno ją odrzucić. Tyle mogłabym osiągnąć.

– A zrobisz to?

– Nie mówiłam o kradzieży ani o wzbogaceniu się.

– Wiem, że nie.

– To jest władza polityczna. Ale nie wiem, jak ją sprawować... może to brzmi banalnie, ale chciałabym użyć jej dla dobra. Widziałam wiele zła, które wyrządzono w dobrej wierze. Nie uważam, że jestem na tyle mądra, by zrobić choć trochę dobrego. A mam wszelkie szanse, że skończę tak jak Kluge. Ale brak mi rozumu, żeby się od tego odczepić. Wciąż jeszcze tkwi we mnie łobuziak z Sajgonu, Jankesie. Tyle mam rozsądku, by nie użyć tego, dopóki nie będę naprawdę musiała. Ale nie potrafię się tego pozbyć i nie potrafię tego zniszczyć. Czy to głupie?

Nie umiałem znaleźć dobrej odpowiedzi na to pytanie. Ale miałem złe przeczucia. Moje wątpliwości katowały mnie przez następny tydzień. Nie doszedłem do żadnych wielkich wniosków moralnych. Lisa wiedziała o pewnych przestępstwach i nie doniosła o nich władzom. Nie przejąłem się tym zanadto. Poza tym miała pod palcami możliwość popełnienia wielu innych przestępstw, a to już mnie bardzo niepokoiło. Ale właściwie to nie sądziłem, żeby planowała coś takiego. Była na tyle inteligentna, żeby używać tego wszystkiego tylko do obrony – ale w przypadku Lisy mogło to wiele oznaczać. Kiedy któregoś dnia nie przyszła na kolację, udałem się do domu Kluge'a i znalazłem ją przy pracy w salonie. Trzy metry półek zostały już opróżnione. Obok Lisy stał wielki plastikowy pojemnik na śmieci oraz magnes wielkości piłki do baseballu. Patrzyłem, jak przesuwa jakąś taśmę nad magnesem, po czym wrzuca ją do pojemnika, który był już prawie pełny. Spojrzała na mnie, powtórzyła tę sama operację z naręczem dysków, a następnie zdjęła okulary i potarła oczy.

– Czujesz się już lepiej, Victor? – spytała.

– O co ci chodzi? Czuję się świetnie.

– Nieprawda. I ja też nie czułam się jak trzeba. Boli mnie to, co robię, ale muszę. Możesz mi przynieść drugi pojemnik?

Zrobiłem to, o co prosiła, i pomogłem jej zdjąć z półek kolejną partię oprogramowania.

– Chyba nie skasujesz tego wszystkiego, co?

– Nie. Kasuję archiwum i... coś jeszcze.

– Powiesz mi co?

– Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć – rzekła posępnie. W końcu przy kolacji udało mi się ją przekonać. Mówiła niewiele, tylko jadła i potrząsała głową. Ostatecznie jednak ustąpiła. – To właściwie ponura sprawa – powiedziała. – Przez ostatnie parę dni pakowałam się do kilku drażliwych miejsc. Kluge dobrał się do nich z własnej woli, ale mnie to przeraża, jak jasna cholera.

Brudne sprawy. Miejsca, gdzie wiedzą takie rzeczy, które, jak mi się zdawało, zawsze chciałam wiedzieć. – Zadygotała i zamilkła, jakby nie chcąc mówić dalej.

– Mówisz o komputerach wojskowych? CIA?

– To wszystko zaczyna się od CIA. To najłatwiejsza sprawa. Zaglądałam do NORAD-u – to ci faceci, którzy walczyliby w następnej wojnie. Aż ciarki przechodzą mnie na myśl o tym, jak łatwo Kluge się do nich dostał. Dla treningu wykombinował sposób, jak rozpocząć trzecią wojnę

światową. Ten program, to jeden z tych, które skasowaliśmy. Przez ostatnie dni nadgryzłam programy prawdziwych ważniaków. Agencji Wywiadu Obrony oraz... czegoś tam Bezpieczeństwa Kraju. DIA i NSA. Każda z nich jest mocniejsza od CIA. Coś wiedziało, że tam się dostałam. Jakiś program strażniczy. Kiedy tylko zdałam sobie z tego sprawę, szybko się wycofałam i przez ostatnie pięć godzin upewniałam się, że nie pogonił za mną. A teraz jestem pewna – i to wszystko już zniszczyłam.

– Myślisz, że to oni zabili Kluge a?

– To najprawdopodobniejsze kandydatury. On miał całe tony ich materiałów. Wiem, że pomagał w projektowaniu największych systemów w NSA, a potem przez całe lata wtykał do nich nos. Wystarczył jeden fałszywy krok.

– Czy masz to wszystko? To znaczy, czy jesteś pewna?

– Jestem pewna, że mnie nie wytropili. Nie jestem pewna, czy zniszczyłam cały zapis. Chcę teraz tam wrócić, żeby przyjrzeć się po raz ostatni.

– Pójdę z tobą.

Pracę skończyliśmy dobrze po północy. Lisa przeglądała taśmę czy dysk i jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, rzucała go do mnie na zabieg magnetyczny. W pewnym momencie, tylko dlatego, że nie miała pewności, wzięła magnes i przesunęła go wzdłuż całej półki programów. Samo myślenie o tym oszałamiało. Tym jednym zabiegiem kasującym rozproszyła miliardy bitów informacji. Część z nich, być może, nie istniała gdziekolwiek indziej na świecie. Stały przede mną jeszcze trudniejsze pytania. Czy miała prawo to robić? Czy wiedza nie powinna istnieć dla wszystkich? Przyznaję jednak, że stłumienie moich protestów przyszło mi z łatwością. Byłem raczej zadowolony, że to wszystko znika. Stary reakcjonista drzemający we mnie uznał, że łatwiej jest uwierzyć, iż Są Rzeczy Których Nie Powinniśmy Wiedzieć. Prawie już skończyliśmy, gdy monitor Lisy zaczął się psuć. Wydał kilka syków i trzasków, więc Lisa odsunęła się; po chwili zaczął migotać ekran. Przyglądałem mu się przez chwilę; wydawało mi się, że formuje się na nim jakiś obraz. Coś trójwymiarowego. W chwili, gdy zacząłem mieć pojęcie, co to takiego, spojrzałem na Lisę i zobaczyłem, że też na mnie patrzy. Jej twarz migotała. Podeszła do mnie i zasłoniła mi twarz dłońmi.

– Victor, nie powinieneś na to patrzeć.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, a kiedy to mówiłem, rzeczywiście wszystko było w porządku, ale chwilę później już nie. I była to ostatnia rzecz na dłuższy czas, którą zapamiętałem. Powiedzieli mi, że były to straszne dwa tygodnie. Niewiele z nich pamiętam. Faszzerowali mnie lekarstwami, a po każdym chwilowym przeblysku świadomości następował nowy atak. Pierwszą rzeczą, którą dobrze zapamiętałem, był widok twarzy doktora Stuarta. Leżałem w łóżku szpitalnym. Później dowiedziałem się, że była to klinika Cedars-Sinai, a nie Szpital dla Weteranów. Lisa zapłaciła za separatkę. Stuart zadawał mi zwykłe pytania. Mogłem na nie odpowiadać, choć byłem ogromnie zmęczony. Kiedy zaspokoił swoją ciekawość co do mego stanu, zaczął w końcu odpowiadać na moje pytania. Dowiedziałem się wtedy, jak długo tu jestem i jak się to wszystko stało.

– Miał pan ataki następujące jeden po drugim – potwierdził. – Właściwie nie wiem dlaczego. Od dziesięciu lat nie miał pan do nich skłonności. Myślałem, że już wszystko będzie dobrze. Ale chyba nigdy nie można mówić o stabilizacji.

– A więc Lisa przywiozła mnie tu na czas.

– Zrobiła dużo więcej. Najpierw nie chciała mi się przyznać. Wygląda na to, że po tym pierwszym ataku, którego była świadkiem, przeczytała wszystko na temat epilepsji, co tylko mogła znaleźć. Od tamtego dnia miała w pogotowiu strzykawkę i roztwór valium. Kiedy zobaczyła, że pan

nie oddycha, wstrzyknęła panu sto miligramów i nie ma wątpliwości, że to uratowało panu życie.

Ze Stuartem znaliśmy się od wielu lat. Wiedział, że nie miałem recepty na valium, choć rozmawialiśmy o tej sprawie, kiedy ostatni raz byłem hospitalizowany. Ponieważ jednak mieszkałem sam, nie miałby mi go kto wstrzyknąć, gdyby były kłopoty. Bardziej interesował go rezultat niż cokolwiek innego, a to, co zrobiła Lisa, przyniosło pożądany wynik. Wciąż żyłem. Tego dnia nie wpuścił do mnie żadnych odwiedzających. Protestowałem, ale wkrótce zasnąłem. Lisa przyszła następnego dnia; miała na sobie nową koszulkę. Był na niej rysunek robota w todze i kapeluszu profesorskim. Napis głosił: „Rocznik absolwencki 11111000000”. Okazało się, że jest to rok 1984 w zapisie dwójkowym. Uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Cześć, Jankesie! – a kiedy usiadła na brzegu łóżka, zacząłem dygotać. Zaniepokoiła się i spytała, czy ma zawołać doktora.

– To nie to – udało mi się wykrztusić. – Chciałbym, żebyś mnie przytuliła.

Zdjęła buty i wśliznęła się do mojego łóżka. Przyciskała mnie mocno do siebie. W pewnym momencie zjawiała się pielęgniarka i usiłowała ją wyprosić. Lisa skłęta ją po wietnamsku i chińsku, a nawet dodała kilka zdumiewających obelg po angielsku. Pielęgniarka wyszła po tym wszystkim. Zobaczyłem, jak w chwilę później zagląda doktor Stuart. Kiedy przestałem płakać, poczułem się dużo lepiej. Oczy Lisy były również wilgotne.

– Byłam tu co dzień – powiedziała. – Wyglądasz okropnie, Victor.

– Czuję się dużo lepiej.

– I wyglądasz lepiej niż przedtem. Doktor powiedział jednak, żebyś tu poleżał jeszcze parę dni, dla świętego spokoju.

– Chyba ma rację.

– Planuję wielkie przyjęcie dla ciebie, kiedy wrócisz. Czy zaprosimy sąsiadów?

Przez jakiś czas milczałem. Było tak wiele rzeczy, których nie uwzględniliśmy. Jak długo miało jeszcze trwać to coś między nami? Jak wiele czasu minie, póki nie stanę się zgorzkniały z powodu mojej bezużyteczności? Kiedy Lisa znuży się życiem ze starym człowiekiem? Nie przypominałem sobie, kiedy zacząłem uważać ją za trwałą część mojego życia. A teraz zastanawiałem się, jak w ogóle mogłem coś takiego pomyśleć.

– Czy chcesz spędzić jeszcze wiele lat czekając w szpitalach na śmierć człowieka?

– Czego ty chcesz, Victor? Zostanę twoją żoną, jeśli o to chodzi. Albo będę żyć z tobą w grzechu. Ja wolę grzech, ale jeśli ma cię to uszczęśliwić...

– Nie wiem, po co chcesz się obarczyć epileptycznym starym pierdołą.

– Bo cię kocham.

Powiedziała to po raz pierwszy. Mógłbym jeszcze długo pytać – na przykład znowu przywołując wspomnienie majora – ale nie miałem chęci. Teraz cieszę się, że nie pytałem. Więc zmieniłem temat.

– Skończyłaś robotę?

Wiedziała, o jakiej robocie myślę. Ściszyła głos i przysunęła usta do mojego ucha.

– Lepiej nie wchodźmy tu w szczegóły, Victor. Nie ufam żadnemu miejscu, którego osobiście nie sprawdziłam na podsłuch. Żeby jednak cię uspokoić, powiem ci, że skończyłam i te dwa tygodnie były spokojne. Nikt niczego się nie dowiedział, a nigdy już nie będę się w coś takiego mieszać...

Poczułem się znacznie lepiej. Poczułem również wyczerpanie. Próbowiałem ukryć ziewanie, ale sama wyczuła, że czas już iść. Pocałowała mnie jeszcze raz przyrzekając dużo więcej w domu i wyszła.

Tego dnia widziałem ją po raz ostatni. Około godziny dziesiątej tego samego wieczoru Lisa weszła do kuchni Kluge'a ze śrubokrętem i paroma innymi narzędziami, i zabrała się za kuchenkę

mikrofalową. Producenci tych urządzeń z największą skrupulatnością zapewniają, że nie można kuchenek tych włączyć przy otwartych drzwiczkach, ponieważ emitują śmiertelne promieniowanie. Ale gdy ktoś ma kilka prostych narzędzi i dobrze pracujący umysł, zdoła obejść blokady zabezpieczające. Lisa nie miała z nimi najmniejszego kłopotu. Mniej więcej po dziesięciu minutach od wejścia do kuchni włożyła głowę do piecyka i włączyła go. Nie można ustalić, jak długo trzymała tam głowę. Wystarczyło w każdym razie, by jej gałki oczne przybrały konsystencję jajek ugotowanych na twardo. W którymś momencie straciła kontrolę nad mięśniami prądkowanymi i upadła na podłogę pociągając za sobą kuchenkę.

Nastąpiło zwarcie i powstał pożar. W rezultacie włączył się wymyślny system alarmowy, który Lisa kazała zainstalować przed miesiącem. Płomienie zobaczyła Betty Lanier i wezwała straż pożarną, podczas gdy Hal przebiegł przez ulicę i wpadł do płonącej kuchni. Wyciągnął na zewnątrz to, co zostało z Lisy. Kiedy zobaczył, co ogień zrobił z górną połową jej ciała, a szczególnie z piersiami, zwymiotował. Lisę zabrano momentalnie do szpitala. Lekarze amputowali jedną rękę i usunęli przerażającą masę zwulkanizowanego silikonu, wyrwali wszystkie zęby i zastanawiali się, co zrobić z oczami. Podłączyli Lisę do respiratora. Dopiero salowa pierwsza zobaczyła pokrytą sadzą i krwią koszulkę, którą usunięto z ciała Lisy. Część napisu była nieczytelna, ale początek brzmiał: „Nie mogę już dłużej...”.

Nie potrafiłbym tego opowiedzieć w żaden inny sposób. Odkrywałem prawdę po kawałeczku, poczynając od zatroskanego wzroku doktora Stuarta, kiedy Lisa nie pojawiła się następnego dnia. Nie chciał mi nic powiedzieć, a zaraz później miałem kolejny atak. Następnego tygodnia pamiętałem jak przez mgłę. Przypominam sobie, jak wypisywano mnie ze szpitala, ale nie pamiętam drogi do domu. Betty była dla mnie bardzo dobra. Dali mi środek uspokajający pod nazwą tranxene, który był nawet lepszy – tabletki jadłem jak cukierki. Wałęsałem się w narkotycznym otumanieniu, jadłem tylko wtedy, gdy Betty mi kazała, spałem w fotelu, budziłem się nie wiedząc, gdzie jestem i kim jestem. Wiele razy powracałem do obozu jenieckiego. Pamiętam, że raz pomagałem Lisie układać odcięte głowy. Kiedy zobaczyłem siebie w lustrze, po mojej twarzy błąkał się lekki uśmiech. Zawdzięczałem go tranxene, pieszczącemu moje płaty mózgowe. Wiedziałem, że jeśli mam jeszcze trochę pożyć, ja i tranxene będziemy musieli zostać bardzo dobrymi przyjaciółmi. W końcu stałem się zdolny do czegoś, co mogło uchodzić za racjonalne myślenie. Pomogły mi w tym trochę odwiedziny Osborne'a. Szukałem wówczas jakichś powodów do życia i zacząłem się zastanawiać, czy on miał jakieś.

– Bardzo mi przykro – zaczął. Nie odezwałem się. – Nie jestem tu służbowo. Wydział nie wie, że tu przyszedłem.

– Czy było to samobójstwo? – zapytałem go.

– Przyniosłem ze sobą to, co odczytano z jej, hm... listu. Zamówiła go u producenta koszulek w Westwood, trzy dni przed... wypadkiem.

Wręczył mi tekst napisu; przeczytałem go. Było tam o mnie, choć nie po imieniu. Byłem „człowiekiem, którego kocha”. Stwierdziła, że nie może sobie poradzić z moimi problemami. List był krótki; na koszulce nie zmieści się zbyt dużo. Preczytałem tekst pięć razy, po czym oddałem go Osborne'owi.

– Ona powiedziała panu, że Kluge nie napisał tamtego listu. Ja zaś mówię, że ona nie napisała tego.

Skinął głową z wahaniem. Poczulem wielki spokój, pod którym szalał koszmar. Dzięki ci, o tranxene!

– Jak pan to uzasadnia?

– Odwiedziła mnie w szpitalu na krótko przed śmiercią. Była pełna życia i nadziei. Mówi pan,

że zamówiła tę koszulkę trzy dni wcześniej. Wyczułbym to. Poza tym, ten napis jest patetyczny. Lisa nie miała w sobie nic z patosu.

Znowu skinął głową.

– Chciałbym coś panu powiedzieć. Nie było żadnych śladów walki. Pani Lanier jest pewna, że nikt nie wszedł od ulicy. Laboratorium kryminologiczne zanalizowało cały dom i jesteśmy pewni, że nikogo tam z nią nie było. Daję głowę, że nikt nie wszedł wtedy do tamtego domu ani z niego nie wyszedł. No więc, ja też nie wierzę, że to było samobójstwo, ale co pan proponuje?

– NSA – odrzekłem. Powiedziałem mu o jej ostatnich pracach, kiedy jeszcze byłem z nią. Mówiłem też o jej obawach związanych z rządowymi agencjami wywiadowczymi. Tyle tylko wiedziałem.

– A więc, moim zdaniem, one mogłyby coś takiego zrobić, o ile w ogóle ktokolwiek mógłby. Ale powiem panu coś: trudno mi w to uwierzyć. Po pierwsze, nie wiem, jaki byłby powód. Może pan uważa, że ci ludzie zabijają tak, jak pan i ja zabijamy muchy.

Jego spojrzenie wskazywało, że jest to pytanie.

– Już sam nie wiem, w co wierzę.

– Nie mówię, że nie mogliby zabić w interesie bezpieczeństwa narodowego, czy innego takiego gówna. Ale zabraliby też komputery. Nie pozwoliliby, żeby została tu sama, nawet nie dopuściliby jej w pobliże tego wszystkiego, po tym, jak zabili Kluge'a.

– To, co pan mówi, brzmi rozsądnie.

Mamrotał jeszcze o tym przez dłuższy czas. W końcu zaproponowałem mu wino. Przyjął z wdzięcznością. Zastanowiłem się, czy też nie wypić – była to szansa na szybką śmierć – ale nie zrobiłem tego. Osborne wypił całą butelkę i był już mocno pijany, kiedy zaproponował, byśmy poszli do domu Kluge'a na ostatnie oględziny. Miałem zamiar odwiedzić Lisę następnego dnia i wiedziałem, że muszę jakoś zacząć się do tego przygotowywać, więc zgodziłem się mu towarzyszyć. Obejrzelismy kuchnię. Ogień poczercił blaty i stopił nieco linoleum, ale większych szkód nie zrobił. Za to woda zniszczyła wszystko. Na podłodze znajdowała się brązowa plama, której byłem w stanie przyglądać się bez emocji. Weszliśmy potem do salonu, gdzie jeden komputer był włączony. Na ekranie widniał krótki napis.

JEŚLI CHCESZ WIEDZIEĆ WIĘCEJ NACIŚNIJ ENTER – Niech pan tego nie robi – powiedziałem do Osborne'a. Ale nacisnął. Stał mrugając z powagą, gdy poprzednie słowa znikły i pojawił się nowy napis.

PODGLĄDAŁEŚ

Ekran zaczął migotać i nagle znalazłem się w moim samochodzie, w ciemnościach, z jedną kapsułką w ustach i następną w dłoni. Wypłułem kapsułkę i siedziałem przez chwilę słuchając pracy mojego starego silnika. W drugiej ręce trzymałem plastikową butelkę od lekarstwa. Czułem ogromne zmęczenie, ale otworzyłem drzwi od samochodu i wyłączyłem silnik. Po omacku odszukałem drogę do drzwi garażu i otworzyłem je. Powietrze na zewnątrz było świeże i słodko pachniało. Spojrzałem na butelkę od kapsułek i pobiegłem do łazienki. Kiedy skończyłem to, co trzeba było zrobić, w muszli pływało kilkanaście kapsułek, które nawet się nie rozpuściły. Po wielu innych pozostały tylko skorupki, które też tam były, wraz z jeszcze czymś, czego nawet nie chcę opisywać. Policzyłem kapsułki w butelce, przypomniałem sobie, ile ich było przedtem, i zastanowiłem się, czy z tego wyjdę. Poszedłem do domu Kluge'a, ale Osborne'a tam nie znalazłem. Odczuwałem coraz większe znużenie, jednak dobrnąłem do siebie i wyciągnąłem się na kanapie, by sprawdzić, czy jutro będę żył, czy też nie.

Następnego dnia wszystko było w gazecie. Osborne wrócił do domu i roztrzaskał sobie głowę

pociskiem z rewolweru. Notatka nie była długa. Gliniarzom takie rzeczy zdarzają się często. Listu nie zostawił. Wsiadłem do autobusu i pojechałem do szpitala, gdzie spędziłem trzy godziny usiłując dostać się do Lisy. Nie udało mi się. Nie byłem krewnym, a lekarze stanowczo podkreślali zakaz odwiedzin. Kiedy się wściekłem, zachowywali się, jak mogli najłagodniej. Dopiero wtedy dowiedziałem się, jaki był stopień jej obrażeń. Hal najgorsze zataił przede mną. Inne sprawy nie miałyby znaczenia, ale lekarze przysięgali, że w jej głowie nie pozostało nic. Poszedłem do domu.

Lisa umarła dwa dni później. Ku mojemu zdziwieniu, pozostawiła testament. Dostałem dom z zawartością. Gdy tylko dowiedziałem się o tym, wziąłem słuchawkę i zadzwoniłem do firmy zabierającej śmieci. Kiedy już jechali, po raz ostatni poszedłem do domu Kluge'a. Ten sam komputer był nadal włączony, a na ekranie widniał ten sam tekst.

NACIŚNIJ ENTER

Ostrożnie odnalazłem wyłącznik zasilania i przekręciłem go. Kazałem śmieciarzom opróżnić dom do gołych ścian. Przeszedłem się bardzo dokładnie po własnym domu szukając wszystkiego, co miałoby choćby daleki związek z komputerem. Wyrzuciłem radio. Sprzedałem samochód, lodówkę, kuchenkę elektryczną, mikser, zegar elektryczny. Opróżniłem materac z wody i wyrzuciłem grzałkę. Potem kupiłem najlepszą kuchenkę na propan, jaka była w sklepie, i polowałem przez dłuższy czas, aż znalazłem starą chłodziarkę na lód. Kazałem napełnić cały garaż drewnem opałowym. Kazałem wyczyścić komin. Wkrótce zrobi się chłodno. Pewnego dnia pojechałem autobusem do Pasadeny, gdzie ufundowałem Stypendium Pamięci Lisy Foo dla uciekinierów z Wietnamu i ich dzieci. Wpłaciłem na nie siedemset tysięcy osiemdziesiąt trzy dolary i cztery centy. Powiedziałem im, że stypendium może być przeznaczone na dowolny kierunek studiów, z wyjątkiem informatyki. Widziałem, że uważają mnie za ekscentryka. I naprawdę myślałem, że jestem bezpieczny, dopóki nie zadzwonił telefon.

Zastanowiłem się przez chwilę, zanim podniosłem słuchawkę. W końcu zrozumiałem, że będzie dzwonić, póki nie odbiorę. Więc podniosłem słuchawkę. Przez kilka sekund rozlegał się dźwięk sygnału centrali, ale mnie to nie zwiódło. Trzymałem słuchawkę przy uchu i w końcu sygnał się wyłączył. Nastąpiła po prostu cisza. Czekałem w napięciu. Usłyszałem parę tych dalekich melodyjnych tonów, które żyją w przewodach telefonicznych. Echa rozmów odbywających się o tysiące kilometrów. I coś nieskończenie bardziej odległego i zimnego. Nie wiem, co im się tam wykluło w NSA. Nie wiem, czy zrobili to celowo, czy był to przypadek; czy w ogóle ma to cokolwiek z nimi wspólnego. Ale wiem, że to tam jest, bo słyszałem, jak jego dusza oddycha w drutach. Zacząłem mówić bardzo uważnie.

– Nie chcę wiedzieć nic więcej – powiedziałem. – Nikomu nic nie powiem. Kluge, Lisa i Osborne – wszyscy popełnili samobójstwo. Jestem tylko samotnym człowiekiem i nie będę ci sprawiał kłopotów.

Rozległ się trzask, a potem sygnał centrali. Odłączenie telefonu przyszło łatwo. Usunięcie wszystkich przewodów było trudniejsze, bo jak już jakiś dom zostanie okablowany, to ma tak zostać na zawsze. Monterzy marudzili, ale kiedy zacząłem sam wrywać przewody, ustąpili, choć ostrzegli mnie, że będzie to kosztować. Z zakładem energetycznym poszło trudniej. Chyba wydawało im się, że istnieje jakiś przepis, według którego każdy dom ma być podłączony do sieci. Zgadzała się odłączyć prąd – choć wcale nie byli z tego zadowoleni – ale po prostu nie chcieli usunąć linii doprowadzającej go do mojego domu. Wlazłem na dach z siekierą i zdemolowałem półtora metra okapu, a oni wytrzeszczali na mnie oczy. Potem zwinęli swoje druty i poszli sobie. Wyrzuciłem wszystkie lampy, wszystkie urządzenia elektryczne. Za pomocą młota, dłutka i piły ręcznej zabrałem się do ściany tuż nad listwami przypodłogowymi. Gdy ogołacałem dom z przewodów, wiele razy

zastanawiałem się, po co to robię. Czy warto? Nie zostało mi przecież już wiele lat do ostatecznego ataku, który mnie załatwi. Te lata nie miały być wcale zabawne. Lisa była typem człowieka, który nie poddaje się łatwo śmierci. Ona zrozumiałaby, po co to robię. Raz powiedziała, że ja również jestem takim typem. Przeżyłem obóz. Przeżyłem śmierć rodziców i udało mi się jakoś ułożyć samotne życie. Lisa przeżyła śmierć bez mała wszystkiego. Żaden nawet najtwardszy typ nie może się spodziewać, że zawsze mu się uda. Ale póki Lisa żyła, starałaby się unikać śmierci.

I ja też się starałem, wyciągnąłem wszystkie druty ze ścian, przeszedłem z magnesem po całym domu, żeby sprawdzić, czy nie zostawiłem choć kawałka metalu; potem tydzień sprzątałem, zaklejałem dziury, które wykułem w ścianach, suficie, na strychu. Z rozbawieniem wyobrażałem sobie, jak agent sprzedaży nieruchomości będzie reklamował ten dom, gdy mnie już nie będzie. Wspaniały domek, kochani. Zupełnie bez elektryczności...

Teraz żyję spokojnie, jak przedtem. Pracuję w ogrodzie przez większą część dnia. Znacznie go poszerzyłem i zasiałem nawet różne rzeczy przed domem. Korzystam tylko ze światła świec i lampy naftowej. Jem prawie wyłącznie to, co sam wyhoduję. Wiele czasu minęło, nim odstawiłem tranxene i dilantinę, ale zrobiłem to i teraz przyjmuję ataki, kiedy przychodzą. Zazwyczaj mam po nich siniaki, które mogą zaświadczyć. W sercu wielkiego miasta odciąłem się od świata. Nie jestem fragmentem wielkiej sieci rosnącej szybciej, niż potrafię to pojąć. Nie wiem nawet, czy jest ona niebezpieczna dla zwykłych ludzi. TO dostrzegło mnie oraz Kluge'a i Osborne'a. I Lisę. Otarło się o nasze umysły, tak jak ja ruchem ręki odpędzam komara nawet nie zauważając, że go zabiłem. Tylko mnie udało się przeżyć. Ale tak sobie myślę. Byłoby bardzo trudno...

Lisa powiedziała mi, jak TO może przedostać się po przewodach. Istnieje coś takiego, co nazywamy falą nośną, która może poruszać się przewodami dostarczającymi prąd do domów. Dlatego musiałem usunąć elektryczność. Potrzebuję wody do ogrodu. Tu, w południowej Kalifornii, pada zbyt mało deszczu i nie mam pojęcia, jak inaczej mogę zdobyć wodę. Jak myślicie, czy TO może tu przyjść rurami?

Przełożył Wiktor Bukato

O autorze

John Varley (ur. 1947) jeden z najbardziej znaczących amerykańskich autorów SF. Urodzony w Austin, studiował na Michigan State University. Zadebiutował opowiadaniem „Picnic on Nearside” w 1974. Od tamtej pory utrzymuje się wyłącznie z pisania.

Szczególnie upodobał sobie formę literacką dłuższego opowiadania i krótkiej powieści. Przełom lat 70. i 80. należał do niego, większość publikowanych utworów albo zgarniała najważniejsze nagrody, albo była do nich nominowana.

Sławę przyniosły mu nowele: „Gotta Sing, Gotta Dance”, „The Phantom in Kansas”, „W pałacu władców Marsa”, „Barbie Murders”. Mikropowieść *Uporczywość widzenia* otrzymała w 1979 roku Hugo, Locusa i Nebulę. „Pchacz” dostał Hugo w 1982, „Naciśnij ENTER” w 1985 (także Locusa i Nebulę).

Jednocześnie wielką popularnością cieszyła się trylogia Gea: *Tytan, Czarodziejka, Demon*.

John Varley chętnie mierzył się z wyeksploatowanymi – zdawałoby się – motywami science fiction i tak je przerabiał, że wydawały się nowatorskie. Opowiadanie „Porwanie” dało początek powieści *Millenium*, następnie sfilmowanej.

Ostatnio Varley pisze już mniej, ale jego starsze opowiadania wciąż pojawiają się w różnych antologiach retrospektywnych. Obecnie mieszka w Los Angeles.

Krótką historia science fiction

Szkic drugi

W pierwszym szkicu o historii literatury science fiction pisałem o powstaniu tego gatunku, próbach jego zdefiniowania, założeniu licznych czasopism, dostrzeżeniu fantastyki naukowej przez wydawnictwa (choć w większości były to oficyny zakładane przez ludzi z fandomu), dyktaturze redaktorów oraz zatrzaśnięciu drzwi getta.

Skupiłem się na fantastyce amerykańskiej, bo science fiction powstała w Ameryce (choć jej prekursor, Wells, był Brytyjczykiem), tam się rozwinęła, stamtąd emanowała na wszystkie kraje anglojęzyczne. Fantastyka naukowa miała zawsze ograniczony zasięg, jeśli myślimy w skali globu. Powstała w najbardziej rozwiniętym przemysłowo kraju świata, bo zaistniała z zainteresowań techniką i nauką. Popularność zdobyła w krajach cywilizacji zachodniej, bo tu trafiła na podatny grunt. Nawet w Europie są jednak kraje, gdzie SF nie wyszła poza nieśmiałe i amatorskie próby (choćby Grecja czy Turcja).

Fantastyka jest bardzo popularna w Niemczech, Francji, Skandynawii, Polsce, Czechach czy Rosji. We wszystkich tych krajach zyskuje jednak swoje regionalne, narodowe cechy. Np. w Rosji jest bardzo hermetyczna i skupiona na rosyjskich problemach, we Włoszech czy Hiszpanii bardziej popularna jest fantasy.

Poza Ameryką Północną i Europą science fiction właściwie się nie rozwinęła do poziomu nam znanego. Może jeszcze w Japonii, która po II wojnie światowej była okupowana przez Amerykanów i obowiązywał tam pewien amerykański model kulturowy. Poza tym, Japończycy żyją w jednym z najbardziej rozwiniętych krajów świata, wynalazki high tech są u nich są wprowadzane w życie najwcześniej, Japończycy to urodzeni gadżeciarze, stąd SF jest tam dobrze rozwinięta, także w sztuce anime.

Fantastyka latynoska raczej skłania się ku poetyce fantasy, idzie ku literaturze magicznej, czy realizmowi magicznemu, co opisał znawca tematu, Tomasz Pindel w swojej książce *Zjawy, szaleństwo i śmierć*.

Z kolei w Afryce i krajach arabskich zjawisko literatury science fiction praktycznie nie istnieje. Twórcy afrykańscy tworzą fantasy, jako że mity i baśnie są podstawą ich kultury i społeczności.

Chiny doczekały się prób SF, ale i tutaj – co najbardziej widać po produkcjach filmowych – rządzi fantasy, wyrosła z tradycji kulturowej. Szybki postęp technologiczny, jaki ma miejsce w Chinach w ostatnich latach, fakt, że stają się powoli mocarstwem także w badaniach kosmosu, może spowodować u niektórych jej fantastycznych twórców chęć zamienienia mieczów na lasery, a rydwanów w statki kosmiczne. Poczekamy, zobaczymy.

Wyważyć drzwi getta

Science fiction pod koniec lat 50. i na początku kolejnej dekady była gatunkiem literackim ukształtowanym przez czasopisma pulpowe, kierowane twardą ręką redaktorów, których gusta kształtowały style pisarskie i tematykę. Była gatunkiem posiadającym wiernych czytelników w

postaci fandomu, który jednak też chciał decydować o tym, co się pisze i co wydaje. Fandom był zapleczem pisarskim, prawdziwą wylęgarnią autorów, wydawców, krytyków i redaktorów, było więc naturalne, że chciał mieć wpływ na to, co czyta. Ale te wszystkie rzeczy, wpływające pozornie na bogactwo gatunku, bardzo go też ograniczały.

A przecież science fiction, która powstała z potrzeby czasów, w odpowiedzi na błyskawiczny rozwój technologiczny i zainteresowanie nauką wszystkich warstw społecznych, właśnie w latach 50. i 60. miała się czym karmić.

II wojna światowa obnażyła prawdziwe oblicze totalitaryzmów i pokazała okropieństwo wojny totalnej, zostawiając świat podzielony na dwa wrogie obozy, przekonane, że konflikt atomowy jest nieunikniony.

Rozpoczęła się eksploracja kosmosu, lot „Sputnika”, potem Gagarina i amerykańska odpowiedź na nie, następnie wyścig ku Księżycowi. Świat się wtedy tym fascynował, czego nie można powiedzieć dzisiaj, gdy loty kosmiczne całkiem publiczności spowszedniały, choć są rzadsze niż w tamtych „cudownych latach”. Amerykanie do dzisiaj mają wielki sentyment do lat 50., kiedy amerykański styl życia przeżywał apogeum – pomimo Zimnej Wojny i atomowego miecza Damoklesa nad głową, Ameryka rozwijała się w nieprawdopodobnym tempie, a z dobrodziejstw techniki korzystali wszyscy – nowe wynalazki rewolucjonizowały nie tylko przemysł kosmiczny czy zbrojeniowy, ale także gospodarstwo domowe.

Krytyka głównego nurtu patrzyła jednak na science fiction (i podnoszące wtedy głowę fantasy) raczej z pobłażaniem lub lekceważeniem. Poważne wydawnictwa czuły koniunkturę i w latach 50. uruchamiały serie fantastyki, ale na podłym papierze i w formie kieszonkowej – książki SF kosztowały wówczas maksymalnie 50 centów. Na wydania typu hardcover fantastyka wciąż nie miała co liczyć. Również w kinie wciąż dominowały banalne historyjki o inwazji z kosmosu, choć może powstawały one w wyniku obawy przed agresją ZSRR na Stany Zjednoczone. Jednocześnie jednak liczne seriale TV, typu Strefa mroku czy Star Trek przyciągały do science fiction coraz to nowych czytelników.

Getto powoli puchło, do grona uznanych mistrzów jak Asimov, Heinlein, Leiber, Clarke, Bradbury dochodzili nowi, którzy chcieli zmian. Chcieli pisać inne historie, o sprawach ważnych dla swego pokolenia.

Młode pokolenie burzyło się przeciwko narzuconemu systemowi wartości, sytuacji politycznej na świecie. Pojawiła się muzyka rockowa, która miała być oznaką buntu, protestu, odmienności, krzykiem nowej generacji, nie chcącej dalej żyć w cieniu wojen światowych i pod groźbą atomowej zagłady. Nadchodził czas rewolucji kulturalnej.

Także w science fiction.

Nowa Fala – speculative fiction

Co dziwne, choć rewolucja kulturowa rozegrała się głównie w Ameryce, uwikłanej w konflikty zbrojne w Azji, to rewolucja w science fiction rozpoczęła się w Wielkiej Brytanii. Emanowała stąd na Amerykę, gdzie w rezerwach pisma *If* pod redakcją Frederika Pohla już czyhała na swoje pięć minut wataha młodych wilków. W USA powstała jeszcze inna grupa literacka mająca duży wpływ na SF tamtych lat. W dodatku stara gwardia wciąż tworzyła swoją fantastykę, a kilku wielkich pisarzy science fiction rozpoczęło własną drogę twórczą na uboczu mód i sporów literackich.

Grunt pod zmiany był już przygotowany: atmosfera zimnowojenna i sprzeciw wobec wojny w Wietnamie, muzyka tak odmienna od muzyki dotąd popularnej, narkotyki, hasła anarchistyczne i pacyfistyczne oraz ogromna rzesza młodych ludzi, prawdziwy wyż demograficzny – efekt „euforii” po zakończonej wojnie. Po raz pierwszy konflikt pokoleniowy przybrał tak ostre formy – młodzi ludzie chcieli być inni od swoich rodziców, chcieli się wyróżniać, chcieli sami decydować o swojej przeszłości.

I podobnie część twórców science fiction zbuntowała się przeciw standardom narzuconym przez wielkich redaktorów. Nie chcieli już tylko fantastyki traktującej o nauce, chcieli pisać literaturę przez duże L, ale pod znakiem SF. Poza tym publikowane prace naukowe, rozwój fizyki i astronomii uświadomił ludziom, że kosmos nie jest po prostu łatwą do przebycia przestrzenią, ale nieprzebytą, nieskończoną i ekstremalnie niebezpieczną dla człowieka otchłanią.

Do nadania kierunku i siły tym wszystkim przesłankom potrzeba było iskry, impulsu, i tak się stało w 1964 roku, kiedy to w Wielkiej Brytanii chylące się ku upadkowi pismo *New Worlds* przejął nowy wydawca i zlecił jego redagowanie Michaelowi Moorcock'owi, człowiekowi z fandomu, a jednocześnie należącemu do zbuntowanego pokolenia dzieci kwiatów.

Moorcock od razu zapowiedział, że Nowe Światy będą drukowały awangardę fantastyki, że interesują go nowe tematy i styl pisarski. Bardzo szybko wokół pisma zebrała się grupa doskonałych autorów brytyjskich: Brian W. Aldiss, J. G. Ballard, John Brunner, Charles Platt; Moorcock przyciągnął też interesujących twórców z Ameryki: Pamelę Zoline, Thomasa M. Discha, Normana Spinrada. Pojawili się u niego Roger Żelazny i Gene Wolfe. Moorcock i amerykańska pisarka Judith Merril przywrócili dla określenia fantastyki z *New Worlds* termin fantastyka spekulatywna (autorstwa Heinleina), ale nigdy się on na dłużej nie przyjął, za to awangardę Moorcocka zaczęto określać mianem Nowej Fali SF.

Twórcy toczyli spór programowy z innymi fantastami, którzy poczuli się nagle zagrożeni – a chodziło przecież o czytelnika i pieniądze – ale z grubsza polegał on na tym, że nowofalowa science fiction nie koncentrowała się na technologii, wynalazkach, odrzuciła przyjazny kosmos, a pisała o człowieku, jego miejscu we wszechświecie, w dodatku chętnie łączyła SF z fantasy. Język, osobiste poglądy autora, eksperymenty stylistyczne, szokująca tematyka – to było wyróżnikiem Nowej Fali. W gruncie rzeczy chodziło głównie o bunt pokoleniowy i w ciągu dekady Nowa Fala się wypaliła, rewolucja zakończyła, a jej program posłużył później innym „rewolucjonistom” w science fiction do wykuwania własnych idei.

Najważniejszym, co jednak po ideach Nowej Fali zostało to ich stosunek do technologii i przeczucie, że spycha ona człowieczeństwo na dalszy plan.

Na razie jednak Nowa Fala wprowadziła sporo zamieszania, *New Worlds* na parę lat stało się najważniejszym pismem w branży. Wspomniana Judith Merril, która redagowała serię antologii w USA, przeniosła idee Moorcocka na grunt amerykański. W tym samym czasie Damon Knight rozpoczął wydawanie antologii oryginalnych opowiadań *Orbit*, które z miejsca zdobyły wielką popularność, a zamieszczały amerykańskich autorów nowofalowych. Stanowiły też dobre miejsce do publikacji opowiadań, których nie chciały czasopisma.

W 1965 roku młody buntownik, Harlan Ellison, znany z kilku opowiadań i działalności fandomowej, ogłosił plan antologii *Niebezpieczne wizje*. Opublikował ją w 1967 roku i z miejsca stała się książką kultową. Wśród 32 autorów tam opublikowanych znaleźli się pisarze nowofalowi i – całkowite novum wówczas – pisarze mainstreamu. Ellisonowi udało się też włączyć w projekt kilku twórców ze Złotego Wieku. W wyniku tego powstała antologia uważana do dzisiaj za antologię wszech czasów. W roku 67 wszelkie nagrody zgarniali ludzie Ellisona.

W latach 60. nastąpił wysyp antologii oryginalnych opowiadań, ale próbę czasu przetrwały tylko, poza *Orbit – New Dimensions* Roberta Silverberga i *Universe* Terry'ego Carra. Tu publikowali amerykańscy nowofalowcy: Samuel R. Delany, Thomas M. Disch, Roger Żelazny, Gene Wolfe, Judith Merril.

Najważniejsze powieści twórców należących do Nowej Fali to *Obóz koncentracji* (1968) Thomasa M. Discha, *Zatopiony świat* J. G. Ballarda (1962), *Stand on Zanzibar* Johna Brunnera (1968), *Babel 17* Samuela R. Delany ego (1966), *Pan Światła* Rogera Żelazny'ego (1967), *The Saliva Tree* (1965) i *Mroczne lata świetlne* (1964) Briana W. Aldissa, *And Chaos Died* Joanny Russ (1970), *Bug Jack Barron* Normana Spinrada (1969). Ta ostatnia powieść, napisana slangiem, była tak obrazoburcza, że w Wielkiej Brytanii zabroniono jej rozpowszechniania, a wydawca musiał publicznie przeproszać czytelników.

Obok Nowej Fali

Żadna rewolucja nie jest w stanie zburzyć do końca ładu, przeciwko któremu się buntuje, szybko też tworzą się grupy, którym nie odpowiada program żadnej ze stron. No i pozostają autsajderzy, zawsze kroczący pod prąd zmian, mód i styli.

Lata 60. i początek 70. to prawdziwy wysyp znakomitych autorów, którzy nie należeli do szkółek Campbella i nie identyfikowali się z Nową Falą. Joe Haldeman, George R.R. Martin, Michael Bishop, John Varley, Gardner Dozois, Jerry Pournelle, Joan D. Vinge, Jack Dann, Pamela Sargent, George Zebrowski i wielu, wielu innych.

Część z nich, z racji daty wspólnych spotkań była nazywana Labour Day Group, a wśród jej najważniejszych twórców był George R. R. Martin, który nie ukrywał, że nigdy nie chciał się identyfikować z żadną ze szkół, a pragnął po prostu łączyć to, co było dobre w starej fantastyce z tym, co ciekawego w nowych trendach. I chyba właśnie ten fakt przeważał, że Nowa Fala tak prędko umarła śmiercią naturalną, a iskra buntu szybko się wypaliła. Czytelnik pragnął dobrej opowieści, nie eksperymentów stylistycznych i w rankingach czytelniczych i na listach nagród okazało się, kto jest górą. Lata 70. to czas takich autorów jak Martin, Bishop, Swanwick i inni. Rzadko trafia się za to na nazwisko twórcy z Nowej Fali. Sam Moorcock do dzisiaj jest właścicielem firmy New Worlds, czasem publikuje jakąś antologię, bierze udział w dyskusjach, ale że zawsze szedł pod prąd, to jego dorobek powoli ulega zapomnieniu. Ta antologia przypomni kilka jego osiągnięć redaktorskich i autorskich.

Z tych pisarzy doskonale funkcjonujących obok Nowej Fali trzeba zwrócić uwagę zwłaszcza na Georgea R. R. Martina, który odszedł jednak wkrótce od twardej SF i zajął się pisaniem intratnych scenariuszy telewizyjnych oraz fantasy, Johna Varley'a, z powodzeniem odświeżającego utarte schematy SF w kilkunastu świetnych opowiadaniach, czy Joan D. Vinge i dwóch Michaelów: Bishopa i Swanwicka. Ale w latach 60. ich czas jeszcze nie nadszedł, do nich należała następna dekada.

Rola autsajderów

Pod prąd szli nie tylko tacy twórcy jak Moorcock. Poza głównymi nurtami fantastyki tworzyło ją w

omawianym okresie wielu twórców, i mają pewien wspólny mianownik. Tworząc w getcie, próbowali się zeń wyrwać, wejść do literackich salonów, być wydawanymi przez wielkie wydawnictwa, znaleźć szerszą publiczność.

Oczywiście całe getto, choć samo zamykało się w kółku wzajemnej adoracji, o takim awansie marzyło. Z prostej przyczyny: etykieta SF na książce dawała publikację kieszonkową, za niewielkie pieniądze, a tym samym mały procent autorski. Zapewniała pewną wysokość sprzedaży, ale jednocześnie nie było możliwości podwyższenia nakładu, gdyż zdecydowana większość czytelników nawet nie tknęłaby książek opatrzonej etykietą SF.

Wśród autsajderów byli pisarze stricte fantastyczni, jak Robert A. Heinlein, Ursula K. Le Guin czy Frank Herbert, pisarze wstydzący się pisania SF i marzący o karierze mainstreamowej, jak Philip K. Dick, oraz pisarze głównonurtowi, którzy jednak fantastykę traktowali poważnie i chętnie czerpali z jej rekwizytorni, przy czym od razu mieli świadomość pisania mainstreamu – J. G. Ballard, Kurt Vonnegut.

Heinlein w latach 60. osiągnął apogeum popularności, głównie za sprawą powieści *Obcy w obcym kraju* (1960), która stała się niezwykle popularna w środowiskach hipisowskich i doczekała się wydań w twardej oprawie i kieszonkowych, i była chyba pierwszą powieścią autora SF, która zyskała szacunek krytyki „poważnej”. Drugą jego popularną powieścią z tego gatunku jest *Luna to surowa pani* (1966). Heinlein był pisarzem w pełni ukształtowanym, oprócz pomysłu miał też coś do przekazania swoim czytelnikom i potrafił znakomicie dostosować swoje pisarstwo do potrzeb odbiorców. Dlatego pisywał do różnych magazynów, dla młodego pokolenia, był chętnie czytany przez czytelników spoza getta. Potrafił jednocześnie pisać pacyfistycznego *Obcego* i militarystycznych *Żołnierzy kosmosu*. Podobną wszechstronność posiadał też Isaac Asimov, który coraz rzadziej pisywał już fantastykę, a poświęcił się propagowaniu nauki, pisząc liczne książki, występując w telewizji i radio.

Ursula K. Le Guin była pierwszą pisarką science fiction, której książka trafiła na listy lektur w amerykańskich szkołach średnich – była to *Lewa ręka ciemności* (1969). Pisarka doskonale czuła się zarówno w utworach science fiction, na potrzeby których ułożyła własną historię przyszłości, jak i fantasy.

Pierwszy naprawdę komercyjny sukces, wielkie nakłady, wydania w twardych oprawach i spore zaliczki dla pisarza, odniosła *Diuna* (1963) Franka Herberta, i jej kontynuacje: *Mesjasz Diuny* i *Dzieci Diuny*. Powieść w znakomity sposób połączyła tematykę ekologiczną, wątki mesjanistyczne z ścią bizantyjskimi intrygami na skalę galaktyczną.

Najlepsze swoje książki napisał w tym czasie Philip K. Dick, dzisiaj jeden z najbardziej cenionych amerykańskich twórców science fiction, zwany nawet Dostojewskim SF. Współcześni go jednak nie doceniali. Dick pisywał jedną za drugą powieści mainstreamowe, ale wydawcy je odrzucali, niektóre przerabiał potem na fantastykę. Pisanie SF było jedynym jego źródłem utrzymania, ogarnięty obsesjami lekoman i narkoman, miewał okresy niesłychanej weny na przemian z czasem, kiedy pisywał straszne chałtury. Zawsze wstydził się pisania science fiction, był w tej pracy bardzo niedbały, ale i tak powstały w latach 60. powieści wybitne. Lubię myśleć, jakie powieści by powstały, gdyby Dick podszedł do science fiction na poważnie. W 1962 opublikował znakomitą książkę o alternatywnym zakończeniu II wojny światowej, *Człowieka z Wysokiego Zamku* (drugą, równie dobrą powieść opartą na zbliżonym pomysle napisał nowofalowiec Norman Spinrad, *The Iron Dream*, 1972), a także *Ubika* (1969), *Trzy stygmaty Palmera Eldritch'a* (1964), *Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?* (1968). Jego twórczość okazała się też wyborna do ekranizacji, na podstawie opowiadań i powieści Dicka powstało kilkanaście filmów, z których kilka weszło do

kanonu filmowego i odmieniło podejście twórców kina do fantastyki (m. in. „Blade runner” Ridleya Scotta, „Pamięć absolutna” Poula Verhoevena, „Raport mniejszości” Stevena Spielberga).

Dobra fantastyka coraz częściej była ekranizowana – z omawianego okresu szczególnie dwa utwory miały wpływ na kino: *Mechaniczna pomarańcza* Anthonyego Burgessa (1962) sfilmowana przez Stanleya Kubricka i opowiadanie „Kwiaty dla Algernona” Daniela Keyesa z 1966 (film „Charly” w reż. Ralpha Nelsona otrzymał Oscara za tytułową rolę Cliffa Robertsona). A „2001: Odyseja kosmiczna” Kubricka z 1968 (na podstawie opowiadania „The Sentinel” Arthura C. Clarke'a) jest uważana za prawdziwy krok milowy w historii kina.

Pogranicze w ogniu – fantastyka w ofensywie

Lata 60. to czas pierwszych sukcesów fantastów na podwórku głównego nurtu. Wyłomy w murze getta czynią J. G. Ballard (debiutujący u nowofalowców) oraz Kurt Vonnegut, który pierwsze powieści miał stricte fantastyczne, by potem odejść w stronę mainstreamu.

Obaj pisarze byli od samego początku świadomi, że fantastyka nie jest literaturą, którą chcieliby pisać przez całe życie, zdawali sobie sprawę z jej ograniczeń, ale bardzo cenili ten gatunek i wykorzystali jego elementy w swojej twórczości. Mainstream to docenił, ale myślę, że była to też zasługa rewolucji lat sześćdziesiątych. Odmienił się rynek czytelniczy, zwłaszcza jego potrzeby. Kilka dobrych filmów fantastycznych także miało wpływ na recepcję fantastyki. Literatura mainstreamowa dostała lekkiej zadyszki, a wielu twórców głównego nurtu chętnie sięgnęło po rekwizyty do tej pory uważane za SF. Pojawił się realizm magiczny w literaturze Ameryki Łacińskiej. Wielka popularność Tolkiena, Heinleina czy Le Guina na uniwersytetach amerykańskich też zrobiła swoje. Ogólnie koniunktura sprzyjała więc, by z getta mogli wypłynąć pierwsi pisarze. Oczywiście tylko uchylono drzwi, ale była to zapowiedź tego, że fantastyka wróci do kolebki matki literatury.

Wielu innych twórców tworzyło w tym czasie swoje najlepsze utwory, pozostając na uboczu trendów i szkół. Clifford D. Simak regularnie tworzył swoje wspaniałe opowiadania umiejscowione w amerykańskich wsiach i miasteczkach (świetne opowiadania i powieści, jak *Stacja tranzytowa* z 1963 roku). Robert Silverberg pisał natchnione, czasem inspirowane kanonicznymi dziełami utwory (*Człowiek w labiryncie* z 1969, *Czas przemian* z 1971, *W dół do ziemi* z 1970), Fritz Leiber wciąż był w znakomitej formie (wyśmienity *Wędrowiec* w 1964 roku), a Anne McCaffrey udanie połączyła SF z fantasy w rozpoczętej w 1968 roku serii powieści o smokach z Pern. Podobnie łączył gatunki mistrz stylu – Jack Vance. Tych wszystkich autorów przedstawimy w kolejnych tomach *Rakietowych szlaków*.

Fantastyka w Polsce – Lem, Lem i jeszcze raz Lem

Polska SF w latach 60. dopiero zaczęła rozwijać skrzydła. Przede wszystkim swoje najważniejsze powieści fantastyczno naukowe napisał Stanisław Lem, rozpoczynając od *Edenu* (1959), przez *Solaris* (1961), *Pamiętnik znaleziony w wannie* (1961), *Niezwyciężonego* (1964), *Głos Pana* (1968), do tego doszły znakomite zbiory: *Cyberiada* (1965) i *Opowiadania o pilocie Pirxie* (1968). Zagwarantowały one Lemowi pozycję najwybitniejszego polskiego pisarza SF, a dzięki przekładom

(łącznie na 37 języków) zyskał sławę na całym świecie.

Lem pisywał również do „Młodego Technika”, pisma o przedwojennym rodowodzie, przeznaczonego dla techników i młodych ludzi interesujących się techniką i nauką. Kiedy jednym z redaktorów został tam Zbigniew Przyrowski, postanowił, na wzór amerykańskiej MIT, gdzie istniała już katedra fantastyki naukowej, wprowadzić tę literaturę na łamy, jako element poszerzający wyobraźnię. I tak – trochę niechętny – Przyrowski włożył kij w mrowisko i stał się polskim Campbellem. „MT” początkowo drukował przekłady, potem zaczęli do niego pisać Lem, Andrzej Trepka, Krzysztof Boruń, rozpisano konkurs na opowiadanie, w wyniku czego nadeszło mnóstwo tekstów. Na łamach „Młodego Technika” debiutowali wówczas Janusz A. Zajdel, Andrzej Czechowski, Wiktor Żwikiewicz, a pismo stało się odpowiednikiem amerykańskich pulpowych magazynów, przynajmniej dla fantastów. Co ciekawe, Przyrowski, choć redagował potem antologię oparte na opowiadaniach z „MT” nigdy nie pasjonował się fantastyką. Ale wykonał bardzo pożyteczną robotę.

Fantastyka rosyjska

Nie można pisać o historii science fiction nie wspominając o fantastyce rosyjskiej. Była ona obecna w rosyjskiej literaturze jeszcze przed rewolucją październikową, także w początkach państwa sowieckiego (m. in. Michaił Bułhakow). Jednak dopiero po wojnie zyskała ona przychylność władz komunistycznych, raz przez możliwość pokazywania społeczeństwa spełnionego komunizmu (co dzisiaj nazwalibyśmy fantastyką totalną), dwa – przez bardzo potrzebną władzy sowieckiej popularyzację techniki. I tak *naucznaja fantastika* rozkwitła w ZSRR do poziomów niespotykanych w żadnym kraju obozu komunistycznego.

W latach 60. pojawili się tam jednak twórcy, którzy w zakamuflowany, a często bardzo ryzykowny sposób sztychali z władzy. Byli to bracia, Arkadij i Borys Strugaccy z Leningradu, których utwory w latach 60. zdominowały tamtejszy rynek na skalę, jak w Polsce zrobił to Lem. Najważniejsze ich utwory tej dekady to: *Poniedziałek zaczyna się w sobotę* (1964), *Trudno być Bogiem* (1964), *Drugi najazd Marsjan* (1967), *Przenicowany świat* (1969). A w 1967 roku ukazała się powieść, którą polscy czytelnicy (wszystkich gatunków literackich) wybrali najważniejszą powieścią XX wieku – *Mistrz i Małgorzata* Bułhakowa. Pisana w latach 1928-1940 dopiero w tamtym roku doczekała się publikacji, w dodatku w wersji bardzo ocenzurowanej. W tej dekadzie debiutowali też Bilenkin, Bułyczow, Gansowski – autorzy, którzy mieli wytyczać drogę rosyjskiej fantastyki przez najbliższe dziesięciolecie.

Wszystko więc wskazywało, że fantastyka okrzepła jako gatunek, przeszła burzliwe przemiany, młodzieńcze bunty i programowe dyskursy, i zaczęła być dostrzegana przez krytykę. Nadchodził najlepszy czas dla fantastyki naukowej.

Wojtek Sedeńko

^[1] Andrew Marvell „Do nieskorej Bogdanki”, przeł. Stanisław Barańczak

Spis treści

Spis opowiadań. 2	
Wstecznym Biegiem. 3	
CATHERINE L. MOORE Shambleau. 4	
Shambleau. 6	
FINN O'DONNEVAN Bezgłośny pistolet 21	
Bezgłośny pistolet 23	
ROGER ZELAZNY Aleja Potępienia. 30	
Aleja Potępienia. 32	
URSULA K. LE GUIN Dzień przed rewolucją. 117	
Dzień przed rewolucją. 119	
MICHAEL SWANWICK Powolne życie. 134	
Powolne życie. 136	
RAY BRADBURY Mały morderca. 161	
Mały morderca. 163	
R.A. LAFFERTY Kraina wielkich koni 179	
Kraina wielkich koni 181	
MICHAEL BISHOP Przyspieszenie. 189	
Przyspieszenie. 191	
CLIFFORD D. SIMAK Grota Tańczących Jeleni 217	
Grota Tańczących Jeleni 219	
MAREK S. HUBERATH Kara większa. 239	
Kara większa. 241	
ALAN DEAN FOSTER Polacy to ludzie łagodni 294	
Polacy to ludzie łagodni 296	
DAN SIMMONS Umrzeć w Bangkoku. 306	
Umrzeć w Bangkoku. 308	
JOHN VARLEY Naciśnij Enter 351	
Naciśnij Enter 353	
Krótka historia science fiction. 409	
[1]	